

ANDREAS
ESCHBACH
WIDEO
Z JEZUSEM

Przełożyła Joanna Filipek
Skan i ocr halgir

UWAGA!

Po skanowaniu przeprowadziłem tylko pobieżną korektę, a więc mogą występować drobne błędy w tekście!!!

1

Był pewien, że przyjadą, zrozumiał to w tej samej chwili, gdy pojął, że czeka go sława. Zdziwił się widząc ich tak szybko, lecz ta wizyta nie była dla niego niespodzianką.

Najpierw pojawił się obłok pyłu, w oddali. Dostrzegł go kątem oka, podniósł wzrok zastanawiając się, czy to aby nie jego napięte oczekiwaniem nerwy płątają mu figla. To całkiem prawdopodobne. Podobne chmury pyłu wzbijały pojazdy przejeżdżające kamienistą drogą, biegnącą około milę na południowy zachód od obozu. To pewnie znów jakaś ciężarówka turla się do pobliskiej wioski. Prawdopodobnie bez znaczenia. Nie to, na co czeka.

Skupił się ponownie na tych kilku centymetrach kwadratowych ziemi, które oczyszczał pędzlem od niemal godziny. Było okropnie gorąco. Zaczął się czerwiec i już wczesnym rankiem temperatura rosła do dwudziestu ośmiu stopni, a nawet wyżej. Później wszyscy unikali nawet zerkania na termometr. Nie padało od wielu tygodni, co było oczywiście korzystne dla ich pracy, miało jednak taki skutek, że wierzchnia warstwa podłoża zmieniła się w drobny, obrzydliwy kurz, podrywany najłżejszym podmuchem wiatru. Tym pyłem oddychali, jedli go, zabierali ze sobą do namiotów i polowych łóżek, i mieli się go nie pozbyć aż do zakończenia prac na wykopaliskach. Zmieszany z potem tworzył cienką, mazistą warstwę, z którą ubogie w wodę obozowe prysznicze nie miały żadnych szans.

Tak, musiał przyznać sam przed sobą, że czeka. Że jego wnętrze aż pulsuje niecierpliwością. Że pracuje tylko po to, by zająć czymś myśli. Moneta, na którą trafił przed chwilą, ostrożnie odgarniając dłońmi ziemię z miejsca, gdzie miał nadzieję coś znaleźć, okazała się szekłą pochodzącą z Wojny Żydowskiej. Cenny, bity w srebrze pieniądz, odwzorowano na nim kwiat o trzech pąkach, a wokół, wzdłuż krawędzi, ciągnął się napis w starym hebrajskim alfabecie. Za pomocą pędzla oczyścił monetę na tyle, by można ją było sfotografować i wpisać do księgi wykopalisk. Normalnie takie znalezisko wprawiłoby go w euforię. Żydzi bili monety o wysokich nominałach przez bardzo krótki okres rzymskiej okupacji, mianowicie podczas Powstania Żydowskiego, które wybuchło w roku 66, a już w 70 zostało zdławione przez oddziały rzymskie. Zniszczono wtedy Wielką Świątynię i od tej chwili rozpoczęła się żydowska tułaczka. Moneta stanowiła kolejne znalezisko, pozwalające dokładnie datować odkrywane przez nich groby.

Lecz teraz myślami był gdzie indziej. Przy znalezisku z poprzedniego dnia. Nie dokonał go osobiście - trafił na nie jeden z wolontariuszy, młody student z USA - jednak on był jedyną osobą, która pojęła znaczenie odkrycia. Aż się wzdrygnął, gdy o tym pomyślał. Nigdy wcześniej żaden archeolog nie trafił na tak sensacyjny zabytek, obiekt, zdolny dosłownie wstrząsnąć podstawami cywilizacji.

Obłok kurzu zbliżył się, minął rozwidlenie dróg i, zamiast oddalić się w kierunku wioski, podążył ku obozowi. Charles Wilford-Smith odłożył pędzel na otwartą księgę wykopalisk, między jej stronicami zachrzęścił piasek, potem wstał.

Krajobraz wokół obozu zirykował go, jak za każdym razem. Jak okiem sięgnąć płaskimi wzniesieniami rozciągało się rozległe pustkowienie, pozbawione oznak życia poza pojedynczymi kępami suchej trawy, rosnącymi w cieniu większych kamieni. Przydawały one równinie nieco zielonkawego odcienia, przechodzącego na horyzoncie w szarość wiekowych wzgórz, których pierwotną wysokość uszczuplił wiatr, wiejący tu nieustannie od niezliczonych tysięcy. Mimo to nie miało się poczucia szerokiej przestrzeni. Przeciwnie, człowiek czuł się jakby umieszczony pod soczewką. Niemal fizycznie dotykała skóry kłębiąca się na tej ziemi historia co najmniej trzech wielkich kultur. Każdy kamień, każdy suchy skarłaty krzew był przesiąknięty pamięcią krwawych dramatów i bezlitosnych prześladowań, z gór zdawało się dobiegać echo kazań biblijnych proroków, zaś żarliwość niezliczonych modlitw tu wznoszonych przenikała ciało niczym radioaktywne promieniowanie.

W zamyśleniu zdjął chroniący go przed słońcem kapelusz o szerokim rondzie, który zawsze nosił na wykopaliskach. Mimochodem stał się on czymś w rodzaju jego znaku firmowego, znać było po nim ślady minionych lat. Wyjął chusteczkę, niegdyś białą, i otarł nią pot z czoła i ze skroni, na których siwe włosy przerzedziły się już wiele lat temu.

- Shimon - powiedział półgłosem.

Z sąsiedniej jamy wytknął głowę mężczyzna około pięćdziesiątki, o twarzy okrągłej jak księżyc w pełni, z czupryną kręconych ciemnych włosów i mocnym zarostem. Błyszczące oczy spoglądały nieobecny spojrzaniem. Patrzyły właśnie w czasy odległe o dwa tysiące lat i z trudem wracały do współczesności.

-Tak?

Wskazał na zbliżającą się chmurę pyłu.

- Mamy gości. - Można już było rozpoznać pojazd, długą ciemną limuzynę, wyraźnie nie przeznaczoną na takie szutrowe drogi. Promienie słoneczne połyskując tańczyły na chromowanych listwach wokół przyciemnianych szyb, gdy wóz podskakiwał na kolejnym z niezliczonych wybojów, kołysząc się przy

tym, niby łódź straży przybrzeżnej na wzburzonym morzu.

- Gości? - Shimon podniósł się ociężale i spojrzął na pojazd. - Kto to może być?

- Ktoś ważny.

- Z rządu?

- Zdaje się, że jeszcze ważniejszy. - Założył z powrotem kapelusz i wepchnął chusteczkę do kieszeni spodni. - Nasz sponsor.

- Ach! - Shimon Bar-Lev spojrzął na niego. Pracowali razem od prawie dwudziestu lat. - Sektor czternasty, tak? Chce to zobaczyć. A co ze mną? Będziesz bez końca robił tajemnicę z tego, co ty i ten - jak on się nazywa?

- Foxx - odpowiedział cierpliwie Wilford-Smith. Słaba pamięć Shimona do nazwisk żywych ludzi była przysłowiowa.

- Stephen Foxx.

- No, właśnie. Co ty i ten Foxx znaleźliście?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale ten człowiek w limuzynie dowie się o tym przede mną?

- Tak. Uwierz mi, Shimon, gdy ci powiem, o co chodzi, zrozumiesz, czemu jestem taki ostrożny.

Shimon zamruczał coś niezrozumiale. Miał przy tym minę krnąbrnego dziecka.

Wilford-Smith rozejrzał się. Na trop tej osady z okresu przełomu tysiącleci naprowadziły go zdjęcia satelitarne. Na podstawie owych zdjęć wyznaczyli dziewiętnaście sektorów. Wewnątrz każdego z nich pracowali według systemu siatki, robiąc wykopy o wymiarach pięć na pięć metrów. Zaznaczone na powierzchni linie siatki pozostawiono między wykopami w postaci świadków o szerokości jednego metra, tworzyły profile, umożliwiając pracownikom wykopalisk przyporządkowanie wszystkich wydobywanych detali do stałego systemu odniesienia. Była to tradycyjna metoda, sprawdzona na całym świecie. Poza tym linie siatki - „dróżki”, jak je nazywano - służyły za dojście do wszystkich punktów wykopalisk, wyglądając czasem jak system wąskich mostków nad przepaściami.

Spośród dziewiętnastu sektorów na początek zajęto się tylko pięcioma, które wydawały się najbardziej obiecujące. To znaczy, od wczoraj sześcioma. Kazał wstrzymać prace w sektorze czternastym i zamiast tego skierował kopaczy do wstępnego zdejmowania stropowych warstw w sektorze trzecim. Nad miejscem znaleziska rozstawiono wielki biały namiot, pilnowany w nocy przez dwóch ponurych młodych mężczyzn, uzbrojonych w naładowane pistolety maszynowe. Mężczyźni ci byli pracownikami firmy ochroniarskiej z Tel Awiwu i pojawili się tu w niecałe półtorej godziny po jego rozmowie telefonicznej z człowiekiem, który, jak się spodziewał, siedział teraz w czarnej limuzynie.

Oczywiście, rozeszły się plotki. Gdy przechodził między pracownikami wykopalisk, huczało jak w ulu. Większość z nich stanowili wolontariusze, młodzi ochotnicy z całego świata, zwerbowani dla nich przez Israel Antiquities Authority z Jeruzolimy. Za śmieszne pieniądze oraz smak przygody zobowiązali się wstawać codziennie wcześniej rano i po całych dniach dźwigać kosze pełne ziemi i kamieni. Teraz obserwowali go spod oka i z pewnością zadawali sobie pytanie, co tu się właściwie dzieje.

- Może najlepiej będzie, jeśli zakończymy na dziś wszystkie prace - zastanowił się półgłosem. - Ludzie powinni odpocząć.

Shimon spojrzął na niego osłupiały.

- Zakończyć? Ale przecież nie ma jeszcze trzeciej!

- Wiem.

- O co chodzi? Jest dużo do zrobienia. Zaczęli właśnie nowy sektor i...

Poczuł, że jego głos zabarwia się zniecierpliwieniem.

- Shimon - to wszystko młodzi ludzie, inteligentni, tryskają energią i są tak pełni ciekawości, że jeszcze chwila i eksplodują. Wszystko mi jedno, jak to zorganizujesz, ale żaden z nich nie ma prawa pojawić się dziś w pobliżu sektora czternastego, OK?

Drugi mężczyzna obrzucił go przeciągłym spojrzeniem i jak zawsze pojawiło się owo wzajemne porozumienie, które im obu wydawało się magiczne.

- OK - powiedział potem Shimon. Zabrzmiało to jak obietnica. I było obietnicą.

Westchnął, z trudem wspiął się z jamy odkrywki na wąską ścieżkę pierwotnego terenu. Po przeciwnej stronie, w sektorze trzecim, wszyscy już stali. Głównie młodzi mężczyźni, wśród nich zaledwie kilka kobiet, o których względy zabiegało wielu adoratorów. Spoglądali to na czarny samochód, toczący się teraz powoli, jakby niezdecydowanie, po parkingu, to znów na niego. Zdawało mu się, że te ich spojrzenia wręcz czuje na skórze, idąc swobodnym krokiem w kierunku wydzielonego czworokąta, na którym parkowano samochody. Przynajmniej miał nadzieję, że jego krok sprawia wrażenie swobodnego, a nie jest zwyczajnie nieporadny. Odkąd przekroczył siedemdziesiątkę, przypominały mu się skargi ojca, który dożywszy osiemdziesięciu siedmiu lat, przez ostatnie siedemnaście ani jednego dnia nie oszczędził rodzinie dokładnych doniesień o, jak to nazywał, postępkach w rozpadzie swego ciała. Czarny pojazd zatrzymał się. Żółte tablice, zatem zarejestrowany w Izraelu. Skąd, na miłość boską, bierze się w

Izraelu taki wóz? Wciąż jeszcze zadziwieniem napełniała go potęga pieniędzy.

Najwyraźniej czekali na niego, nie wysiadając z prawdopodobnie przyjemnie klimatyzowanego wnętrza. Gdy zbliżył się do samochodu, wysiadł kierowca, potężny mężczyzna, barczysty, włosy ostrzyżone krótko, po wojskowemu, ubrany w uniform o także jakby wojskowym kroju. W oczy rzucał się rewolwer w kaburze pod pachą. Z pewnością jego głównym etatem była ochrona, rolę kierowcy odgrywał tylko przy okazji. Zdradzała to nadmiernie sztywna pieczołowitość, z jaką niezgrabnie otworzył drzwi samochodu. Mężczyzna wysiadający z tylnego siedzenia, mało, że posiadał ogromną władzę i majątek, to również dokładnie na to wyglądał. Ubrany był w doskonale skrojony granatowy garnitur, który byłby zupełnie niestosowny w tym otoczeniu, gdyby miał go na sobie ktoś inny. Lecz John Kaun, w każdym calu wszechwładny zarządca światowego konsorcjum, nawykł do tego, że to otoczenie dostosowuje się do niego, nigdy na odwrót. I cóż, wygląda na to, że jego teoria sprawdzała się także w odniesieniu do pustynnych krajobrazów, wykopalisk archeologicznych i skwarnych letnich temperatur.

Przywitali się z należytą uprzejmością. Do tej pory spotkali się tylko dwa razy - pierwszy, gdy profesor kabiegał o finansowe wsparcie wykopalisk, a potem jeszcze raz, w Nowym Jorku, na otwarciu wystawy eksponatów z epoki króla Salomona. Twierdzenie, że lubią się wzajemnie, byłoby grubą przesadą. Sprawy miały się raczej tak, że jeden drugiego traktował jak zło konieczne.

- Zatem udało się panu - powiedział John Kaun, błędząc wzrokiem po okolicy. Fascynujące było obserwowanie go przy tej czynności - miało się wrażenie, że jego oczy są zdolne dosłownie wyssać wszystkie dostępne optyczne informacje, wprost „wypatrzeć do dna” otoczenie. Można by wręcz oczekiwać, że góry wypiętrzą się jeszcze wyżej wznosząc się ku jego oczom, lub - dla odmiany - pod ich spojrzeniem utracą barwę, coś w tym rodzaju. - Znalazł pan coś, co zasługuje na więcej niż tylko przypis w leksykonie archeologicznym.

- Na to wygląda - przytaknął Charles Wilford-Smith.

- Heinrich Schliemann odnalazł Troję. John Carter grobowiec Tutenchamona. A Charles Wilford-Smith ... - Po raz pierwszy zdawało się, że spod maski władcy wychyną rąbek ludzkich emocji.

- Muszę przyznać, że wprost nie mogę się doczekać - dodał. - Przez cały lot nie byłem w stanie myśleć o niczym innym.

Charles Wilford-Smith zapraszającym gestem wskazał w kierunku namiotu, należącego niegdyś do wyposażenia brytyjskiej armii.

- Cokolwiek pan sobie wyobrażał - odpowiedział - rzeczywistość to przerasta.

2

Pierwszy etap wykopalisk zaplanowano na okres pięciu miesięcy, począwszy od maja. Kierownictwo powierzono autorowi niniejszego raportu, zaś dra SHIMONA BAR-LEV uczyniono odpowiedzialnym za dokumentację. Brygadzystą został RAFI BANYAMANI. Ze względu na duży obszar terenu wykopalisk, okresowo zatrudniano do stu dziewiętnastu ochotniczych kopaczy.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Telefon zadzwonił krótko przed kolacją. Przy drugim dzwonku Lydia Eisenhardt wyszła z kuchni i, nim odebrała, otarła dłonie o fartuch. Aparat miał staromodną tarczę i ciężką, masywną słuchawkę, wisiał na ścianie w ciemnej sieni, zmuszając do prowadzenia wszystkich rozmów telefonicznych na stojąco, między wiszącymi w garderobie płaszczami a regałem na buty, na którym piętrzyły się kolorowe dzieciinne kalosze. Odziedziczyli ten telefon po poprzednim właścicielu domu, mieszkającym tu przez czterdzieści lat, i postanowili go zachować.

- Eisenhardt, słucham?

Usłyszała dźwięczny głos, mówiący płynną niemiecką z wyraźnym amerykańskim akcentem.

- Tu biuro Johna Kauna, przy aparacie Susan Miller. Czy mogę mówić z panem Peterem Eisenhardtem?

- Chwileczkę, już go wołam. Pani pewnie dzwoni z zagranicy?

- New York, tak.

Lydia z wrażenia skinęła głową w kierunku swego odbicia w garderobianym lustrze. Do jej męża dzwoniło wiele osób, -oś takiego jednak jeszcze się nie zdarzyło.

- Momencik.

Odłożyła na bok słuchawkę, pośpiesznie podeszła do schodów, prowadzących na pierwsze piętro i wspięła się kilka stopni.

- Peter?

- Tak? - rozległo się zza drzwi gabinetu.

- Telefon do ciebie! - i, z naciskiem: - Z Nowego Jorku!

Są słowa, które zdają się posiadać tajemną moc. Nowy Jork to właśnie takie słowo. Dla pisarza Nowy Jork jest rym, czym dla aktora Hollywood - centrum świata, artystycznym Olimpem, miastem budzącym pożądanie, podziw, obawę, pogardę - tam i tylko tam, kariera pisarza może sięgnąć szczytu.

Nowy Jork! To może oznaczać tylko jedno: Doubleday. Albo Random House. Albo Simon & Schuster. Albo Alfred Knopf. Albo Time Warner... To może oznaczać tylko, że nareszcie powiodły się długotrwałe starania sprzedaży licencji na wydanie jego książek w USA...

Teraz tylko spokojnie. Peter Eisenhardt spojrział na wielki arkusz papieru pakowego, wiszący przed nim na ścianie za biurkiem, wypełniony cienkimi i grubymi strzałkami, dziwacznymi symbolami, nazwami, naskrobanymi bez ładu i składu notatkami, oklejony karteczkami i zdjęciami wyciętymi z czasopism. Projekt nowej powieści, nad którą właśnie pracował. Czasem myślał, że przynajmniej ten projekt, wielkości trzech na półtora metra, jest dziełem sztuki. Teraz jednak myślał tylko o jednym: Nowy Jork!

- Idę!

Gdy dotarł do telefonu, brakowało mu tchu, nie miał pojęcia, czy to dobrze, czy źle. Lydia, nasłuchując w napięciu, stała w drzwiach kuchni, z której dobiegał zapach octu, bazylii i świeżo tartych ogórków.

- Peter Eisenhardt - powiedział do słuchawki, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Wciąż jeszcze był raczej szczupły, mimo przeważnie siedzącego trybu życia, jedynie włosy zaczęły się niepokojąco przerzedzać. Jak to będzie wyglądało na okładce amerykańskiej książki?

- Dzień dobry, mister Eisenhardt - usłyszał głos Amerykanki, mówiącej zdumiewająco dobrze po niemiecku. - Nazywam się Susan Miller, jestem sekretarką Johna Kauna.

- Czy zna pan to nazwisko?

- Kaun? John Kaun? Zastanawiał się zaskoczony. Miał nadzieję, że brak znajomości z tym człowiekiem nie okaże się zgubnym nokautem.

- Prawdę mówiąc, nie. Powinienem je znać?

- Pan Kaun jest przewodniczącym zarządu firmy Kaun Enterprises, holdingu należącego do koncernu telewizyjnego N.E.W., News and Entertainment Worldwide...

- Konkurencja CNN? - o moment za późno ugryzł się w język.

- Mhm, cóż. Pracujemy nad tym, żeby stać się numerem jeden.

Naprawdę głupio.

- Życzę powodzenia - odpowiedź Eisenhardta zabrzmiała nieporadnie.

- Do Kaun Enterprises - kontynuował głos - należy między innymi także niemieckie wydawnictwo, publikujące pańskie powieści...
- Ach - wyrwało się Eisenhardtowi. Nie wiedział o tym. Zdziwiał się.
- Pan Kaun prosił mnie, by przekazać panu, że jest dumny, mogąc publikować pańskie dzieła. Poleciał mi spytać, czy mógłby pana zatrudnić na kilka dni.
- Zatrudnić? - powtórzył Peter Eisenhardt. - Ma pani na myśli spotkania autorskie? Cykl spotkań? - To było równie dobre jak sprzedaż licencji. Naprawdę miałby wielką ochotę spędzić kilka dni podróżując przez USA, zawitać w charakterze otoczonego względami gościa na posiadłości multimilionera, albo jako atrakcja jednego z legendarnych, ekskluzywnych nowojorskich klubów, pozwolić się fetować członkom starej finansjery, szczytującym się kilkoma zachowanymi w pamięci niemieckimi zwrotami...
- Niezupełnie spotkania autorskie - ostrożnie sprostował głos na drugim końcu linii. - Mister Kaun chciałby wykorzystać pańskie wyczucie w gatunku science fiction. Pańską Pisarską wyobraźnię.
- Moją pisarską wyobraźnię? A na co mu ona potrzebna?
- Tego nie wiem. Upoważniono mnie do zaproponowania panu honorarium w wysokości dwóch tysięcy dolarów dziennie, oraz, oczywiście, pokrycie wszystkich kosztów.
- Peter Eisenhardt szeroko otworzył oczy i spojrzał na żonę, patrzącą na niego z równie szeroko otwartymi oczami.
- Dwa tysiące dolarów na dzień? - Jaki właściwie jest teraz kurs dolara? - A o ilu dniach myśli mister Kaun?
- Co najmniej tydzień, może dłużej. Musiałby pan przyjechać jutro.
- Już jutro?
- Tak. To warunek.
- Lydia z trudem przełknęła ślinę, ale zaraz podniosła obie dłonie z kciukami wzniesionymi w geście zwycięstwa. Akurat teraz bardzo przydadzą im się te pieniądze. Dawno oczekiwana zaliczka wciąż nie przychodziła, a jedno z czasopism, do których Eisenhardt pisał od czasu do czasu dla pieniędzy, odrzuciło artykuł, na który poświęcił diabelnie dużo czasu.
- I nie wie pani, co mam za to zrobić, za te dwa tysiące dolarów na dzień? - jeszcze raz nieufnie upewnił się Peter Eisenhardt.
- Nie, niestety nie. Ale umowa, którą mam panu prze-faksować, jeśli się pan zgodzi, to nasz typowy formularz kontraktu dla ekspertów. Sądzę więc, że chciałby skonsultować się z panem w jakiejś sprawie.
- Peter Eisenhardt głęboko odetchnął, wymienił jeszcze spojrzenie z żoną, która zachęcająco kiwała głową. Cóż, oczywiście, kusiła go przygoda. Czemu nie? Znowy wyjechać w świat, na jakiś czas zostawić w domu żonę i dzieci...
- Więc dobrze - powiedział.
- Okay - odpowiedziała kobieta głosem, w którym dało się słyszeć ulgę. Zapewne, Eisenhardtowi przyszła do głowy okrutna myśl, telefonowała już do całej listy autorów, ale żaden nie miał czasu ani ochoty, bo pisaniem zarabiają więcej, niż mogła im zaproponować jako honorarium konsultanta.
- Na lotnisku we Frankfurcie będzie czekał na pana bilet - głos kontynuował rzeczowo. - Potrzebny będzie tylko paszport. Proszę się zgłosić na terminalu jutro, najpóźniej o ósmej trzydzieści. Od razu przy okienku EI AI. To bardzo ważne, żeby był pan punktualnie. _ EI AI?
- Z powodu kontroli bezpieczeństwa. Samolot wylatuje o dziesiątej, jeśli zgłosi się pan do okienka po ósmej trzydzieści, nie będzie pan mógł polecieć.
- Eisenhardt wciąż się dziwił.
- Powiedziała pani EI AI?
- Och! - krzyknęła. Tym razem wydawała się naprawdę zakłopotana. - *I'm very sorry*. Zapomniałam powiedzieć, że mister Kaun jest w tej chwili w Izraelu. Chciałby, żeby przyjechał pan do Izraela.

3

Porównaj z: plan stanowiska z zaznaczonymi obszarami eksploracji, rys. 1.3, jak również plan przekrojów, rys. 1.4a-s oraz plan pozostałości zabudowań (rys. 1.5).

Na podstawie wspomnianych w rozdz. 1.2 zdjęć satelitarnych (patrz załącznik C.3) wyznaczono dziewiętnaście sektorów badawczych, spośród nich pięć uznano za najbardziej obiecujące, mianowicie sektory: 14, 9, 2, 7 i 16 (wymieniono w planowanej kolejności prac), wyznaczono do pierwszego etapu eksploracji. Jak już wspomniano, prace w sektorze 14 chwilowo wstrzymano, kierując kopaczy do sektora 3 (wspomn. Rozdz. 11.1).

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

To robiło naprawdę spore wrażenie. Wyglądało bardziej na najazd czy okupację terenu, niż na odwiedzinę. Ciągnik siodłowy ustawiał właśnie w pobliżu sektora czternastego trzeci z pięciu długich, połyskujących srebrno kontenerów mieszkalnych, zaś liczba jednakowo ubranych, jakby umundurowanych robotników, rosła z godziny na godzinę. Kilku z nich trudniło się wznoszeniem czegoś w rodzaju płotu wokół terenu, na którym stały kontenery. Opodal zamontowali agregat prądowłóczy, ciemną, kanciastą skrzynię, której buczenie słychać było z daleka. Wychodziły z niej grube kable, które przecinając teren poprowadzono do kontenerów mieszkalnych oraz do wielkiego namiotu, ustawionego nad miejscem znaleziska w sektorze czternastym.

- Wielu ma broń - powiedziała Judith, obserwująca całe to zamieszanie zmrużonymi oczyma.
- Mhm - mruknął Stephen Foxx, przeżuując. Kanapki, które dostawali podczas przerw, z każdym dniem robiły się coraz gorsze. Najwyższy czas porozmawiać z dwoma chłopakami odpowiedzialnymi za zaopatrzenie. Albo rozejrzeć się, gdzie mógłby zaopatrywać się sam. Może dałoby się coś zorganizować w wiosce, o której często ktoś wspominał. Przecież musi tam być jakiś sklep, może nawet coś w rodzaju supermarketu.
- Zastanawiam się, o co tu chodzi. Urządzają się. To chyba przyczepy mieszkalne, prawda? Foxx skinął głową.
- Jasne. Jeśli ktoś każe się wozić takim samochodem, nie będzie spał w zwykłym namiocie.
- Dziwię się, że ktoś taki w ogóle chce tu nocować.
- Ja też. - Sięgnął po butelkę i letnią, ustana wodą splukał mdły smak chleba. Wątpliwa poprawa. - Co się tyczy dzisiejszego wieczoru - to nie będzie czasem religijne rodzinne święto, czy coś w tym stylu? Judith krótko potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od prac budowlanych.
- Skąd.
- I nie będę musiał zakładać jarmułka ani zdejmować butów?
- Nie jesteś Żydem, więc i tak nie mógłbyś nosić jarmułka.
- A co do modlitw?
- Daj spokój. Powrócimy się trochę po Tel Awiwie, a potem pójdziemy na kolację. Yehoshuah zna właściciela, więc dostaniemy najlepszy stolik, i tyle. Zastanawiam się, kim jest ten typ w garniturze.
- Nazywa się John Kaun.
- Co? - Nareszcie nań spojrziała. Nieźle. Stephen Foxx lubił, kiedy kierowała na niego pełne żaru, czarne oczy. Judith Menez była siostrą Yehoshui Meneza, asystenta w dziale archeologicznym Muzeum Rockefellera w Jerozolimie, którego poznał przez Internet i który załatwił mu to miejsce kopacza na wykopaliskach. Lecz przede wszystkim była szczupła jak osa, za wyjątkiem rejonów, gdzie byłoby to niewskazane, miała długie czarne loki, zapierający dech w piersiach lekko garbaty nosek i godny uwagi temperament, no i jego zdaniem była już naprawdę najwyższa pora, żeby znalazł się z nią w łóżku. W każdym razie dotychczas wydawało się, że nawet nie zauważa jego nieustannych zabiegów, a jeśli nawet o nich wiedziała, wyśmienicie potrafiła je ignorować.
- John Kaun - powtórzył Stephen. - Właściciel i przewodniczący zarządu *Kaun Enterprises*. Najważniejszą firmą, jaką posiada, jest stacja telewizyjna N.E.W., która od lat próbuje zagrozić pozycji CNN na rynku informacyjnym.
- Była pod wrażeniem.
- To pachnie dużymi pieniędzmi.
- Kaun zarobił swój pierwszy milion, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Niektórzy nazywają go Johngis Khan, ze względu na jego, hm, bezpardonowe sposoby prowadzenia interesów. Ma teraz czterdzieści dwa lata i jest jednym z najbogatszych ludzi w USA. - Foxx zastanowił się przez chwilę, czy w tym miejscu korzystnie byłoby wspomnieć, że on swój pierwszy milion zarobił mając lat dziewiętnaście. Lepiej nie. To by zabrzmiało, jakby chciał jej zaimponować. Oczywiście, że chciał, lecz jeśli naprawdę ma jej zaimponować, nie może to brzmieć jak nachalne przechwałki. - To on finansuje te wykopaliska. Zrobiła jeszcze większe oczy.

- Naprawdę? Skąd wiesz?
- Czytam odpowiednie gazety.
- Jasne, czytasz odpowiednie gazety.

Stephen Cornelius Foxx, lat dwadzieścia dwa, pochodził z Maine na północnym wschodzie USA. Był szczupły, niemal jak szczapa, trochę niższy od przeciętnej, radził jednak sobie z tym trzymając się prosto i demonstrując pewność siebie, poza tym nosił okulary w cienkich oprawkach, nadające mu intelektualny wygląd. Jego hobby było uczestnictwo w naukowych projektach badawczych na całym świecie. Obrączkował już ptaki na Islandii, liczył gatunki mrówek w Brazylii, prowadził studia porównawcze systemów nawadniających na skraju strefy Sahel w Afryce, a w Montanie pomagał w wydobywaniu kości dinozaurów. Stephen Foxx był najmłodszym członkiem, jakiego kiedykolwiek przyjęło w swoje szeregi szanowane nowojorskie towarzystwo *Explorer's Society*, od lat wspierające finansowo i naukowo wykopiska, ekspedycje do puszczy tropikalnej i inne projekty badawcze na całym świecie. I to członkiem opłacającym składki, jak wszyscy pozostali. Jedynie dzięki temu traktowano go serio, jak sobie życzył.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by jego wiek, przez wielu uważany za zbyt młody, powstrzymał go przed udziałem w takim czy innym przedsięwzięciu. Dostatecznie wcześnie pojął, jaką rolę w życiu grają pieniądze: to one są środkiem umożliwiającym prowadzenie takiego życia, na jakie ma się ochotę. Kto ma pieniądze, może robić co zechce - kto ich nie ma, musi robić to, czego chcą inni. Zatem lepiej pieniądze mieć.

Wcześnie zaczął zajmować się komputerami, jednak nie kierowała nim namiętność do gier, jak to się dzieje w przypadku większości młodocianych pasjonatów, lecz dlatego, że przeczuwał, iż w ten sposób najłatwiej zarobi pieniądze, pozwalające mu na spędzenie życia w taki sposób, jaki mu będzie odpowiadał - przede wszystkim miało być interesujące.

Mając szesnaście lat dokonał prawdziwego majstersztyku, przekonując w rodzinnym mieście pewną handlującą częściami samochodowymi firmę, że jest w stanie stworzyć przykrojony specjalnie na ich potrzeby system informatyczny, działający lepiej od tego, który mieli dotychczas, bez potrzeby kupowania nowych komputerów - i rok później rzeczywiście odebrał czek na sumę, która wywołała respekt nawet u jego ojca, choć jako adwokat, przyzwyczajony był do wystawiania boleśnie wysokich rachunków, oraz do tego, że mu za nie płacono.

Sztuczka, na której opierało się to śmiałe przedsięwzięcie, polegała na tym, że Stephen Foxx tak naprawdę określił tylko dokładną specyfikację systemu, natomiast jego poszczególne części napisali programiści w Indiach, studenci informatyki, których zwerbował przez Internet, nigdy żadnego z nich nie widząc na oczy. Wszystko odbyło się poprzez sieci komputerowe, w owym czasie jeszcze niezwykle skomplikowane w użytkowaniu. Stephen przesyłał do Indii szczegółowy opis założeń danego elementu systemu, tam współpracownik opracowywał odpowiadający tym założeniom program i tą samą drogą odsyłał mu jego kod. Stephen musiał tylko połączyć poszczególne moduły w system i po przetestowaniu dostarczyć zleceniodawcy, instalując całość na już istniejących i działających komputerach klienta.

Cały ten system świetnie działał przede wszystkim dlatego, że jakość programów dostarczanych przez indyjskich współpracowników biła na głowę wszystko, co byłby w stanie uzyskać od lokalnych programistów. Bezbledne, można powiedzieć. Na koniec najbardziej skomplikowaną częścią całej operacji okazało się przelanie należnych pieniędzy z banków amerykańskich do indyjskich - procedurę tę Stephen powtarzał jeszcze pięć razy, ponieważ sprzedał ten program do pięciu dalszych firm. Nie tylko on, także jego indyjscy podwykonawcy stali się w ten sposób bogatymi ludźmi i obecnie większość z nich miała własne firmy software'owe, świadczące usługi klientom na całym świecie. Z biegiem czasu zlecenie programowania w Indiach stało się w zachodnich firmach powszechnie stosowaną praktyką.

Stephen nie odczuwał potrzeby, żeby po zarobieniu pierwszego miliona dążyć do miliarda. Potrafił wprawdzie z grubsza wyobrazić sobie, co dzieje się w sercu człowieka pokroju Johna Kauna, lecz nie umiałby go naśladować. Zupełnie normalnie ukończył szkołę średnią, studiował ekonomię na względnie mało znanym, przytulnie niewielkim uniwersytecie, rozbijał się jaskrawoczerwonym Porsche i podrywał, na ile był w stanie, najlepsze dziewczyny. Na swoich pieniądzach spoczął, mniej lub bardziej, jak na laurach. Zainwestował je tak, że mógł swój styl życia finansować w przeważającej mierze z procentów, i wyglądało na to, że do końca życia nie będzie już musiał pracować. Opłaciło się, tak sądził, tamte pełne stresu półtora roku.

Co najmniej raz w roku przepadał w szerokim świecie. Zwykłych wycieczek nie znosił, odkąd sięgał pamięcią: jechać gdzieś, żeby oglądać „krajobrazy” albo „turystyczne atrakcje” - to zawsze wydawało mu się kompletnie pozbawione sensu. Ludzie, którzy robili takie rzeczy, przeważnie popisywali się znajomością rozrywkowych restauracji na Sri Lance albo tym, że kiedyś odbyli konną przejażdżkę wokół piramid, gdy jednak dociekliwy rozmówca nie dawał się zbić z tropu Pytał dalej, okazywało się, że we własnym mieście znają tylko swoją ulubioną knajpę i nie mają pojęcia, z jakiego powodu tłumy ludzi gnanych tym samym snobizmem co oni, zjeżdżają tu z całego świata, może nawet ze Sri Lanki. O nie,

tylko nie to. Stephen Foxx interesował się dalekim światem, ale jeśli już gdzieś jechał, chciał mieć tam coś sensownego do roboty. Przy tym, nie znał zajęć bardziej fascynujących niż praca na wykopaliskach czy w badawczych obozach zoologów, bądź udział w botanicznej ekspedycji w tropiki. Odkąd dowiedział się o istnieniu *Explorer's Society* oraz o tym, że także dla laików istnieje możliwość wzięcia udziału w takich projektach, zrozumiał, czego pragnie.

Oczywiście, wiązały się z tym niemal zawsze ciężka praca fizyczna, niewygodne warunki i monotonne zajęcia. Oto trzeba liczyć tysiące larw, wynosić tuzinami kosze pełne ziemi, gruzu i kamieni, spać w cuchnących namiotach. To jednak było częścią przygody. Nigdy nie zamieniłby się z naukowcami, którzy oczywiście mieli poważniejsze zadania, rozwijali swoje teorie, pisali referaty i wydawali polecenia robotnikom takim jak on, gdyż w konsekwencji oznaczałoby to, że musiałby studiować którąś ze specjalności przyrodniczych i potem przez całe życie wykonywać ten sam rodzaj pracy. A to nie wróżyło ciekawych przygód. To wróżyło straszliwą nudę.

- Myślisz, że chcą kręcić film o naszych wykopaliskach? - spytała Judith. Z daleka kiwał do nich Rafi, kierujący pracami w sektorze trzecim. Przerwa śniadaniowa już się skończyła.

- Nie wiem - odpowiedział Stephen. - Raczej nie sądzę. Nie wydaje mi się, żeby szef zarządu przyjeżdżał tu kręcić film.

- Ale to ma coś wspólnego ze znaleziskiem. Tym, o którym nie chcesz rozmawiać.

- Tak, myślę, że masz rację.

- Jak myślisz, co się tu dzieje?

- Wydaje mi się - powiedział Stephen, zdjął okulary i potarł wierzchem dłoni brwi, mokre od potu - że popełniono morderstwo.

4

Poniżej podano szczegółowe opracowanie stratygraficzne. Elementy stratygraficzne, jak warstwy i wkopy, opatrzone cyframi, pozostałości obiektów budowlanych literami, umieszczonymi w odpowiednich punktach przekroju stratygraficznego. Rozmieszczenie stratygraficzne artefaktów ceramicznych z rozdz. 111-9 patrz rozdz. XII.

Do numerowania i opracowania systemu stratygraficznego zastosowano metodę zaproponowaną przez HARRISA (HARRIS 1979, 81-91, porównaj także FRANKEN 1984, 86-90). W niektórych miejscach, celem uproszczenia, przydzielono jeden numer całej grupie nagromadzonych warstw.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopisk pod Bet Hamesh

Stanowisko linii EI A1 z przyczyn bezpieczeństwa umieszczono w osobnym korytarzu z boku hali głównej. Eisenhardt dotarł do niego niemal w ostatniej minucie i, czując się raczej nieswojo, stał teraz w grupie hałaśliwych ludzi, jakich do tej pory widywał tylko w wieczornych wiadomościach. Ortodoksyjni Żydzi z długimi pejsami, ubrani na czarno, stali obok gapiących się obojętnie przed siebie Palestyńczyków, odzianych w nieomylnie rozpoznawane chusty spopularyzowane przez Jasera Arafata. Ignorowali się wzajemnie, na ile było to możliwe. Kobiety, skromnie osłonięte długimi płaszczami i chustami, czekały w jednej kolejce z całkiem podobnie ubranymi mnichami z zakonu franciszkanów. Pośród nich, nie rzucając się w oczy, cierpliwie stali zwyczajni mężczyźni i kobiety, w różnym wieku i różnego stanu, wyglądające na babcie damy i szarmanccy starsi panowie, mimo wczesnej pory i zachmurzonego nieba nad Frankfurtem przewidująco przystrojeni w białe słomkowe kapelusze, bladzi, krępi mężczyźni w połyskujących tłusto garniturach z plastikowymi reklamówkami w rękach, rozmawiający cicho w języku, który w uszach Eisenhardta brzmiał jak rosyjski. Kolejka posuwała się bardzo powoli.

- Po co pan jedzie do Izraela? - zapytała funkcjonariuszka izraelskich służb bezpieczeństwa, olbrzymia kobieta, lustrując go przy tym wzrokiem tak nieufnie, jakby podejrzewała go o kryminalne zamiary.

- W sprawach, hm, zawodowych. - Dlaczego to pytanie tak go zdenerwowało? Wyjął z torby faks z Nowego Jorku. - Mam zlecenie na konsultację.

Dokładnie przestudiowała faks. Tutaj nie wyglądało to na formalność, do spraw bezpieczeństwa podchodzono naprawdę poważnie. Z taką kontrolą nie spotkał się nigdy przy wcześniejszych lotach. Raczej późniął lot niż powierzchownie potraktują niejasności, niewątpliwie mają ku temu powody. Eisenhardt przypomniał sobie rozmaite doniesienia o porwaniach samolotów, słuchał ich przeważnie mimochodem. Tak. Mają wiele powodów.

No, nieźle wpadł. Powtórnie przeczytała faks, całą czterostronicową umowę napisaną w większej części prawniczym angielskim, nie patrząc na niego wzięła słuchawkę telefonu i wybrała numer, rozmawiała z kimś gardłowym językiem, z pewnością musiał to być hebrajski. W końcu oddała mu papier i skinęła głową, szybko naskrobała podpis na formularzu i pozwoliła przejść.

- W porządku - powiedziała i natychmiast skierowała swą skoncentrowaną nieufność na następnego w kolejce, teraz jego traktując jak potencjalnego terrorystę, póki nie udowodni, że nim nie jest.

Dlaczego pan jedzie do Izraela? Piekielnie dobre pytanie. On, niezbyt znany pisarz! Jako doradca dysponującego milionami medialnego potentata! Oszałał. Wysoce wątpliwe. Prawdziwą przyczyną, nagle stało się to dla niego jasne, są zaległości w płaceniu rat za dom. Powstałe, gdyż nie zapłaciło mu wydawnictwo, pośrednio będące własnością człowieka, który go zaangażował.

Siedziała tam, gdzie zawsze chciał ją zobaczyć: na krawędzi jego połowego łóżka. Mimo to czuł się idiotycznie, bo to on był półnagi, a ona ubrana.

Stephen brał prysznic. Natryski z trudnością zasługiwały na swoją nazwę - z imponujących baterii słabo kapiała woda. W obozie wszyscy stale uskarżali się na prysznice, nie będące w stanie splukać wszechobecnego pyłu. Wszyscy też dobrze wiedzieli, że skargi te nie mają sensu, bo natryski nie zmieniają się do końca wykopisk. Stephen poradził sobie za pomocą prostej sztuczki, którą podpatrzył u specjalistów od nawadniania w Afryce: pozbywał się praktycznie całego kurzu, używając zwykłej gąbki. Ze swojego pomysłu nie robił tajemnicy, lecz, o ile się zorientował, większość i tak wołała narzekać.

- Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który na wykopiskach ma przy sobie marynarkę - stwierdziła Ju-dith.

- Mam jeszcze mnóstwo innych niezwykłych cech - odpowiedział Stephen, zajęty jeszcze wycieraniem do sucha włosów i doprowadzaniem ich do porządku za pomocą wielkiego grzebienia. Przyjemnie było mieć za sobą dzień pracy i szykować na nieźle zapowiadający się wieczór. Wysilek fizyczny dobrze mu robił, był w nieźłej formie i czuł się wygodnie w swoim ciele.

Kopacze mieszkali w dosyć obszernych namiotach z białego żeglarskiego płótna, wyglądających tak, jakby były demobilem po afrykańskiej ofensywie brytyjskiej armii. Może zresztą naprawdę tak było. W większości namiotów mieszkali po dwie osoby, Stephenowi udało się jednak doprowadzić do

przyznania mu pojedynczego lokum - rozpuścił plotki, że w nocy okropnie chrapie i lunatykuje, do tego wracając do łóżka często się myli - nikt nie chciał ryzykować. Dzięki temu starczyło mu miejsca, żeby poza stołem i krzesłem zmieścić w namiocie jeszcze stojak do wieszania ubrań i duże lustro.

- Kiedyś i tak się dowiem - powtórzyła co najmniej piąty raz. Wciąż miała na myśli artefakt, znaleziony tego dnia właśnie przez niego i będący, na to wyglądało, przyczyną całego zamieszania.

- Dowiesz się dziś wieczorem - powiedział Stephen i wskoczył w spodnie. Judith przyglądała mu się niewzruszona. Wcześniej po prostu weszła do namiotu, mimo że stał w samych slipkach, usiadła na łóżku i zaczęła mu wiercić dziurę w brzuchu na temat znaleziska. - To długa historia. Gdybym opowiedział ją tobie teraz, musiałbym wieczorem opowiadać Yehoshui jeszcze raz, a dwa razy to dla mnie za dużo.

- Chcesz tylko wzmocnić efekt.

- Jasne. To też. Kiedy przyjedzie twój brat?

- Za pół godziny.

Była w niej jakaś szorstkość. Przyczyna tkwiła może w fakcie, że ze swego dwudziestoletniego życia zdążyła już dwa lata spędzić w izraelskiej armii. Stephena przebiegł dreszcz zgrozy, gdy dowiedział się, że to długonogie, rasowe stworzenie potrafiło kierować wozem opancerzonym, brało udział w walkach zbrojnych podczas Intifady, do tego potrafiła z zawiązanymi oczami złożyć rozebrany karabin maszynowy w czasie krótszym od jednej minuty. On wojsko znał tylko z filmów.

- Może jednak pojedziemy moim samochodem? I spotkamy się z nim w Tel Awiwie? - Ruchem głowy wskazał leżący na stole telefon komórkowy.

- Już go nie złapiesz. Stoi w jerozolimskim korku.

- Więc dobrze. - Obciągnął koszulę, swoją ulubioną koszulę z tkaniny będącej mieszanką lnu, bawełny i rozmaitych sztucznych włókien, którą zabierał na wszystkie ekspedycje. Noszona osobno wyglądała swobodnie, założona pod marynarkę robiła się elegancka, i w razie potrzeby można było ją wyprać w zimnej wodzie z mydłem, a i tak zawsze wydawała się biała. Pochodziła z małego ekskluzywnego sklepiku w Nowym Jorku, poleconego mu kiedyś przez kogoś z *Explo-rer's Society*, człowieka, który dobiegał teraz osiemdziesiątki i przy każdej sposobności opowiadał, jak w młodości objechał świat na rowerze.

Potem narzucił marynarkę. Jeszcze jedna część garderoby, której znalezienie zajęło mu sporo czasu. Była lekka, dawała ochłodę w upalnych okolicach, zaś grzała w chłodnych, nie gniotła się nawet ciasno upchnięta w bagażu, i kolorystycznie pasowała niemal do wszystkiego. Oczywiście, nie była całkiem tania, lecz miał zasadę, by nigdy nie podróżować bez możliwości ubrania się ze smakiem i *businesslike*. W swoim marynarskim worku w rustykalnym stylu miał nawet kilka krawatów; Judith ich jeszcze nie widziała, inaczej na pewno naśmiewałaby się także i z nich. Ale doświadczenie mówiło mu, że nic tak nie dodaje pewności siebie jak świadomość, że jest się odpowiednio ubranym. W kontaktach z ludźmi posiadanie krawata może mieć równie decydujące znaczenie, jak rewolwer w konfrontacji z tygrysem. Judith wstała i podeszła do wejścia do namiotu. Gdy odsunęła na bok plandekę, w poprzek wnętrza na połowę łóżko i pokrytą pyłem podłogę z udeptanej ziemi padł szeroki, ciepły promień światła.

- Przyjechała taksówka, zdaje się.

- Mhm - mruknął Stephen, wiążąc buty. W tym otoczeniu naturalnie nigdy nie były całkiem czyste. No, i powinien kiedyś znów tu posprzątać, kątem oka widział leżącą wciąż pod łóżkiem skrzynkę na artefakty, której używał poprzedniego dnia, płaską, prostokątną kasetkę z żelaznej blachy z dzieloną składaną pokrywą, do takich skrzynek w czasie pracy na wykopaliskach sypało się zdjętą z wierzchu ziemię, żeby ją potem dokładnie przesiać przez sito. Zdarzało się, że dopiero przy przesiewaniu znajdowano przeoczone w miejscu kopania niewielkie, lecz ważne elementy - pojedyncze zęby, małe kostki, fragmenty biżuterii.

To jednak musiało poczekać do jutra. Włożył do kieszeni portfel, telefon komórkowy i sprawdził, czy ma przy sobie dość drobnych.

- A jednak wygląda na to, że chcą kręcić film - stwierdziła Judith. - To przecież kamera filmowa, prawda?

- Co? - Stephen stanął za nią, spojrzął jej przez ramię i z rozkoszą poczuł ciepło jej policzka, oddalonego zaledwie o centymetr od jego twarzy. Pachniała podniecająco, choć nie potrafiłby powiedzieć, jaki to zapach.

- Tam na trójnogu. Przed namiotem.

Stephen przyjrzał się wskazanemu przedmiotowi. To była rzeczywiście kamera, jakich używano do produkcji filmów fabularnych. Dwóch ludzi Kauna było zajętych przykręcaniem jej do stabilnego statywu.

- Ciekawe - powiedział.

- A nie mówiłam, że chcą kręcić film? Stephen powoli potrząsnął głową.

- Nie wierzę. Nie mogę uwierzyć, że Johngis Khan przyjechałby tu, gdyby chodziło tylko o nakręcenie filmu o archeologicznych wykopaliskach.

Sam zaczynał coraz bardziej wątpić czy wie, co tu się dzieje. Gdy spoglądał na leżący naprzeciw sektor

czternasty, na pięć czerwono połyskujących w wieczornym słońcu kontenerów mieszkalnych i tłoczących się tam ludzi w kombinezonach ze znakiem N.E.W., o twarzach osobiwie pozbawionych wyrazu, miał uczucie, że go z czegoś wyłączono, wypchnięto poza margines wydarzeń. To, co działo się naprzeciw, wyglądało prawie jak scena z filmu opowiadającego o dokonaniu jakiegoś epokowego odkrycia - znalezieniu istoty pozaziemskiej, człowieka pierwotnego - wtedy „naukowcy” zjawiali się jak szarańcza, wszystko ryglowali, budowali ogrodzenia i zadaszzenia, i wszędzie ustawiali aparaturę pomiarową.

Jeszcze raz przebiegł myślą przez wydarzenia, które rozegrały się na jego oczach. Wczorajszy dzień. Znaleźisko. Jego własne wytłumaczenie. Kiedy teraz się nad tym zastanawiał, nie było to już dla niego takie jasne. Coś tu się nie zgadza. To, co się dzieje, nie pasuje do jego teorii. Może to całkiem dobrze, że dziś wieczorem jeszcze raz to przemyśli, opowiadając wszystko Judith i jej bratu.

Sąsiad w samolocie rozpoznał go, gdy lecieli nad Alpami.

- Przepraszam, ale czy nie jest pan czasem pisarzem, Peterem Eisenhardtem? - powiedział owo rozkoszne zdanie, które w uszach wszystkich niezbyt znanych pisarzy brzmi cudownie jak imiona własnych dzieci.

- Tak - potwierdził Peter Eisenhardt - to ja.

- Czytałem kilka pańskich książek - powiedział mężczyzna i wymienił tytuły dwóch powieści, obie niestety napisane przez innych autorów.

- Bardzo mi się podobały, naprawdę. Eisenhardt uśmiechnął się boleśnie.

- Miło słyszeć.

Mężczyzna przedstawił się jako Uri Liebermann, dziennikarz, niemiecki korespondent kilku izraelskich gazet. Mieszka w Bonn, ale raz na miesiąc jeździ do domu zobaczyć się z żoną i dziećmi, nie dającymi się przekonać do wyjazdu za granicę.

- A pan, po co pan jedzie do Izraela? - dopytywał się. - Ma pan tam spotkania autorskie? Czy na wakacje?

Peter Eisenhardt zaprzeczył. Nie, to nie są spotkania autorskie, a na wakacje nie jechałby bez rodziny.

- Ach - wywnioskował żywotny korespondent, na oko lekko po czterdziestce, próbujący zrekompensować coraz wyższe czoło charakterystycznym, wręcz pruskim wąsikiem na górnej wardze - zatem przygotowuje pan następną książkę?

- Mniej więcej - dał za wygraną Eisenhardt.

- Czy to znaczy, że akcja następnej powieści rozgrywa się w Izraelu?

- To możliwe. - Oczywiście, gruby notatnik był pierwszą rzeczą, jaką spakował, jak zawsze, gdy udawał się w podróż. Był w jego mózgu taki obszar, jakby niezależny od niego, który bezustannie czujnie rozglądał się w poszukiwaniu niezwykłych miejsc, nieznanymi zwrotów, ciekawych ludzi i zdarzeń, i domagał się zapisywania tych obserwacji na papierze, by potem użyć ich w powieściach. Dlatego nie można było wykluczyć takiej ewentualności.

- Wspaniale, wspaniale - ucieszył się dziennikarz i zaczął grzebać w swoim podręcznym bagażu. - Proszę powiedzieć, mogę zrobić panu zdjęcie? Chciałbym zamieścić niewielką wiadomość w jednej z gazet, dla których pracuję; coś w stylu: „znany niemiecki pisarz Peter Eisenhardt podróżuje obecnie po Izraelu”. Myślę, to znaczy, to przecież dla pana też korzystne?

- Proszę bardzo.

W ten sposób Peter Eisenhardt zgodził się na zrobienie sobie zdjęcia, następnie uśmiechnął się tak zniewalająco, jak tylko potrafił i po trzecim błysku Uri Liebermann wreszcie był zadowolony. Z dumą zademonstrował aparat, nowiuteńki model z płaskim ekranikiem na tylnej ścianie, na którym można było zobaczyć zrobione zdjęcie w prawie oryginalnej wielkości, nim zostało zapisane na dysku optycznym w aparacie.

- W pełni cyfrowy - wyjaśnił. - A widzi pan tu, z boku? Tutaj wtyka się kabel i można przerzucić zdjęcia prosto na zwykłego PC-ta. To fantastyczne, co dziś jest możliwe, prawda? A najlepsze dopiero panu pokażę.

Wyjął płaskie urządzenie, przypominające telefon komórkowy, jednak ku zaskoczeniu Eisenhardta otworzył je jak książkę wzdłuż dłuższej krawędzi i trzymał teraz w dłoni komputer, malutki, ale kompletny: z drobnymi klawiszami i wąskim ekranem ciekłokrystalicznym.

- Teraz musimy stać się malutki i niepozorni, bo niezbyt tu lubią, kiedy włącza się w samolocie te gadżety. Ale po prostu muszę to panu pokazać. Napiszę tu moją notatkę, wprawdzie trochę to niewygodne, ale nie jest tak źle

— palce jakby mi schudły, odkąd mam ten drobiazg, niezwykle, prawda? Więc piszemy - „Znany niemiecki powieściopisarz odwiedza Izrael”. To tytuł. Teraz trochę blabla; na moje oko nie upchnę więcej niż dziesięć do dwunastu -linijek, ale razem ze zdjęciem... - wydawało się, że oblicza już w myślach honorarium. W skupieniu wystukał krótki tekst; Eisenhardt zerkał mu przez ramię, ale dziennikarz używał hebrajskiego edytora tekstu, więc nie był w stanie nic przeczytać. Wyglądało na to,

że Liebermann doskonale opanował pisanie liter hebrajskiego alfabetu na łańciskiej klawiaturze, pisarz zafascynowany obserwował rosnące od prawej ku lewej linijki tekstu, odwrotnie, niż był przyzwyczajony. - Tak - powiedział w końcu. - Teraz; dołączmy zdjęcie... - Z torby na ramię, w której najwidoczniej miał wszystko, wyjął niewielki kabelek, podłączył go do aparatu fotograficznego, wcisnął na nim parę przycisków, potem kilka klawiszy na swoim telefonokomputerze, poczekał moment i zadowolony wyjął kabel. - Gotowe. Normalnie mógłbym to teraz od ręki wysłać, prosto na komputer w redakcji, ale z samolotu oczywiście nie mogę; jeszcze byśmy spadli albo przez pomyłkę wylądowali w Libii, ha ha! Pójdę spytać stewardessy, czy mogę użyć telefonu pokładowego, przeważnie nie robią z tym problemu. Na razie...

Eisenhardt osłupiały patrzył za nim, jak trzymając w dłoni inny kabel oraz swojego PC-ta maszeruje na przód samolotu i za zasłoną pokładowej kuchni zaczyna przekonywać jedną ze stewardess. Potem oboje znikli i przez jakiś czas nic się nie działo.

Eisenhardt wyjrzał przez okienko. Przesuwały się za nim strzępy chmur. Tam w dole, czy to Toskania? Czy dopiero dolina Padu? Zielono-brązowa mozaika pól, między nimi, niczym pajęczna sieć, płatanina ulic i szos. I migoczące ciemno morze.

Uri Liebermann wrócił, szczerząc zęby.

- No, nie mówiłem? Udało się. Jeśli dopisze nam szczęście, zaraz po wylądowaniu zobaczy pan swoje zdjęcie w gazecie... Nie, przesadzam. Będzie w wieczornym wydaniu. Kiedy przyjedzie pan do hotelu, niech pan tam przejrzy hebrajskie gazety.

- Pan żartuje.

- Ależ skąd, poważnie! W porządku, normalnie nie spieszyłbym się z taką wiadomością. Jasne. Ale kiedy jest jakieś dramatyczne wydarzenie, na przykład jakiś minister w Bonn wyrazi się źle o Izraelu - piszę wtedy od razu na mojej małej magicznej skrzyneczce, wciskam guzik i przy optymalnym układzie cztery godziny później gazeta z moim doniesieniem leży już w kioskach w Izraelu.

- Po czterech godzinach?

- Czterech. Do tego mówimy tutaj o całkiem normalnej informacji. Kiedy dzieje się coś naprawdę ważnego, odbywa się to jeszcze szybciej.

- Niesamowite. - Eisenhardt był naprawdę pod wrażeniem.

- Niech się pan sam przekona.

- Na pewno. Nawet jeśli całe to zamieszanie wydaje mi S1?, prawdę mówiąc, mocno przesadzone.

Liebermann zaśmiał się.

- Witamy w Izraelu! Może mi pan wierzyć, Izraelczycy są kompletnie *meshuga* w kwestii wiadomości. Bez przerwy słuchają radia, codziennie wieczorem oglądają dzienniki w telewizji, najczęściej jeszcze i w jordańskiej, egipskiej i syryjskiej, do tego trzy razy dziennie czytają gazetę. I to nie tylko Żydzi, Palestyńczycy dokładnie tak samo. Rozmawiają stale o złych wiadomościach, podniecają się nimi, nieraz dostają od tego wręcz zawału serca. To prawdziwe maniactwo; nie może pan sobie wyobrazić. To właśnie Izrael!

A więc to jest Izrael. Lotnisko Davida Ben-Guriona na pierwszy rzut oka wyglądało jak każde inne lotnisko na wybrzeżu Morza Śródziemnego: duże, zalane jasnym światłem, gorące i zatłoczone. Na drugi rzut oka Eisenhardt zauważył napisy, wszystkie w trzech językach, po hebrajsku, angielsku i arabsku, oraz żołnierzy, wszędzie było ich pełno, trzymających ręce w gotowości na przewieszonych przez ramię pistoletach maszynowych. Liebermann gdzieś zniknął i Eisenhardt pozwolił się unieść strumieniowi ludzi, poprzez szarpiące nerwy szczegółowe kontrole, które w jego walizce pozostawiły absolutny chaos, wreszcie na zewnątrz hali lotniskowej, pod bezchmurne niebo Tel Awiwu. Za odgradzającymi siatkami cisnęli się ludzie, studiujący każdą twarz w pełnym napięcia oczekiwaniu. Czasem rozlegały się okrzyki, wtedy oczekujący i przybysze padali sobie w ramiona nad drutem siatki, słyhać było *Shalom* albo *Salam aleikum*, śmiechy i szloch. Eisenhardt czuł się nieco zagubiony.

Wreszcie zauważył tekturowy szyld trzymany nad głowami oczekujących przez kogoś stojącego z tyłu, było na nim jego nazwisko, choć pozbawione kończącego je d-t: tylko Eisenhart. Podszedł tam. Człowiek trzymający tablicę był pomarszczonym staruszką, ubranym w znoszone szare spodnie o kroju modnym w latach 60., do tego w niewymownie szkaradną kolorową koszulę z rzucającymi się w oczy plamami potu pod pachami.

Gdy Eisenhardt się przedstawił, człowiek ten skinął głową, nie przejawiając specjalnego zainteresowania, wymamrotał swoje nazwisko, niezrozumiale dla pisarza, po czym wyjaśnił, że polecono mu przywieźć gościa do Mister Kauna. Jego niemiecki miał twardy akcent o wschodnioeuropejskim brzmieniu.

Eisenhardt poszedł za nim przez lotniskowy parking do taksówki. Na desce rozdzielczej zauważył naklejkę z polską flagą.

- Pan przyjechał z Polski? - spytał Eisenhardt, gdy krążyli szerokimi drogami przez pustynny krajobraz, pozostawiając za sobą lotnisko.

- Tak. Z Krakowa. Ale już dawno.
 - Mówi pan dobrze po niemiecku.
- Oblicze taksówkarza pozostało niewzruszone.
- Nauczyłem się w obozie koncentracyjnym. Eisenhardt skrępowany przełknął ślinę i do głowy nie przyszło mu nic, co mógłby na to odpowiedzieć. Wyglądał przez okno. To więc jest Izrael.

5

Po zdjęciu wspomnianej wyżej warstwy stropowej o grubości 2 m wyznaczono poziom +/- 0,0 m. Na tym poziomie podzielono obszar stanowiska na siatkę wykopów o wym. 5x5 m pozostawiając świadki o szerokości 1 m, zorientowane wg osi północ-południe (patrz rys. II.29).

W części północnej, w pierwszym etapie badań eksplorację prowadzono pomiędzy F.20 a F. 13 (pole GL, rys. II.30 - patrz też zdjęcia w załączniku II). W przekroju między F.20 a F.19 widoczny jest przebiegający w kierunku wschód-zachód fragment muru wykonanego z ociosanych kamieni, który wydaje się być murem granicznym cmentarza (w).

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Stephen i Judith wolnym krokiem szli między namiotami w kierunku leżącego poniżej parkingu. Właśnie wtedy taksówka zatrzymała się przy kontenerach, zaś małe białe Mitsubishi brata Judith nadjeżdżało, podskakując na wybojach żalostnej szutrowej drogi. Yehoshuah kiwał do nich przez przednią szybę.

- Punktualny, że można by według niego regulować zegarek - stwierdziła Judith. - Nie mam pojęcia, jak mu się to zawsze udaje.

- Hm - mruknął Stephen. Z taksówki wysiadło dwóch ludzi, bladego mężczyzna około czterdziestki, z niewielkim brzuszkiem i przerzedzonymi włosami, rozglądający się bezradnie, jakby nie bardzo wiedział, dokąd trafił, oraz kierowca, przygarbiony staruszek, z trudem wydobywający z bagażnika walizkę i torbę na ramię. Wyglądało na to, że przybysz jest kimś wyjątkowym, ponieważ pojawili się zaraz zarówno profesor Wilford-Smith, jak i John Kaun, szli mu naprzeciw, by go przywitać.

Yehoshuah zahamował ze zgrzytem tuż obok nich, wyskoczył z samochodu i podał Stephenowi rękę przez zakurzony dach wozu. Był wysokim, niezgrabnym mężczyzną o kręconych, ciemnych włosach typowych dla *Sabras*, Żydów urodzonych w Izraelu.

- Miło cię znów widzieć. No, i jak? Zaaklimatyzowany? Jak słyszę, dokonałeś już pierwszego godnego uwagi znaleziska.

- Tak - odpowiedział Stephen roztargnionym głosem i ruchem głowy wskazał stojącą po drugiej stronie taksówkę. - Powiedz, wiesz, kto to jest?

Yehoshuah zaczął się gapić we wskazany kierunek z niemal krępującym, ostentacyjnym brakiem dyskrecji. Nie nadawał się na detektywa.

- Nie, nie mam pojęcia. Czemu pytasz?

- Znam skądś tę twarz. Nie mogę sobie tylko przypomnieć, skąd.

Judith przyjrzała mu się badawczo, lecz nic nie powiedziała.

- Okay - powiedział Stephen. - Może jeszcze sobie przypomnę. Jedźmy.

Wsiedli, Judith na tylne siedzenie. Yehoshuah zapalił silnik i włączył radio, rozległ się głos spikera czytającego po hebrajsku coś, co brzmiało jak wiadomości. Stephen jeszcze raz spojrzał na ubranego w wybitnie źle skrojony garnitur obcego mężczyznę, uważnie kiwającego głową i przysłuchującego się profesorowi Wilfordowi-Smithowi, który ze swoją typowo po brytyjsku oszczędną gestykulacją coś mu tłumaczył. Znał tego człowieka, widział już gdzieś tę twarz, ale gdzie? Zwykle mógł polegać na swej pamięci do osób i irytowało go, że tym razem go zawiodła. Nigdy go osobiście nie spotkał, to z pewnością by pamiętał. Widział gdzieś zdjęcie tej twarzy. Wszystko jedno, pomyślał, gdy samochód zaczął się powoli toczyć. Przypomni sobie kiedyś, jeżeli to okaże się ważne.

Peter Eisenhardt przytakiwał wszystkiemu, co tłumaczył mu profesor swoim zasobnym angielskim brytyjskiej klasy wyższej, brzmiącym wyniośle i zarozumiale. Niektórych zwrotów nie rozumiał zbyt dobrze, jego angielski mocno „zardzewiał”, dawno go nie używał. Zatem trafił na wykopaliska. Dlatego wszystko tu sprawia tak tymczasowe i nieporządne wrażenie. W pierwszej chwili Eisenhardtowi przyszło na myśl, że to obóz treningowy jakichś rebeliantów, potem, że znalazł się na planie filmowym.

Podróż była niezwykle irytująca. Jechali właśnie drogą z Tel Awiwu do Jerozolimy, gdy kierowca znienacka, na niemal niewidocznym rozjeździe, w chwili, gdy tuż za nimi niecierpliwie próbował precyzyjnie się sportowy wóz, a sąsiednim pasem nadjeżdżała z naprzeciwka cysterna, skręcił w szutrową drogę o nawierzchni w katastrofalnym stanie, ciągnącą się kilometrami, jakby prowadziła donikąd. Gdy tak podskakując na wybojach toczyli się naprzód i staruszek mamrotał do siebie po polsku coś, co brzmiało jak przekleństwo i złorzeczenia, w wyobraźni Eisenhardta rodziły się najdziksze fantazje. O złoczyńcach, trudniących się rozbojem na drogach rabusiach i wyskakujących z krzaków złodziejach, o dybiącej na niego zmowie spiskowców, i nagle oblał się gorącym potem na myśl, że nikomu nie zostawił żadnego adresu, po prostu dlatego, że nikt nie umiał mu powiedzieć, gdzie właściwie w Izraelu będzie go oczekiwał ten legendarny John Kaun. Oczywiście wyobraźni widział już siebie leżącego w przydrożnym rowie, zamordowanego i ograbionego, może jeszcze z odrąbaną prawą dłonią, gdyż w którejś ze swoich książek przez nieuwagę napisał coś, co zostało przez jakąś fanatyczną

wspólnotę religijną uznane za złośliwe znieważenie jej boga. Uri Liebermann przyjechałby wtedy w pośpiechu, włączył swoją poręczną kombinację PC-ta z telefonem komórkowym i szybko napisałby kolejną sensacyjną wiadomość. Która prawdopodobnie ukazałaby się już w porannym wydaniu gazety. Później, gdy szosa została już daleko w tyle za nimi, a wokół ciągnęły się tylko płaskie, usiane kamieniami wzgórza, pogodził się nareszcie ze swoim losem, odważył się znów oddychać i opuścił spięte ramiona. Właściwie, gdy się lepiej Przyjrzeć, starszek kierowca wcale nie wyglądał na fanatyka. Raczej chyba zastanawiał się, jak jego taksówka przetrwa jazdę po tej dziurawej drodze.

Potem skręcili jeszcze raz i podjechali do obozu, gdzie namioty i pojazdy skąpane w promieniach zachodzącego słońca rzuciły długie i osobliwe cienie.

Akurat, gdy profesor opowiadał o kopaczach i ich znaczeniu dla archeologii w Izraelu, dwoje młodych, chłopak i dziewczyna, wsiadało do białego samochodu, który w pewnym momencie pojawił się za taksówką i w miarę jazdy doganiał ją coraz bliżej. Co oczywiście, ponownie podgrzało wyobraźnię pisarza. Gdy odjeżdżali, młody człowiek z wyraźnym zaciekawieniem przyglądał się Eisenhardtowi.

- Przy wszystkich swoich naukowych zainteresowaniach i całym zaangażowaniu - skomentował białowłosy archeolog - pozostają młodymi ludźmi. Założę się, że jadą do Tel Awiwu do jakiejś dyskoteki. Pisarz skinął głową ze zrozumieniem. Mimo że zbliżał się już do czterdziestki, wciąż jeszcze czuł się nieswojo, gdy mówiono przy nim o innych „młodzi ludzie” takim tonem, jakby on sam już nie zaliczał się do tej kategorii.

John Kaun, który po przywitaniu wycofał się na chwilę, by *sotto voce* poinstruować jednego z pracowników, zbliżał się znowu do nich, pchając przed sobą swą pewność siebie jak statek falę dziobową. Nie ulega wątpliwości, to nie jest człowiek, który potrafiłby stać z boku i tylko się przysłuchiwać. Do kogokolwiek by się zwrócił, ów musiał zaakceptować go jako centralny punkt, narzucający tok rozmowy, inaczej natychmiast zyskiwał sobie wroga. Potężnego i niebezpiecznego. Zachowanie medialnego magnata było nie tylko przesyczone pewnością siebie, lecz również agresywne, ujawniało nieomylnie, że ten człowiek chce podbić świat, więcej, że on go *na pewno* podbije. Eisenhardt z niespodziewaną jasnością zrozumiał co znaczy pojęcie „instykt zabójcy”, które dotąd widywał tylko w książkach. Ten człowiek posiadał instykt zabójcy. Nawet uprzedzająco grzeczne manieri, jakie wykazywał względem Eisenhardta, sprawiały wrażenie wyrachowanych; były równocześnie subtelnym sygnałem, że pisarz powinien wykazywać identycznie dobrą wolę, gdyż Kaun jest w stanie z dokładnie tym samym wyrachowaniem rozgnieść go na miazgę, jeśli okaże się to konieczne albo z jakiegoś względu korzystne.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pan, iż jeszcze nie czytałem żadnej pańskiej książki - oznajmił z uśmiechem, w którym nie uczestniczyły jego niewzruszone oczy. - Niestety, nie mówię po niemiecku. Kazałem sobie jednak opowiedzieć ich treść. Brzmiało to bardzo interesująco.

I ku zmieszaniu Eisenhardta przewodniczący zarządu zwięźle i trafnie streścił wszystkie jego powieści, lepiej, niż potrafiłby to zrobić on sam.

- Naprawdę szkoda, że nie mogę ich przeczytać - zakończył. - Gdy skończy się ta przygoda tutaj - mam nadzieję, że z sukcesem - zaproponuję wydawnictwu wydanie ich po angielsku, co pan o tym myśli?

- Och - Eisenhardt był w stanie tylko złapać powietrze. - Myślę... to byłoby wspaniale. - To się nazywa interesujące perspektywy! Podświadomie rozumiał wprawdzie, że ten człowiek mógł to powiedzieć tylko po to, by zachęcić go do maksymalnego zaangażowania w pracę, cokolwiek by to miało być... Ale, na Boga, osiągnął swój cel!

- Spodziewam się - kontynuował Kaun - że od chwili, gdy zadzwoniła do pana moja sekretarka, zadaje pan sobie pytanie, po co się pan tutaj znalazł i czego od pana oczekuję.

Eisenhardt skinął głową.

- To prawda.

- Nie chcę dłużej męczyć pana niepewnością. Musiałem to robić dotąd, gdyż mamy do czynienia ze sprawą wymagającą chwilowo zachowania absolutnej dyskrecji. Moja sekretarka sama nie wie, w czym rzecz. - Na jego wąskich ustach pojawił się uśmiezek godny rekina.

- Rozumiem. - Minęły wieki, odkąd zdarzyło mu się ostatnio rozmawiać po angielsku. Na szczęście nieźle rozumiał amerykański dialekt i na razie nie zanosilo się na to, by oczekiwano tu od niego wygłaszania długich tyrad.

- Potrzebny mi jest, mówiąc bez ogródek, pisarz science fiction. A właściwie umysł science fiction. A ponieważ jest Pan jednym z najlepszych w tej dziedzinie, wybór był prosty. Niezmiernie się cieszę, że był pan w stanie przyjechać.

Peter Eisenhardt przyoblekł twarz w szydery uśmiech. Zabrzmiało to nieco zbyt pompatycznie i ujawniało niezbitcie, że Kaun nie ma najmniejszego pojęcia o literaturze science fiction.

- Widzi pan, jestem człowiekiem interesu, kupcem. Księgowym właściwie. Lecz, nie przechwalając się, nie byłbym dziś tym, kim jestem, gdybym nie miał pewnego talentu do interesów. Sprawy mają się jednak tak, że człowiek interesu czerpie korzyści z posiadanego przez siebie silnego poczucia

rzeczywistości, nadmiar wyobraźni zaś mógłby być dla niego wręcz niebezpieczny - widziałby szanse powodzenia tam, gdzie ich nie ma, przedstawiałby sobie ryzyko większe, niż faktycznie jest - mówiąc krótko, dobry businessman to raczej dość nudny gość. Widać to po mnie, prawda? Pisarz natomiast to zupełne przeciwieństwo, zwłaszcza, gdy pisze science fiction. Gdyby posiadał poczucie rzeczywistości, prawdopodobnie w ogóle nie zacząłby pisać, gdyż szanse na to, że kiedykolwiek uda mu się coś wydać, są mniejsze od prawdopodobieństwa, że ktoś w piekle zdoła ulepić śniegową kulę. Za to musi być gigantem w dziedzinie wyobraźni, artystą, prawdziwym twórcą: trzeba, by poruszał się po królestwie niepodobieństwa, niedorzeczności, absurdu jak po własnym domu, jego myśl musi konsekwentnie podążać najbardziej niewiarygodnymi ścieżkami, w razie potrzeby łamać wszelkie reguły, nic nie może być dla niego niemożliwe.

Przyjrzał się wnikliwie Eisenhardtowi.

- Potrzebny mi tutaj właśnie ktoś taki. A to dlatego, że profesor Wilford-Smith odkrył przedwczoraj rzecz tak niebywałą, że, gdy dłużej o niej myślę, zwoje mózgu supłają mi się i płaczą.

Podczas jazdy Yehoshuah był całkowicie zrelaksowany, wtórował piosenkom dobiegającym z radia, brzmiącym w uszach Stephena jak amerykański rock'n'roll zmieszany z melodiami orientальnymi, i raz po raz powtarzał:

- Jerozolima jest dobra, żeby się modlić, a Hajfa, żeby pracować. Za to w Tel Awiwie można żyć.

Jego dobry humor był zaraźliwy. Stephen z przyjemnością rozparł się na siedzeniu i zanurzył w strumieniu napływających wrażeń, poddał wieczornemu nastrojowi krajobrazu niewysokiej sylwetce miasta, rysującej się na tle stojącego już nisko nad taflą morza słońca niby wycięty nożyczkami ciemny kontur. Klaksonem torowali sobie drogę do centrum wśród niezliczonych innych pojazdów, gestykując przez opuszczone samochodowe okna, gdy nie dało się jechać dalej przeciskali się przez przecznice i wąskie uliczki. Stephen rozglądał się wokół, niemal skręcając sobie kark; widział stłoczone bezładnie, brudnobrązowe domy, jakie buduje się tylko w gorącym klimacie, zwieńczone płaskimi dachami bądź tarasami, na których wiatr wydymał rozwieszane na sznurach pranie, albo, jak symbole nowoczesności, wystawiały się na słońce baterie słoneczne, przypominające źle ustawione czarne leżaki, nad tym wszystkim zaś rozrastał się wybujały las telewizyjnych anten, których ramiona sterczały na wszystkie strony świata. Widział na pół ukończone garaże, pełne materiałów budowlanych albo zawalone porzeczonym złomem i samochody stojące na jałowej, piaszczystej bezpańskiej ziemi, między zwirowym poboczem szosy, kalekimi palmami daktylowymi a wyznaczającym następną posiadłość ogrodzeniem z drucianej siatki. Odkąd po wylądowaniu w Tel Awiwie Yehoshuah zawiózł go na wykopaliska, Stephen nie był tutaj, wówczas zaś nowych wrażeń było zbyt wiele, by mógł coś z nich zapamiętać.

- Przejdźmy się bulwarem Dizengoff- zaproponował Yehoshuah. - Potem pójdziemy do starego portu; kazałem zarezerwować stolik w bajecznej restauracji rybnej. Stephen, lubisz ryby?

- Jem wszystko - odpowiedział Stephen. - Pod warunkiem, że mi smakuje.

Znaleźli wolne miejsce parkingowe na skraju drogi i wyruszyli na spacer, z każdym krokiem zdawali się głębiej wkraczać w przedmieścia zmysłowości, w rozedrgane pole siłowe łączącej radości życia. Wszędzie obecny był zapach Jaśminu i tropikalnej rośliny bougainvillea, które bujnie rozstały się na niezabudowanych działkach, tu i ówdzie szczybiących się między rzędami domów, niczym szpary po wybitych ze szczęki zębach. Pachniało spalinami i kwiatami potańczy, rozchodził się ostry odór benzyny, przez który przebijała słono-wilgotna woń morza; jego gorący oddech pełził ulicami miasta, obezwładniając i dusząc, wróżąc przepocone koszule i bezsenność.

Im bardziej zbliżali się do centrum, tym dziwniejsza stawała się mieszanina stylów budowlanych. Niskie wille sprawiające wrażenie, jakby przeniesiono je tutaj prosto z Wiednia albo z Salzburga, ginęły w cieniu chełpliwych wieżowców, otoczonych przez wielopiętrowe, przeżarte morską solą posesje w stylu Bauhausu. Pobocza ulic okalały palmy albo intensywnie pachnące drzewa eukaliptusowe - i ludzie. Ludzie, jak okiem sięgnąć. Ubrani elegancko lub z nowomodną niedbałością paradowali po bulwarach tam i z powrotem, siedzieli w ulicznych kafejkach i barach, których zdawały się być tysiące, lub po prostu z puszkami piwa w dłoni opierali się o błotniki zaparkowanych samochodów, mówili jeden przez drugiego, gestykulowali, flirtowali, czytali gazety lub zwyczajnie tylko gapili się przed siebie. Yehoshuah, Judith i Stephen pozwolili nieść się tłumowi, mijali jasno oświetlone wystawy, na których reklamowano konfekcję zgodną z amerykańską modą i wyświetlano szybko zmieniające się obrazy migotliwych wideoklipów, slalomem przechodzili obok stolików, na których grano w tryktraka, a Stephen nie mógł powstrzymać śmiechu, gdy odkrył restaurację należącą do sieci barów szybkiej obsługi o nazwie „MacDavid”. Udało im się dotrzeć do plaży, poszli spacerem nadmorską promenadą wsłuchując się w staccato drewnianych rakiety, używanych przy bardzo popularnej grze w piłkę, oraz w szum fal i w niezrozumiałe, nerwowym brzmieniem dobiegające z głośników komunikaty ratowników. W plażowej kawiarence wypili cappuccino i zjedli arbuza ze słonym kozim serem, i Yehoshuah opowiedział Judith, jak poznał Stephena.

- Najpierw był tylko imieniem w podpisie pod wiadomością na Usenecie. Nawet nie imieniem, tylko adresem ema-ilowym. Coś w stylu *stephen-śmieszny okrągły znaczek-MRT-kropka-Maine-kropka-COM*.

- A ty byłeś *ymenez-śmieszny okrągły znaczek-Rockfett-kropka-IL-kropka-EDU* - zaśmiał się Stephen. Judith zmarszczyła brwi.

- Co to jest Usenet?

Och! Hej! Witamy w dwudziestym wieku, kochana siostrzyczko. Słyszałaś kiedyś o Internecie? Chodzi o to, że można swój domowy komputer przez modem i telefoniczne gniazdko połączyć z siecią milionów innych komputerów. Gdzieś w tej sieci - i najlepsze, że nie trzeba wiedzieć, gdzie - jest Oó w rodzaju tablicy ogłoszeń, tysiące tablic, każda na inny temat. Można tam czytać informacje zostawione przez innych, a w razie potrzeby dorzucić swój kamyczek. A żeby to lepiej brzmiało, nazywa się taką tablicę *Usenet Forum*. Nasza zajmuje się archeologią. Napisałem coś o pracach u nas w Instytucie Rockefellera, a Stephen odpisał mi i zapytał, czy to prawda, że można uczestniczyć w wykopaliskach jako kopacz. I co, Stephen, już żałujesz?

Stephenowi wydawało się, że Judith szczególnie uważnie obserwuje jego reakcję na to pytanie. Czy to może mieć jakieś znaczenie? Zresztą, może to tylko jego pobożne życzenie.

- Czego miałbym żałować? To był punkt zwrotny w moim życiu.

Yehoshuah pochylał się ku Judith. Gestykulując, skupił na sobie jej uwagę.

- Na początku było tylko imię, kilka śmiesznych znaczków na monitorze. Wirtualne, jak gra komputerowa. W porządku, prowadziliśmy dyskusję - lecz któż może wiedzieć z kim. Równie dobrze mógł to być sprytny program z jakiegoś laboratorium, tylko udający człowieka. Ale potem przyszedł list, z amerykańskim znaczkami, ostemplowany w Maine, USA. Stopniowo zacząłem wierzyć, że on istnieje naprawdę, jako realna osoba. A pewnego dnia zadzwonił! Szok! Imię z komputera mówiło do mnie, tak po prostu, prawdziwym głosem, amerykańskim angielskim. Podał datę, godzinę, numer lotu! Całkiem szczerze - do końca uwierzyłem we wszystko dopiero, gdy stanął przede mną ze swoim marynarskim workiem.

Stephen uśmiechnął się. Nie mieli wtedy za dużo czasu; Yehoshuah zawiózł go prosto do obozu, a następnego dnia rano rozpoczęły się wykopaliska.

~ Wy, mężczyźni i wasze komputery - skwitowała krótko Udith i odwróciła się w stronę człowieka przy sąsiednim l^oliku, który rozpostarł wielką płachtę gazety tak szeroko, że jeden z narożników stale furkotał jej tuż przed lewym okiem i rzuciła mu po hebrajsku kilka trzaskających zdań, aż zbity z tropu poszukał sobie innego miejsca, razem ze swoją gazetą.

Później wrócili na bulwar, szli dalej w kierunku południowym, zanurzając się w coraz bardziej orientalny nastrój. Owionął ich zapach kebabu i prażonych orzechów, osnuły pełne melancholii melodie, dobiegające z małych, tanich tranzystorów w ciasnych, mrocznych spelunkach. Wreszcie, gdy było już całkiem ciemno i widok jaskrawych świetlnych reklam przywiódł Stephenowi na myśl Las Vegas, dotarli do portu - „Stephen, wiedziałeś, że Jaffa to najstarsze handlowe miasto świata? Zbudował je król Salomon, naprawdę!”

- i do restauracji, wybranej przez Yehoshuah. Musieli poczekać chwilę, aż zwolnią się ich miejsca i kelner uprzątnie brudne talerze i świeżo nakryje stół, potem mogli wreszcie usiąść i wręczono im jadłospisy, z namaszczeniem, niczym cenne dyplomy. Powietrze było tak gęste, że dałoby się je ciąć nożem, do tego poziom hałasu generowanego przez siedzących gęsto, jeden przy drugim gości, po prostu ogłuszał.

- Wygląda na dość popularną - skwitował Stephen.

- Co mówisz?

- Powiedziałem, że to chyba dość popularne miejsce

- powtórzył, podnosząc głos.

- Tak - skinał głową Yehoshuah. - Trzeba rezerwować cztery dni wcześniej.

Złożyli zamówienie u kelnera, który, choć ubrany w coś w rodzaju fraka, sprawiał jednak niezbyt uprzejme wrażenie, jakby próbował ich ponaglać i niemal nie mógł doczekać się, aż wreszcie wypowiedzą wszystkie swoje życzenia i będzie mógł popędzić dalej. Podeszła do nich młoda kobieta, też z widocznym pośpiechem, i nieskoordynowanymi ruchami podała im aperitif, trzy duże sherry. Judith nieustannie drażyła temat znaleziska, przypominając, że obiecał wyjawić tajemnicę dzisiejszego wieczoru, aż Stephen wreszcie dał za wygraną i zaczął opowiadać, mimo że okoliczności wydawały mu się nader niesprzyjające.

- W sektorze czternastym znajdowała się nekropolia osady) cmentarz - wyjaśnił zwracając się do Yehoshui, który wprawdzie miał już wielokrotnie do czynienia z profesorem Wilford-Srnithem, lecz nie znał szczegółów dotyczących obecnych wykopalisk. _ Wykazały to już zdjęcia satelitarne. Było więc jasne, że spotkamy tam dużą liczbę grobów. Każdy kopacz miał zajmować się jednym grobem, mój był ostatni w rzędzie, poza tym znajdował się w oddzielnym wykopie. Siedziałem więc sam w mojej dziurze, słyszałem innych, jak po drugiej stronie wału rozmawiają, śmieją się i dobrze bawią, pędzelkowałem

kości, powoli wyłaniające się z ziemi, po tym, jak usunęliśmy wszystkie kamienie z zawalonego stropu grobowca. To było przedwczoraj około jedenastej. Gdy świat stał jeszcze mocno na nogach.

Rodzeństwo pochyliło się mocno *do przodu*, podobnie jak on, i musiał to być raczej dziwaczny widok - trzy złączone głowy. Stephen łyknął sherry.

- Nie rób takiej sensacji - ponagliła go Judith.

- Wcale nie muszę robić sensacji. To *jest* sensacja. Zniecierpliwilem się i chciałem dłonią odsunąć garść ziemi przy kości lewego ramienia, żeby szybciej się z tym uporać, i wtedy natrafiłem na opór. Boże, prawie je zniszczyłem. Wyposażenie grobowe.

- Och - mruknął Yehoshuah z miną wtajemniczonego. - A co dokładnie?

- Płaski woreczek z kruchej tkaniny, chyba len. Dość dobrze zachowany, obsyty wkóło, może tej wielkości - zarysował palcami rozmiar. - Mniej więcej jak zeszyt.

- No i? - spytała Judith.

- Cóż - kontynuował Stephen. - Zaciekawilo mnie, co jest w środku. Więc go rozciąłem.

- Rozciąłeś go? - Tak.

- Po prostu rozciąłeś?

- Po prostu. Szwajcarskim scyzorykiem. Wzdłuż boku.

- Niepojęte - jęknął Yehoshuah, wytrącony z równowagi

- To przecież najgorsze... To po prostu grzech śmiertelny dla archeologa!

- Co było w środku? - dopytywała się Judith. Stephen sięgnął po swoją szklaneczkę sherry, wychylił resztkę, która była jeszcze w środku, wysunął do przodu wargi, wciągnął je z powrotem, podniósł oczy do sufitu, a potem przeniósł je od jednego do drugiego.

- Nigdy mi nie uwierzycie - powiedział.

6

Cały okres helleńsko-rzymski znajduje odwzorowanie w typowych dla obu tych epok formach naczyń. Naczynia E-1 i E-2 pochodzą z I wieku przed Chr. i I wieku po Chr., przy czym występowanie E-1 datuje się od końca I wieku przed Chr. (LAPP 1961, 190:Typ 72,2; TUSHINGHAM 1985, 56;ig.222;28,29;23:5; 24:7,17,18), zaś E-2 zdawał się występować już od początku tego stulecia.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Szli w kierunku białego namiotu, przodem John Kaun, niczym gospodarz oprowadzający gości po swych włościach. Namiot stał na skraju terenu, wyglądającego jak szachownica kwadratowych wykopów, niektóre z nich były tylko lekko zaznaczone, z innych starannie i głęboko wybrano ziemię. Namiot wzniesiono, jak się zdaje, nad jednym z otworów, przy każdym narożniku rozstawiono wartowników, młodych ludzi uzbrojonych w masywne czarne pistolety maszynowe, rozglądali się wokół twardym spojrzeniem, jakby w każdej chwili spodziewali się ataku wrogiej armii.

Eisenhardt poczuł, że się poci. Nie pojmował, jak przemysłowiec wytrzymuje w granatowej dwurzędowej marynarce, z perfekcyjnie zawiązanym krawatem, spiętym dyskretnie złotą szpilką. Lecz i on nie ustrzegł swoich butów i nogawek przed wszechobecnym żółtym pyłem, nie był więc istotą ^pełnie nadnaturalną.

Profesor, lekko przygarbiony, szedł za nim. Ile może mieć 'at? Na pewno ponad siedemdziesiąt, skoro jego włosy lśniły tak białe. Eisenhardt próbował wyobrazić sobie, jaki może być powód, dla którego ktoś w tym wieku grzebie jeszcze w ziemi w obcych krajach, zamiast siedzieć spokojnie w domu i hodować róże. Doskonale można go było wyobrazić sobie jako hodowcę róż. Miał tego mieszkać na pustyni, od Bóg wie ilu lat, podczas gdy on, Eisenhardt, miał jej już powyżej uszu, choć nie minęło jeszcze nawet pół godziny.

Kaun chwycił płótno namiotu, odchylił je i przytrzymał, żeby Eisenhardt i Wilford-Smith mogli wejść przed nim.

- Ostrożnie - powiedział, gdy pisarz mijał wejście. - Stopnie w dół.

Światło we wnętrzu namiotu było przytłumione, bardziej miękkie. Panowały w nim zabójcza duchota i zaduch. Eisenhardt zatrzymał się, by zyskać orientację. Namiot rzeczywiście postawiono dokładnie nad kwadratowym wykopem, jednym z tych wybranych głęboko. Miał bok o długości około pięciu metrów. Tuż pod jego stopami znajdowało się coś na kształt schodów, utworzonych bezpośrednio w podłożu, z dużymi stopniami nierównej wysokości. W jednym miejscu ktoś umieścił deskę i przygniół ją kamieniami. Eisenhardt zaczął powoli schodzić na położone około dwa metry niżej dno wykopaliska.

Ktoś, prawdopodobnie Kaun, nacisnął włącznik i cztery zamocowane na suficie namiotu lampy, których Eisenhardt do tej pory nie zauważył, zaświeciły się i zalały teren jaskrawo jasnym światłem. Pisarz zatrzymał się i jeszcze raz rozejrzał po wnętrzu. Ile czasu mogło zająć wykopanie tej jednej dziury? A wokół były tuziny takich wykopów.

W ścianach tkwiło wiele dużych kamieni, sprawiając wrażenie, że jedno głośne słowo może spowodować ich zawalenie. Dno było płaskie, udeptane i piaszczyste, w przeciwległym narożniku przykryto coś granatową folią.

Wielka tajemnica.

Znalezisko, od którego zwoje mózgu splątują się w su-
Pty.

Przez krótką chwilę Eisenhardt poczuł, że się boi - dlatego, że jest w obcym kraju, w nieznanym otoczeniu, bo potężny zarządca potężnego koncernu czegoś od niego oczekuje, a on nie ma pojęcia czego, nie mówiąc o tym, czy zdoła sprostać wymaganiom. Strach wziął w posiadanie każdą komórkę jego ciała, cicho, bez dramatu, lecz nieubłaganie, sprawił, że postawienie następnego kroku wymagało ogromnego wysiłku, że nie mógł oderwać wzroku od ścian wykopu, zdających się emitować zagrożenie, wręcz nim promieniować. Strach. Wierny towarzysz. Być może przyczyna, dla której został pisarzem, zamiast przeżywać prawdziwe przygody. Swoje dzieciństwo wspominał jako podniecający, ekstatyczny czas cudów i odkryć. Lecz pewnego dnia pojawił się strach i od tej chwili przestał wychodzić na podwórko, zostawał w domu i zaczął pisać.

Odetchnął głęboko, wczuwając się w swój oddech. Odkrył, że w tej jednej, króciutkiej chwili, gdy kończy się wydech i płuca są puste, strach nie ma do niego dostępu. Zdarzało się, że owa sekunda bywała jego jedynym oknem na realny świat, na świat widziany bez mącającej wzrok trwogi, paniki paraliżującej siatkówkę i nerwowe włókna. Również teraz, w tej krótkiej chwili poczuł, że obok strachu pojawia się tamta dziecinna, pełna podniecenia radość, jakby nie opuściła go nigdy.

- Proszę podejść - powiedział Kaun. Jego oczy skrzyły się obiecująco. - Tutaj. Proszę zdjąć pokrowiec.
- Proszę zachować ostrożność - spokojnie dodał Wilford-Smith.

W zasadzie wykop nie różnił się od dużego pokoju, w którym sufit zastępowała kopuła namiotu. Eisenhardt spełnił żądanie medialnego magnata, chwycił krawędź płachty i unióś ją ostrożnie.

Pod spodem leżał szkielet.

Nie przypominał wyglądem szkieletu z lekcji biologii. Błede kości leżały w nieładzie, krzywo, jakby martwe ciało zostało spłaszczone dużym ciężarem. Eisenhardt pomyślał o warstwach ziemi, które tutaj zdjęto; prawdopodobnie tak właśnie to się odbyło. Kości wydawały się gładkie i porowate; n'e potrafił przemóc się, by ich dotknąć. Lecz, po odłożeniu folii na stronę, przykucnął i zafascynowany wpatrywał się w puste oczodoły dobrze zachowanej czaszki. Zatem to był kiedyś człowiek.

- Jak mówiłem - profesor na swój powolny, uprzejmie iienatrętny sposób powtórzył poprzednie wyjaśnienia - ten grób pochodzi prawie dokładnie sprzed dwóch tysięcy lat. Osadę, na ile to dziś możemy ocenić, opuszczono najpóźniej w roku 90, nie istniała zaś dłużej niż około dwustu lat.

- Rozumiem - skinął głową Eisenhardt, zadając sobie pytanie, w czym też może tkwić ta wielka tajemnica. Znalaziono szkielet, no dobrze, Z takim czymś trzeba się liczyć, jeśli rozkopuje się cmentarze sprzed dwóch tysięcy lat. Mnóstwo nagich kości, dających się mniej więcej prawidłowo przyporządkować anatomicznie, do tego kilka darów grobowych, jak ten płaski, lniiany woreczek przy mostku...

- Właśnie - przytaknął John Kaun.

- Proszę mu się dobrze przyjrzeć.

Eisenhardt przymrużył oczy. Woreczek był prostokątny, nieco większy od dłoni, wyglądał na zrobiony z czegoś w rodzaju płótna, teraz wyschniętego i kruchego. Przez włókna połyskiwało coś jasnego.

Kaun stał nad nim w pozie pełnej oczekiwania, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Wyglądało na to, że rozkosz sprawia mu obserwowanie, jak pisarz błądzi w ciemnościach.

- Proszę otworzyć woreczek - zażądał.

- Otworzyć? - upewnił się Eisenhardt.

- Tak. Jest rozcięty z prawej strony.

Przyglądać się to jedno, ale dotknąć... W muzeach przywykł do powściągliwości, do tego, by powstrzymać chęć dotknięcia czegokolwiek, zwłaszcza, gdy uświadomić sobie, że jakaś rzecz pochodzi sprzed tysięcy lat lub jest wyjątkowo delikatna, często jedno i drugie. Eisenhardt wyciągnął rękę i poczuł dreszcz przenikający go od dotyku tkaniny worka, gdy czubkami palców, raptem nadwrażliwych, poczuł zdrewniałe, drapiące włókna, które ustępowały pod jego dotykiem, zmieniając się w pył. Worek jednak rzeczywiście był rozcięty po prawej stronie, więc najostrożniej jak potrafił, unióś materiał.

Pod spodem zobaczył drugi worek z zadziwiająco gładkiego, mlecznobiałego materiału, przypominającego wyglądem macicę perłową, zaś dotykiem plastik.

- Widział pan kiedyś coś takiego? - zapytał Kaun. Eisenhardt powoli potrząsnął głową.

- Nie sądzę. A powinienem?

Kaun zaśmiał się cicho. Coś w jego głosie drżało, jakby nie mógł już dłużej wytrzymać wewnętrznego napięcia.

- Nie sądzę, by mógł pan kiedykolwiek widzieć coś takiego. Poza tym ten worek również jest otwarty po prawej stronie - proszę zajrzeć do środka!

Dlaczego teraz jego dłoń drży? O co tu chodzi? Palce przesuwają się tak ostrożnie po powierzchni, jakby właśnie zdawał egzamin na złodzieja kieszonkowego. W dotyku przypominało to sztuczne tworzywo. W świetle podsufitowych reflektorów, jaśniejących jaskrawo i gorąco jak słońce, zauważył rzeczywiście otwór, po prawej stronie od góry, wyglądający, jakby rozcięto go nożem. Eisenhardt chwycił luźny narożnik i unióś go bardzo powoli.

Usłyszał, jak profesor nabiera powietrza. Wyczuł, że car mediów wstrzymuje oddech. I wpatrzył się w to, co ukazało się jego oczom. Nie potrafiłby powiedzieć, co spodziewał się tu znaleźć, ale z pewnością nie to. Nie, z całą pewnością. To, co zobaczył, było tak nieoczekiwane, że jego umysł potrzebowałby chyba wieków, by prawidłowo zinterpretować sygnały dostarczone przez oczy.

Mówiąc prościej: nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Była to instrukcja obsługi kamery wideo firmy SONY.

Stephen rozłożył ręce w przepaszającym geście.

- Przykro mi, ale taka właśnie jest prawda. Siedziałem tam jak idiota, gapilem się na nią i czekałem, aż rozplynie się w powietrzu. Aż okaże się, że to fatamorgana, udar słoneczny, czy ja wiem, co? Lecz nie *znikała*. Była tam, realna jak te jadłospisy.

- Instrukcja obsługi? - Judith wpatrywała się w niego, całym obliczem wyrażając niedowierzanie. - Kamery wideo?!

- SONY MR-01 CamCoder. A poniżej US-Version. Wydaje mi się, to znaczy, nie sądzę, żeby to było typowe wyposażenie grobowe w 50 roku naszej ery.

Pojawił się kelner z trzema talerzami. Jego twarz błyszczała od potu i sprawiał wrażenie, że ktoś go goni, w każdym razie dyszał, jakby miał za chwilę paść trupem na miejscu. Troje przyjaciół rozsunęło się, by

mógł podać do stołu, co uczynił, nie odzywając się ani słowem, po czym ponownie zanurkował w chaosie.

- W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś zrobił mi kawał - mówił dalej Stephen, sięgając po nóż i widelec. Zapomniał już nazwę zamówionej potrawy, ale to, co leżało przed nim, wyglądało świetnie i pachniało uwodzicielsko. - Naprawdę, to była moja pierwsza myśl. Mówiłem sobie, podniesiesz teraz głowę i zobaczysz, jak patrzę znad krawędzi wykopu, naśmiewają się i chichoczą, i nie mogą się doczekać, żeby zobaczyć twój ogłupiały wyraz twarzy. Podniosłem więc głowę - ale nie było nikogo.

Yehoshuah wstrząśnięty kręcił głową, obierając rybę i oddzielając mięso od ości, w takim skupieniu, jakby pracował nad archeologicznym zabytkiem.

- I co dalej?

- Przemyślałem to. Naprawdę długo. Zdaje się, że bitą godzinę przesiedziałem w mojej dziurze nic nie robiąc, tylko się zastanawiałem. Ale w końcu nie wymyśliłem nic lepszego, niż powiadomienie profesora - Stephen wziął kęs i spróbował. Smak był równie dobry, jak aromat. Naprawdę godzinę polecenia jest ten lokal. - Jego reakcja wydała mi się dziwna.

- Uhm - mruknął Yehoshuah.

- Długo przyglądał się znalezisku, nic nie mówiąc. Potem po cichu poprosił mnie, żebym na razie nikomu o tym nie opowiadał. „Nikomui”, powtórzył jeszcze dwa razy, poważnie i wnikliwie patrząc mi prosto w oczy. A potem wysłał mnie do Pierre'a, żebym mu pomagał. Pierre'owi, który mówi tylko po francusku. A ja po francusku umiem tylko *Oui* i *Non* i *Voulez-vous coucher avec moi?* To znaczy *jak dojdę do?*

Judith zachichotała. Wyglądało na to, że w takim stopniu i ona opanowała francuski.

- A teraz nam wszystko zdradziłeś. Stephen lekceważąco machnął ręką.

- Ach, jeszcze nigdy mnie nikt tak nie potraktował; on mnie po prostu nie zna. Pomyślcie sami, odsyła mnie, nad wykopem każe postawić namiot, telefonuje, następnego dnia zjawia się główny sponsor wykopalisk, zjeżdża z całym hufcem ludzi jak Attyla z armią Hunów - o co w tym wszystkim chodzi? Czy on myśli, że przestanę się zastanawiać?

- A jak *myślisz*, o co tu chodzi? - spytał Yehoshuah.

- Cóż, jedno jest pewne: umarły, któremu do grobu włożyć instrukcję obsługi kamery, z pewnością nie był Żydem

przełomu epok - wywnioskował Stephen. - Myślę, że zamordowano go niedawno i tam zakopano. Yehoshuah otworzył szeroko oczy.

- O rany. Naprawdę tak myślisz?

- Nie jestem pewny. Ale to mogłoby być wyjaśnienie. Judith w namyśle zmarszczyła brwi.

- Ale dlaczego morderca miałby wkładać ofierze do grobu akurat instrukcję tej kamery?

- Może to decydująca wskazówka. Dowód morderstwa.

- Ale jeśli to dowód, mógł go spalić. Albo zakopać gdzie indziej. Grób ofiary to najgorsze miejsce, jakie mogło mu przyjść do głowy. Przecież właśnie tutaj najbardziej go zdradza. Pomyśl, gdyby nie było przy nim tej instrukcji, każdy wzięłby zwłoki za zwykłe archeologiczne znalezisko. - Za plecami Judith znów ktoś zabierał się do rozłożenia gazety. Tym razem krawędź hebrajskiego dziennika zadrapała ją w tył głowy, ale zdawała się tego nie dostrzegać.

- Mówiłeś wcześniej, że zwłoki leżały w nekropolii - z namysłem dodał Yehoshuah. - W rzędzie innych grobów.

-Tak.

- To by znaczyło, że morderca wiedział o tej osadzie już wiele lat temu, prawda?

- Ach - wyrwało się Stephenowi - a przecież dopiero w zeszłym roku odkryto ją na zdjęciach satelitarnych. Masz rację.

- No właśnie. To dziwne.

- Gdybym chciała zakopać gdzieś zwłoki - wtrąciła z uśmiechem Judith i przeczesła włosy palcami, omijając minimalnie gazetę - to nie odkryty obiekt archeologiczny byłby chyba najmniej odpowiedni, prawda? Chodzi mi o to, że gdybym kogoś zamordowała, nie chciałabym, żeby go kiedykolwiek znaleziono.

Stephen wbił wzrok obok niej w zadrukowaną hebrajskim pismem płachtę gazety, na której coś przykuło jego uwagę, choć nie potrafił przeczytać ani słowa po hebrajsku. Czy porodem był człowiek, próbujący ją czytać w mrocznym świetle restauracji?

- A może morderca chciał, żeby znaleziono ciało - zastanawiał się głośno. - I chciał też, żeby je od razu zidentyfikowano jako ofiarę morderstwa. Ale jest coś jeszcze - przyjechał tam John Kaun ze swoimi ludźmi, a nie policja kryminalna. Co to może znaczyć?

Judith znów dotknęła swych czarnych jak węgiel loków, tym razem chwytając gazetę, odwróciła się płonąc gniewem i krzyknęła na mężczyznę, po hebrajsku, lecz nietrudno było zgadnąć, co ją tak rozżłościło. Stephen uśmiechnął się, gdy tamten, smukły mężczyzna w okularach i z wielką brodą,

bąkając liczne usprawiedliwienia, zaczął pedantycznie składać gazetę. Wtedy nagle odkrył, co przedtem przyciągnęło jego uwagę.

- Judith!

Spojrzała na niego poirytowana. Wstał, pochylił się nad stołem, nie zauważając, że przewrócił przy tym solniczkę i wazonik ze sztucznym bukiecikiem, i chwycił gazetę.

- To zdjęcie! - zawołał, chwycił mocniej, wyrwał płachtę papieru mężczyźnie, i położył ją przed Judith.

- Co tu napisali? Pod zdjęciem?

- Stephen? Co ty wyprawiasz? Zastukał wskazującym palcem w zdjęcie.

- To ten człowiek, który przyjechał taksówką. Akurat, gdy odjeżdżaliśmy. Co tu jest napisane?

- Jaki człowiek?

Stephen spojrzał na nią ostro.

- Przeczytaj tylko, co tu jest napisane. Po prostu przeczytaj.

- Stephen, o jakim człowieku mówisz?

- Za chwilę oszaleję - warknął Stephen. - Yehoshuah, ty. Co tu jest napisane, na miłość boską?

Yehoshuah pochylił się zmieszany nad zdjęciem, najwyraźniej zrobionym w samolocie.

- Peter Eisenhardt, znany niemiecki pisarz, podróżuje właśnie po Izraelu gromadząc materiały do swojej następnej powieści...

- Peter Eisenhardt! - zawołał Stephen. - Właśnie. Dziękuję! - Wyrwał mu gazetę i oddał ją właścicielowi, w osłupieniu przyglądającemu się całej scenie.

- Gdy odjeżdżaliśmy z obozu, stała tam taksówka, która przyjechała krótko przed tobą - powiedział zwracając się do Yehoshui. - Jeszcze cię pytałem, czy wiesz, kim jest ten człowiek, pamiętasz?

Yehoshuah skinął głową.

- Byłem pewien, że widziałem tę twarz już gdzieś na jakiejś fotografii, ale nie mogłem przypomnieć sobie, kto to. Teraz wiem. - W ekspedycji do Brazylii uczestniczył pewien Niemiec, który miał przy sobie dwie powieści Petera Eisenhardta. Z tyłu okładki był na nich portret autora.

- Tak, i co z tego? - spytała Judith unosząc brwi. - Przykro mi, ale to nazwisko nic mi nie mówi.

Stephen oparł się o oparcie krzesła i przez moment miał wrażenie, że dobiegająca zewsząd fala dźwięków wzbiera, powódź głosów w najróżniejszych językach, brzęczenie szklanek, śmiechy i zgrzyt sztućców o talerze. Przez jego umysł przemknął szalony pomysł, całkowicie szalony pomysł...

- W Niemczech - powiedział powoli Stephen - jest dość znanym pisarzem science fiction.

Judith przyjrzała mu się, odwzajemniła jej spojrzenie. Stephen Foxx uwielbiał szalone pomysły. Całe życie, jakie prowadził, zawdzięczał innemu szalonemu pomysłowi. Ale ten - przebijał wszystkie...

- Może - zastanowiła się - ten John Kaun chce sfilmować jakąś jego powieść. A ponieważ akurat obaj są w Izraelu, umówili się na spotkanie...

Stephen potrząsnął głową, całkiem powoli, niemal niedostrzegalnie.

- Kaun jest facetem od wiadomości. Filmy go nie interesują. Nigdy nie wyprodukował żadnego filmu.

- No dobrze, panie przemądrzalski. Nie, to nie. Teraz ty, mów, co się tu dzieje?

- Nie mam pojęcia.

- Science fiction, mówisz? - zastanowił się Yehoshuah. Stephen tylko zamruczał. W jego mózgu aż wrzało. Bez apetytu wpatrywał się w na wpół opróżniony talerz. Science fiction. Właśnie.

- Moglibyśmy stąd jak najszybciej wyjść? - poprosił słabym głosem.

Mijając zaułki, w których głos jazzowego fortepianu, dobiegający z jednej restauracji mieszał się z łkaniem elektrycznej gitary przygrywającej tańcowi brzucha w drugiej, czuli się jak zbiegowie. Stephen maszerował na przedzie, nie mając pojęcia, w jakim kierunku powinni iść. W jego mózgu wciąż wrzało.

- Stephen? - usłyszał za sobą głos Judith. - Wszystko w porządku?

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i włączył go.

- W porządku. Muszę tylko zadzwonić.

- Zadzwonić?

Zatrzymał się przy kamiennym murze, stojącym tutaj z pewnością od tysięcy lat, i zaczął wybierać numer. Ciemna woda portowego basenu z pluskiem chlupotała przy falochronach, majaczyły czarne kontury statków, panowała kompletna cisza. Przyjaciele dogonili go.

- Do kogo dzwonisz? - zainteresował się Yehoshuah.

- SONY.

- SONY?

Stephen przerwał wybieranie numeru.

- Czy moglibyście nie powtarzać wszystkiego, co mówię? Zgadza się, dzwonię do firmy SONY. Chcę o tej kamerze wideo dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe.

- O tej porze?

- W Japonii jest akurat - spojrzał na zegarek - krótko przed jedenastą rano.

- Dzwonisz do Japonii? - Yehoshuah wyraźnie starał się zachować zimną krew.

- Chyba powiedziałem. Tak. SONY to japońska firma. Judith mierzyła go wzrokiem jak kogoś, co do kogo nie ma pewności czy właśnie zblizował, czy chce z nich zrobić głupka.
- A numer do SONY w Japonii znasz oczywiście na pamięć?
- Stephen podniósł wyżej swój mały czarny telefon komórkowy, jakby trzymał w dłoni kartę atutową.
- Po prostu oplota się mieć porządnego providera, nawet jeśli to trochę drożej kosztuje. Jeśli chcę rozmawiać z kimś, kogo numeru nie znam, dzwonię do centrali, czynnej okrągłą dobę, a oni tam mają wszystkie książki telefoniczne całego świata. Jasne?
- Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale dała za wygraną i tylko skinęła głową.
- Zaczął jeszcze raz wybierać. Zgłosił się kobiecy głos, tak wieży i pogodny, jakby wokół zaczynał się właśnie słoneczny poranek. Tam, gdzie siedziała, być może akurat był słoneczny poranek. Wyjaśnił, czego potrzebuje:
- SONY, w Japonii, najlepiej kogoś ze zbytu, kto mówi po angielsku - na co rzuciła rzeźkie: „Momencik, proszę!” i przełączyła rozmowę w stan oczekiwania.
- Judith spotkała się wzrokiem z bratem.
- Wydają się sobie taka staroświecka - mruknęła. Czekali. Ta przyjemność nie będzie taka całkiem tania.
- Dzień dobry - usłyszeli wreszcie głos Stephena, starającego się mówić wolno i wyraźnie. Prawdopodobnie angielski osoby po drugiej stronie kabla nie budził zbyt dużego zaufania. - Nazywam się Foxx, dzwonię z Izraela. Tak, z Izraela. Na Bliskim Wschodzie. Tak, Między Egiptem a Syrią... Palestyna, właśnie.
- Yehoshuah skrzywił się.
- Interesuje mnie CamCoder waszej produkcji, model MR-01. Chciałbym się dowiedzieć, czy mógłbym zobaczyć to urządzenie w Izraelu, u waszego przedstawiciela - chwila przerwy. - MR-01, tak - jeszcze jedna przerwa, tym razem dłuższa. - Nie, jestem pewien. M jak Madagaskar, R jak Rio. Kreska, zero, jeden. Tak.
- Zobaczyli, jak oczy Stephena robią się coraz większe w miarę, jak słucha. Gdy znów się odezwał, jego głos wydał im się dziwnie zmieniony.
- Aha, rozumiem. Ach tak. Tak. W takim razie nie ma rady. Tak, dziękuję. Bardzo dziękuję za informację. Przeciwnie, bardzo mi pani pomogła. Dziękuję.
- Piskliwy ton, jakim się pożegnał, zabrzmiał żałośnie. Stał Potem, wpatrując się pustym wzrokiem w telefon, następnie Przeniósł wzrok na plażę, na której południowym krańcu odbywało się małe przyjęcie. Z przenośnego magnetofonu kątownego rozbrzmiewała cicha muzyka, docierały do nich jedynie jej strzępki, a ciemne, smukłe postaci tańczyły w jej takt, niektóre nawet w wodzie.
- I co? - Judith przerwała wreszcie milczenie. Stephen zdobył się na przelotny, niewesoły uśmiech.
- Science fiction - powiedział, patrząc ponownie na telefon. Wyłączył go i wsunął z powrotem do kieszeni. - Science fiction,
- Mógłbyś mówić trochę wyraźniej? Co on powiedział? Stephen odetchnął bezgłośnie i przesunął wzrokiem po rozległym, czarnym jak noc basenie portowym.
- CamCoder SONY MR-01 - powiedział - jest jeszcze w fazie projektowania. Pojawi się na rynku najwcześniej za trzy lata. W tej chwili istnieje wyłącznie na desce kreślarskiej.

7

Moneta 47: Stanowisko 98, Warstwa JE 14/6, Per.30; Ph.83. Ciężar AE 2.53 g - Claudius (AD 51-64), rok 14; prokurator żydowski: Antonius Felix. - odnośniki: MESHORER 232. - datowanie: 54 n.e.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

- Więc? - spytał tryumfująco właściciel drugiej co do wielkości sieci informacyjnej na świecie. - Co pan o tym myśli?

Eisenhardt podniósł się z trudem. Prawa noga zdrętwiała mu trochę, najwidoczniej kucając tak długo nie zauważył, że ucisk zatamował dopływ krwi.

- Trudno powiedzieć - ociągając się odpowiedział. - Wygląda na dziwaczny dowcip.

- A zakładając, że to nie dowcip?

- Cóż mogłoby to być innego? - Pisarz masował dłońią udo. - Wspomniał pan przecież, że znalazł to jeden z kopaczy. Jak może pan być pewien, że to prawda?

John Kaun rzucił ponagląjące spojrzenie na profesora.

- Proszę mu powiedzieć, co wiadomo o datowaniu tego znaleziska.

- Możemy założyć - zaczął tamten - że warstwa, w której znaleziono szkielet, zachowała się w stanie nieuszkodzonym. Innymi słowy, można wykluczyć, że zwłoki zostały tu zakopane w późniejszym okresie. Dość często zdarza się, Jak może pan sobie wyobrazić, że zakłada się cmentarz w miejscu, gdzie już przed wiekami także chowano ludzi -naszcza w kraju zasiedlonym od tak dawna jak ten. Trzeba

tym pamiętać prowadząc wykopaliska, gdyż w przeciwnym 32'e znaleziska przyporządkowywano by niewłaściwym epokom. Istnieją absolutnie pewne znaki, po których można rozpoznać takie sytuacje. Tutaj, jak już powiedziałem, nic takiego się nie zdarzyło - warstwa była nieuszkodzona i można ją dokładnie datować na podstawie licznych monet, skorup ceramicznych, pyłków traw, a także kawałków drewna dających się metodą dendrochronologii jednoznacznie umieścić na wzorcu pierścieni wzrostu. Inaczej mówiąc, można być pewnym, że ten szkielet przeleżał w ziemi dwa tysiące lat.

- Szkielet - skinął głową Eisenhardt. - Lecz nie o niego przecież chodzi. Chodzi o ten woreczek.

- Cóż, leżał tuż obok niego.

- Gdy pan go zobaczył. Ale czy leżał tam, gdy odkopano szkielet?

- Mogę pokazać panu pod mikroskopem włókna z zewnętrznej warstwy. Pochodzą z rośliny, która nie występuje tutaj od półtora tysiąca lat.

- Ale może gdzie indziej?

- Do tego można nieomylnie stwierdzić, że materiał jest bardzo stary.

- W porządku. Kto otworzył worek?

- Zrobił to pan Foxx. Ten młody człowiek, który go znalazł.

- Czy to normalne, że pańscy pomocnicy uszkadzają znaleziska?

- Nie, oczywiście, że nie. Skarciłem go.

- Ale można by podejrzewać, że zamienił on zawartość worka.

- Podejrzewać, tak. Ale po co miałby to robić?

- Dla kawału. Wilford-Smith potrząsnął głową.

- To nie ten typ człowieka, który by innym robił kawały.

- W porządku - pisarz patrzył to na jednego, to na drugiego. - Czego dokładnie panowie ode mnie oczekują? Wyczuwam, że macie już swoją teorię i najwyraźniej zakładacie, że to wszystko nie jest oszustwem. Może najpierw p^o wiecie mi, co wy o tym myślicie?

Kaun ponownie się wtrącił.

- Jesteśmy zdania, że nie chodzi tu o oszustwo. Mai11 propozycję: wyliczę panu wszystko, co w tej chwili uważamy za pewne, a potem powiem, jaki wyciągnęliśmy z tego wnio-ek- A pan nam powie, co o tym sądzi.

- To brzmi sensownie.

- Po pierwsze - zaczął wyliczanie magnat medialny, prostując pierwszy palec prawej dłoni i rozpoczynając wędrowkę tam i z powrotem - warstwa, w której znaleziono szkielet, oochodzi sprzed dwóch tysięcy lat, do tego, w chwili rozpoczęcia wykopalisk była nienaruszona. Po drugie, worek wykonano z tkaniny używanej w tym kraju dwa tysiące lat temu, dziś nigdzie niedostępnej. Po trzecie, materiał, z którego zrobiono drugi worek, to bez wątplenia folia plastikowa; najprawdopodobniej zmieniła barwę pod wpływem nieznanego jeszcze czynnika. Po czwarte, również papier, na którym wydrukowano instrukcję obsługi, robi wrażenie bardzo starego, jakkolwiek absurdalnie to brzmi. Zlecimy datowanie tych wszystkich materiałów - tkaniny, papieru, kości - metodą radiowęgla C14, to jednak

trochę potrwa.

- Poza tym - dodał profesor - w zębach czaszki odkryliśmy wypełnienia amalgamatem. Tymczasem po raz pierwszy użyto amalgamatu do wypełniania ubytków zębowych we Francji w roku 1847.

- Zapomniany wynalazek?

- Nie. Zmarły ma dwa fachowo oczyszczone i zaplombowane zęby, lecz poza tym szereg koszmarnie spróchniałych, wielu też brakuje. Gdyby w 50 roku naszej ery działał taki postępowy dentysta, poszedłby do niego jeszcze raz.

Eisenhardt odetchnął głęboko, skrzyżował ręce na plecach, przeszedł kilka kroków, potem odwrócił się i wrócił tą samą drogą z powrotem, zatrzymał się przed grobem i popatrzył w dół na częściowo odkopane kości. Czuć było zapach gorącego kurzu. Czaszka połyskiwała w świetle podsufitowych reflektorów, tylko oczodoły rzuciły ciemne cienie.

- Sądzicie, że odbył podróż w czasie, prawda?

Przez jedną chwilę, o długości jednego uderzenia serca Panowała cisza, potem usłyszał, jak John Kaun wybucha śmiechem.

- Widzi pan? - zawołał do profesora. - A nie mówiłem? Ja pisarza science fiction to dziecinnie łatwe. My łamiemy sobie głowy, a on raz popatrzy i pstryk, już wie, o co chodzi!

- Zaklaskał w dłonie jak dziecko, u niego jednak nawet to wydało się nie komiczne, lecz groźne. Eisenhardt poczuł skurcz w żołądku.

- Na tym więc polega ta archeologiczna sensacja - p0_ wiedział. - Szkielet podróżnika w czasie.

Kaun powstrzymał go.

- Nie - odparł, tonem, jakby dopiero teraz pojął, że do Eisenhardta nie dotarło jeszcze najważniejsze. - To jeszcze nie ta sensacja.

- Ale?

- No, niech pan się zastanowi - zagrał mu na ambicji człowiek w granatowym garniturze. - Podróżnik w czasie. Z kamerą wideo.

Eisenhardt wlepił w niego wzrok. Zrozumiał.

- O, Boże - wyrwało mu się. Kaun zaśmiał się szatańsko.

- Tak... czego też mógł tu szukać przed dwoma tysiącami lat?

Szukając powrotnej drogi do samochodu Yehoshui, mimowolnie szli szybkim krokiem, jakby ktoś ich gonił.

- Zapomnijcie wszystko, co mówiliśmy o morderstwie

- powiedział Stephen. - To nie było morderstwo.

-Ale?

- Ten człowiek zmarł naprawdę dwa tysiące lat temu, wtedy go pochowano, a my go odkopaliśmy.

- A worek? Instrukcja obsługi? -Też.

Cóż to za miasto, w którym o wpół do drugiej w nocy ulice są zakorkowane samochodami? Stephen zatrzymał się, przez chwilę patrzył na uliczny chaos, po czym odwrócił się do przyjaciół.

- Moja teoria wyda się wam kompletnie szalona, ale wszystko wyjaśni. Słuchajcie: w najbliższej przyszłości ktoś odkryje, jak doprowadzić do skutku podróż w czasie. Najwcześniej za trzy lata, może nieco później, w każdym razie w okresie, gdy ten SONY MR-01 będzie najlepszą dostępną kamerą. I wtedy ktoś ją kupi i przeniesie się o dwa tysiące lat wstecz. Jednak z jakiegoś powodu nie uda mu się wrócić we własne czasy. Będzie musiał więc zostać tam i żyć z ówczesnymi ludźmi, aż do śmierci. Pogrzebią go i ktoś włoży

do grobu ten worek z zatopioną w foliowej torebce instrukcją obsługi, nie mając pojęcia, co to właściwie jest.

A my go odkopaliśmy - na kilka lat przedtem, nim wyruszy w podróż!

patrzył na dwa oblicza, jak powoli otwierają ze zdziwienia usta.

- Ale to by znaczyło - stwierdziła w końcu Judith - że ten człowiek, którego szkielet tam leży, teraz jeszcze gdzieś żyje?

- Dokładnie.

Yehoshuah był wyraźnie zbity z tropu.

- Więc musimy go odszukać! Ostrzec!

- Po co?

- Żeby nie wyruszył w tę podróż.

- Ale wtedy go nie znajdziemy - zaproponowała jego siostra. - A jeśli go nie znajdziemy, nie przyjdzie nam do głowy go ostrzec. A jeśli go nie uprzedzimy, jednak uda się w swoją podróż. Więc jednak go znajdziemy - rozentuzjzmowana zaśmiała się perliście. - Może wcale nie jestem taka staroświecka!

- To naprawdę szalona teoria! - poskarżył się Stephenowi Yehoshuah. - Na samą myśl o tym, kręci mi

się w głowie.

Ruszyli dalej. Z rzędu wahadłowych drzwi wysypał się nagle tłum ludzi, Stephen dopiero po chwili pojął, że właśnie skończył się kinowy seans. Między trąbiącymi, cuchnącymi samochodami przecisnęli się na drugą stronę ulicy i na znak Yehoshui skręcili w spokojniejszą, pogrążoną w mroku Przecnicę.

- Nie w tym rzecz, żeby go ostrzec - powiedział Stephen. " Nie zdziwiłbym się, gdyby on nawet wiedział, że nie będzie mógł wrócić. Może podróż w czasie jest możliwa tylko w jednym kierunku i on się z tym liczy?

- Ale kto zrobiłby coś takiego? - spytał Yehoshuah.

- No, przestań! W takim celu? ~ W jakim celu?

Zatrzymał się i spojrzał na nich zbity z tropu.

- W jakim celu?! Powiedzmy, że mogę przenieść się dwa tysiące lat wstecz. Wiem, że nie będę mógł wrócić, ale mogę zabrać ze sobą najlepszą dostępną kamerę wideo. Co takiego sfilmuję?

Nadal dwie miny błysku zrozumienia. Aż Stephen domyślił się.

- O cholera - zamruczał. - Jasne. Jesteście Żydami. Logiczne...

Odetchnął głęboko.

- No właśnie. Zauważcie, że ten człowiek, który wyruszy w przeszłość, zabiera amerykańską wersję instrukcji obsługi. Nie japońską, nie hebrajską. A więc najprawdopodobniej to Amerykanin. A dla Amerykanina, który podejmuje się przenieść w czasy sprzed dwóch tysięcy lat bez możliwości powrotu, w całym ówczesnym świecie może być tylko jeden interesujący cel podróży - Jezus z Nazaretu. Jezus Chrystus.

Przez mgnienie oka wydało mu się, że opuścił swoje ciało, że obserwuje tę scenę z zewnątrz, widzi siebie stojącego w wąskiej, mrocznej uliczce Tel Awiwu, słyszy echo własnych słów odbitych od pogrążonych w ciszy budynków. Po chwili to uczucie minęło. Zamrugał. Co takiego właśnie powiedział?

- Zgadza się - z namysłem stwierdziła Judith. - On wtedy żył.

- Tak. Według niego liczy się dziś czas. - Nagle przypomniało mu się, że kultura żydowska ma własną rachubę czasu; zgodnie z nią jest teraz coś koło roku 5760. Ale nawet administracja Izraela używa kalendarza chrześcijańskiego. Nie umiał przypomnieć sobie żadnego kraju na świecie, w którym liczono by czas inaczej. Tak, z pewnością można twierdzić, że czas liczy się według Jezusa.

Stephen poczuł, jak wilgotnieją mu dłonie. W górę pleców przebiegło go mrowienie, aż po kark. Kotłowanina rozgorączkowanych myśli ustała i ustąpiła krystalicznej jasności, wprost zapierającej dech.

- John Kaun - mówił dalej, ochryplym głosem - doszedł do dokładnie takiego samego wniosku. Dlatego tu przyjechał. Powiedział sobie, że gdzieś tutaj musi być jeszcze kamera, zapakowana i opieczętowana tak, by przetrwała dwa tysiące lat - a w kamerze jest kasetka.

Zauważył, że Judith powoli, ze zrozumieniem kiwa głową. Widział w świetle ulicznych lamp twarz Yehoshui, bladą jak ściana. Wszystko stało się jasne. Części układanki złożyły się w całość. Następne słowa padły jak ostatnie kamienie w łańcuchu domina.

- Chce mieć tę kasetę - powiedział.

8

Właściwości przełamów niektórych rodzajów naczyń badano umieszczając świeżo złamane fragmenty próbek w ogrzewanym elektrycznie piecu oksydacyjnym i wypalając je ponownie. Próbkę poddawano przy tym przez czas 1 godziny działaniu maksymalnej temperatury, 800-900°C w przypadku ceramiki z epoki żelaza-biz./fr. -arabskiej oraz 1000°C w przypadku średniowiecznej i późniejszej. W następstwie oksydacji ceramika najczęściej przybiera jaśniejszą barwę, lepiej też są widoczne domieszki schudzające oraz warstwy zewnętrzne. Ewentualne uszkodzenia skorupy w wysokich temperaturach pozwalają domyślać się pierwotnych temperatur wypalania (patrz też rozdz. III.5-1).

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopaliisk pod Bet Hamesh

Wozu mieszkalnego Johna Kauna nie można było określić inaczej jak „stosowny do rangi”. Jego przeważającą część zajmował luksusowo urządzony gabinet, którego ściany obito ciemnym drewnem, zaś podłogę wyłożono popielatym, sięgającym kostek dywanem, aż żal było patrzeć na brudne ślady, zostawiane na nim przez ich zakurzone buty. Wnętrze zdominowane było przez potężne mahoniowe biurko, na którym stała jedna z owych mosiężnych lamp z zielonym abażurem, jakie Eisenhardt do tej pory widywał tylko w amerykańskich filmach. Za ogromnym skórzanym fotelem wisiał olejny obraz, wyglądał na cenny i z pewnością taki był, zaś na 2najdującym się obok stolczku ustawiono komputer, na którego Monitorze powoli obracał się znak firmowy *Kaun Enterprises*. a przy nim stała cała bateria telefonów. Eisenhardtowi Upomniały się anteny, jakie zauważył na dachu kontenera wśród nich duża miska anteny satelitarnej, prawdopodobnie będąca w stanie wymieniać sygnały bezpośrednio z satelitą komunikacyjnym. John Kaun, choć znajdował się poza swoją kwaterą główną zagubiony na odludnym pustkowiu, nie zaniedbywał żadnej ze stworzonych przez nowoczesne technologie możliwości, by sprawować pieczę nad swoją firmą.

Najlepszy był jednak panujący w pomieszczeniu przyjemny chłód.

- Czego się panowie napiją? - zapytał przemysłowiec i otworzył lodówkę wręcz pękającą od butelek, w których obiecująco migotały różnokolorowe płyny. - Dla pana *Canadian Whisky*, profesorze?

- Tak, proszę - westchnął Wilford-Smith i opuścił się na jeden z wyściełanych foteli. Wyglądał na zmęczonego.

- Panie Eisenhardt?

Pisarz ociągał się. Rzadko pił alkohol, mniej z pobudek zdrowotnych czy dla jakichś zasad a bardziej z tego prostego powodu, że najczęściej czuł się po nim gorzej niż przed wypiciem. Alkohol mu szkodził. W najlepszym wypadku ogarniała go po nim senność.

- Czy ma pan coś bez alkoholu? - zapytał.

Eisenhardtowi wydało się, że w spojrzeniu, jakie skierował na niego Kaun, widzi poirytowaną dezaprobatę. Jakby złamał niepisane reguły. Psuł zabawę. Magnat spytał jednak bez mrugnienia okiem:

- Na co ma pan ochotę? Cola? Tonik imbirowy? Perrier?

- Cola, wspaniale.

Kaun podał im szklanki, sam przyrządził sobie nieco bardziej pracochłonnego drinka i zasiadł z nim za biurkiem. Eisenhardt czekał, podświadomie spodziewając się, że przewodniczący teraz się trochę poprzeciąga, rozluźni węzeł krawata i zrelaksowany rozsiądzie się wygodnie, lecz Kaun wziął tylko małego tyka, pochylił do przodu i spojrzał pisarzowi w oczy.

- Co pan o tym wszystkim myśli? - zapytał.

- Hm - mruknął Eisenhardt, szukając odpowiednich słów. Nawet w codziennej pracy nie było to proste; po angielsku okazało się podwójnie trudne. - Jak mam to powiedzieć? Czuj? się, jakbym trafił do filmu o Indiana Jonesie.

Przez oblicze cara mediów przemknęło coś na kształt uśmiechu, ale nic nie powiedział.

- Czy jest pan pewien, że nie kryje się w tym jednak jakieś oszustwo? - spytał Eisenhardt. - Niech pan pomyśli o pamiętnikach Hitlera.

- To pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałem. Ale są też pamiętniki Goebbelsa, a te są autentyczne. - Kaun rzucił okiem na zegarek na ręce, jego cienka, złota koperta sprawiała niesłychanie kosztowne wrażenie.

- Próbkę materiałów dotarły już zapewne do laboratorium w Chicago, w którym metodą radiowęglową zostanie określony ich wiek. Jeśli badania wykażą, że papier ma dwa tysiące lat, wtedy nie będzie innego wytłumaczenia, jak tylko, że ktoś odbył podróż w czasie. Zgodzi się pan ze mną, prawda?

-Tak.

- Ta kamera istnieje. Jestem tego pewien. Jestem też pewien, że jest wciąż w dobrym stanie.

Eisenhardt znalazł nareszcie słowa, potrzebne do sformułowania zastrzeżenia, od dłuższej chwili błąkającego mu się po głowie.

- Zastanowił się pan nad tym, czy na taśmie wideo, która przeleżała w ziemi dwa tysiące lat, *mogło*

zachować się jeszcze w ogóle jakiegokolwiek nagranie? Nagranie wideo to zapis magnetyczny. W miarę upływu czasu namagnetyzowanie słabnie. Po dwóch tysiącach lat zostaje praktycznie już tylko szum.

- Zgadza się - przytaknął Kaun. - To sprawdziłem w pierwszej kolejności. Rozmawiałem ze specjalistami z NASA, którzy analizują sygnały radiowe z sond kosmicznych, transmitujących fotografie tak odległych planet jak Uran czy Neptun. Ci ludzie mają bardzo podobny problem, mianowicie, muszą odfiltrować słabe sygnały dochodzące z tych sond od kosmicznego szumu. No cóż, jak sobie z tym radzą, może Pan ocenić na podstawie uzyskiwanych przez nich krystalicznie czystych obrazów. Potrwa to pewnie trochę i będzie kosztowało mnóstwo czasu obliczeniowego na drogich, super wydajnych komputerach, ale z pewnością odzyskanie na-srania z tej taśmy wideo jest możliwe, niezależnie od jej wieku.

- Aha - mruknął zbity z tropu Eisenhardt. Tak, to brzmiało całkiem prawdopodobnie.

- Oczywiście, nie wspominałem im nic o podróżniku w przeszłość - dodał Kaun. Teraz nareszcie się oparł, trzymając obiema rękami szklankę. Przez szkło połyskiwał płyn w kolorze miodu. - Wyobrażam to sobie tak, że nasz podróżnik współpracował z wtajemniczonym we wszystko współnikiem - zawiesił głos i po chwili poprawił się: - Będzie z nim współpracował. Widzi pan? Właśnie o to mi chodzi. Gdy o tym myślę, czuję się, jakby mi ktoś przekręcał mózg przez maglownicę. Dlatego potrzebuję pana, panie Eisenhardt. Napisał pan wiele historii o podróżach w czasie; to znaczy, że w wyobraźni przemysłał pan już te problemy, z którymi teraz mamy do czynienia w rzeczywistości.

Eisenhardt przytaknął z ociąganiem.

- Dobrze - będzie współpracował z drugą osobą. Uzgodnią, gdzie ma schować kamerę. Potem jeden przeniesie się w przeszłość, a drugi po prostu pójdzie w umówione miejsce i znajdzie tam nagrania, które drugi... zrobił? Zrobił? To przecież nieźle pomyślane, prawda?

-Tak.

- Praktycznie w tej samej chwili.

- Jeśli wszystko się uda - zastrzegł Eisenhardt. Zauważył, że czuje się zmęczony. Przespać się z tym; jutro rano wszystko będzie wyglądało inaczej. Może przyjdzie mu też do głowy kilka pomysłów, na jakie nie wpadł jeszcze ten potężny, na pozór niezmordowany szef wielkiej firmy.

- Musi się udać. Nie podróżuje się w przeszłość, nie poczyniwszy wszelkich możliwych przygotowań. Ta kamera leży na umówionym miejscu. Cały problem tkwi tylko w tym, gdzie? Co ustaliła ta dwójka? Albo, jeśli chcecie, co ci dwaj ustalą? Niech pan pomyśli o podróżniku w czasie, Eisenhardt, niech pan odgadnie jego myśli. Jest pan pisarzem - na tym polega pański zawód, na wchodzeniu w skórę innych ludzi. Proszę domyślić się, co mu przyjdzie do głowy. Niech pan odgadnie, gdzie jest ta kamera.

Podczas, gdy Kaun mówił te słowa, ton jego głosu uległ zmianie, nabrał teraz ostrego, rozkazującego, metalicznego brzmienia. Eisenhardt patrzył na tego człowieka i czuł narastającą panikę, jakby z jego wnętrza sięgało w górę ogniste ramię i ścisnęło go za gardło. Teraz dał się poznać prawdziwy John Kaun, do tej pory ukryty za maską uprzejmości. prawdziwy John Kaun był jak drapieżne zwierzę, przyobleczone w granatowy garnitur.

Rzucił nerwowe spojrzenie na siedzącego naprzeciwko Wjlf0rd-Smitha, ale profesor opróżnił już swoją szklaneczkę whisky i gapi* si? przed siebie oczami, wyglądającymi, jakby miały się zamknąć w każdej chwili.

- To, hm, chwilowo trochę za dużo dla mnie. Podróż, to znalezisko... Ale zastanowię się nad tym.

- Ma pan czas. Nie bez końca, ale ma pan czas.

- Będę musiał sprawdzić kilka rzeczy, zebrać materiały. Przydałby się dostęp do dużej biblioteki.

Kaun skinął głową, jakby tego właśnie oczekiwał. Obrócił się na bok energicznym ruchem, potęgującym wrażenie, że ten człowiek nigdy nie czuje zmęczenia, podniósł słuchawkę telefonu. Wybrał dwucyfrowy numer i, gdy po drugiej stronie ktoś się zgłosił, powiedział tylko: - Proszę do nas przyjść - po czym odłożył słuchawkę.

- Zamieszka pan w sąsiednim wozie - oznajmił następnie. - Ma pan w nim do dyspozycji kompletnie wyposażoną pracownię. Poza tym... - usłyszeli szuranie przy wejściu, potem drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, którego Eisenhardt wcześniej nie zauważył. Profesor ocknął się i gwałtownie podniósł głowę, a po spojrzeniu, jakim śledził wkraczającego właśnie człowieka, można było poznać, że również widzi go po raz pierwszy.

- Moi panowie, pozwólcie, że przedstawię wam pana Ryana. Jest u mnie szefem ochrony i od tej chwili będzie troszczył się tu o wszystko. Ryan, to profesor Wilford-Smith, kieruje wykopaliskami, a to pan Eisenhardt, pisarz.

- Bardzo mi miło - odrzekł przybysz niskim, głębokim głosem.

Był wysoki, miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt, a jego wytrenowane mięśnie wyglądały, jakby zrobiono je ze stalowych lin. Żołnierz oddziałów specjalnych, zamiast munduru odziany w nie rzucającą się w oczy koszulkę koloru khaki. Wymienił z nimi chłodny, krótki, rzeczowy uścisk dłoni.

Włosy miał obcięte tak krótko, że ich barwy można się był tylko domyślać, zaś oczy na pozbawionej wyrazu twarzy były najbardziej przejrzystymi błękitnymi oczyma, jakie Eisenhardt widział w życiu. Ile lat

może mieć ten Ryan? Sprawiał osobliwe wrażenie człowieka bez wieku: równie dobrze mógł mieć lat dwadzieścia osiem, jak pięćdziesiąt osiem.

- Ryan - ciągnął Kaun, kierując wzrok na Eisenhardta - sprowadzi dla pana każdą książkę, jaka będzie panu potrzebna. Zorganizuje w ogóle wszystko, czego pan potrzebuje. O ile tego zażyczy pan sobie, zawiezie pana do dowolnej biblioteki w tym kraju albo każe pana tam zawieźć. Jeśli przyjdzie panu do głowy cokolwiek, co mogłoby przyspieszyć nasze poszukiwania, proszę mu o tym powiedzieć.

Eisenhardt skinął głową, dość zmieszany, i rzucił na Ryana nieśmiałe spojrzenie, które tamten odwzajemnił bez drgnięcia powieki.

- Mam na myśli, panie Eisenhardt, dokładnie to, co powiedziałem. Cokolwiek przyjdzie panu do głowy.

-Tak.

- Nie musi się pan obawiać, że stawia za wysokie żądania, w żadnym wypadku.

- Rozumiem.

- Gdyby okazało się - wycedził Kaun, wbijając w Eisenhardta spojrzenie połyskujących ciemno, tygrysich oczu - że nie wykorzystał pan jakiejś możliwości tylko dlatego, że nie miał pan pod ręką potrzebnych materiałów, że powinien był pan o nie poprosić a tego nie zrobił - wtedy pozna mnie pan z całkiem innej strony, która, to mogę obiecać, na pewno się panu nie spodoba.

Oho! Eisenhardt przetknął ślinę czując się nieswojo, potem skinął głową. Miodowy miesiąc się skończył. Ale Kaun nie zaszedł tak wysoko dzięki temu, że potrafi dobrze wiązać krawaty.

- Poza tym - kontynuował miliarder, pochylając się do przodu i opierając przedramiona o skórzaną podkładkę na biurku, składając razem czubki palców obu dłoni - od tej chwili zastosujemy specjalne środki ostrożności. Nie mogą się już zdarzać żadne przykre wpadki, jak na przykład ta, że ten Foxx akurat dziś wieczorem musiał jechać do jakiejś dyskoteki.

Profesor wyprostował się na skórzanym fotelu i poczuł L wywołany do zajęcia stanowiska.

- Panie Kaun, zapewniam pana... Stephen Foxx to młody człowiek, a ta dziewczyna wpadła mu w oko. To przecież nic nadzwyczajnego, że chciał się z nią umówić. Człowiek, który po nich przyjechał to jej brat. Znam go dobrze; pracuje jako asystent w Muzeum Rockefellera w Jerozolimie.

Kaun zmierzył archeologa wzrokiem, jakim się patrzy na obrzydliwe insekty.

- Moglibyśmy chcieć zadać mu kilka pytań.

- Możemy przecież zadać mu je jutro.

- Ale moglibyśmy zadać mu je dziś i stracić mniej czasu. Eisenhardt zmarszczył czoło. Co też ten człowiek sobie

wyobraża, że jak rozwiązuje się takie problemy? Używając prostej, brutalnej arytmetyki w rodzaju „Co, Leonardo da Vinci potrzebuje sześciu miesięcy na namalowanie Mony Lisy?! Dajcie mu dwudziestu pięciu ludzi, to uwinie się z tym w tydzień”?

- Mój Boże - westchnął Wilford-Smith i opadł z powrotem na siedzenie. Wielki skórzany fotel zdawał się dosłownie połykać jego chudą i wysoką postać. - To wolny człowiek. Nie mogę mu przecież rozkazywać, co ma robić a czego nie, w czasie wolnym od pracy.

- Nie, pan nie musi - powiedział Kaun. - Od tej chwili my się tym zajmujemy.

Naukowiec zwrócił na niego urażone spojrzenie.

- Co pan przez to rozumie?

- Musimy zastosować blokadę informacji. Nie chcę, żeby nasze odkrycie zostało przedwcześnie ujawnione albo żeby wybuchła jakaś gorączka złota, bo każdy w tym kraju będzie szukał tej kamery.

- A jak pan chce to zrobić? Większość pracowników to ochotnicy...

- To mnie nie obchodzi - wtrącił ostro Kaun.

Na dźwięk jego głosu skulili się, jakby walnął pięścią w stół. Fakt, że nie musiał nawet wykonywać tego gestu, tylko spotęgował efekt.

- Widzę, że pan wciąż jeszcze nie zrozumiał, z czym mamy do czynienia - ciągnął Kaun, patrząc to na jednego, to na drugiego, jakby chciał im to dosłownie wbić młotem w najwyraźniej nie pojmujące niczego mózgi. - Panowie sądzicie prosto, że to sensacja. Myślicie, że jestem tu z tego powodu - ponieważ to największa sensacja wszech czasów. Najbardziej sensacyjny nagłówek, jaki kiedykolwiek wydrukowano w jakiejś gazecie. Najbardziej sensacyjne znalezisko, odkąd uprawia się archeologię. Rewolucja w fizyce. Nie, panowie zupełnie jeszcze nie pojmują, co *naprawdę* oznacza ta kasetka wideo. Wydawało się, że jego słowa na kilka sekund znieruchomiały, zawieszony w powietrzu, nim po chwili zostały wchłonięte przez puszysty dywan i mahoniową boazerię na ścianach. Nie słychać było żadnego oddechu. Oczy wszystkich zawisły na ustach Kauna. Zdawał się tym rozkoszować.

- Jak myślicie, co - zapytał cicho, niemal szeptem - dałby kościół katolicki za taśmę wideo, będącą dowodem zmartwychwstania Jezusa Chrystusa?

Zrobił przerwę.

- Lub za taką - mówił dalej z uśmiechem na ściśniętych wąsko ustach - która mu *przeczy!*

Reflektory samochodu wbijały się w noc, macały szary asfalt prowadzącej poprzez ciemności szosy, na

której panował intensywny ruch, zaskakujący o tej porze, około drugiej rano. Nie rozmawiali wiele, pogrążeni w myślach, i, jeśli nie liczyć szumu silnika, w wozie panowała osobiwa, zszokowana cisza. Tym razem na tylnym siedzeniu siedział Stephen. Gdy byli mniej więcej w połowie drogi, pochylił się do przodu, wsparł oboma ramionami o oparcia i wystawił głowę między przednie fotele.

- Yehoshuah?

- Mhm?

- W Muzeum Rockefellera macie na pewno różne laboratoria do badania archeologicznych zabytków.

-Tak.

- Nie wspominałeś kiedyś, że badacie też stare papiery?

- Papirusy. Nie papiery.

- Papirus, rozumiem. To coś z trzciny.

- Nie z trzciny. Papirus wytwarzano z miąższu byliny papirusowej, po łacinie *cyperus papyrus*. Cibora papirusowa.

- Ale to coś innego niż papier.

- Właśnie.

Stephen skinął głową. Przeciwnym pasem minęła ich dudnieniem ciężarówka. W świetle reflektorów zabłysła na moment stojąca na poboczu tablica, na której ktoś opryskał czarną farbą angielski napis, tak, że czytelne pozostały tylko arabskie litery.

- Załóżmy, że profesor zechce zbadać instrukcję obsługi. Jak sądzisz, gdzie będzie mógł to zrobić najlepiej?

- U nas.

- U was? Zdawało mi się, że możecie analizować tylko papirusy?

- Tym się zajmujemy. Ale równie dobrze moglibyśmy restaurować papier. To nawet łatwiejsze niż restauracja papirusu. Po prostu, do tej pory nikt nie przyszedł ze starym papierem.

- A dlaczego?

- Ponieważ w czasach historycznych w całym obszarze Morza Śródziemnego jako materiału piśmienniczego używano wyłącznie papirusu.

- Ale potrafiłbyś odrestaurować także papier?

- Jasne.

- Tak spreparować kruche stronicę, że będzie je można bezpiecznie przewracać?

- Pewnie.

- Że wyblakłe pismo znów będzie czytelne?

- Bez problemu.

- Dobrze - powiedział Stephen. - To bardzo dobrze. Teraz wtrąciła się Judith. Przekręciła się na fotelu tak,

ze mogła patrzeć na Stephena z boku. W słabym świetle kontrolki z deski rozdzielczej bardziej można było się domyślać, niż dostrzec nieufność na jej twarzy.

- To nie jest tylko zwykłe zainteresowanie pracą Yeho-shui, prawda?

Stephen opuścił głowę między ramiona, jakby stała się nagle zbyt ciężka, i wymamrotał:

- Nie, to nie jest tylko zwykłe zainteresowanie pracą Yehoshui.

- Ale?

- Przedtem o czymś zapomniałem.

- Przedtem... co?

- Zapomniałem o czymś. To znaczy, zapomniałem o czymś opowiedzieć. Yehoshuah, patrz chociaż ty na drogę! - Samochód zaczął jechać niepokojąco wężykowatą linią, gdy Yehoshuah, podobnie jak siostra odwrócił głowę, by obrzucić Stephena nieufnym spojrzeniem.

- Zapomniałeś? - Judith nie wierzyła w ani jedno słowo. Stephen westchnął.

- Naprawdę zapomniałem. Zapomniałem powiedzieć o tym profesorowi, gdy pokazywałem mu znalezisko i teraz gdy opowiadałem wam tę historię, znów o tym zapomniałem. To naprawdę dziwaczne.

- Więc? Może wreszcie teraz to z siebie wydusisz?

Stephen przenosił wzrok z jednego na drugiego i z powrotem. Oczy Judith skrzyły się w ciemności błyskiem zrozumienia i niecierpliwości, wyglądały jak dwa głębokie, ciemne jeziora. Yehoshuah wbił wzrok w drogę przed sobą, był napięty tak bardzo, że na jeszcze jedną emocjonującą historię mógłby zareagować równie pozytywnie, jak zawałowiec na zawiadomienie o konieczności dopłacenia podatku. Lecz przecież to właśnie jest przygoda. Przygody i adrenaliny nie można rozdzielić. Poza tym, Yehoshuah to *Izraelczyk*, mieszkaniec zagrożonego kraju, nawykł do stresu lepiej niż nowojorski makler giełdowy. Stephen zdecydował się nie wahać na nic. Może zresztą to z powodu specyficznego oświetlenia Yehoshuah robi tak zestresowane wrażenie.

- W tamtym plastykowym worku - zaczął - było jeszcze coś oprócz instrukcji obsługi.

Judith wyrwał się zduszony okrzyk

- Wiedziałam.

- Naprawdę zapomniałem o tym powiedzieć - zapewnił Stephen. - Po prostu zapomniałem. Może moja podświadomość chce to zachować w tajemnicy, nie mam pojęcia.

- Niech zgadnę, co jeszcze było w środku. Mapa. Z za" znaczonego krzyżykiem.

- Nie. Tylko kilka złożonych, pokruszonych kawałków papieru.

Yehoshuah jęknął. _ Pokruszonych.

- Tak. To było pierwsze, co zauważyłem, gdy rozciąłem worek. Nie myśląc co robię, jak w amoku, wyciągnąłem papiery pincetą. Wtedy pojawiło się logo SONY... Nie wiem, dlaczego, ale to jakby wszystko wymazało. Jakby zabrakło miejsca na myśli o tych innych kawałkach papieru.

_ A gdzie one teraz są, te inne kawałki papieru, te pokruszone? W śmietniku?

- Nie, włożyłem je po prostu do mojej skrzynki, na wierzchu, na ziemię, którą do tamtej chwili odmiotłem. A skrzynka stoi wciąż pod moim łóżkiem.

- No świetnie - powiedziała Judith.

- Profesor nie będzie zbyt zachwycony, gdy dopiero teraz z tym do niego przyjdiesz - stwierdził Yehoshuah, potrząsając głową. - Do tego jeszcze to wszystko, co mówiłeś o tym Kaunie... No, nie wiem. Wydaje mi się, że musisz trochę wygładzić swoją historyjkę. Chodzi tylko o to, żeby ci od razu nie obcięli głowy.

Wóz podskoczył na wyboju, dało się odczuć wyraźne szarpnięcie i usłyszeć dźwięk. *Ta-dam.* Yehoshuah zdjął nogę z gazu. Jeszcze jeden wybój. *Ta-dam. Ta-dam.*

Stephen powoli wziął wdech i wydech, przez chwilę poddał się kołysaniu samochodu. Obliznął wargi, nim znów zaczął mówić:

- Nie zamierzam mówić im o papierach. Ani Kaunowi, ani profesorowi.

Ta-dam.

Wyobraził sobie, że poprzez szum silnika dobiega go trzeszczenie włosów prostujących się na głowie Judith. *Ta-dam.*

- Stephen, nie to miałem na myśli - wreszcie wyjąkał z trudem Yehoshuah. - To znaczy, tylko dlatego, że zapomniałeś o papierach... w szoku... Na pewno to zrozumieją.

Naprawdę, to mogło zdarzyć się każdemu. Nie ma powodu, aby to teraz przemilczeć. Te papiery mogą być notatkami zmarłego, może jego dziennikiem! A jeśli to naprawdę przybysz z przyszłości... może jest w nich wskazówka, gdzie ukrył kamerę!

Stephen przytaknął, uśmiechając się chytrze.

- Właśnie.

- Tak, ale... - Yehoshuah odwrócił głowę, spojrzał z boku na Stephena spojrzeniem pełnym zgrozy. - W ten sposób opóźnisz przecież...

- Yehoshuah, proszę! Droga! Jeśli teraz nas rozbijesz to jeszcze naprawdę te papiery wylądują na śmietniku, zamiast w twoim laboratorium.

- Dobrze, dobrze. Jak to, w moim laboratorium? Judith wyrwał się dźwięk przypominający chrząknięcie.

- On chce je zbadać na własną rękę! - powiedziała zniecierpliwiona. - Stephen Foxx, szalony łowca przygód, chce wszystkich uprzedzić.

Yehoshuah nie był w stanie utrzymać wzroku na drodze.

- To prawda, Stephen?

Samochód jechał zygzakami po wyboistej szosie. Stephen westchnął. Na szczęście chwilowo nic nie nadjeżdża z naprzeciwka.

- Zastanówcie się tylko. Jak sądzicie, dlaczego John Kaun jest tutaj? Bo tak interesuje go sensacyjny archeologiczny zabytek? Bo odkrył w sobie namiętność do nauk historycznych? Yehoshuah - Kaun to człowiek interesu i jego jedyną namiętnością jest zysk. Wiem, że nie śledzisz takich informacji w prasie, ale ja tak: Kaun powinien właściwie dzisiaj być w Melbourne, w Australii, i prowadzić rokowania w sprawie zakupu największej australijskiej sieci czasopism. Musiał to odwołać. A jeśli ktoś w rodzaju Kauna odwołuje taki termin, to tylko dlatego, że wietrzy gdzieś większy zysk.

- I co z tego? Chce znaleźć wideo i chce być pierwszym, kto pokaże je w telewizji. Niech mu będzie: masz coś przeciw temu?

- Nic.

- A zakładając, że znajdziesz wideo przed nim - co ty z nim zrobisz?

- Już na pewno coś wymyślę, możesz być pewny. Judith rzuciła mu oschłe spojrzenie:

- Mam wrażenie, że przede wszystkim chcesz sobie udowodnić, że jesteś cholernie sprytny. Sprytniejszy niż ktokolwiek inny, nawet jeśli ten ktoś nazywa się John Kaun i ma miliardy dolarów.

- Bzdura - odparował Stephen, lecz niezbyt pewnie. To, powiedziała, miało przykry posmak prawdy. Sam nie był pewny, jakie motywy nim kierują, lecz w każdym razie przecucia Judith nie były od nich zbyt dalekie.

Ale, niech to diabli, *przecież* jest dość sprytnym gościem, zawsze był. A tu zjawia się ten John Kaun, od lat lansowany przez prasę ekonomiczną na absolutny cud, zdaniem dziennikarzy godny wszelkiego uwielbienia konglomerat inteligencji i potężnej siły przebiccia. Ten człowiek, jak niezmordowanie głośiły gazety na całym świecie, jest prototypem menadżera na miarę nadchodzącego stulecia. Kiedy, jeśli w ogóle, trafi mu się znów taka okazja: wyzwąć na pojedynek tak interesującego człowieka?

Spojrzał z boku na Yehoshuę, który teraz nareszcie znów patrzył na drogę, gładko i ciemno przecinającą skaliste wzgórze. Jakkolwiek by było, w tej chwili przydałyby mu się zdolności przywódcze. W żadnym wypadku nie uda mu się dopiąć swego w pojedynkę; musi przeciagnąć Yehoshuę na swoją stronę. I Judith też.

Nie mówiąc o tym, że chciałby ją w końcu mieć w swoim łóżku.

- Słuchajcie - zaczął ponownie, przedtem odchrząknawszy. - Nie musimy tego wcale tak komplikować. Zbadajmy najpierw papiery na własną rękę, a gdy już będziemy wiedzieli, co na nich jest, zawsze możemy zdecydować, co zrobimy.

Yehoshuah pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Czego nie wiesz?

- My - to znaczy ja. To przecież masz na myśli. Mam restaurować papiery. W porządku, uczyłem się tego, ale nie mam w tym dużego doświadczenia. A co, jeśli popełnię jakiś błąd? Coś uszkodzę?

- A czemu miałbyś popełnić błąd?

- Zawsze coś się może nie udać!

Stephen ociągał się. Została mu w rękawie ostatnia karta atutowa, musiał ją rozegrać maksymalnie efektownie.

- Mam nadzieję, że jedno jest dla was jasne - rozpoczął patrząc to na Judith, to na jej brata. - Jeśli wypuścimy na piery z ręki, to odpadniemy z gry. Niczego już się nie dowiemy, nikt nas o nic nie zapyta, nikt nam nic nie powie. Krótko mówiąc, będzie po wszystkim.

Judith otworzyła szeroko oczy. Yehoshuah z głośnym sykiem wypuścił powietrze, zabrzmiało to niemal jak gwizd. Miał ich, oboje.

- I co? - spytał wzruszając ramionami, starając się, żeby jego głos zabrzmiał niefrasobliwie. - Czy ktoś z was tego chce?

Obozowisko spoczywało u podnóża gór pogrążone w ciemności i ciszy. Na namiotach wartowników przywiezionych tu przez Kauna wisiało kilka lamp, rozpraszających mrok przytłumionym światłem. W ich blasku można było dostrzec niewyraźny ruch.

- Do jutra wieczór - powtórzył Stephen, wysiadając.

- Jutro wieczorem rozpoczyna się szabat - powiedział Yehoshuah. Wciąż nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Nie zacznij teraz tylko odgrywać pobożnisa, dobrze? - Stephen zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do Judith. Razem patrzyli, jak samochód jej brata odjeżdża, starając się robić jak najmniej hałasu. Najgłośniejszym dźwiękiem był chrzęst opon po żwirze. Odbijał się echem od gór, a może tylko tak im się zdawało.

Samochód był już zaledwie małym świetlnym punktem w oddali. Ruszyli powoli w kierunku namiotów. Usiana gwiazdami kopuła nocnego nieba wznosiła się nad nimi niczym uchylone wieko skarbcza cesarzowej. Stephen objął ją ramieniem, nie strząsnęła jego ręki, nawet się lekko o niego oparła. Jej włosy miały zapach pustyni i orientu, tajemniczych korzeni z najodleglejszych zaułków bazaru. Pod jej skórą wyczuwał grę mięśni, gdy szli razem szukając drogi; wykorzystał to, by zsunąć dłoń niżej po jej ramieniu, aż objął ją w talii. Jej mięśnie były twarde, wytrenowane, miał uczucie, że trzyma w ramionach tygrysicę. Gdy będą się kochać, jeszcze go zgniecie jak śliwkę.

- Stać! - zatrzymał ich metaliczny głos.

Stanęli zaskoczeni. Z ciemności wynurzył się mężczyzna, żadne z nich go nie znało. Był wysoki i szczupły, ubrany w kombinezon koloru khaki, pozbawiony jakichkolwiek oznaczeń czy tabliczki z nazwiskiem. Włosy miał przystrzyżone krótko jak więzień lub żołnierz marynarki, zwracały uwagę jego niebieskie oczy, którymi mierzył ich oboje, jakby w rzeczywistości były tylko atrapami skrywającymi dwa wbudowane aparaty rentgenowskie. W dłoni trzymał dużą latarkę, którą teraz włączył, by świecić im prosto w twarz.

- Kim jesteście?

Stephen poirytowany zamrugał.

- A kim pan jest?

Niebieskie oczy zwężyły się i zmieniły w wąskie szparki.

- Za późna pora na ten rodzaj dowcipu, młody człowieku. Proszę podać nazwiska i powiedzieć, czego tu szukacie.

- Stephen Foxx i Judith Menez. Pracujemy na wykopaliskach jako ochotnicy. Chcemy tylko iść do

naszych namiotów, bo, jak pan słusznie zauważył, jest już dość późno.

- Macie dokumenty?

- Czy mam...? Nie, nie mam.

Judith miała przy sobie dowód i wyjęła go w mgnieniu oka. Człowiek o błękitnych oczach przestudiował go uważnie i porównał nazwisko z nazwiskiem na liście, wyjętej z jednej z niezliczonych kieszeni jego kombinezonu, nim oddał go jej z przyzwalającym skinieniem głowy.

- No dobrze - stwierdził zjadliwie Stephen - a co będzie ze mną? Zaaresztuje mnie pan teraz? Czy może od razu rozstrzela?

- Bez nerwów - mężczyzna popatrzył na namiot rozpięty nad miejscem znaleziska i pokiwał w kierunku wartowników, żeby któryś podszedł. Natychmiast zgasł jeden z żarzących się papierosów i po krótkiej chwili z ciemności wynurzył się człowiek z przewieszonym niedbale przez ramię pistoletem maszynowym.

- Problemy, sir?

Błękitnooki wskazał na Stephena.

- Znasz tego chłopaka? Wartownik przytaknął.

- Tak, sir. To jeden z kopaczy.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Foxx, o ile mi wiadomo, sir.

- W porządku. Dziękuję.

Wartownik pożegnał się krótkim skinieniem głowy, po czym zniknął ze stożka światła rzucanego przez latarkę. Człowiek w kombinezonie jeszcze raz przyjrzał się Stephenowi od stóp po czubek włosów, potem łaskawie skinął głową i odsunął się na bok.

- Możecie przejść.

- Och, wielkie dzięki - burknął urażony Stephen.

Romantyczna atmosfera ulotniła się bezpowrotnie. Człapali dalej obok siebie, wspinając się do namiotów, oddaleni na długość ramienia. Ponure milczenie omotało ich jak gruba chusta.

- Teraz pewnie zabronią opuszczać obóz - po chwili powiedział Stephen.

- Mhm - mruknęła tylko Judith.

Znow się nie uda. To zajście wszystko zepsuło. Stephen odczuwał bezsilną złość na człowieka, promieniującego przez swój kombinezon w kolorze khaki takim rodzajem fizycznej przewagi, jakiej nie da się pokonać, choćby i całym sprytem świata. Nawet, gdyby postanowił rano rozprawić się z tym gościem, też by to nic nie dało. W najlepszym wypadku dorobi się rozbitego nosa, nic ponadto.

Dotarli do namiotów, zatrzymali się. Stephen stanął na wprost niej, objął jeszcze raz ramionami, nie mając już nadziei, że uda mu się coś jeszcze w niej poruszyć. Nie mógł pozbyć się uczucia, że zawiódł, mimo że wciąż powtarzał sobie, że nie mógł nic na to poradzić.

Spojrzała mu prosto w oczy. Odwzajemnił spojrzenie, zafascynowany jej ciemnymi jak mroczny tunel źrenicami, powiększonymi teraz w ciemności, zdającymi się otwierać widok na nieznany ład.

Może, przemknęło mu przez głowę, tę zawiązaną sytuację mógłby uratować jeszcze atak przez zaskoczenie. Tak właśnie dokonał kiedyś najszybszego podrywu w swoim życiu. Zaproszono go na duże przyjęcie, poszedł tam i nim minęło trzydzieści sekund od chwili, gdy stanął w drzwiach, przed jego oczami przeszła niesamowicie ponętna kobieta, a on, w przypiływie szalonej brawury, zamiast się przywitać, powiedział wprost: „Czy pani się ze mną prześpi?” Spojrzała na niego zaskoczona i, bez długiego namysłu, zgodziła się. po kolejnych sześćdziesięciu sekundach byli już z powrotem drzwiami i dopiero następnego ranka udało mu się zapytać o jej imię.

Wąski sierp księżyca przesłoniły włókniste chmury.

- Kiedyś - powiedziała nagle Judith - gdy tylko spodobał mi się jakiś mężczyzna, szłam z nim do łóżka, nie namyślając się wiele. Ale to na nic. To nie wystarczy.

Stephen odchrząknął.

- Chcesz powiedzieć, że spotkał się za późno? Chyba tego nie usłyszała.

- Szukam innego związku, takiego, który by coś znaczył. Prawdziwego. Rozumiesz?

- Tak, oczywiście. Może poszukasz dalej jutro? Judith uśmiechnęła się, pocałowała go lekko w usta, poczuł tylko tchnienie, i wyzwoiliła z jego objęć. Patrzył za nią, jak odchodzi do swego namiotu, przedostatniego w rzędzie, i czekał w nadziei, że obejrzy się, zamacha do niego, da mu znak, by szedł za nią, coś w tym rodzaju. Ale nie obejrzała się więcej, kroczyła tylko dumnie i ponętnie po oświetlonej blaskiem księżyca zwirowej nawierzchni i w końcu znikła mu z oczu.

Stephen czuł jeszcze jej smakujący sandałowym drewnem pocałunek, a mózg wirował mu jak turbina parowa. Może ona tylko na to czeka, żebyś za nią poszedł, szeptał głosik małego diabła. Że zdradzisz pożądanie graniczące z szaleństwem. Może, może...

Ale uzmysłowił sobie, że Judith dzieli namiot z inną wolontariuszką, Skandynawką, co najmniej czterdziestoletnią, przewiercającą go poważnym spojrzeniem. To idiotyzm. Poszedł do swojego

namiotu, rozebrał się i wskoczył do łóżka. Zresztą, jest śmiertelnie zmęczony. Kompletnie bez formy na erotyczną premierę. No i do tego od rana znów się zaczyna. Ścisłe rzecz biorąc, za kilka godzin. Najwyższa pora trochę się przespać...

Wtedy, na moment przed zaśnięciem, przypomniał sobie wszystko. Jasne, przecież jest jeszcze coś. Poderwał się, S1 egnął po latarkę i poświecił pod łóżko.

Szara, płaska skrzynka wciąż tam stała.

9

Obecnie uważa się za pewne, że w Jerozolimie i jej okolicy w czasach Heroda istniało silnie rozwinięte rzemiosło wyrobu kamiennych naczyń. Wytwarzano je z wapienia, wydobywanego w kamieniołomach położonych na obszarze na wschód od Jerozolimy, przy czym wydaje się, że stosowano dwie technologie wyrobu: jedną było toczenie na tokarce bloków kamiennych, wcześniej ociosanych w przybliżeniu cylindrycznie, drugą zaś ręczna obróbka dłutem.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Peter Eisenhardt obudził się nagle, przez chwilę przewracał się z boku na bok doznając dziwnego strachu, że nie jest w domu, ale że ocknął się w obcym kraju, w obcym łóżku, wreszcie zobaczył żarzące się czerwono cyfry zegara wskazujące osiem minut po piątej i wtedy wszystko mu się przypomniało. Racja. Jest w Izraelu, na pustyni, w dużym mieszkalnym kontenerze, ma go tylko dla siebie. Obok, w niemal identycznym wozie, śpi multimilioner spodziewający się po nim rozwiązania cholernie zagmatwanej zagadki. On zaś nie ma bladego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Pisarz usiadł prosto na łóżku. Z doświadczenia wiedział, że usiłowanie ponownego zaśnięcia mija się z celem. Zwykle spać w obcym łóżku budził się o piątej i już nie zasypiał; było to jego osobistą przypadłością, odkąd sięgał pamięcią. Już jako dziecko, bawiąc z wizytą u ciotki albo babki, budził się o piątej rano i potajemnie błąkał po całym obcym domu, Przyglądał się milczącym rybkom w akwarium albo wyglądał z okna na ulicę, obserwując poranny ruch, czasem jeszcze w świetle lamp, w oczekiwaniu na świt.

Poza tym to łóżko to istna katastrofa. Ma luksusowy wygląd i z pewnością luksusową cenę, ale jest koszmarnie miękkie: gdy się na nim położył, miał wrażenie, że zapada się w górę waty, w głęboki dół, zrobiony specjalnie tak, by maksymalnie usztywnić mięśnie pleców i zdeformować kręgosłup. Właśnie tak się czuł.

Było już jasno. Eisenhardt rozsunął zasłonki robiąc wąską szparę, na tyle, by mógł wyrzeć. Nie widział żadnego ruchu, jak sięgnąć wzrokiem. W zadziwiająco przejrzystym świetle wschodzącego właśnie słońca widać było tylko kamienie i namioty. Oraz bacznie rozglądających się wartowników przy białym namiocie nad złowieszczym miejscem znaleziska.

Wstał, narzucił szlafrok i pantofle, i powłócząc nogami poczłapał do pomieszczenia mającego służyć za coś w rodzaju małej kuchenki: chłodnej, białej, surowej; przytulnej jak sala operacyjna. Charakterystyczna czarna maszyna obok zlewozmywaka, jedyny nie biały ani chromowany obiekt w pomieszczeniu, to z pewnością ekspres do kawy. W jednej z szafek znalazł filiżanki, każda umieszczona osobno w specjalnym uchwycie zabezpieczającym przed stłuczeniem podczas jazdy. Umieścił jedną pod wylewką ekspresu, niepewnie przycisnął duży płaski przycisk na przedniej ściance maszyny, natychmiast zapaliła się mała czerwona lampka przypominająca smocze oko, a we wnętrzu aparatu coś zaczęło szemrać i bulgotać. Rozszedł się aromat kawy.

Trzymając w dłoni filiżankę pełną zbawienego napoju, kontynuował obchód. To z pewnością pokój konferencyjny. Zajmował połowę długości wozu, zapewniając wystarczającą ilość miejsca na ustawienie długiego, białego stołu, przy którym mogło wygodnie usiąść co najmniej dziesięć osób. Stało wokół niego właśnie tyle krzeseł i nie miało się wrażenia ciasnoty. W pokoju znajdował się także flipchart - stojak na duże arkusze papieru. Na jednym z końców stołu postawiono złożony rzutnik, zaś umieszczony w kącie projektor filmowy sprawił, że Eisenhardt zaczął się zastanawiać, jakie może być właściwe przeznaczenie tego wozu, z pewnością wynajętego przez Kauna gdzieś w Izraelu: do kosztownych plenerowych zdjęć na filmowym planie? Czy zwykle siedzi tu zespół produkcyjny i przegląda nakręcone w ciągu dnia sceny? Czy w jego łóżku sypiali reżyserzy lub producenci? Jeśli to w Izraelu musi być niepokojąco wielu reżyserów ze zwyrodnieniem kręgosłupa.

W wąskiej ścianie naprzeciw projektora zamontowano suwane drzwi, być może dlatego, by uniknąć kolizji ze szczytowanym z sufitu ekranem. Zaciekawiony pisarz zajrzał, szafek za drzwiami. Znalazł telefon, poza tym mnóstwo książek, leksykonów historycznych, wszystkie po angielsku. Cóż. Mieli dobre chęci. Lecz bez słownika nie na wiele mu się przydadzą.

Skierował uwagę z powrotem na flipchart. Zamocowano na nim całkiem nowy, gruby blok papieru świetnej jakości. Przygotowano pisaki. Ze starego przyzwyczajenia wypróbował wszystkie, rysując małe kreseczki w narożniku.

W domu także często pracując na zarysem nowej powieści używał arkuszy papieru do flipchartów, gdyż podobało mu się, że są duże i zapewniają dość miejsca na rozrysowanie pomysłów, stojaka jednak jeszcze się nie dorobił. Miał zwyczaj przyklejać arkusze do drzwi lub do okiennej szyby i stać potem przed nimi ze zwykle niezbyt skorym do rysowania pisakiem, nanosząc stopniowo notatki, strzałki, pomysły i szkice, które wkrótce zmieniały się w dziką plątaninę. Rysowanie na oknie było szczególnie

nieprzyjemne w zimie; chłód przenikał przez szkło i papier w kostki palców, aż zaczynały boleć, hamując w ten sposób strumień myśli.

Przysunął do stojaka jedno z krzesel - robiącą masywne wrażenie konstrukcję z chromowanej stalowej rurki i skóry - usiadł na nim i zastygł, wbijając wzrok w pusty papier. Wziął tyk kawy. Zawsze tak robił. Wpatrywać się w pusty papier, czekając, co będzie. Czekając, aż pustka rozprzestrzeni się w jego głowie, robiąc miejsce na nowe, świeże, niespodziewane myśli.

Zadziwiające, jaki panuje tu chłód. Niemal marzył w swej cienkiej piżamie, mimo szlafroka i kawy.

Dlaczego tu jestem? W momencie, gdy pojawiło się to

stanie, pojął, że tkwiło w nim przez cały czas, choć nie zadane. lecz dokuczliwe, przesłaniające wszystko, cokolwiek robił. Uczucie, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu wciąż nie chciało się pojawić, daremnie ten energiczny multimilioner starał się mu to na wszelkie sposoby wmówić i daremnie sam usilnie próbował przekonać o tym samego siebie, wędrując przez luksusowy kontener, luksusowy przynajmniej w porównaniu do namiotów, którymi mu siała zadowolić się większość uczestników wykopalisk. Dlaczego znalazł się tutaj akurat on, spośród wszystkich ludzi których mógłby wezwać tu ktoś pokroju Johna Kauna? Dlaczego on, niezbyt znany pisarz - a nie cały zespół naukowców, historyków, geologów, archeologów, fizyków, całe stado noblistów?

Wszystko tylko po to, by utrzymać rzecz w tajemnicy? To nie może być przyczyna. Zmuszenie do milczenia nawet dużej hordy naukowców jest wykonalne: dowiedli tego Amerykanie pod koniec drugiej wojny światowej, pracując potajemnie nad projektem bomby atomowej.

A może oni wszyscy jeszcze tu przyjadą? Od odkrycia starożytnej instrukcji obsługi minęły zaledwie trzy dni. Przeciętny wysokokaratawy naukowiec z pewnością nie mógłby w tak krótkim czasie oderwać się od swych obowiązków.

Peter Eisenhardt poczuł charakterystyczne pstryknięcie w głowie, w myślach, znał je, pojawiało się w momencie, gdy fakty uwalniały się ze swych zwykłych, tradycyjnych kontekstów, konfigurując się w nową, nieoczekiwaną, najczęściej bardziej rozbudowaną strukturę.

John Kaun wcale nie żąda od niego, by rozwikłał tę zagadkę! Wszystko, czego od niego się oczekuje, to wskazanie drogi, jaką można by ruszyć na poszukiwanie odpowiedzi. Wskazówką tą mogłaby być lista naukowców, odpowiednich do podjęcia tego osobliwego problemu.

W podbrzuszu rozeszło się miłe, ciepłe uczucie. Jego przyczyną nie była kawa, w każdym razie nie tylko kawa. Pochodziło stąd, że nowy punkt widzenia wydawał mu się właściwy. Przede wszystkim dlatego, że dobrze się z nim poczuł - Może więc jednak jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, rzeczywiście i naprawdę. Nawet jeśli brzmi to niedorzecznie. John Kaun wiedział o tym wcześniej niż on sam. Eisenhardtowi wydawało się, że kiedyś pobieżnie oglądał w telewizji reportaż o Kaunie, który teraz śpi w sąsiednim kontenerze, oraz, że w tamtym programie mówiono o tym, że Toner ma szczególny talent do dobierania właściwych ludzi do właściwych zadań, potrafi znakomicie wykorzystać ich talenty i umiejętności.

- Kimże ja jestem, żebym się spierał z telewizją? - mruknął smakując na wargach sarkazm zawarty w tych słowach. Dokładnie o to chodziło. Teraz mógł zacząć. Jego zadaniem było przemyśleć ten niezwykle zagmatwany problem, przyrzeć mu się ze wszystkich stron i znaleźć sposób, w jaki należy zabrać się do rozwiązania zagadki. A w tym rzeczywiście jest niezły. Przecież pracując nad pomysłem nowej powieści nie robi nic innego. Jedyna różnica polega na tym, że w przypadku powieści problem, który mieli za zadanie rozwiązać jego bohaterowie, także wymyślał sobie sam, lecz od tego momentu całe zadanie polegało w zasadzie na znalezieniu odpowiedzi.

Ciekawa myśl. Możliwe, że dałoby się na niej skonstruować całkiem nową teorię prowadzenia narracji. Lecz on wzbraniałby się przed tym; już podczas swoich szkolnych lat stwierdził, że nic tak nie zanieczyszcza źródła, z którego tryska pisarska wyobraźnia, jak jakakolwiek forma literaturoznawstwa. Ponownie wbił wzrok w pusty arkusz. Patrzył na krótkie kreseczki w górnym prawym rogu. Czerwony, zielony, niebieski, czarny. Czarny nieco zachwiany. Czerwony raczej krótki. Nie do wiary, jaką różnorodność wzorów można odkryć w czterech sąsiadujących ze sobą kolorowych kreskach, jeśli tylko przyglądać się im dostatecznie długo!

Z westchnieniem wstał, wrócił do wąskiej kuchenki i zmusił automat do nalania drugiej filiżanki kawy. Gdy sypał do niej cukier i nalewał mleko, dotarł do niego fakt, że porostu nie jest w stanie uwierzyć w taką możliwość, by podróż w czasie wydarzyła się naprawdę.

To było irytujące. Spojrzał na filiżankę, na wirującą w niej równomiernie kawę i wreszcie potrząsnął głową, równocześnie chichocząc ze zdumienia. Nie do wiary. On, autor dwóch powieści o fabule osnutej właśnie wokół podróży w czasie, a także sporej liczby opowiadań, w których ludzie przemieszczali się w przeszłość, przyszłość, w czasy równoległe lub wpadali w strumień czasu płynący w przeciwnym kierunku - właśnie on powinien czuć się w obowiązku mocno wierzyć w możliwość poruszania się w czasie.

A jednak tak nie było. Odczuwał silny wewnętrzny sprzeciw. Fabuła, w porządku, to coś innego. Ale nie

rzeczywistość. W opowiadaniach i powieściach był zdolny do popełniania morderstw, uwodzenia kobiet, szpiegowania pilnie strzeżonych tajemnic państwowych stawiając przy tym dzielnie czoło całym legionom wrogów. W realnym świecie trudno mu było zdobyć się na zabicie choćby muchy (które w lecie w ich mieszkaniu stawały się prawdziwą plagą; mimo to zawsze próbował wypędzić je żywe za okno). W realnym świecie był wierny żonie, szczęśliwy, że wybrała właśnie jego, poza rym mimo upływu lat wciąż był nieśmiały w kontaktach z przeciwną płcią. Zaś gdy próbował przypomnieć sobie najbardziej waleczny bój, jaki kiedykolwiek stoczył, nieodmiennie przychodziła mu na myśl policjantka, której drżącą ręką oddawał wypisany właśnie mandat, zwracając jej uwagę, że zegar parkingowy, przy którym stoi jego samochód, jest zepsuty. Jej nedorzecznemu zarzutowi, że nie powinien był parkować przy uszkodzonym zegarze, przeciwstawił się tak gwałtownie, że w końcu odebrała mu mandat i podarła. Podróż w czasie. Cóż za nonsens. Wziął filiżankę z kawą, przeszedł z powrotem do stołu konferencyjnego, chwycił czarny pisak i pisząc dużymi literami napisał na środku arkusza:

Podróż w czasie?

Potem otoczył te słowa owalną ramką, pociągnął od niej ukośną strzałkę w prawo ku górze i napisał na jej końcu: *możliwa?* Dalej następną strzałkę, i: *Zapytać Dominika!* Jak wszyscy pisarze science fiction, on także miał swoich naukowych konsultantów - przyjaciół, mających *prawdziwą* orientację w tematach ważnych dla jego historii. Dominik był wśród nich absolutnym geniuszem, źródłem wiedzy, kimś, kto potrafi odpowiedzieć na każde pytanie i uzasadnić swoją odpowiedź, a w szczególnie trudnych zagadnieniach umie przynajmniej doradzić, kto ma wiedzę potrzebną w danym przypadku. Jeżeli istnieje naukowy dowód na niemożliwość podróżowania w czasie, Dominik na pewno o nim słyszał. Uwielbiał te dziedziny wiedzy, niedostępne dla zdrowego ludzkiego rozsądku - fizyka kwantowa, teoria względności, cały ten kram.

Następna strzałka, tym razem od centralnego kręgu na ukos w prawy dolny róg: *Inne wytłumaczenia?*

Stał teraz dłuższą chwilę nieruchomo, żując tylko końcówkę pisaka. Zupełnie zapomniał, że na zewnątrz toczą się prawdziwe wykopaliska, że poprzedniego wieczora rzeczywiście zszedł do wykopu i we wnętrzu wyglądającego na starożytny Inianego worka znalazł plastikowy woreczek, również wyglądający na starożytny. Rzeczywistość znikła, ustąpiła pola abstrakcyjnym strukturom, elementom dramatycznym, składnikom fabuły, w dzikim tańcu układającym się we wciąż nowe wzory i sekwencje. Istnieje pewna kategoria historii kryminalnych, wszystkie mają podobny punkt wyjścia: kogoś zamordowano w pokoju zamkniętym od wewnątrz, z którego nie ma możliwości ucieczki. Każda z tych kryminalnych historii daje własne, wyrafinowane wyjaśnienie, w jaki sposób dokonano zbrodni i jak morderca zbiegł z miejsca przestępstwa, przy czym finezja danego rozwiązania zagadki stanowi o uroku opowiadania. Myśli Petera Eisenhardta poruszały się teraz mniej więcej w takim obszarze.

Oglądana z takiej perspektywy, historia o mającej dwa tysiące lat kamerze wideo i o podróży w czasie była naprawdę utkana z cienkiej przędzy. Datowane na dwa tysiące lat miejsce znaleziska widziało w nienaruszonym stanie tylko jedną osobę, ów młody człowiek, którego jeszcze nie zdążył poznać. Od biedy może jeszcze profesor. Nawet Kaun nie miał dowodu na to, że wiek zabytku określono prawidłowo. Z tego powodu wysłał próbki do amerykańskiego laboratorium, któremu zlecił określenie ich wieku metodą radiowęglą C-14; uznawaną za absolutnie nieomylną.

Lecz zakładając, że ktoś znalazłby sposób na przechylenie metody radiowęglą? Eisenhardt nakreślił strzałkę, owalną obwódkę, znak zapytania, po czym napisał: *Falszerstwo? C-14?*

Jak można by dokonać takiego fałszerstwa? Eisenhardt próbował przypomnieć sobie, co wie o metodzie radiowęglą. Zbierał kiedyś o niej informacje, przygotowując się do pisania powieści, lecz było to dawno temu. Więc, jak to jest żywy organizm - na przykład roślina, której celulozy użył do wyprodukowania papieru na instrukcję obsługi - po czasie całego życia dokonuje ciągłej wymiany z otoczeniem. Między innymi stale pobiera atomy węgla i oddaje je w zmienionej postaci. Zasadnicze znaczenie ma fakt, że część atomów węgla stanowią nie normalne cząsteczki o liczbie atomowej 12, lecz atomy izotopu węgla C-14, lekko radioaktywne. Dlatego metodę radiowęglą nazywa się czasem metodą C-14.

Ale co dalej? W domu mógłby sięgnąć do starych notatek. Teraz zdawało mu się, że pamięta istotę metody. Organizm umiera. Od tego momentu nie odkłada się już w nim więcej atomów węgla. Atomy C-14, obecne w martwych tkankach, ulegają powolnemu, lecz równomiernemu rozpadowi. Ich udział w całkowitej ilości węgla maleje z upływem czasu - i to niezależnie od tego, czy martwy organizm skamieniał, czy go zakopano, zmumifikowano, czy poddano innej obróbce. Żadna z tych okoliczności nie ma wpływu na rozpad radioaktywny - dlatego na podstawie stosunku ilości obu rodzajów węgla można niezawodnie określić wiek każdego martwego organizmu.

Eisenhardt potarł skronie. Musi to jeszcze sprawdzić, lecz jeśli jest prawdą, że udział radioaktywnego węgla C-14 *maleje* z biegiem czasu, bombardowanie znaleziska promieniami radioaktywnymi byłoby pozbawione sensu. Co najwyżej udałoby się doprowadzić do tego, że obiekt uznano by za młodszy niż jest w istocie. W tym przypadku to nieprzydatne. Odwrotnie - przydałby się tu sposób na *przyspieszenie*

radioaktywnego rozpadu. Lecz coś takiego przecież nie istnieje. A jeśli ktoś znalazłby taką metodę, użyłby jej do likwidowania odpadów nuklearnych i teraz spał na forsie, zamiast trudzić się fałszowaniem wątpliwych dowodów.

A jednak. Eisenhardt stał dalej w tym samym miejscu, wciąż żując oprawkę czarnego pisaka, jakby stracił już nadzieję na prawdziwe śniadanie, i patrząc nadal na duży *Bi'* kusz papieru i narysowane na nim znaki zapytania. A jednak. Czy to nie byłaby dobra odpowiedź? Ukryta prawda? Czy ktoś tutaj nie stara się dokonać wielkiego fałszerstwa, zaś on Peter Eisenhardt, nie jest z jakichś nieznanych przyczyn elementem tego planu?

Ta myśl sprawiła, że serce zabiło mu szybciej. Zwykle było to przyjemne uczucie, znaczyło, że znalazł zapierający dech w piersiach wątek, coś, co sprawiało, że krew zaczynała żwawiej krążyć w żyłach a słowa spływały na papier wartkim strumieniem. Lecz nie tym razem - zniecka znów wróciła świadomość sytuacji, w jakiej się znalazł, przypomniła o sobie odsunięta w tło rzeczywistość, wóz mieszkalny, obozowisko, dobiegający z zewnątrz odgłos kroków po kamieniach, pierwsze pobrzękiwanie naczyń w namiocie kuchennym - nie, tym razem to nie powieść. Tutaj jest sam, nikt go nie chroni, poczuł się rzucony na pastwę. A jest tylko słabym, niezdarnym pisarzem, żaden z niego James Bond.

Jeśli to fałszerstwo, kto się za nim kryje? Kaun? Ten młodzieniec, który jakoby znalazł Iniany worek? Jeśli to on, co będzie z tego miał?

Jego myśli znów wskoczyły na tory rozważań kryminalnych, znanych mu z opowiadań detektywistycznych. Jak brzmią trzy warunki, które muszą być spełnione, żeby uprawdopodobnić historię? Możliwość, sposobność i motyw.

Motyw. Hm.

Eisenhardt wbił niewidzące spojrzenie w przestrzeń. Potem odłożył czarny pisak z powrotem do rynienki, oderwał z bloku pierwszy arkusz i zaczął go drzeć na coraz mniejsze kawałki, aż zostały mu tylko skrawki wielkości dłoni, które wyrzucił potem do kuchennego śmietnika.

Musi sprawdzić, jaką reputacją cieszy się profesor Wilford-Smith - czy może stracić opinię poważnego naukowca, czy ją zyskać? Wiedział już, kogo zapyta.

10

Od strony północnej w wykopie (512) widoczna jest szara warstwa (513) i mur (n), zaś po stronie południowej nagromadzenie czterech warstw (514)-(517) wzajemnie przenikających się, z których druga od góry jest grubą na około 0,07 m warstwą białej murarskiej zaprawy (515), zaś najniższa (517) częściowo stanowi wypełnienie kolejnego wykopu (518).

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Kaun zbudził się, czuł się ciężki, nieskończenie ciężki, podobny bardziej do worka napelnionego gęstym, cuchnącym torfem, niż do człowieka. Czuł się tak każdego ranka. Poranki stały się dla niego najgorszą porą dnia, której obawiał się zawsze już poprzedniego wieczora. Każdego ranka czuł się jeszcze cięższy, jeszcze bardziej bezwładny, bardziej zmęczony niż poprzedniego. Pewnego dnia obudzi się i nie zdoła w ogóle wprawić się w ruch.

Winne temu są oczywiście te wszystkie tabletki, które łyka. Jak zażartował o tym w rozmowie ze swoim lekarzem? „To jednak dobrze, mieć tak wielką masę, taką bezwładność. Jeśli wtedy człowiek się ruszy, nic go już nie może powstrzymać. W tym tkwi tajemnica mojego sukcesu”. Oczywiście, dobry doktor Leuven tylko lekko skrzywił się w uśmiechu. Być może był zbyt dobrym lekarzem, by móc widzieć jedynie finansowe aspekty takich wycieczek swoich pacjentów. Kaun nie był w stanie tego ocenić. Dla niego liczyło się to, że Leuven przepisuje mu wszystko, czego mu trzeba, i że trzyma język za zębami. Przede wszystkim, że trzyma język za zębami.

O Boże. Cóż, zaczynamy. Zdołał poruszyć dłonią, zawsze to jakiś początek, sięgnął do nocnej szafki, na niej leżało pudełeczko. Mała srebrna skrzyneczka, oprawiona macią perłową. Musiała taka być, u kogoś z jego pozycją. Choćby pigułki w środku były irytująco tanie.

Pokonał pokusę, by wziąć więcej niż trzy przepisane mu przez doktora Leuvena, połknął je bez wody i czekał, aż dozna ich błogosławionego działania. Aż wprawią go w ruch Tamte słowa o bezwładnej masie były tylko po części żartem. Energia kinetyczna, naprawdę w nią wierzył. W niej kryła się tajemnica efektywnego dowodzenia: trzeba być szybszym od pozostałych, szybszym i przede wszystkim bardziej nieomylnym. Trzeba mieć energię kinetyczną. W razie potrzeby trzeba wyprzedzić każdego i wszystko, i trzeba sprawiać *wrażenie*, że jest się w stanie w każdej chwili każdego i wszystko wyprzedzić. Tylko w ten sposób można zyskać respekt. Jednym słowem, efektywne dowodzenie ludźmi jest kwestią impetu..

Czuł, że tabletki zaczynają działać. Ciepło przeniknęło całe jego ciało, odpędziło ociężałość, sprawiło, że wszystko stało się lekkie i ruchliwe, zdjęło zastonę z oczu i zmieniło ucisk w głowie w poczucie przyjemności. Fantastyczne tabletki. Dlaczego doktor Leuven wciąż się im sprzeciwia?

Gdy wreszcie usiadł na krawędzi łóżka, zauważył, jak zawsze, jak bardzo przelotne i zdradliwe jest to przyjemne uczucie. Potrwa jeszcze trochę, nim poczuje się naprawdę dobrze. Całe szczęście, że jest sam. Jego żona obrzuciłaby go teraz zrzędliwym potokiem słów, długą listą wiecznie tych samych zarzutów i pogardliwych wymówek, aż do punktu wrzenia, gdy ogarniało go uczucie, że jego głowa może w każdej chwili pęknąć i że za chwilę ją uderzy. Przeważnie odchodził, a ostatnio odkrył, jak przyjemnie jest podróżować po świecie bez niej. Złościło go jedynie to, że mógł winić tylko samego siebie - gdy się z nią żenił, zwracał uwagę właściwie tylko na to, jak wygląda obok niego na fotografiach, myślał wyłącznie w kategoriach „stosownie do pozycji” i „kobieta u boku zwycięzcy”. Co za stereotyp! *Bullshit!* Za każdym razem, gdy wracał do ogromnej willi, którą kupili na Coney Island, ze stajniami i mnóstwem garaży, niezliczonych pokoiów i sal, czuł się w niej obcy, jak aktor odgrywający rolę męża. Tak długo upychała tam niezliczone, bezwstydnie drogie świecidełka, aż w końcu spełniło się jedyne prawdziwe, szczere marzenie jej płaskiego życia: czasopismo o urządzeniu mieszkań, podobno najbardziej liczące się w Ameryce, poświęciło ich domowi dwunastostronicowy reportaż. Dwanaście stron! Wszystkie w kolorze! Miesiącami potem mówiło się o tym na tych wszystkich głupawych przyjęciach, które wydawała, z tymi wszystkimi głupawymi ludźmi, których ściągała nie wiadomo skąd. Powlókł się do łazienki, odkręcił kurek i podstawił głowę pod strumień zimnej wody. Przelotnie pomyślał o wysokości kwot, jakie musiało kosztować zużywanie pośrodku pustyni takich ilości lodowato zimnej wody, lecz był to jedyny sposób na pozbycie się z czaszki niezdolnego kołatania, i tylko to się liczyło. Takie było jego życie. Nienawidził każdego jego szczegółu, z wyjątkiem swego biura i swej firmy. W ostatnich miesiącach często zadawał sobie pytanie, czy czasem prawdziwa tajemnica męzczyzn odnoszących sukcesy nie tkwi w tym, że wspomnienie czekającej na nich w domu niezdolnej kobiety pozwala im z czystym sumieniem zostawać dłużej w biurze i bez końca pracować, co wydaje im się lepsze od czegokolwiek innego w ich życiu.

Lecz wśród niepisanych praw obowiązujących w sferach mających się za wyższe, było i takie, by w każdej chwili sprawiać wrażenie człowieka żyjącego w doskonale dobranym związku i w ogóle w pełni

szczęśliwego, naturalnie w każdym calu przekonanego o tym, że wszelkie szczęście zawdzięcza wyłącznie sobie, własnemu wysiłkowi i pracy. Nie było nikogo, kogo mógłby otwarcie spytać, czy i w jego przypadku potwierdza się owo przynębiające podejrzenie.

Cóż, tymczasem jest tutaj, oddalony od domu o tysiące cudownych mil. Wziął do ręki maszynkę i przystąpił do golenia ciemnego, twardego zarostu, tak samo dokładnie, jak analizował zawierane przez siebie kontrakty. Podczas tej czynności znikły ciemne kręgi pod oczami, jakby były to tylko Wenie. Zbliżał się prawdziwy początek dnia.

Następnie uczesał się, niezwykle starannie prowadząc grzebień, przystrzygł sterczące tu i ówdzie niesforne włoski. Przyjrzał się swej twarzy szukając ewentualnych usterek. Czy mu się wydaje, czy rzeczywiście dostrzega już lekki odcień naturalnej opalenizny? Tym lepiej, to oszczędzi mu czasu w solarium. Sięgnął po leżącą w gotowości koszulę. W domu miał pokojowego, lecz był to tylko kolejny kaprys jego żony; nie potrzebował nikogo takiego, doskonale sam sobie radził. Bez trudu, szybko i pewnie pozapinał koszulę. Tak, stopniowo powracała sprawność, ruchliwość, był podobny do parowej lokomotywy, siedem ton stali na kołach, najpierw wydaje się, że ani drgnie, ale gdy raz ruszy jest niepowstrzymana. Czysta moc. Czysta energia kinetyczna.

Dobierając odpowiedni garnitur namyślał się długo. W kwestii garderoby, najdroższą uznawał za akurat w sam raz dla siebie. Był głęboko przekonany, że kosztowny strój bywa najważniejszym argumentem w interesach. Trzeba pokazać, że jest się właściwą osobą, że jest się jednym z tych na samym szczycie - obojętnie, czy już się tam jest, czy dopiero chce się tam dostać. Jeśli ktoś pragnie mieć dużo pieniędzy, musi wyglądać tak, jakby już je miał.

W taki właśnie sposób zaczęła się kiedyś jego kariera w mediach: czasopismo, podające się za prasę ekonomiczną, obwołało go „najlepiej ubranym menadżerem roku”. Oczywiście nie informując go o tym. W rzeczywistości gazeta ta tylko sprzedawała kolorowe bajeczki ze świata bogatych i możnych, lubiącym mrzonki mężczyznom, zaś dużą ilość powierzchni reklamowej producentom zbyt drogich koszul i okropnych męskich perfum (o nazwach w rodzaju „Wall Street” lub „Success”). Lecz w następstwie zwróciły na niego uwagę inne magazyny, doniesienia stały się dłuższe i coraz bardziej entuzjastyczne, a od jakiegoś czasu wzbierało w nim uczucie, że wciąż musi starać się sprostać idealnemu wizerunkowi, jaki wytworzyły mu media. I nabierał coraz większej pewności, że te starania są gonitwą, której nigdy nie wygra.

Przykra prawda, która w niepojęty sposób do tej pory wciąż umykała reporterom, polegała na tym, że paradny kon jego koncernu, firma N.E.W. *News and Entertainment Worldwide Corporation* nie przynosiła wartych wzmianki zysków. Nieraz już prześliznęła się za ledwie o włos od czerwonych cyfr i każdego roku poświęcał znaczną część swego cennego czasu na formułowanie raportów w tak zawiły i pomysłowy sposób, by ukryć w nich malejące kwoty bilansu bez narażania się na oskarżenie o oszustwo. Do tej pory udawało mu się, nikt nic nie zauważył. Wciąż jeszcze więcej było ciągnących ku niemu osłepionych blaskiem jego image'u inwestorów, niż tych opuszczających go z rozczarowaniem. Pracował, walczył i drżał z obawy - wszystko podporządkowane jednemu celowi: dokonać przełomu, osiągnąć punkt zwrotny i przetrwać zaufanie inwestorów w żywą gotówkę.

A to oznaczało: przetrwać. Jego imperium stało wciąż na glinianych nogach. Niczym przestrożę miał wciąż przed oczyma - tak bardzo, że całkiem poważnie zastanawiał się, czy nie postawić na biurku fotografii tego człowieka - los dawno zapomnianego magnata nieruchomości z lat osiemdziesiątych, nazwiskiem Donald Trump, przez długie lata fetowanego przez media jako cudowne dziecko gospodarki i człowiek sukcesu, tak długo, aż sam w to uwierzył i stał się lekkomyślny. Niektórzy potem nazywali to „manią wielkości”, a wielu z tych, którzy to mówili, należało do świty oklaskującej go, gdy zdawał się być jeszcze na szczycie. Jego upadek był gwałtowny i przerażający - banki cofnęły kredyty, inwestorzy wycofali się, projekty upadły - spadł nisko, bardzo nisko, niemal zupełnie zniknął z powierzchni.

John Kaun za wszelką cenę chciał uniknąć takiego losu. A każdego ranka z lustra krzywiła się do niego w szyderczym grymasie kompletna plajta. Żył na wysokiej stopie, życiem milionera, musiał tak żyć, jeżeli chciał prowadzić interesy, które prowadzić musiał. Lecz żyjąc w ten sposób czerpał z zysków, które dopiero miał nadzieję osiągnąć. Gdyby zdarzyło się coś, co wytrąciłoby go z torów, zmieniłby się w człowieka z milionowymi długami i resztę życia strawiłby na ucieczce przed bezwzględny wierzytelcami. Oto, jakie to wszystko Proste. Tak naprawdę, jeśli zbilansować, niczego jeszcze w życiu nie osiągnął. Jego nowojorski szofer, który dwa miesiące temu skończył spłacać hipotekę domku na Staten Is-land, jest lepiej sytuowany od niego.

Górującym nad wszystkim wzorcem, wielkim przeciwnikiem, niezwykłym numerem jeden, była oczywiście CNN, *Cable Network News* należąca do równie prominentnego Teda Turnera. Tego, który, co John Kaun obserwował zgrzytając zębami, poślubił aktorkę Jane Fondę i wyglądał na naprawdę szczęśliwego. Przełomem dla CNN'u była wojna w Kuwejcie wielka godzina dla uzbrojonych w telefony satelitarne reporterów, donoszących na żywo ze stolicy wroga, a wszystkie pozostałe stacje informacyjne zmuszone były do korzystania z ich obrazów, doniesień i komentarzy. Tak, wtedy wybiła

godzina chwały Teda Turnera, a on ją wykorzystał, na Boga naprawdę wykorzystał. Uczynił z CNN hasło bardziej dziś popularne niż skrót BBC, dawniej ceniony tak wysoko, zaś jego nadawany okrągłą dobę program informacyjny jak wystrzelony z katapulty wskoczył do wszystkich sieci telewizji kablowej na świecie i, cokolwiek by się jeszcze zdarzyło, trudno dziś wyobrazić sobie, by tego człowieka mogło zabraknąć na panteonie wielkich przedsiębiorców.

W porównaniu z nim N.E.W. to tylko małe światełko, nawet nie numer dwa, lecz środek peletonu. Ściśle tajne ankiety wykazały, że wprawdzie około jedna trzecia Amerykanów zna skrót N.E.W., wie, że chodzi o stację telewizyjną - niektórzy wiedzą nawet, że N.E.W. można przez satelitę odbierać na całym świecie - jednak gdy pokazywano im logo firmy, rozpoznawało je zaledwie niespełna dwa procent. Znaczyło to, że większość słyszała o N.E.W., lecz go jeszcze nigdy nie widziała, ponieważ logo jest widoczne na ekranie niemal nieustannie. A to znaczyło dalej, że większość zna N.E.W. tylko z doniesień o nim, Johnie Kaunie. N.E.W. i John Kaun, zawsze kojarzeni razem. Co zresztą nie było nawet takie złe. Zawsze to lepiej, niż gdyby raptownie wyszło na jaw - czego Kaunowi udawało się do tej pory zawsze unikać za pomocą rozmaitych sprytnych tricków - że jedyną firmą koncernu, która naprawdę zarabia pieniądze jest fabryka chipsów ziemniaczanych w Oklahomie.

W całej tej historii z kamerą wideo, mimo że wydawała się tak niespodziewana, zaskakująca i zagmatwana, z rosnącą nadzieją dopatrywał się *swojej* szansy przejścia sterów. Taki jego prywatny ekwiwalent wojny w Zatoce Teda Turnera. Jeżeli zdoła zrobić odpowiedni użytek z tego znaleziska, może w przyszłym roku to jego ogłoszą numerem jeden.

Cóż za łańcuch cudownych zrządeń losu i przypadków! Prośba o finansowanie wykopalisk brytyjskiego profesora dotarła do niego okrężną drogą i dało się w niej dosłyszeć wyraźny podtekst, że niektórzy jego inwestorzy żydowskiego pochodzenia z zadowoleniem przyjęliby do wiadomości tego rodzaju zaangażowanie firmy w Ziemi Świętej. Już to stanowiło wystarczająco mocny argument, poza tym uznał taką możliwość za względnie mało kosztowną sposobność postawienia nogi w Izraelu - pod pozorem robienia dokumentacji wykopalisk mógłby wysłać tam reporterów, a jeśli potem „przypadkiem” uda im się zrobić zdjęcia powstania Palestyńczyków, cóż, takie jest życie, prawda?

A teraz to.

Kompletnie ubrany, buty błyszczące, z butonierki dyskretnie wystaje rąbek perfekcyjnie złożonej chusteczki - spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Tak. Taki może pojawić się na ekranach telewizyjnych na całym świecie, przy oglądalności wyższej niż uzyskało ją lądowanie człowieka na Księżycu, walka bokserska Cassiusa Claya z Joe Frazierem czy uroczystości pogrzebowe tragicznie zmarłej Lady Diany, księżnej Walii (jeszcze jedno nieudane małżeństwo, przemknęło mu przez myśl).

Szanowne Panie i Panowie, oczyma wyobraźni widział jak mówi z wystudiowaną skromnością, N.E. W. ma zaszczyt zaprezentować Państwu, posiadany wyłącznie przez nas, niezwykle filmowy dokument. Za chwilę zobaczą Państwo, po raz pierwszy w historii telewizji, autentyczne nagranie wideo, na którym zarejestrowano kazanie na górze Jezusa Chrystusa. Albo wjazd do Jerozolimy. Albo ukrzyżowanie. Obojętnie co, wszystko zapewni stuprocentową oglądalność. W chwili, gdy pojawi się na ekranie mówiąc te słowa, wszystkie pozostałe stacje telewizyjne na świecie mogą praktycznie wyłączyć nadajniki. Ponieważ Jezus Chrystus mówi po aramejsku, opatrzyliśmy materiał angielskimi napisami. Wielki Boże - to dopiero sensacja!

Dość marzeń. Kamery wideo jeszcze nie ma.

A znaleźć ją będzie może trudniej, niż ktokolwiek jest w stanie przewidzieć.

Nie mają nawet niepodważalnego dowodu na to, że takie nagranie w ogóle istnieje. Lub że nadal istnieje. A nawet Jeśli tak, może być zakopane dosłownie wszędzie w całym Izraelu. Na znalezienie go trzeba będzie może lat lub dziesięcioleci. A jeżeli jakakolwiek informacja o znalezisku przeniknie na zewnątrz - jeśli to potrwa dłużej, nie da się tego uniknąć - wówczas może się jeszcze zdarzyć, że szukana kaseta znajdzie w końcu jakiś murarz albo pastuch.

Kaun ciągle patrzył na swoje lustrzane odbicie, prosto we własną twarz, skrzywioną w ponurym grymasie. Każdy dzień spędzany tu na pustyni kosztował go niebotyczne sumy. Nie mówiąc o kłopotach, jakie pojawiły się we wszystkich zakamarkach jego kruchego imperium z powodu nieobecności szefa, jego braku uwagi. Jeśli poszukiwania będą się przeciągać, będzie musiał co najmniej raz albo dwa razy na tydzień lecieć do Nowego Jorku i pokazać się w biurze. Ryzykowne, ogromnie ryzykowne.

Pewne nadzieje wiązał z niemieckim pisarzem. Do tej pory wprawdzie jeszcze wiele nie powiedział, ale może przesadą byłoby oczekiwać czegoś po nim od razu w dniu przybycia. Powieści Eisenhardta, jak mu powiedziano, uważane są za przemyślane i oryginalne, niektóre zdobyły nawet jakieś nagrody, a przede wszystkim często obierały za temat podróże w czasie. Tak, przeczuwał, że pisarz dostarczy im cennych punktów wyjścia do poszukiwań.

Mimo to sprowadzi kolejnych specjalistów. Oczywiście jak najmniej, by nie prowokować nieszczęścia, lecz wystarczająco wielu, by jak najszybciej skończyć z obecnym amatorstwem i rozpocząć profesjonalne poszukiwania. Musi o tym porozmawiać z profesorem, najlepiej zaraz przy śniadaniu.

Prawdę mówiąc, w tej chwili nie miał jeszcze pomysłu, w jaki sposób może naprawdę optymalnie spożytkować tę taśmę wideo, gdy ją wkrótce będzie trzymał w dłoni. W porządku, może ją nadać, z wyłącznością dla własnej stacji, wcześniej inwestując ogromne kwoty w reklamę. Ale oczywiście natychmiast pojawią się potężne kontrowersje, czy kaseeta jest prawdziwa, czy *możliwe*, by była prawdziwa, a to odpowiednio pomniejszy wartość audycji. W najlepszym wypadku rzucą się na nią zastępy uczonych, by latami dyskutować wszystkie za i przeciw, i nigdy nie dojść do jednoznacznego wniosku, jak w przypadku całunu turyńskiego, uważanego przez niektórych za całun pogrzebowy Chrystusa. Badają go od pięćdziesięciu lat i każdy mówi co innego: dla jednych jest autentyczny bez cienia wątpliwości, dla innych to wyrafinowane fałszerstwo z niezbyt odległego stulecia.

A w najgorszym wypadku, pomyślał Kaun, sensacja okaże się P° prostu ślepym nabojem, wybuchnie bez huk, jak niegdyś film, pokazujący jakoby sekcję zwłok istoty pozaziemskiej, przeprowadzoną i zarejestrowaną na taśmie na początku lat pięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych. Wyznawcy istnienia UFO widzieli w tym filmie potwierdzenie swych poglądów, sceptycy znajdowali najróżniejsze dowody na to, że jest sfałszowany - nikt nie zmienił swoich przekonań ani na jotę.

Jak w takim razie zostanie potraktowane nagranie, nakręcone jakoby przed dwoma tysiącami lat? Kaun przeszedł do małej, funkcjonalnie urządzonej kuchenki i napełnił filiżankę swą pierwszą kawą, pierwszą z co najmniej dwudziestu.

Podczas wczorajszej narady blefował. Starał się robić wrażenie, że przemyślał już w najdrobniejszych szczegółach swe plany co do kasety wideo. Pomysł, żeby sprzedać ją Watykanowi, pojawił się spontanicznie, mniej więcej w rym właśnie momencie, gdy go głośno sformułował. To było w jego pracy niesłychanie ważne: nigdy nie dać poznać po sobie niepewności, pojawiające się spontanicznie idee wypowiadać tak, by pozostali odnieśli wrażenie, iż on przemyślał je już dawno i w ogóle jest już o wiele dalej niż ktokolwiek inny - a przy tym przedstawić je w taki sposób, by nikt potem nie mógł go nimi zniszczyć, gdyby okazały się nietrafne. W tej dyscyplinie, wciąż musiał sam się o tym zapewniać, z biegiem lat osiągnął mistrzostwo.

Lecz może, zastanowił się biorąc łyk czarnego, mocnego wrzątku, to wcale nie taki zły pomysł. Z pewnością więcej pieniędzy przydałoby mu się równie bardzo jak więcej popularności, głównie dlatego, że tym razem nie byłyby to, jak zawsze, pieniądze inwestorów, które kiedyś trzeba będzie spłacić, lecz prawdziwe, dobre, własne pieniądze. Decyzja zależeć więc będzie w przeważającej mierze od wysokości możliwej do osiągnięcia ceny, a to jest coś, co musi kazać sprawdzić, najlepiej zaraz: co właściwe kościół katolicki *po-S1ada* takiego, co miałoby jakąś wartość?

Odchylił zasłonkę w jednym z okien biura i trzymając w dłoni kubek z kawą wyrzwał na pustynię, nad którą nawet o tak wczesnej porze powietrze drgało od upału. Może zlecić zbadanie tego jakiemuś reporterowi? Albo lepiej prawnikowi. W jego wyobraźni pojawiły się spontanicznie obrazy skarbów sztuki znajdujących się w posiadaniu Stolicy Apostolskiej które na zupełnie ateistycznym rynku z pewnością także uzyskałyby niewyobrażalnie wysokie ceny. Dzieła sztuki, tak i nieruchomości. Kościół katolicki musi dysponować niezmiernie wielkimi zasobami nieruchomości - te wszystkie kościoły, klasztory, kaplice i probostwa, na całym świecie. I przeważnie z najlepszą lokalizacją, najczęściej w centrum miast.

Przez jego twarz przemknął przelotny uśmiešek. Wymiana. Wideo za działki, na których stoją kościelne budynki. A on, John Kaun, będzie od tej chwili kasował czynsz albo dzierżawę, jak zwał tak zwał, i to do końca świata.

To dopiero interes! Na myśl przyszło mu mnóstwo osób spośród jego znajomych, które, jak się spodziewał, padłyby trupem na wieść o jego zamiarach. Jedni, ponieważ deklarował się jako dobry katolik, inni z zazdrości.

I wtedy, jak grom z jasnego nieba, jak boskie natchnienie, pojawiła się ta myśl. Rozwiała niedorzeczne mrzonki. Pojawiła się, rozprzestrzeniła i od pierwszej chwili wydała mu się niezła. *Prawdziwa*. John Kaun zaciągnął znów zasłonkę i skoncentrował się na tej myśli. *Korzystniej będzie prowadzić rokowania nim kaseeta zostanie znaleziona*. W myślach obracał pomysł, oglądając go z każdej strony i miał to elektryzujące uczucie, pojawiające się zawsze, gdy trafiał na trop naprawdę intratnego przedsięwzięcia. Dopóki taśma nie zostanie znaleziona, może na niej być dosłownie „wszystko”. Do tego momentu wyobraźnia potencjalnego kupca będzie podsuwać mu najbardziej szalone fantazje. Ludzie Kościoła mogliby na przykład nabrać obaw, że nagranie na kasecie pokaże Jezusa, który nie był martwy, gdy go zdejmowano z krzyża. Albo, że zmartwychwstały był w rzeczywistości sobowtórem. Wszystko jest możliwe - dopóki kaseeta nie zostanie znaleziona.

Nagranie może zawierać dosłownie wszystko. A może całkiem nic. Albo coś zupełnie nieistotnego. Może jakieś nieznanne kazanie Jezusa, niepotwierdzone nawet przez Biblię. Krótko mówiąc, prawdziwe nagranie na kasecie może okazać się kompletnie banalne i niemożliwe do sprzedania.

Kaun uśmiechnął się - tym razem był to ów uśmiech rekina, z którego słynął. To właśnie zrobi: jak najszybciej rozpocznie rokowania, rozbudzi pożądlivość, wznieci obawy i dzięki temu umocni się na

swojej pozycji. W tej chwili ma worek i instrukcję obsługi kamery oraz dowolną liczbę niezłych argumentów. Chce zmienić je w pieniądze. Jego prawnicy będą mieli mnóstwo pracy. Uśmiechnął się i ruszył w kierunku biurka. Nadszedł czas. Dzień się rozpoczął.

11

Niektóre groby można datować na okres Hasmoneuszy i Heroda, pozostałe są późniejsze. Typowe w owych czasach groby rodzinne kuto w skale, tworząc podziemne „loculi” (miejsca pochówku); zwykle składały się z jednej lub więcej komór grobowych, w ścianach których tworzone nisze na ossuaria („kokhim”, tzn. kostnica) lub ławki w zamkniętych łukowatymi sklepieniami wnękach („arcosolia”). Po zakończonym procesie rozkładu zwłok miano zwyczaj zbierania kości do ossuarium, stawianego potem w ściennej wnęce na czymś w rodzaju parapetu. Fakt, że kości zmarłego z sektora 14/ F.31 pozostały nietknięte, może świadczyć o tym, iż nie miał on rodziny, ani żadnych innych krewnych.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Brzęczący, szarpiący nerwy na strzępy dźwięk zdawał się powstawać we wnętrzu jego ucha. Stephen Foxx z trudem podniósł powieki, wsunął rękę pod poduszkę, wyjął budzik, przypominający kształtem i rozmiarem kartę kredytową, i go wyłączył. Czy to może być prawda? Jak długo spał - dziesięć minut? Czy w ogóle spał, czy tylko go ogłuszono? Ogłuszono, a potem dręczono aż do całkowitego wyczerpania?

Widok płachty namiotu nad głową przypomniał mu wykopaliska, wykopaliska przywiodły na myśl wydarzenia ostatnich dni, zaś te wspomnienia wydzielały chyba coś w rodzaju elektrycznych wyładowań, bo z wszystkich komórek jego ciała natychmiast znikło wszelkie zmęczenie. Skrzynka! List! Jednym susem usiadł wyprostowany i sięgnął pod łóżko, żeby wyciągnąć skrzynkę. Pogięta stalowa pokrywa cicho zabręczała, gdy ją zdejmował, papiery wciąż tam były. W mrocznym świetle, przenikającym do wnętrza namiotu, wydawały się jeszcze bardziej kruche, a ich stan jeszcze bardziej żałosny niż poprzedniego wieczora. Nie do wiary, że te kartki przetrwały dwa tysiące lat zakopane w ziemi. Gdyby nie plastikowy worek, już dawno nic by z nich nie zostało. Stephenowi przypomniały się góry plastikowych torebek i kubków po jogurcie, magazynowanych na śmietniskach całego świata, i na myśl o ich niezniszczalności przeniknął go dreszcz.

Czy to naprawdę list od podróżnika w czasie? Nic na nim nie widać, żadnych znaków przypominających pismo. To nie musi nic znaczyć: po tak długim czasie pismo mogło wyblaknąć i pojawi się dopiero w promieniach ultrafioletowych lub na zdjęciu rentgenowskim. Ale jaki powód mógł mieć ten hipotetyczny podróżnik, by napisać taki list?

Stephen Foxx siedział, wpatrywał się w szare, rozpadające na proch arkusze leżące przed nim i czuł, że jego myśli odbijają się od nich jak od ściany.

Jak to się odbyło? Lub, lepiej mówiąc, jak to się odbędzie? Pewnego dnia, za kilka lat, jakiś nieznajomy uzbrojony w kamerę wideo uda się w podróż w czasie. Dwa tysiące lat w przeszłość, bez możliwości powrotu. Nagra filmy. Zakonserwuje kamerę i ukryje ją w jakimś miejscu, umówionym ze współnikami z przyszłości - jego teraźniejszości, po czym dokona żywota w przeszłości. Zaś współnicy będą musieli tylko wyłączyć maszynę czasu, przespacerować się do umówionych skał i odkopać kamerę, przesłaną właśnie z przeszłości odległej o tysiąclecia.

Z jakiego powodu ten podróżnik miałby pisać list, skoro wszystko zostało ustalone? Trzeba się nad tym dokładnie zastanowić.

Płachta namiotu od nawietrznej strony obozowiska z lekkim szelestem wydeła się do wewnątrz. Wąską szparą przy ziemi wdarło się jasne światło. Na zewnątrz zaczął się już dzień.

Hm. Stephen ponownie przykrył skrzynkę pokrywą. Musi jak najszybciej dowiedzieć się, co jest napisane na tych kartkach. Jak najszybciej!

Być może jest to list podróżnika w czasie do współników, w którym pisze, że przedsięwzięcie się nie powiodło.

Rafi robił to, co było jego zadaniem każdego ranka. Przygotowywał skrzynki, dla każdego kopacza jedną, ostrożnie opróżnioną i wymiecioną. Przez resztę dnia z garstką pomocników będzie siedział pod rozpiętą plandeką przesiewając ziemię z jeszcze nieopróżnionych skrzynek, sumiennie porządkując wszystkie znaleziska - odłamki zębów, włókna roślin, maluteńkie okruchy glinianych naczyń i rym podobne - nanosił je na arkusze danych i umieszczał w małych plastikowych woreczkach, które przypinał do fiszek kartoteki. W celu jednoznacznej przyporządkowania zabytków grobowcom, każdy kopacz otrzymywał kartkę, na której zapisywał swoje imię i datę oraz dokładne oznaczenie sektora i bieżący numer zaznaczony w grubej księdze wykopalisk, a potem kładł ją na spodzie swojej skrzynki. Przygotowanie tych karteczek było każdego dnia drugim zadaniem Rafiego: zadaniem, wymagającym maksymalnego skupienia, by nie wkraść się żaden błąd. Dlatego nie był zbyt zadowolony, że profesor Wilford-Smith akurat teraz musiał tutaj stać, jakby nie miał nic lepszego do roboty.

- Ach tak. Mhm. - Profesor pochylał się nad notatkami z poprzednich dni, od czasu do czasu unosił jeden z plastikowych woreczków oglądając go pod słońce i odkładał z powrotem na miejsce, kiwając w

zamyśleniu głową. Rafi starał się skoncentrować na wypełnianiu karteczek, lecz to zadziwiające mamrotanie kierownika wykopalisk go irytowało.

- Czy zapowiada się dziś upalny dzień, Rafi? - zniecierpliwienie wypalił Wilford-Smith.

- Tak, sir - Rafi napisał na kolejnej kartce numer, nanosząc go natychmiast na wygarbowane słońcem kartki księgi wykopalisk.

- Prawda? Upalny dzień. Właściwie każdy dzień jest upalny o tej porze roku.

- To prawda, sir - teraz nazwisko kopacza, numer sektora, do którego go przydzielono. Nie dać się zmylić.

- A poza tym? Wszystko w porządku?

- W porządku - następna kartka. Kopacze wkrótce nadejdą, do tego czasu wszystko musi być gotowe.

- Nadaża pan za kopaczami? - Wilford-Smith podszedł bliżej, szurając nogami, pochylił się nad kartką z listą brakujących skrzynek.

Rafi skinął głową, wypełnił kolejną kartkę i wsunął ją do teczki dokładając do poprzednich.

- W zasadzie tak.

- To świetnie - profesor dokładniej przyjrzał się liście postukał palcem w znajdujący się u samej góry numer, przepisujący od kilku dni przez Rafiego. - 1304? To przecież już dość dawno?

- To z wtorku, sir. Skrzynka Stephena Foxxa. Wie pan - sektor czternasty.

- Ach tak - profesor Wilford-Smith z namysłem przyjrzał się nabazgranej niedbale liczbie. Z intensywnym namysłem, jakby trudno przychodziło mu przypomnieć sobie, co szczególnego jest w sektorze czternastym. - Foxx, mówi pan? Do tej pory nie zwrócił skrzynki?

- Nie. Nie wspominałem o tym, bo myślałem, że pan kazał mu...

- Tak, naturalnie - białowłosa mężczyzna w nieodłącznym skórzanym kapeluszu przytaknął. - W porządku. Wszystko w porządku. Tak, oczywiście - skinął głową, wciąż jeszcze głęboko zatopiony w myślach. Jakby roztargniony. Przez chwilę wystukiwał palcami rytm marsza na pulpicie, potem nieobecny myślami skinął mu głową na pożegnanie i odszedł, jak zwykle lekko przygarbiony, w kierunku skupiska wozów zamieszkiwanych przez nowo przybyłych.

Rafi przez chwilę patrzył za nim zdziwiony, potem wzruszył ramionami i zabrał się do wypełniania kolejnej kartki.

Telefon na nocnym stoliku Enrico Basso, prawnika i przedstawiciela handlowego firmy *Kaun Enterprises Holding Inc.* we Włoszech, zadzwonił krótko przed szóstą rano i wyrwał swego właściciela z nadzwyczaj przyjemnego snu, w którym pewną rolę odgrywały porośnięta palmami wyspa oraz odziane tylko w naszyjniki z kwiatów młode dziewczęta, w dużej liczbie. Twarze otoczone ciemnymi lokami rozplynęły się, szum morza okazał się porannym warkotem rzymskiej ulicy, więc i nastrój prawnika był stosownie do tego jak najgorszy, gdy odwracał się na drugi bok, sięgając po natrętą słuchawkę.

- *Pronto* - burknął opryskliwie.

W sekundę później siedział wyprostowany na łóżku, przechodząc z włoskiego na angielski.

- Och, to pan... Dzień dobry, sir, czym mogę panu... Tak, oczywiście...

Gdzieś spod wymiętych poduszek wychynęło zaspasane oblicze jego żony. Spod ciężkich powiek przyglądała się swemu mężowi, jak przez minutę przysłuchuje się głosowi płynącemu ze słuchawki *telefonicznej*, i jak przy tym jego szczęka opada coraz niżej.

- *Si* - powiedział w końcu Enrico Basso - ale to trochę potrwa, *naturalmente*...

Zrzędlawy ton głosu ze słuchawki przybrał na ostrości. Basso zaczął mimowolnie potrząsać głową.

- Ale to nie takie proste! - przerwał dzwoniącemu. - Zaraz zaczyna się weekend, i...

Po co się właściwie odzywa? Czy ten człowiek w ogóle go słucha?

- Tak. *Capi to*. Zrobię, co będę mógł. Zadzwoń jutro. *Addio*. - Enrico Basso odłożył słuchawkę i opadł z powrotem na poduszki. O spaniu nie było już mowy. Żałował teraz, że przed czterema tygodniami rzucił palenie i w nocnej szafce nie ma żadnych papierosów.

- Kto to był, Enrico?

- John Kaun.

- Jaką firmę chce kupić rym razem?

- Kościół katolicki.

- Co? - usiadła prosto. - Co ty wygadujesz?

Prawnik odrzucił kołdrę i rozejrzał się szukając pantofli.

- Chce wiedzieć, jaka jest wartość kościoła katolickiego. Co posiada, jakie nieruchomości, środki płynne, inwestycje, pozostały majątek. Jaki ma Cash Flow. Wyobraź sobie, tak właśnie zapytał - jaki Cash Flow ma *Kościół katolicki!* - potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia, na co mu te wiadomości. Ale zabrzmiało to tak, jakby chciał go kupić.

Tym razem spotkanie odbywało się w wozie Eisenhardta. Jak triumwirat, pomyślał pisarz, gdy Kaun i Wilford-Smith wchodzili do jego kontenera.

Kaun nadszedł jak zwykle dynamicznie - garnitur niczym prosto spod igły, jakby skierowane było na

niego co najmniej dziesięć telewizyjnych kamer - wprost tryskał niecierpliwością i zdecydowaniem. Profesor przeciwnie, wydawał się drobny i kruchy, zachowywał się tak, jakby to wszystko tak naprawdę nic a nic go nie obchodziło. Starannie wytarł buty, zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju konferencyjnego w chwili, gdy Kaun siedział już przy stole.

- Czy mam podać kawę? - spytał Eisenhardt. Magnat przemysłowy odmówił niechętnym, pogardliwym gestem.

- Ależ, co pan. Przejdźmy do rzeczy. Czy przemyślał pan sprawę?

Eisenhardt odwrócił się do swoich wielkich arkuszy i napisanych na nich haseł. Głęboko odetchnął i nagle poczuł, że czuje wywierany na siebie nacisk. Więc to tak. Jeśli okaże się teraz, że to, co ma im do powiedzenia, przyszło im do głowy już wcześniej, prawdopodobnie jeszcze dziś wieczorem znajdzie się w samolocie wiozącym go z powrotem do domu.

- Tak, hm, zanotowałem kilka punktów, od których można by wyjść - rozpoczął. Przerwa. Nikt nic nie mówił, wszyscy mu się przysłuchiwali. Do diabła, nie przywykł do takich sytuacji. To prawie jak egzamin. Sięgnął po jeden z pisaków i wskazał nim znajdujące się u samej góry hasło. - Podróż w czasie. Co dziś wiadomo o możliwości lub niemożliwości dokonania podróży w czasie? Czy w obecnej chwili gdzieś na świecie prowadzone są badania, które mogą doprowadzić do odkrycia umożliwiającego podróżowanie w czasie? To byłby obszar, na jakim mógłbym jako pisarz science fiction rozejrzeć się, nie budząc podejrzeń - spojrzał na Kauna, niechętnie straszącego brwi.

- Nigdy dotąd nie prowadził pan takich badań? - zapytał.

- Nie.

- Ale przecież napisał pan kilka powieści, w których mowa o podróżowaniu w czasie.

Eisenhardt przytaknął.

- Zgadza się. Ale to można robić, nie troszcząc się o prawa fizyki. Właściwie do tej pory sądziłem, że można to robić *wyłącznie* pod warunkiem, że zapomni się o prawach fizyki.

Kaun zastanowił się przez chwilę, lecz nic nie odpowiedział. Zamiast tego zapytał:

- Kogo chce pan pytać? I jaki będziemy mieć pożytek z takich informacji? - Pytania zabrzmiały jak smagnięcia pejczem.

- Zacznę od pewnego dziennikarza naukowego, z którym jestem blisko zaprzyjaźniony. Jest przyzwyczajony do tego, że zadaję mu najdziwniejsze pytania i doskonale orientuje się we współczesnej nauce, wie, kto gdzie nad czym pracuje i tak dalej. Jeśli pójdę tą drogą, nikomu nie przyjdzie do głowy nic innego, niż że zbieram informacje do nowej powieści.

- A korzyść?

- Gdybyśmy wiedzieli, kiedy ów podróżnik w czasie wyruszy i jakie warunki muszą być spełnione, by mógł udać się w podróż, wówczas moglibyśmy z naszego znaleziska wyciągnąć daleko idące wnioski. Obecnie zakładamy tylko, że sposób podróżowania w czasie zostanie odkryty kiedyś, w przyszłości, gdy jeszcze będzie istniała firma SONY, i że będzie możliwy ruch tylko w jednym kierunku, mianowicie w przeszłość. Gdyby okazało się, iż prawa rządzące ruchem w czasie *na pewno* działają w obu kierunkach - wówczas mielibyśmy pewność, że te zwłoki leżą tu, bo całe przedsięwzięcie z jakiegoś powodu się nie powiodło.

Oblicze przedsiębiorcy spochmurniało. Tego rodzaju hipotezy najwyraźniej nie były po jego myśli.

- Okay. Co potem?

- Potem - kontynuował pisarz - powinniśmy sami spróbować zidentyfikować zmarłego. Jeśli to rzeczywiście człowiek z naszego stulecia, to może da się na podstawie szkieletu albo kartotek dentystycznych ustalić jego tożsamość.

- A potem?

- Mieć go na oku.

Kaun parsknął pogardliwie.

- Próby identyfikacji są już w toku, do tej pory bez rezultatu. Oczywiście, musimy być ostrożni, żeby ktoś nie zaczął czegoś podejrzewać, ale mam przeczucie, że w ten sposób daleko nie zajdziemy.

Eisenhardt przyjrzał mu się badawczo.

- Pomyślał pan już o tym, że to pan może będzie tą osobą wysłaną w przeszłość?

- Ja? - Celny strzał. Lot powrotny dziś wieczór odwołany, to pewne. Oczy medialnego magnata robiły się coraz większe, można było gołym okiem zobaczyć, jak jego myśli błędzą po bezdrożach, na których wcześniej nie stanęła jego stopa.

- Myśli pan, że ja...? Ach. To też możliwe, prawda? Nie, nad tym się jeszcze nie zastanawiałem.

To go naprawdę oszołomiło. Nawet się uśmiechnął i przy dużej dawce dobrej woli można się było w tym uśmiechu dopatrzeć czegoś na kształt uznania.

Profesor zmarszczył czoło.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Obecnie - wyjaśnił Eisenhardt - sądzimy, że będziemy teraz przez kilka dni intensywnie rozmyślać,

potem pokopimy we właściwym miejscu i znajdziemy tam kamerę. Ale może odbędzie się to zupełnie inaczej. Może nasze obecne poszukiwania naprowadzą nas na ślad określonego projektu badawczego albo trafimy na przyszłego podróżnika w czasie

- i za kilka lat to *my* będziemy ludźmi, z którymi on się umówi. *My* ustalimy miejsce, w którym ukryje kamerę, aby przetrwała dwa tysiące lat. *My* będziemy zespołem, który pokieruje jego podróżą w przeszłość.

Archeolog skinął głową.

- Interesująca hipoteza.

- Trzeci punkt zaczepienia - podjął dalej Eisenhardt, czując się coraz pewniej i postukał palcem w trzecie hasło: - Kamera. Potrzebujemy więcej informacji o samej kamerze. Powinniśmy zbadać instrukcję - może wydrukowano na niej rok wydania, może znajdziemy jakieś notatki albo inne ciekawe informacje. Musimy też zażądać od producenta wszelkich dostępnych informacji technicznych o tej kamerze.

- To już zrobiłem - wyjaśnił Kaun. - Dziś rano rozmawiałem z SONY w Tokio. Kamera jest jeszcze w fazie projektowania i pojawi się na rynku najwcześniej za trzy lata.

- Ach - Eisenhardt poczuł, jak po plecach przebiega mu osobliwy dreszcz. - To już niedługo.

- Przy okazji dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy - mówił dalej Kaun ściągając groźnie brwi. - CamCorder MR-01 wykorzystywać ma całkowicie nową technologię, w której obraz wideo zapisywany będzie nie na taśmę magnetyczną, lecz na coś w rodzaju płytki krystalicznej, o pojemności wielokrotnie przewyższającej pojemność tradycyjnej taśmy. Czas nagrania kasety nowego typu wyniesie około dwanaście godzin i, inaczej niż w przypadku taśmy, którą trzeba przewijać w tył i w przód, możliwy będzie swobodny dostęp do całości nagrania, podobnie jak to jest z twardymi dyskami w komputerze albo z płytkami CD.

Eisenhardt skinął głową.

- A co z trwałością nagrania? - zapytał.

- To jest właśnie interesujące. Według SONY ta nowa technologia, nazywają ją MR- zapomniałem, od czego to skrót - umożliwi wprawdzie tylko jednokrotne nagranie, podobnie jak w tradycyjnych taśmach filmowych, ale za to trwałość tego nagrania będzie właściwie nieograniczona. Twierdzą, że będzie co najmniej dziesięć tysięcy razy bardziej stabilna niż tradycyjny zapis na taśmie.

- A więc idealne narzędzie dla celów podróżnika w przeszłość - stwierdził Eisenhardt.

- Najwyraźniej - Kaun pochylił się ciężko do przodu, opierając łokcie o stół konferencyjny. - Następny interesujący punkt jest taki, że człowiek, z którym rozmawiałem, był bardzo ciekaw, skąd znam nazwę kamery, o której SONY nie opublikowała jeszcze żadnych informacji.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Wątpię. Dosłownie powiedział tak: Jest pan dziś już drugą osobą, która pyta o MR-01.

Eisenhardt podniósł ręce obronnym gestem.

- To nie ja. Telefon do SONY wydał mi się sprawą zbyt delikatną, żebym zrobił to bez konsultacji z panem.

- Wiem - skinął człowiek w skrojonym na miarę granatowym garniturze. - Nasze protokoły telefoniczne były pierwszą rzeczą, jaką sprawdziłem. Telefonował pan wczoraj tylko raz, do swojej żony.

Eisenhardt przelknął ślinę. Ten rodzaj nadzoru był dla niego czymś nowym. I niesamowitym.

- Jak to wczoraj? - Spytał zmieszany.

- Gdy dziś rano dzwoniłem do SONY, w Tokio było krótko przed jedenastą rano. Ten człowiek powiedział mi, że pierwszy telefon miał krótko po dziewiątej rano. To znaczy, że tu w Izraelu był jeszcze wczorajszy wieczór, krótko po jedenastej.

Profesor Wilford-Smith w zamyśleniu wpatrywał się w gładki biały blat stołu.

- O tej porze siedzieliśmy jeszcze razem - stwierdził.

- Dokładnie - przytaknął ponuro Kaun. - Dlatego chciałbym teraz wreszcie dowiedzieć się, co przez cały ten czas porabiał Stephen Foxx.

12

Pochówek kości w ossuariach był w owym czasie zwyczajem popularnym wśród Żydów. Ossuaria wykonywano z kamienia w formie prostokątnych skrzynek, ozdobionych tradycyjnymi ornamentami, które nigdy nie przedstawiały postaci ludzkich. Często na jednej ze ścian wykuwano imię zmarłego. Epigrafy, wykonane w języku hebrajskim, aramejskim lub greckim, często zawierały jeszcze inne dane; w rzeczywistości liczne napisy nagrobne, znajdujące w rozległych nekropoliach, stanowią niejako encyklopedię socjologiczno-historyczną ludności zamieszkującej Palestynę, już wówczas niezwykle heterogeniczną.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopaliisk pod Bet Hamesh

Stephen Foxx siedział na chybottliwym składanym krześle przy nie mniej chwiejnym składanym stole w swoim namiocie i markotnie wpatrywał się w ekran laptopa, którego chłodny, techniczny wdzięk specyficznie kontrastował z rustykalnym otoczeniem. Obok komputera stała taca ze śniadaniem, wyniesiona przez niego z kuchni pod niechętnym okiem kucharki. Taca z pogiętej i porysowanej blachy, podobnie jak stojące na niej talerze oraz kubek wypełniony dziwaczną, mającą udawać kawę cieczą, grożącą rozlaniem przy każdym naciśnięciu klawisza, a nawet sztucce - wszystko to miało powab demobilu. Chciał wykorzystać poranek na załatwienie kilku spraw, które załatwione być musiały.

Jak na przykład ten faks. Stephen każdy dzień rozpoczynał od podłączenia komputera do telefonu komórkowego, by odebrać czekającą na niego pocztę elektroniczną. Większość tych e-maili wysyłana była przez inny jego komputer, stojący w domu, włączony przez okrągłą dobę i odbierający fakсы. Kiedy ktoś nadawał faks na numer Stephena, wówczas przesyłka lądowała najpierw na twardym dysku komputera, gdzie miała czekać na jego powrót; jednak oprócz tego automatycznie uruchamiał się proces, przekształcający ten faks w e-mail, również automatycznie wysyłany na internetowy adres Stephena, tak, że mógł odebrać go gdziekolwiek był, na całym świecie. W ten sposób pozostawał uchwytny i, jak wynikało z faksu, który właśnie studiował, było to całkiem przydatne.

Korespondencja pochodziła od pewnej firmy, której pięć czy sześć miesięcy wcześniej przesłał materiały informacyjne o swoim systemie software'owym. Kierował się spontanicznym impulsem, gdy w kolejce na uniwersyteckiej stołówce usłyszał, jak ktoś za nim opowiada o swoim ojcu, zatrudnionym w owej firmie i ustawicznie narzekającym na komputery. Jeszcze tego samego popołudnia wydrukował małą broszurkę, napisał niedługi list na swoim eleganckim firmowym papierze, zapakował wszystko do koperty, wysłał i zapomniał.

A teraz zgłosili się. Planowana jest modernizacja całego systemu informatycznego i pytali, czy mógłby w najbliższym czasie przysłać więcej materiałów informacyjnych. Załączono cały katalog dociekliwych pytań. Proszono o możliwie szybką odpowiedź.

Całej rzeczy pikanterii dodawał fakt, że firma ta trudniła się hurtową sprzedażą sprzętu wideo wszelkiego rodzaju.

- Ten temat, mnie prześladuje - mruknął Stephen.

Wypił łyk kawy - na krawędzi filiżanki zebrała się już warstewka lotnego piasku, nieprzyjemnie chrzęszczącego między zębami - i zastanowił się. Faks dotarł do niego w czwartek po południu, według czasu na wschodnim wybrzeżu. Uwzględniając różnicę czasu, minęło już sześć albo siedem godzin. Rozpoczął się właśnie weekend, mógł więc spokojnie zostawić sobie czas do jutra, kiedy wokół zapanuje spokój szabatu i może wówczas znajdzie potrzebne natchnienie. Poza tym, będzie musiał połączyć się bezpośrednio ze swoim domowym komputerem, żeby ściągnąć obszerne pliki z rysunkami i grafikami, a ponieważ korzysta przy tym z transatlantyckiego połączenia telefonicznego, zaoszczędzi niemało pieniędzy, czekając na korzystniejszą godzinę. Jeśli się pospieszy, będzie mógł wtedy też od razu nadać faks z odpowiedzią, bezpośrednio z laptopa.

Sięgnął po ostatnią kanapkę z masłem orzechowym, jedząc ją podniósł talerz, strząsnął okruchy na podłogę i odstawił go na drugi talerz. Właściwie, planował teraz robić coś zupełnie innego niż zajmowanie się interesami. Że też akurat hurtownia sprzętu wideo! To go zaintrygowało. Będzie musiał spytać swoich indyjskich współpracowników, czy zgodzą się dokonać zmian w systemie skrojonym na potrzeby hurtowni opon, by przystosować go do sprzedaży urządzeń wideo. To się na szczęście da załatwić za pomocą kilku zwykłych e-maili. Że też akurat wideo!

Czy powinien w ogóle reagować? Ma dość pieniędzy. Równie dobrze mógłby odpuścić sobie cały ten interes.

- Bzdura - mruknął, wyciągając z komputera i telefonu wtyczki łączącego je kabla. Może zastanowić się nad tym kiedy indziej. Prześpi się z tą myślą, tak będzie najlepiej. Irytowało go, że ten osobliwy zbieg okoliczności tak go intryguje.

Gromada kopaczy nie przerwała śniadania, gdy profesor Wilford-Smith zbliżył się do namiotu

kuchennego, lecz napięcie rozmów znacznie spadło i niemal każdy rzucił w jego kierunku zaciekawione spojrzenie. Od czasu tajemniczego znaleziska w sektorze czternastym po obozie krążyły przeróżne plotki, jedna bardziej fantastyczna od drugiej. Jedni twierdzili, że znaleziono jakiś obiekt militarny. Nie, trafiono na wielki skarb, podejrzewali inni. Jedynie obecności Amerykanów z telewizji nie dawało się dobrze dopasować do żadnej z tych teorii.

- David - kierownik wykopaliś skinął na szefa kuchni, młodego człowieka z burzą ciemnych loków, patrzącego niezmiennie ponurym spojrzeniem.

- Profesorze?

- Szukam Foxxa - wyjaśnił Wilford-Smith i powędrował wzrokiem po pełnych ludzi rzędach stołów na zewnątrz namiotu. - Nie widziałeś go przypadkiem?

- Był tutaj. Naładował sobie pełną tacę, jakby miał za sekundę skończyć z głodu i poszedł z nią do namiotu - wynoszenie naczyń z obszaru kontrolowanego przez kuchnię nie było dobrze widziane, gdyż naczynia wykazywały potem niechęć do wracania, zniknęły w niewiadomych warstwach skalnych, przeistaczając się w znaleziska przyszlých archeologów.

- Mógłbyś kogoś do niego posłać z wiadomością, że chciałbym z nim pomówić?

- Bez problemu. Teraz?

- Tak, proszę. Niech przyjdzie do kontenera, drugiego od tej strony.

- Robi się.

Stephen wrzucił kabel z powrotem do torby i wyjął z niej pudełko z CD. Właśnie to miał zamiar robić przy śniadaniu: troszkę pogrzebać w danych. Płyta CD, którą wyjął z małego pudełka i włożył do napędu w komputerze, zawierała kompletne wydanie ENCYKLOPEDIA BRITANNICA.

Będąc małym chłopcem patrzył zawsze z szacunkiem na trzydzieści potężnych, oprawionych w skórę tomów, rezydujących w gabinecie jego ojca na specjalnie dla nich przeznaczonym regale. Od czasu do czasu pozwalano mu je kartkować i było dla niego rzeczą ustaloną po wsze czasy, że Britannica zawiera wszystko, co wie człowiek. I choć później przekonał się, że oczywiście tak nie jest, że nawet najbardziej wyczerpujące, najwnikliwsze artykuły opatrzone długimi listami odnośników do pogłębiającej temat literatury, zachował przyzwyczajenie rozpoczynania poszukiwań od Encyklopedii, gdy chciał lub musiał się czegoś dowiedzieć.

Szufladka napędu wsunęła się z cichym szuraniem, po czym dało się słyszeć lekkie brzęczenie, gdy połyskująca srebrno płytka przyspieszała do odpowiedniej liczby obrotów. Stephen uruchomił znajdujący się na CD program przeszukujący hasła i przerwał na chwilę.

Szukaj hasła: na znajdującym się przy tym napisie polu, pulsował wyczekująco cieniutki jak kreseczka kursor.

Stephen ociągał się.

To wcale nie jest takie proste. Nagle opadły go wspomnienia z dzieciństwa - niedziele, kwitnące łąki i rozczarowanie, że trzeba ubrać się porządnie i nie wolno bawić się na dworze; nudne, niezrozumiałe, ciągnące się bez końca niedzielne nabożeństwa, po których trzeba było jeszcze wystawać na placu przed kościołem, czekając na gawędzących ze znajomymi dorosłych, nagle uśmiechniętych i fałszywie przyjaznych wobec ludzi, o których w domu mówili źle. Byli tam też koledzy szkolni i dzieci z sąsiedztwa, tak samo stojące obok swoich rodziców, też wypucowane do czysta i wyglądające dziwnie obco.

Patrzył na ciemne klawisze swego komputera, jakby widział je po raz pierwszy. Tam jest J. Od tego musi zacząć. Dlaczego to takie trudne?

Jezus Chrystus, wystukał i znów przerwał.

Wewnątrz jego ciała zdawało się rozprzestrzeniać coś ciężkiego, ciemnego. Wydawało się groźne, czarne i groźne. I znów wspomnienia. Ogromny, wysoko nad małym Stephenem zawieszony krzyż, na którym wisiła nieludzko wielka postać i patrzyła na niego z góry pełnym bólu spojrzeniem. Niejasne wspomnienia, niezrozumiałe, choć rodzące obawę, gdy musiał ich słuchać i przytakiwać; dopiero długo później, gdy pierwszy raz całował dziewczynę, wróciły na powierzchnię jak okropne wewnętrzne głosy, jakby przez wszystkie te lata czekały tylko na tę chwilę, jak kryjące się w jego podświadomości bomby z zegarowym zapalnikiem.

Stuknął klawisz i napęd CD-ROMu zamruczał. Na ekranie pojawiła się lista haseł, niemal nieskończona liczba odnośników.

Jezus Chrystus albo Jezus z Galilei albo Jezus z Nazaretu. Następowala lista spokrewnionych pojęć, podzielonych według dziedzin: *Literatura biblijna. Doktryna i wiara. Życie. Sztuka. Rytuły i oddawanie czci. Interpretacje teologiczne i filozoficzne.* Patrz też: *Chrześcijaństwo, Nowy Testament.*

Przez jedno uderzenie serca miał uczucie, jakby opuścił ciało, stanął obok i obserwował samego siebie, jak siedzi i studiuje hasła na ekranie komputera. Trzydzieści lat wcześniej sam opis tego urządzenia wydałby się czystą fantazją. A przecież stoi teraz prawdziwy i rzeczywisty na stoliku w dusznym małym namiocie, rozbitym na chyba największym pustkowiu w Izraelu, gdzie przed dwoma tysiącami lat rozegrały się, albo nie, pewne wydarzenia - dla niektórych zaledwie pobożne bajeczki, godne zaufania nie

bardziej niż przygody Alicji w Krainie Czarów, dla innych zaś niezaprzeczalna prawda o najistotniejszym znaczeniu dla ich życia i sensu całego wszechświata. Nie mógł powstrzymać śmiechu, tak absurdalna wydała mu się ta sytuacja.

Kościół i ugrupowania religijne. Nauka chrześcijańska. Dualistyczne sekty chrześcijańskie. Mennonici. Mormoni. Prawosławie. Protestantyzm. Rzymski katolicyzm.

To, czego szukał, w zasadzie było równie fantastyczne. Pragnął odszukać kamerę, która może zawierać nagranie wydarzeń, rozgrywających się przed dwoma tysiącami lat - niektórym nawet wzmianka o takim zamiarze wystarczyłaby, żeby zwątpić w stan jego umysłu. Lecz fantastyczne rzeczy się zdarzają. Pewien naukowiec dowiódł, że maszyny cięższe od powietrza nigdy nie będą mogły latać - a jego prawnuki kupowały w supermarketach owoce kiwi, dostarczane samolotami z Nowej Zelandii. Cała współczesna cywilizacja funkcjonowała dzięki przedmiotom, których pomysł w każdej z poprzednich generacji uznano by za objaw choroby umysłowej.

Najpierw zyskał ogólną orientację. Najeżdżał wskaźnikiem myszy to na jedno hasło, to na drugie, pstrykał i pobieźnie przeglądał pojawiający się tekst. Niezmiernie dużo tekstu. I mnóstwo dalszych odnośników. Ów temat, omówiony tak szczegółowo, że najbardziej stosowne byłoby określenie „wyczerpująco”, zdawał się przenikać całą zachodnią kulturę niczym przerastająca ją na wskroś pleśń. A mimo to wcale nie było łatwo go poznać. Nie chodziło tu o jakiś gatunek mrówek, ani o jakiegoś hebrajskiego króla - próbował przypomnieć sobie coś o tym człowieku, o którym w młodości uczono go, że jest żywym synem Boga, Boga, który stworzył wszechświat, gwiazdy widoczne na firmamencie nocnego nieba, cząsteczki atomów i kod genetyczny i w ogóle wszystko, co istnieje. Ten Bóg, kładziono mu dalej do głowy, z głębokiej miłości do niego, Stephena Foxxa, i wszystkich innych ludzi, oddał swego własnego syna w ręce rzymskich oprawców, ponieważ było to niezbędne z powodów, których Stephen nigdy do końca nie pojął, by można było jemu, Stephenowi, wybaczyć jego grzechy. Kazano mu w to *wierzyć*, polecono oprzeć się wszelkim podszeptom rozumu, danego mu wprawdzie również przez Boga, lecz z biegiem lat coraz bardziej przeciwstawiającego się owej niesłychanej logice, i *wierzyć*, kazano *wierzyć* lub grożono wiecznym potępieniem, z boskim synem czy bez niego.

I tak dalej, i tak dalej. Przez jakiś czas pytał, lecz odpowiedzi nie zadowalały go, a gdy chciał podjąć dyskusję, stwierdził, że ci, którzy mają się za uprawnionych do dawania odpowiedzi, nie są gotowi dyskutować - oni *wiedzieli*, bo uwierzyli, a jeśli próbował wskazywać sprzeczności, walono go jak maczugą argumentem, że nie w tym rzecz, by wątpić, chodzi mianowicie o to, by *wierzyć*. I w pewnym momencie przestał szukać sensu ukrytego w zbieraninie mętnych insynuacji, uznał, że go tam nie znajdzie. Stwierdził, że religia to nie jest coś mającego związek z prawdziwym życiem czy ze światem, jaki widzi wokół siebie. Odkrywał zadziwiające cuda pod okulem mikroskopu lub spoglądając w teleskop, i w porównaniu z nimi transcendentne pojmowanie świata wydało mu się ubogie i ograniczone. W ten sposób religia znikła z jego życia, jak wcześniej znikły z niego wiara w Świętego Mikołaja, w elfy i trolle, i w bociana przynoszącego dzieci.

Jednak, jak czuł to teraz, nie wyzwolił się od niej do końca. Bał się! Mała, bezlitosna dłoń zdawała się ścisnąć jego wnętrze, a w jego myślach odezwało się echo głuchego głosu: *A co, jeśli to wszystko prawda? Co, jeśli teraz naprawdę czeka cię piekło za to, że odrzucisz wiarę?* Głos upiornego inkwizytora, złożonego w grobie w czasach polowań na czarownice, lecz mającego nie zaznać wiecznego spoczynku póki istnieją heretycy.

Stephen opadł na oparcie krzesła, przymknął oczy i głęboko odetchnął. Potem uniósł głowę, zatrzymał wzrok na jasnoszarym płótnie namiotu i czekał, aż minie panika. Niesamowite.

Usłyszał na zewnątrz zbliżające się kroki. Ucieszył się. Rzeczywistość troszczyła się o niego, nie pozwalała mu w samotności zatonać w ruchomych piaskach koszmarnych wspomnień. Uznał, że to bardzo miłe ze strony rzeczywistości.

Wszedł pomocnik kucharza, szczupły, smagły chłopak niezbyt dobrze znający angielski.

- Profesor chce z tobą mówić. Masz zaraz przyjść, ale najpierw oddaj naczynia.

Stephen krzywiąc się, skinął głową. Dyskusja nie miała sensu, chłopiec wyrecytował tylko to, co mu kazano.

- Okay - powiedział więc. - Zaraz przyjdę. I oddam naczynia.

Chłopak zmierzył go niedowierzającym spojrzeniem, najwyraźniej niepewny, czy Stephen z niego nie kpi. Dopiero, gdy zobaczył, że wyłącza komputer, odszedł zadowolony.

Judith siedziała nad śniadaniem, później niż zwykle i dosyć zaspana, myślała o Stephenie. Spotkali się w kolejce po jedzenie, ale zamienił z nią tylko kilka słów, jakby nic się nie stało i tłumacząc, że ma jeszcze coś do zrobienia, zniknął ze swoją wyładowaną po brzegi tacą. Od tej chwili siedziała sama i jadła w zwolnionym tempie, podczas gdy wokół inni wolontariusze przychodzili i odchodzili, a czas śniadania powoli dobiegał końca.

Więc jak to jest? Wczoraj wieczorem naprawdę mocno iskrzyło między nimi, czy może się myliła? Szli ciasno przytuleni i niewiele brakowało, a poszłaby z nim do jego namiotu. Co w takim razie działałoby się

dziś rano? Gdyby rzeczywiście się z nim przespała? Nie mogła pozbyć się podejrzenia, że wtedy też miałaby do załatwienia coś niezwykle pilnego.

Zobaczyła go teraz w oddali, jak wraca ze swoją tacą. Szedł między rzędami namiotów, chyba zboczył na chwilę do jej kwatery. Może myślał, że ją tam znajdzie? Nie rozumiała, co się z nim dzieje. Był atrakcyjny, oczywiście, podobał jej się, bez wątpienia. Przynajmniej w pewnym stopniu. Jednak tak, podobał jej się. Był stale zajęty, ale przynajmniej nie był takim niechlujnym leniem, jak wielu znanych jej mężczyzn, dla których pełnia szczęścia polegała na tym, by móc całe życie nie robić nic innego, tylko przesiadywać z kumplami w kawiarniach i bez końca się przechwalać. Przy facecie tego pokroju przypadłaby jej rola dzielnej żony, siedzącej w domu i troszczącej się o dzieci i sprzątanie. Stephen za to każdą sprawą, która w danym momencie zaprzętała jego uwagę, zajmował się z tak niepokromioną energią, że wokół niego aż iskrzyło.

Iskrzyło też erotycznie. Zauważyła jego głowę wyłaniającą się znów zza jej namiotu i żałowała, że nie ma jej tam na górze. Że nie zaczekała na niego. Tylko po to, żeby poznać, jakie miał wobec niej zamiary. Ponieważ on zawsze miał jakieś zamiary. Nigdy nie robił nic bez powodu, najczęściej wybiegał myślą naprzód o kilka kroków, w każdym razie dalej niż ktokolwiek inny, kogo Judith знаła. Po raz pierwszy podziwiała kogoś za jego ostrą jak brzytwa inteligencję.

Podobał jej się sposób, w jaki się poruszał. Śledziła wzrokiem, jak schodzi z pagórka niosąc tacę, przyglądała mu się, gdy oddawał naczynia przy ladzie. Szef kuchni robił mu chyba wyrzuty z tego powodu - pewnie powtarzał swoje zwykłe kazanie, że wynoszenie naczyń z kuchni jest zabronione - a Stephen wysuwał swoje argumenty, z tym pewnym zwycięstwem uśmiechem na twarzy. Tak, podobało jej się, jak się porusza. Poznała wprawdzie w szkole wielu diabelnie sprytnych chłopców, lecz byli to wszystko niezgrabni okularnicy, u których inteligencja rozwinęła się kosztem ciała, prowadząc do jakiejś anormalności. W przypadku Stephena było inaczej, jego ciało i duch tworzyły harmonijną całość. Nie chodziło o to, że jest szczególnie wysportowany - prawdopodobnie pobiłaby go w każdej dowolnej dyscyplinie - ale miał w sobie jakąś wewnętrzną równowagę, emanował pewnością siebie, czasem wręcz irytującą.

Miłość jednak była dla niego sprawą uboczną. Nie dlatego, że nie spojrzął na nią odchodząc w kierunku połyskujących srebrno wozów campingowych. Nie, to dawało się wyczuć na odległość, że nie jest mężczyzną szukającym partnerki. W tej chwili miłość oznaczała dla niego tylko seks, może jeszcze nieco sympatii, przyjaźni, w najlepszym razie.

Wyglądało na to, że przy campingach go oczekiwano. Jeden z mężczyzn w mundurach nadających im wygląd najeźdźców zatrzymał go, zapytał o coś, po czym skinieniem głowy wskazał drogę. Stephen podszedł do drugiego wozu, licząc od strony kuchni, otworzył drzwi i zniknął w środku.

Ona też kiedyś była dokładnie taka sama. W całym kraju pełno jeszcze mężczyzn ze złamanymi przez nią sercami. Wojsko, w przypadku większości poborowych największe biuro matrymonialne w Izraelu, dla niej było jedną nieustającą zabawą. Pierwszy raz wymknęła się spod dozoru rodziców i po prostu chciała się wyszaleć, a jeśli ktoś przy niej zaczynał mówić o miłości, ślubie i dzieciach, śmiała się na głos. Czasem zachowywała się dosyć podle, tak myślała teraz, wspominając tamte czasy.

Była w tym jednak również tęsknota za czymś więcej. Nie potrafiłaby tego dokładnie określić i czasem czuła, że nikt prócz niej nie zrozumie, czego ona szuka. Może zresztą tylko coś sobie wmawiała. Może znienawidziła fakt, że robi wrażenie tak silnej, iż w żadnym mężczyźnie nie jest w stanie rozbudzić instynktu opiekuńczego. Może chciała po prostu raz sobie odpuścić i poczuć się kobietą. Ale nie, to też nie było to. Zatęskniła do związku, którego wprawdzie nie potrafiłaby dokładnie opisać, ale była pewna, że go rozpozna, gdy się pojawi. I była zdecydowana dopiero wówczas zaprzestać poszukiwań.

Stephen nie był tym człowiekiem. Był atrakcyjny, podobał jej się, prawdopodobnie stanowił też tak zwaną „dobrą partię”, choć dla niej nie miało to znaczenia. Lecz byłoby nie fair wymagać od niego, by się zmienił. Jeśli nie potrafi go zaakceptować takim, jakim jest, pozostaje jej szukać dalej.

- Nie mogłabyś poszukać dalej jutro? - spytał Stephen i, gdy teraz sobie o tym przypominała, zrobiło jej się miękko w kolanach. Jak mogła go odrzucić? Cóż wielkiego stałoby się, gdyby zrobiła sobie przerwę w poszukiwaniach, które pewnie potrwałają jeszcze długo? Gdyby spytał ją w tej chwili, zostawiłaby wszystko i poszła za nim.

Lecz nie było go tutaj, by mógł zapytać. Zamiast tego słońce wznosiło się coraz wyżej, najwyższy czas, by dopić kawę i wziąć się do pracy.

W chwili, gdy chciała wstać, jej spojrzenie padło na mężczyznę, który wynurzył się z cienia campingów i wolnym, miarowym krokiem wspinał na pagórek z namiotami. To ten sam człowiek, który zatrzymał ich wczoraj wieczorem. Mężczyzna o obciętych po wojskowemu włosach i błękitnych oczach prześwietlających jak promienie Rentgena. Szedł prosto do namiotów, a sposób, w jaki tam szedł, wcale, ale to wcale się Judith nie podobał.

Znała ten rodzaj rozkołysanego chodu. W ten sposób chodzili mężczyźni noszący czarny pas pewnego dalekowschodniego stylu walki, po koszmarnej wielu latach ciężkiego treningu ledwo chodzący od

nadmiaru pewności siebie. *Patrzcie wszyscy, mówił ten sposób chodzenia, jaki jestem niebezpieczny! Spróbuj tylko mnie zaatakować - przekonasz się, co będziesz z tego miał.*

Czego szukał ten człowiek w miejscu, do którego szedł?

Judith w pośpiechu odstawiała filiżankę i talerz na tacę i odniosła wszystko do lady. Ukryta w cieniu kuchennego namiotu obserwowała, dokąd idzie mężczyzna.

Wspiął się do najwyższego szeregu namiotów, skręcił w prawo i zdawał się je liczyć.

Potem zniknął w namiocie Stephena.

13

Reguła stratygraficzna, a więc pogląd, że stosując pionowe przekroje zyskuje się dość wiarygodną podstawę chronologii względnej, jest dziś w archeologii Palestyny / Izraela niepodważalna. Wiadomo jednak, że trzeba rozróżniać między „warstwą osadniczą” a „stratum”. Stratum nie jest identyczne z warstwą, lecz stanowi jej teoretyczny odpowiednik z zakresu naukowego opracowania wykopalisk. Warstwy natomiast są obiektami istniejącymi fizycznie, na przykład elementami tellów.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Miało to zapewne wyglądać na swobodną rozmowę, lecz dało się wyczuć, że w pomieszczeniu jest aż gęsto od wypełniającego go po sufit napięcia. Siedzieli wokół dużego, białego, gładko wypolerowanego stołu i patrzyli na niego wzrokiem komisji poborowej, wietrzącej wyrafinowanego symulanta. Zresztą, w pewnej mierze właśnie nim był. Nie miał wątpliwości, że teraz czeka go spodziewane od dawna przesłuchanie, że wezmą go w krzyżowy ogień pytań, i był zdecydowany nie pozwolić im zajrzeć sobie w karty.

Spokojnie zamknął za sobą cienkie drzwi, obrzucił przelotnym spojrzeniem Johna Kauna, wypełniającego sporo przestrzeni swą zwalistą postacią, rozpartego szeroko na fotelu, opierającego wymanikiowane dłonie na stole, z głową opuszczoną między ramionami, jakby w przyczajeniu, potem jeszcze bardziej pobieżnym spojrzeniem musnął trzeciego z obecnych, w którym rozpoznał pisarza Petera Eisenhardta, wreszcie skierował wzrok na profesora.

- Chciał pan ze mną mówić?

- Ja chciałem z panem mówić - zagrzmiął natychmiast Kaun, przejmując kontrolę nad rozmową. - *Konieczn*ie chciałem poznać młodego człowieka, który dokonał tak niezwykłego odkrycia - wstał i wyciągnął nad stołem rękę. - Nazywam się John Kaun; mam zaszczyt wspierać finansowo te wykopaliska.

Ach tak. Jesteśmy uprzejmiutcy. Stephen uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń i skinął głową, starając się wyglądać tak niepozornie, jak to tylko możliwe.

- Stephen Foxx. Jestem zaszczycony, panie Kaun, niestety muszę przyznać, że tylko przypadkiem znalazłem się we właściwym miejscu. To nie jest w najmniejszym stopniu moja zasługa.

- Myślę, że jest pan zbyt skromny, Stephen. Chciałbym przedstawić panu Petera Eisenhardta, który jest niemieckim pisarzem, gromadzi tu materiały do następnej powieści. Ale niech pan usiądzie, proszę.

Siedzieli więc i przez krótką chwilę panowała pełna napięcia cisza. Stephen szybko się rozejrzał. Niezwykle chłodne pomieszczenie, zarówno, jeśli chodzi o urządzenie wnętrza, jak i w sensie temperatury. Najważniejszym elementem wyposażenia zdawał się być stojak do flipchartów, w umieszczonym na nim bloku zauważył kilka pokrytych bazgrołami i odwiniętych do tyłu kartek, nie dało się nic przeczytać. Widoczny w tej chwili na wierzchu arkusz był jeszcze biały i nietknięty.

Kaun, znów rozparty na fotelu tak samo szeroko jak przedtem, o ciężale pochylił się nad blatem stołu, splatając palce dłoni i spojrzał Stephenowi w oczy. Stephen poczuł, jak pod tym spojrzeniem stroszą mu się włoski na karku.

- Stephen - zaczął w końcu przemysłowiec - jestem ciekaw, co pan sądzi o swoim znalezisku.

Foxx udawał zaskoczonego.

- Ja? - upewnił się. - Co ja o nim sądzę? - Tak.

Nie wolno mu przesadzić. Nie był pewien swoich sił jako aktor. Nie tak pewien jak tego, że John Kaun znakomicie zna się na ludziach. Nigdy nie da się nabrać, że Stephen jest nie mającym o niczym pojęcia idiotą.

- Obawiam się, że mam do zaoferowania tylko kilka raczej kiepsko uzasadnionych spekulacji - odpowiedział w końcu Foxx z wyraźnym ociąganiem. - Człowiek zastanawia się, jasne, ale... no cóż... Tak naprawdę nie wiem, co mam o tym myśleć.

- A jak się panu *wydaje*? - nalegał Kaun.

- Hm. Jak to powiedzieć? To, co leżało w grobie, wyglądało jak instrukcja obsługi kamery wideo, do tego w plastikowym woreczku. Myślę, że w żaden sposób nie może pochodzić z czasów biblijnych, problem więc w tym, skąd się tam wzięła? Ale tego nie wiem.

- Jakaś hipoteza?

- Obawiam się, że nie.

Trójka mężczyzn dosłownie zawisła spojrzeniem na jego ustach. A on musiał odgrywać utrudzonego, pozbawionego wyobraźni kopacza, który tego nie dostrzega.

- Zauważył pan, jaki producent jest zaznaczony na instrukcji? - dopytywał się Kaun.

- SONY.

- Czy nie przyszło panu do głowy zadzwonić w tej sprawie do firmy SONY?

Stephen głęboko odetchnął i poczuł, że serce zaczęło mu bić mocniej. Kaun coś wie, dlatego pyta. Nie pyta przypadkiem. Nie Johnis Khan, menadżer następnego tysiąclecia.

Tu może pomóc tylko ucieczka w przód. Musi teraz na poczekaniu wymyślić coś prawdopodobnego, musi to wymyślić szybko i musi to od razu zabrzmieć tak, jakby tkwiło w jego głowie przez cały czas.

- Tak - przytaknął Stephen, starając się pozbawić twarz wszelkiego wyrazu. - Rzeczywiście, wczoraj wieczorem dzwoniłem do SONY.

- O której wczoraj wieczorem?

- Krótco przed północą, zdaje się - otworzył szeroko oczy. - Dlaczego, czy to takie ważne?

- Być może. A dokąd dokładnie pan dzwonił? Foxx wzruszył ramionami.

- Tego nigdy dokładnie nie wiadomo przy dzisiejszych centralach telefonicznych. To był jakiś taki bezpłatny numer serwisowy - to znaczy, mam nadzieję, że był bezpłatny, wie pan, dwadzieścia cztery godziny na dobę do dyspozycji klienta - i potem bez końca mnie przełączali, aż znaleźli kogoś, kto znał ten typ kamery - pokręcił głową, jakby było to jego największe zmartwienie. - W sumie ta rozmowa trwała naprawdę długo. Mam nadzieję, że te numery są bezpłatne też wtedy, jeśli dzwoni się na nie z komórki. Nie orientuje się pan przypadkiem?

W środku cały drżał. Historyjka była ryzykowna. Tak naprawdę nie znał takiego numeru SONY i wcale nie był pewien, czy firma ma taki serwis. Jeśli Kaunowi przyjdzie do głowy zapytać go o ten numer, będzie się musiał niezłe napocić.

- Po co pan tam dzwonił? - drążył dalej Kaun, ignorując pytanie Stephena.

- Z ciekawości. Chciałem się dowiedzieć, jaki to rodzaj kamery. Znam się na tym dość dobrze, ale o tym typie jeszcze nie słyszałem - starał się nie okazać ociążania, gdy dodawał: - Co mnie wcale nie dziwi, bo powiedziano mi, że kamery od tej instrukcji wcale jeszcze nie ma na rynku.

Ktoś zasapał. Kaun ledwo zauważalnie uniósł brwi. Wyglądało na to, że dobrze rozegrał tę kartę. Dowiedział, że jest prostodusznym, godnym zaufania współpracownikiem, nie zdradzając nic, czego by i tak nie wiedzieli.

- Jaki z tego wniosek? - zapytał Kaun.

- Nie mam pojęcia.

- Jakieś śmiałe przypuszczenie?

- Hm... - udając, że się ociąga Foxx w rzeczywistości przeszukiwał gorączkowo hipotezy, jakie wysuwali wczoraj z Judith i Yehoshua, nim doznał olśnienia. - Naprawdę znam takie historie tylko z telewizji, dlatego muszą mi panowie wybaczyć, jeśli to, co powiem, będzie kompletną bzdurą. Pomyślałem sobie, że może chodzi tu o coś w rodzaju wywiadu gospodarczego. Może skradziono jakieś dane o prototypie kamery, czy ja wiem. Ale jeśli spytają mnie panowie, co w takim razie instrukcja robiła w grobie, muszę spasować. Wiem tylko, że nie miała czego szukać w wykopalisku.

Kaun przyglądał mu się przez chwilę, potem skinął głową. Wymienił krótkie spojrzenia z pozostałą dwójką, też z satysfakcją kiwającą głowami. Wszyscy byli zadowoleni. Zadowoleni, bo przekonani, że ich fantastyczna tajemnica pozostała nieodkryta.

Ryan powoli opuścił za sobą płachtę namiotu. Światło przedpołudniowego słońca było wystarczająco jasne, przenikało przez płótno. Zobaczył pojedyncze polowe łóżko, którego jego właściciel nie uznał za stosowne pościelić. Kółdra i prześcieradło zwisały aż na pełną kurzu podłogę, którą stanowiła po prostu udeptana ziemia. Obok łóżka konstrukcja stojaka, na nim kilka wieszaków z ubraniami i lustro. Człowiek o pozbawionych wyrazu, wodniście niebieskich oczach cicho zagwizdał przez zęby, przy czym jego wzrok nic a nic nie stracił na swym braku wyrazu. W takim luksusie nie mieszkał nikt więcej w obozowisku kopaczy, o ile zdążył się do tej pory zorientować. W takim luksusie nie mieszkał nawet on sam.

Stał tam jeszcze wąski, biały, składany stolik z metalu i plastiku, na nim leżał zamknięty laptop. Tak po prostu. Właścicielowi najwyraźniej obca była obawa, że ktoś mógłby go ukraść. Jak również obawa, że podczas jego nieobecności ktoś może przy nim grzebać.

A właśnie to zamierzał teraz zrobić Ryan. Siadł na składanym krześle, stojącym ukosem przed stolikiem, ostrożnie, starając się go nie poruszyć, uniósł ręce jakby w geście egzorcyzmu i dokładnie obejrzał mały komputer. Czy ustawiono go w jakiś specjalny sposób? Czy umieszczono gdzieś włos, drzazgę zapalniczki albo skraweczek papieru, mający potem zdradzić, że ktoś używał urządzenia? Ryan nie zauważył nic w tym rodzaju, podniósł pokrywę, będącą równocześnie monitorem. Nie można było oczywiście wykluczyć, że w komputerze zainstalowany jest program protokołujący każdy proces włączania, wraz z datą i godziną w ukrytym pliku. Lecz Ryan znał się na takich zabezpieczeniach; wiedział, gdzie ma szukać i jak wykasować ewentualne wpisy, tak, by później nic nie zdradziło, że ktoś przeglądał zawartość komputera. Przycisnął klawisz włączania. Zabrzmiał typowy bzyczący odgłos rozpędzającego się twardego dysku, płaski ekran rozjaśnił się.

W nowoczesnych komputerach osobistych istnieje całe mnóstwo funkcji, które wydają się być stworzone na potrzeby szpiegów, Ryan znał je wszystkie. Włączył przeszukiwanie dysku, każąc znaleźć

wszystkie pliki utworzone lub zmienione w ciągu ostatnich trzech dni. Uważnie przejrzał otrzymaną długą listę. Niektórym plikom, jak listy albo inne dokumenty, przyjrzał się dokładniej, otwierając je za pomocą odpowiedniego edytora tekstu i czytając na ekranie. Człowiek o krótko przyszyżonych włosach pracował szybko i efektywnie, wędrując po ekranie oczy zdawały się wchłaniać zawartość monitora i kopiować ją na inny nośnik pamięci.

W trakcie pracy kątem oka zauważył napęd CD. Otworzył go i rzucił krótkie spojrzenie na opis leżącej w nim srebrzystej płytki, uniósł krótko brwi i popchnął szufladę, nie zadając sobie trudu ponownego naciśnięcia odpowiedniego guzika. Gdy CD-ROM ze słumionym chrobotem nabierał prędkości, Ryan uruchomił odpowiedni program, wywołał funkcję wyszukiwania i kazał wyświetlić ostatnio szukane pojęcia.

Ostatnio szukanym hasłem było: Jezus Chrystus.

Na ustach Ryana pojawił się chłodny, ledwie zauważalny uśmiezek, w którym nie uczestniczyły jego oczy. Zobaczył już dość. Szybko upewnił się, że inspekcja komputera nie zostawiła żadnych śladów i wyłączył urządzenie.

Przez moment siedział bez ruchu. Obserwator, gdyby w tym momencie był tam jakiś obserwator, sądziłby, że na krótką chwilę oczy Ryana zostały pozbawione wszelkiej energii, by dostarczyć jej więcej pozostałym zmysłom. Jego wzrok był mętny, niemal szklisty, gdy tymczasem uszy wyłapywały każdy krok w rozległym otoczeniu namiotu. Nos wyczuwał kurz, zaschnięty pot używanej, niepranej bielizny i lekki zaduch wydzielany przez pościel. Skóra odczuwała nacierający z wszystkich stron upał, rozpoznawała niemal konfigurację przedmiotów w namiocie. Nie popełnił błędu, by ograniczyć się tylko do komputera. W osobistych rzeczach każdego jest wiele innych rzeczy, zdradzających doświadczonemu intruzowi tak samo wiele, jak komputer, i to nawet o wiele bardziej ochoczo.

Ryan podszedł do stojaka na ubrania, szybkimi, najwyraźniej często ćwiczonymi ruchami przeszukał wszystkie kieszenie, nic jednak nie znajdując. Przykucnął i przejrzał zawartość torby, która na wpół otwarta stała pod spodem. Udało mu się przy tym nie zmienić nic w ułożeniu znajdujących się w niej rzeczy - o ile w przypadku kompletnego chaosu można mówić o jakimkolwiek ułożeniu. Wynik poszukiwań okazał się widocznie niezadowolający, sądząc po powolnym, ale nieprzerwanym ruchu brwi Ryana, gdy ścigał je, aż na gładkim czole utworzyła się pionowa zmarszczka dezaprobaty. Żadnego dziennika. Żadnych listów. Brak nawet kalendarza czy notatnika z adresami, z których można by się czegoś dowiedzieć.

Opadł na łóżko, nie troszcząc się, czy nie zostawia śladów w dzikim krajobrazie wymiętej pościeli i części piżamy. Piętą uderzył w jakiś przedmiot stojący pod łóżkiem, rozległ się suchy, głuchy dźwięk. Zdziwiony Ryan pochylił się, rozsuwając szeroko uda i odchylając dłońią prześcieradło zasłaniające do tej pory widok na przestrzeń pod łóżkiem.

Stała tam szara skrzynka.

- Następni goście - powiedział jeden z kopaczy, szuflujących w sektorze trzecim piach i kamienie do zakurzonych, wystrzępionych koszy.

Na moment przerwali pracę i wyciągnęli szyje. Przez żwirową pustynię do obozowiska zbliżały się dwie wielkie, połyskujące srebrno ciężarówki; tonąc w zwykłym obłoku kurzu, kołysały się niepokojąco na każdym z licznych wybojów. To były naprawdę duże ciężarówki, ogromne trucki, jakie widzi się w amerykańskich filmach.

- Prawdziwa inwazja - dodał ktoś inny. Potem znów wszyscy chwycili za szpadle, mimo że od minionego wtorku praca nie sprawiała im już takiej przyjemności.

Profesor Charles Wilford-Smith odchrząknął głośno, pochylił się w przód, spojrzał Stephenowi prosto w oczy, gdy jednak ten odwzajemnił jego spojrzenie, zmieszany umknął wzrokiem i obserwował palce swej dłoni, którymi nieświadomie malował niewidoczne, skomplikowane figury na blacie konferencyjnego stołu.

- Jest coś - zaczął rozwlekle - o co chciałbym pana zapytać, Stephen.

-Tak?

- Dlaczego otworzył pan ten Iniany worek?

Stephen zauważył, że palce profesora zamarły w bezruchu. Nagle w pomieszczeniu zrobiło się bardzo cicho.

- Pracował pan - mówił dalej Wilford-Smith - na wykopaliskach archeologicznych. Mogę chyba założyć, że był pan tego w tamtym momencie świadomy. Znalazł pan Iniany worek, po którym na pierwszy rzut oka było widać, że jest bardzo stary - Stephenowi wydało się, że kątem oka dostrzega, jak John Kaun rzuca kierownikowi wykopalisk niechętnie, ostrzegawcze spojrzenie. - Wie pan przecież, że jedna z najważniejszych zasad obowiązujących na wykopaliskach głosi, że jesteśmy archeologami, a nie poszukiwaczami skarbów. Nie uszkadza się zabytku, nawet jeśli w środku miałoby być złoto królowej Saby. A pan po prostu otworzył Iniany worek, a plastikowy nawet pan rozciął. Chwycił pan za scyzoryk i rozciął. - Tym razem, gdy Stephen na niego spojrzał, nie umknął wzrokiem. - Chciałbym wiedzieć,

dlaczego?

Teraz patrzyli na niego wszyscy, a gdyby spojrzenia mogły kłuć jak igła, zaczęłyby krwawić w trzech miejscach. Stephen liczył się z tym, że to pytanie wcześniej czy później zostanie zadane. Poczł, jak mimo panującego w pomieszczeniu chłodu po plecach spływa mu strużka potu.

Odetchnął głęboko, lecz nie za głęboko. Teraz wszystko zależy od niego, a on musi udawać, że o niczym nie ma pojęcia. A to nie będzie łatwe. Kaun hipnotyzował go wzrokiem niczym kot łowiący mysz i Stephen nie miał wątpliwości, że ten człowiek posiada nie tylko szósty, lecz jeszcze siódmy i ósmy zmysł wyczuwania, co dzieje się w umysłach innych ludzi. Oparł się o krzesło, spokojnie ułożył ręce i spróbował uśmiechnąć się swobodnie.

- No cóż - powiedział wreszcie. - Wydawało mi się jasne, że w tym przypadku nie chodzi o zabytek archeologiczny.

Trzy pary oczu uniosły się, nie kryjąc zdziwienia.

- Słucham? - spytał profesor.

- Widać było plastik - wyjaśnił Stephen Foxx, jakby pomieszczenie nie było pełne niewypowiedzianych wobec niego zarzutów. - Prześwitywał. Wytarty stary worek z lnu, dość kruchy, dałoby się otworzyć go z boku po prostu paznokciami - ale spod spodu prześwitywał plastik. W porządku, pomyślałem w pierwszej chwili, ktoś chce ci zrobić kawał. Wie pan przecież, że jest kilku kopaczy, którzy niezbyt mnie lubią. Pomyślałem, że na pewno w plastikowym worku jest jakaś karteczka, a na niej napisane coś głupiego, „Foxx to idiota” albo „Pozdrowienia od faraona” czy coś w tym rodzaju - było to tylko w połowie kłamstwo, dlatego mógł mówić o tym tak wiarygodnie.

- I dlatego rozciął pan plastikowy worek?

- Tak. Sądziłem, że ktoś mnie obserwuje i że za chwilę usłyszę wybuch śmiechu.

- I jak pan chciał temu zapobiec?

- Nie mam pojęcia. Nie zastanawiałem się nad tym, bo zobaczyłem, że w środku jest ta instrukcja obsługi i to wydało mi się dosyć dziwaczne. Wtedy zaraz poszedłem do pana.

Profesor skinął głową. Stephen spoglądał na każdego po kolei. Z ich twarzy jeszcze nie znikła nieufność. Tylko niemiecki pisarz wydawał się niezbyt zainteresowany. Może zresztą nie wszystko rozumiał.

W tej samej chwili ktoś otworzył drzwi za jego plecami. Do wnętrza wtargnęła fala skwaru i niepokoju, a wraz z nią człowiek ubrany w strój o wojskowym kroju, w kolorze khaki. Stephen odwracając się, rozpoznał w nim mężczyznę, który zmarnował mu wczoraj tak dobrze rozwijający się romantyczny wieczór z Judith. Czy to możliwe, by ten człowiek był kimś w rodzaju prawej ręki Johna Kauna? W każdym razie wymienił z magnatem medialnym porozumiewawcze spojrzenie, nie wróżące nic dobrego. Widzi się czasem tego typu spojrzenia w filmach gangsterskich i znaczą one wtedy zwykle coś w rodzaju *W porządku, szefie, uciszyłem tę świnię*.

Kaun znów przejął głos, i tak udzielony profesorowi tylko na chwilę, z zastrzeżeniem odebrania go w każdym momencie.

- Dziękuję, Stephen - powiedział, wykonując głową ruch, mający oznaczać, że naprawdę przepełniony jest poczuciem głębokiej wdzięczności. - Wydaje mi się, że zajęliśmy już dość pańskiego cennego czasu. Mam do pana tylko jeszcze jedną prośbę: proszę informować nas, jeśli będzie pan miał zamiar opuścić obóz - na przykład dziś wieczór. Na wypadek, gdyby pojawiły się jeszcze jakieś pytania, rozumie pan.

- Tak - skinął głową Stephen, nie mogąc pohamować podziwu dla przemysłowca, jak umiejętnie potrafi ujmować nieprzyjemne treści w gładkie sformułowania. - Oczywiście.

Zrozumiał, że jest już wolny, odwrócił się więc do wyjścia. Kaun nie zwracał już na niego uwagi, Wilford-Smith skinął mu jeszcze z roztargnieniem głową, pisarz i tak tylko wszystko obserwował. Nikt nie powiedział ani słowa, nim Stephen nie zamknął za sobą drzwi przyczepy.

Założyłby się o każdą sumę, że w tym samym momencie zaczęli o nim dyskutować.

Dwie potężne, połyskujące chromem ciężarówki manewrowały z trudem po parkingu, otoczone gromadą mężczyzn w szarych kombinezonach, wyglądających przy nich jak mrówki, którzy gwałtownymi ruchami ramion dyrygowali przesuwaniem obu kolosów w tył i w przód. Z rzucających się w oczy, gładko wypolerowanych rur wydechowych, strzelających ku niebu z prawej i lewej strony monumentalnych szoferek, wydobywały się ciężkie, szarobłękitne chmury spalin. Od dudnienia motorów drżała ziemia.

Wyżej, w sektorze trzecim, stali kopacze i z ciekawością spoglądali w dół. Ludzie w namiocie kuchennym mieszały w garnkach, w których gotował się obiad, lecz ich wzrok też zawiśł na błyszczących srebrno monstrach. Co to znów może znaczyć? Nie było nikogo, kto nie zadawałby sobie takiego pytania.

Stephen Foxx zajął punkt obserwacyjny w pobliżu pierwszego rzędu namiotów. Na truckach nie było widać żadnych napisów, żadnej nazwy firmy, nic. Nawet po arabsku czy he-brajsku.

W końcu ustawiły się na pozycjach, które zadowolili pilotujących je ludzi. Warkot motorów ustał, cisza,

jaka nastąpiła, wprost kłuła w uszy. Ale pracowita gromada nie pozwoliła sobie na przerwę. Nie ociągając się, otworzyli tylne klapy wozów i rozpoczęli szybko i wprawnie rozładowywać: duże bębny kabla, drewniane skrzynie, zawierające niezwykle przyrządy wykonane z ciemnego metalu, skrzynki z narzędziami, komputerowe monitory w masywnych stalowych obudowach.

Teraz wyglądało to naprawdę na inwazję Marsjan. Zupełnie jak w filmie. Po co to wszystko? Kim są te szare postacie, do diabła?

Stephen poczuł, że ktoś zbliża się do niego od tyłu, odwrócił na moment głowę. To Judith.

- Ten człowiek, który wszedł do kontenera na chwilę przedtem, nim ty wyszedłeś... wiesz, kto to jest? - spytała półgłosem.

Stephen odpowiedział nie odwracając się.

- Ten, który kontrolował nas wczoraj wieczorem? Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że to ktoś w rodzaju prawej ręki Kauna. Człowiek od mokrej roboty.

- Był przedtem w twoim namiocie.

- Ach. Ciekawe.

Milczała. Wyraźnie czekała, Stephen czuł, jak rośnie jej rozdrażnienie.

- Nie martwisz się, że mógł znaleźć twój papier? Stephen uśmiechnął się. Więc jednak jest jego współniczką. Drży o powodzenie planu. To dobrze.

- Nie - powiedział. - Nie znalazł go.

- Jak możesz być taki pewny?

- Ponieważ - zachichotał Stephen - schowałem go dziś rano w twoim namiocie.

14

Ścisła analiza przekrojów stratygraficznych jest niezwykle przydatna do ustalania chronologii i datowania. Archeologia zajmuje się jednak o wiele szerszym spektrum problemów. Historyka interesuje także, jaka była wielkość osady, czy była ona umocniona, czy znajdował się w niej centralny budynek władcy, w jakiego rodzaju domach mieszkali ludzie, jakie rzemiosła uprawiali, czym się żywili, jakie były im znane rodzaje kultu religijnego, itd. W celu uzyskania odpowiedzi na takie i podobne pytania, konieczne jest stopniowe, horyzontalne zdejmowanie warstw z całej powierzchni jednocześnie, w celu sukcesywnego odsłaniania poszczególnych obszarów stanowiska.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Raport Ryana był krótki. Gdy skończył, przez chwilę siedzieli zatopieni w myślach nie odzywając się do siebie. W ścianach kontenera coś tajemniczo stuknęło. Klimatyzacja, w porannych godzinach włączająca się tylko od czasu do czasu, teraz pracowała bez przerwy i prawdopodobnie nie będzie już długo w stanie chronić panującego w pokoju konferencyjnym chłodu przed wzmagającym się słonecznym żarem.

- I jak to teraz rozumieć? - w końcu z niechęcią zapytał Kaun. - On coś już podejrzewa, prawda?

Eisenhardt przyjrzał się uważnie po kolei obu rozmówcom, przy czym coraz intensywniej czuł, jakby w rzeczywistości nie był tu obecny fizycznie. Ryan siedział spokojny, niby wykuty z kamienia. Jego szef przeciwnie, patrzył przed siebie spod gniewnie ściągniętych brwi i bębnił czubkami palców po blacie stołu jakiś irytujący takt.

- Cóż - sprzeciwił się profesor Wilford-Smith - ja ze swej strony uważam za zupełnie normalne, że jeśli ktoś przyjeżdża do Izraela pracować jako kopacz na wykopaliskach i ma przy sobie ENCYKLOPEDIĘ BRITANNICĘ, to wcześniej czy później poszuka hasła Jezus Chrystus. Nie mówiąc o tym, że mógł to zrobić już kilka tygodni temu. Nie sądzę, by miał zbyt wiele czasu, odkąd jest tutaj.

Kaun rzucił spojrzenie na Ryana.

- Czy można sprawdzić, kiedy szukał tego hasła? Ryan potrząsnął głową.

- Nie. To nie jest nigdzie zapisane.

Kaun sprawiał wrażenie, jakby go w ogóle nie słuchał.

- Niech go pan ma na oku, Ryan - powiedział. W punkcie na wypolerowanej gładko powierzchni stołu, w który nieustannie się wpatrywał, dostrzegł najwyraźniej jakieś niezwykle interesujące aspekty sprawy, w każdym razie przez dłuższą chwilę kiwał tylko głową w zamyśleniu. Potem, tak niespodziewanie, że wszyscy zadrżeli, hałaśliwie uderzył otwartą dłońią w stół i jeszcze raz głośno powiedział: - Niech pan nie spuszcza go z oka, Ryan. Zrozumiał pan?

- Oczywiście - odrzekł nieporuszony Ryan.

Przez chwilę powietrze było aż gęste od niesamowitego napięcia. Eisenhardt zauważył, że od wybuchu Kauna nieświadomie wstrzymuje oddech, i ukradkiem nabrał powietrza. Na Ryana takie sceny zdawały się nie robić żadnego wrażenia, lecz on cały oblał się potem.

Wreszcie medialny magnat odprężył się. Jakby nic się nie stało, na jego ustach pojawił się znów uprzejmy, budzący zaufanie, pewny siebie uśmiech zwycięzcy. Rozejrzał się po zebranych, jakby miał dodać otuchy załamanej drużynie piłkarzy, którzy właśnie przegrali ważny mecz.

- Tak? - zapytał. - Czym jeszcze mieliśmy się zająć?

Judith ledwie miała odwagę się poruszyć. Siedziała na łóżku, w jednej ręce miała małe kieszonkowe lusterko, w drugiej grzebień o grubych zębach, starała się oczyścić swoje niesforne włosy z piasku i kurzu i nadać im ponownie jakąś formę. Musiała to robić w namiocie dwa razy dziennie, żeby wieczorem nie wyglądać jak straszdyło.

Obawiała się, że wykona jakiś nieopatrzny ruch i usłyszy szelest kruszącego się papieru. Kartki, które Stephen znalazł wraz z instrukcją obsługi, z pewnością też miały już dwa tysiące lat i prawdopodobnie były tak zbutwiałe i kruche, że starczyłoby spojrzeć na nie twardszym wzrokiem, by rozpadły się w proch, z którym nie poradziłoby sobie nawet najlepsze laboratorium świata. A Judith próbowała się domyślić, gdzie, na miłość boską, Stephen schował w jej namiocie te papiery. Miała nadzieję, że nie w kieszeni któregoś z ubrań. Nim siadła na łóżku, ostrożnie sprawdziła przestrzeń pod nim i przejrzała pościel. Czy Stephen wiedział, że zachodziła tu czasem w ciągu dnia? Czy wziął to pod uwagę?

Prowadząc wolnym ruchem grzebień po opornych włosach rozglądała się, ignorując swoje odbicie w lustrze. Gdzie, do wszystkich diabłów, można w takim namiocie ukryć tak delikatne dokumenty?

Dziwaczne odgłosy dobiegające z zewnątrz - wyjące silniki, chrzęst ciężkich kół po żwirze, podniecone okrzyki wyrrywające się z wielu krtani, trzaskające z brzękiem drzwi - sprawiły, że Eisenhardt odsunął zasłonę z okna i zaciekawiony wyjrzał. Zobaczył dwie wielkie ciężarówki, najpierw manewrujące po ciasnym parkingu, wreszcie ustawione między pozostałymi pojazdami i teraz rozładowywane przez

grupę rosnących mężczyzn.

- A cóż to takiego? - zapytał półgłosem, nie oczekując naprawdę, że ktoś mu odpowie.

Ale Kaun, teraz znów uosobienie skwapliwej uprzejmości, w tym samym momencie poderwał się, stanął obok niego i szerzej rozsunął zasłony okna.

- Wspaniale, nareszcie przyjechali - stwierdził z wyraźnie wyczuwalną satysfakcją. - Tomograf sonarowy. Okropnie trudno go transportować. Naprawdę podziwiam, jak w dzisiejszych czasach działa spedycja. Mówią, że będą o dziesiątej rano i rzeczywiście są, jak obiecali. Nie wiem czemu, ale dawniej tak to nie działało.

- Tomograf sonarowy? - powtórzył Eisenhardt niepewny, czy dobrze dosłyszał.

Kaun skrzywił twarz w szerokim uśmiechu.

- To coś z pańskiej branży, Peter. Tomograf może prześwietlić podłoże falą uderzeniową. Nasi paleontolodzy używają tych urządzeń na wykopaliskach w Montanie, do szukania szkieletów dinozaurów.

- Dinozaurów?

- Powiedziałem sobie - objaśnił magnat medialny, którego nastrój wyraźnie się poprawił - że najbardziej prawdopodobne miejsce ukrycia kamery jest właśnie tutaj. Niedaleko grobu podróżnika w czasie. Może strzegł jej do ostatniej chwili, kto wie. Ale trudno byłoby rozkopać całą okolicę, prawda? Dlatego tomograf sonarowy. Widzi pan ten przyrząd, który akurat zdejmują? Ten, który wygląda jak przenośna budka z hot-dogami? To generator fali uderzeniowej. Wystrzeli w podłoże ołowianą kulę o dokładnie znanej masie, z wyliczoną precyzyjnie prędkością. Wokół umieszczone są sensory rejestrujące echo fali uderzeniowej i przesyłające je do komputera. A ten w mgnieniu oka wyczarowuje na ekranie obraz podłoża pod naszymi stopami, tak wyraźnie, jakby było przezroczyste.

Eisenhardt był pod wrażeniem.

- I to działa?

- Działa.

- Po co więc jeszcze w ogóle robi się wykopaliska? Profesor chrząknął poirytowany, co rozśmieszyło Kauna

niemal do łez. Eisenhardt zaskoczony patrzył to na jednego, to na drugiego, nie mogąc zdobyć się na nic ponad niepewny uśmieszek. Nawet na twarzy Ryana pojawił się cień uśmiechu, co jednak u niego wyglądało niezwykle niepokojąco, jako że najwyraźniej niezbyt często uprawiał ten rodzaj gimnastyki.

- Nie, poważnie - w końcu uspokoił się Kaun. - Oczywiście, nie zobaczymy tutaj monet ani glinianych skorup, niektóre rzeczy trzeba najpierw wykopać, żeby móc z nimi coś począć. Ale kamera z metalu... Jak pan sądzi, w co zapakował kamerę nasz podróżnik? Żeby przetrwała setki lat? Sądzę, że wziął ze sobą solidny metalowy kuferek, szczelny na kurz, odporny na promieniowanie i ekstremalne temperatury.

To brzmi prawdopodobnie, pomyślał Eisenhardt. Dlaczego jestem jedynym, który wciąż nie może uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć? Akurat ja?

- Więc jeśli ta skrzynka - kontynuował Kaun - jest zakopana gdzieś tutaj, znajdziemy ją. Będziemy mieli kamerę, jeszcze nim słońce zajdzie dziś wieczór.

- No cóż - mruknął Eisenhardt. Po co jest im w ogóle potrzebny? Wygląda na to, że Kaun uruchomił już wszelkie możliwe działania nie czekając na jego opinię, choć podobno to on jest specjalistą od spraw niewiarygodnych. Na pomysł, żeby po prostu prześwietlić teren za pomocą najnowocześniejszych środków technicznych naprawdę by nie wpadł, bo nie wiedział, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

Po pewnej chwili, gdy nikt nic nie mówił, wszyscy tylko przyglądali się przez odsłonięte okno robotnikom przy rozładowywaniu aparatury, zapytał:

- Mówiąc jednak całkiem poważnie - czy takie urządzenie nie uprościłoby generalnie pracy archeologów? Nie rozumiem, czemu jeszcze kopie się na wyczucie, jeśli równie dobrze można prześwietlić podłoże.

Kaun łagodnie się uśmiechnął.

- Powiedzmy tak - zaczął. - Gdybym kazał przekopać cały ten teren na głębokość dwudziestu metrów, kosztowałoby to mnie mniej.

George Martinez nadzorował rozładunek urządzeń, lecz gdy przyszła kolej na *thumper*, podszedł, by własnoręcznie pomóc. Przyrząd, mimo że w zasadzie był tylko wielką, skierowaną ku ziemi armatą na ołowiane kule wielkości ludzkiej głowy, posiadał kilka wrażliwych punktów, a osiłki w szarych kombinezonach chwyciły niektóre skrzynie z instrumentami tak niedbale i nieuważnie, że nie zdobył się na to, by powierzyć ich dłoniom serce całego urządzenia.

- Ostrożnie... Nie chwytaj za ten bolec... Uważać na przełączniki!

Rozglądał się za Bobem Richardsem, lecz ten, jak zwykle, nie troszczył się o tak trywialne sprawy jak rozładunek wartego miliony ekwipunku. Mieli ze sobą tylko jeden *thumper*. Gdyby odmówił posłuszeństwa, mogliby pakować wszystko z powrotem.

Odetchnął, gdy urządzenie stanęło bezpiecznie na ziemi. Był to bardzo głęboki oddech, gdyż nie nawykł do takiego wysiłku. Nikt też się po nim takich nawyków nie spodziewał. Od dzieciństwa uważany za wątłego, krzywego niedorosłka, ku utrapieniu ojca, z upodobaniem opowiadającego o swych przodkach jako o „zdrowym rodzie silnych meksykańskich rolników z gór”.

Generator fali uderzeniowej stał na czterech dużych kołach z grubymi oponami. George rozejrzał się. Niemal automatycznie szukał najodpowiedniejszego miejsca na jego ustawienie. I tak trzeba będzie poeksperymentować z pozycjonowaniem, jeśli nie otrzymają obrazów zadowalającej jakości, ale miał taką ambicję, by wyrobić sobie zmysł wyczuwania każdego terenu. Tutaj obszar był lekko pagórkowaty, najpierw należało więc wypróbować szczyt wzniesienia. Zakładając, że podłoże jest twarde. Żwir ani luźne otoczaki nie przewodzą fali uderzeniowej, w każdym razie niewystarczająco.

I nagle dotarło do jego świadomości, jak cios obuchem: Jest w Ziemi Świętej! W kraju Biblii, proroków, w kraju Drogi Krzyżowej i Zmartwychwstania! Stoi na ziemi, po której dwa tysiące lat wcześniej chodził sam Zbawiciel!

Na moment zakręciło mu się w głowie. Zawsze o tym marzył. A teraz wszystko odbyło się tak szybko, że w ogóle do niego nie dotarło, dokąd ich w takim pośpiechu wysyłają.

Bogactwem George'a Martineza były jego szczupłe, delikatne palce, palce niczym precyzyjne instrumenty, dzięki którym on, z definicji zawsze startujący z przegranej pozycji syn meksykańskich imigrantów, zdołał z powodzeniem ukończyć szkołę z tytułem mechanika precyzyjnego i zdobyć stanowisko asystenta technicznego na *Montana State University* w Bozeman, Montana. Tam przywykł do tego, że z powodu cery o odcieniu karmelu, kruczonych włosów i ognistych oczu często brany był za Indianina, i z biegiem czasu został konserwatorem urządzenia *Sototn 2, Tomograf sonarowy 2*, ulepszonej wersji dawnej aparatury do pomiarów echolokacyjnych. Przyzwyczał się również do tego, że od czasu do czasu wraz z całym wyposażeniem wynajmowały go dobrze płaćące firmy, przeważnie korporacje ropy naftowej lub budownictwa podziemnego. Wędrował wtedy po świecie przeszukując pola naftowe, robiąc kartografię szybów nieczynnych kopalń lub plany przebiegu instalacji wodnych, gazowych albo innych, w rozrastających się na dziko miastach Ameryki Południowej, gdzie brak było wiarygodnej albo w ogóle jakiejkolwiek dokumentacji budowlanej. Dla Uniwersytetu w Bozeman *Sotom 2* stanowił istotne źródło dochodów.

Wczoraj jednak wszystko odbyło się w wyjątkowym pośpiechu. Dano mu całe dziesięć minut na spakowanie szczoteczki do zębów i jakiejś bielizny. Spotkania umówione na następne dziesięć dni odwoływał jadąc na lotnisko, gdzie czekała już największa maszyna transportowa, jaka wylądowała w Bozeman, odkąd miasto posiada lotnisko. Cel podróży poznał dopiero podczas lotu, jakby przy okazji, gdy sprawdzał czy zabrano komplet kabli sygnałowych.

Z zamyślenia wyrwał go jeden z tragarzy.

- Dokąd z tym? - zapytał, wskazując na *thumper*, gardłowym, z arabska brzmiącym angielskim. George w pierwszej chwili go nie zrozumiał.

Wskazał na stos skrzyń ustawionych już na skraju rozległego miasteczka namiotów.

- Tam - odpowiedział cicho.

Ziemia Święta. Koniecznie musi zdążyć wysłać stąd pocztówkę swojej mamie, nim skończą pracę i pewnie w takim samym pośpiechu odlecą z powrotem. Musi też...

- Czy stąd daleko do Jerozolimy? - spytał jednego z wartowników, rozstawionych po terenie, każdy z pistoletem maszynowym u boku.

- Nie - odpowiedział mężczyzna. - Izrael to mały kraj. Z żadnego miejsca nie jest daleko do Jerozolimy. Golgota. Ogród Getsemani. Via Dolorosa. Musi koniecznie wyrwać się do Jerozolimy. Pomodlić się na stacjach Drogi Krzyżowej Jezusa.

- Ile to będzie w milach?

Wartownik zmarszczył brwi, skinął głową, zdawał się w myślach oceniać odległość.

- Chyba dwadzieścia pięć mil. Może zresztą się mylę.

Izrael to naprawdę mały kraj. George codziennie pokonuje dwa razy większą odległość w drodze do pracy a wydaje mu się, że mieszka w pobliżu uniwersytetu.

Wskazał dłonią otaczającą ich scenerię, namioty, wozy campingowe, samochody.

- Co tu się właściwie dzieje?

- Nie mam pojęcia. Wykopaliska, o ile wiem.

- I trzeba ich pilnować?

- Tak. Odkąd wykopali tu jakieś sensacyjne znalezisko.

- Sensacyjne znalezisko? Co takiego?

- Wszystko ściśle tajne. Nam nic nie mówią. Wyglądało na to, że ten człowiek rzeczywiście o niczym nie wie. Nareszcie dostrzegł Boba, odpowiedzialnego za naukową stronę ich pracy. Stał przy jednym z pięciu srebrnych, błyszczących, ogromnych wozów campingowych i rozmawiał z mężczyzną ubranym w gołębio-szary elegancki garnitur, niemal najbardziej niestosowny strój, jaki George był w stanie

wyobrazić sobie w tych okolicznościach. On sam, jak prawie zawsze i wszędzie na świecie, miał na sobie swoje piętnastoletnie dżinsy i spłowiały T-shirt i czuł się w nich niezwykle dobrze. Uwielbiał upaść, w Mon tanie było mu przez większą część roku za zimno.

- Ściśle tajne. No, no. Ale są przecież jakieś plotki, prawda? Gdyby to się działo u nas, na pewno by były.

- Podsunął krępemu wartownikowi o kręconych włosach pudełko papierosów i poczęstował go.

- Mnóstwo plotek. Ale same bzdury, jeśli mam powiedzieć, co o tym myślę.

- A co na przykład? - podał mu ogień. - Poza tym, mam na imię George.

- George. Ja Gideon. Słyszałem, jak ktoś twierdził, że sektor czternasty został ogrodzony, bo znaleziono w nim coś nuklearnego. Inni mówią, że chodzi o skarb. O skarb Salomona. Ale żeby pan wiedział, że tak jest zawsze. W tym kraju jest jeszcze tyle do wykopania, że nie można spokojnie zrobić fundamentów pod dom.

- Rozumiem - trochę to wszystko niesamowite, budzi lekką grozę. Podniecająca sprawa. George był ciekaw zdjęć, jakie uzyskają za pomocą *Sotoma 2*.

W końcu się dodzwonił.

- Wilde - odezwał się z drugiego końca linii głęboki głos, zdradzający niewyczerpaną energię i radość życia.

- Cześć, Dominik - powiedział Eisenhardt - tu Peter.

- Peter! Co za niespodzianka! Do tego tak wcześnie. O co chodzi?

- Jak zwykle. Naukowy telefon zaufania. Masz chwilkę czasu, czy mam zadzwonić później?

- W porządku, i tak akurat tylko piję kawę - Dominik zawsze „akurat tylko pił kawę”, gdy do niego dzwonił.

- Przeniosłeś gabinet na korytarz? Słysząc u ciebie jakieś echo.

- To długa historia, opowiem ci innym razem.

- W porządku. Strzelaj. Eisenhardt głęboko odetchnął.

- Czy gdzieś na świecie prowadzone są badania z zakresu podróży w czasie?

- Ups - wyrwało się Dominikowi. Potem przez chwilę panowała cisza. Dominik się zastanawiał.

To właśnie było to, co Eisenhardt tak w nim cenił: Dominik nie spieszył się z odpowiedzią nawet na najbardziej dziwaczne pytania - a stawiał mu właściwie wyłącznie dziwaczne pytania. Dominik Wilde, pracujący dla wielu czasopism jako niezależny dziennikarz naukowy, był czymś w rodzaju jego kamizelki ratunkowej w przypadku problemów z zakresu nauk przyrodniczych. Gdy do niego dzwonił, zwykle miał już za sobą przejrzenie wszystkich możliwych leksykonów i innej literatury, spędził już wiele dni w bibliotece uniwersyteckiej i ciągle nie znajdował odpowiedzi. Dominik miał doskonałą orientację w niemal wszystkich dziedzinach badań naukowych, wiedział, kto w jakim zakresie ma największy potencjał, i zawsze był w stanie, o ile nie udzielił zadowolającej odpowiedzi, przynajmniej dać wskazówkę, która posuwała rzecz dalej - adres, numer telefonu, książkę.

Kontakt nawiązali przed laty, gdy Peter Eisenhardt po lekturze pewnego artykułu zatelefonował do jego autora, niejakiego Dominika Wilde'a, by zadać mu kilka dodatkowych pytań. Przy okazji okazało się, że Dominik czytał wszystkie jego powieści, bardzo je lubi i czuje się zaszczycony, że może mu pomóc. Niestety, nie dało się tego zrobić na poczekaniu, pytania były bardziej skomplikowane, niż obaj sądzili, i do ich omówienia okazało się konieczne osobiste spotkanie. Wtedy stwierdzili, że podobają im się te same filmy i że obaj uwielbiają bez końca rozmawiać o Bogu i świecie, co też wówczas z miejsca uczynili. Tak to się wszystko zaczęło.

- Podróż w czasie - powtórzył Dominik, po długiej, kosztownej pauzie. - Nie wydaje mi się. Nie sądzę nawet, żeby ktoś w tej chwili zajmował się nawet samym *zjawiskiem* czasu, w każdym razie nie w sensie fizycznym. Psycholodzy i neurologowie prowadzą wiele badań w tym zakresie - odczuwanie czasu, przemijanie, takie rzeczy. Czym jest wspomnienie, jak długi okres czasu uznajemy za teraźniejszość, same interesujące problemy. Ale pewnie nie o to ci chodzi?

- Nie - przyznał Eisenhardt. - Konkretnie chodzi mi o to, czy istnieje choćby cień szansy, że za pięć do dziesięciu lat można będzie wysłać człowieka w przeszłość.

- Wehikuł czasu. H.G.Wells i spółka.

- Właśnie.

- Cóż. *Cień* szansy istnieje właściwie zawsze. Sam wiesz, w jak burzliwym tempie wszystko się dziś rozwija. Nieprzewidywalne, w zasadzie. Iluż się już skompromitowało przepowiedniami, że to czy owo nigdy nie będzie możliwe. Pozwoliłbym sobie jednak na stwierdzenie, że szanse, iż ktoś odkryje, powiedzmy, napęd nadświetlny, niewyczerpane źródło energii albo środek na nieśmiertelność, są wprawdzie też tylko minimalne, lecz mimo to nieporównanie wyższe.

- Rozumiem. A pytając inaczej - co współczesna fizyka ma w *ogóle* do powiedzenia na temat czasu?

- Mnóstwo, możesz sobie wyobrazić. Musisz jednak zapytać nieco, dokładniej.

- Dobrze - Eisenhardt zastanowił się. To było jak gra: w dobrym pytaniu tkwi czasem już połowa odpowiedzi. Wiele problemów bierze się nie z braku odpowiedzi, lecz ze źle postawionych pytań. - W termodynamice jest przecież prawo zachowania energii, z którego wynika, że niemożliwe jest

skonstruowanie *perpetuum mobile*. Drugie prawo podstawowe i tak dalej. Chcę się dowiedzieć, czy istnieje podobny dowód na to, że podróż w czasie jest fizycznie niemożliwa.

- Nie istnieje.

- Jesteś pewien?

- Tak. Od czasów Alberta Einsteina czas uważany jest za jeden z wymiarów czterowymiarowej przestrzeni. Dokładniej mówiąc, jest tak, odkąd Hermann Minkowski wykazał, że transformacja Lorentza jest po prostu obrotem w czasoprzestrzeni...

Eisenhardt przeknął ślinę. Teraz Dominik porusza się już na samej granicy fachowej chińszczyzny!

- Stop, stop - przerwał mu. - Jeszcze raz, powolutku, dla pisarza. Jaki wymiar? Znam długość, szerokość i wysokość, a to są trzy kierunki, w których mogę się swobodnie poruszać. Mogę zrobić krok do przodu, ale też do tyłu. Czy to znaczy, że dokładnie tak samo mógłbym poruszać się w czasie?

- Stale to robisz w swoich powieściach.

- Tak, dobrze, ale to są powieści. Teraz mówię o rzeczywistości.

- Chyba niezbyt do tego nawykłeś.

- Jeśli czas jest tylko jeszcze jednym wymiarem, dlaczego nie mogę przenieść się wstecz, powiedzmy w czasy szkolne, i jeszcze raz zacząć całkiem inne życie? Albo chociaż tylko tydzień wstecz i skreślić inne cyfry w totolotku?

- Ale jesteś pazerny.

- Gdybym był pazerny, nie zostałbym pisarzem.

- O ile wiem, mówi się wprawdzie o czasoprzestrzeni, jednak rozróżnia się osie czasu i przestrzeni. Istnieje co najmniej jedna teoria, która wprowadza dodatkowy piąty wymiar, również dotyczący czasu, tak zwany hiperczas. Ale nie pytaj mnie teraz, proszę, co należy przez to rozumieć; nie mam pojęcia. Poza tym nie zdziwiłbym się, gdyby istniały teorie przewidujące jeszcze szósty wymiar - fizycy lubią, gdy ich teorie są symetryczne, byłyby wtedy trzy wymiary przestrzenne i trzy czasowe.

- Ale co z tego wynika? Czy czas może poruszać się wstecz czy nie?

- Jest przynajmniej jedna klasa praw fizyki, które określa się jako *symetryczne względem czasu*. Mówiąc po prostu: obowiązują, obojętnie, w jakim kierunku będzie czas. Klasycznym przykładem jest zderzenie dwóch kul bilardowych. Jeśli je sfilmujesz, możesz do woli puszczać film tam i z powrotem, kierunek nie gra roli. W obu kierunkach zderzenie przebiega zgodnie z prawami fizyki. Widz twojego filmu nie miałby możliwości stwierdzić, który wariant jest tym „właściwym”.

- Świetnie. Co powiesz jednak na to, że codziennie rano dodaję do mojej kawy cukier i mleko, mieszam i otrzymuję w efekcie jasnobrunatny, słodki płyn. Nie twierdzisz chyba, że jeśli pomieszam w drugą stronę, rozdzieli się znów na czarną kawę, mleko i kryształki cukru?

- Nie, to zjawisko nie jest symetryczne względem czasu. Ten proces tłumaczy się entropią, która wzrasta na skutek mieszania. Dzięki temu zachowana zostaje podstawowa symetria czasu w teoretycznym szkieletcie, na którym skonstruowano fizykę.

- Wspaniale.

- Daj spokój, nic na to nie poradzę. To ty chciałeś wiedzieć, co współczesna fizyka ma do powiedzenia na temat czasu.

Eisenhardtowi coś się przypomniało.

- Słuchaj - znasz, zdaje się, Stephena Hawkinga?

- Oczywiście, że go znam. Robiłem nawet z nim wywiad.

- Coś sobie niejasno przypominam, że on w którejś ze swoich książek dowodzi, że podróże w czasie nie są możliwe. A on w końcu jest dziś kimś w rodzaju Einsteina, jeśli się nie mylę. Znasz ten wywód?

- Mhm. Tak. - I co?

Dominik westchnął głośno.

- Nie spodoba ci się. To nie jest fizyczny dowód w ścisłym znaczeniu tego słowa.

- Wy tłumacz mi po prostu, jak on to argumentuje. Potem ci powiem, czy mi się podoba, czy nie.

- Jak chcesz. Hawking mówi po prostu tak: Jeżeli podróż w czasie jest możliwa, to pewnego dnia ktoś odkryje, w jaki sposób. Może za sto lat, może za dziesięć tysięcy, wszystko jedno. Od tej chwili ludzie zaczną podróżować po czasoprzestrzeni i nadejdzie chwila, że ktoś przybędzie również w nasze czasy, w końcu nie są takie zupełnie nieciekawe. Musieliby tu zjeżdżać całymi gromadami, bo od momentu odkrycia metody poruszania się w czasie aż po wieczność zawsze może znaleźć się ktoś, komu przyjdzie ochota zwiedzić naszą epokę - a ci wszyscy turyści, obojętnie, czy przybędą tu z dwudziestego, setnego czy milionowego stulecia, pojawiliby się na naszych oczach praktycznie równocześnie. Musieliby deptać sobie po piętach. Nie ma sposobu, żebyśmy ich do tej pory nie zauważyli. Nadażasz?

- Tak - mruknął Eisenhardt. - Rozumiem.

- Cóż, nie widać tu jednak żadnych przybyszów z przyszłości. Więc, wnioskuje Hawking, podróż w czasie nie zostanie nigdy wynaleziona. A ponieważ do tej pory wszystko, co okazywało się możliwe, ludzie robili, to może znaczyć tylko, że podróż w czasie nie jest fizycznie możliwa. Co było do wykazania.

- Hm - mruknął Eisenhardt. Podobną argumentację czytał już kiedyś w jakiejś powieści science fiction.
- Jestem trochę rozczarowany.
- Mówiłem. Zresztą, ostatnio zmienił zdanie i twierdzi, że podróż w czasie właściwie powinna być możliwa.
- Hm?
- Pozostaje oczywiście pytanie, jak wyjaśnić brak turystów.
- To już moja działka, jak sądzę - stwierdził markotnie Eisenhardt. - Miałbym na to zresztą od ręki jedno wytłumaczenie, ale nie spodoba ci się bardziej niż mnie.
- Tak? Jestem ciekaw?
- No, przecież wszyscy zadają sobie pytanie, czy wyrobimy następny zakręt z naszymi ozonowymi dziurami, bombami atomowymi i klęskami głodu - wyjaśnił pisarz, wpatrując się w chłodną białą ścianę przed sobą. - Może argumentacja Hawkinga dowodzi tylko, że ludzkość nie będzie istniała dostatecznie długo, żeby odkryć podróże w czasie.

15

Ryc. 200 do 235 pochodzą z badań wykonanych tomografem sonarowym przez zespół z Uniwersytetu Stanowego Montana pod kierownictwem dr Richardsa. Uzyskane rezultaty zostały zniekształcone z uwagi na fakt, że na badanym terenie już od czterech miesięcy prowadzone są wykopaliska. Ciemne prostokąty (na rysunkach zaznaczone krzyżkowym cieniowaniem) odpowiadają obszarom, z których zdjęto wierzchnią warstwę gleby, szare plamy za nimi (zaznaczone zwykłym cieniowaniem) to tzw. „cienie sonarowe”.

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Obserwował tę dwójkę już od dłuższego czasu. Było dla niego zagadką, jak w jaskrawym słonecznym świetle są w stanie cokolwiek zobaczyć na komputerowym monitorze, ale tych dwoje jakby nie mogło oderwać wzroku od ekranu. Kościsty typ w poplamionym podkoszulku i wytartych dżinsach, siedzący na stołku przed aparaturą, wyglądał na zbyt wychudzonego, by mógł stać o własnych siłach. Nieustannie coś mówił, a Judith, zalotnie wsparta prawą ręką o biodro, stała przy nim zasluchana, z zaangażowaniem, które denerwowało Stephena tym mocniej, im dłużej oglądał ten spektakl. A jak przy tym wymachuje rękami! Podejrzane. Jakby chodziło mu o to, żeby ją „niechcący” dotknąć.

Czyżbym był zazdrosny? zdziwił się Stephen lekko poirytowany. Bzdura. Nie jest zazdrosny. Nie. Nie ma nic przeciw temu, żeby kobieta spała z innymi facetami. Wkurza go tylko, gdy nie chce spać z nim. A to trudno nazwać zazdrością.

Gdy podszedł bliżej, dotarli do niego strzępki ich rozmowy. Wyglądało na to, że ten facet rzeczywiście nie mówi o niczym innym, tylko o technicznych detalach urządzenia, które montował przez cały dzień. Ciężarówka odjechała już i prócz góry skrzyń zostawiły dwóch mężczyzn. Jeden z nich, mianowicie ów wyglądający na wygłodniałego Meksykanin, który teraz z mizernym skutkiem starał się zrobić wrażenie na rasowej Izraelitce, wykonał z grubsza całą pracę. Rozpakował skrzynie, porozwlekał po całym terenie wykopalisk kable i zamocował w podłożu dziwaczne metalowe twory, wyglądające jak przerośnięte śledzie do namiotów. Wkręcał w nie mniejsze przedmioty, które ostrożnie i troskliwie wyjmował z małych drewnianych pudełek wyścielanych wewnątrz, o ile z daleka było dobrze widać, czerwonym aksamitem. Były to więc wrażliwe przyrządy, prawdopodobnie czujniki. Do tych urządzeń podłączone zostały kable, aż w końcu cały teren pokryła gęsta pajęczyna przewodów.

- Ale z jakiego powodu ten teren jest taki trudny? - usłyszał pytanie Judith, która zignorowała jego nadejście.

- Wykopy - wyjaśnił technik, szczerząc zepsute zęby. Miało to pewnie oznaczać uśmiech. - Fale wstrząsowe załamują się na otworach. Na zdjęciach będą widoczne jako czarne kostki. Ale jakoś to będzie. Nigdy jeszcze nie wzywano nas w trakcie wykopalisk - zawsze wcześniej.

- A jakie to były wykopaliska?

- Dinozaury. Raz odkryliśmy dwa przepiękne, wielkie szkielety dinozaurów. Stoją teraz w Muzeum Kogoś tam. A raz po naszych badaniach zrezygnowano z wykopalisk. Bo na zdjęciach było widać, że jest tam za mało do wykopania.

Stephen odchrząknął.

- Judith?

- Mmh? - rzuciła mu niechętnie spojrzenie. - Tak?

- Mogę cię prosić na chwilę?

Obrzuciła go spojrzeniem mówiącym: *a niech cię trafi szlag*, potem uśmiechnęła się przepraszająco do technika o ognistych oczach i podeszła do Stephena.

- O co chodzi?

- Gdyby ktoś cię pytał, co robisz dziś wieczorem, powiedz, że jedziesz ze mną odwiedzić twoich rodziców.

Odrzuciła głowę w tył i patrzyła na niego jak na szaleńca.

- Słucham? A to czemu?

- Bo tak powiedziałem profesorowi.

- A dlaczego powiedziałeś profesorowi, że pojedziesz ze mną do moich rodziców?

- Słuchaj, dziś wieczorem rozpoczyna się szabat. Nie mogłem mu przecież powiedzieć, że jedziemy do Jerozolimy do kina.

- Nie rozumiem. Co go w ogóle obchodzi, dokąd ty czyja idziemy wieczorem?

- Wygląda na to, że obchodzi - spokojnie powiedział Stephen. - Przypomnij sobie tego typu, który był w moim namiocie. W tym czasie przesłuchiwali mnie i kazali przysiąc, że powiem im, gdy będę chciał opuścić obóz.

Judith przyjrzała mu się badawczo. Jej złość nieco ochłodziła.

- Jeśli w ogóle, mów, że jedziemy do mojej mamy.
- Twojej mamy? A co z twoim ojcem?
- Zostawił mamę w dniu, gdy wstąpiłam do wojska i wyjechałam z domu. Od tego czasu mieszka w niedogrzonej kawalerce, po całych dniach czyta Talmud i wydaje mu się, że jest pobożnym Żydem.
- O rany. - Stephen, którego rodzice byli w miarę udanym małżeństwem, był naprawdę wstrząśnięty. - Nie wiedziałem. Yehoshuah nigdy o tym nie mówił.
- Też wolałabym nigdy nie musieć o tym mówić.
- Hm. W każdym razie chciałem, żebyś wiedziała.
- W porządku.
- Słuchaj...
- Prawie się uśmiechnęła.
- Tak?
- Wskazał głową człowieka przy komputerze.
- Co ci się w nim podoba?
- Znienacka jej twarz zaciągnęła się gradowymi chmurami.
- Stephenie Foxx - oznajmiła marszcząc brwi - ty zupełnie nic nie rozumiesz! - Na tym skończyła, zostawiła go i pomaszerowała prosto do sektora trzeciego, gdzie oboje powinni teraz pracować przy kopaniu.
- Stephen patrzył za nią raczej bezradnie. Może nie powinien był tego mówić, ale właściwie dlaczego? - nie miał pojęcia. Kobiet czasem po prostu nie da się zrozumieć. Zresztą, wcale nie miał takiej potrzeby, choć może czasem ułatwiłoby to niektóre sprawy.
- Przepraszam! - zawołał ten typ, siedzący wciąż na swoim stołku przed komputerem. - Czy mogę pana o coś spytać?
- Mmh - burknął niechętnie Stephen. - Jasne. Wstał teraz i podszedł kołyszącym się krokiem.
- George Martinez - przedstawił się i wyciągnął rękę do Stephena. - Z Bozeman, Montana.
- Stephen ostrożnie uściśnął podaną dłoń. Czy w Bozeman, Montana nie mają nic do jedzenia?
- Stephen Foxx. Jestem z Maine.
- Miło mi, Stephen. Niechący dobiegło mnie nieco pańskiej rozmowy z tą młodą damą...
- Niechący. Rozumiem. - Miłe określenie na *Podstuchiwałem*. Musi to zapamiętać.
- Tak, i słyszałem, że chce pan jechać dziś wieczorem do Jerozolimy. Czy to prawda?
- Tak.
- Czy byłby to duży kłopot, gdybym poprosił o podwiezienie przy okazji?
- Stephen z wysiłkiem panował nad sobą, żeby nie zmarszczyć czoła ani nic w tym rodzaju. Dzisiejszego wieczora zamierzał przemyścić do laboratorium w Instytucie Rockefellera jedyny w swoim rodzaju dokument, bezprawnie przywłaszczony, by go tam zbadać. Najmniej był mu potrzebny jakiś przygodny współpasażer.
- Do Jerozolimy? A czego pan tam szuka?
- Chcę zobaczyć miasto.
- Jest szabat. Nic się nie dzieje.
- George, zmieszany, kiwał się całym ciałem to w jedną, to w drugą stronę.
- Widzi pan, to jest tak: mam zwyczaj chodzić codziennie wieczorem do kościoła. Brakowałoby mi tego, gdybym nie mógł iść tutaj. Do tego jesteśmy w Ziemi Świętej - te wszystkie święte miejsca są oddalone tylko o krótką przejażdżkę samochodem... Naprawdę chciałbym je zobaczyć, nawet, jeśli dzisiejszy wieczór nie jest najbardziej odpowiedni. Ale nie wiem, czy jutro wieczorem nie będziemy już jechać z powrotem. Czasem odbywa się to dość szybko.
- Rozumiem - uważniej przyjrzał się drobnemu, ciemnoskóremu mężczyźnie. Pobożny katolik, na to wygląda. Co się tyczy Judith, nie jest groźnym rywalem. - Jest tylko taki kłopot, George, że nie wiemy, kiedy będziemy wracać. Jedziemy do Jerozolimy, ale nie chciałbym sztywno planować, dokąd pójdziemy, ani o której wrócimy. Nawet nie wiem, czy w ogóle wrócimy dziś na noc. Rozumie pan? Mogę pana zabrać, nie ma problemu. Ale wrócić musiałby pan sam.
- George gwałtownie zamachał ręką.
- O, to żaden problem. W porządku. Znajdę gdzieś taksówkę. Tylko tutaj nie ma możliwości, dlatego...
- Okay - Stephen wzruszył ramionami. - To do wieczora.
- Zaczął teraz odrywać arkusze od bloku na stojaku, rozkładać je na dużym, wspaniale pustym stole i bazgrać po nich, dziko, bezustannie, gniewnymi ruchami. Pisał, jakby ktoś go gonił, sięgał po pisaki wszystkich kolorów, hasło za hasłem, wielkie znaki zapytania, łączył je kreślonymi z rozmachem liniami, na tej chaotycznej mapie kołami wydzielał jakieś obszary, inne skreślał grubymi, krzyżującymi się kreśkami. To wszystko jest tak szalone. Po prostu obłąd. Jedynym sposobem na pozostanie przy zdrowych zmysłach było samemu pisać jak szaleniec.
- Wreszcie po południu, zmęczony odrzucił pisak, opadł na oparcie fotela i rozmasowywał sobie prawe

ramię, które zaczęło go boleć po całym tym intensywnym wysiłku. Dopiero teraz zauważył, że jest głodny. Potężnie głodny. Zupełnie zapomniał o obiedzie, a nikt nie przyszedł mu o tym przypomnieć. Może zresztą ktoś tu był, stał w drzwiach i kilka razy powtórzył jego nazwisko, a on nawet nie odwrócił wzroku. Nie pamiętał.

Co by było, gdyby...? To właśnie problem, który go pochłoniął. Zakładając, że coś takiego jak podróże w czasie naprawdę istnieje. Zakładając, że zmarły to naprawdę ktoś w rodzaju kamikadze, kto w niepojęty sposób przedostał się w epokę Jezusa i po jego śmierci zrzadzeniem losu pozostał w Palestynie przełomu czasów, by tam dokonać żywota. Zakładając, zakładając, zakładając.

Wciąż w to nie wierzył. To było po prostu nie do wiary. Głęboko w duszy czuł pewność, nieporuszoną jak stalowe przęsło mostu, że wędrówka w czasie jest niemożliwa, że nie ma sposobu na powrót do przeszłości, na to, by minione ponownie odmienić w teraźniejszość. Nic nie było w stanie zmienić tego jego głębokiego przekonania.

To oczywiście stanowiło najciekawsze odkrycie. Akurat on, autor science fiction, który zyskał rozgłos właśnie powieściami o podróżach w czasie. A teraz, w sytuacji, która właściwie powinna wprawić go w euforię - *A widzicie? Zawsze mówiłem!* - odezwał się w nim ów głos, zamiast tego wołający bezustannie:

To niemożliwe! To wszystko oszustwo!

Jednak udało mu się przemóc i postawić pytanie „Co by było, gdyby”, zagłębić w jego roztrząsaniu, zagłuszyć wątpliwości gorączkową aktywnością. Leżał więc teraz przed nim na stole wynik wielogodzinnego odurzenia pracą: wielki arkusz papieru, cały zabazgrany notatkami w czterech jaskrawych kolorach, ktoś mógłby wziąć go za dzieło awangardowego artysty.

Na początek postawił pytanie: Co by było, gdybym pisał powieść o kimś, kto z teraźniejszości wyrusza w przeszłość, w czasy Chrystusa, z kamerą wideo w plecaku? Oczywiście, w rzeczywistości wcale nie miał zamiaru pisać takiej powieści. Czytał kiedyś historię, podobała mu się, w której na koniec okazało się, że wszyscy ludzie obecni przy ukrzyżowaniu Jezusa - żołnierze, ludzie na poboczu Drogi Krzyżowej, kapłani, nawet kaci przybijający go do krzyża - *wszyscy co do jednego są przybyszami z najrozmaitszych epok dalekiej przeszłości.*

Co oczywiście natychmiast przywiodło mu na myśl argument Stephena Hawkinga. Jeśli rzeczywiście w przyszłości odkryte zostaną podróże w czasie, czy nie doprowadzi to nieuchronnie do rozkwitu turystyki temporalnej do największych wydarzeń w historii świata? *Poznajcie Leonarda da Vinci! Popatrzcie, jak Michał Anioł maluje Kaplicę Sykstyńską! Wyruszcie z Krzysztofem Kolumbem w historyczną podróż do Nowego Świata!* Czy nie dotyczyłoby to wszystkich epok, wszystkich ważnych momentów? Jeśli kiedyś naprawdę doszłoby do odkrycia podróży w czasie, przeszłość kotłowałaby się od podróżnych z przyszłości, cała historia pełna byłaby turystów. No i naturalnie nie skończyłoby się na zwykłym zwiedzaniu.

Zasiądźcie na cesarskim tronie - przed wami zbytkowne i dekadentkie orgie, jakich jeszcze nie było!

Jeśli natomiast teoria Johna Kauna i profesora Wilfor-da-Smitha miałyby odpowiadać prawdzie, wówczas nie może chodzić o odkrycie, które ma być dokonane kiedyś w nieokreślonej przyszłości, powiedzmy w dwudziestym czwartym albo w trzydziestym szóstym stuleciu - do tej pory wydarzy się jeszcze tak wiele, że Kolumb i da Vinci popadną w zapomnienie - nie, mowa może być tylko o odkryciu mającym nastąpić niebawem. Kamera wideo, jądro zagadki, pojawi się na rynku za trzy lata. Biorąc pod uwagę tempo rozwoju technologii, trudno spodziewać się, by utrzymała się na rynku dłużej niż kolejne trzy lata. Innymi słowy, wszystko powinno się rozegrać w ciągu najbliższych sześciu lat. Najpóźniej za sześć lat musiałby wyruszyć w swą podróż człowiek, którego kości tutaj odkopano.

Jako następne pojawia się pytanie, jak uda mu się to technicznie przeprowadzić? Czy skorzysta z czegoś w rodzaju wehikułu czasu, jak w powieści H.G.Wellsa? Jak musiałaby wyglądać owa maszyna? Czy będzie to niewielki, poręczny przyrząd, przystosowany do noszenia przy pasku, czy może monstrualna aparatura, wielka jak elektrownia? W takim przypadku podróż wędrowcy w przeszłość nie mogłaby pozostać niezauważona. Nie obyłoby się bez wielkiego zamętu w mediach, bezpośredniej transmisji na cały świat, przypominającej audycję z lądowania na Księżycu. Można to wyobrazić sobie tak: po jednej stronie wehikuł czasu, przed nim dzielny, pełen poświęcenia podróżnik, kiwa do kamery, może wygłosi ostatnie słowa - coś w stylu „Wielki krok dla ludzkości...” - nim wyruszy w podróż bez powrotu. A potem, natychmiast po starcie, rozpoczną się prace wykopaliskowe w umówionym miejscu, starannie wybranym, co do którego wszyscy liczący historycy są jednomyślnie przekonani, że pozostało nietknięte od czasów Jezusa. Tam znalezione by kasety wideo z zapisem Jezusa Chrystusa, ponieważ podróżnik w czasie sfilmowałby go i zdeponował nagrania dokładnie w tym miejscu. Zaś miliardy telewidzów na całym świecie mogłyby na żywo uczestniczyć w pierwszym odtwarzaniu tych kaset...

Eisenhardt na chwilę zatrzymał się, ponownie sięgnął po czerwony pisak i przy niektórych hasłach postawił duże kropki. W tej wizji zawierało się jeszcze coś, co będzie musiał koniecznie przemysleć. Coś go uwierało. Jakaś myśl, której jeszcze nie zdołał wydobyć na światło dzienne. Istotna myśl.

Dobrze, więc dalej. Jeżeli będzie istniał wehikuł czasu - maszyna transportująca wędrowca do

przeszłości, jak rakieta transportuje astronautów na Księżyc - pojawia się następne pytanie, mianowicie, gdzie nasz podróżny zostawił tę maszynę? I dlaczego okazało się niemożliwym odbycie za jej pomocą podróży powrotnej.

Na to pytanie, stwierdził Eisenhardt, odpowiedź jest prosta. Nie spodoba się Kaunowi i Wilford-Smithowi, lecz mimo to nie można jej odrzucić.

Bo gdzie jest napisane, że w przeszłość wyruszył tylko jeden podróżny? Czyż nie nasuwa się o wiele bardziej prawdopodobne przypuszczenie, że wysłano cały zespół? Dla pojedynczej osoby taka wyprawa byłaby przecież za bardzo niebezpieczna. Obca kultura, obce języki i sposób myślenia, choroby, od dawna wytępione w czasach, gdy urodził się podróżnik - mało prawdopodobne, by podjęto takie ryzyko. Podobnie, jak nie wysłano by pojedynczego człowieka na Księżyc.

Tak, a potem jeden z członków ekspedycji mógł po prostu zaginać. Może uwięzili go rzymscy okupanci? Może zakochał się w pięknej dziewczynie i postanowił zostać. Może miał wypadek. Jakkolwiek było - został, po kilku latach umarł i pochowano go w miejscu, w którym znalazł go Wilford-Smith. Pozostała część zespołu powróciła w swoje czasy - dlatego nie znaleziono wehikułu. Oczywiście, zabrali ze sobą wszystkie nagrania.

Jeżeli takie wyjaśnienie odpowiadałoby prawdzie, mogą sobie szukać kamery aż do śmierci.

Hm. Choć zastanawiał się nad tym niezwykle intensywnie, nie znajdował wśród znanych sobie elementów sprawy nic, co przeczyłoby takiemu wytłumaczeniu. Co najwyżej można byłoby zadać sobie pytanie, dlaczego dezertier zabrał ze sobą właśnie instrukcję obsługi kamery. Eisenhardt chwycił zapisany arkusz i odsunął go na bok. Ma więc już jedną teorię. Teoria grupy i dezertera. Ciekawe, co na to powie Kaun.

Założmy jednak, że był to rzeczywiście samotny podróżny. Założmy, że podróż w czasie nie odbyła się za pomocą wehikułu, lecz jakoś inaczej. Powiedzmy, coś w rodzaju *beamowania* ze *Star Treka*. Wielka armata, którą wystrzelono delikwenta w przeszłość. Czy ta armata w ogóle musiałaby stać w Izraelu?

W filmach tak to przedstawiano. To samo miejsce, inny czas. To w filmie dobrze wygląda. W rzeczywistości, gdyby zmienić tylko czas, a nie miejsce, ładunek wylądowałby gdzieś w przestrzeni kosmicznej. Gdyż nic nie jest tak ruchliwe jak grunt pod naszymi stopami, powszechnie uważany za stabilny. Nie tylko dlatego, że w ciągu dwudziestu czterech godzin Ziemia wykonuje obrót wokół własnej osi - co oznacza, że ktoś spokojnie siedzący gdzieś w Europie Środkowej we własnym fotelu porusza się właśnie z szybkością bliską prędkości dźwięku - poza tym Ziemia pędzi z jeszcze większą prędkością wokół Słońca, które znów z zapierającą dech w piersiach szybkością krąży wokół centralnego punktu Drogi Mlecznej, która ze swej strony gna poprzez uniwersum z prędkością, o jakiej nie przyszłoby do głowy śnić żadnemu ziemskiemu konstruktorowi rakiet. Niepojęta kosmiczna karuzela. Eisenhardt nie był w stanie wyobrazić sobie, jak można by to osiągnąć: przenieść kogoś w czasoprzestrzeni w tak ściśle określone miejsce, jak Palestyna przed dwoma tysiącami lat. To jakby splunąć w powietrze wirując na największej karuzeli na jarmarku i trafić zamierzoną osobę, śmigającą na tej samej karuzeli, dokładnie w pieprzyk na lewym ramieniu.

Na przelaj przez czasoprzestrzeń...

Zapiera dech. Pośpiesznie zerwał nasadkę z wciąż trzymanego w dłoni pisaka i zaczął pisać.

Jeżeli podróż w czasie jest możliwa, jeżeli możliwe jest przeniesienie kogoś w czasie i przestrzeni - to dokładnie tak samo możliwe jest przeniesienie kogoś na inną planetę! Trafienie w Palestynę na Ziemi, znajdującej się w punkcie, w którym była przed dwoma tysiącami lat, było dokładnie tak samo łatwe albo trudne jak trafienie w planetę, krążącą wokół Alpha Centauri albo Epsilon Eridani.

I technologia pozwalająca na to miałaby powstać w przeciągu najbliższych sześciu lat? Niemożliwe. Było to tak niemożliwe, że właściwie można by przestać o tym myśleć.

Gdyby nie ta przekłeta instrukcja.

Eisenhardt odsunął na bok i ten arkusz. Był głodny. Bolała go też głowa. A wszelkich instrukcji obsługi i tak nigdy nie znosił.

Można by się teraz zacząć zastanawiać, jakie przygotowania mógł poczynić hipotetyczny wędrowiec w czasie, szykując się do swej podróży. To szczególnie trudne zadanie dla Eisenhardta, którego napełniał paniką nawet koszmarny spakowanie walizki na tygodniową trasę wieczorów autorskich. Co spakować, wyruszając w przeszłość, chcąc sfilmować Jezusa Chrystusa, zamierzając potem w tej przeszłości zostać? Na pewno kilka ulubionych książek. Może gdzieś próchniał stary, mający dwa tysiące lat walkman, razem z kasetą? Lekarstwa. Z pewnością wcześniej podda się wszelkim możliwym szczepieniom, ale musi też zabrać ze sobą lekarstwa, antybiotyki, środki przeciw bieguncce, tabletki od bólu głowy, coś w tym rodzaju. Trzeba będzie zapytać aptekarza, jak powinna wyglądać apteczka podróżnika w czasie. I powinien nauczyć się co najmniej jednego z używanych wówczas języków. Zapewne aramejskiego, który, jak właśnie przeczytał, był ojczystym językiem Jezusa z Nazaretu. I oczywiście łaciny, by móc porozumieć się z rzymskimi okupantami.

Wszystko razem tworzyło dość obszerną listę niezbędnego wyposażenia. Pokażny bagaż. Prócz ubrań

i temu podobnych - czego właściwie używano wtedy zamiast pasty do zębów? - oczywiście kamera. I zapas kaset wideo. Może zabrał też coś, by zamaskować kamerę - przy próbie wyobrażenia sobie reakcji ówczesnych ludzi na osobnika pętającego się wokół z przyciśniętym do oka okularem małego, srebrno-szarego Camcodera, Eisenhardta zawiodła fantazja.

Taaaak, taka kamera potrzebuje, jak wiadomo, prądu. A w Palestynie z okresu przełomu epok gniazdka z prądem stanowiły raczej rzadkość. Podróżnik zapewne nie wyruszył po prostu naładowany akumulatorki swojej kamery, lecz zabrał ze sobą jakieś źródło energii, by móc je doładowywać.

Może kilka porządnych baterii słonecznych. Można by dowiedzieć się u kogoś zaopatrującego ekspedycje, co z tych rzeczy jest dostępne. Właściwie nic innego nie wchodzi w rachubę.

Eisenhardt odsunął i ten arkusz na bok, odłożył pisak i z westchnieniem pomasaował skronie. Co za okropna robota. Co za szalona przygoda.

Poza tym, do cholery, jest głodny. Niech diabli wezmą całe to mędrkowanie, pójdzie teraz do kuchni polowej i zobaczy, czy nie dostanie czegoś na ząb!

Stephen starał się, żeby szczelina między skrzydłami namiotu, przez którą wyglądał na zewnątrz, nie była większa niż to absolutnie konieczne.

- A, przy okazji trochę pospieszowałem - powiedział półgłosem. - Ten typ ma na imię Ryan.

- Jaki typ? - spytała Judith, która przysiadła w oczekiwaniu na krawędzi swojego polowego łóżka.

- Ten, który był w moim namiocie. Człowiek Kauna od mokrej roboty. - Wypuścił z ręki ciężką, szarą tkaninę. - Nikogo nie widać.

Judith przyjrzała mu się wyczekująco.

- I co teraz?

- Dziś wieczorem, gdy będziesz jechać do mamy, zabierzesz ze sobą bieliznę do prania - wyjaśnił Stephen. - W swojej dużej torbie.

- A jeśli ktoś zechce ją przeszukać? Na przykład Ryan?

- To narobisz wrzasku na cały obóz. Że ma swoje brudne paluchy trzymać z daleka od twojej bielizny.

Judith westchnęła, pochyliła się do przodu, przyciągnęła do siebie torbę podróżną i zaczęła ją opróżniać.

- Sama nie wiem. Mam jakieś głupie uczucie, gdy myślę o tym wszystkim - Stephen stał wciąż przy wejściu i znów patrzył na zewnątrz. Słońce zniżało się i było blisko linii horyzontu. Dzień kończył się zadziwiająco szybko. Muszą się pośpieszyć, wkrótce do namiotów wrócą pozostali kopacze.

- A wiesz, co oni tam robią? - spytała, układając na łóżku swoje czyste ubrania w porządne stosy.

- Jacy oni?

- Ci technicy, którzy przyjechali dziś rano. To z jednym z nich rozmawiałam.

- Tak. Widziałem przecież. No, i co robią?

- Nazwał to, czekaj, sonarotomograficznym badaniem podłoża. Coś w rodzaju prześwietlenia. Jak zdjęcie rentgenowskie, tylko że używają do tego fal uderzeniowych albo dźwiękowych, czy czegoś takiego.

- Podejrzywałem coś w tym rodzaju. Judith skrzywiła się.

- Oczywiście. Powinam była wiedzieć, że ty już się tego domyśliłeś. Po co w ogóle się wysilałam? - Wytrząsnęła do torby zawartość worków plastikowych, w których trzymała brudne ubrania. - I oczywiście wiesz też, czego szukają.

- Domyślałam się, że kamery. Kaun pewnie sądzi, że jest gdzieś tutaj.

- Ten człowiek oczywiście nic nie wie o kamerze. Poza tym nazywa się George Martinez i pracuje na uniwersytecie w Bozeman w Montanie.

Stephen podarował sobie uwagę, że to również już wie.

- To ciekawe. A co mu powiedzieli?

- Że szukają dużego metalowego kufra. Skrzynki z metalu, dużej jak waliza. Podobno ossuarium pewnego króla z dynastii Hasmoneuszy.

- Metalowy kufer... Pojemnik, w którym kamera i nagrania miały przetrwać dwa tysiąclecia.

- Tak mi się zdaje - powiedziała Judith i potrząsnęła torbą. - No, brudne ciuchy gotowe.

- Dobrze. Teraz potrzebuję kilku minut spokoju. Najlepiej popilnuj przez chwilę wejścia.

- Proszę bardzo, czemu nie.

Podniosła się, ominęli się szerokim łukiem, Judith stanęła teraz przy otworze wejściowym, a Stephen przy jej łóżku. Opadł przy nim na kolana.

- No, zaczyna się. Teraz nikt nie może tu wejść.

- A jeśli jednak ktoś przyjdzie? Na przykład Stina? - Stina to było imię jej współlokatorki.

- Wtedy zaczniemy się całować - stwierdził Stephen tak sucho, na ile potrafił. - I tak się zachowywać, żeby się taktownie wyniosła.

Usłyszał, jak zszokowana nabiera powietrza.

- Mówisz poważnie? - Nic nie odpowiedział, lecz zaczął rozgrzebywać piaszczystą podłogę pod jej

łóżkiem.

- No cóż - powiedziała półgłosem po chwili. - Na pewno i tak nie przyjdzie.

Stephen wbrew woli uśmiechnął się, czego na szczęście nie zauważyła. Kopał dalej, aż dotarł do przedmiotu, który ukrył tu dzisiejszego ranka.

Judith wytrzeszczyła oczy, gdy wysunął się z tym spod łóżka.

- A co to takiego?

- Chłopcy z kuchni mają całkowitą rację, że zabraniają nam wynosić jedzenie - zachichotał Stephen. - Naczynia naprawdę giną.

Trzymał w ręku przedmiot, składający się z dwóch metalowych talerzy, złożonych tak, by między nimi powstała dobrze chroniona przestrzeń. Wokół krawędzi talerze połączone były mocną taśmą klejącą, a całość przypominała mały latający spodek z Marsa.

- W środku są papiery?

- Właśnie. Bezpiecznie, mam nadzieję - zdmuchnął z prowizorycznego pojemnika ostatnie ziarenka piasku i ostrożnie umieścił go w torbie Judith, głęboko pod praniem.

Eisenhardt siedział samotnie przy jednym ze stołów polowej kuchni, w otoczeniu samych pustych ławek, i wygłodniały szuflował zawartość swego talerza. Gdy przyszedł, nie zostało już nic z obiadu, okazało się jednak, że jest później, niż sądził i kucharz mógł mu dać coś z przygotowywanej właśnie kolacji. Smakowało dobrze; dziwna, ciekawa potrawa z jarzyn, jej nazwy już zapomniał. Wydawało mu się, że wyczuwa oberżyny, czosnek i kmin rzymski, ale był w tym jeszcze zupełnie mu nieznan sos. Tak czy owak pyszne, zwłaszcza, że czuł już głód.

Słońce zeszło już nisko. Z daleka widział kopaczy zmierzających ciężkim krokiem do namiotów, gdzie pewnie chcą się nieco odświeżyć, nim zjawią się na kolacji. Obserwował ciemnowłosą dziewczynę, jak taszczy w kierunku parkingu dużą torbę i upycha ją w bagażniku małego granatowego samochodu. Zamajaczyła mu myśl, że o zmierzchu rozpoczyna się szabat; pewnie niektórzy izraelscy pracownicy jadą przy okazji do domu.

Wciąż jeszcze ją obserwując - wyglądała naprawdę nieźle, miała długie czarne włosy i świetną figurę - zauważył następny samochód, zbliżający się w chmurze kurzu do obozu. Eisenhardt zmarszczył czoło i spojrzał uważniej. To taksówka. Dokładnie taka sama taksówka jak ta, która przywiozła go wczoraj wieczorem.

Cała scena wydała mu się tak znajoma, że zaskoczony przestał jeść. Taksówka zatrzymała się. W czasie, gdy kierowca wyładowywał walizki z bagażnika, John Kaun i profesor podeszli i przywitali się z człowiekiem, który wysiadł z wozu i rozglądał się trochę niepewnie. O ile można było rozpoznać z oddali, przybysz był nieco starszy, może około pięćdziesiątki, miał gęstą białą brodę, łysawe skronie i budzące respekt brzuszyisko. Wilford-Smith przemówił do niego, na swój powściągliwy sposób z oszczędną gestykulacją. Potem słowo przejął magnat medialny, z rozmachem, zdecydowanie, dynamicznie, mówił coś, następnie uśmiechnął się uprzejmie, uzyskał od mężczyzny potwierdzające skinienie głową i w końcu chwycił go za łokieć. Usłudni strażnicy podbiegli, chwycili wyładowane walizy i zapłacili taksówkarzowi, zaś Kaun i Wilford-Smith prowadzili swego nowego gościa do białego namiotu w sektorze czternastym, prześcigając się w komplementach.

Od swej rozmowy z technikiem Gideon zaczął zastanawiać się, czego właściwie on i jego ludzie muszą tu pilnować.

Zwykle było mu to obojętne. Za zadanie miał chronić. Oznaczało to, że musi mieć szeroko otwarte oczy i w każdej chwili być gotów do zatrzymania napastnika, a nawet, jeśli nie można inaczej, do zabicia go. Jeżeli ochraniał osobę, mogło to znaczyć, że będzie musiał dać się zranić albo zabić w jej obronie, ale taki rozszerzony zakres odpowiedzialności zdarzał się rzadko i był wynagradzany ekstrapremią. Przeważnie *kazano* mu strzec przemysłowe obiekty, urządzenia komunikacyjne, pomniki kultury albo centra turystyczne, choć strzegł już także przemysłowców i polityków, raz ochraniał nawet samego Jasera Arafata, prezydenta Palestyńczyków, gdy ten nie był jeszcze prezydentem, lecz przywódcą kontrowersyjnego ugrupowania. Wtedy również nie snuł zbyt licznych dywagacji nad sensem i celem swojej misji; mężczyzna w nie-biesko-białej chuście był dla niego obiektem ochrony, jak każdy inny. Może to z tej przyczyny firma wyznaczyła do owego zadania właśnie jego. Często wybierano go do zadań specjalnych, przeważnie dlatego, że całkiem nieźle mówił po angielsku. Raz był bodyguardem pewnej amerykańskiej aktorki, podróżującej dwa dni po Izraelu, a ona pocałowała go na pożegnanie. Od tego czasu nie opuścił żadnego jej filmu. Czasem miało znaczenie także to, że słynał z szybkiego refleksu. Zauważono to już, gdy służył w wojsku, i ta zdolność zadecydowała o tym, że wykształcono go na snajpera. Nikt mu natomiast do tej pory nie zarzucił, że jest nadmiernie dociekliwy.

Teraz też nie był. Po prostu się zastanawiał. Przez cały dzień trzymał wartę przed jednym z wejść do białego namiotu, a nawet nie przyszło mu do głowy, żeby choć rzucić okiem do wnętrza. Powiedziano im przecież, że tego nie wolno. A Gideon trzymał się rozkazów.

A jednak się zastanawiał. Pierwszy raz zdarzyło się, że *kazano* im ochraniać archeologiczne znalezisko.

Choć właściwie nie było w tym nic dziwnego. Słyszał od innych, że kazano im kiedyś pilnować starego złotego skarbu, monet i biżuterii z czasów dawnych królów. A w Izraelu zabytki archeologiczne często mają polityczne znaczenie. Ktoś coś wykopie, inny uzna to za dowód na potwierdzenie albo obalenie swoich politycznych czy religijnych przekonań, i konflikt gotowy.

Cóż, naturalnie chętnie dowiedziałby się, co tak znaczącego znaleziono w tej dziurze w ziemi, nad którą ustawiono namiot. Pocieszał się myślą, że jeśli to rzeczywiście tak ważne, dowie się kiedyś z gazety. Wtedy wytnie ten artykuł, zabierze do kawiarni, w której spotyka się z przyjaciółmi i powie: Byłem tam! Stałem na warcie!

Wieczorem widział, jak ten angielski profesor, kierownik wykopalisk i Amerykanin - słyszał, że to multimilioner finansujący wykopaliska - witali gościa przybyłego taksówką z Tel Awiwu. Nie miał pojęcia, kim może być ten człowiek. Wysoki, pod pięćdziesiątkę, z siwą brodą, wydawał się bardzo odczuwać uciążliwość upału, w każdym razie nieustannie ocierał rękawem garnitur pot z czoła i białych skroni, gdy wszyscy trzej szli po kładkach i ułożonej z desek ścieżce prowadzącej do namiotu.

Może to naukowiec, zastanawiał się Gideon i odsunął o krok, żeby trójka mężczyzn mogła bez przeszkód wejść do namiotu.

- *'Erev tov* - bąknął profesor, idący za pozostałymi dwoma, i skinął Gideonowi głową z roztargnionym uśmiechem. - *Toda*.

- *Bevakasha* - odpowiedział Gideon.

Dobry wieczór. Dziękuję. Proszę. Gideon pojął, że profesor nie wie, iż on zna angielski. Profesor, mający właśnie nowemu, ważnemu gościowi pokazać i objaśnić swoje cenne znalezisko.

Gideon otworzył szeroko oczy, gdy dotarło do niego znaczenie tego spostrzeżenia. To znaczy, że...

Nie. Nie mógł tego zrobić.

Z drugiej strony...

Zabroniono im zaglądać do środka. Ale nikt im nie powiedział, że mają zamknąć także uszy.

Gideon przesunął krzesło odrobinę bliżej płachty namiotu, ułożył swego Uzi na kolanach i oparł się wygodnie. Głosy trzech mężczyzn słychać było całkiem dobrze.

O ustalonej godzinie Eisenhardt wybrał numer, pod który dzwonił już tego ranka. Po drugiej stronie natychmiast podniesiono słuchawkę.

- Uri Liebermann.

- Dobry wieczór, panie Liebermann. Tu Peter Eisenhardt.

- Ach, mister Eisenhardt. Bardzo mi miło.

- Udało się panu czegoś dowiedzieć? - niecierpliwie spytał pisarz.

- Tak.

Eisenhardt głęboko nabrał powietrza.

- Słucham.

- Cóż - dziennikarz także chyba najpierw musiał zrobić głęboki oddech. - Więc miał pan rację. W naszym archiwum jest rzeczywiście mnóstwo materiałów dotyczących profesora Wilforda-Smitha. Sprawdziłem całkiem normalnie, a na ekranie po prostu zariło się od informacji. Ten człowiek prze-grzebał już chyba cały Izrael, aż dziw bierze.

-Aha.

- Ale - dodał Liebermann - obawiam się, że mimo to nie ma on zbyt dobrej opinii w kręgach naukowych. Eisenhardt poczuł, jak kąciki ust mimowolnie unoszą mu się w górę w tryumfalnym uśmiechu. To dopiero nowina!

- A co to konkretnie znaczy?

- Zarzuca mu się przede wszystkim, że pracuje niechlujnie. Powtarza się zarzut, że nieostrożnie obchodzi się z zabytkami, że częściej niż innym badaczom zdarza mu się je uszkadzać i że za dużo i za szybko kopie. Znalazłem wywiad z Yiga-elem Yadinem, w którym mówi on, że Wilford-Smith sprawia wrażenie, jakby mylił ilość z jakością, a w pewnym nieopublikowanym fragmencie tego wywiadu mówi nawet dosłownie „ten człowiek jest dopustem bożym izraelskich archeologów”.

- Dość dosadnie. - Eisenhardt nigdy wcześniej nie słyszał o tym Yigaelu Yadinie. Prawdopodobnie archeolog, do tego znany.

- Do tego wygląda na to, że Wilford-Smith raczej niewiele publikuje, a jeśli już, to jest to przeważnie nudne albo sporne. Czy mówi panu coś nazwisko Benjamin Mazar?

Eisenhardt z ociąganiem odpowiedział.

- Nie sędzę.

- Tu u nas to potęga. Prowadził wykopaliska przy Ścianie Płaczu. Kilka lat temu posunął się do wyrażenia podejrzenia, że obszernych fragmentów historii Palestyny Wilford-Smith wcale nie zna.

- Odważnie.

- Jedyną rzeczą, jaką podziwiają w nim chyba wszyscy archeolodzy, jest fakt, że Wilford-Smith zawsze znajduje sponsora dla swoich projektów.

- Może dlatego tak go nie znoszą?
- Jak mówiłem, nie potrafię wyrazić swego zdania na ten temat. Przejrzałem nasze archiwum, jak panu obiecałem, ale jestem kompletnym laikiem w kwestii historii starożytnej. Z trudem dotrzymuję kroku współczesnym wydarzeniom.
- Eisenhardt pośpiesznie notował.
- Jego tytuł profesorski jest prawdziwy? - zapytał. Usłyszał, jak Liebermann wzdycha.
- Tak i nie. W zasadzie tytuł jest prawdziwy, Wilford-Smith jest profesorem historii na *Barnford University* w południowej Anglii. Tyle że z kolei ten uniwersytet jest trochę kontrowersyjny, należy do mało znanego religijnego ugrupowania, True Church of Barnford.
- Nigdy nie słyszałem.
- Ja też nie, muszę przyznać. Nie udało mi się też znaleźć nic na ten temat w tak krótkim czasie.
- Eisenhardt nagryzmołił w swoim notatniku słowo „Barnford”, podkreślił je trzy razy i postawił obok niego duży znak zapytania.
- Jeszcze coś? Dziennikarz zaśmiał się cicho.
- Teraz będzie najlepsze.
- Myślałem, że dziennikarze zawsze zaczynają od najlepszego.
- Tylko w gazecie. Wiedział pan, że Wilford-Smith był kiedyś zawodowym żołnierzem?
- Eisenhardt nie wierzył własnym uszom.
- *Żołnierzem?*
- Podczas wojny walczył pod Montgomerym w północnej Afryce, a potem stacjonował w brytyjskiej strefie okupacyjnej na Bliskim Wschodzie, w Palestynie. Należał do brytyjskich oddziałów, które opuściły Palestynę po utworzeniu państwa Izrael w maju 1948.
- Nie do wiary. - Eisenhardt spróbował wyobrazić sobie ruchliwego, zawsze trochę przygarbionego naukowca, jak mężnie walczy na pustyni albo patroluje teren.
- \ - No cóż, wygląda na to, że sympatia do naszego kraju mu nie minęła. Wrócił wtedy do Anglii, wystąpił z wojska, ożenił się, dostał posadę w kierownictwie fabryki tekstylnej i żył sobie spokojnie. Do roku 1969. Wtedy, mając już czterdzieści dwa lata, nagle porzucił dobrze płatną pracę z zabezpieczeniem emerytalnym i zaczął studiować nauki historyczne, specjalizował się w archeologii biblijnej i w 1974 pierwszy raz ponownie wylądował na izraelskiej ziemi.
- Tak po prostu.
- Nie mam pojęcia, co go ku temu pchnęło. Może odziedziczył wtedy trochę pieniędzy i nie musiał więcej pracować.
- I nie przyszło mu do głowy nic lepszego, niż latami błąkać się po pustkowiu, w tym zabójczym pustynnym skwarze? Eisenhardt pokręcił głową.
- W 1980 - mówił dalej Uri Liebermann - wspomniany *Barnford University* powołał go na profesora, równocześnie jednak zwalniając od działalności dydaktycznej, i od tego czasu niemal nie można się go pozbyć z Izraela. A przecież, odpowiadając jednym zdaniem na pańskie główne pytanie z dzisiejszego ranka: przez te wszystkie lata Wilford-Smith nie odkrył zupełnie nic, co miałoby jakąkolwiek wartość naukową. Nie wymienia się go nawet w archeologicznym „*Who is who*”. Jeśli chce osiągnąć cokolwiek, choćby tylko przypis w naukowych annałach, musi się naprawdę pośpieszyć.

16

Z nieplanowanych wcześniej badań sonarotomograficznych można wyciągnąć wnioski istotne dla dalszych prac wykopaliskowych (patrz załącznik II do Podsumowania). Wynika z nich, że sektory 3 i 19 nie spełniają nadziei, pierwotnie w nich pokładanych w oparciu o analizę zdjęć satelitarnych, natomiast w mającym kształt trapezu obszarze między sektorami 4, 5 a 6 stwierdzono struktury o niewyjaśnionej naturze, które należy zbadać metodami wykopaliskowymi.

(Przypis: W chwili, gdy sporządzana jest ta notatka, nie podjęto jeszcze decyzji, czy i kiedy wznowione zostaną prace w Bet Ha-mesh.)

Profesor Charles Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Zrazu wyglądała jak każde inne wielkie miasto, gdy zbliżali się do niej mknąc po pozbawionych roślinności wzgórzach. Z ciemności wynurzały się domy i tablice z reklamami, linie wysokiego napięcia i uliczne lampy, obok nich przemykały oświetlone dziedzińce fabryk, markety i restauracje. W puste przestrzenie między domami wciskały się ciemne cyprysy. Stephen zauważył, że wszystkie budynki wyglądają na zbudowane z takiego samego biało-żółtego piaskowca, przez co całe miasto sprawiało wrażenie, jakby wykuto je z jednego skalnego bloku.

Odkąd minęli granicę miasta, George stawał się coraz mniej rozmowny. Stephen, siedzący za kierownicą, od czasu do czasu rzucał okiem na Judith, która miała wskazywać drogę. Lecz ona, ilekroć zauważyła jego spojrzenie, za każdym razem wyciągała dwa wyprostowane palce. Miało to znaczyć: trzymaj się głównej drogi.

Stephen tylko pobieżnie orientował się, jakie reguły obowiązują podczas szabatu - wiedział jedynie, że ma to jakiś związek z ciszą i z zakazem jakiegokolwiek pracy i że trwa od piątku wieczór do soboty wieczór, od zmierzchu do zmierzchu. Jednak droga okazała się zatłoczona bardziej, niż się spodziewał. Nie oczekiwał wprawdzie widoku wymarłego miasta, po którego pustych ulicach echem rozejdzie się warkot silnika jego samochodu, a ortodoksyjni mieszkańcy obrzucą go kamieniami, sądził jednak, że czeka go coś mniej więcej w tym stylu. Fakt, że wjeżdżają do miasta wtłoczeni w gęstą kolumnę samochodów, dość go zaskoczył.

I wtedy, właśnie w chwili gdy orzekł, że to w końcu tylko miasto jak każde inne, minęli łańcuch wzgórz i po raz pierwszy bez przeszkód ujrzeli panoramę śródmieścia.

Z tylnego siedzenia dobiegło płynące z głębi piersi westchnienie.

- Jerozolima - szepnął z szacunkiem George. - *Yeru-shalayim*. Miasto pokoju...

Miasto pokoju, o które przez tysiąclecia stoczono więcej bitew niż o jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi, rozciągało się szeroko przed ich oczyma niczym połyskujący złotą nicią kobierzec, w który wprawiono niezliczone migocące światła i światełka, rozścielony w szerokiej dolinie, inkrustowany wąskimi minaretami i ciemnymi wieżami kościołów, ozdobiony mniejszymi i większymi kopułami, aż po miejsce, gdzie miasto ponownie wznosiło się ku Świątynnemu Wzgórz, na którym jak na tronie spoczywała zapierająca dech najpotężniejsza kopuła, jedyna wykonana naprawdę ze złota: Kopuła Skały.

- Miasto na ziemi, lecz na pół w niebie - powiedział George drżącym głosem. - Tak mówiła zawsze moja babcia. I miała rację, naprawdę, miała rację...

- Teraz nie rozklejaj się - burknął Stephen. - Okay? George jakby go nie słyszał.

- Jerozolima, jestem w Jerozolimie, naprawdę! Stephen chciał już przywołać go do opamiętania nieco ostrzejszym tonem, gdy poczuł dłoń Judith na swojej. Zaskoczony spojrzał na nią, a ona uśmiechała się do niego tak łagodnie, jak nigdy wcześniej.

- Daj mu spokój - szepnęła cicho. - Jerozolima wzrusza każdego. Nawet ciebie.

- Mnie? Skąd ci to przyszło do głowy?

Uśmiechała się tylko. Uśmiechała się naprawdę słodko.

- Skądże, jestem zupełnie cool. Sam spokój - zapewnił ją Stephen. - Naprawdę, jestem najbardziej niewierzący wśród niewierzących. Mógłbym być *wynalazcą* ateizmu.

- W porządku. Na światłach w lewo.

Tego wieczoru również zbrali się w wozie Kauna. Nowy przybysz rozsiadł się szeroko w swoim fotelu, niby jakiś opasły Budda splótł grube dłonie na ogromnym brzuchu. Był może po pięćdziesiątce, ubrany w szary garnitur, pognieciony tak, jakby spał w nim kilka poprzednich nocy. Najwyraźniej nie przywiązywał też wagi do krawatów - w każdym razie kołnierzyk koszuli rozchylił szeroko pod suchą, żyłastą brodą. Jego łysinka połyskiwała w świetle lampy, Eisenhardtowi wydawało się, że dostrzega opaleniznę.

Multimilioner dokonał wzajemnej prezentacji z elegancją doświadczonego salonowego lwa, wychwalając pisarza pod niebiosa, potem przedstawił nowego członka ich małego bractwa jako profesora Goutière z Toronto, historyka na tamtejszym uniwersytecie i specjalistę z zakresu dziejów

Palestyny.

- Bardzo mi miło - Eisenhardt uprzejmie skinął głową i pomyślał: a to ciekawe, do tej pory sądziłem, że to Wilford-Smith jest specjalistą od dziejów Palestyny...

Przez chwilę panowało pełne zakłopotania milczenie, które przełamał Kaun, bawiąc się znów w barmana. Goutière, gdy nadeszła jego kolej, zażyczył sobie kanadyjskiej whisky - i proszę tyle, ile zmieści się do dużej szklanki. - Opróżnił potem tę szklankę tak łapczywie, że Eisenhardt poczuł mdłości od samego przypatrywania się.

- Więc - zapytał go w końcu Kaun - co sądzi pan o tej sprawie?

Kanadyjczyk przez chwilę zastanawiał się, patrząc tępo przed siebie, nim odpowiedział:

- Muszę przyznać, że nie jestem jeszcze gotów wziąć tego wszystkiego za dobrą monetę - stwierdził w końcu dudniącym basem. - Będę się na razie tylko starał rozumować tak, jakbym wierzył w tę niedorzeczną historię. No i będę pewnie potrzebował jeszcze wiele szklaneczek pańskiej, wyśmienitej zresztą, whisky, żebym zdołał przytłumić mój krytycyzm.

- Tego nie zabraknie - odparł Kaun, ponownie napełniając mu szklankę.

- Dziękuję. - Ale teraz tylko wziął szklankę w dłonie, nie pijąc z niej. Najwyraźniej pierwsza nie przestała jeszcze działać.

Znów przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Wszyscy patrzyli na historyka, jakby zmienił się w ucieleśnioną wyrocznię. Klimatyzacja cicho szemrała, czasem, gdy ktoś zakładał nogę na nogę, rozlegało się stłumione piskliwe skrzypnięcie skóry foteli.

- Chciałby pan wiedzieć - odpowiedział wreszcie Kanadyjczyk, nie odrywając nieruchomego wzroku od wyścielanej mahoniową boazerią, dźwiękoszczelnej, chroniącej przed upałem ściany - gdzie jest kamera?

Magnat medialny przytaknął.

- Właśnie.

- Gdzie ktoś mógłby zakopać coś w czasach Jezusa, żeby mieć pewność, iż za dwa tysiące lat będzie można tę rzecz wykopać nieuszkodzoną.

- Dokładnie.

Historyk westchnął głośno, zabrzmiało to niemal komicznie.

- Trudno powiedzieć.

Kaun uśmiechnął się łagodnie.

- Gdyby było łatwo, zrobilibyśmy to sami.

- Izrael jest bardzo duży...

Eisenhardt zauważył, że teraz uśmiecha się także Wilford-Smith.

Profesor z Toronto łyknął cieczy z trzymanej w dłoni szklanki, wypuścił powietrze z donośnym świstem, o którym trudno byłoby orzec, czy świadczy o rozkoszach smaku, czy o wewnętrznym napięciu, po czym oznajmił:

- Muszę to przemyśleć.

Wzrok, jakim obrzucił go w odpowiedzi Kaun, zdradził, z jakim trudem zachowuje opanowanie. *O Boże! Ściągnąłem tu sobie na głowę zdebilatego alkoholika!* zdawało się mówić to spojrzenie.

W tej chwili przypomniało mu się, że przecież obarczył tym problemem już jedną specjalistyczną głowę i odwrócił się do pisarza, nie kryjąc kielkującej nadziei.

- Panie Eisenhardt, pan myślał o tym już przez cały dzień. Czy doszedł pan do jakichś wniosków?

Eisenhardt smutno spojrział na magnata. Nie było rady, musiał zadać mu ten cios.

- Tak - oznajmił więc. - Sądzę, że kamera, której szukamy, nie istnieje.

Zatrzymali samochód na poboczu, w pobliżu bramy w starych murach miejskich, wyglądającej na wybitą w nowszych czasach. Sam mur prześwitywał zza drzew i palm jasną, wysoką jak kilkupiętrowy budynek ścianą ze ściśle spojonych ciosanych kamieni.

- I jesteś pewny, że poradzisz sobie z powrotem sam? - spytała jeszcze raz Judith.

- Tak, jasne - zapewnił George. - Są przecież taksówki. Ostatecznie złapię okazję. - Uniósł kciuk. - Hej, przejechałem stopem pół Ameryki!

- Więc dobrze. Tam jest *Nowa Brama*. Przejdiesz przez nią i pójdziesz prosto, aż napotkasz szeroką przecnicę. Skręcisz w lewo i po około dwustu metrach dojdiesz do Bazyliki Grobu. Może to nawet dwieście pięćdziesiąt metrów, zresztą będzie tabliczka.

Przyglądała się szczupłemu Meksykaninowi, który już na nią nie patrzył. Stał obok samochodu, oddychał głęboko, jakby pragnął wchłonąć tę chwilę każdym calem skóry, nie odrywając wzroku od potężnych murów otaczających jerozolimskie Stare Miasto, niezmiennie od wieków.

- George? Wszystko w porządku? - upewniła się.

- W porządku - skinął głową. Przez moment wyglądał, jakby miał się zachwiać, ale obrócił się tylko jeszcze raz do nich, chyba z trudem, pochylił się ku Judith, wziął jej dłoń i delikatnie ją pocałował. - Dziękuję. Ogromnie dziękuję. I tobie też, Stephen, wielkie dzięki.

To mówiąc odszedł, wolnym, tanecznym krokiem. Można by niemal pomyśleć, że brama przyciąga go z magiczną siłą, a gdy zniknął w jej ciemnym otworze, wyglądało, jakby go połknęła.

- Ale dziwoląg - skomentował Stephen, gdy ruszyli w dalszą drogę.

Jego argumenty zrobiły zadziwiająco małe wrażenie. Gdy przedłożył im swoje rozumowanie - mianowicie, że nie wysłano by w przeszłość pojedynczej osoby, lecz cały zespół, i że ten zespół, nawet gdyby z jakiegoś powodu musiał zostawić jednego ze swoich członków, z pewnością wracając w przyszłość zabrałby ze sobą kamerę i przede wszystkim nagrania - patrzył im w oczy, odnosząc wrażenie, że jego wywody niezbyt ich interesują, a nawet, że się nimi bawią. Jakby wiedzieli lepiej. W taki sposób patrzyli na niego rodzice, gdy w wieku pięciu lat wpadł na pomysł, że mogliby sami rysować dla siebie banknoty, żeby tatuś nie musiał tyle pracować.

Eisenhardt czuł, jak wzbiera w nim złość. Jeśli czegoś nie znosił, to właśnie tego rodzaju protekcjonalnego pobłażania, owego *Gadaj sobie, gadaj!* I gdyby przyszło mu na myśl coś, co mógłby im powiedzieć, coś naprawdę wstrętnego, podłego, raniącego, to by to powiedział. Ale nie mógł niczego wymyślić, więc zamilkł bezradnie i czekał, czy ktoś z nich skomentuje jego tyradę.

Tym kimś okazał się profesor Wilford-Smith. Oznajmił:

- Jestem pewien, że ta kamera istnieje - powiedział to łagodnym, cichym głosem dziadka pouczającego wnuka.

Zaś John Kaun, władca wartego miliony konsorcjum, skinął tylko przytakująco i dodał:

- Tak. Jestem głęboko przekonany, że ona gdzieś tu jest.

Tylko profesor Goutière się nie odezwał. Patrzył wprawdzie na nich, wydawało się jednak, że nic z rozgrywających się tu wydarzeń do niego nie dociera. Powodem było może to, że właśnie się zastanawiał, jak to wcześniej zapowiedział. A może powodem była dobra kanadyjska whisky.

- Ale przecież wyjaśniłem panom właśnie, dlaczego jest wysoce nieprawdopodobne, by... - wybuchnął Eisenhardt.

- Peter - przerwał mu Kaun z czarującą uprzejmością - widzę, że zadaje pan sobie wiele trudu, żeby przemyśleć problem naprawdę z każdej strony, ale nie potrzebujemy tego rodzaju wniosków. Nie chcemy niczego, co zmniejszy naszą motywację. Niewątpliwie, to wszystko, co pan mówi brzmi logicznie. Ale w rzeczywistości istnieją tylko dwie możliwości - albo kamera gdzieś tutaj jest, albo jej nie ma. Nie ma możliwości, żeby stwierdzić to na pewno. Jeśli istnieje, i tak znaleźć ją będzie niezwykle trudno. Jeśli jednak zaczniemy sądzić, że ona w ogóle nie istnieje, to jakbyśmy poddali się bez walki. A ja się nigdy nie poddam, rozumie pan?

Eisenhardt spojrział na milionera wzrokiem kompletnego dyletanta. Cóż za punkt widzenia! Teraz tylko nie zacząć krzyczeć.

- Chcę jedynie powiedzieć - zaczął jeszcze raz, rozkładając ramiona w błagalnym geście - że możemy zmarnować wiele czasu i pieniędzy na poszukiwania, które...

-*Ja*- natychmiast skorygował go Kaun. - *Ja* zmarnuję pieniądze. To moje pieniądze. To wszystko tutaj - ruch ręki był szybki, ale jednoznacznie obrysował wóz, w którym się znajdowali, pozostałe wozy, namioty, wolontariuszy, przyrządy, po prostu wszystko - jest za moje pieniądze. Czy uważam to za marnotrawstwo, czy za inwestycję z wkalkulowanym ryzykiem, to wyłącznie moja sprawa.

To było bez sensu. Eisenhardt poczuł, jak coś w nim bezsilnie oklapło, i opadł na fotel.

- Tak - stwierdził drętwą. - Okay. Naturalnie.

- Niezależnie od tego - kontynuował Kaun - wydaje mi się, że swojej argumentacji nie przemyślał pan do końca.

Eisenhardt tylko uniósł brwi.

- To znaczy?

- Mówi pan, że nie wysłano by w przeszłość pojedynczej osoby, tylko całą ekipę filmową. To brzmi prawdopodobnie. Cóż, widzi pan - stale wysyłam ekipy filmowe w różne zakątki ziemi, przeważnie w dość niebezpieczne okolice. I czasem się zdarza, że taka ekipa kogoś traci - dojdzie do porwania, ktoś go uwięzi, ulegnie wypadkowi, zostanie zabity. To zdarza się każdego roku, czasem kilkakrotnie. I jak pan myśli, co robię w takim przypadku?

- Nie mam pojęcia.

- W żadnym razie nie robię jednego - nie zostawiam go tam, gdzie jest. Poruszam niebo i ziemię, żeby odzyskać tego mężczyznę czy kobietę. Pertraktuję, błagam, przekupuję, grożę, jeśli mogę - ale robię wszystko, żeby sprowadzić tego człowieka z powrotem do domu, obojętnie, czy jest ranny, czy martwy, czy czymś zawinił, i robię to nie licząc się z kosztami. W sumie zginęło na służbie siedmiu moich pracowników, ale wszyscy są pochowani w ojczyźnie. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Powieściopisarz powoli skinął głową, mimowolnie pod wrażeniem zaangażowania, z jakim mówił Kaun. I był skłonny mu wierzyć. Jeśli zaś tylko grał, to marnuje swój aktorski talent.

Do tego miał rację. Eisenhardt był wściekły, że musi to przyznać. Może jednak nie bez przyczyny Kaun był milionerem, a on tylko pisarzem, który nie wie, jak spłacić raty za swój szeregowy domek.

- Zabraliby go - przytaknął. - Nawet, gdyby mu się coś stało. - Może też wędrowcy w czasie zjawiliby się ponownie na moment przed wypadkiem, by mu zapobiec. Chociaż w ten sposób wkraczali znowu na teren osławionych paradoksów. Bo jak by to miało działać? Załóżmy, że jeden z podróżników doznaje wypadku, w którym ginie. Jego koledzy przenoszą się wstecz w czasie, przed wypadek, i go udaremniają. Jeśli jednak wypadek się nie zdarzy, to nie mają powodu, żeby odbywać tę krótką wycieczkę, skutkiem czego nie zapobiegają wypadkowi i jednak do niego dochodzi. Więc cofają się w czasie - i tak dalej. •

Jakkolwiek to się odbyło, teraz można tylko snuć jałowe spekulacje.

- Nawet, jeśli ktoś z hipotetycznego zespołu zakochał się tam na miejscu - ciągnął dalej Kaun - to można by zabrać tę młodą kobietę w przyszłość. Z pewnością byłoby to bezpieczniejsze, niż zostawiać w przeszłości kogoś, kto zna historię następnych dwóch tysięcy lat.

- Przeskoczenie dwóch tysięcy lat - zastanowił się Eisenhardt - oznaczałoby szok kulturowy, niełatwy do pokonania...

- Ależ gdzie tam, przeszły przez to miliony ludzi w krajach rozwijających się. Widział pan już kiedyś siedemdziesięcioletniego aborygena przy nowoczesnym komputerze? A ja tak. Proszę mi wierzyć, człowiek z roku zerowego łatwiej dostosuje się do naszych dzisiejszych warunków, niż na odwrót - Kaun niechętnie potrząsnął głową. - Nie mówiąc o tym, że jest jeszcze niemało okolic, gdzie żyje się wciąż tak samo, jak przed dwoma tysiącami lat.

- I nawet gdyby, obojętnie z jakiej przyczyny, został on w przeszłości - wtrącił się profesor Wilford-Smith - z jakiego powodu mieliby zostawiać mu instrukcję obsługi kamery, a nie samą kamerę?

Pisarz zastanowił się chwilę. Jeszcze raz przebiegł w myśli swoje argumenty. Popołudniowe przemyślenia. Było jeszcze coś...

- Zadałem sobie pytanie - zastanawiał się głośno - czy, jeśli rzeczywiście w przeciągu kilku lat zostałyby wynalezione podróże w czasie, nie doprowadziło by to nieuchronnie do rozwoju turystyki w przeszłość. Zważywszy, jak ukształtowany jest nasz gatunek. Turyści jeździli na pola bitew w Jugosławii, z pewnością znaleźliby się ludzie, którzy z rozkoszą stanęliby w ogniu decydujących walk drugiej wojny światowej. Inni chcieliby spotkać Mozarta albo Goethego. W całych dziejach kłębiliby się przybysze z przyszłości. Źródła historyczne pełne byłyby doniesień o ludziach, którzy słabo opanowali język, nie kultywują tradycji ani rytuałów, ubierają dziwaczne stroje i używają tajemniczych narzędzi. O zło- czyńcach, popełniających przestępstwa i w tajemniczy sposób znikających. Seksturyści byłiby prawdziwą plagą. Z pewnością opowiadano by o przybyszach nie wiadomo skąd, robiących wątpliwe interesy, skupujących w wielkich ilościach obrazy nikomu nieznanym malarzy, którzy sławę i uznanie zdobędą dopiero za kilka dziesiątek lat, na przykład. Jednak nic takiego się nie dzieje. Nie napotyka się takich doniesień. Pojawia się pytanie, dlaczego?

Kaun z uznaniem pokiwał głową.

- Może podróże w czasie będą podlegać ścisłej państwowej kontroli, podobnie jak produkcja broni atomowej - zastanawiał się dalej Eisenhardt. - Może podróże w przeszłość, podobnie jak loty na Księżyc, okażą się tak drogie i pracochłonne, że nie rozwinie się turystyka. Może powstanie coś w rodzaju policji czasu, uniemożliwiającej wszelkie wybryki. Może też istnieje fizyczne wy tłumaczenie... - Poczł w duszy coś podobnego do trzasku. Jakby właśnie w tym momencie złamało się jego przekonanie, że podróże w czasie są w realnym świecie niemożliwe. Tak, naprawdę. Zaczł wierzyć. Odczuł niepokój na skutek doświadczenia, że wszystkie przekonania, nawet te uważane za niezmiennie i prawdziwe, mogą się zmienić.

- Mianowicie? - spytał w napięciu Kaun.

- Może - powiedział powoli Eisenhardt - dojdzie do odkrycia praw rządzących podrózkami w czasie i jedno z tych praw będzie brzmiało, że poruszać się można tylko w jednym kierunku. W przeszłość. Będzie można przenosić się w przeszłość, lecz bez możliwości powrotu w czasy, z których się przybyło. Co zresztą wystarczyłoby, żeby świat, jaki znali, uległ gruntownej zmianie. Ludzie przenosiliby się tydzień wstecz i skreślali właściwe liczby na kuponie toto-lotka. Dla milionowej wygranej wytrzymałoby parę dni w towarzystwie samych siebie. A co z zapobieganiem wypadkom post factum? Co z wszystkimi paradoksami pętli czasu, które przecież nie straciłyby racji bytu?

- Dlatego nie będzie turystyki w przeszłość, nigdy, nawet za dziesięć milionów lat. Tylko pojedyncze osoby, udające się w podróż bez powrotu, romantycy, uciekający w stare dobre czasy. Ochotnicy, skłonni poświęcić życie dla nauki.

Profesor Wilford-Smith skinął głową.

- I jednego z nich znaleźliśmy.

Na Muzeum Rockefellera składał się duży, graniczący z parkiem kompleks, wchodzącą w jego skład charakterystyczną ośmiokątną wieżę widać było z daleka. Od *Nowej Bramy* nie musieli już długo jechać, jeszcze kawałek szeroką ulicą wzdłuż murów Starego Miasta, której nazwa zmieniła się z ulicy Ha-Tsankhanim na ulicę Sułtana Sulejmana. Stephen zatrzymał się na wielkim, opustoszałym parkingu

przed muzeum, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer, który dostał od Yeho-shui.

- Jesteśmy - powiedział, gdy zgłosił się przyjaciel. Usłyszał westchnienie.
- No, nareszcie. Poczekajcie, zaraz wyjdę.
- Właściwie myślałem, że wejdziemy do środka.
- Tak, jasne. Miałem na myśli, że wam otworzę. Stephen uśmiechnął się.
- Czekamy.

Czekali. Kilka nisko umieszczonych lamp ukrytych między zaroślami i w trawie ledwie rozjaśniało półmrok na rozległej asfaltowej przestrzeni. Szeroki chodnik prowadził do przeszklonego wejścia, pogrążonego w kompletnych ciemnościach.

- Zdaje ci się, że dziś wieczorem będziemy tu tworzyć historię, co? - zapytała bez uprzedzenia Judith. Nie spojrzała przy tym na niego.

Stephen przyglądał się jej charakterystycznemu profilowi, odcinającemu się na mrocznym tle jak wycięty nożyczkami kontur.

- Przynajmniej tego nie wykluczam - stwierdził.

- A potem?

- Potem?

- Co zrobisz potem? To znaczy, gdy już stworzysz historię?

- Nie mam pojęcia. - Zdawało mu się, że zauważył jakiś ruch przy bramie wejściowej, ale najwidoczniej się mylił, gdyż nikt do nich nie wyszedł, nie zamachał, nic w tym rodzaju. - Twój brat wcale się nie śpieszy.

Judith milczała. Ze stygnącego silnika dobiegł ich jakiś stukot.

- Hej - zawołał w końcu Stephen - nareszcie zrozumiałem. Uważasz mnie za zgrzywusa cierpiącego na przerost ambicji i nie wierzysz, że znajdziemy tu dzisiaj cokolwiek, co by miało jakieś znaczenie. Okay. Ostatecznie pewnie okaże się, że masz rację. Ale nim to nastąpi, pozwolisz mi się bawić, mam rację?

Westchnęła, potem mruknęła:

- Nie. Ja nie tylko w to nie wierzę. Ja się tego wręcz obawiam.

Przestraszyli się śmiertelnie, gdy z nienacka ktoś zapukał w szybę. Był to Yehoshuah, któremu udało się w jakiś sposób niezauważenie podejść do samochodu od tyłu.

Stephen, zdenerwowany pokręcił korbką i opuścił szybę.

- Yehoshuah, ty wariacie - burknął. - Chcesz nas zamordować?

- Och - uśmiechnął się ten promiennie - przestraszyłem was?

- Przestraszyłeś? Postarałem się o kilka lat. Przez cały czas czekaliśmy, aż wyjdiesz z tamtej bramy, a ty zakradasz się i z nienacka pukasz w szybę...

- W nocy brama główna ma włączony alarm. Trzeba wejść bocznym wejściem. Nocny stróż nie musi przecież wiedzieć, że tu jesteśmy. - Yehoshuah machnął ręką w kierunku zarośli, w których niezbyt gęstym cieniu zaparkowali. - Dobrze stanęliście, to tylko kilka kroków.

Stephen niósł teraz torbę Judith, idąc za jej bratem wąską ścieżką wijącą się wśród ozdobnych krzewów. Płożące się gałęzie chrzęściły łagodnie pod ich stopami. Dotarli do drzwi położonych około metr poniżej poziomu piaszczystej ziemi, prowadziło do nich kilka stopni. Yehoshuah zabrzączał pękiem kluczy i rzucił:

- Chodźcie! - I wkroczyli za nim w mrok.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, rozblęsnęło światło. Znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym niewielki, zakurzony magazyn. Wokół nich stały niezliczone mniejsze i większe drewniane skrzynie, wszystkie starannie obite gwoździami i opisane po hebrajsku, częściowo przykryte pokrowcami, na których zgromadził się nietknięty kurz wielu lat, o ile nie całych dziesięcioleci.

Nie mieli wiele czasu na rozglądanie. Yehoshuah ponaglił ich ruchem ręki, zgasił światło. Wspięli się schodami do góry, przeszli przez kolejne drzwi, znaleźli się w jednej z sal ekspozycyjnych, oświetlonej jedynie światłem awaryjnym - było to duże, chłodne pomieszczenie, w którym każdy ich krok rozbrzmiewał donośnym echem. Stephen mimowolnie wstrzymał oddech, mijając szklane witryny, ustawione długimi rzędami jedna obok drugiej. Wystawiono tu niezliczone stare monety i naczynia ceramiczne; kości, ozdoby z brązu, złota i srebra, fragmenty zwojów papirusu i zwietrzałe skórzane elementy obuwia lub odzieży. Obok stały tablice z obszernymi informacjami w trzech językach, było jednak za ciemno na czytanie.

- Prosto, tędy - mruknął Yehoshuah i zdawało się, że z kątów szepcze dalekie echo jego głosu: *tędy... tędy... tędy...*

Wysokie drzwi skrzyknęły cicho, lecz w ciszy nocnego muzeum ten dźwięk szarpnął ich nerwy, wyszli na surowo urządzone hol, którego jedyną ozdobą było niewielkie popiersie założyciela fundacji, Johna D. Rockefellera. Kolejnymi schodami zeszli ponownie do piwnicy i wreszcie dotarli do laboratorium.

Jaskrawe światło jarzeniówek wydobyło z mroku chłodne blaty długich stołów. Stały przy nich w nieregularnych odstępach krzesła, tu i ówdzie widoczne były rozpoczęte prace konserwatorskie. Nie

brakowało szkieł powiększających, zamocowanych na długich ruchomych ramionach. Na regale ponad stołami tłoczyły się szklane butelki z chemikaliami

- wszelkich możliwych rozmiarów, niektóre brązowe, inne przezroczyste, opatrzone etykietami, starannie opisanymi odręcznym pismem. Na stojaku obok zlewu ustawiono do suszenia wanienki, w małych miseczkach leżały pesety każdej wielkości i rodzaju, najrozmaitsze skalpele, małe i duże pędzle, igły, cieniutkie metalowe dłuta i mnóstwo narzędzi, jakich Stephen nie widział jeszcze nigdy w życiu.

- Więc - zaczął Yehoshuah, a wyraz jego twarzy nieomylnie zdradzał rozterkę, czy ma się cieszyć, czy obawiać

- jesteśmy.

- Tak - przytaknął Stephen i postawił torbę na pustym miejscu. - Na to wygląda.

George Martinez znalazł Bazylikę Grobu Świętego z jej potężną kopułą, jednak już zamkniętą. Tak jak się spodziewał. Oparłszy czoło o chłodny metalowy portal stał dłuższą chwilę i próbował ogarnąć myślą swoje szczęście. Jest tutaj! Dotarł do miejsca, w którym Zbawiciel został złożony do grobu, by triumfalnie z niego powstać, manifestując w ten sposób zwycięstwo światła nad mocami śmierci. Działo się to przed dwoma tysiącami lat, a teraz jest tutaj on, George Martinez z Bozeman, Montana. Gdy tak stał w ciszy, próbując pojąć tę tajemnicę, wydało mu się, że całe jego dotychczasowe życie było tylko przygotowaniem do tej chwili, jakby musiał przejść przez wszystkie kręte i zawite drogi i dróżki tylko po to, by w końcu dotrzeć tutaj. Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo tak stał - pół godziny, godzinę, czy może tylko dziesięć minut. Czas nie grał roli. Gdy ponownie się wyprostował, czuł się całkowicie odmieniony, wypełniony wewnętrznym spokojem i zgodą, pełen wdzięczności. Odmieniony wydał mu się też świat wokół, zdawał się świecić i promieniować, kolory były jakby intensywniejsze, ciemność ciemniejsza a światło jaśniejsze. Wszystko było takie, jakie powinno być. Dotarł do źródła.

Oczywiście, potem zablądził. Z drugiej strony trudno powiedzieć, że zablądził, skoro właściwie błąkał się bez celu. Wędrował po wąskich, wysokich zaułkach Starego Miasta, spoglądał do góry na okratowane okna nad kruszącymi się gzymsami, pozwalał, by wabiły go mętne, jakby osłabłe ze starości lampy tłące się w stęchłych, ciasnych niczym tunele uliczkach, gdzie wzniesione przed setkami lat ściany pokryto dziką płataniną kabli. Tu i ówdzie natykał się na ludzi: kobiety o głowach wstydliwie osłoniętych chustami, Arabów w białych burnusach i turbanach na głowie. Ignorowali go, co najwyżej obrzucali obojętnym spojrzeniem. Wszyscy co do jednego wyglądali pięknie. Mijał żelazne rolety, zamknięte drzwi i mężczyźni, siedzących na kamiennych ławkach pod łukami tuneli i w milczeniu palących papierosy. Panował spokój.

W pewnej chwili odkrył małą żeliwną tabliczkę, przybitą do jednej ze ścian, na której widać było jedynie prosty, wykonany dużymi literami napis VII ST. Poniżej zamocowano jeszcze jedną metalową tabliczkę i George musiał zapalić zapalniczkę, by odcyfrować znajdujący się na niej napis.

Była to, jak informował angielskojęzyczny tekst, siódma stacja Drogi Krzyżowej Chrystusa. Miejsce, gdzie Jezus po raz drugi upadł pod ciężarem krzyża, który kazano mu własnymi rękami zanieść na wzgórze Golgoty.

George z niedowierzaniem patrzył na ziemię. Zamocowane kamienne płyty, na nich koleiny wyżłobione przez setki lat.

Nagle, z kilkusekundowym opóźnieniem, jakby owa myśl niczym wahadło musiała najpierw odchylić się w przeciwnym kierunku i nabrać impetu, dotarło do niego z całą mocą. Tutaj? W tej wąziutkiej uliczce? Gdy stanął na jej środku i rozłożył ramiona, mógł dotknąć obu murów, po prawej i po lewej stronie. Tam, skąd pochodził, szersze mieli nawet kanały ściekowe.

To dokonało się tutaj. Stali po prawej i po lewej stronie, szydzili z niego, gdy szedł w swej cierniowej koronie, uginając się pod ciężarem olbrzymiego krzyża, osłabiony męką tortur, przesłuchania, biczowania. Pluli na niego i szydzili w drodze na miejsce kaźni.

Szedł tą uliczką.

Tej ziemi dotykały stopy Zbawiciela.

George padł na kolana, dotknął bruku.

Jego pot i jego krew skropiły tę ziemię. George'owi zdawało się, że jeszcze je wyczuwa dotykiem.

Ryan zakończył obchód obozu i stał teraz przy wozie zamieszkiwanym przez swego szefa. Z okien pokoju konferencyjnego prześwitywało nieco światła, lecz nic nie było słychać. Warta przy sektorze czternastym właśnie zmieniła się; to być może już ostatnia noc, gdy trzeba strzec miejsce znaleziska. Panował spokój.

Spokój niemal niestosowny, biorąc pod uwagę, co tu znaleziono.

Spokojnie obracał głową we wszystkie strony, wciągając powoli powietrze przez rozdęte skrzydełka nosa. Niczym nie pachniało. To zresztą był tylko taki jego tik, stare przyzwyczajenie, gdy był czymś zajęty. Gdy instynkt mówił mu, że coś jest nie w porządku.

Jeszcze raz przewijał przed swym wewnętrznym okiem taśmę z wydarzeniami tego dnia, jeszcze raz myślał o tym, co słyszał i widział i co mu powiedziano, wyczuwając dokładnie, gdzie coś nie gra, gdzie

odzywał się niepozorny, cichy głos, wołający: - Zaraz, zaraz? A co to?

Tak. Było coś niepokojącego.

Sprężystym jak u kota, gwałtownym ruchem odwrócił się i ruszył w kierunku stojącego naprzeciw wozu, w którym znajdowała się centrala całego ich przedsięwzięcia. Pracowano tutaj dzień i noc, a drzwi były stale zamknięte. Ryan miał oczywiście klucz, a w jego dłoni klucze nigdy nie brzęczały.

Wóz był urządzony równie spartańsko i funkcjonalnie, jak komfortowo wyposażono pozostałe. Stały tu tylko stoły i krzesła, szafy na dokumenty, komputery, aparatura do wi-deokonferencji, telefony satelitarne, w ogóle mnóstwo telefonów. Ryan skinieniem głowy pozdrowił mężczyznę siedzącego przy pulpicie z monitorami telewizyjnymi i nadajnikiem radiowym, mającego przed sobą gruby brulion, w którym od czasu do czasu coś notował. Głębiej w tyle, przed monitorem siedziała kobieta, śledziła notowania giełdowe i czasem cichym głosem mówiła coś do mikrofonu, umieszczonego na druciku przed jej ustami. Była maksymalnie skoncentrowana i zignorowała Ryana: prawdopodobnie nawet nie zauważyła jego wejścia.

Ryan zdjął z regału segregator i siadł z nim przy stole, na którym stał telefon. Aparat miał szary kolor, co w przyjętym systemie barw oznaczało, że jest podłączony do sieci telefonicznej kraju, w którym się aktualnie znajdują. Otworzył segregator, przekartkował listę wolontariuszy, prowadząc wskazujący palec po kolumnie z nazwiskami odszukał nazwisko Judith Menez. Wtedy przesunął palec w bok i zatrzymał go na numerze telefonu.

Przysunął bliżej telefon i wybrał numer. Musiał długo czekać, aż ktoś się zgłosi. Odezwał się głos starszej kobiety, cichy i nosowy, nie zrozumiał, co właściwie powiedziała.

- Pani Menez? - upewnił się.

- Ken - odpowiedziała. Ryan nie znał hebrajskiego, ale to znaczyło *Tak*, tyle zdążył się już zorientować.

- Czy mówi pani po angielsku? - spytał powoli i wyraźnie.

Krótką przerwę.

- Tak - rozległo się potem. - Trochę,.....

Zabrzmiało to jak „odrobinę”.

- Czy mogę mówić z pani córką, Judith? - spytał Ryan. Znow musiała się zastanowić.

- Nie, niestety. Ona jest... nie ma jej.

- Czy pani wie, gdzie ona jest?

- Pracuje. Na... wykopaliskach - Naprawdę musiała się natrudzić, żeby znaleźć właściwe słowa.

- Czy nie miała odwiedzić pani dziś wieczorem?

Długa przerwa. Potem

- Przepraszam...?

Ryan nabrał głęboko powietrza. Nie zrozumiała go.

- Dziś wieczorem - powtórzył jeszcze raz, bardzo powoli - Judith chciała panią odwiedzić. Tak mi ktoś powiedział.

- Judith? Nie. Nie ma jej tutaj. Ona pracuje.

- Nie przyjedzie dzisiaj?

- Nie.

No dobrze. Wiedział właściwie już dosyć. Judith Menez powiedziała, że razem ze Stephenem Foxxem są zaproszeni do jej matki, a ta najwyraźniej nic o tym nie wie.

Nieoczekiwanie w profesora z Kanady wstąpiło życie, do tej pory nieobecny duchem zwiślał z fotela, zaglądając coraz głębiej w swoją szklankę. John Kaun ze zrezygnowaną miną dolewał mu posłusznie, ilekroć Goutière unosił puste naczynie. Raptem wyrzucił do przodu wolną dłoń, chwycił album leżący na biurku Kauna i uniósł go w górę, z trudem utrzymując się we w miarę wyprostowanej pozycji. Na stronie tytułowej przedstawiono zdjęcie, ukazujące panoramę Wzgórza Świątynnego widzianą z Góry Oliwnej, ze złotą Kopułą Skały w centrum, za nią w tle rozciągało się Stare Miasto. Zdjęcie reprodukowane prawdopodobnie w niezliczonych przewodnikach.

- Muszę - wystrzelił profesor Goutière - opowiedzieć panom coś o Wzgórzu Świątynnym. Albo, jeśli panowie już to wiecie, przypomnieć wam o tym.

- W jakim celu? - zainteresował się Kaun.

- Zaraz panowie zobaczą. Z pewnością wiecie, że Żydom nie wolno wchodzić na Wzgórze Świątynne - lecz czy wiecie, dlaczego? - Nie zaczął na ewentualną odpowiedź. - Przeważnie sądzi się, że zabronili im tego po wsze czasy muzułmanie, gdy w roku 632 zdobyli miasto, ale to nieprawda. To ich własna tradycja im tego zakazuje. A to dlatego, że Wzgórze Świątynne wznosi się, jak wiadomo, na ruinach świątyni herodiańskiej - a więc, pozwolę sobie wtrącić, świątyni, w której przebywał Jezus z Nazaretu - zbudowanej z kolei na ruinach świątyni Salomona, o której jest mowa w Starym Testamencie i która musiała być niewyobrażalnie kolosalną budowlą. Jako że dziś nie wiadomo już dokładnie, gdzie na tym terenie znajdowało się wówczas Święte Świątych, do którego wstęp pod karą śmierci i wiecznego potępienia zabroniony jest wszystkim za wyjątkiem najwyższego kapłana, religijny Żyd przez

ostrożność nie wchodzi w ogóle na to wzgórze. Wiercił się niespokojnie na fotelu, jakby wciąż nie mógł znaleźć pozycji, w której dałoby się jako tako wytrzymać.

- Zresztą historycy są raczej pewni - mówił dalej - że Święte Świętych musiało znajdować się mniej więcej w miejscu, gdzie dziś jest fontanna *Sabil Kait Beja*, nieco na południowy zachód od meczetu Skąły.

- Więc? - wyrwało się Kaunowi, który, podobnie jak pozostali, nie miał pojęcia, do czego zmierza Kanadyjczyk.

- Szczególną cechą Placu Świątyni jest fakt - kontynuował Goutière bełkotliwie - że jest świętością zarówno dla Żydów, jak i dla muzułmanów. Żydzi oczekują, że pewnego dnia przybędzie tu Mesjasz, a dla muzułmanów jest to trzecie co do świętości miejsce po Mekce i Medynie, ponieważ stąd właśnie kiedyś Mahomet wyrwał się na jeden dzień do nieba. Nazywają swoją świątynię *Haram Asz-Szarif*, co znaczy mniej więcej „doskonała świętość” - przerwał i przez chwilę sam przyglądał się okładce albumu. - I jest doskonała, na Boga. W całej Jerozolimie nie znajdziecie wspanialszej budowli. Kopuła Skąły jest wyjątkowo piękna - ceramiczne płytki, którymi wyłożono zewnętrzne ściany, arabeski i mozaiki wewnątrz kopuły... Była wzorem dla Bazyliki świętego Piotra w Rzymie, wiedzieliście o tym? Jest wprost niezemska. Ale przede wszystkim stanowi symbol, potężny polityczny symbol dla islamu. A to z powodu przyczyny, dla której Allah przemówił do Mahometa: uczynił to, gdyż wcześniejsze religie - judaizm, chrześcijaństwo - nie spełniły swego zadania. Powołaniem islamu jest zastąpić pozostałe religie. Znajdujące się na placu Świątyni złota kopuła meczetu Skąły i srebrna meczetu *Al-Aksa* rozumiane są jako widzialny dowód na to, że islam odniósł historyczne zwycięstwo i muzułmanie są dziedzicami starotestamentowe-go przymierza z Bogiem.

Kaun wziął butelkę whisky, odstawił ją z powrotem do lodówki i dobitnie zatrzasnął drzwiczki.

- Sądzę - oznajmił stanowczo - że fakty te są nam z grubsza znane, a jeśli nawet nie, to nasze zainteresowanie dla nich jest czysto teoretyczne. Chyba że wyjaśni pan, jaki widzi pan związek z poszukiwaniami wiadomej kamery.

- Ach tak - Goutière odłożył album, jeszcze raz zmienił pozycję w fotelu, który najwyraźniej był mu bardziej niż niewygodny, i trwało kilka mgnień oka, nim znalazł odpowiednie słowa. - Jeśli słuszna jest pańska teoria na temat tej kamery i dzielnego naukowego kamikadze, który w przewidywalnej przyszłości uzbrojony w nią wyruszy w przeszłość, chcąc sfilmować Jezusa... - patrzył przy tym na Eisenhardta, jakby to on był najbardziej zajadłym rzecznikiem tej teorii. - Ach, możemy przecież zacząć z drugiej strony: Może pewnego, niezbyt odległego dnia przyjdzie do mnie młody człowiek i zapyta, gdzie należałoby ukryć pewien przedmiot w Palestynie, w roku, powiedzmy, trzydziestym piątym, by móc być zupełnie pewnym, że po dwóch tysiącach lat znajdzie się go tam w nienaruszonym stanie. Prawda, że w istocie jest to właśnie pytanie, na które odpowiedzi szukamy?

Kaun skinął głową.

- Dokładnie.

Kanadyjski historyk był wprawdzie pijany, ale do tej pory nie ograniczyło to, zdaje się, jego zdolności logicznego myślenia.

- Odpowiedziałbym spontanicznie: niech pan zakopie swój przedmiot gdzieś na pustyni, obojętnie gdzie, byle dostatecznie głęboko - wtedy nic mu się nie stanie.

Magnat medialny wyprostował się.

- To nie jest dokładnie to, co miałem nadzieję usłyszeć, jeśli mam być szczerzy

Goutière uniósł rękę.

- Proszę poczekać. Jeszcze nie skończyłem. Potem zastanowiłbym się jeszcze raz i stwierdziłbym, że odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta. Ja przecież nie tylko chcę coś zakopać, ja chcę to potem znaleźć. A to już problem. Palestyna od ponad pięć tysięcy lat jest gęsto zaludniona. Kultury nakładają się jedna na drugą, prawie każdy budynek stoi na ruinie innego, każda świątynia skrywa pod sobą wcześniejszą świątynię. Zaś krajobraz z biegiem lat dramatycznie zmienił swoje oblicze. Prawda, że gdybyśmy wzięli mapę Izraela i zaznaczyli czarną kropką każde miejsce, w którym już kopano - każde wykopaliska archeologiczne, każdy zbudowany dom, każdą znaną nam ulicę - wówczas oczywiście zostałyby jeszcze całkiem sporo białej przestrzeni. Ale ten kraj ma za sobą dwa tysiące niespokojnych lat. W rzeczywistości nie ma tu nawet pięćdziesiąt lat, o które z całą pewnością moglibyśmy powiedzieć, że nie naruszono jej w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat - przyjrzał się każdemu z nich po kolei, odwzajemnił sceptyczne spojrzenie Eisenhardta, uśmiechnął się na potwierdzające przytakiwanie Wilforda-Smitha, i w końcu skierował wzrok na Kauna, który daremnie próbował ukryć rozczarowanie. Wtedy dodał: - Z jednym wyjątkiem.

Eisenhardt obserwował, jak oczy przemysłowca zwężyły się do wąskich szparek. Wyglądało na to, że nie znosi takich retorycznych gier, chyba że gra w nie sam.

- Mianowicie?

- Podkreślam jeszcze raz, że dla mnie to tylko intelektualna szarada - powiedział Goutière. - Szalona

teoria, nic ponadto. Proszę więc nie pociągać mnie do odpowiedzialności za to, co tu plotę.

- Obiecuję. A więc, o jakim miejscu pan myśli?

- Zwróciłbym temu hipotetycznemu młodzieńcowi uwagę na fakt, że meczet Kopuły Skały wybudowano na wielkim, nieregularnie uformowanym zrębie skalnym, o wymiarach około trzynaście na siedemnaście metrów, z którego wedle islamu Mahomet wstąpił do nieba. Tę skałę, zwaną przez muzułmanów *Sakhra*, tworzą stare pokłady kamienne, w dawnej świątyni żydowskiej służyła za ołtarz ofiarny. Już i dla Żydów była świętością, gdyż mówimy tu o wierzchołku góry *Mona*, o skale, na której Bóg poddał próbie posłuszeństwo Abrahama, żądając od niego, by ten złożył mu w ofierze swego syna Izaaka.

Przez chwilę panowała niepewna cisza. Kaun z niesmakiem przełknął ślinę.

- Nie mówi pan poważnie.

- Jedynym miejscem - oznajmił Goutiére niewzruszony - o którym z absolutną pewnością możemy powiedzieć, że pozostało nietknięte przez ostatnie dwa tysiące lat, jest ta najświętsza ze wszystkich skał. Kamień w meczecie Skały.

17

Sender: Donald_Frey@aus.new.com
 To: John_Kaun@ny.new.com
 Message-Id: 4127900A.70D.OOC10@newsrv041.new.com
 Subject: Pertraktacje Melbourne
 Mime-Version: 1.0
 Content-Type: text/plain; charset=iso-8859-1
 John,

Odwołanie spotkania w środę poważnie zagroziło wynikom pertraktacji. Kontaktowałem się telefonicznie z Pańskim sekretariatem; Susan Miller powiedziała mi, że jest Pan w Izraelu??? Proszę o pilny kontakt.

Pozdrawiam serdecznie, Don

Papier prezentował się naprawdę kiepsko. Stephen poczuł, jak oblewa się zimnym potem. Niech to cholera! Nie wyglądał tak marnie, kiedy wyjmował go ze skrzynki i wkładał między dwa metalowe talerze. Czyżby uszkodził się tak teraz, podczas transportu? Setki drobniotkich, szarych strzępków ukruszyły się na krawędziach, a pozostała część wydawała się tak wyblakła i wysuszona na wiór, jakby miała w każdej chwili rozsypać się w proch.

Rzucił szybkie spojrzenie na Yehoshuę. Zdawało się, że nie robi to na nim wielkiego wrażenia. Być może był przyzwyczajony do takich widoków. Zwoje papirusu z pewnością nie wyglądały o wiele lepiej, gdy otrzymywał je zaraz potem, jak przez kilka tysięcy pleśniały w jakichś glinianych dzbanach. Jednak dokładnie w tym momencie, gdy znów zaczął się w nim budzić cień nadziei, Yehoshuah westchnął ciężko i stwierdził zagadkowo:

-Tak...

Nie wdając się w wyjaśnienia, co chce przez to powiedzieć, przystąpił do rozmaitego rodzaju przygotowań, układał w zasięgu ręki lupy i pesety, ustawił w rzędzie jedną przy drugiej płaskie plastikowe kuwety i wyregulował ostrość obiektywu aparatu fotograficznego, przykręconego śrubami do specjalnego statywu w taki sposób, by można było robić nim zdjęcia pionowo w dół.

Jakie to wszystko ma teraz znaczenie? Stephen spoglądał na nieszczęsny zwiłek pylistego papieru, leżący na pogniecionym blaszanym talerzu i na pierwszy rzut oka nadający się jedynie do wyrzucenia do śmieci. I to najprawdopodobniej z jego winy. Nie okazał się ani o włos lepszy od złoczyńcy, który podpalił bibliotekę aleksandryjską.

Mimo że w pomieszczeniach laboratorium panował chłód, Stephen był cały mokry od potu. Przyczyną, jak nagle to sobie uświadomił, był strach, od wielu lat nie bał się tak przeraźliwie. Czy uda mu się jakoś wypłatać z tej matni? Zawsze przecież znajdował sposoby na wydostanie się z podbramkowych sytuacji. Przede wszystkim zawsze miał na tyle sprytu, by nie dać się wpędzić w podbramkową sytuację. Dość sprytu, by na długo przed końcem zwąchać, co się święci, właściwie zinterpretować sygnały ostrzegawcze i w porę zaciągnąć hamulec lub skrócić w inną drogę.

- Jak to wygląda? - zdobył się w końcu na zadanie pytania. Jego głos zabrzmiał nisko i chrypliwie.

Yehoshuah przyciągnął uchwyt jednej z podświetlanych soczewek i zamocował ją nad znaleziskiem. Studiował je dokładnie przez chwilę, nim odpowiedział. Stephenowi zdawało się, że minęły całe godziny.

- Trudno ocenić. Są tu dwa arkusze papieru, ktoś zgiał je kiedyś, potem wsunął jeden w drugi i ponownie złożył na pół. Zobacz sam.

Pchnął okular w stronę Stephena. W powiększeniu wszystko wyglądało jeszcze koszmarniej - mnóstwo miejsc usianych dziurkami, wokół nich papier rozsypywał się w proch, postrzępione, krusze krawędzie, oderwane od nich małe i malutkie skraweczki.

- Wygląda na to, że na tych kartkach nikt nigdy nic nie napisał.

- To tylko tak się wydaje.

Na drugim końcu stołu laboratoryjnego Judith siedziała okraciem na odwróconym oparciu do przodu krzesła, głowę oparła zniechęconym gestem na ułożonych jedna na drugiej dłoniach. Gdy Stephen zaproponował jej, by spojrzeła w mikroskop; odmówiła, kręcąc głową. Wyglądało na to, że dobrze zna całe to otoczenie; pewnie już wcześniej zdarzało się jej dotrzymywać tu bratu towarzystwa.

Yehoshuah przyciągnął znów okular ku sobie, wziął w dłoń pęsetę i chwycił nią jeden z najdrobniejszych kawałeczków papieru, by umieścić go w ceramicznej miseczce.

- Może uda nam się ustalić, jaki to rodzaj papieru

- stwierdził i zdjął z półki kilka butelek z chemikaliami.

Stephen wpadł na pewien pomysł.

- Masz linijkę?

- Jasne. W szafce przed tobą. Górna szuflada. Wyjęta linijka była solidnie wykonana z ciężkiej stali, na jednej krawędzi opatrzone ją skalą metryczną, na drugiej umieszczono podziałkę w calach. Stephen pochylił się z nią nad badanym obiektem.

- Co chcesz zrobić? - dopytywał się Yehoshuah.

- Ma prawie cztery i ćwierć cala szerokości i... - ostrożnie przełożył linijkę w inną pozycję - ... pięć i pół cala wysokości.

- Tak, i co z tego?

- Gdyby rozłożyć arkusze, miałyby dwa razy większą wysokość i szerokość, a więc jedenaście na osiem i pół cala

- odparł Stephen i odłożył linijkę na bok.

- Logiczne.

Wciąż nie rozumieli. A przecież to wprost rzucało się w oczy. Stephen spojrzał na dwoje przyjaciół i wyjaśnił:

- To standardowy format amerykańskiego papieru listowego.

„Kościół Chrystusa Siewcy” był mały, niemal jak kaplica, zaś jego znaczenie było równie mizerne, co wygląd. Rzucało się w oczy, że nie jest to żadne z tych świętych miejsc i historycznych zakątków, w które tak obfituje Jerozolima. Jego nazwa wzięła się prawdopodobnie z owej przypowieści przytoczonej w Ewangelii św. Marka, w której mowa o tym, jak siewca traci jedną część ziarna, wydziobaną przez ptaki, drugą omyłkowo rzuca na skaliste podłoże, gdzie skielkowane rośliny nie wytrzymują słonecznego skwaru, zaś trzecią część ostatecznie marnuje, rozsypując ją wśród ciemistych krzewów niepozwalających im wyrosnąć. Tylko jedna część nasion pada na żyzną glebę, a przecież to właśnie one mnożą się, stukrotnie wynagradzając wszelkie straty. Było jednak pewne, że tej przypowieści Jezus nie opowiedział tutaj, lecz na północy Galilei, prawdopodobnie w Kafarnaum. Kościół zbudowano przed około dwustu laty w jednej z dzielnic graniczących ze Starym Miastem, i w zasadzie nikt naprawdę nie wiedział, dlaczego w ogóle go wzniesiono i z jakiego właściwie powodu stoi tu, gdzie stoi.

Sprawiający raczej posępne i przygnębiające wrażenie, wznosił się dokładnie na skrzyżowaniu dwóch o wiele za wąskich uliczek, na których panował intensywny ruch, gdyż miejscowi zwykli używać ich jako objazdów omijając korki na głównych ulicach. Okna kościoła były szare od kurzu i spalin, nawet dźwięk dzwonu rozbrzmiewającego w każde południe na niewysokiej wieży zdawał się być jakby przytłumiony kurzem. Co zresztą było bez znaczenia, jako że od pewnego czasu w tej dzielnicy mieszkali głównie muzułmanie.

Wieczór szabatowy był jedynym wieczorem, kiedy na uliczkach panował spokój. Ojciec Łukasz, mnich franciszkanin, przy pomocy dwóch innych braci utrzymujący przy życiu ów mizerny, mały kościółek, zwykł był rozkoszować się tą nieczęstą tutaj ciszą. Gdy pożegnał ostatniego gościa jadłodajni, nie zamknął za nim jak zwykle bramy dziedzińca, lecz przysiadł na zewnątrz na wytartym gzymsem okalającym kościelną wieżę, by wypalić swego jedyne w tygodniu papierosa i przez chwilę nic nie robić. To właśnie tu robili: każdego wieczora odprawiali mszę św. dla chorych, ułomnych i potrzebujących, a po niej karmili głodnych. Drogę do kościółka znało wielu biedaków, najmniej wśród nich było katolików. O to jednak nikt nie pytał.

Pomoc nędzarzom sprawiła, że zyskali uznanie także w oczach swych muzułmańskich sąsiadów. Na przykład szewc z warsztatu dokładnie naprzeciw bramy kościoła. Pobożny człowiek, odprawiający każdego dnia wszystkie przepisane modlitwy, nie zważając na kuriozalny fakt, że swój modlitewny dywanik zmuszony był rozkładać w kierunku chrześcijańskiego kościoła, który na skutek geograficznego trafu stał dokładnie między nim a Mekką. Gdy ojciec Łukasz zasiadał w szabasowy wieczór ze swym papierosem, szewc zwykle akurat zamykał sklepik, po czym pozdrawiał go z respektem i zamieniali przez uliczkę kilka przyjaznych słów.

Tego wieczora, gdy ojciec Łukasz wyszedł z szerokiej bramy, krata naprzeciw była już opuszczona. Zapadł zmrok. Cóż, czasem to wszystko przeciągało się naprawdę do późna. W porządku, jeżeli przyczyną był ktoś pragnący otworzyć serce przed zakonikiem. Dziś jednak doszło do kłótni między dwoma stołownikami, którą zdołał wreszcie zażegnać, choć z wielkim trudem.

Kapłan wdychając ciężko zapalił papierosa i oparł się plecami o nierówny mur kościelnej wieży. Co za dzień! Zwykle udawało mu się całkowicie zatracić w tym, co robił, i nie pytać o sens. Lecz w dni takie jak dzisiejszy opadały go wątpliwości. Zdradzieckie, bolesne pytania, co on tu właściwie robi, czy osiąga tym jakikolwiek skutek i czy nie mógłby swego życia wykorzystać lepiej, niż wstępując do zakonu i spędzając potem całe dni na zebraniu w supermarketach, hotelach i hurtowniach o żywność, rozdzielaną wieczorami między kłótliwych niedołęgów.

Zaciągnął się jeszcze raz i czekał, aż te myśli odpłyną, jak działo się z nimi zawsze, gdy dostatecznie długo nie zwracał na nie uwagi. Był to jego sposób na ból głowy, pomocny także na zwątpienie.

Jego spojrzenie padło na chudą, żalną postać, z trudem wlokącą się w dół uliczki. Odruchowo zaczął się zastanawiać, czy w kuchni znalazłoby się jeszcze coś na wypadek, gdyby ten człowiek... Ciemne włosy, smągła cera... Może Palestyńczyk.

- Przepraszam - zawołał Palestyńczyk, jego angielski brzmiał po amerykańsku i miał hiszpański akcent - szukam postoju taksówek.

Ojciec Łukasz uniósł ramiona w geście bezradności.

- Tutaj nie ma - odrzyknął.

- Cholera - wyrwało się ciemnowłosemu mężczyźnie. Gdy podszedł bliżej, nie wyglądał jednak na Palestyńczyka. Już prędzej Meksykanin na krótko przed śmiercią głodową. Gdy dostrzegł habit ojca Łukasza, zmieształ się i powiedział:

- O, przepraszam, ojcie, nie wiedziałem, że pan... że... Zamilkł. Powędrował spojrzeniem w górę muru, przy którym

siedział mnich, dojrzał otwory dzwonnicy i krzyż na szczycie.

- Pan nietutejszy, prawda?

- Nie, nie. Pochodzę z Bozeman w Montanie. Stany Zjednoczone Ameryki. Przyjechałem dopiero dziś rano i jestem pierwszy raz w Jerozolimie...

- Dziś wieczorem miał pan raczej pecha. W szabat wszystko pozamykane.

- O, przeciwnie, miałem wiele szczęścia. Proszę mi wierzyć, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Muszę tylko jeszcze wrócić do obozu, potem... Nie, naprawdę. Wie ojciec, jutro będę może musiał już wracać. To wspaniale, że miałem taką możliwość...

Kapłan upuścił niedopałek i rozgniół go stopą.

- O jakim obozie pan mówi?

Mężczyzna jakby go nie słyszał. Nie spuszczał oczu ze szczytu kościelnej wieży, a na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

- Proszę mi powiedzieć, ojcie - spytał powoli - czy myśli ksiądz, że mógłby mnie na chwilę wpuścić do kościoła?

- Właściwie jest już zamknięty.

- Tak, wiem, wiem, przepraszam. Pomyślałem tylko, że może... Moja matka tak bardzo by się ucieszyła, gdybym jej powiedział, że modliłem się w Jerozolimie. Tylko kilka minutek? Jedną minutę. Proszę...!

Ojciec Łukasz uśmiechnął się. Zwykle musieli nęcić darmowym jedzeniem, by choć jako tako wypełnić kościół. Nie może przecież bronić wstępu komuś, kto chce wejść z własnej woli. Sięgnął po pęk kluczy i wstał.

- Ile tylko pan zechce, przyjacielu. A potem przywołałam taksówkę.

- To kiepski papier - oznajmił Yehoshuah, podniósłszy się po długim wpatrywaniu w mikroskop. - Po prostu nędzny, mówiąc dokładniej.

Stephen wzruszył ramionami.

- Nie bądź taki wymagający. Ma dwa tysiące lat.

- Nie o to chodzi. Miałem na myśli, że to nie jest gatunek papieru, jakiego należało użyć do tego zadania

- Yehoshuah przesunął stojak z maluteńką próbką papieru pod obiektywem. - Ktokolwiek napisał tę wiadomość, nie znał się na papierze albo nie miał wielkiego wyboru.

- Czy to znaczy, że nic z tego nie będzie? - dopytywał się Stephen. - Wszystko na nic?

- Nie, skąd. To i owo uda nam się na pewno odczytać, trzeba tylko czasu. Ale wiele fragmentów rozpadło się dosłownie na proch, nic z nich nie da się uratować. Może to naprawdę tania amerykańska papeteria, kto wie.

Stephen wyglądał zapewne na dość skonsternowanego, gdyż Judith wybuchnęła nagle drwiącym śmiechem.

- Yoshi, chyba musisz mu wyjaśnić, że nie masz anty-amerykańskich uprzedzeń.

- Co? Ach, tak - poderwał się speszony Yehoshuah.

- Chciałem tylko powiedzieć, że obecnie produkuje się mnóstwo papieru złej jakości. Oszczędza się po prostu na wszystkim, na wypełniaczach, na klejach, na surowcach - efektem jest papier, który sam się rozpuszcza, zżera go zawarty w nim kwas, same takie historie. Najgorszy jest papier ekologiczny. W Europie są urzędy skarbowe, w których zeznania podatkowe wydrukowane na papierze ekologicznym zaczynają rozpadać się jeszcze przed upływem ich ustawowego okresu przechowywania.

- Ale to przecież nie jest papier ekologiczny, prawda?

- wyglądał podejrzanie szaro, gdy leżał tak na pogiętym metalowym talerzu.

- Nie, inaczej nic by z niego już nie zostało. Ale nie jest to też jakiś szczególnie trwały papier. - Wzrok Yehoshui zapłonął znów tym nieobecnym blaskiem, nadającym mu wygląd prawdziwego naukowca. - To nawet potwierdza twoją teorię, Stephen. Tak kiepskiego papieru dawniej wcale nie produkowano.

- Żartujesz.

- Nie. Stary, ręcznie czerpany szmaciany papier jest dziś w równie dobrym stanie jak w czternastym lub

piętnastym stuleciu.

- Twierdzisz, że w dzisiejszych czasach nie produkuje się papieru, który pod względem trwałości dorównywałby papierowi z czternastego wieku?

- Skąd, naturalnie jest taki papier. Nasz nieznajomy po prostu nie pomyślał o tym, żeby go użyć. Powstaje pytanie, dlaczego - stwierdził w zadumie Yehoshuah, wziął do ręki talerz z kruchymi pozostałościami znalezionej w grobowcu listu i ostrożnie zaniósł go w drugi koniec laboratorium, do czegoś, co wyglądało jak kuchenka mikrofalowa, na dodatek własnej roboty. Troskliwie umieścił talerz w środku, zamknął szklane drzwiczki, po czym nacisnął duży zielony guzik. W niewidocznej tylnej części aparatury jakiś element zaczął hałasować jak zepsuta suszarka do włosów, tak głośno, że Stephenowi zdawało się, iż z pewnością słychać to w całym budynku. We wnętrzu dało się dostrzec delikatną mgiełkę.

- Nawilżacz - wyjaśnił Yehoshuah.

- Aha - mruknął Stephen. Po chwili, gdy przyjaciel najwyraźniej nie miał zamiaru wyjaśnić bliżej, co robi, zapytał: - A po co?

Na twarzy Yehoshui pojawił się zmieszany uśmiech. Kiedyś w przyszłości będzie wspaniałym okazem roztargnionego profesora.

- W skład papieru wchodzi celuloza. Celuloza to spolimeryzowany polisacharyd. W procesie starzenia spada stopień polimeryzacji, co prowadzi do kruchości. Równocześnie papier ma właściwości higroskopijne, dlatego przez ostrożne doprowadzanie wody można w pewnym stopniu przywrócić mu elastyczność.

- I potem będziemy mogli przeczytać, co jest na nim napisane.

- Jeszcze nie. Ale przynajmniej będziemy mogli rozłożyć kartki.

- Ach, tak.

Zabójczy dla nerwów odgłos dyszy wwiercał się w uszy, w czaszkę, zdawało się, że szarpie korzenie zębów.

- Nie słychać tego w całym budynku?

- Nie.

Stephen spojrzął ku Judith, która obdarowała go współczującym uśmiechem. Yehoshuah zdawał się nie dostrzegać nic poza wnętrzem nawilżacza.

- A jakiego gatunku papieru ty użyłbyś na jego miejscu? - zainteresował się Stephen. - To znaczy, gdybyś chciał napisać list, który miałby przetrwać dwa tysiące lat?

Yehoshuah nie spuszczał oka z kruchego obiektu, który momentami sprawiał wrażenie, jakby dosłownie wysysał rzadką mgiełkę.

- Ja w ogóle nie wziąłbym papieru - odpowiedział.

- Ale? - zdziwił się Stephen.

- Folię plastikową. Dobrą, starą, niezniszczalną plastikową folię, z której kiedyś robiono reklamówki, nim okazało się, że jest wielkim problemem na wysypiskach śmieci. Cokolwiek napiszesz na takiej folii, przetrwa nie tylko dwa, ale spokojnie dwadzieścia tysięcy lat albo więcej.

Taksówka zatrzymała się. George zobaczył pięć połyskujących srebrno kontenerów mieszkalnych, za nimi rzędy namiotów, i odetchnął. W jego mniemaniu graniczyło to z cudem, chociaż kierowca, mrukliwy stary Arab, chyba z tysiąc razy powtórzył *no problem*. Wdzięczny, zapłacił ustaloną przed podróżą, zapierającą dech w piersiach cenę - praktycznie wszystkie amerykańskie dolary, jakie miał przy sobie. Jeszcze raz zapewnił mężczyznę o twarzy oszpeconej przez dwie tajemnicze, biegnące w poprzek nosa blizny, który teraz skoncentrowany był całkowicie na identyfikacji i przeliczaniu zielonych banknotów, że doskonale zna okolicę, i wysiadł, gdy tamten w końcu skończył liczyć pieniądze i mamroczać coś, skinął głową. Począł jeszcze, aż znikną z pola widzenia czerwone światła pozycyjne pojazdu, po czym zaczął wspinać się ku obozowi.

Noc była ciepła i spokojna. Co za dzień - rozmyślał George Martinez z Bozeman w Montanie - pamiętny, na pewno na zawsze zachowam go w pamięci. Gdyby ktoś zapytał, jak się czuje, mógłby odpowiedzieć tylko jedno: spełniony. Wszystko było doskonałe. Wszystko było takie, jakie być powinno. Jeden z wartowników zbliżył się do niego, zażądał pokazania dokumentów. George wyciągnął do niego papier, który wręczono mu rano, i w duchu modlił się za tego mężczyznę.

- Ach, George - powiedział krępy strażnik, zza którego ramienia wystawał pistolet maszynowy. - Rozmawialiśmy dziś rano. Był pan w Jerozolimie?

George zmrużył oczy. Teraz rozpoznał rozmówcę. - Tak, byłem. Przypominam sobie, Gideon, prawda? Wciąż jeszcze na służbie?

- Nie, znowu! - Mężczyzna, na którego ciemnych, kręconych włosach połyskiwało światło gwiazd, wyglądał na ucieszonego. Wydobył pudełko papierosów. - Przy okazji, teraz mogę się zrewanżować. Jak się panu udało wycieczka?

- Było wspaniale. - Właściwie George wcale nie miał ochoty zdewaluować gadaniem swoich przeżyć,

na papierosa też nigdy nie miał mniejszego apetytu niż teraz. Ale przecież nie mógł tak zbyć Izraelczyka, wziął więc jednego i stali razem, kopcąc.

- Dość spokojnie, co? - stwierdził George po jakimś czasie, nie chcąc, by rozmowa zesłała na jego wyprawę.

- Zupełnie. Tak zasuwiają po całych dniach, że wieczorem są chyba półmartwi.

- Tak. Wyobrażam sobie.

Znów przez parę milczących chwil stali i przyglądali się obłoczkom dymu, rozpraszającym się srebrno na tle nocnego nieba.

- Na pana miejscu byłbym bardziej ostrożny - zniecka, na pół mimochodem, na pół ostrzegawczo oznajmił Gideon, wyraźnie ścisząc przy tym głos. - Jeśli chodzi o pańskich zleceńodawców.

George otworzył szeroko oczy.

- Co pan ma na myśli?

- A nic, tylko tak. Niech pan dopilnuje, żeby dostał swoje pieniądze, nim będzie za późno.

- Z tym i tak nie mam nic wspólnego. Pieniądze dostanie Uniwersytet Montana. Ale o co chodzi, co się dzieje?

Gideon upuścił na pół wypalonego papierosa i zdeptał go, nieufnie rozejrzał się we wszystkie strony, wreszcie wyszeptał:

- Ci ludzie powariowali. Kompletnie im odbiło.

- Naprawdę? Ale dlaczego?

- Słyszało się co nieco tu i tam... No, tak naprawdę, to podsłuchiwałem. Pewno nie było mi wolno, nie mam pojęcia. W każdym razie wiem, co jest w tym białym namiocie nad sektorem czternastym.

- Ach.

Gideon z zawziętością przytaknął.

- Sam nie widziałem, to fakt. Ale słyszałem wszystko, co mówili temu nowemu, który przyjechał dziś wieczorem. Miałem wartę przy namiocie. A oni myślą, że nie znam angielskiego.

- Rozumiem.

- Kompletnie im odbiło, mówię panu. Chce pan wiedzieć, co oni myślą, że znaleźli?

George skinął głową.

- Jasne.

Judith zasnęła, ułożywszy głowę na skrzyżowanych ramionach. Stephenowi też tylko z wielkim trudem udawało się utrzymać oczy otwarte, całe jego ciało domagało się snu, każde włókno zebrało o odpoczynek i odprężenie. Nie zdoła już przełknąć ani łyka więcej tej żalostnej kawy z automatu piętro wyżej. Właściwie, stoły laboratoryjne nie wyglądały wcale na aż tak niewygodne, gdyby tylko odsunąć stojące na nich przyrządy, zwinąć się w kłębek i zdrzemnąć się choć trochę...

Nawilżacz wciąż huczał. Już od wielu godzin.

Tylko Yehoshuah jakby nie wiedział co to zmęczenie. Nic dziwnego, w końcu nie targał przez cały dzień po rozżarzonej słońcem pustyni koszy pełnych kamieni, gruzu i ziemi. Stephen ociężałe przyglądał się, jak brat Judith miesza rozmaite mikstury z chemikaliów stojących na półkach nad stołami, jak ustawia płaskie plastikowe kuwety i miseczki pełne kłębków waty. Jego wyjaśnień, w których było coś o wiązaniach wodorowych i rozpuszczalności, alkaliczności i inhibitorach, o atramentach żelazo-garbnikowych, odkwaszaniu, neutralizacji i buforowaniu, Stephen od dawna już nie rozumiał.

Wreszcie Yehoshuah naciągnął parę cienkich plastikowych rękawiczek i wyłączył nawilżacz.

Nagła cisza oszołomiła ich jak cios obuchem. Judith ocknęła się, poderwała, przez kilka chwil rozglądała się całkowicie zdezorientowana, aż w końcu westchnęła, gdy dotarło do niej, gdzie się znajduje. Yehoshuah tymczasem otworzył szklane drzwiczki i wyjął blaszany talerz. Leżący na nim papier był teraz miękki i lepki, jakby zapadł się w siebie. W oczach Stephena wyglądał jak bezpowrotnie zniszczona, szara papierowa masa. Yehoshuah jednak dotknął jej tak ostrożnie, jakby miał przed sobą delikatną pajęczynę i mruknął zadowolony:

- Wspaniale.

- A mogłam teraz spać sobie błogo w moim namiocie - z tyłu dobiegło kapryśne mamrotanie Judith.

- Co mnie podkuśiło, żeby dziś wieczorem oddalać się od obozu choćby o krok? O, nie - to przecież już czwarta! Czwarta rano! Czyście poszaleli?

- Pst! - uciszył ją brat. Stephen próbował mruganiem wypędzić z oczu senność, przyglądając się zafascynowany, jak Yehoshuah jednym gwałtownym obrotem talerza, od którego niemal stanęło mu serce, wyrzucił papierową masę do płaskiej kuwety, po czym, posługując się pęsetą i drewnianym zgarniaczem, przystąpił do rozkładania prastarych arkuszy.

- Czwarta - powtórzyła markotnie Judith, człapiąc w ich kierunku. - Minęła czwarta! Gdybym wiedziała, że to tak długo potrwa...

Dopiero teraz Stephen zauważył, że Yehoshuah wyłożył dno kuwety arkuszem niezmiernie cienkiego, przezroczystego papieru.

- Japoński papier - wyjaśnił, dostrzegając spojrzenie Stephena. - Na nim umieścimy poszczególne kawałki we właściwym miejscu.

Stephen przytaknął.

- Jasne - mruknął zmęczony. - Umieścimy.

W końcu ich oczom ukazały się dwie kartki, rozłożone w dwu płaskich plastikowych wanienkach na wilgotnym japońskim papierze. Yehoshuah studiował ich powierzchnię przez lupę zegarmistrzowską, którą umieścił sobie w oku.

- Hm - mruknął w końcu. - Oczywiście pojawia się tu problem, przed jakim prawdopodobnie nie stał jeszcze nigdy nikt. Przywrócić czytelność tekstu, napisanego przed dwoma tysiącami lat *długopisem**.

- Miejmy nadzieję, że przynajmniej był trwały! - spróbował zażartować Stephen.

Ale Yehoshuah tylko przytaknął.

- To była pierwsza rzecz, jaką sprawdziłem. W przeciwnym razie atrament rozpląnąłby się w nawilżacz.

- Och - wyrwało się Stephenowi. O tym wcale nie pomyślał. Pochylił się nad puzzlami z szarych, pełnych dziur strzępków papieru. - Skąd wiesz, że on użył długopisu? Ja wcale nie jestem pewny, czy tu w ogóle jest coś napisane.

- W suchym stanie dobrze widać było odcisnięte ślady. Teraz też je trochę widać, ale raczej trzeba najpierw wyczuć, gdzie szukać. Po tak długim czasie należało się tego spodziewać.

- I co teraz?

Yehoshuah wziął do ręki szklaną probówkę, w której uprzednio zmieszał jakieś chemikalia.

- Dziś po południu zrobiłem rozpoznanie co do składu współczesnych atramentów długopisowych. Ten roztwór powinien nam pomóc go zobaczyć, przynajmniej pod lampą ultrafioletową.

Przesunął jeden z pojemników pod płaską, czarną świetlówkę. Gdy ją włączył, w lampie coś donośnie zarzęziło i zatrzeszczało, potrzebowała kilku prób, nim w końcu rozbłysła osobliwym, fioletowym migotaniem.

- Osiągnęła już wiek emerytalny - skomentował Yehoshuah. Jego paznokcie zajaśniały, gdy ustawiał kuwetę we właściwej pozycji, a kilka niteczek na koszuli przybrało w świetle ultrafioletu upiornie jasną barwę.

Stephen nieufnie przyglądał się cieczy, jeszcze przed chwilą przejrzystej niczym woda, teraz pod lampą ultrafioletową błyszczącej widmowo. Pachniała raczej przenikliwie. Mniej więcej tak, jakby dentysta otworzył gabinet na terenie garbarni.

- Jesteś pewien, że to po prostu nie zeżre wszystkiego?

- Wypróbujemy najpierw na krawędzi - odparł Yehoshuah. Wziął kłębek waty i zanurzył go do próbki, gdzie ten natychmiast nasiąkł cieczą. Potem muskał nim wystrzępione miejsce na brzegu kartki, tak lekko i powoli, jakby mył skrzydło motyla.

- Ależ to niesamowicie śmierdzi - poskarżyła się Judith wstając. - Sama włączę wentylację, skoro wy jesteście na to za leniwi.

- Nie, proszę - wtrącił Yehoshuah. - Jeżeli włączysz wentylację, na pulpicie strażnika zaświeci się czerwona lampka. Zaraz przyjdzie zobaczyć, co się dzieje.

Judith westchnęła i siadła z powrotem.

- Jeszcze to.

W ultrafioletowym świetle jarzeniówki kilka punktów zaczęło świecić mocniej niż reszta. Yehoshuah powtórzył procedurę, potem hałaśliwie wciągnął powietrze między zębami, wstał i pośpiesznie wlewał jakieś inne chemikalia do drugiej próbki. Z tym tajemniczym roztworem wrócił, wziął drugi tampon i dopełnił podobnych, imitujących mycie gestów, które tym razem jednak sprawiły, że dotykane miejsca przestały jaśnieć w całości. Jasne pozostały tylko owe małe punkty rozbłyśnięte przed chwilą.

- Mozolna robota - oznajmił Yehoshuah. Judith odwróciła się z jękiem.

- Ja chcę do łóżka! Dostyc tego!

Brat jakby w ogóle jej nie słyszał, zaś Stephen był zbyt zmęczony, żeby zwracać na nią uwagę. Przyglądał się, jak Yehoshuah dotyka jednego miejsca na kartce wacikami nasączonymi na przemian to jednym, to drugim roztworem, i nagle spostrzegł, że wstrzymuje oddech. I to nie tylko dlatego, że również druga ciecz wydzielala gryzący odór, od którego w ułamku sekundy można było dostać migreny.

Po kilku minutach zauważył, że jaśniejące punkty zaczynają układać się we wzór.

W słowo.

never

- To działa - bez tchu wyszeptał Stephen, czując, jak narasta w nim uczucie dzikiego tryumfu. - Zrobieś to, Yehoshuah!

never

Młody archeolog siedział wyraźnie przejęty przed czerwoną plastikową kuwetą, trzymając w obu

uniesionych dłoniach po kłębku waty, i wpatrywał się w efekt swej pracy.

- Nie do wiary - zdołał w końcu wykrztusić osobliwie brzmiącym głosem. - Naprawdę angielskie słowo. Na dokumencie starym jak zwoje z Qumran.

never

Nawet Judith jakby na chwilę zapomniała o zmęczeniu, może nawet o złym humorze.

- Never - przeczytała. - *Nigdy*. Jakie to symboliczne, że na to słowo natknęliśmy się jako pierwsze, nie uważacie?

Świetlówka zamigotała, dość szybko jednak wróciła do formy.

- Rób dalej - naciskał Stephen. - To naprawdę jest to. To naprawdę list podróżnika w czasie. Naprawdę napisał list do przyszłości. List w butelce dryfującej przez czas, a my go znaleźliśmy.

Czuł, że całe jego ciało pulsuje podnieceniem, to było nawet lepsze od seksu. Właśnie dla takich chwil warto żyć. To dzieje się właśnie tu i teraz. Ta scena znajdzie się kiedyś w podręcznikach historii, będzie pobudzać wyobraźnię malarzy i pisarzy, podobnie, jak stało się z otwarciem grobu Tu-tenchamona przez Cartera. A on przy tym jest. I to nie tylko po prostu jest - jest głównym bohaterem.

Yehoshuah obmywał dalej, szukał poprzedniego słowa w zdaniu. Po kilku wlokących się w nieskończoność minutach zajaśniało przed ich oczami kolejne słowo.

has never

- Kto? - zapytał Stephen. - Kto czegoś nigdy nie zrobił - cokolwiek by to było?

Judith potrząsnęła głową.

- Kto nigdy nie - co?

- Uspokójcie się - mruknął Yehoshuah. - Wszystko w swoim czasie.

Jednak najpierw skupił się na początkowym fragmencie zdania. Przecieranie pierwszym roztworem. Potem drugim. Zawartość drugiej próbki z wolna też zaczęła jaśnieć, lecz Stephen dostrzegał to jedynie kątem oka. Nawet na jedno bicie serca na odrywał wzroku od działań Yehoshui.

Mimowolnie jęknął, gdy rozpoznał właśnie wyłaniające się słowo. Zdobyli główną nagrodę!

Jesus has never

Nawet Judith była pod wrażeniem.

- Nie wierzyłam - przyznała się. - Miałeś rację.

- Spotkał Jezusa! - wykrzyknął triumfująco Stephen, wyciągając palec wskazujący niczym floret i przyjmując postawę szermierza. - Przeniósł się w przeszłość i spotkał Jezusa z Nazaretu. Wędrował z nim. Szedł za nim. Słuchał go - przerwał i spojrzał na przyjaciół. - Rozumiecie, co to znaczy? Rozumiecie, że te dwie kartki to dokument, bardziej wiarygodny i aktualny niż wszystkie ewangelie?

Judith odetchnęła głośno. Yehoshuah obrzucił ją szybkim spojrzeniem, potem zwrócił się do Stephena.

- Stephen, nie jestem zbyt pobożnym Żydem - oznajmił

- ale jednak Żydem. - Patrzył w dół na żarzący się magicznie fragment tekstu jak na straszliwe zwierzę, mogące w każdej chwili kogoś ugryźć. - Prawdę mówiąc, boję się tego, co może być w tym liście.

- A czy to zniknie dlatego, że ty się boisz? - spytał wyzywająco Stephen. Potrząsnął głową. - Bzdura. Jedynym, kto może bać się tego listu, jest papież. Róbmy dalej.

Judith zrobiła ramionami kilka ćwiczeń rozciągających.

- Lepiej najpierw sfotografuj to, co już masz - poradziła postępując.

- Na to będzie jeszcze czas - Stephen potrząsnął głową.

- Najpierw dokończmy to zdanie.

Yehoshuah posłusznie chwycił waciki i wrócił do pracy, Judith wydała donośny dźwięk, podobny do gniewnego grzmotu.

- Stephen Foxx - spytała ostro - tak przy okazji, czy ty z zasady ignorujesz zawsze wszystko, co doradzi ci kobieta?

- Nie robię żadnych różnic, ani co do rasy, pochodzenia, ani co do płci - wyśmiał ją Stephen. - Z zasady ignoruję wszystko, co ktokolwiek mi radzi.

- Bo i tak wiesz lepiej.

- Właśnie.

Z jękiem odchyliła głowę na kark i pozostała w tej pozycji.

Jarzeniówka znów zamigotała, tym razem nieco dłużej.

Yehoshuah pocierał, pocierał i pocierał. Wyglądało na to, że miejsce, nad którym teraz pracował, stawia większy opór.

- No - rzucił, gdy lampa po chwili ponownie zaczęła trzaskać i światło przez moment wibrowało - przecież nie wyzionie ducha akurat teraz. Gwarantuję, że w całym budynku nie ma zapasowej.

Stephen uniósł brwi. Judith wciąż siedziała z twarzą wzniesioną ku sufitowi.

- To może jednak powinniśmy najpierw zrobić zdjęcie - stwierdził.

- Zaraz będę gotowy - odpowiedział Yehoshuah.

Na nowym fragmencie świetliste punkty zdawały się być rozrzucone całkowicie przypadkowo, uparcie

nie chciały ułożyć się w kreski i linie, nie mówiąc o całym słowie. Yehoshuah zamruczał, nasączył mocniej watę, nacisnął mocniej. Jego oczy łzawiły od unoszących się oparów.

- Patrz! - powiedział unosząc kłębki waty. - Możesz się doczytać?

Stephen sięgnął po stojak z aparatem fotograficznym.

- Chodź, sfotografujemy to, co już mamy.

- Zaraz, zaraz. Popatrz tylko...

- Tak, patrzę przecież - Stephen pochylił się nad kartką. Prawie upuścił stojak. - O, Boże...

W tym momencie lampa ultrafioletowa zgasła. Nie wydając żadnego dźwięku, bez widocznego powodu.

Po prostu zgasła, a wraz z nią oznaczony chemicznie tekst na wilgotnym papierze.

- To przecież nie może być...- Yehoshuah gniewnie nacisnął włącznik, wyłączył lampę, znów włączył, wszystko na nic. Ani drgnęła. - Cholera.

- Ty też to przeczytałeś, prawda? - zapytał Stephen.

- Akurat teraz - złościł się Yehoshuah, poderwał się, podszedł do szafy w drugim końcu laboratorium i wyciągał po kolei wszystkie szuflady, zatraskując je z powrotem. - Nie mówiłem? Ani śladu zapasowej lampy.

- Yehoshuah - powtórzył pytanie Stephen. - Przeczytałeś to?

- To typowe w tej graciarni - mówił dalej młody naukowiec, ogarnięty wściekłością. - Bałagan, gdziekolwiek zajrzeć.

Każdy coś bierze, ale nikt nie pomyśli o uzupełnieniu zapasów. A teraz jest szabat! Skąd wytrzasnę zapasową lampę? Stephen odstawił stojak aparatu na stół z wyraźnie słyszalnym łomotem.

- Yehoshuah!

Przyjaciół zatrzymał się, zapomniał o złości. Spojrzał na Stephena i skinął głową.

- Tak. Przeczytałem.

- A więc też widziałeś? -Tak.

Judith wyprostowała się i zmęczonym wzrokiem ogarnęła obu mężczyzn.

- O co chodzi? Wyglądacie jak upiory. Jakie jest następne słowo?

Stephen pochylił się nad płaską kuwetą, podparł się na wyprostowanych ramionach, jakby jego tułów zaczął nagle ważyć kilka ton i patrzył w dół na szary, pełen dziur papier. Gdy tak się w niego długo wpatrywał, wyobrażał sobie, że koszmarny napis pojawia się ponownie.

- Lived - powiedział. Następne słowo brzmi *lived*.

16

Rodzaj materiału, z którego zbudowany jest odsłaniany obiekt ma duże znaczenie przy wyborze techniki wykopaliskowej. Dość wcześnie byliśmy pewni, że mamy do czynienia z prymitywnymi budowlami, wykonanymi z cegieł glinianych bądź odłamków skalnych. Musieliśmy więc być wyczuleni na to, by separować i zabezpieczać owe resztki muru, trudno odróżnialne od zasypu z gruzu i ziemi. Szczególną wagę przywiązywaliśmy do tego, by oznaczyć także posadzki wewnątrz budynku, jako że znaleziska odkryte bezpośrednio na posadzce (np. ceramika, szkło, monety, skarabeusze) są pomocne w bezwzględnym datowaniu odpowiedniej warstwy.

Profesor Wilford Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Prawdopodobnie to mężczyzna rozsiadający się w fotelu szeroko i zwalście niczym władca świata życzył sobie, by omówienie wyników sonarotomografii odbyło się tutaj, w klimatyzowanym wnętrzu kontenera, a nie na zewnątrz przy jakimś rozkładanym stoliku. To sponsor wykopalisk, najwyższy szef, tyle dowiedział się na razie George Martinez. Ubrany w nieskazitelnie ciemnopopielaty garnitur z jedwabnym krawatem, przypiętym złotą spinką z brylantem, pedantycznie starannie uczesany, z pewnością nie miał najmniejszej ochoty się spocić. Choć właściwie, zdaniem George'a w ten sobotni poranek na dworze było całkiem przyjemnie, we wnętrzu natomiast trochę zbyt chłodno, w tej salce konferencyjnej, tak białej, że człowiek czuł się w niej jak zamknięty w lodówce.

Przedstawienie wyników było, jak zwykle, zadaniem Boba Richardsa. George odwał całą robotę, a Bob zbierał chwałę, tak to już było. Ale dziś rano to nawet George'owi nie przeszkadzało. Był zadowolony, że nie musi nic mówić. Dzięki temu mniejsze było niebezpieczeństwo, że się wygada.

Gideon nie żartował, to się czuło. W pierwszej chwili George sądził, że krępy Izraelczyk chce go nabrać; tak sobie popróbować, co też można wmówić głupiemu Meksykaninowi. Ale się wtedy zdenerwował! Rozgniewany facet z Uzi na ramieniu, o rany. Nie, nie chciał go nabrać.

Ale mógł się przesłyszeć. Coś źle zrozumieć. Ta historia była po prostu zbyt niesamowita.

Bob rozłożył na całym stole zdjęcia zrobione aparatem *Sotom 2*, chcąc na wstępie wywołać odpowiednie wrażenie. Zawsze tak robił. Dodać sobie ważności, potrafił to jak nikt inny. Ludzie zawsze wpatrywali się w te zdjęcia i za nic w świecie nie mieli pojęcia, co powinni na nich dojrzeć, a gdy już bliscy byli uznania swej porażki i popadnięcia w zwątpienie, dokładnie wtedy głos zabierał Bob Richards. W precyzyjnie wybranym, najbardziej odpowiednim momencie. Doskonale opanowany, przyglądał jasne, faliste włosy i przystępował do objaśnień, udzielanych lekkim swobodnym tonem nieistotnych plotek, jakby na stole rozłożono plan miasta, nad którym trzeba przeprowadzić rozmaite rozważania, i jakby oczywiście każdy rozumiał i widział to, co on. Nigdy na przykład nie mówił rzeczy w rodzaju: „Ta ciemna plama wskazuje na istnienie resztek muru na głębokości dziesięciu metrów”. W jego ustach brzmiało to zupełnie inaczej, mniej więcej tak: „Te resztki muru przebiegają najprawdopodobniej na głębokości dziesięciu metrów”. Wtedy wszyscy posłusznie kiwali głowami, ambicja powalała ich i widzieli mury dokładnie tam, gdzie wskazujący palec Boba Richardsa przesuwiał się po szarawych zdjęciach.

George uczestnicząc w tym spektaklu, nieodmiennie dziwił się i przez długi czas show odstawiany przez Boba go irytował. Przecież rezultaty badań są jego dziełem! Ale odkąd kiedyś sam musiał przedstawić wyniki i potem widział tylko sceptyczne, niedowierzające oblicza słuchaczy, w końcu zmuszony bronić nawet zasady działania sonarotomografii, doszedł do wniosku, że przekonywająca prezentacja jest równie istotna, jak przygotowanie będących jej przedmiotem zdjęć.

Przyglądał się, jak Bob przyporządkowuje fotografie punktom na rozłożonym na stole, naszkicowanym z grubsza planie wykopalisk. Wskazywał mury, niewykopane do tej pory kości, zatrzymywał się dłużej na rozważaniach na temat rozmaitych skalnych warstw. Robił to zawsze, gdy nie miał do powiedzenia nic istotnego. A właśnie tu, w Bet Hamesh, nie było nic ważnego do powiedzenia. Znaleźli to, co spodziewali się znaleźć. Nic ponadto. Cóż, zmarnowane pieniądze. Zadaniem Boba Richardsa było zapobiec temu, by zleceniodawca również doszedł do takiego wniosku. Uniwersytet z Montany robił lukratywne interesy na swym sonarowym tomografie i niczego nie potrzebował mniej, jak niezadowolonych klientów. To właśnie z tego powodu wysyłano z nim Boba Richardsa.

- A więc, ja nie widzę - poskarżył się w końcu gruby mężczyzna. - Te zdjęcia przypominają zdjęcia USG mojej żony, gdy była w ciąży. Na nich też nic nie mogłem rozpoznać.

Bob uśmiechnął się triumfalnie.

- Ale lekarz pańskiej żony z pewnością coś na nich widział, prawda?

- Hm, tak. Powiedział, że będzie chłopiec.

- I był chłopiec? - Tak.

Wszyscy się zaśmiali.

- Cóż - stwierdził Bob przyjaźnie - te zdjęcia powstały w zupełnie podobny sposób. I mogę na nich zobaczyć, że znajdzie pan tu jeszcze mnóstwo ruin.

Nagrodzono go przychylnym śmiechem. Nawet grubas skrzywił usta w uśmiechu.

Mężczyzna w ciemnopopielatym garniturze pierwszy skończył się śmiać.

- A co z metalową skrzynką? - dopytywał się..- Czy pan ją znalazł?

- Metalowa skrzynka. - Bob odwrócił się. George potrząsnął głową. - Nie, niestety nie - mówił dalej Bob - nic takiego nie znaleźliśmy.

- Jest pan pewien? - drażył dalej tamten. Bob ceremonialnie skinął głową.

- Na sto procent. - Nikt inny nie potrafiłby wymówić tego tonem równie płynącym z głębi serca i przekonującym, jak Bob Richards.

George podniósł wzrok, gdy profesor znieacka odwrócił się do tyłu ku tęgawemu mężczyźnie, który podobno był pisarzem. Dobiegł do niego cichy szepot:

- A nie mówiłem, że kamery tu nie ma!

A więc jednak. *Kamera*. To słowo George usłyszał wyraźnie, zaś karcące spojrzenie, jakim szef ochrony obrzucił kierownika wykopalisk, tylko to potwierdzało. Więc jednak - ci ludzie naprawdę wierzą, że gdzieś w Izraelu zakopana jest kamera z nagrany filmem o...

George nie miał odwagi nawet o tym pomyśleć.

Jezus Chrystus nagrany na wideo!

Czy to możliwe? Oczywiście, dla Boga nic nie jest niemożliwe. Nawet podróż w czasie. Może należało to nawet do jego niepojętego planu, może chciał ludziom akurat tej epoki, tak bardzo opanowanej przez telewizję, podarować wizerunek ich Zbawiciela, by wzmocnić swój Kościół i nawrócić ich na prawdziwą wiarę. A jak inaczej miałby tego dokonać, jak nie poprzez cud?

George poczuł, że serce wali mu jak oszalałe. Ale... Jacy ludzie dostąpili objawienia tej tajemnicy? Ten człowiek, który na jeden garnitur wydaje więcej kasy, niż potrzeba na wyżywienie przez cały rok jednej wioski w Bangladeszu - ten jedyny w swoim rodzaju dokument miałby wpaść w jego łapczywe i chciwe ręce? Co innego zrobiłby z nim, jak nie jeszcze więcej pieniędzy? Jeszcze więcej władzy?

Oczywiście - zatrzymałby nagranie dla siebie. Mogliby je zobaczyć tylko klienci jego sieci telewizyjnej, nikt poza tym. I nagle abonament tych kanałów stałby się drogi, bardzo drogi. Zakneblowałby klientom usta długoterminowymi umowami i zmusiłby ich do kupienia także wszelkiej, najgorszej lichoty.

Słowo Pana nadawałby pomiędzy dwoma najdroższymi blokami reklamowymi. Trzeba by znieść nieskończone reklamówki napojów chłodzących, środków czystości, opon samochodowych, podpasek i gum do żucia, by w końcu móc spojrzeć w oblicze Zbawiciela. Na Golgocie komercji Chrystus zostałby ukrzyżowany na nowo, i jeszcze raz, i jeszcze - najpierw w sobotnie wieczory w najlepszym paśmie nadawania, potem w programie popołudniowym, aż w końcu w czasie programów dla dzieci, obok reklamy lalek Barbie i figurek Spidermana.

- George? - dosłyszał pytanie Boba. - Źle się czujesz? Pokręcił głową, przyszedł do siebie.

- W porządku - powiedział. - Chyba wczoraj trochę za długo przebywałem na słońcu.

Bob przyjrzał mu się niepewnie.

- Możesz tu rzucić okiem? - zapytał. - Chciałbym wiedzieć, co o tym sądzisz.

- Tak - beznamiętnie przytaknął George. - Jasne.

Stanął obok Boba przy stole, na którym ktoś zakrył zrobione przez nich zdjęcia, rozkładając wielki plan. Bardzo dokładnie rozrysowany plan, najwyraźniej kopia urzędowego dokumentu. To, co na nim przedstawiono, wydało się Georgowi skądś znajome.

- To kontur Wzgórza Świątynnego - wyjaśnił mężczyzna w ciemnopopielatym garniturze, brylant w spince krawata zabłysnął. - Co trzeba zrobić, żeby prześwietlić je tomografem sonarowym?

Tego ranka Stephen Foxx obudził się późno, czuł się przy tym, jakby przejechał po nim walec. I brak snu nie był tego jedynym powodem.

W szabat zawsze dłużej wydawano śniadanie, żeby ludzie mogli się wyspać. Oczywiście, był to dzień wolny od pracy i ochotnicy pochodzący z Izraela, jeżeli nie mieszkali akurat na drugim końcu kraju, korzystali z okazji, żeby pojechać do domu. Skutkiem tego w obozie pozostawali praktycznie tylko nie-Żydzi, którzy chętnie popracowaliby w sobotę, wypoczynek w szabat budził w nich dziwaczne uczucie, że świętują niedzielę o jeden dzień za wcześnie.

Zapowiadał się spokojny dzień. Gdy Stephen przyszedł do namiotu kuchennego, na niektórych stołach stały szachownice, inni kopacze rozsiedli się gdzieś w cieniu z książką i filiżanką kawy. Trochę dalej, kilka stojących w kręgu osób zabawiało się nawet rzucaniem krążka frisbee. Przy jednym ze stołów dojrzał Judith, wyglądała na dokładnie tak samo wymiętą, jak on. No, może niedokładnie tak samo. Nawet po nieprzespanej nocy wciąż zachwycała urodą. Stephen ustawił na tacy trzy pełne po brzegi filiżanki kawy, obok nich, bardziej z rozsądku niż powodowany prawdziwym głodem, miskę płatków kukurydzianych, i przysiadł się do niej.

Przez chwilę w milczeniu jedli. Wreszcie, gdy Stephen zabrał się za drugą filiżankę, zapytała:

- No, i co?

Stephen przełknął wielki łyk gorzkiego napoju. Robili tu bardzo mocną kawę.

- Z czym? Co o tym myślę? - Tak.

- Sam nie wiem. Czuję się dość nędznie, prawdę mówiąc.

Rozejrzała się migrenowym spojrzeniem. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać.

- Chyba nie powinieneś tego nadinterpretować. Znasz cztery słowa z listu, który ma w końcu dwie strony... Poczekaj, aż poznasz całość.

- A czy archeologowie wciąż tego nie robią? Widzą jedną literę na starym papirusie i mówią, że sposób, w jaki została napisana, z ogonkiem w lewo zamiast w prawo, wskazuje, że dokument jest dwieście lat starszy niż dotąd sądzono. Albo młodszy. W każdym razie uznaje się go za coś zupełnie innego, tylko z powodu jednej litery.

- Nie mam pojęcia. Spytaj Yehoshuę, czy archeologowie robią takie rzeczy.

Czuł potężny ból głowy. Nie poznawał sam siebie. Nigdy dotąd nie bolała go głowa. Do tego żołądek buntował się zatopiony tą mocną kawą. Stephen odstawił trzecią filiżankę i skierował uwagę na płatki.

- Zastanawiam się - mówił, przeżuając - czy to w ogóle możliwe. Za mało się jeszcze na tym znam. Muszą przecież być inne źródła prócz tekstu Biblii, w których wzmiankuje się Jezusa. Co z tym spisem ludności, który zarządził wtedy cesarz August? To był August, prawda? „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie”. Jakoś tak to brzmi. A wtedy Maria była akurat w ciąży.

- No właśnie, dopiero w ciąży. Stephen niezadowolony pokręcił głową.

- Muszę to jeszcze raz przeczytać. Po prostu nie mogę uwierzyć. Pomyśl, co by to oznaczało? Wyobraź sobie, co by było, gdyby można było udowodnić, że Jezus w rzeczywistości nigdy nie żył! Co by to znaczyło!

Judith wzruszyła ramionami.

- To by było odkrycie. A ty byłbyś odkrywcą. Przecież zawsze tego chciałeś.

- Ale co by to znaczyło dla świata? Przecież on jest centralną figurą całego chrześcijaństwa, najliczniejszej religii świata. Gdyby okazało się, że Jezus nigdy nie żył, to by znaczyło, że ktoś go wymyślił. Że jest kimś w rodzaju filmowej postaci. Jak Superman. Albo, o rany - jak Myszka Miki!

- Nie dramatyzuj. Większości ludzi religia i tak jest kompletnie obojętna. Bardziej byś ich zszokował, gdybyś udowodnił, że to Myszka Miki nigdy nie żyła naprawdę.

- Bardzo śmieszne - Stephen wziął łyka z ostatniej filiżanki kawy. - Sam nie wiem, czemu to mnie tak niepokoi. Ale niepokoi mnie bardzo. Zadaję sobie poważnie pytanie, czy ktoś mógłby wziąć na siebie odpowiedzialność za ujawnienie takiej prawdy.

- Hej! - Judith szeroko otworzyła oczy. - To zupełnie nowy ton, panie Foxx.

Stephen odstawił filiżankę i zaskoczony spojrzał na nią.

- Powiedz, czemu przez cały czas się mnie czepiasz? Za kogo ty mnie właściwie uważasz?

Judith skrzywiła usta w szerokim, złośliwym uśmiechu, w oczach zamigotały jej gniewne ogniki.

- Zostało jeszcze kilka spraw, których wciąż nie zrozumiałeś. Jedną z nich jest fakt, że w życiu liczy się coś więcej, niż tylko to, żeby za każdym razem wygrać.

- Ach, tak? - odrzucił chłodno Stephen. - A kto nagadał ci tych bzdur?

- Ty przecież chcesz tylko udowodnić, że jesteś sprytniejszy niż John Kaun, ten wielki menadżer.

- A nawet jeśli to prawda? Może naprawdę jestem?

- I co z tego? Co z tego będziesz miał?

Stephen poczuł, jak w jego żyłach bulgoce gotowość do walki, niby bąbelki unoszące się w wodzie mineralnej.

- Każdy chce wygrać - powiedział. - A kto twierdzi inaczej, ten po prostu zwątpił w możliwość zwycięstwa. Wszystko, czego pragnie ktoś taki, to uniknąć porażki, a to najłatwiej osiągnąć, gdy się przestanie walczyć. Ot, cała prawda.

- Aha. Tako rzecz Amerykanin. Wszystko całkiem easy. Wszystko da się zrobić, trzeba tylko wiedzieć, jak.

- Tak. Właśnie tak. Judith pokręciła głową.

- To takie... płaskie. Takie powierzchowne. Nie wiem

- może ma jakieś znaczenie, że pochodzę z narodu, który ma w pamięci pięć tysięcy lat swej kultury, a twój ledwie dwieście.

- To najpotężniejsza głupota, jaką w życiu słyszałem

- oznajmił Stephen wstając. - Naprawdę. Swoje pięć tysięcy lat możesz wrzucić do toalety i spuścić, jeśli wynikają z nich takie brednie. A teraz wybac, muszę iść. Muszę zająć się pisaniem oferty. Żeby zgarnąć następny milion, jeśli pozwolisz.

Zastępca kierownika wykopalisk przez kilka chwil śledził rozmowę, wytrzeszczając oczy i wstrzymując oddech, wreszcie wybuchnął.

- Wzgórze Świątynne? - krzyknął. - Chce pan przeświecić Świątynne Wzgórze? Czy pan zupełnie postradał zmysły?

Kaun szybkim skinieniem głowy dał do zrozumienia Ryanowi, żeby wyprowadził obu techników, co ten natychmiast uczynił. Potem patrzył spokojnym wzrokiem na Izraelczyka z przydługimi włosami i bulwiastym nosem, zdecydowany nie dać się sprowokować i za wszelką cenę zachować spokój, póki tamtemu nie minie atak wściekłości. Nikt nie jest w stanie krzyżeć i miotać się jednorazowo dłużej niż siedem albo osiem minut, chyba że chodzi o przypadek kwalifikujący się do leczenia psychiatrycznego. Większość choleryków, na których Kaun trafiał w swych niezliczonych nieprzyjemnych pertraktacjach, uspokajała się po dwóch, najwyżej trzech minutach, pod warunkiem, że im nie przerywano. To właśnie wtrącanie się podtrzymuje intensywność ataku furii - w pewien sposób po każdej przerwie odliczenie czasu rozpoczyna się od nowa.

- Chcemy w spokoju... - zaczął w końcu Kaun, gdy Shimon Bar-Lev przerwał, prychając głośno. Ten jednak nie słuchał go, lecz zwrócił się do profesora Wilforda-Smitha.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałaś, ty cholerna Brytyjczyku? - napadł na niego. - Czemu o wszystkim dowiaduję się ostatni? Do diabła, od dwudziestu lat pracujemy razem, a teraz robisz coś za moimi plecami?

Nadszedł odpowiedni moment, żeby się wtrącić.

- Panie Bar-Lev! - zagrział Kaun z całym impetem, na jaki go było stać. Zdarzały się sytuacje, kiedy pomagał tylko krzyk, wywołujący u przeciwnika szok. Zawsze, kiedy musiał nabrać w płuca powietrza do takiego wrzasku, Kaun wyobrażał sobie, że musi zmiażdżyć czaszkę oponenta samym natężeniem swego głosu.

Tym razem także podziałało. Bar-Lev otrząsnął się, przez chwilę zdawał się być zbity z tropu.

- Panie Bar-Lev - powtórzył Kaun, znów całkowicie opanowany i tak uprzejmie, jak to tylko możliwe.

- Proszę darować życie profesorowi Wilfordowi-Smithowi; jest niewinny. Całą winę ponoszę ja. Ten pomysł zrodził się dziś w nocy, po rozmowie z profesorem Goutiere'em, chciałem wtajemniczyć pana dziś rano. Pechowo złożyło się tak, że technicy z obsługi *Sotomu* byli tu przed panem, dlatego musiałem się wstrzymać. Jednak jeśli chce pan na kogoś krzyżeć, to proszę na mnie.

Bar-Lev patrzył na niego zbity z tropu. John Kaun nie miał do tej pory wiele do czynienia z zastępcą Wilforda-Smitha, lecz sądząc po jego niepewności uznał, że jest to prostolinijny naukowiec, prawdopodobnie znakomity specjalista, nie dorównujący jednak w umiejętności prowadzenia dyskusji wyszkolonemu i doświadczonemu retorykowi.

- Dobrze - odpowiedział Izraelczyk. - Więc proszę mnie oświecić. Co to wszystko ma znaczyć?

- Chodzi panu o to, jak wpadłem na pomysł, żeby zlecić przebadanie Wzgórza Świątynnego? - odparł Kaun.

-Tak.

Kaun skinął głową z łagodnym uśmiechem.

- Panie Bar-Lev, muszę teraz na chwilę wyjść i zapewnić techników, że dostaną swoje pieniądze, niezależnie od tego, jak głośno my tu na siebie wrzeszczymy. Pana chciałbym tylko poprosić, żeby przez ten czas zastanowił się nad pytaniem, jakie wczoraj wieczorem zadaliśmy profesorowi Goutiere'owi. Mianowicie, gdzie w Izraelu są miejsca, które pozostałyby nietknięte przez ostatnie dwa tysiące lat?

Bar-Lev gapił się na niego jak na osobliwe zjawisko, potem spuścił wzrok na plan Wzgórza Świątynnego, znów spojrział w górę. Szczeka mu opadła.

- Rozumie pan? - dodał Kaun, po czym opuścił pokój konferencyjny.

Dwaj technicy czekali na zewnątrz w towarzystwie Ryana, patrzyli na niego wyczekująco, gdy schodził po trzech stopniach na piaszczysty grunt.

- Mam nadzieję, że styl naszej dyskusji nie przeraził panów zbyt - powiedział Kaun, starając się wyglądać absolutnie pogodnie i nie okazywać w najmniejszym stopniu niepokoju. Tamci dwaj uśmiechali się z zakłopotaniem.

- Chciałbym obu panom bardzo podziękować - zapewnił swym najbardziej uprzejmym tonem, potrząsnął ich dłońmi, patrząc im przy tym prosto w oczy. - Praca, jaką panowie tutaj wykonali, zasługuje naprawdę na najwyższe uznanie. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię. A jeśli chodzi o wybuch gniewu naszego kolegi... -uśmiechnął się porozumiewawczo. -Wszyscy ludzie są tutaj oddani sprawie całym sercem. To było jeszcze nic. Trzeba było słyszeć, jak wcześniej przez całe noce wydzieraliśmy się na siebie jeszcze gorzej.

- Rozumiem - blondyn skinął głową z wyraźną ulgą.

- Jeśli chodzi o Wzgórze Świątynne - mówił dalej Kaun nie spuszczać z oka blondyna, który po pierwsze i tak był szefem w tej dwójce, a po drugie wydawał się bardziej skory do rozmowy - mój asystent przydzieli panom samochód, proszę pojechać nim do Jerozolimy i na miejscu rozeznaczyć się w sytuacji. Czy istnieje możliwość, żeby nie rzucając się w oczy przeświecić wzniesienie. Dziś wieczorem

zdadzą mi panowie raport. Okay?

Blondyn z gotowością przytaknął.

- Tak jest, sir. Chętnie się tym zajmujemy.

- Dobrze. Ryan, zatroszczy się pan o dżentelmenów? Ryan skinął głową.

Kaun wrócił do kontenera, będącego równocześnie kwaterą niemieckiego pisarza, który, jak ponownie uświadomił sobie Kaun, wniósł na razie do projektu niewiele przydatnych wskazówek, w porównaniu choćby z Kanadyjczykiem.

Bar-Lev najwyraźniej znalazł argument, który uważał za ostateczny i przekonujący.

- Wzgórze Świątynne jest dla Żydów miejscem świętym - oznajmił grobowym głosem. - Pytam pana, Kaun, jest pan przecież chrześcijaninem: czy zleciłby pan badania sonarotomograficzne Bazyliki Św. Piotra? Albo miejsca narodzenia Jezusa w Betlejem?

Kaun przytaknął.

- Oczywiście. Nawet nie drgnęłaby mi powieka. Bar-Lev raczej nie liczył się z taką odpowiedzią. Retoryk-amator, pomyślał Kaun i z trudem stłumił drwiący uśmiech.

- Ja... ja nie mogę w to uwierzyć!

- Spokojnie, może pan w to uwierzyć. Może zresztą to będzie nasz następny krok.

Profesor Goutiere podniósł dłoń.

- Chcę jeszcze raz podkreślić, i proszę o wpisanie do protokołu, że w żadnym razie nie twierdzę, by poszukiwana kamera znajdowała się w skale *Sachra*. Wspomniałem tylko, że jest to jedyne miejsce, które po dwóch tysiącach lat można jednoznacznie zidentyfikować i równocześnie przez cały ten czas pozostało nietknięte.

- A ja - wtrącił Wilford-Smith - muszę jeszcze raz powtórzyć, co powiedziałem już dzisiejszej nocy: Jestem pewny, że kamery w tej skale nie ma.

Kaun przytaknął cierpliwie.

- Jeszcze ktoś?

- To niewykonalne - oznajmił Bar-Lev. - Kompletna utopia. Jak pan to sobie wyobraża? Że ustawimy aparaturę generującą fale wstrząsowe na środku Wzgórza, a wokół niego zakopujemy czujniki? Może wbijemy je w Ścianę Płaczu? Na coś takiego nigdy, przenigdy nie otrzyma pan zezwolenia.

- Dlatego zrobimy to w tajemnicy.

- W tajemnicy? Jak miałoby się to odbyć?

- Nie wiem. Ale właśnie wysłałem tych techników do Jerozolimy, żeby rozejrzeli się na miejscu.

- Niemożliwe!

Kaun odetchnął głęboko.

- Panie Bar-Lev, nie byłbym tym, kim jestem, gdybym zawsze zwracał uwagę na to, co uważa się za możliwe bądź niemożliwe.

Archeolog wyglądał, jakby miał rozpląnąć się w pocie i z wątpieniu.

- Panie Kaun, z całym szacunkiem, ale pan nie zdaje sobie sprawy, co pan zamierza zrobić. Wzgórze Świątynne jest świętością nie tylko dla nas, Żydów, to również miejsce święte dla muzułmanów, a wszystko, co się tu dzieje, ma wymiar polityczny. To, co pan chce zrobić, może wręcz wywołać wojnę!

- Panie Bar-Lev, jestem między innymi właścicielem jednego z wiodących telewizyjnych kanałów informacyjnych na świecie. Proszę mi wierzyć, mam naprawdę najświeższe wiadomości o sytuacji politycznej w Izraelu.

Bar-Lev opadł na krzesło kręcąc głową.

- To szaleństwo - mamrotał. - Istne szaleństwo.

- Kamery *nie ma* w tej skale - powtórzył profesor Wilford-Smith. - Jestem tego pewny na sto procent. Tkwi w zapieczętowanej amforze w jakiejś nierzucającej się w oczy grocie skalnej na uboczu, ale w żadnym razie nie jest ukryta w tym kawałku skały.

- Może pod nią? - zastanowił się Kaun.

- Jest taka legenda - wtrącił się Goutiere - według której pod skałą miałyby znajdować się arka przymierza.

- Też niezgorsze znalezisko.

- Jak kamera miałaby dostać się do skały? - zapytał Goutiere. - Albo pod nią? Podróżnik w czasie, jeśli pańskie podejrzenia są słuszne, działałby na tym terenie w okresie, gdy świątynia była jeszcze nietknięta, a skała, o której mówimy, służyła za kamień ofiarny. Nie miałby absolutnie żadnej możliwości, żeby choć zbliżyć się do tego kamienia niezauważony przez nikogo.

Ta dyskusja zaczęła działać Kaunowi na nerwy.

- Jeżeli zdołamy przebadać Wzgórze Świątynne - stwierdził - możemy podarować sobie wszelkie spekulacje. Wtedy nie będziemy musieli w nic *wierzyć*, będziemy po prostu *wiedzieli*. Stan, który przedkładał nad wszelkie inne.

Był wdzięczny Ryanowi za to, że akurat w tym momencie wszedł z jednym z przenośnych telefonów w

dłoni.

- Basso - powiedział tylko, gdy mu go podawał.

Stephen Foxx siedział przy włączonym laptopie i nie miał najmniejszej ochoty na pisanie oferty dla *Video World Dispatcher*. Lecz zaniechanie jakiegoś działania tylko dlatego, że nie ma się na nie ochoty, byłoby nieprofesjonalne. A Stephen Foxx nigdy nie postępował nieprofesjonalnie.

Najpierw połączył się ze swoim komputerem w domu, odszukał pliki zawierające potrzebne do sformułowania oferty teksty i rysunki, i uruchomił ich pobieranie. Wtedy, gdy wydłużający się powoli wskaźnik procentów kazał przypuszczać, że przesyłanie danych potrwa jeszcze dobrą chwilę, oparł się wygodnie i pozwolił opanovać się myślom, buczącym w jego mózgu niczym pszczoły.

Wizja, że ów Jezus, o którym mówiło się w kościele, na lekcjach religii, w pobożnych przypowieściach i pieśniach, mógłby w rzeczywistości nigdy nie istnieć - że wszyscy dali się zwieść jednemu mitowi, że ten Jezus miałby nie być ani o krztę prawdziwszy od Mikołaja, jakoby przynoszącego prezenty w Boże Narodzenie - to wydawało mu się jawnym szyderstwem. Czy to nie zadziwiające? Każdemu, kto by go zapytał, wyjaśniłby nie zwlekając, że nie interesuje go żadna religia, jedynie realne życie. Że tę religię, w której ochrzczono go jako bezbronne dziecko, dawno odrzucił i zostawił te sprawy daleko za sobą. Że w całej pełni można określić go mianem nieulegającego dogmatom humanisty. Czuł się kimś, kto stara się postępować właściwie. Przejść przez życie jako przyzwoity człowiek. Być dobrym, ale z umiarem.

A teraz tak go to pochłonęło. Więc jednak zmagania z tą postacią były cięższe, niż sobie uświadamiał. Przez całe dzieciństwo był świadkiem, w jak dwulicowy sposób ludzie obchodzą się z Bogiem. Jego rodzice nawet dziś wciąż jeszcze zachowywali się na zewnątrz tak pobożnie, jak przyjęte to było w ich parafii, w rzeczywistości jednak pędzili życie nie stosując nauk religii, do której się przyznawali. Być dobrym chrześcijaninem znaczyło iść do kościoła w Boże Narodzenie i łożyć datki na cele dobroczynne, gdy się tego nie dało uniknąć, a nawet wtedy tylko tyle, ile to konieczne, by nie wypaść w niekorzystnym świetle.

Tylko niekiedy, w określonych sytuacjach, przenikała ich pobożność. Głównie w sytuacjach krytycznych. Gdy matka miała ten atak, który najpierw wzięto za zawał serca - wtedy ojciec zwołał wszystkich na wspólną modlitwę. Ależ to było krępujące! Lecz Bogu widocznie się spodobało, bo w końcu okazało się, że matka nie miała zawału, a tylko wirusową infekcję.

Religia dla jego rodziców i w ogóle dla wszystkich ludzi, których znał, była czymś w rodzaju parasola. Przy pięknej pogodzie wcale się o nim nie myśli. Dopiero gdy pada deszcz, wtedy człowiek sobie o nim przypomina. Lecz naprawdę wierzyć - nie, nie znał nikogo, o kim można by to powiedzieć.

Gdy dorósł, wówczas treści, w które kazano mu wierzyć, wydały mu się mniej czy bardziej zwykłą insynuacją. Niepokalane poczęcie, na przykład. Gdy miał czternaście lat, dziewczyna z klasy wyżej nie uważała podczas pettingu ze swoim chłopakiem i zaszła w ciążę, choć była jeszcze dziewicą. Gdy się to wydało, drwiny i szyderstwa nie miały końca: *Mary-Lou ukazał się anioł i przemówił do niej: włóż mi rękę w spodnie - ha, ha, ha!* Nikt jednak, nawet katecheta, nie uważał, by warta była wzmianki hipoteza, że Mary-Lou mogłaby urodzić następnego Zbawiciela.

No i jeszcze Nick. Nick Foster. Nick był jego najlepszym przyjacielem, odkąd pamiętał. Uroczyście przysięgli sobie wieczną przyjaźń. Wspólnie zbierali kapsle z opakowań z płatkami śniadaniowymi. Razem podglądali starsze dziewczęta kąpiące się w jeziorze i naśmiewali z ich piersi. Planowali, kim będą w przyszłości, kiedy dorosną. Stephen pragnął zostać astronautą, Nick gubernatorem albo senatorem.

A potem Nick się utopił. Pewnego całkiem zwykłego, jesiennego dnia. Wpadł do jeziora, uderzył się w głowę, nie odzyskał przytomności dostatecznie długo, by utonąć. Miał akurat dziesięć lat.

Wciąż miał przed oczyma ten obraz, Nick złożony na swoim łóżku jak na marach. Dwa dni wcześniej jeszcze wylegiwali się na tym łóżku i oglądali telewizję, a pokój jak zwykle był przytulny niczym chlew. I Nick pożyczył mu ten wielki tom z Batmanem. Gdy po pogrzebie Stephen chciał go oddać, siostra Nicka powiedziała mu, że ma go sobie zatrzymać. Miał go do dziś.

Wlepiął niewidzące oczy w szarą ścianę namiotu, rozpływającą się przed jego oczyma. Wtedy, gdy z dnia na dzień został sam, opuszczony, wtedy modlił się do Boga, żeby przywrócił Nickowi życie. Jeżeli Jezus mógł zmartwychwstać, to dlaczego nie Nick? Lecz Bóg go nie wysłuchał. Dziś sam sobie wydawał się śmieszny na to wspomnienie. Naśladował swoich rodziców. Bóg jako instancja, u której szuka się pomocy, gdy samemu nie można sobie poradzić. Instancja, która i tak nie pomaga.

Wskaźnik procentów na ekranie dosięgnął setki i krótki piszczący dźwięk zasygnalizował koniec przesyłania danych. Stephen otrząsnął się ze wspomnień i przerwał połączenie. Starał się nie myśleć o tym, ile będzie go kosztowało ściągnięcie tu tych plików.

A więc, oferta. Nawet, jeżeli chwilowo wydawała się najbardziej nieistotną rzeczą, jaką mógłby się zająć. Przywołał jeszcze raz na monitor faks z czwartku, żeby zastanowić się, co powinien napisać. Katalog pytań był dość długi, prawdę mówiąc, wyczerpujący. Dobrze, to pozwalało mu, powołując się na ograniczone miejsce i najwyraźniej zachodzącą potrzebę obszernych wyjaśnień, zaproponować

osobiste spotkanie. A póki nie były ustalone szczegóły, oczywiście nie mógł też podać konkretnej ceny. Dopiero teraz odkrył, że ta firma ma swoją stronę internetową. Jej adres, jak to .obecnie było już w zwyczaju, podano drobnym drukiem w nagłówku listu: <http://www.vid.eo-world.com>. Interesujące. Może dowie się tam czegoś więcej o ewentualnym kliencie. Co nie byłoby nieprzydatne przy pisaniu oferty, która przecież powinna odegrać rolę wabika. Zawsze dobrze jest mieć pojęcie o tym, co partner w interesach może uznać za zachęcające.

Stephen ponownie podłączył komórkę, uruchomił przeglądarkę internetową i wystukał podany adres. Zobaczył wykonaną bardzo starannie i profesjonalnie *homepage*, lecz wszystkim, czego dowiedział się z niej o *Video World Dispatcher* było zdjęcie siedziby firmy. Poza tym oferowano katalog z aktualną ofertą, zawierający ceny i możliwość złożenia zamówienia bezpośrednio przez internet. Akceptowane były wszelkie karty kredytowe, również rozmaite formy cyfrowej gotówki, jakże by inaczej.

Katalog można było przeglądać według rodzaju produktu

- kino domowe, profesjonalny sprzęt wideo, zintegrowane audio i wideo i szereg innych pojęć fachowych - lub też według producenta. Stephen wybrał drugą możliwość i kliknął na SONY.

Pojawiło się firmowe logo japońskiego koncernu, po czym jeszcze raz trzeba było przejść przez mękę wyboru. Zwykle kamery. Cyfrowe kamery.

Można było także - Stephenowi zapało dech w gardle

- składać zamówienia na mającą wejść na rynek za trzy lata serię MR.

Nie do wiary. Dlaczego nie powiedział mu o tym ten typ z SONY, z którym rozmawiał? Zachowywał się tak, jakby MR-01 była tajemnicą państwową. Ani słowa o tym, że ten sprzęt można już zamawiać.

Stephen kliknął na odpowiednim linku i w napięciu wstrzymał oddech, gdy ładowała się wywołana strona. Najpierw pojawił się napis, że *Video World Dispatcher* jest jedyną firmą na świecie, która przyjmuje już teraz zamówienia na oparte na rewolucyjnej technologii kamery MR firmy SONY, gwarantując pierwszeństwo dostaw po wprowadzeniu produktu na rynek.

Pewnie chwyt reklamowy. Stephen nie był w stanie wyobrazić sobie, że gigantyczny japoński koncern udzielił jakiejś firmie wysyłkowej na amerykańskim wschodnim wybrzeżu specjalnych uprawnień. Przewinął stronę do miejsca, gdzie przedstawiano produkty wchodzące w skład serii. Interesujące. Nareszcie będzie mógł zobaczyć, czego właściwie szuka.

Pierwszy pojawił się MR-S, domowy odtwarzacz. Na malutkim zdjęciu można było zobaczyć płaską czarną skrzynkę, wyglądającą całkiem tak, jak wyglądają wszystkie odtwarzacze wideo. Tylko że ten miał kosztować okrągłe pięć tysięcy dolarów.

Gdy Stephen przewijał stronę dalej, do następnego zdjęcia, po plecach przebiegło mu osobliwe mrowienie. To, jak niezbitnie informował podpis pod ilustracją, jest MR-01. Stephen pochylił się w przód. Raczej niepozorna, poręczna wyglądająca kamera z dużym wysuwanyim obiektywem, nad którym ukośnie umieszczono mikrofon i rząd rozmaitych przycisków. Nic podniecającego. Za słuszną sumkę sześciu tysięcy dolarów.

To jednak jeszcze nie był koniec strony. Stephen przewinął dalej w dół i doświadczył tego zadziwiającego uczucia, jak to jest, gdy wszystkie myśli znienacka i gwałtownie zamierają w bezruchu. Było tam jeszcze jedno zdjęcie. Ta sama kamera, tylko obiektyw nieco większy, kilka dodatkowych elementów obsługi. Cena - siedem tysięcy dolarów.

MR-02.

19

Stratum 12-B stanowi warstwę przejściową. Powierzchnia przejścia zaznaczona jest grubą warstwą popiołu. Ponad nią znaleziono liczne ozdoby - szczególnie warta wzmianki jest figurka siedzącej kobiety (patrz rys. II-67) - i ceramikę z okresu herodiańskiego.

Profesor Wilford Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

- Signore Kaun - Enrico Basso, adwokat i pełnomocnik *Kaun Enterprises Inc.* na Włochy, kolejny raz warknął w słuchawkę swego staroświeckiego telefonu, z trudem powstrzymując gniew *-per favore...* Dzwonił pan do mnie wczoraj rano. Nieco ponad dwadzieścia cztery godziny temu. I proszę mi wierzyć, nie zmarnowałem ani minuty. Nie spałem i nie jadłem, przez cały czas pracowałem dla pana. Dowiedziałem się wszystkiego, czego można dowiedzieć się w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Nie była to cała prawda. W nocy - musiało być krótko przed trzecią - zdrzemnął się chwilę. O czwartej obudził się, gdyż głowa zsunęła mu się ze stołu akt i uderzyła w blat stołu. Wziął wtedy zimny prysznic i ugotował sobie dwa dzbanki czarnej kawy. A gdy wstała jego żona, co godzinę przynosiła mu kanapkę, z westchnieniem obrzucając wzrokiem jego gabinet.

- *Si. Si. Si.* - potakiwał Basso. Któregoś dnia niecierpliwość tego amerykańskiego milionera przyprawi go o utratę zmysłów, *porco dio!* - Proszę wziąć pod uwagę, że mamy tu do czynienia z, jakby to powiedzieć, najstarszą firmą świata. Tu nie chodzi o małą, ledwie zipiącą stację radiową ani o zadłużoną gazetę, to potężny, bogaty, wielonarodowy koncern. Mówimy o miliardach dolarów. O zawiązanych udziałach, udziałach w udziałach, powiernictwach, potajemnych lokatach. Tak, naturalnie, że jestem specjalistą od prawa gospodarczego. Potrzebowałyby pan całej armii radców prawnych, żeby rozwikłać to wszystko, i mieliby co robić przez kilka lat.

Dolał sobie kawy czarnej jak noc i mocnej jak trucizna, napił się. Najprawdopodobniej wyglądał koszmarnie. Nieogolony, po nieprzespanej nocy, jak zwykle podkrążone oczy, cienie na dolnych powiekach pojawiały się nawet wtedy, gdy czasem zdarzyło mu się oglądać nocny program w telewizji. Jego gabinet wyglądał równie koszmarnie. Jakby ktoś wysypał do niego całą ciężarówkę makulatury. Akta, akta, akta, przastare, zakurzone i pożółkłe. Pod ścianą stosami wznosiły się te, których jeszcze nie przeczytał. Na dywanie podzielone na hałdy według tematów leżały te, które zdołał posegregować. I gdyby biurko nie pochodziło jeszcze z czasów, kiedy panował zwyczaj robienia mebli zdolnych przetrwać wieki, jego blat dawno ugiąłby się pod ciężarem leżących na nim zwałów papieru.

- Czy mogę teraz po prostu zdać panu raport, panie Kaun? Dziękuję. Zatem - po pierwsze mamy oficjalne komunikaty. Watykan publikuje sprawozdania gospodarcze, według nich jest to naprawdę kościół ubogich. Budżet Watykanu wynosi okrągłe dwieście milionów dolarów rocznie, co naprawdę nie znaczy wiele w przypadku centrali zarządzania organizacją o światowym zasięgu, z tysiącami oddziałów. Jeśli rzucić hasło „skarby Watykanu”, z miejsca wybucha wielki lament. Owe skarby, powiada się wtedy, to dzieła sztuki, których wartości w istocie nie można oszacować, lecz trzeba je przechować dla ludzkości jako dobro powszechne, co znowu jest niezwykle kosztowne i nie przynosi niemal żadnego dochodu. W przeciwnym razie trzeba by zlicytować Pietę Michała Anioła, przeznaczyć Bazylikę Św. Piotra na wynajem lub coś w tym rodzaju.

Poprzedniego dnia, od razu po rozmowie z medialnym carem zaczął dzwonić, zaprzął do pracy wszystkich pomocników i współpracowników, których zdołał złapać. Była to dobrze naoliwiona machina do zdobywania informacji o firmach, z którymi Amerykanin prowadził we Włoszech interesy, i już niejednokrotnie zdarzyło im się przedstawić dowody, że ten czy ów z partnerów biznesowych od dawna nie jest w tak dobrej kondycji, jak można by sądzić po pozorach, lub odwrotnie, pozorny słabeusz w rzeczywistości stanowi tykającą finansową bombę zegarową.

- Tak więc oficjalnie wszystko wygląda klarownie i jasno - kontynuował. - Zarządzanie papieskim majątkiem znajduje się w rękach Kamery Apostolskiej, i to już od jedenastego wieku. W dawnym państwie kościelnym był to po prostu urząd podatkowy o uprawnieniach sądowych, a jej dzisiejsze znaczenie oddaje może fakt, że to właśnie kamerling jest kardynałem odpowiedzialnym za oficjalne stwierdzenie śmierci papieża.

Jak zwykle, tak i tym razem rzucili się na archiwa państwowe i gazetowe, udali do urzędów, przegrzebali biblioteki i księgi wieczyste, by w ten sposób zgromadzić wszystkie legalnie dostępne informacje. Basso zaś przez cały piątek nieustannie telefonował, kontaktował się ze swymi informatorami w bankach, rozmawiał z zaufanymi ludźmi w ministerstwach, docierał do źródeł w kręgach kościelnych, w łóżach wolnomularskich, w świecie podziemnym, chcąc zdobyć dane nieosiągalne na legalnej drodze.

- Jeżeli jednak przyjrzeć się dokładniej, można stwierdzić, że w oficjalnych raportach mowa jest zawsze tylko o budżecie centralnej administracji Kurii Rzymskiej. Gdzieś ginie informacja, że poza tym istnieje jeszcze majątek państwa watykańskiego. W skład tego wchodzi na przykład nieruchomości o łącznej

powierzchni piętnastu milionów metrów kwadratowych w samych tylko granicach Rzymu. A już naprawdę ciekawie robi się, gdy stwierdzić, jaki majątek de facto kontroluje Stolica Apostolska. Wlicza się weń nie tylko majątek samego papieża, lecz także zasoby rozmaitych podlegających mu zakonów - na czele z Jezuitami. Są mężowie zaufania, przechowujący olbrzymie majątki. Pieniądze Watykanu są zainwestowane we francuskie spółki naftowe, w argentyńskie zakłady gazowe, boliwijskie kopalnie cyny, brazylijskie fabryki gumy. Watykan spekuluje na giełdzie i pobiera dywidendy z domów gry. Nie pominięto niemal żadnej gałęzi gospodarki. Inaczej mówiąc, w porównaniu z kurią General Electric wypada jak niewielki kramik na targowisku.

Wyjął kartkę z wytartego biurowego segregatora.

- W USA silne wpływy w przemyśle stalowym. Duże pakiety akcji w powiernictwach General Motors, McDonnell Douglas, AT&T, Prudential Life. *Bank Of America*, największy prywatny bank świata, w pięćdziesięciu jeden procentach znajduje się w rękach jezuitów. We Włoszech udziały w niemal wszystkich elektrowniach, licznych spółkach telekomunikacyjnych, kilku towarzystwach kolejowych. Bezpośrednia lub pośrednia kontrola nad Kommerzbank, Bankiem Rzymskim, Bankiem Rolniczym, Centralnym Instytutem Kredytowym, Rzymskim Instytutem Kredytowym, *Banco Santo Spirito* - nazwa nie jest przypadkowa. Udziały w Alitalia, we Fiacie i całej liście towarzystw ubezpieczeniowych i spółek budowlanych. Całkowity kapitał *Immobiliare*, największego włoskiego przedsiębiorstwa zajmującego się gruntami i budownictwem, jednego z największych takich przedsiębiorstw na świecie, jest w rękach Watykanu. I znów stal - liczne powiązania z *Finsider*, kontrolującym osiemdziesiąt procent włoskiego rynku stali.

Wolną ręką przeczesał włosy, słuchając głosu po drugiej stronie kabla. Spojrzał potem na dłoń z obrzydzeniem, tak była tłusta i brudna.

- Trudno wyrazić to w liczbach bezwzględnych - oznajmił potem. - Mam tu liczbę dotyczącą nominalnego stanu posiadania akcji i udziałów kapitałowych Stolicy Apostolskiej w samych tylko Włoszech, wynosi ona sześć miliardów dolarów. To wartość nominalna, chciałbym zauważyć, nie zwaloryzowana, do tego uwzględnia tylko bezpośredni majątek kurii.

I to według danych sprzed kilku lat. Na całym świecie szacuje się go na ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów.

To powinno wybić mu z głowy głupoty, pomyślał Basso. Kościół katolicki, wielkie nieba!

- Około trzydzieści pięć procent przychodów pochodzi z USA. Około piętnaście procent z Niemiec. Tam wprowadzono nawet podatek kościelny. Nie, to znaczy, że państwo zbiera podatki dla kościoła. Dobrowolne datki wpływają także niezależnie od tego. Poza tym państwo często dofinansowuje budowy prowadzone przez Kościół. - Basso po głosie swego zleceniodawcy wyraźnie czuł, jakie zaskoczenie musi malować się na twarzy tamtego i nie mógł powstrzymać uśmiešku. - *Si, signore*, firma o bardzo solidnych podstawach. Cash Flow, o jakim inni mogą tylko pomarzyć.

Nie mówiąc o tym, że w administracji Kościoła Katolickiego już od stuleci wzorcowo wprowadzono w życie niemal wszystkie, jakoby nowoczesne, korporacyjne metody zarządzania. Wysoki poziom motywacji pracowników, a na wypadek, gdyby jednak wykazywali zbyt mały entuzjazm, przewidziano ściśle wytyczne, którym musieli się podporządkować. Dodatkowo, daleko idąca rezygnacja z życia rodzinnego pozwalała im całkowicie koncentrować się na pracy i osiągać doskonałe wyniki. Zaś jeśli chodzi o *Lean Management*, Kościół zadowalał się o wiele bardziej płaską hierarchią niż większość przedsiębiorstw średniej wielkości.

Milioner na drugim końcu kodowanej linii telefonicznej milczał. Prawdopodobnie zastanawia się teraz, i prawdopodobnie za chwilę podziękuje mu, oznajmi, że niniejszym sprawa została zakończona, zaś on, Enrico Basso, nareszcie będzie mógł powlec się do swej sypialni, zamknie okna, zaciągnie kotary i przez resztę weekendu będzie spał, nic, tylko spał..

Tymczasem John Kaun powiedział:

- Proszę zorganizować mi spotkanie z tym kamerlingiem.
- Och - wykrztusił Basso. - Z samym *Camerlengo* - to nie będzie łatwe...
- Dziś wieczorem.
- Dziś wieczorem? *Signore Kaun, per fa vore* - jest sobota...!
- I proszę, żeby nie planował nic na resztę weekendu.

George Martinez chwycił na próbę kierownicę, jednak nie mógł zdecydować się na zamknięcie drzwi i uruchomienie silnika.

- Bob, nic z tego nie będzie. Jakby to miało się odbyć? Nie możesz zrobić tomografii Wzgórza Świątynnego. Potrzebujemy przecież zwartej, zamkniętej działki na terenie o możliwie jednorodnym podłożu i o jak najbardziej homogenicznej strukturze. Najlepiej nadawałoby się wzniesienie, na którym mógłbyś postawić *thumper* i równomiernie rozmieścić czujniki. A jak chciałbyś to zrobić w świętym miejscu?

To był europejski wóz, nieznaney mu marki, dość wygodny i wyposażony w klimatyzację, oczywiście teraz jeszcze nie włączoną. Ku niezadowoleniu Boba Richardsa, siedzącego na fotelu pasażera i nie ustającego w naleganiach.

- George, jesteś świetnym fachowcem, doskonale znasz *Sotom*, nie ulega wątpliwości. Ja też myślę, że to niewykonalne. Ale Kaun nie to chce usłyszeć, rozumiesz? On nie oczekuje od nas, że pojedziemy do miasta, obejrzymy sobie pagórek, wrócimy i powiemy: „To niemożliwe”. Mamy wrócić i powiedzieć: „Nie będzie łatwo, nie jesteśmy pewni, czy się uda - ale mamy pewien pomysł, moglibyśmy go wypróbować”. I dlatego właśnie tak zrobimy.

- Ale to się nie uda. Mogę ci to powiedzieć już teraz.

- George - czy ty mnie słuchasz? Mówię ci właśnie, co zrobimy. Pojedziemy teraz do Jerozolimy. Wysadziś mnie gdzieś, skąd będę mógł zatelefonować. Muszę powiedzieć w domu, że jeszcze tu zostaniemy. A ty przyjrzyj się Wzgórzu Świątynnemu i wymyślisz, co można by tam zrobić.

- Ale co to miałyby być? Czy ty uważasz, że mamy prawo bombardować świętą ziemię naszymi ołowianymi kulami? A tam każdy kawałek ziemi jest święty!

- To dla mnie jasne. Ale coś musimy wymyślić. Powiedzmy, że moglibyśmy ustawić *thumper* w namiocie obok Świątynnego Wzgórza i wyjątkowo mierzyć fale wtórne.

George patrzył na niego jak na szaleńca. Tu chyba wszyscy poszaleli.

- I co to miałyby dać?

- Och, George... - Bob westchnął. - Słuchaj: Kaun płaci za wynajęcie *Sotoma-2* wraz z obsługą sto tysięcy dolarów za dzień. W tym roku nie jesteśmy aż tak zawałeni zleceniami, co z pewnością zauważyłeś. Zatem, jeżeli będziemy tu jeszcze jutro wieczorem, to mamy naprawiony dach sali gimnastycznej. Jeżeli zdołamy prowadzić próby przez cały tydzień, to dodatkowo uratujemy program stypendialny, zdobędziemy dla stołówki nowy automat do kawy, a biblioteka będzie mogła wznowić prenumeraty czasopism, które trzeba było odwołać w zeszłym miesiącu ze względu na brak funduszy. Oto cała prawda.

George pomyślał o poszukiwanej metalowej skrzynce i o tym, co John Kaun spodziewa się w niej znaleźć. Co, być może, naprawdę w niej jest. I co zamierza z tym zrobić.

Pieniądze. Zawsze tylko pieniądze.

Nagle wiedział, jak powinien postąpić.

- Okay - powiedział, zatrzaskał drzwi i uruchomił silnik. - W porządku.

Peter Eisenhardt tylko pobieżnie przysłuchiwał się rozmowom prowadzonym przez pozostałych w czasie, gdy John Kaun wyszedł na zewnątrz do telefonu. Był niespokojny. To przez tę myśl, snującą się tuż pod powierzchnią jego świadomości, tak blisko, że niemal mógł dosłyszeć jej szyderczy chichot, lecz nie był w stanie jej pochwycić. Jakiś strzęp myśli, który w półśnie przemknął mu przez głowę i zniknął, nim zdołał go przyjąć do wiadomości. Pozostało jedynie uczucie zaniepokojenia. Była to myśl z rodzaju takich, na jakie Kaun z pewnością sobie nie pozwalał.

Nic dziwnego, że nie chciała wrócić.

A może niepokój brał się jedynie z nie dającego się ode-gnać poczucia, że siedzi tu tylko i kosztuje dużo pieniędzy, nie przynosząc żadnego pożytku? Wśród pozostałych czuł się jak outsider. Nie był akademikiem. Nie znał się na archeologii ani historii. Zgrywał się tylko.

Drzwi otwarty się, wrócił John Kaun. Zdawał się jeszcze przebywać myślami gdzie indziej, gdy składał telefon komórkowy i wsuwał go do kieszeni, lecz w następnym momencie znów był w pełni obecny, ogarnął wzrokiem zebranych, wpatrzonych w niego wyczekująco, i spytał:

- Co pozostało do omówienia, panowie?

Bar-Lev, zastępca profesora Wilforda-Smitha, uniósł dłoń. Ci dwaj przez cały czas naradzali się szeptem, lecz Eisenhardt z ich rozmowy nie zrozumiał ani słowa.

- Chciałbym jeszcze wrócić do sprawy Świątynnego Wzgórza, panie Kaun. Bardzo mi przykro. Kierując się jedynie brawurowymi przypuszczeniami - jego spojrzenie powędrowało mimowolnie w kierunku Goutiere'a i Eisenhardta - chce pan wdać się tam w przygodę, której ryzykownych skutków nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Natomiast nie zrobił pan rzeczy najprostszej.

Kaun wysunął naprzód dolną szczękę przybierając zgryźliwy wygląd.

- Cóż to miałyby być?

- Podejmujemy wszelkie możliwe działania. Fantazjujemy na ten temat. Próbuujemy wczuć się w myśli podróżnika w czasie. Prześwietlamy historię Palestyny. Tymczasem jedyna rzecz, która prawie na pewno mogłaby dostarczyć nam rzeczywistych, wartościowych wskazówek, leży wciąż nietknięta tam, gdzieśmy ją znaleźli.

Kaun patrzył na niego w milczeniu.

- Mam na myśli worek z instrukcją - uzupełnił Bar-Lev.

- I szkielet.

Kanadyjski profesor historii wyprostował się, parszkając.

- Słucham? Czy to ma znaczyć, że te obiekty jeszcze w ogóle nie zostały zbadane?
- Profesor Wilford-Smith zwrócił się teraz bezpośrednio do Kauna, ignorując wybuch Goutiere'a:
- Laboratorium Muzeum Rockefellera jest wyśmienicie wyposażone. Współpracujemy z nimi od lat. Mogę zebrać zespół badawczy, za którego dyskrecję ręczę głową.
- Wykopaliscie te rzeczy i po prostu zostawiliście? - powtórzył Goutiere głosem, w którym dały się słyszeć piskliwie wysokie tony.
- To ja tak zarządziłem - surowo objaśnił Kaun. - Wysłaliśmy próbkę papieru z instrukcji do pewnego instytutu w USA, żeby ustalili jego wiek metodą radiowęglową. Wiemy też, że w zębach występuje kilka nowoczesnych wypełnień. Dalsze badania na razie przesunięto na później.
- Ale dlaczego, na miłość boską?
- Każdą kobietę można rozdziewiczyć tylko jeden raz
- odparł przemysłowiec. - Jedno stanowisko wykopaliskowe można opróżnić też tylko jeden raz. Chciałem przez jakiś czas mieć do dyspozycji nietknięty zabytek, żeby móc pokazać go różnym ludziom. Na przykład panu.
- Czy to znaczy, że oczekuje pan jeszcze kogoś? - spokojnie zapytał profesor Wilford-Smith.
- Kaun wystukał palcami kilka taktów muzyki marszowej na blacie stołu, przy którym stał.
- Dziś po południu lecę do Rzymu, przeprowadzę tam kilka rozmów. Planuję wrócić jutro rano, zamierzam też przywieźć z sobą kogoś, kto powinien obejrzeć znalezisko. Potem wyślemy wszystko do laboratorium.
- Bar-Lev skrzywił twarz w zawziętym grymasie:
- Wolno spytać, kogo zamierza pan przywieźć?
- Kaun spojrzał na niego uśmiechając się tajemniczo niby Sfinks:
- Pewnego kardynała - powiedział.
- Przyszła z dwoma filiżankami kawy. Choć tłumaczyła sama sobie, że po minionej nocy kawa przyda się im obojgu, był jeszcze jeden, ukryty powód - nadzieja, że dzięki temu nie będzie mógł jej od razu wyrzucić z namiotu. Gorąca kawa parzyła jej palce, gdy niosła ją ostrożnie w górę ku namiotom po skalistym gruncie, daremnie starając się nie rozlewać, lecz uznała to za sprawiedliwą karę. W końcu, mówiąc szczerze, to ona wszczęła kłótnię, choć nie umiałaby powiedzieć, dlaczego. Może to przez to, że wciąż jeszcze czuła się jak przekreślona przez maszynkę do mięsa.
- Gdy weszła do namiotu, Stephen siedział przed laptopem z rękami złożonymi na podołku. Obrzucił ją tylko przelotnym spojrzeniem, jakby go w ogóle nie dziwiło, że przyszła. On też wyglądał dość marnie.
- I co? Napisałeś ofertę? - Ach, cholera! To znów zabrzmiało złośliwie. Jakby przyszła się dalej kłócić. Przytaknął, nie odrywając wzroku od monitora.
- Właśnie ją faksuję.
- Podawała mu filiżankę. Tę pełniejszą.
- Proszę. Na przeprosiny, że tak na ciebie napadłam. Przykro mi.
- Dziękuję. - Skwapliwie wziął kawę i spojrzał na nią badawczo. - Więc zgoda?
- Zgoda.
- Komputer zapiszczał, co miało pewnie znaczyć, że faks dotarł do miejsca przeznaczenia. Stephen odłączył komórkę i wyłączył go.
- Co wiesz o Jezusie? - zapytał raptownie.
- Judith zaskoczona siadła na niepościelonym polowym łożku.
- Obawiam się, że niewiele.
- Sprawdziłem wcześniej kilka adresów internetowych na ten temat, ale wygląda na to, że oprócz Biblii - to znaczy Nowego Testamentu - brak jest praktycznie wskazówek, że rzeczywiście kiedyś żył.
- To dziwne. Został przecież skazany. Czy to nie musiało być gdzieś zapisane? W jakimś protokole sądowym?
- Tak można by się spodziewać. Według Ewangelii egzekucja odbyła się za czasów Poncjusza Piłata, a o nim wiadomo, że żył naprawdę. Od roku dwudziestego szóstego do trzydziestego szóstego był rzymskim prokuratorem Judei, zasłynął okrutnym sprawowaniem rządów. W roku trzydziestym piątym rozkazał napaść i wybić Samarytan, za co rządca Syrii, ojciec późniejszego cesarza Witeliusza, odesłał go do Rzymu, by tam poniósł karę. Został pozbawiony urzędu i na rozkaz cesarza musiał odebrać sobie życie.
- Judith w zamyśleniu kiwnęła głową.
- To stało się na górze Garizim. Napaść na Samarytan. Coś sobie przypominam. Dziś jest tam nawet jakiś pomnik, tak mi się zdaje.
- Jesteś dość dobrze zorientowana.
- Ach, to przez mego ojca. Przez całe dzieciństwo tak nas dręczył swoją pobożnością, że na skutek tego jestem po wsze czasy stracona dla wszelkiej religii. Jednak judaizm tak ściśle spleta się z historią Izraela, że to i owo zostało mi w pamięci.

- Dziwne, prawda? Wygląda na to, że chrześcijaństwo radzi sobie zupełnie bez historii. Pomijając życiorys Chrystusa - nacisnął kilka klawiszy na komputerze. Na ekranie otworzył się jakiś dokument. - Na jego temat istnieją względnie dokładne dane. Zastanawiam się, skąd je właściwie wzięto. Jezus urodził się w roku siódmym lub szóstym przed naszą erą - w średniowieczu jakiś mnich pomylił się w obliczeniach, gdy wprowadzano rachubę czasu opartą na dacie narodzin Jezusa. Około roku dwudziestego siódmego rozpoczyna się jego publiczna działalność w Galilei - musiał więc mieć trzydzieści trzy albo trzydzieści cztery lata. Najdokładniej znana jest chyba data jego śmierci: piątek, siódmego kwietnia roku trzydziestego.

Judith wzięła małego łyka kawy. Jej aromat tłumiał zaduch cuchnący kurzem, potem i niepraną bielizną, który panował we wszystkich namiotach, tylko dziś trudniej przychodziło jej go znosić.

- Ciekawe - wymamrotała do wnętrza kubka.

- Dziwne, prawda? Oto jakiś człowiek wędruje przez trzy lata po Palestynie, głosi kazania do tłumów ludzi, czyni cuda, budzi do życia zmarłych, wyobraź sobie tylko! Jednak współczesne mu piśmiennictwo historyczne zdaje się tego nie zauważać. Doprowadza niemal do wybuchu ludowego powstania - przynajmniej o tym powinien wspomnieć rzymski raport. Lecz brak jakiegokolwiek śladu. A najdziwniejsze jest to, że nawet jego wyznawcy pozwolili, by minęło pół wieku, nim zaczęli przenosić na papier albo na papirus historie o nim i o tym, co miał powiedzieć.

- Naprawdę?

- Najstarszym dokumentem jest Ewangelia św. Marka, pochodząca najwcześniej z roku siedemdziesiątego. Starsze są jedynie listy świętego Pawła, pisał je około roku pięćdziesiątego, lecz Paweł nigdy nie spotkał Jezusa za jego życia, nie pisze więc nic o jego życiu.

- Inaczej mówiąc, myślisz, że list mówi prawdę. Że Jezus nigdy nie żył.

- W każdym razie wydaje się, że nie można udowodnić twierdzenia przeciwnego.

- Hm - mruknęła Judith. - Wygląda na to, że jeszcze może przejdziemy tu do historii, czy co?

Przez chwilę Stephen zatopiony w myślach wpatrywał się w ekran komputera i nie odpowiadał.

- To nie wszystko - powiedział wreszcie. Judith czekała.

- Poza tym znalazłem w internecie opis kamery - dodał Stephen. - SONY MR-01.

- Myślałam, że jeszcze jej nie ma.

- Ma wejść na rynek dopiero za trzy lata, ale już teraz można ją zamówić.

Judith poczuła, że po plecach przebiega jej dreszcz.

- Horror.

- Tak. Ale dowcip polega na tym, że będzie też model MR-02, o tysiąc dolarów droższy, ale też o odpowiednio lepszych parametrach. No i zadaję sobie teraz pytanie, dlaczego nasz podróżnik nie zabrał w przeszłość właśnie tego modelu-

Judith wytrzeszczyła oczy.

- Słucham?

- Popatrz, zapisałem to tutaj - przywołał na ekran odpowiedni tekst wraz z ilustracjami. - Widzisz, tu podają dane techniczne. MR-02 będzie miała większy obiektyw, a zatem lepszą jasność. Zoom dwadzieścia cztery zamiast dwudziestu w MR-01. I co wydaje mi się najbardziej interesujące: będzie miała obudowę ze stopu magnezu, a MR-01 tylko plastikową.

Ryan wszedł trzymając w dłoni kartkę. Eisenhardt ukradkiem obserwował tego mężczyznę o zimnych, szarych oczach. U jego pasa wisiał długi nóż, co prawda w skórzanej pochwie, lecz właśnie taka archaiczna broń jak nóż, a nie pistolet, w niepokojący sposób rozsiewała atmosferę przemocy. Podobnie jak sam Ryan, choć potrafił być również usłużnym. Jak teraz, gdy podawał kartkę Kaunowi. Eisenhardtowi przywodził na myśl postać Igora, służącego Frankensteina. Tylko że Ryan nie był garbaty ani brzydki, przypominał raczej aryjskiego oficera SS. Stał niemal na baczność, nim Kaun w końcu skinieniem głowy pozwolił mu odejść.

- Dziwią się - stwierdził Kaun po przeczytaniu wiadomości. - To oczywiście można zrozumieć. Czy ktoś przypadkiem wie, kiedy właściwie wynaleziono papier?

- W roku sto piątym - powiedział Eisenhardt. Była to jedna z rzeczy, jakie sprawdził w leksykonach podczas swoich badań. - Wynalazł go pewien urzędnik na dworze chińskiego cesarza Ho-Ti, człowiek imieniem Ts'ai Lun.

Kaun podniósł w górę mały kawałek papieru.

- To wiadomość z laboratorium w Stanach Zjednoczonych, do którego wysłaliśmy próbkę. Piszą, że nie rozumieją i zaniechali szukania wyjaśnienia. Chemiczna analiza wykazała, że próbka jest skrawkiem papieru kredowego wysokiej jakości. Natomiast analiza metodą radiowęgla wskazuje na to, że jej wiek wynosi dwa tysiące lat.

20

Wykaz zastosowanych skrótów nazw instytucji archeologicznych: ASOR American School of Oriental Research (obecnie: W.F. Albright Institute of Archeological Research, Jerozolima, w skrócie AIAR wzgl. American Center of Oriental Research, Amman, ACOR)

BSAJ British School of Archeology in Jerusalem
 IAA Israel Antiquities Authority
 IES Israel Exploration Society
 PDA Palestine Department of Antiquities

Profesor Wilford-Smith
 Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Wszystkich kopaczy, którzy byli obecni i nie wyjechali na weekend, zwołano przy kuchni polowej. Ogłoszono, że kierownik wykopalisk ma im coś do zakomunikowania.

Jednak pierwsi, którzy dotarli na miejsce zbiórki i zajęli miejsca na drewnianych ławkach, mogli tylko zobaczyć, jak zajeżdża długa limuzyna, pracownik sztabu Kauna pakuje do bagażnika dwie walizy, aż w końcu wsiada do niej sam John Kaun. Potem samochód odjechał, zostawiając chmurę kurzu.

Młodzi mężczyźni i kobiety spojrzeli po sobie pytająco. Nikt nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć. Krążyło wiele plotek. Czyżby sponsor stracił zainteresowanie?

Jednak wartownicy przy białym namiocie nad sektorem czternastym stali jak przedtem. Dość dziwaczne, to wszystko.

Gdy już się zgromadzili - nie było ich wielu, prawie wyłącznie zagraniczni wolontariusze - wystąpił przed nich profesor i nim zaczął mówić, zdjął nieodłączny kapelusz, otarł pot z czoła lepką, szarą chustką, którą miał zwyczaj nosić pod kapeluszem, po czym ponownie założył obie rzeczy na głowę.

- Postanowiliśmy - powiedział i odchrząknął - postanowiliśmy zawiesić prace wykopaliskowe w tym sezonie.

Bum. Tyle. Ochotnikom opadły szczęki. Koniec, tak po prostu. Bo sponsorowi przeszła ochota.

- Będziecie się zastanawiać, dlaczego - mozolnie kontynuował profesor Wilford-Smith. - W pełni uprawnione pytanie - niestety, w obecnej chwili nie mogę na nie odpowiedzieć. Jako że ta decyzja...

- Czy to ma związek z sektorem czternastym? - przerwał ktoś głośno.

Profesor mówił dalej, jakby nie dosłyszał.

- Jako że ta decyzja z pewnością was zaskoczyła, utrzymamy obozowisko tak długo, aż...

- Proszę nam wreszcie powiedzieć, co znaleziono w sektorze czternastym! - zażądał inny głos z tyłu. Wokół wszyscy kiwali głowami, słychać było przybierające na sile pomruki.

- Jak mówiłem, obozowisko...

- Sektor czternasty! Sektor czternasty! - To był już prawie chór.

Profesor przerwał, potarł się po żyłastej szyi, zerkając ku kontenerom mieszkalnym. Znienacka pojawił się tam Ryan, asystent Johna Kauna, i popatrzył na zgromadzenie. Zbuntowane głosy milkły jeden po drugim.

- Cóż, hm, nie mogę powiedzieć państwu nic bliższego na ten temat - oznajmił w końcu Wilford-Smith.

- Z dniem dzisiejszym jednak wykopaliska pod Bet Hamesh zostają zakończone. Dla tych z was, którzy przyjechali z zagranicy albo pochodzą z daleka i nastawili się na dłuższy pobyt, zostanie utrzymane obozowisko, dopóki nie zmienią państwo rezerwacji lotów, względnie nie zadecydują inaczej. Powinno na to wystarczyć, hm, pięć dni. Osoby nieobecne w tej chwili spróbujemy poinformować telefonicznie. - Znów kapelusz, chustka, gest wycierania. - Dziękuję wam wszystkim za wykonaną pracę, również w imieniu pozostałych pracowników naukowych. Życzę państwu miłego wypoczynku w dniu dzisiejszym i szczęśliwej podróży do domu. Dziękuję bardzo.

George Martinez wysadził swojego kolegę i szefa przy kawiarni niedaleko murów Starego Miasta i pojechał dalej w kierunku Świątynnego Wzgórza. Jednak gdy tylko w lusterku wstecznym nie było już widać Boba Richardsa, zatrzymał się przy krawędzi ulicy i zaczął dopytywać o drogę do Kościoła Siewcy.

Wzgórze Świątynne! Takie zgorzenie. Nie musi go oglądać. Co tam można by zrobić, a o wiele bardziej czego zrobić nie można, to mógłby powiedzieć z zamkniętymi oczami.

Nie, dobrze wie, jak ma postąpić. Co jest słuszne. Pożądliva chciwość jakiegoś tam Johna Kauna z całą pewnością nie jest dobra, a cyniczna obojętność, którą wykazuje Bob, nie jest lepsza ani na jotę. Co tam dach sali gimnastycznej!

Wyglądało na to, że nikt tu nie znał tego kościoła. Kilka udzielonych w dobrej wierze wskazówek sprawiło, że się zupełnie zabląkał, a przechodzień, którego zaczepił, sam okazał się być turystą. W końcu George wpadł na pomysł, by wypytywać kierowców taksówek, aż wreszcie trafił na jednego, który znał kościółek i chętnie wskazał mu drogę na planie miasta. Nie mógł pozwolić sobie na to, by

podjechać tam taksówką - nie starczyłoby na to resztki gotówki, jaką dysponował.

Dotarł do kościoła akurat, gdy dzwony wydzwaniały południe. Wieża wydała mu się jeszcze mniejsza i bardziej odrapana, niż zapamiętał, a widok zaniedbanych indywiduów zaludniających kościelne podwórko sprawił, że zatrzymał się na chwilę. Potem jednak ruszył dalej, akurat w porę, by złapać ojca Łukasza, przechodzącego właśnie z budynku naprzeciw do kościoła.

Znać było po nim, że z wysiłkiem stara się go rozpoznać. Wreszcie jednak przypomniał sobie - człowiek, który chciał wejść do kościoła, żeby pomodlić się w Jerozolimie, tak, to on, zamówił mu taksówkę. Właśnie, czy dojechał szczęśliwie do domu?

- Tak, bez problemu - odparł krótko George i dodał: - Muszę porozmawiać z ojcem przez minutkę w cztery oczy.

- Chętnie - odpowiedział kapłan. - Zaraz po południowej mszy, jeśli to panu odpowiada.

- Obawiam się, że nie mam tyle czasu. To musiałoby być teraz, natychmiast.

Ojcu Łukaszowi niezbyt udawało się ukryć, co sądzi o próbie zburzenia jego niezmiennego, codziennego planu dnia.

- Obawiam się, synu, że na to z kolei ja nie mam czasu. Wszyscy ci ludzie czekają na to, bym odprawił mszę świętą...

- Jedną minutę, ojcze. Proszę.

George wytrzymał spojrzenie ojca Łukasza. Był zdecydowany wywalczyć sobie tę minutę, gotów w razie potrzeby rzucić się przed duchownym w brud ulicy, skomleć i lamentować, odegrać każdą możliwą scenę, narazić się na kpiny ludzi i stać się tematem plotek całej dzielnicy na długie tygodnie - byle tylko dostać tę minutę.

Być może zakonnik wyczuł jego determinację. W każdym razie ruchem pełnym pokory skinął głową i powiedział:

- Dobrze, skoro to takie pilne... Przejdźmy do zakrystii. Ale tylko minutę!

Jeden z firmowych odrzutowców, których *News And Entertainment Worldwide Incorporated* posiadała w sumie sześć, niósł Johna Kauna do Rzymu. Po drodze *znalazł* nareszcie czas na przestudiowanie bilansów, zestawień majątkowych i innych dokumentów, przefaksowanych mu przez Enrico Basso do samochodu podczas jazdy na lotnisko w Tel Awiwie.

Z którejkolwiek strony spojrzeć, Kościół Katolicki pod każdym wyobraźnym względem jest firmą o solidnych podstawach. Niemal zbyt solidnych. Przede wszystkim, jeśli przy kalkulacji uwzględnić, że Watykan to suwerenne, niezależne państwo i w związku z tym nie musi nikomu płacić żadnych podatków. O takim przywileju koncern Exxon albo IBM mogły tylko marzyć. Nawet, jeżeli w wyliczeniach zrobionych przez Basso pominąć wszystkie niepewne, otrzymana stopa zysków sięga wysokości, jakie poza tym uzyskują jedynie narkotykowe kartele. A prawdopodobnie co najmniej połowa liczb podawanych przez Basso jest prawdziwa. Znał włoskiego prawnika i eksperta gospodarczego i wiedział, że jeżeli trzeba coś oszacować, w swoich szacunkach bywa on raczej nazbyt ostrożny. Trzeba wyjść z założenia, że Stolica Apostolska kontroluje więcej kapitału, niż wykazuje oficjalny bilans. Bądź co bądź do połowy dziewiętnastego wieku Watykan był dużym, silnym państwem, a duże, silne państwa nie znikają po prostu z mapy świata, nie zabezpieczywszy uprzednio ogromnych części majątku w rozmaitych skrytkach.

Kaun wyrzwał przez okno. Lecieli nad włóknistą warstwą chmur, spod której prześwitywały niewyraźnie szarobrazowe zarysy wybrzeża. Morze połyskiwało głębokim odcieniem błękitu, podobnie jak niebo, pełne nierealnego migotania, jakby porósł je kryształowy mech.

A całe to bogactwo i całą tę władzę, rozważał Kaun, zbudowano na sprytnym urynkowaniu jednego mitu, powstałego przed dwoma tysiącami lat w Palestynie. Mitu, którego dalsze trwanie w decydujący sposób zależy od nagrania wideo, którego właśnie szukają - cokolwiek będzie można na nim zobaczyć.

Atut jedyny w swoim rodzaju.

Jeżeli uda mu się sprzedać tej osobliwej firmie *to, czego* wcale jeszcze nie posiada, to pierwszy raz w życiu górna granica żądanej podczas negocjacji kwoty będzie zależała tylko od siły jego wyobraźni, nie zaś od majątku partnera.

Po południu rozpoczęła się stopniowa likwidacja obozowiska. Do tej pory ochotnicy zbici w grupki siedzieli przy namiocie kuchennym albo wokół paleniska i rozmawiali. Próbowali uporać się z rozczarowaniem - wielu z nich nastawiło się na spędzenie w Bet Hamesh długich tygodni albo nawet miesięcy. Nagłe pożegnanie sprawiało ból niemal fizyczny.

Nikt nie zdawał się mieć ochoty na dyskusję na temat „Sektora 14”. Wymieniano adresy i numery telefonów, próbowano pociągnąć choć odrobinę dalej rozpoczęte flirty, umawiano się na odwiedziny i na spotkanie na innych wykopaliskach. Telefon namiotu stołówki był nieustannie oblegany.

Potem pierwsi zaczęli się pakować. Samochody podjeżdżały tylko po to, żeby załadować do nich walizki i plecaki, po czym szybko odjeżdżały. Co chwila na nowo kręcenie głowami, krótkie dyskusje w rozmaitych językach. Z daleka było widać, że pojawia się w nich ciągle to samo jedno pytanie: Co

takiego się stało, że przerwano te wielkie wykopaliska? Jaki był powód tej dramatycznej decyzji? Rozebrano już pierwsze namioty, tworząc luki w dawniej tak równomiernych rzędach spadzistych, jasnoszarych, lnianych dachów.

Ani profesor Wilford-Smith, ani jego zastępca Shimon Bar-Lev nie pokazali się przez resztę dnia.

Stephen Foxx ustawił oba swoje składane krzesła przed namiotem tak, by mógł wygodnie ułożyć w górze nogi, równocześnie nie tracąc z oczu zamieszania panującego w miasteczku namiotowym i wśród kontenerów. W dłoni trzymał wysoką szklankę napelnioną zimnym napojem, szeroki słomkowy kapelusz na głowie chronił go przed słońcem, wylewającym bezlitośnie swój żar tak samo na sprawiedliwych, jak i na grzeszników.

Decyzja o przerwaniu prac wykopaliskowych zaskoczyła go. Nie lubił, gdy go tak zaskakiwano. Nie lubił, by inni ustalali, co ma się wydarzyć. A najmniej podobała mu się myśl, że Judith, mieszkająca w Jerozolimie, może wyjechać już dzisiejszego wieczora.

Pewnie, zobaczą się jeszcze kilka razy. Lecz bez owej niemal intymnej atmosfery namiotowego obozowiska nie mógł liczyć na kontynuację flirtu.

Damn! Oto właśnie był o krok od pokonania wielkiego Johnisa Khana, a na tej rasowej kobiecie stępił sobie zęby. To nie było fair.

Szła teraz do niego. Schodziła po zboczu, krok za krokiem, a jej długie, pełne loków czarne włosy opadały przy każdym kroku to na jedno, to na drugie ramię. Gdy podniosła wzrok ku niemu do góry, uśmiechnęła się, trochę zakłopotana; chyba wciąż jeszcze żałowała tamtej kłótni przy śniadaniu.

- Wygląda na to, że nieźle ci się powodzi - stwierdziła, znalazłszy się przy nim.

- Zawsze staram się tak urządzić - odparł krótko Stephen. - Żeby mi się powodziło.

- Przy kontenerach nic się nie dzieje - mówiła dalej, ignorując jego słowa. Oparła dłonie na przyciągających wzrok biodrach i rozglądała się po leżącym niżej terenie obok parkingu. - Nas wyrzucają, ale sami zostają.

Stephen postawił stopy z powrotem na ziemi, przyciągnął drugie krzesło obok swojego i wytrzeptał dłonią siedzenie.

- Chodź - powiedział. - Usiądź.

- Och. Dziękuję. Chciałam powiedzieć, że jestem całkiem...

- Oni też tu nie zostają.

- Jak to? Kto?

- Kaun i jego ludzie - wyciągnął w jej stronę szklankę, zawierającą ostatnią porcję jego prywatnego napoju chłodzącego, który mieszał w specjalnie do tego przeznaczonym termosie i dzięki temu płyn pozostawał stale chłodny. Powąchała go, lecz pokręciła głową.

- Dziękuję, lepiej nie. Skąd wiesz?

- Jeśli przyglądać się im przez parę godzin, to można zauważyć, że niewątpliwie przygotowują się do odjazdu - stwierdził Stephen. - Najpierw jeden chodził i zdejmował z opon kontenerów osłony przeciwśłoneczne. Inny zbierał na całym terenie śmieci. Jeszcze inny przygotował obok przewodów telefonicznych i kabli puste bębny. Same drobiazgi, ale w dzień odjazdu pomogą zaoszczędzić sporo czasu.

- Sądzisz, że czekają, aż wszyscy wyjedziemy, wtedy i oni się ruszą.

- Może nawet wcześniej. Mnie raczej interesowałoby, dlaczego odjechał Kaun.

- Ta sprawa tutaj okazała się dla niego mało interesująca. Dlatego kazał wszystko przerwać, a sam odjechał jako pierwszy - przelotny uśmiech, na który mógłby patrzeć do końca życia, przemknął po twarzy Judith. - A może on i profesor pokłócili się, i Kaun ze złości wycofał całe pieniądze.

Stephen przez chwilę rozważał tę myśl. Nie, to nie pasowało do tego, co zauważył. Kaun nie wyjeżdżał wściekły. Wyglądał raczej na kogoś ruszającego do boju.

Potrząsnął głową.

- Zauważyłaś, że wciąż nie opróżnili miejsca znaleziska? To znaczy, że czekają jeszcze na kogoś, komu chcą pokazać zabytek. Dopiero potem wyjadą.

- To całkiem możliwe - Judith zmrużyła oczy. - O, to znowu ten Ryan. Popatrz tylko - czego szuka na parkingu?

Aż mnie ciarki przechodzą za każdym razem, gdy go widzę. Jakoś przypomina mi te wszystkie filmy o nazistach.

Stephen odwrócił od niej wzrok i też spojrzął w dół na parking. Ryan zachowywał się, jakby coś zgubił. Przemierzał wzdłuż rzędy luźno zaparkowanych samochodów i wpatrywał się w ziemię, szukając czegoś. Od czasu do czasu pochylał się, żeby zajrzeć pod któryś z wozów. Po pewnym czasie dał za wygraną i pomaszerował z powrotem do kontenera.

- Straciłaś kogoś z rodziny w holokauście? - zapytał cicho. - Wybacz, jeśli to zbyt niedyskretne pytanie.

- W porządku. Mój ojciec pochodzi z Węgier, jako jedyny z całej rodziny zdołał w porę zbiec do Ameryki. Całe jego rodzeństwo zginęło w obozach koncentracyjnych. Po niektórych nie zachowało się nawet

żadne zdjęcie.

- Nazwisko Menez nie ma węgierskiego brzmienia.

- To zamerykanizowana forma Mennassah, starego hebrajskiego imienia. Urzędnicy amerykańskiego biura imigracyjnego uznali je za zbyt skomplikowane.

'- A twoja matka?

.....

- Urodziła się tutaj. Mój ojciec przyjechał do Izraela po wojnie sueskiej, a ona była jego asystentką na wydziale historii. Tak się poznali. Później została jego asystentką z zakresu rodzenia dzieci. - Zabrzmiało to gorzko.

- Niezbyt dobrze układa ci się z ojcem.

- Nie. - Zacisnęła wąsko usta. - Nie, zupełnie źle. Nie znasz go. Przeczytał w życiu chyba z pięć milionów książek i po pierwszym milionie uznał się za mądrzejszego od całej reszty ludzkości. Zawsze prześladował nas pomysłami, które go akurat opętały. Kiedy byłam dzieckiem, chciał koniecznie udowodnić, że pod Starym Miastem Jerozolimy jest nie-odkryty korytarz wykuty w skale. Przedtem miał być tam prawdziwy grób króla Dawida. Potem wbił sobie do głowy, że musi zrekonstruować trasę wędrówki Izraelitów podczas ucieczki z Egiptu. Samotnie, oczywiście - spojrzała na niego z boku. - A ty i twój ojciec? Dogadujecie się?

Stephen wzruszył ramionami.

-Trudno powiedzieć. Kiedy byłem dzieckiem... We wspomnieniach zawsze widzę go siedzącego przy biurku. Jest adwokatem, wiesz? Otworzył własną kancelarię, gdy miałem dziewięć lat, i od tego momentu praktycznie nie widziałem go aż do ukończenia szesnastego roku życia. W tamtych czasach pracował regularnie ponad dwadzieścia sześć godzin na dobę, w każdym razie tak wynika z wystawianych przez niego rachunków.

- Dwadzieścia sześć godzin? - Potrzebowała chwili, by pojąć, jak to możliwe.

- To właśnie jest to, w czym adwokaci są lepsi od zwykłych ludzi - stwierdził Stephen. - Wiedzą, jak daleko mogą się posunąć i jakich wymówek trzeba w razie potrzeby użyć.

- Też nie brzmi zbyt zachwycająco.

- Zachwycająco to zdecydowanie nieodpowiednie słowo. Milczeli przez chwilę. Stephen opróżnił do dna swoją

szklankę i odstawił ją pod krzesło. Było bezlitośnie gorąco, nie drżał nawet najłżejszy powiew wiatru.

- Wiesz, co jest dziwne? - zapytał potem.

- Nie wiem, co tutaj nie jest dziwne.

- Wstrzymują wykopaliska. Mówią ludziom cześć, to by było na tyle, wielkie dzięki. Przyglądają się, jak jeden po drugim odjeżdża. A żaden nie przyjdzie do mnie i nie powie, panie Foxx, chcielibyśmy, żeby został pan jeszcze jakiś czas. Albo żeby zostawił nam pan przynajmniej swój numer telefonu, na wypadek, gdybyśmy mieli później jakieś pytania.

Patrzyła na niego, unosząc wysoko brwi.

- A to rani twoją dumę, czy jak?

- Nonsens. To oznacza, że już niczego się ode mnie nie spodziewają. Chodzi mi o to, że w końcu to ja znalazłem tę rzecz. Rozciąłem ją jak jakiś głupi poszukiwacz skarbów. Mogłoby na przykład się zdarzyć, że ktoś chciałby wiedzieć, jak to wyglądało przedtem. Jak leżało, gdy to znalazłem. Czy warstwa ziemi była naprawdę nienaruszona. Tego typu sprawy. Ale nie. Nikt nie chce nawet wiedzieć, co teraz zamierzam zrobić.

- Hm. A co zamierzasz? Stephen wzruszył ramionami.

- Dobre pytanie. Mogłbym oczywiście wynająć jakiś pokój w Jerozolimie. Z drugiej strony nie dowiedziałbym się wtedy nic o tym, co się tu będzie działo. Jeszcze nie wiem. Zależy też od tego, czego dowiemy się dziś wieczorem w laboratorium - obrzucił ją krótkim spojrzeniem i musiał zebrać całą odwagę, by zadać pytanie: - A ty? Zasepiła się.

- Jestem dość wkurzona na profesora. Tak po prostu wywalić nas na ulicę. Odnajęłam swoje mieszkanie na cały czas trwania wykopalisk jednej chińskiej studentce teologii - super, co? Teraz mogę albo wprowadzić się do brata, co by go z pewnością nie zachwyciło, albo do matki, co by nie zachwyciło mnie. Pewnie skończy się na tym, że zgłoszę się na pozostały czas na jakieś inne wykopy.

Znienacka słońce zdało się świecić jaśniej. Ależ dobre wieści! Stephen usiadł prosto, przesunął kapelusz słoneczny na kark, przysunął się krzesłem bliżej do niej i z na pół żartobliwą zuchwałością objął jej ramiona.

- Zostańmy tu, jak długo się da, niech mają z nami kłopot - zaproponował wesoło. - Zostańmy, aż nas nie wyrzucą.

Nie sprzeciwiała się objęciu, więc oczywiście zostawił ramię tam, gdzie było.

- Chciałam wykorzystać ten czas, żeby się zastanowić, czy rzeczywiście chcę studiować historię - oznajmiła zatopiona w myślach. - Czy robię to tylko dlatego, że taki jest zwyczaj w rodzinie. Prawdę mówiąc, gdy obserwuję, co się tu dzieje, zadaję sobie pytanie, czy nie powinnam raczej studiować

ekonomii. Albo w ogóle czegoś, na czym można zarobić pieniądze.

Stephen czuł ciepło jej ciała na swojej dłoni i jej włosy, miękko opadające na jego przedramię.

- Dobrze pytanie - odpowiedział.

Ojciec Łukasz siedział przy małym, białym stoliku i wpatrywał się w stojący na nim telefon. Był to kłocowaty aparat z czarnego bakelitu, stary, jak wszystko tutaj. Stół stał przy oknie wychodzącym na pokryty kurzem wewnętrzny dziedziniec. Brama była otwarta, gdyż znów nie znaleźli na zewnątrz miejsca na zaparkowanie małego, niebieskiego dostawczaka. W takich razach stawiali go w środku. Postanowił, że korzystając z okazji załadują wszystkie kartonowe pudła, od kilku dni zalegające gdzieś w kącie.

Telefon. Ojciec Łukasz przeniósł wzrok na notatnik leżący przy jego złożonych dłoniach, otwarty na pewnej stronie, na pewnym numerze telefonu, którego nie spodziewał się kiedykolwiek potrzebować. A już w żadnym razie nie tutaj, w tym najbardziej niepozornym klasztorze świata.

Już po raz setny, odkąd zaszył się w swoim skromnym, małym biurze, spojrzał na duży krucyfiks wiszący na ścianie między oknami. Jezus opuścił głowę, ale jego postać nie wyglądała już jak dzieło sztuki sakralnej, nagle jakby ożyła. Spod korony cierniowej zdawała się wypływać krew. Sprawiał wrażenie, jakby na niego patrzył, na niego, ojca Łukasza, franciszkańskiego mnicha, swego najędźniejszego sługę...

Czyżby to wszystko było tylko grą wyobraźni? Czyżby Meksykanin pozwolił sobie na okrutny żart? Nie. Widział, jak wstrząśnięty był ten mężczyzna, wyczuwał jego głęboką wiarę. Nie. Może go oszukano, tego nie mógł być pewny. Ale na pewno wierzył w to, co mówił.

Może...

Nagranie wideo ukazujące Jezusa Chrystusa! Wizja wstrzymująca dech w piersiach. Po prostu cud.

Może, szeptał cichy, cichutki głos w jego wnętrzu, może to właśnie powód, dla którego jest tutaj.

Może od samego początku była mu przeznaczona do odegrania rola w tym cudzie.

Pokornie wypełniał swą służbę małuczkim i dzięki temu okazał się godny dostąpienia takiej łaski.

Ktoś zapukał i drzwi otworzyły się. Był to brat Geoffrey.

- Bracie Łukaszu, powinniśmy powoli wyjeżdżać. Do hotelu w szabat przywożą świeży towar o wpół do piątej, doliczając załadunek starych rzeczy...

- Jeszcze chwilkę. Jedną chwilkę. Zaraz przyjdę. Muszę tylko zadzwonić.

- Dobrze.

Drzwi się zamknęły. Słuchawka ciążyła mu w dłoni.

John Kaun zaskoczony patrzył na swego włoskiego przedstawiciela, podczas gdy dalece nieprzystająca do jego rangi taksówka podskakiwała na drodze, dobrej może dla wozów bojowych rzymskich legionów, ale na pewno nie dla nowoczesnych samochodów. O ile w ogóle w przypadku tego zużytego pojazdu, którym Enrico Basso odebrał go z lotniska, można mówić o nowoczesności.

- Co to ma znaczyć, prałat?

- Prałat to honorowy tytuł nadawany szczególnie zasłużonym katolickim duchownym.

- Wiem. Ale chciałem rozmawiać z kardynałem. Najwyższym szefem finansów Watykanu.

- Najwyższym szefem finansów jest papież.

- Papież?

Basso głęboko odetchnął. Miał niezdrowo blady wygląd.

- Papież jest w zasadzie władcą absolutnym. Jego kompetencje obejmują wszystko. On tylko udziela pełnomocnictw.

- A kto w takim razie kontroluje papieża? -Bóg.

- A niech to diabli - wyrwało się Kaunowi. Wyrzał przez okno samochodu. Ruch był równie chaotyczny jak w Izraelu, lecz niebo zachmurzone, światło przytłumione - trochę tak, jak w pogodny dzień w Nowym Jorku. - Można powiedzieć, że to przewodniczący zarządu bez rady nadzorczej. I bez akcjonariuszy. Albo właściciel indywidualny. Pozazdrościć. Okay - a jakie ma stanowisko ten facet?

- Jest sekretarzem Prefektury Spraw Ekonomicznych Stolicy Apostolskiej.

- Co się kryje pod tą nazwą?

- To coś w rodzaju najwyższej izby kontroli, ustanowionej przez papieża Pawła VI w roku 1967. Ten urząd sprawdza wszystkie konta, wszystkie bilanse, wszelki ruch pieniędzy pod względem zgodności z prawem. Kierowany jest przez kardynała, który z kolei podlega kontroli gremium składającego się z pięciu innych kardynałów. Oprócz niego jest tam ośmiu pracowników i dwunastu doradców, wszystko ekonomiści, no i sekretarz, którym jest zawsze prałat.

Kaun w zamyśleniu przytaknął. Oczywiście, nie mógł oczekiwać, że taka instytucja jak Kościół Katolicki zostanie postawiona na głowie dla przewodniczącego zarządu jakiejś stacji informacyjnej o niewielkim znaczeniu. Nie, póki nie wypuścił jeszcze kota z worka. Nie, dopóki nie uzmysłowi im jasno, że w jego rękach, w rękach Johna Kauna, spoczywa być może cały przyszły los tego kościoła.

Dotarli do Watykanu. Ogromne, oszalałymi stare mury, majestatycznie wznosiły się przed nimi,

jakby próbowały wzbudzić w nich poczucie absolutnego braku jakiegokolwiek znaczenia. Wartownik z Gwardii Szwajcarskiej, ubrany w okropnie śmieszny mundur, skontrolował ich paszporty, sprawdził nazwiska na liście, zatelefonował i w końcu otworzył wjazd do środka Państwa Kościelnego. Naprzeciw im wyszedł człowiek w czarnej sutannie, dał znak, by szli za nim i poprowadził przez długie korytarze, gdzie na ścianach wisały niesamowite olejne obrazy, w górę i w dół po schodach, na ukos przez ogród, przez krużganki i obok starej fontanny, a z każdym krokiem Kaun coraz bardziej uświadamiał sobie, z jak potężnym przeciwnikiem ma się zmierzyć. To nie jest jakieś wyniszczone wydawnictwo, doprowadzone do ruiny przez synów założyciela, które można wykupić za niewielkie pieniądze; ani fabryka ziemniaczanych chipsów, którą zdołałby wchłonąć za pomocą kilku sprytnych manewrów - tu miał mieć do czynienia z organizacją, której potęga wynika już choćby z samego czasu jej istnienia. Prowadzenie interesów z Kościołem Katolickim: to tak, jakby ktoś chciał kupić Himalaje.

Równocześnie wzrósł jego szacunek dla Basso. Ten człowiek rzeczywiście musi mieć stosunki dosłownie wszędzie, do tego zdołał je niezwykle umiejętnie wykorzystać, by w takim tempie zorganizować tę rozmowę. Jest dobry. Naprawdę cenny.

Kaun poczuł, jak jego żołądek napręża się i twardnieje, jakby zmieniał się w czystą stal. Znał to uczucie. Oznaczało gotowość do walki.

Biuro prałata Guiseppe Genaro było zaskakująco małe. Meble zdawały się bez wyjątku pochodzić ze średniowiecza, masywne, ciemne stoły, szafy i krzesła, nawet sam dywan musiał być wart bajecznie dużo.

- Słucham - niezycliwym tonem odezwał się duchowny, gdy zajęli miejsca. Jego angielski dźwięcznie barwił się silnym włoskim akcentem.

Przyglądał się im przy tym ciemnymi, małymi jak u żółwia oczami i nieustannie poruszał dolną szczęką. Kaun pochylał się lekko do przodu, objął rozmówcę spojrzeniem - manewry sprawdzone przy niezliczonych stołach konferencyjnych na całym świecie - i zaczął:

- Sir, nazywam się Kaun, jestem przewodniczącym zarządu *Kaun Enterprises*. Moje przedsiębiorstwo dysponuje...

Wysuszony staruszek machnął niecierpliwie ręką.

- Tak, tak, wiem to wszystko. Czego pan chce? Wydawało się, że prałat w budzący zakłopotanie sposób pozostaje nieświadom rangi swego gościa. Kaun odetchnął głęboko. Z pewnością jedno było jasne: ten obrzydliwy gnom w oprawionych w cienki drut okularach w stylu Heinricha Himmlera i przerzedzonych włosach stanowi przeszkodę, w żadnym razie nie jest partnerem. Należy go pokonać, nie przekonać.

- Moje przedsiębiorstwo finansuje wykopaliska w Izraelu, którym przypisuje się duże znaczenie. W trakcie prac wykopaliskowych trafiliśmy na ślad przedmiotu z czasów Jezusa, którego znaczenie dla kościoła katolickiego może okazać się decydujące - oznajmił Kaun i kierowany nagłym porywem śmiałości dodał: - Tak decydujące, że chciałbym o tym pomówić z papieżem.

Zaręczył, jak obok niego Basso z przerażenia wstrzymuje oddech.

Duchowny osunął się na wysokie oparcie krzesła, budząc niemal obawę, że w każdej chwili może ześliznąć się pod stół zza wytartych okładek akt. Jego żółwie oczy zwięzły się jeszcze bardziej, gdy wnikliwie przyglądał się Kaunowi.

- A cóż to za... przedmiot? - zapytał. Jego głos pobrzmiwał nieprzyjemnie metalicznym pogłosem.

- Jak wspominałem, jeszcze go nie mamy. Lecz już wkrótce będziemy go mieć. W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że prawdopodobnie wykaże on w sposób nie budzący wątpliwości, czy Zmartwychwstanie Jezusa miało miejsce naprawdę - Kaun dla zwiększenia efektu wstrzymał głos na ułamek sekundy, po czym dokończył: - Czy też nie.

Prałat ułożył palce dłoni przed sobą na krawędzi stołu, jakby przygotowywał się do gry na pianinie i zastanawiając się bębnił nimi cicho po blacie.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co ma pan nadzieję znaleźć - oznajmił w końcu.

- Ale z pewnością zgadza się pan ze mną, że miałyby to doniosłe znaczenie dla kościoła? - odparł Kaun.

Spojrzenie tamtego pozostało chłodne.

- Przykro mi, nie.

- Nie? - Stał w podbrzuszu zaczęła drgać, jak miecz podczas walki. - Proszę wybaczyć, sir, ale mógłby mi pan to wyjaśnić? Powiedziałem, że jesteśmy na tropie historycznego dowodu, który pozwoli ustalić raz na zawsze, czy Jezus powstał z martwych, czy też nie. W jakiej mierze kościół mógłby to zignorować?

- Zmartwychwstanie Chrystusa jest objawioną prawdą wiary. Nie zależy od dowodów naukowych, które w istocie zawsze są tylko interpretacją doczesnych obserwacji.

- Mój samolot czeka na mnie na rzymskim lotnisku. Ktoś mógłby przyjrzeć się temu, co znaleźliśmy - jakiś kardynał, pański zaufany ekspert od historii, jeśli chodzi o mnie, może to być sam papież. Jeszcze dziś wieczorem. Zaraz. Lot trwa dwie i pół godziny, jazda na teren wykopalisk godzinę. O północy

mógłby tu być z powrotem.

- Ojciec Święty musi dźwigać nadludzki ciężar różnorodnych obowiązków - oznajmił sekretarz. - Poza tym jest bardzo chory. Całkowicie wykluczone, by kierując się spontanicznym kaprysem, poleciał gdziekolwiek. - Kwaśny wyraz twarzy zdawał się potwierdzać, że nie ma wysokiego mniemania ani o kaprysach, ani o spontaniczności. - To samo w zasadzie dotyczy także kardynałów.

- Więc proszę pozwolić mi zabrać jakiegoś naukowca. Jest przecież Papieska Akademia Nauk. Niech poleci ktoś stamtąd.

- To nie leży w zakresie moich kompetencji.

- A czyich?

- W zasadzie Jego Świątobliwości. Kaun westchnął.

- No pięknie. Czy mogę przynajmniej z nim porozmawiać?

- Jeżeli życzy pan sobie uzyskać audiencję u papieża, musi się pan zwrócić do Prefektury Domu Papieskiego. - Małe oczka błysnęły chłodno zza okularów w cienkich oprawkach. - Czynna będzie w poniedziałek.

To niepojęte.

- Niech pan posłucha, do tego czasu pewnie już odkopimy ten przedmiot. Może zwołamy też pierwszą konferencję prasową. I może to, co wtedy będziemy mieć do powiedzenia, wcale nie spodoba się Jego Świątobliwości. Bo może udowodnimy, że wszystko odbyło się zupełnie inaczej, niż napisano w Biblii, i wierni jego kościoła zaczną go tłumnie opuszczać.

- Prawda, panie Kaun - wycedził duchowny przez zaciśnięte usta - nie jest demokratyczna. Nawet, jeżeli stałoby się to, o czym pan wspominał - a jestem przekonany, że do tego nie dojdzie - w żadnej mierze Święty Kościół Katolicki nie mógłby uznać tego za pretekst do głoszenia czegoś odmiennego od tego, co od dwóch tysięcy lat stanowi treść wiary.

- Prawda jest taka - odparł Kaun - że nikt jej nie zna i wszyscy jej tylko szukamy. W to właśnie wierzę. Prałat splótł przywiędłe dłonie.

- W takim razie żal mi pana, panie Kaun.

Kaun musiał opanować się, by nie dać upustu swym uczuciom. Ten facet tutaj, to pewne, nie jest odpowiednim partnerem do negocjacji, nie nadaje się nawet na uzyskanie dojścia do kolosa, jakim jest kościół. Tu nic nie zdziała. Każde kolejne słowo to tylko strata czasu.

Rzucił okiem na Basso. Przysadzisty mężczyzna był bładny jak bielona wapnem ściana, na czoło wystąpiły mu drobniutkie kropelki potu.

- Chodźmy - powiedział.

Ryan usiadł tak, by móc obserwować parking przez okienną szybę, której, jak wiedział, z zewnątrz nie można było przeniknąć wzrokiem. Jeżeli dziś wyjadą, chce wiedzieć, dokąd.

Na kolanach trzymał płaskie urządzenie, przypominające jeden z tych popularnych niegdyś przenośnych telewizorów. Oczywiście nie był to telewizor. Raz po raz załączał ów przyrząd, wówczas na monitorze pojawiał się jasny punkt, oddalony od dokładnego środka ekranu o około półtora centymetra. Gdy poruszał urządzeniem, punkt wędrował w przeciwnym kierunku. Tak, jakby zawsze starał się wskazywać na parking. To naturalnie nie był przypadek, gdyż tam właśnie stał samochód, pod którego błotnikiem umieszczono stosowny nadajnik. Wynajęty samochód. Samochód Stephena Foxxa, mówiąc ściślej.

Zatem Ryan czekał. Był specjalistą od czekania. Jeżeli trzeba, potrafił przez wiele godzin siedzieć tak nieruchomo, że ledwie można było zauważyć choćby mrugnięcie powieką czy unoszenie się klatki piersiowej przy oddychaniu. Gdy śledzi się ludzi, trzeba umieć czekać.

Tym razem trwanie w bezruchu nie było takie ważne. Wystarczyło nie odrywać wzroku od parkingu. Początkowo przysłuchiwał się stłumionym odgłosom pracy biura, dobiegały go strzępy rozmów telefonicznych i stukot komputerowych klawiatur, potem jednak przestał je sobie uświadamiać. Dla kogoś, kto potrafi czekać, w pewnym momencie przestaje istnieć nawet sam czas, ten stan nie jest zresztą nieprzyjemny.

Musiał więc spojrzeć na zegarek, gdy Stephen Foxx i Judith Menez wreszcie się pojawili, wsiedli do samochodu i ruszyli. Parę minut przed wpół do ósmej.

Ryan sięgnął po kluczyki samochodowe, leżące w pogotowiu obok niego na biurku.

Okiennice wysokiego okna pokoju biurowego, który w ogóle nie istniał na oficjalnych planach budynku, były szeroko otwarte. Z oddali dobiegały odgłosy nocnego Rzymu, odrobinę głośniejsze od brzęczenia owadów, daremnie próbujących przedostać się do wnętrza przez siatkę moskitiery. Paradoksalnie owe ciche dźwięki potęgowały wrażenie absolutnej ciszy, panującej w tym skrzydle pałacu apostołskiego.

Luigi Battista Scarfaro był chudym, wysokim Sycylijczykiem. Jego dobitny, haczykowany nos, wysokie czoło z zaczesanymi nad nim do tyłu czarnymi włosami i wąskie, bezkrwiste usta nadawały jego twarzy wygląd arystokraty, który jeszcze podkreślała sutanna. Miał trzydzieści sześć lat, wyglądał jednak na starszego. W jego rodzinie istniał obyczaj, że jeden z synów wstępował na służbę w Stolicy Apostolskiej,

miało to zrekompensować fakt, iż wszyscy pozostali krewniacy pracują dla mafii, zaś Luigi był właśnie tym, kogo w jego pokoleniu wyznaczono na kontynuatora owej tradycji. Chcąc się ustrzec przed innym rodzinnym obyczajem, mianowicie tym, że wszyscy we względnie młodym wieku zapadali na ciężki artretyzm, zachowywał ściśle wegetariańską dietę, nie palił ani nie pił alkoholu. Mimo to jego palce szpecily już charakterystyczne guzowate stawy, miał również słabe zęby. Cóż, tradycje mają w sobie coś z fatum.

Siedział przy swym wielkim biurku, którego blat uprzątnięto, pozostawiając jedynie masywną, mosiężną lampę, jedyne źródło światła w wysokim, obszernym pokoju, oraz podkładkę do pisania w kolorze burgundzkiej czerwieni. Leżały na niej dwie kartki papieru, ułożone równo jedna przy drugiej. Od wielu godzin czytał je wciąż na nowo i rozmyślał.

W sekretnych pomieszczeniach tej instytucji to czy owo mogło sprawiać staroświeckie wrażenie, lecz pracujący tu mnisi i księża mieli dostęp do największych istniejących na świecie zasobów wiedzy o sposobach zdobywania i przekazywania tajnych informacji. Tutaj używano sekretnego pisma już wówczas, gdy reszta ludności nie umiała nawet czytać. Stojące na regałach foliały były stare i zakurzone, zawierały jednak prawdziwą historię ostatnich dwóch tysięcy lat. Gromadzenie informacji i ujmowanie ich w formę raportów odbywało się w beznamiętnej służbie dla dobra Kościoła, dlatego owe raporty były z reguły równie godne zaufania, co precyzyjne.

Te dwie kartki przyprawiły go o zamęt w głowie.

Jedna zawierała notatkę z Prefektury Spraw Ekonomicznych Stolicy Apostolskiej. Sekretarz prefektury, prałat Genaro, przeprowadził rozmowę z amerykańskim przemysłowcem nazwiskiem John Kaun, który zjawił się u niego i oświadczył, że podczas wykopalisk w Izraelu dokonano znaleziska z czasów Jezusa, i że ów artefakt może jakoby stanowić dowód potwierdzający bądź zaprzeczający prawdzie o Zmartwychwstaniu - który z tych dwóch, tego powiedzieć nie mógł, z powodów nie wymienionych w krótkim memorandum.

Zajście tego rodzaju nie musiało budzić zainteresowania. Stale zdarzało się, że jacyś obłąkańcy zwracali się do Watykanu, wygłaszając kompletnie szalone teorie. Wykopaliska to tylko jedna z wielu dziedzin. Co jakiś czas pojawiał się ktoś uważający się za prawdziwego Zbawiciela i wpadał potem w całkowicie nieboski szal, gdy zamiast papieża, mającego złożyć mu hołd, pojawiała się trzech sanitariuszy, zabierających go do szpitala. Inni znów mieli wizje, w których objawiała im się przeważnie Matka Boska i wyznaczała do spełnienia najdziwniejsze misje, z reguły z uwagi na bliski już koniec świata. Tak, i wykopaliska. Były już takie, według których Jezus miał żyć w ósmym stuleciu w Ameryce Południowej. Po Zmartwychwstaniu powędrował do Tybetu. Na długo przed urodzeniem działał jako jeden z biblijnych proroków.

Tego rodzaju szaleńcze wizje nie były przypisane wyłącznie jakimś określonym warstwom społecznym. Religijne opętanie mogło stać się udziałem zarówno bogatego, jak biedaka, uczonego i analfabety - w dokumentach, które zgromadzono, można było napotkać przedstawicieli wszelkich zawodów, w rozmaitym wieku, różnych ras i płci. Uwzględniając to wszystko, wizyta amerykańskiego medialnego przemysłowca nie była warta nawet wzmianki. Bywali w końcu już prezydenci, którzy sądzili, że prześladowuje ich wcielony diabeł, i tacy, którzy mieli się za boskich wysłanników.

Wart wzmianki był jedynie fakt, że John Kaun z wszystkich możliwych punktów zaczepienia zwrócił się akurat do Prefektury Spraw Ekonomicznych.

Tak, jakby sądził, że jego znalezisko zostanie od niego z entuzjazmem odkupione.

No, i była jeszcze ta druga kartka. Scarfaro złożył palce w kształt spadzistego dachu, podparł podbródek na palcach wskazujących i po raz setny odczytał tekst.

Informacja pochodziła od franciszkańskiego zakonnika z Jerozolimy. W gruncie rzeczy nie miała sensu. Mnich donosił, że odwiedził go mężczyzna zatrudniony na wykopaliskach na zachód od Jerozolimy. Przypadkiem chodziło o wykopaliska finansowane przez Johna Kauna.

Ów człowiek - Amerykanin meksykańskiego pochodzenia - w zaufaniu powiedział ojcu Łukaszowi, co znaleziono na terenie tych wykopalisk.

Podobno.

21

Z wymienionych na wstępie powodów konieczne było dość raptowne wstrzymanie prac. Nie wydobyte zabytki oznaczono i przykryto warstwą piasku. Wydobyte artefakty dostarczono do zbiorów Muzeum Rockefellera (Nr inw. 1003400 do 1003499), za wyjątkiem obiektu omówionego w rozdz. XII.

Profesor Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Noc zapadła jak zwykle szybko, niemal bez zmierzchu. Wraz z jej nastaniem kończył się szabat i Stephen miał wrażenie, że intensywność ulicznego ruchu wzmogła się również z sekundy na sekundę, bez żadnej przejściowej fazy. Zaledwie zrobiło się na tyle ciemno, że trzeba było włączyć reflektory, wszędzie wokół pojawiły się auta, jakby za rogami ulic lub w jakichś kryjówkach niecierpliwie czekały na koniec wolnego dnia i jechały teraz, jakby miały silne postanowienie nadrobić spowodowane beczynnością zaległości.

Dzisiejszego ranka wprost nie mógł się doczekać, kiedy nareszcie będzie mógł wrócić do laboratorium i kontynuować pracę nad odcyfrowaniem listu z przeszłości. Lecz w ciągu dnia tak wiele rozmyślał o różnych możliwościach, znaczeniach i teoriach, że w pewnym momencie jego mózg jakby się zaczołował. Teraz po prostu jechał, pozwalając sprawom toczyć się samym.

Obrzucił Judith krótkim spojrzeniem. Zatopiona w myślach wpatrywała się w ciemność iskrzącą się od przemykających obok świateł reflektorów.

- Żałujesz? - zapytał.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć, o co mu chodzi.

- Nie. Myślę, że tak jest lepiej.

- Ja na twoim miejscu wprowadziłbym się do Yehoshui. Właśnie próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym nagle zadzwonił do mojej matki i powiedział, że wpadnę ją odwiedzić na dwa miesiące. Wciąż by sprzątała i prała i gotowała i skakała wkoło mnie, doprowadzając mnie do obłędu, a wszystko tylko z matczynej troski. Nie, dziękuję, już wolę mieszkać pod mostem.

- Jeśli zamieszkać u Yehoshui, to nie minie pewnie nawet pięć dni, a to ja będę sprzątać, prać i gotować. Nie wyobrażasz sobie, jak wygląda jego kawalerka. W kuchni nie tknęłabym niczego inaczej, jak szczypcami, a żeby naprawdę doprowadzić do porządku jego pokój, trzeba by użyć miotacza ognia. To już wolę do matki. Tam przynajmniej jest czysto i to ona będzie mnie karmić, a nie na odwrót.

- Dobry argument - przyznał Stephen.

Obróciła się na siedzeniu, mogła teraz widzieć jego profil.

- Ciekawa jestem, jak ty mieszkasz u siebie w domu.

- Bardzo ładnie. Chętnie bym ci zaproponował moje mieszkanie, ale niestety jest pięć tysięcy mil stąd.

- Czy nie wspominałeś, że mieszkasz w uniwersyteckim kampusie? W takim razie masz przecież tylko małe pokoiki.

- Inni mają małe pokoiki. Ale jest mieszkanie gospodarza domu, pięknie położone na dachu budynku, z widokiem na las i jezioro za lasem, puste, odkąd uniwersytet oszczędza na kosztach personelu i zatrudnia o jednego dozorcę mniej. Cudownym zbiegiem okoliczności zaproponowano mi je, a ja oczywiście przyjąłem.

- Cudownym zbiegiem okoliczności. Ach, tak.

- Dwa i pół pokoju, duże, jasne, z wnęką kuchenną i zadaszonym tarasem. Też byś przyjął.

- Zawsze o oczko wyżej, jak zwykle. A jak czyste są te twoje dwa i pół pokoju?

- Dość czyste.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś jedynym mężczyzną na ziemi, który sprząta swoje mieszkanie?

Stephen skrzywił się w lekkim uśmiechu.

- Nie. Jestem jedynym studentem w kampusie, który może pozwolić sobie na sprzątaczkę.

- No jasne. O co ja pytam. - Znów odwróciła się w przód. Stephen zastanawiał się, czy nie popełnił taktycznego

błędu. Jego elegancko urządzone mieszkanie działało zwykle na młode studentki jak silny afrodyzjak, lecz im mógł je pokazać, a nie tylko o nim opowiadać. Kiedy opowiadał, nawet najprawdziwsza prawda brzmiała jak przechwątka.

Jednak Judith wydawała się mieć myśli zajęte całkiem innymi sprawami.

- Po prostu próbuję nie dramatyzować - oznajmiła po chwili z westchnieniem. - Mam na myśli to z moją matką. Jest okay, w zasadzie. Jasne, robiłam wszystko, co mogłam, żeby zamieszkać osobno. To znaczy, wszystko oprócz małżeństwa. Tak byłoby najprościej. I w zasadzie udało mi się przecież - mam własne mieszkanie, własne życie. To tylko na kilka tygodni. Dlaczego córka nie miałaby przez kilka tygodni pomieszkać w domu swojej matki? - roześmiała się. - Wiesz, co mi powiedziała? Wczoraj wieczorem zadzwonił do niej mężczyzna i wypytywał o mnie. Uważa to za znak opatrności, to chyba

jasne.

- Co za mężczyzna? Dawny wielbiciel, czy kto?

- Nie sądzę. Nie ma ich tak wielu. Poza tym powiedziała, że mówił tylko po angielsku, nie znał hebrajskiego.

Z grzmiotem minęła ich cysterna.

Jedno z kół podskoczyło na wyboju.

Stephen uważnie spojrzął w lusterko wsteczne, zastanowił się chwilę, zagryzając dolną wargę i ponownie podniósł wzrok na lusterko.

- O co chodzi? - przerwała milczenie Judith. - Zrobiłeś się zazdrosny, czy co?

Stephen wyjął z kieszeni telefon komórkowy, włączył go i wystukał kciukiem numer PIN.

- Znasz numer telefonu, pod którym można złapać twojego brata w instytucie?

- Tak, dlaczego? Podał jej aparat.

- Zadzwoń do niego.

Ryan jechał za nimi poza zasięgiem wzroku, tylko raz, krótko po tym, jak skręcili w ruchliwą drogę szybkiego ruchu w kierunku Jerozolimy, podjechał bardzo blisko, by się upewnić, czy granatowy mały Fiat, za którym jedzie, rzeczywiście należy do Stephen Foxxa i czy w jego wnętrzu naprawdę siedzi właśnie on ze swoją przyjaciółką, potem znów został w tyle. Nie musiał się obawiać. Urządzenie, które podrzucił na siedzenie pasażera, nie pozwoli mu zgubić tropu.

To właśnie była ta część jego pracy, którą uważał za najbardziej podniecającą. Polowanie na ludzi. Spośród wszystkich zwierząt człowiek jest najbardziej niebezpieczny, gdyż stanowi jedyną łowną zwierzynę dorównującą myśliwemu. Nawet teraz, na tej małej, niewinnej wycieczce, czuł buzujące we krwi wspomnienia innych, bardziej pełnych napięcia chwil. Medycy nazywali to adrenaliną, dla niego jednak było to tylko jeszcze jedno słowo na określenie życia. Mężczyzna żyje naprawdę tylko wówczas, gdy poluje.

Jechali z równomierną prędkością, pozwalali wyprzedzać się wielkim brykom, których kierowcom najwyraźniej bardzo się spieszyło. Zmierzch trwał krótko i odgąd nad krajobrazem rozpostarła się noc, podążał już tylko za parą tylnych reflektorów. Bez swojego odbiornika sygnałów radiowych łatwo mógłby ich zgubić.

Czego tych dwoje szuka w Jerozolimie? Co robili tam wczoraj? Co para młodych ludzi może robić w szabat w Świętym Mieście? Nie byli u matki Judith Menez. Może ktoś zaprosił ich na przyjęcie - ale po co w takim razie dziś wieczorem jechali tam znowu? Może wynajmowali pokój w studenckim hoteliku, ale jeżeli chodziło im o seks, mogli przecież przez cały dzień robić to w namiocie Foxxa. Jakkolwiek próbował podejść do tematu, nie mógł doszukać się sensu.

Ryan nie znosił, kiedy działy się rzeczy, których nie rozumiał. Doświadczenie mówiło mu, że wtedy w rzeczywistości dzieją się rzeczy, o których nie wie.

Jerozolima pojawiła się w zasięgu wzroku. Rzucił wzrokiem na ekran odbiornika radiowego. Jasny punkt znajdował się wciąż tam, gdzie należało.

- Masz niezadowolony głos.

- Tak - przyznał Eisenhardt, przeczesując rozcapierzonymi palcami posklejane od potu włosy. Coś chyba szwankowało w klimatyzacji. Słuchawka telefonu była nieprzyjemnie wilgotna w miejscu, gdzie dotykała ucha. - Mam poczucie, że siedzę tu bezużytecznie. I boję się, że w końcu narobią mi wstydu i wyrzucą z rumorem, bo nie spełniłem jakichś oczekiwań, których nigdy nikt konkretnie nie sformułował. Jak u Kafki - proces, w którym główny bohater nigdy się nie dowiaduje, jakie właściwie zarzuty mu postawiono.

- Ale masz powrotny bilet. Możesz odejść w każdej chwili, jeśli źle się tam czujesz - powiedziała Lydia.

- I jeszcze coś, może to pozwoli ci się lepiej poczuć: honorarium za pierwsze pięć dni wpłynęło dziś na konto. Prawie dwadzieścia tysięcy marek. Akurat bardzo nam się przydadzą.

- Dwadzieścia tysięcy?

- Dziesięć tysięcy dolarów, po przeliczeniu. I do tego VAT. Wszystko się zgadza. - Lydia była w ich rodzinie ministrem finansów. - W każdym razie, jeśli dałbyś radę wytrzymać jeszcze kilka dni, nie byłoby tak źle.

- Hm, tak. W zasadzie jest w porządku...

- No, więc.

- Jak sobie radzisz beze mnie? Usłyszał jej śmiech.

- Och, prawdę mówiąc, czy siedzisz nad pisaniem powieści w swoim gabinecie, czy w Izraelu, nie sprawia mi wielkiej różnicy.

- Dziękuję. Tego mi jeszcze tylko było trzeba. - Poczł niemal bolesną tęsknotę za nią, za jej ciałem, za zapachem włosów i dotykiem skóry. - Brakuje ci mnie czasem, przynajmniej odrobinę?

Przerwa. Potem odezwała się głębszym, nieco zmienionym głosem:

- Każdego wieczora.

- Tak, jak mnie. Milczeli przez chwilę.
- Nie mam bladego pojęcia, o co właściwie chodzi w tej całej sprawie - stwierdziła wreszcie Lydia. - Powiedziałeś, że jesteś na wykopaliskach, że znaleziono coś ważnego - od tamtej pory cały czas się zastanawiam, czego ty tam właściwie szukasz. Chodzi mi o to, że gdybyś choć pisał powieści historyczne... Ale autor science fiction? Nie rozumiem. Dla mnie to nie ma sensu.
- Peter Eisenhardt ociągał się. Było coś, co po prostu musiał z siebie wyrzucić. Choćby tylko po to, żeby pozwolić, by żona rozwiała jego obawy na swój uspokajający sposób, jak robiła zawsze, gdy zbyt unosił się fantazją.
- Wiesz, co mnie tu doprowadza do rozpacz? Chodzi o to, że podejrzewam...
- W kontenerze zajmowanym przez centralę, w chwili, gdy Peter Eisenhardt podniósł słuchawkę swego telefonu, zaczęła obracać się szpula magnetofonu. A teraz odwinął się ostatni kawałek taśmy, przesunął przez obudowę głowicy i zaczął klap, klap, klap obracać się wraz z pełną szpulą. Zwróciło to uwagę technika. Odłożył na bok brukowca, którego właśnie czytał, wstał ociężale i wyłączył magnetofon. Zdjął pełną szpulę i włożył ją do odpowiedniego plastikowego pudełka, przełożył pustą szpulę na drugą oś i sięgnął po nieużywaną taśmę, by zdjąć z niej ochronną folię. Starannie wypełnił etykietę wpisując numer jednostki nagrywającej, datę i godzinę, po czym założył szpulę i zamocował taśmę. Przez cały czas z małego, wbudowanego głośnika dobiegał głos Eisenhardta.
- ...że zainscenizowano tu wielkie oszustwo. Ten profesor, który kieruje wykopaliskami, nie jest już najmłodszy. Może to ostatnie takie przedsięwzięcie w jego życiu. Dowiedziałem się też, że choć kopie w Izraelu od końca lat sześćdziesiątych, nie ma żadnych wartych wzmianki osiągnięć. To tutaj jest więc chyba jego ostatnią szansą.
- I myślisz, że sfalszował znalezisko.
- Nie wiem. Coś tu śmierdzi i to mnie niepokoi. Lydia westchnęła.
- Uważaj na siebie, dobrze?
- Dobrze, postaram się.
- Taśma zaczęła obracać się znowu w momencie, gdy Eisenhardt kończył rozmowę z żoną i tuż potem zatrzymała się. Technik poczłapał z powrotem do swego krzesła i sięgnął po książkę.
- Z rozmowy, którą właśnie usłyszał, nie zrozumiał ani słowa. Znał tylko angielski, nie mówił po niemiecku. Ryan wyłączył reflektory, zgasił silnik i pozwolił samochodowi toczyć się kilka metrów, nim go zatrzymał. Na razie nie wysiadał.
- Parking po przeciwnej stronie ulicy był pusty. Pusty, jeśli nie liczyć małego Fiata, zaparkowanego przy rozrośniętym krzewie. Punkt świetlny na monitorze Ryana wskazywał dokładnie w tamtym kierunku.
- Wszystko wokół pogrążone było w ciszy. Żadnego, nawet najmniejszego ruchu. Ryan poczekał, aż w zasięgu wzroku nie będzie żadnego samochodu i przeszedł przez ulicę.
- Tam przystanął, starając się wyglądać jak nieszkodliwy przechodzień, równocześnie rozglądając się i wietrząc dobiegające zapachy. W powietrzu unosił się odór spalin, kurzu i ścieków zmieszany z daleką, oszałamiającą wonią rozkwitłych kwiatów. Auto stało, pogrążone w ciemności.
- Coś się nie zgadzało.
- Ryan obserwował już samochody, w których na tylnych siedzeniach zabawiały się parki. Nigdy nie odbywało się to bez znacznego udziału zderzaków. To po prostu można było usłyszeć.
- Ryan podszedł do samochodu, nie za wolno, nie za szybko, niespiesznym, spokojnym krokiem. Było tak, jak podejrzewał. Tylnie siedzenie puste, na przednich fotelach także nie siedziała żadna trzymająca się za rękę parka. Auto było opuszczone.
- Cholera - mruknął Ryan.
- Rozejrzał się. Znajdował się, jeśli wierzyć planowi miasta, w dzielnicy rządowej. Dostrzegał długi budynek Ministerstwa Finansów, dalej fragment Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i dach Knesetu, siedziby izraelskiego parlamentu. Czego, na Boga, mogła szukać para młodych o tej porze w takim miejscu?
- To wszystko wciąż było pozbawione sensu.
- Lecz wystawanie tutaj również nie miało sensu. Ryan wrócił do swego samochodu, siadł za kierownicą, poprawił siedzenie i czekał. Potrafił czekać. Był w tym ekspertem.
- Yehoshuah nie krył niezadowolenia wioząc ich przez miasto. Do tego wszystkie światła uliczne jakby się zmówiły, by tuż przed nimi przełączać się na czerwone. Judith siedziała na tylnym siedzeniu i dobrze się bawiła. Wreszcie Stephen westchnął.
- To było tylko podejrzenie, nic więcej - okay? Nie chciałem ryzykować. Ten Ryan kręcił się przez pół popołudnia między autami. Wczoraj wieczorem do waszej matki dzwonił ktoś, kto nie znał hebrajskiego, tylko angielski. Jak uważasz, w tej sytuacji można chyba przyjąć, że ktoś nas śledzi, prawda?
- Jasne - mruknął Yehoshuah.
- A jeśli w moim samochodzie umieścił nadajnik sygnałów, to na pewno nie tak, żebym go od razu znalazł. A już na pewno nie po ciemku.

- No pewnie. Przepraszam - gdybym wiedział, kim naprawdę jesteś, to schłodziłbym Martini. Wstrząśnięte, nie mieszane.

Musiał długo uspokajać Basso. Ten człowiek był naprawdę u kresu sił i to z pewnością nie jego wina, że ich wysiłki speliły na niczym. Przemawiał do niego uspokajającym tonem, wychwalał, potem kazał go zawieźć do domu, żeby nareszcie mógł się wypaść. Teraz stał na balkonie swojego hotelowego apartamentu z dużą szklanką whisky w dłoni, spoglądał na pogrążony w ciemnościach nocy Rzym i próbował sam sobie wyjaśnić, jak doszło do tego, że wszystko popsuł.

No, bo popsuł. Wkroczył na Watykan niczym kompletny żółtodziób spodziewając się, że zdobędzie tę największą twierdzę świata szarżą z zaskoczenia - on, John Kaun, menadżer następnego wieku. Gejzer energii kinetycznej. I przez tę energię kinetyczną nie odrobił nawet zadania domowego. Z trudem powstrzymywał się, żeby z wściekłości nie roztrzaskać na podłodze szklanki whisky.

Tak, jakby przed jakąkolwiek inną ważną rozmową zadowolił się przestudiowaniem danych ekonomicznych przeciwніка. Dane ekonomiczne to martwe liczby bez znaczenia. Ludzie - to oni się liczą! Czy to nie jedna z jego żelaznych zasad, by nigdy nie spotykać się z nowym partnerem w interesach nie dowiedziawszy się dokładnie, z kim będzie miał do czynienia, bez poznania jego mocnych i słabych stron, jego marzeń i obaw? Tak, na przykład, zdobył „South African Times”. Wiedział, że Lawrence Trumbull, właściciel w podeszłym wieku, wzbrania się przekazać prowadzenie gazety swemu synowi -mógł więc namówić go na sprzedaż. Potem udało mu się zbić wymienioną przez Trumbulla cenę dzięki temu, iż wiedział, że tamten jest fanem Ferrari. Za przepisanie na niego zakupionych kiedyś tanio udziałów w Ferrari, z którymi i tak nie wiedział, co począć, i za załatwienie mu miejsca w radzie nadzorczej, południowoafrykański król gazetowy był gotów wręcz podarować mu swoją firmę.

Tak, to był sukces. A teraz, przy może największym i najważniejszym interesie swego życia, parł tylko ślepo do celu, nie wiedząc, kto i ile ma do powiedzenia w hierarchii firmy, kto pociąga za sznurki i kto ukrywa pod sutanną ciemne sprawy.

Energia kinetyczna? Był nazbyt chciwy. Chciał wszystkiego naraz. Wielu ludzi zdołało już zadać mu straty, lecz jeszcze nikt nigdy nie zaszkodził mu tak, jak teraz zaszkodził sobie sam przez tę gorączkową, powodowaną manią wielkości niecierpliwość.

Cóż. Wypił do dna whisky i poczuł, jak przyjemnie pali go w gardle. Poleci Basso dalej zajmować się tą sprawą i w odpowiednim momencie wróci i wygra, jak ostatecznie zawsze wygrywa. A teraz pora już iść do łóżka, nawet, jeżeli oznacza to, że potem nastąpi poranek - wlokący się, pełen udręki poranek.

Stephen zapamiętał laboratorium w Instytucie Rockefellera jako mroczną, nieprzytulną piwnicę i zaskoczyło go, jak jasne i miłe jest w rzeczywistości to chłodne pomieszczenie. Przez mgnienie oka zastanawiał się, czy zmienił się jakoś wystrój wnętrza, póki nie uświadomił sobie, że to on dzisiejszego wieczoru jest znacznie bardziej wypoczęty niż wczoraj. Wczoraj przyjechali tu po męczącym dniu pracy w piekącym słońcu i siedzieli potem do wpół do piątej rano - nic dziwnego, że wspomnienie nie może być przyjemne.

- Wczoraj trochę się pospieszyliśmy - oznajmił Yehoshuah, wyjmując kuwetę z pierwszą kartką z szuflady, w której zamknął ją, gdy zadzwonili do niego, by umówić się na parking w zupełnie innej części miasta. Teraz wyglądało na to, że zapomniał już o swojej irytacji z powodu przerwanej pracy. - Z tym zdaniem *Jeżus nigdy nie żył*. Było wyrwane z kontekstu.

- Ach - mruknął Stephen.

Yehoshuah przesunął płaską plastikową wanienkę pod lampę ultrafioletową i włączył ją. Nowa świetlówka zastartowała bez ociągania i w świetle ultrafioletowym rozbłysło znacznie dłuższe zdanie: *Obawiałem się, że sens tego wszystkiego mógłby być taki, że Jeżus nigdy nie żył, a ja zostałem przeznaczony do odegrania jego roli*.

- Dziwaczne - orzekła Judith, po tym, jak cała trójka przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w migocące złoto odręczne pismo. - Co by to miało znaczyć?

- Nie mam pojęcia - przyznał Yehoshuah. - W każdym razie nie znaczy to, że Jeżus nie istniał. Raczej wręcz przeciwnie.

- Myślę, że musimy podejść do tego systematycznie - powiedział Stephen. - Po prostu zacząć od początku i iść po kolei. Inaczej cały czas będziemy tylko zgadywać i w końcu zagotują nam się mózgi.

Yehoshuah przyglądał się górnej krawędzi arkusza, w znacznej mierze wystrzępionej i podziurawionej. Delikatna niczym pajęczna sieć struktura wilgotnego japońskiego papieru częściowo przytrzymywała drobniuteńkie strzępki papieru, lecz oczywiście nie można było stwierdzić z całą pewnością, czy leżą na właściwym miejscu.

- Obawiam się, że to nie będzie zbyt wydajna metoda.

- Ale na pewno najważniejsze rzeczy są na początku listu.

- Tym gorzej.

Znów napełnił swoimi dwoma roztworami płaskie miseczki i naskubał nowych tamponików waty.

Stephen przyniósł laboratoryjny aparat fotograficzny, upewnił się, że jest w nim film, i przykręcił go do statywu. Tym razem będzie starannie dokumentował wszelkie postępy w pracy.

Na załamaniach papieru musieli szczególnie długo czekać, aż prastary ślad długopisu zabarwi się. Judith i Stephen siedzieli i przyglądali się Yehoshui przy pracy. Ani się obejrzeni, jak minęła pierwsza godzina, w miarę upływu czasu w laboratorium gęstniały opary o obrzydliwym, słodkawym zapachu, znów zaczynały przyprawiać ich o ból głowy.

To było jak puzzle. Kilka fragmentów, gdy ukazał się na nich tekst, przesunęli na miejsca, w których zdawały się brzmieć bardziej sensownie. Wreszcie Yehoshuah z ciężkim westchnieniem opadł na oparcie krzesła i stwierdził:

- Teraz powinniśmy to utrwalić. Gdyby można było choć przewietrzyć salę!

Judith wstała i otworzyła drzwi na korytarz. Lecz nie dało to wiele. Stephen tymczasem przyniósł statyw i sfotografował odcyfrowany list.

... znalazca tego...

wam się Joh dziłem się 1 ...

... kańskim stanie federalnym Arizona. Osobliwym zrządzeniem losu ... łem się w Palest... pierwszego wieku ... umrę, i uwa ... mnie pobłogosławił.

Judith zerknęła przez jego ramię, gdy robił kolejne zdjęcia z różnym czasem naświetlania i różną ogniskową.

- Nie wiem - mruknęła. - Dla mnie to nie brzmi jak list pisany do współnika.

- Tak. Zdecydowanie nie.

- I brakuje oczywiście najważniejszych słów. Nazwisko. Data urodzenia. Nic, po czym można by go było zidentyfikować.

- Jeśli myślał, to jeszcze raz powtórzy dalej ważniejsze dane.

- Ach, takie jest życie - orzekła sceptycznie Judith. - Kanapka łąduje zawsze masłem w dół. Szukane klucze są zawsze w ostatniej szufladzie. A najważniejsze słowa w starożytnym liście są nieczytelne. Prawo natury.

Ryan podniósł wzrok, gdy zatrzymał się za nim jakiś samochód. Wóz policyjny. Cholera! Szybkim, miał nadzieję że niewidocznym ruchem przesunął odbiornik sygnałów radiowych pod siedzenie i wyciągnął ze spodni koszulę, by zakryć wiszący u pasa nóż.

W lusterku wstecznym obserwował, co się dzieje. Było tam dwóch ludzi, zabrali się do rzeczy absolutnie profesjonalnie. Widział, jak jeden z nich telefonuje, tematem rozmowy był bez wątplenia numer rejestracyjny jego samochodu. Jeśli o to chodzi, nie musiał się obawiać; samochód był wynajęty w imieniu i na rachunek *N.E. W.* Świadczyło to jednak o tym, że tych dwóch zna się na swojej robocie.

Następnie, gdy ta kwestia została wyjaśniona, jeden z nich wysiadł, pozostając pod osłoną pojazdu odbezpieczył przewieszony przez ramię pistolet MP. Potem wysiadł drugi i powoli ruszył w przód, ku niemu. Ryan również powoli skręcił w dół szybę okna.

Policjant, rosy mężczyzna po czterdziestce - jego włosy posiwiały i przerzedziły się na służbie - pochylił się ku niemu i powiedział coś po hebrajsku.

- Przepraszam, mówię tylko po angielsku - odpowiedział Ryan wyciągając ku niemu paszport. -

Spodziewam się, że żąda pan, abym się wylegitymował.

Mężczyzna przyjrzał się dokumentowi.

- Jest pan Amerykaninem? - spytał potem. Jego angielski był naprawdę niezły.

-Tak.

- Proszę o prawo jazdy. I dokumenty pojazdu.

Ryan podał mu żądane papiery, a on zniknął z nimi w tyle. Widział, jak znów telefonuje, podczas gdy jego kolega pozostał na pozycji zabezpieczającej. Potem wrócił do okna Ryana, oddał mu dokumenty i zapytał:

- Co pan tu robi?

- Czekam.

- Na co?

- Muszę to panu powiedzieć? Brew funkcjonariusza drgnęła.

- Nie, nie musi pan. Ale mogę pana zatrzymać tymczasowo, z powodu podejrzanego zachowania w bezpośrednim pobliżu budynków rządowych.

Ryan przytaknął. Dawno już przygotował sobie odpowiednią historyjkę.

- No dobrze, skoro tak... Widzi pan ten samochód po drugiej stronie, na parkingu? Należy do faceta, z którym zdradza mnie moja dziewczyna. Nie wiem, gdzie teraz są, ale chcę tu poczekać, aż wrócą.

- Ach - mruknął policjant.

- Żeby się z nimi rozmówić - dodał Ryan. - nic więcej. Od tygodni unika rozmowy, twierdzi, że to wszystko tylko mi się wydaje...

Mężczyzna westchnął. Podpierając się ramieniem o dach samochodu, pochylił się ku niemu.

- Przyjacielu, proszę uwierzyć człowiekowi, który już dwa razy się rozwiódł: to na nic. Jak skończone, to skończone. Niech pan pozwoli jej odejść.

- Ale... - Ryan zmieszał się. Nie spodziewał się takich życiowych porad.

- Znam to, proszę mi wierzyć. Takimi akcjami można tylko wszystko zepsuć. Niech pan jedzie do domu i da jej szansę, żeby wróciła do pana sama. A jeśli nie wróci - człowieku, z pana wyglądem, wystarczy jeden wieczór w Tel Awiwie i ma pan następną.

Ryan wpatrywał się w policjanta.

- Mimo to wolałbym tu na nich poczekać. Żeby raz na zawsze wyjaśnić tę, hm, sprawę.

W ojcowskim spojrzeniu błysnął chłód stali.

- Przykro mi, przyjacielu, ale nie mogę na to pozwolić. Odjedzie pan stąd teraz i nie pokaże się więcej tej nocy.

Myślę, że niechcący odbyłem podróż w czasie, jakkolwiek się to mogło stać. Nie potrafię tego wyjaśnić. Zdarzyło się to podczas zwiedzania nekropolii Bet She'arim, w trakcie objazdowej wycieczki po Galilei, należącej do programu wykupionych przeze mnie wczasów. Gdy oprowadzano naszą grupę po katakumbach, tak bardzo zajęło mnie odczytywanie napisów na sarkofagach i ścianach, że zostałem trochę w tyle. Gdy chciałem dogonić resztę, zgubiłem się i zniemacka trafiłem do małej piwniczki, z której wyszedłem przez otwór w stropie do zupełnie innego miasta. Minęło wiele czasu, nim dotarło do mnie, że oto przeniesiony zostałem w całkiem inną epokę, a wszystko, co mam ze sobą, to tylko ubranie na grzbiecie i kamera wideo w torbie. Na szczęście, przyjęła mnie pod swój dach pewna życzliwa rodzina, nakarmili mnie i dali miejsce na sienniku, bym miał gdzie spać, i z czasem nauczyłem się ich mowy i najprostszych rolniczych robót, i tak przestałem być jedynie bezużytecznym zjadaczem chleba.

Oczywiście, próbowałem znaleźć wyjaśnienie tego, co mnie spotkało, szukałem dróg powrotu w moje własne czasy, wszystko daremnie. Gdy młodszą z dwóch córek goszczącej mnie rodziny, Estera, i ja zakochaliśmy się w sobie, poniechałem wysiłków i wziąłem ją za żonę. Przeżyłem najcudowniejszą miłość, jaką mógłbym sobie kiedykolwiek wymarzyć.

Wówczas rozeszła się wieść o kaznodziei z pobliskiego Kafarnaum, imieniem Jezus, o którym powiadano, że czyni cuda. Wtedy wypakowałem kamerę wideo, niemal zupełnie już zapomnianą i ruszyłem w drogę. Dysponowałem tylko jednym jedynym kompletem baterii, do tego nieużywanym od lat, lecz okazało się, że wszystko działa bez zarzutu. Może ma to jakiś związek z gorącym klimatem, lecz jeśli zostawiło się baterie na jakiś czas w zupełnym spokoju, wtedy jakby doładowywały się same. Stopniowo udało mi się nagrać film na trzy kasety, jakie miałem z sobą - trzecią niestety nie do końca, gdyż baterie w końcu jednak się zużyły.

Od chwili, gdy uświadomiłem sobie, że zostałem rzucony przez los do Palestyny w czasy z początku nowej ery, wypełniała mnie obawa, która dziś wydaje mi się całkowicie dziwaczna. Żyłem w strachu, że sens tego wszystkiego mógłby być taki, że Jezus nigdy nie żył, a ja zostałem przeznaczony do odegrania jego roli. Potem, gdy go ujrzałem...

Na tym kończył się tekst pierwszej kartki.

Stali wokół płaskiej plastikowej kuwety i patrzyli w dół na leżący w niej wilgotny, szary papier, na którym upiornie świeciło odręczne pismo. Oczy ich piekły. Ból głowy, wywołany chemikaliami, których zapachu od dawna już nie czuli, był wprost morderczy. Żadne z nich nie spoglądało już na zegarek. W pewnym momencie czas jakby się zatrzymał.

- A więc to wszystko prawda - odezwała się cicho Judith. - To naprawdę był podróżnik w czasie. I sfilmował Jezusa.

- Tak - skinął głową Stephen. - Ale nie sprawdziła się nasza podstawowa teoria. Nie było zaplanowanej operacji, tylko przypadek. - Odstawił na bok statyw aparatu fotograficznego. Nie wolno im zapomnieć wyjąć z niego filmu. - Miejmy nadzieję, że na drugiej kartce zdradzi, gdzie ukrył kasety.

- Ale to już nie dziś, dobrze?

Stephen spojrział na nią. W osobliwym świetle laboratorium wydawała się biała jak ściana.

- Hej - jesteśmy przecież od tego już tylko o krok! Jeszcze dziesięć minut, i będziemy wiedzieli wszystko!

Z westchnieniem wyróciła oczami.

- Ile razy słyszałam to już dziś w nocy? Yehoshuah odchrząknął głośno.

- Obawiam się, że Judith ma rację. - Wyłączył lampę ultrafioletową i zaczął uprzątać kuwety i butelki, wyrzucać zużyte kłębki waty do śmietnika. Ustawiać krzesła.

- Hej - krzyknął Stephen idąc za nim. - Yehoshuah! Profesorze Yehoshuah! Nie poddasz się przecież teraz, tuż przed metą?

- To nie ma nic z wspólnego z poddawaniem się.

- Mam ci przynieść coś do jedzenia? Zrobić kawę? Może chciałbyś przejść się po świeżym powietrzu i zostawić na ten czas otwarte drzwi, a potem z nowymi siłami wziąć się do pracy...

- Nie, Stephen, nie o to chodzi. - Yehoshuah puścił kłapę kosza na śmieci i, gdy ta opadła trzaskając

głośno, oparł się o zlewozmywak ze zniechęconym wyrazem twarzy. - Miałem wielką nadzieję, że zdradzi to na pierwszej kartce. Naprawdę. Nie chodzi o to, że nie chce mi się dalej nad tym pracować - po prostu się nie da.

Peter Eisenhardt zerwał się ze snu. Miał ją! Miał tę myśl, która prześladowała go od wielu dni jako niewyraźne, mętne przecucie, nie przybierając konkretnej formy. Ważną myśl. Niepokojącą. W końcu ją miał.

Pośpiesznie zapalił światło, wskoczył w pantofle i szlafrok i szybkim krokiem poszedł do pokoju konferencyjnego, w którym czuć było jeszcze potem i kłótnią. Zdjął wielkie arkusze ze stojaka, chwycił pisaki, rozłożył wszystko na stole i stał, patrząc wyczekująco. Tak. Dlaczego dopiero teraz na to wpadł? Ten oczywisty wniosek leży przecież jak na dłoni, jest wprost zniewalająco logiczny.

No, i nie spodoba się Kaunowi.

Błądził spojrzeniem po hasłach, strzałkach i symbolach, za pomocą których zanotował swoje dotychczasowe przemyślenia, nie znajdował żadnej sprzeczności, żadnej innej możliwości, żadnego kuchennego wyjścia.

Kaun nigdy nie nada w swojej telewizji tego nagrania.

Cokolwiek jeszcze miałyby się zdarzyć.

Pisarz poczuł, jak gwałtownie wali mu serce. Oto dlatego, że ktoś przeniósł się w przeszłość, on może przewidzieć przyszłość.

Makabryczne.

Jego uwagę zwrócił dźwięk, dobiegający z zewnątrz. Dźwięk, jakby na parkingu ktoś zatrzaskiwał drzwi samochodu. Eisenhardt podszedł do okna i odrobinę odsunął zasłonę.

To Ryan, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie, nadchodził energicznym marszem od strony parkingu, co kilka kroków z wyraźną złością kopiąc kamień. Odkrył jasną smugę światła i rzucił w jej kierunku mordercze spojrzenie. Eisenhardt pośpiesznie zaciągnął zasłonę, uprzątnął papiery, wyłączył wszystkie światła i uznał, że najlepiej będzie wrócić do łóżka.

Stephen zamrugał i spojrzał na Yehoshuę, nie rozumiejąc.

- Co to znaczy - niemożliwe?

- Właściwie chciałem wam to powiedzieć od początku. Robiłem próby z drugą kartką, zanim przyszliscie, ale pismo na niej nie przyjmuje roztworu. Nie mam pojęcia, dlaczego.

- Tamto pismo nie przyjmuje roztworu? - jak echo powtórzył ogłupiały Stephen. Stojące wokół stoły, regały i lampy jarzeniowe zdawały się zmieniać w ciemny wir, poczynający z wolna kręcić się wokół nich obu. - Czy to znaczy...?

- Tak.

- Jesteś pewny?

Yehoshuah poderwał się i podszedł wyciągniętym krokiem do stołu, przy którym pracował.

- Oczywiście, że jestem pewny. A co myślałeś?

- Ale jak to możliwe? To znaczy, z tą kartką udało się przecież znakomicie. Jak to możliwe, żeby przy tamtej w ogóle nie działało?

- Nie mam pojęcia - mruknął Yehoshuah i naciągnął na kuwetę folię, mającą zapobiec wyschnięciu jej zawartości. - Może to inny papier. Może inny atrament. Może to dlatego, że druga kartka leżała na wierzchu, gdy były złożone razem, i stykała się z folią plastikową. Wiem tylko, że nie mogę wywołać pisma na drugiej kartce.

- No to wspaniale - zawołał Stephen, podniósł ramiona i opuścił je bezradnie z powrotem. - I co teraz zrobimy?

- Pójdziemy spać - Judith nagle znalazła się przy nim, podtrzymała go łagodnie. - Najpierw prześpimy się z tym wszystkim.

Yehoshuah potarł oczy.

- W tej chwili nie mam żadnego pomysłu. Muszę iść do biblioteki. Sprawdzić kilka rzeczy, zapytać kilku osób. Przebadać papier. Może wtedy coś wymyślę.

- O Boże - wybuchnął Stephen. - Nie pojmuję. Być tak blisko i nagle... - dobrze było czuć ramię Judith. Yehoshuah patrzył przed siebie nieszczęśliwym wzrokiem.

- To jeszcze nie wszystko.

- Tak? Co jeszcze? No, dalej, dobij nas.

- Od jutra w południe laboratorium wynajął profesor Wilford-Smith. Chce zbadać szkielet i instrukcję obsługi.

22

Sender: Donald_Frey@aus.new.com
To: John_Kaun@ny.new.com
Message-Id: 5112411B.71B.00201@newsrv01.new.com
Subject: Negocjacje Melbourne, *PILNE*
Mime-Version: 1.0
Content-Type: text/plain, charset=iso-8859-1

John,

Niechętnie nalegam, lecz negocjacje są „poważnie zagrożone”! Słyszałem, że grupa Murdocha złożyła nową ofertę. Nie mogę ich dłużej powstrzymywać. PROSZĘ, niech Pan do mnie zadzwoni!

Don

Było mu zimno. Zimno i wilgotno, niewygodnie, jakkolwiek się obracał. I bolał go kark, nie do wytrzymania. Przynajmniej jest już trochę jaśniej, to znaczy, że jakoś dotrwał do rana...

Stephen gwałtownie wyprostował się na siedzeniu i rozejrzał. Był w samochodzie. Dlaczego siedzi w samochodzie? A obok niego leży Judith, w jakiejś karkołomnej pozycji zwinięta na rozłożonym siedzeniu pasażera. Wtedy przypomniało mu się - powrotna jazda w nocy... jak zamykały mu się oczy... jak Judith zasnęła na siedząco... W końcu zatrzymał się na jakimś parkingu, odchylił oparcia siedzeń i wreszcie też błogo zasnął.

Miał tak zeszywniały kark, że kręgi aż trzeszczały, gdy próbował się poruszyć. Paskudne uczucie. Pomasażował ręką okolice ramion, drugą startł nalot z szyb. Że też szyby zaparowywały tutaj, w samym środku pustyni? Ale nocą było zimno, dlatego teraz trząśł się cały. Mogli się przykryć, ale nie miał nic ze sobą, żadnego koca ani nic w tym rodzaju. Niezbyt roztropnie.

Spojrzał na zegarek. Wpół do siódmej. Kiedy wyjechali? Musiało być koło czwartej. W takim razie spał całe dwie i pół godziny. Stosownie do tego się czuł. Pod czaszką huczało mu jeszcze od chemicznych oparów.

Co teraz? Wciąż był zmęczony, gdy otwierał drzwi i wysiadał, Judith niechętnie zamruczała, gdyż do samochodu wdarła się fala świeżego, rozgrzanego porankiem powietrza i sprawiła, że wilgotny, ciepły zaduch wypełniający niby mokra wata wewnątrz pojazdu, zawirował. Najwyraźniej nie miała ochoty się obudzić.

Najlepiej będzie pojechać dalej, z powrotem do obozu. I rzucić się na polowe łóżka.

Tylko jeszcze chwilkę odpocznie. Rozrusza ramiona, rozluźni nogi. Dość spory ruch, mimo że tak wcześnie. W końcu to niedziela rano. Ale to przecież Izrael, tutaj niedziela jest dniem roboczym.

W końcu będzie musiał wszystko gruntownie przemyśleć i zastanowić się, co dalej. Jakimi śladami właściwie dysponują. Kaun chce dziś rozpocząć badanie szkieletu i instrukcji obsługi. To będzie wyścig, łeb w łeb. Uczucie, że ma się czaszkę wypełnioną szklaną watą nie ułatwia sprawy.

Zatem spać. Wsiadł z powrotem do samochodu, uruchomił silnik. Gdy ruszał, Judith poderwała się raptownie, opadła znów na siedzenie nieco mniej pokrzywiona i spała dalej, cicho pochrapując.

Papież miał zwyczaj wstawać o piątej rano i po porannej toalecie przez pół godziny modlić się w swojej prywatnej kaplicy. Potem ubierał się, od paru lat pomagał mu w tym młody mnich, i w kompletnej garderobie udawał się na śniadanie, jadane zwykle w towarzystwie dwóch czy trzech kardynałów przy skromnie nakrytym stole bez obrusa, w niewielkiej jadalni o ścianach wyłożonych różową tapetą. Rozmowa przeważnie krążyła wokół spraw urzędowych, nie zostawało wiele czasu na prywatne, choćby dlatego, że spraw prywatnych niemal nie było. Z biegiem lat papież zrósł się w jedno z urzędem, na który wybrano go na resztę jego życia, scalił się z nim w jedno. Był to proces, podczas którego osoba prywatna, jaką zapewne niegdyś był, przestała istnieć.

Scarfaro naturalnie znał bardzo dokładnie codzienne zwyczaje papieża. Choć sam nie należał do zwolenników wczesnego wstawania, krótko przed siódmą stawił się u papieskiego prywatnego sekretarza, odpowiedzialnego za terminarz spotkań głowy kościoła, by uzyskać audiencję. Sekretarz, Francuz o przeredzonych włosach i ponurym spojrzeniu, nie miał pojęcia, jakie właściwie stanowisko zajmuje Scarfaro. Wiedział tylko, że to Ojciec Święty przykazał mu wpuszczając do siebie Sycylińczyka o każdej porze dnia i nocy.

Komnaty papieskie miały wystrój średniowiecznej książęcej rezydencji. Ściany, sufity, podłogi - wszystko emanowało wielkim przepychem. Na ścianach cenne malowidła, podłogi ozdobione pracochłonnymi intarsjami, zabawne sztukaterie na sufitach, masywne olejne obrazy w ciężkich złożonych ramach, gobeliny, żyrandole, monstrialne łóże z barokowym baldachimem - a wszędzie pełno krucyfiksów wszelkiego rozmiaru, koloru i kształtu. Żadna z tych rzeczy nie należała naprawdę do człowieka piastującego ów urząd, ani nie była wyrazem jego upodobań czy osobowości; przejął

wszystko po swym poprzedniku i pozostawi to swemu następcy. Jeżeli ktoś miał okazję przywyknąć do tego całego zbytku, który najpierw każdego onieśmielał i zdumiewał, wtedy ogarniało go uczucie, że ma do czynienia raczej z czymś w rodzaju zamieszkanego muzeum niż z domowym, przytulnym wnętrzem. Choć wiedział, że oczywiście sprząta się tu gruntownie i regularnie, Scarfaro zawsze wydawało się, iż czuć tu kurzem.

Papież siedział na wysokim fotelu pośrodku gabinetu, przy jednym z wysokich okien, tak, że padało na niego światło porannego słońca. Na stoliku stała przy nim szklanka herbaty, a na kolanach spoczywała teczka z wycinkami z gazet, wszystkie skopiowane w powiększeniu, by łatwiej mu było je czytać. Drgnął, gdy Scarfaro wszedł do pokoju. Sprawiał wrażenie, jakby na chwilę się zdrzemnął.

- Śniadanie męczy mnie coraz bardziej - powiedział cicho dostojnik, gdy Scarfaro przyklęknął przed nim, by pocałować jego pierścień. - Każdego ranka modłę się o siły, aby starczyło ich do końca dnia, a jednak codziennie czuję, że słabnę wcześniej.

Scarfaro uważnie przyjrzał się człowiekowi w białej sutannie. Widział oblicze naznaczone wiekiem, znać było już na nim zbliżanie się śmierci. Widział dłonie, coraz mocniej drżące, w miarę postępów choroby Parkinsona, na którą zapadł namiestnik katolickiego kościoła.

Papież ledwie dostrzegalnym gestem wskazał mu stojące w pobliżu krzesło, Scarfaro przyniósł je szybko.

- Co sprowadza cię do mnie, Battista?

- Prowadzono wykopaliska, Wasza Świątobliwość - rozpoczął Scarfaro - w Izraelu...

Mówił cicho, oddalony od ucha papieża o niespełna dziesięć centymetrów, precyzyjnie przedstawił wszystkie szczegóły, na koniec dołączył własny osąd wydarzeń. Potem zamilkł, czekając, aż starzec dzierżący w dłoni stery kościoła się namyśli.

Papież zastanawiał się długo. Złożył dłonie jedna na drugą, patrzył przez okno, za którym widoczny był zalany promieniami słońca Rzym, poruszając przy tym ustawicznie głowę w górę i w dół, tak lekko, że nie można było rozróżnić, czy to Parkinson, czy tylko zamyślenie.

- Myślę, że się mylisz, Battista - powiedział w końcu półgłosem i przez moment jego głos brzmiał znów mocno i zdecydowanie jak kiedyś. - Myślę, że ten John Kaun naprawdę chciał nam sprzedać swoje znalezisko. Dlatego zwrócił się do instytucji finansowej.

- Ale przecież on tego jeszcze nie ma. O ile to w ogóle istnieje.

Papież westchnął.

- Chciałbym, żeby Bóg zabrał mnie już i by moje miejsce zajął ktoś młodszy. Ktoś, kto jeszcze ma niezbędne siły. Ale jest, jak jest. Battista, jedź do Izraela. Zrób, co trzeba, co najlepsze dla Kościoła.

Scarfaro zaskoczony nabrał powietrza, ale potem pochylił głowę, zaś w jego mózgu myśli natychmiast jakby się usamodzielnily i zaczęły organizować wszystko, co było do zorganizowania.

- Jak każecie, Ojciec.

- Battista... - papież chwycił jego dłoń, przytrzymał ją zimnymi palcami, przyglądając mu się wnikliwie. - Posłuchaj mnie uważnie...

I Luigi Battista Scarfaro słuchał.

Stephen był zmęczony, wprost leciał z nóg. Odprowadził Judith do namiotu, opróżnionego już w połowie, gdyż jej współmieszkanca wyjechała, i dziewczyna nie mówiąc ani słowa, nie rozbierając się i nie przykrywając, rzuciła się na niepo-ścielone łóżko i natychmiast zasnęła. Ale on musiał jeszcze coś wyjaśnić. Jeszcze nie spać, jeszcze trochę.

Odrobiną letniej wody z umywalki przetarł sobie kąciki oczu, lecz niewiele to pomogło na otępienie, jakie odczuwał wewnątrz czaszki, ani na osobliwie wielką siłę ciężkości, wprost rozrywającą mu mięśnie. Nie poczuł się ani odrobinę bardziej świeżo. T-shirt kleił się do ciała. Skóra, oblepiona zaschniętym przez noc potem, zaczęła go swędzieć. Miał wrażenie, że jego slipki są wilgotne i uciskają go, szczypią w kroku. Pilnie potrzebował prysznic, kilku godzin snu, a potem świeżej bielizny. Właśnie w tej kolejności. Z niepokojem zauważył, że kabiny prysznicowe są przygotowywane do wywiezienia. Ale jedną postanowiono chyba zostawić jeszcze na jakiś czas.

Poranne słońce wznosiło się coraz wyżej nad terenem dziś rano jeszcze bardziej niż zwykle przypominającym księżycowy krajobraz, który ktoś tysiące lat temu z marnym skutkiem próbował obsadzić zielenią. Robiło się coraz goręcej, miał wątpliwości, czy w ogóle będzie w stanie zasnąć w namiocie.

Dobrze mu zrobiło trochę ruchu i kilka głębokich oddechów. Wygnały z głowy to poczucie, że ktoś napakował do niej waty. To na pewno z powodu tamtych chemikaliów, a czegoż by innego? To w końcu nie pierwsza nieprzespana noc, ale nigdy jeszcze nie czuł się potem tak beznadziejnie. Zdarzało mu się już pisać po takich nocach egzaminy, i to wcale nieźle.

Wreszcie odszukał profesora w namiocie, w którym archiwizowano fotografie i książki wykopalisk w wielkich, stalowych szafach do akt. Profesor Wilford-Smith był zajęty porządkowaniem kartek,

wyglądających jak akta osobowe. Stephen zwykle bez trudu potrafił czytać pismo odwrócone do góry nogami albo odbite w lustrze, lecz nie dziś. Dziś go to wcale nie interesowało.

- Tak? - zapytał kierownik wykopalisk, rzucając przelotne spojrzenie znad krawędzi okularów.
- Chciałem tylko panu powiedzieć - wyjaśnił Stephen, nie spiesząc się - że zarezerwowałem lot do domu na przyszły piątek.
- W porządku.
- I chciałem zapytać, czy mogę tak długo zostać w obozie.
- Tak, oczywiście. Do końca tygodnia na pewno będzie to możliwe.
- To dobrze.

Stephen czekał. Ale profesor odwrócił się z powrotem do swoich kartek. Nie powiedział nic w rodzaju: *Ach, Stephen, skoro pan tu jest... chce dziś rozpocząć badanie tego dziwnego znaleziska z sektora 14 - pomoże mi pan je potem zabezpieczyć?* Zamiast tego, po pewnej chwili przerwał swoje zajęcie i ponownie spojrzął nad okularami na Stephena.

- Jeszcze coś?
- Hm, chciałem... chciałem zapytać, czy już coś wiadomo.
- Wiadomo? W związku z czym?
- W sprawie tego szpiegostwa. Czy co to było. Wie pan, znalezisko z sektora czternastego.
- Ach tak, oczywiście. Nie, ta sprawa jest jeszcze badana. Na razie nie ma nic nowego.

Stephen poczuł się tak, jakby ktoś opasał mu klatkę piersiową rzemieniem i uparł się co minutę odrobinę mocniej go zaciskać. Patrzył na profesora, który znów najwyraźniej uważał rozmowę za skończoną, i postanowił nie dać się zbyć tak łatwo.

Zbliżył się szybkim krokiem i pochylił nad stołem, przy którym siedział siwowłosy, chudy kierownik wykopalisk.

- Profesorze, czy mogę jeszcze o coś zapytać? Wilford-Smith zaskoczony podniósł wzrok.
- A o co takiego?
- Dlaczego zobowiązał mnie pan do milczenia od razu, gdy tylko pokazałem panu worek z instrukcją obsługi? Jak pan sądził, że z czym mamy do czynienia?
- Uznałem, że tak będzie najlepiej - odparł powoli profesor. Potem spojrzął obok Stephena, jego wzrok utonął w pustce, jakby zatopiony w myślach rozmawiał sam z sobą. - Otóż uznałem, że najlepiej będzie poinformować pana Kauna. Teraz sądzę, że to był błąd. - Zadumany pokiwał głową. - To był błąd.

Wydawało się, że zapomniał o obecności Stephena. Westchnął i wrócił do swoich papierów.

Około wpół do jedenastej John Kaun wrócił do obozu Bet Hamesh. Po niespokojnej nocy pełnej koszmarnych snów i po makabrycznym poranku czuł się straszliwie niewypoczęty i teraz, gdy od wczorajszego wieczora przez cały czas starał się opanować, nie był już w stanie powstrzymać złego humoru. Nie znosił niepowodzeń, taki już był. Twierdzenie, że ich nie znosił, było stanowczo zbyt łagodne - nienawidził ich z całego serca, gdy zaś niepowodzenie przybierało rozmiary klęski, jak wczorajszy atak na twierdzę Watykanu, miał popsuty z pewnością więcej niż jeden dzień.

Tymczasem na miejscu również nie zdarzyło się nic pocieszającego. Ryan jak żółtodziób dał się wykołować temu studentowi i jego dziewczynie. Przynajmniej mógł się na nim trochę wyładować. Całe szczęście, że kontenery wyposażono w izolację dźwiękową.

Od naukowców także brak nowych wieści. Jednak przynajmniej ten niemiecki pisarz poprosił o rozmowę, chce podobno przedstawić jakąś nową myśl. Rozumowanie oparte na niepodważalnej logice, jak twierdził.

Na pewno znowu czysty defetyzm. W naczelnej redakcji N.E.W. mawiało się, że Niemcy są mistrzami świata w wymyślaniu skrupułów i wszelkiego rodzaju wątpliwości. Zobaczmy. John Kaun niechętnie kiwnął głową, zapraszając pisarza i oparł się wygodnie.

Eisenhardt natychmiast zauważył, że magnat medialny jest w złym nastroju, i zadawał sobie pytanie, czy dobrze wybrał moment na powiedzenie tego, co zamierzał. Ale cóż, jest już tutaj, a nic innego nie ma w zanadru. Mimo pracującej na pełnych obrotach klimatyzacji zaczął się pocić.

- Z całą pewnością - oświadczył najbardziej zdecydowanym tonem, na jaki było go stać - z absolutną pewnością twierdząc, że nie zobaczy pan tego wideo - w każdym razie nie w ciągu następnych trzech lat. Ukryty za biurkiem Kaun warknął jak drapieżne zwierzę, szcypiwszy ręce niczym uzbrojone pazurami łapy.

- Już raz powiedziałem, panie Eisenhardt, że nie życzę sobie słyszeć tego rodzaju wypowiedzi.
- Wszystko jedno, czy się to panu podoba, czy nie, panie Kaun - stanowczość, z jaką się sprzeciwił, zaskoczyła nawet samego Eisenhardta. - To niepodważalne logiczne rozumowanie i pan powinien go po prostu wysłuchać, żeby przynajmniej je poznać. W końcu za to pan mi płaci.

Oczy przemysłowca błysnęły przez ułamek sekundy jak ślepia tygrysa. Potem drgnął mu kącik ust.

- To jest argument. Proszę mówić.
- Z przyjemnością. Założmy, że znajdzie pan wideo i kamerę i nada pan to w swoim programie. Zrobiłby

to pan z pewnością w ramach programu specjalnego o zasięgu ogólnosiwiatowym, prawda?

- Tego może pan być pewny.

- I z pewnością nie nadałby pan tego jeden raz, ale wielokrotnie.

- Z całą pewnością. Tak często, jak byłoby najkorzystniej dla uzyskania maksymalnej oglądalności.

- Ale to oznacza, że po trzech latach to wideo stałoby się czymś w rodzaju powszechnego dobra. Każdy w miarę wykształcony człowiek na całym świecie przynajmniej by o nim słyszał, ale najprawdopodobniej widziałby je co najmniej raz.

- Taki właśnie mam zamiar, zupełnie słusznie. Eisenhardt zrobił przerwę, aby się przekonać, czy Kaun może sam wyciągnie wnioski. Ale multimilioner tylko dalej patrzył na niego pytająco, zatem doprowadził swój wywód do końca:

- Jaki młody człowiek, sądzi pan - zapytał dobitnie - zechce potem powiedzieć: „Przenieś się w przeszłość i ofiaruj życie, aby nakręcić wideo, które od trzech lat oglądam bez przerwy w telewizji”? Odczuwał osobliwą przyjemność obserwując, jak jego słowa wnikają w umysł Kauna, jak nasiąka nimi kropla po kropli, aż wreszcie siada w fotelu prosto jak świeca.

- *Damned!* - krzyknął głośno. - Ma pan rację. Gdyby to wideo zostało pokazane, zanim odbędzie się podróż w przeszłość, to cała motywacja by znikła!

- Właśnie. I do podróży w czasie by nie doszło. Ale wtedy nie byłoby filmu wideo, który mógłby pan nadać.

- Proszę przestać! - bronił się Kaun. - Głowa mi pęka! Co to oznacza?

- To znaczy, że nie nada pan tego filmu, zanim nie odbędzie się podróż w czasie.

- A jeśli go znajdę i jednak nadam?

- Nie nada go pan, obojętnie z jakiego powodu. Nie dojdzie do tego. Może dlatego, że po prostu nie znajdzie pan tego wideo. Wiem, nie chce pan o tym słyszeć. Może zresztą znajdzie je pan, ale przez trzy lata przechowa pod kluczem. Albo dłużej. W każdym razie podróżnik wyruszy w przeszłość ze świata nie wiedzącego nic o nagraniach, które dopiero on ma zrobić - czy też zrobił.

Kaun znów pograżył się w rozmyślaniach. Eisenhardt cierpliwie czekał. Bądź co bądź nie zanosilo się na to, że medialny menadżer wybuchnie gniewem, jak już się całkiem serio obawiał. Przeciwnie, im dłużej mędrkował, tym lepszy nastrój zdawał się go ogarniać.

- Ale to przecież mogłoby też znaczyć - upewnił się w końcu - że uda mi się znaleźć wideo i sprzedać je kościołowi katolickiemu. I że on będzie trzymał je. pod kluczem po wsze czasy. Prawda?

Eisenhardt osłupiał. Na ten wariant nie wpadł. Przemyślał go i skinął głową.

- Tak. To też mogłoby być wyjaśnienie.

Kaun skrzywił twarz w uśmiechu. Wyglądał, jakby miał się lada moment roześmiać.

- Wie pan, co to oznacza? Czego pan właśnie dowiódł?

- Czego właśnie dowiod...? - powtórzył Eisenhardt niepewnie. Wyglądało na to, że Kaun odkrył aspekt sprawy, który jemu samemu umknął. Irytujące.

- Jeżeli kościół dostanie to wideo w swoje ręce - oświadczył przemysłowiec, rozkoszując się własnymi słowami - i będzie je potem trzymał w zamknięciu, to znaczy, że będzie je *musiał trzymać* w zamknięciu. Na przykład dlatego, że na nagraniu widać coś, co podaje w wątpliwość całe nauczanie kościoła - czy to logiczne?

Eisenhardt przytaknął zbity z tropu. To wcale nie takie głupie. Zauważył nagle, że jakaś część jego umysłu przez cały czas zajęta była wyłącznie szukaniem powodów, by móc traktować amerykańskiego milionera protekcyjnie. Z grubsza według zasady: *Okay, on Jest multimilionerem, ale to dowodzi tylko, że to tępy, pazerny głupek, którego światopogląd ogranicza się do czterech podstawowych działań arytmetycznych i obliczania procentów. Ja to co innego, jestem intelektualistą, człowiekiem ducha, ostatecznie to właśnie się liczy.*

Konieczność przyznania, że John Kaun jest również cholernie inteligentny i pomysłowy, irytowała go potężnie. Jeszcze może się okazać, że naprawdę jest wart swoich milionów.

- Jeśli jednak - ciągnął dalej wątek Amerykanin - zawartość wideo jest aż tak niebezpieczna, to by znaczyło, że mogę za nie żądać każdej ceny. Wszystko albo nic, panie Eisenhardt. Może pan to sobie wyobrazić? Pańska argumentacja dowodzi z niepodważalną logiką, że albo nasze przedsięwzięcie zakończy się kompletną klęską - gdyż w ogóle nie znajdziemy wideo - albo zwyciężymy na całej linii.

Wywiezienie znaleziska z sektora czternastego odbyło się tak dyskretnie, jak tylko można sobie wyobrazić. Profesor Wilford-Smith i Shimon Bar-Lev wspólnie zeszli do wykopu, rozstawili wokół zabytku kilka skrzynek ze stali nierdzewnej, napełnili każdą z nich na wysokość palca przesianym przez sito piaskiem. Potem założyli cienkie rękawiczki z tworzywa sztucznego i przełożyli kości jedną po drugiej do pojemników transportowych. Na koniec, do osobnej kasetki włożyli ze stosowną ostrożnością Iniany worek, zawierający szeleszczącą od suchości instrukcję obsługi kamery wideo. Następnie wszystkie stalowe skrzynki wypełniono po brzegi małymi kuleczkami z neutralnego chemicznie gąbczastego materiału, po czym przykryto pokrywami.

W taki sposób często przewozili już szczególnie wartościowe znaleziska. Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem cała akcja była filmowana przez kilka kamer. I że każdą skrzynkę zaopatrzone w masywną kłódkę.

Stalowe pojemniki załadowano na ciężarówki i zaraz potem konwój pojazdów ruszył w kierunku Jerozolimy. Jeszcze nim opadł wzbity przez nie kurz rozpoczął się demontaż namiotu, od tygodnia rozstawionego nad miejscem odkrycia. Pomijając te roboty, obóz, dawniej aż tętniący pracą, robił tak martwe i opuszczone wrażenie, jakby przeszła przez niego zaraza.

Kauna wciąż jeszcze nie opuścił zły humor, zaś okoliczności nie sprzyjały temu, by w przewidywalnym czasie miało się to zmienić. Spoglądał na mało atrakcyjną tylną ścianę budynku, szczególnie pełnym obrzydzenia spojrzeniem obrzucając kontener na śmieci stojący obok rampy rozładunkowej i wypełniający dziedziniec przeraźliwym smrodem.

- Nie uprzedził mnie pan, że muzeum jest dziś czynne - warknął na profesora Wilforda-Smitha.

- Muzeum Rockefellera jest czynne codziennie - spokojnie odparł profesor. - Każdego dnia od dziesiątej rano do piątej po południu. Za wyjątkiem piątku i soboty, w te dwa dni zamykają już o drugiej po południu.

- Ach - chrząknął milioner.

Za niską balustradą pojawiła się grupka młodzieży, hałaśliwie błaznującej w rejonie głównego wejścia. Kilkoro z nich przeskoczyło przez ogrodzenie i z werwą machało do nich w dole.

- Czy pan poważnie chce badać nasze znalezisko, kiedy po budynku kręcą się ci wszyscy ludzie? - Ton, jakim Kaun wymówił słowo *ludzie*, pozwalał przypuszczać, że właściwie pragnąłby użyć słowa *potwory*.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Publiczność nie ma dostępu do pięter, na których są laboratoria. Większość nawet nie wie, że coś takiego się tu mieści.

- Tak. Moim zdaniem lepiej zapakujmy to wszystko i zawieźmy do USA, do prywatnego laboratorium, gdzie będziemy mieć sprawę pod kontrolą.

Profesor milczał przez chwilę, podniósł wzrok ku niebu i mrużąc oczy, spojrzął w jaskrawe słońce.

- Do tego potrzebowałby pan zezwolenie z izraelskich urzędów.

- Bez obaw, na pewno dostanę.

- To nie są idioci. Musiałby im pan pokazać artefakt. Kaun niechętnie odchrząknął.

- Tak, tak. Już dobrze. - Dał znak dłonią swoim ludziom, czekającym na sygnał do rozładunku.

Profesor poszedł naprzód z kluczami, a mężczyźni niosący stalowe skrzynie ruszyli jego śladem przez chłodne korytarze o ścianach wymurowanych z jasnej cegły, mijając polakierowane na biało metalowe drzwi, by wreszcie wejść do obszernego pomieszczenia, zastawionego długimi stołami pełnymi lamp i mikroskopów. Wzdłuż ścian biegły regały pełne buteleczek z chemikaliami. Kaun rozejrzał się tylko ponuro. Wygląd laboratorium nie wzbudził w nim zbytniego zaufania. Tak, jakby całe wyposażenie pochodziło jeszcze z lat sześćdziesiątych.

Znienacka w pomieszczeniu pojawił się Ryan, stanął na szeroko rozstawionych nogach.

- Zamki w drzwiach są absolutnie niewystarczające - oznajmił donośnie. Wskazał na szare, stalowe drzwi, prowadzące wprost do laboratorium. - Ten tutaj otworzę spinką do włosów w ciągu trzydziestu sekund. To żarty. Musimy koniecznie...

- Niech pan się zamknie, Ryan - szczerknął na niego wściekły Kaun. - I proszę nie wchodzić mi w oczy, póki nie będę w lepszym humorze.

- Ale, sir, to jest...

Kaun prawie zazgrzytał zębami.

- Tacy, co dają się wodzić za nos gówniarzom, nie mają dziś czasu antenowego! Zrozumiał mnie pan, Ryan?

Twarz Ryana nic nie wyrażała. Jednak, jeśli przyrzeć się bardzo dokładnie, dało się zauważyć leciutkie zmrużenie oczu. Nie powiedział więcej ani słowa, posłusznie skinął głową, odwrócił się na pięcie i zniknął.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Kaun rozejrzał się dookoła.

- O co chodzi? Montujcie kamery i reflektory!

Yehoshuah obudził się z uczuciem, jakby całą twarz miał opuchniętą. Poza tym w pokoju było za jasno i za gorąco. Wciąż miał na sobie ubranie z poprzedniego dnia. Co się stało? Przypominał sobie jak przez mgłę, że wszedł do mieszkania i zwałił się na łóżko... Co za huk w głowie! Powłókł się do umywalki, odkręcił kurek i przytrzymał głowę pod strumieniem zimnej wody, aż brakło mu tchu. Do tego oczywiście na haczyku nie ma ręcznika. Kapiąc wodą z włosów poczłapał przez mieszkanie, otwierał drzwi szaf i szuflady, aż w końcu znalazł ręcznik, który mógł owinąć sobie wokół głowy.

Siedząc na skraju łóżka i wycierając włosy rozmyślał o tym, jak błogosławionym urządzeniem byłaby klimatyzacja w laboratorium, w którym trzeba stosować łatwo parujące chemiczne odczynniki. Miał mdłości. Wczoraj wieczorem musieli się dosłownie zatruć. Czuł się chory na całym ciele. Świeże powietrze, właśnie tego mu teraz trzeba. Otworzył szeroko okno, ale do środka wdarły się jedynie gorące,

duszne opary letniego popołudnia w Jerozolimie.

Wyglądając na miasto, migocące w świetle słońca, przypomniał sobie wszystkie wydarzenia wczorajszego wieczoru. Jak niewiarygodne rzeczy się zdarzyły. Przygnębiające. Usiadł przy biurku, roztargnionym gestem odsunął na bok - i na inne stopy papierów - wszystko, co na nim leżało, po czym wziął z półki swój pamiętnik.

- Światło! - krzyknął ktoś. Dało się słyszeć trzaski i skrzywienie, wreszcie lampy halogenowe, zawieszane na wysokich, robiących chwiejne wrażenie stojakach, załąły laboratorium jaskrawym światłem. Z monitorów kamer wideo znikła czern, ustępując miejsca czarno-białemu wizerunkowi pomieszczenia.

Mikrofony wyłapywały głos profesora Wilforda-Smitha. Stary archeolog mówił niecierpliwym, poirytowanym tonem.

- Mogę już zacząć?

- Chwileczkę. Tak, wszystkie kamery działają. Proszę, profesorze!

Przerwa. Potem profesor rozpoczął wykład, zwracając się do kamer:

- Mamy tu szkielet mężczyzny, którego uważamy za podróżnika w czasie. Przynajmniej w chwili obecnej nie istnieje inna hipoteza, która tłumaczyłaby oczywiste anachronizmy, stwierdzone przez nas na szkielecie. Przede wszystkim rzuca się w oczy, że w czaszce w tylnych zębach trzonowych znajdują się trzy nienagannie wykonane plomby, podczas gdy wiele innych zębów jest w znacznym stopniu uszkodzonych lub w ogóle ich brakuje. Ten fakt tłumaczymy tym, że plomby umieszczono w zębach mężczyzny przed podróżą w przeszłość, natomiast choroby uzębienia powstałe podczas jego dalszego życia - gdy przebywał już w przeszłości - nie mogły być leczone w podobny sposób.

Profesor zaczął przedstawiać plan pracy, Shimon Bar-Lev zapisywał go w swoim notatniku.

- Najpierw trzeba poddać dokładnej analizie materiał, z którego wykonano plomby. Przy opracowaniu wyników należy uwzględnić, że mamy tu do czynienia z pierwszymi znanymi wypełnieniami amalgamatowymi o wieku dwóch tysięcy lat. Prawdopodobnie ich skład zmienił się na skutek dyfuzji zawartego w nich srebra. Mam nadzieję, że możliwe będzie ustalenie, czy mamy do czynienia z konkretnym, używanym obecnie przez dentystów produktem.

Szelest. Ktoś odkaslnął, zasługując sobie na karzące spojrzenie operatora.

- Podobnie zbadamy jeszcze raz całe uzębienie tak dokładnie, jak to możliwe. Za pomocą danych o stanie jego uzębienia uda się może ustalić tożsamość zmarłego.

Kaun stał z tyłu z założonymi ramionami i obserwował bieg wydarzeń. Widok leżącego na stole szkieletu i dwóch badających go archeologów niepokoił go bardziej, niż miałby ochotę przyznać. Ta myśl, że człowiek, z którego został tylko ten szkielet, w tym momencie żyje gdzieś na świecie, oddycha, być może przygotowuje się do swojej brawurowej wyprawy!

Spojrzał w kierunku Eisenhardta. Podczas jazdy tutaj zapytał go, jak to możliwe, że jeden i ten sam szkielet istnieje dwa razy. Niemiecki pisarz science fiction spojrział na niego zdziwiony i wyjaśnił mu potem, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem, że na tym właśnie polega dowcip podróży w czasie: że w pewien sposób zatacza się pętlę na osi czasu.

- Mamy tu także ślad czysto wygojonego złamania lewej piszczeli, zauważyliśmy go dopiero podczas opróżniania grobu. Tę kość prześwietlimy promieniami Rentgena; być może zawiera jeszcze śrubę, względnie inny implant. Jeśli dopisze nam szczęście, znajdziemy numerowany implant, będziemy więc mogli dzięki jego numerowi seryjnemu zidentyfikować zmarłego.

Linia życia człowieka, normalnie rozpoczynająca się w momencie narodzin i kończąca wraz ze śmiercią, w przypadku podróżnika w czasie została jakby przecięta. Kiedyś, w niedalekiej przyszłości, w chwili, gdy wyruszy w swą podróż, urwie się gwałtownie i zniknie bez śladu, by pojawić się w odległej przeszłości, pojawi się znikąd, wplecie w osnowę świata początku naszej ery. Z historycznego punktu widzenia późniejsze życie, starość i śmierć nieznanego miały miejsce przed dwoma tysiącami, do przeżycia zostało mu już tylko tych kilka lat do momentu wyruszenia w przeszłość. Lecz podróżnik, patrząc ze swej osobistej perspektywy, widzi to oczywiście zupełnie inaczej. Podejmie podróż w czasie i potem - które dla reszty świata jest przedtem, dwa tysiące lat wstecz - znajdzie się w świecie antyku, w którym wypełni podjętą misję i dożyje końca swoich dni.

- Zajmijmy się teraz workiem. W przypadku warstwy zewnętrznej wydaje się, że mamy tu do czynienia z lnem, jednak poddamy włókna dokładnej analizie. Interesujące jest także pytanie, jakiego koloru była tkanina, czy użyto farby dostępnej na początku naszej ery. Czy któraś z kamer mogłaby podejść bliżej? Otworzę teraz worek plastikowy umieszczony wewnątrz worka z tkaniny i wyjmę znajdującą się w nim instrukcję obsługi.

Judith ocknęła się czując, że ktoś szarpie ją jak oszalały za ramię. Zdawało jej się, że równocześnie dusi ją gruba na pięć metrów puchowa poducha. Obróciła się, próbując wydostać spod puchu i usłyszała, że ktoś do niej mówi, mówi o kawie i powtarza ciągle: Judith, hej, Judith! W końcu musiała jakoś otworzyć oczy i, gdy rozwiały się zastony i znikły gwiazdy, rozpoznała Stephena, wciąż jeszcze mówiącego o

kawie z taką miną, jakby się z niej śmiał.

- Stop. Chwileczkę, powoli. - Z trudem podniosła się, złapała za głowę, jakby większą i otępiałą. - Która godzina?

- Krótko po trzeciej.

- Co? - Powietrze w namiocie było niesłychanie gorące i duszne. Czowała, że ma kompletnie przepecone włosy. Czyste szaleństwo, spać tak długo, kiedy na człowieka leje się słoneczny żar. Prawdopodobnie Stephen robiąc jej pobudkę uchronił ją przed udarem.

- Krótko po trzeciej. No, więc jak - idziesz ze mną?

- Z tobą? Po co? Dokąd? Stephen westchnął.

- Do namiotu kuchennego, zrobić sobie kawę. Jeśli za chwilę nie napiję się dużej, mocnej kawy, wpadnę w śpiączkę.

Wciąż jeszcze nie mogła się pozbierać.

- Trzeba teraz samemu sobie gotować? -Tak.

- Od kiedy?

- Od dziś. Odkąd nie ma tu już praktycznie nikogo.

- Ach tak. - Judith odwróciła się. Stiny nie było, jej łóżko znikło. Prawda, przecież już wyjechała.

- Tak, myślę, że mnie też przydałaby się kawa. Czowała, że musi wziąć prysznic i się przebrać. Zasnęła w ubraniu i czuła się koszmarnie. Prawdopodobnie stosownie do tego wyglądała.

- Teraz, zaraz?

- Tak. I nie zastanawiaj się, czy chcesz się najpierw wykapać. Został już tylko jeden prysznic, woda będzie dopiero wieczorem.

- No, ale im się śpieszy, by nas się pozbyć.

- Potraktuj to jako wyzwanie dla naszego zawziętego uporu. Spojrzała na niego. Jakoś zawsze udawało mu się wyglądać tak, jakby całkowicie panował nad sytuacją.

- To było zdanie godne samego Stephena Foxxa - stwierdziła.

- Chodźmy - odpowiedział. - Wniosek o przystąpienie do mojego fan-klubu możesz wypełnić później.

Otwarty plastikowy worek przytrzymały metalowe klamry, gdy profesor Wilford-Smith i Shimon Bar-Lev ostrożnie wyjmowali z niego liczący dwa tysiące lat papierowy zeszyt, by włożyć go do przygotowanej plastikowej kuwety. Profesor komentował w kierunku kamer wszystkie czynności.

- Papier jest jasny, pismo dobrze czytelne, również cały zeszyt jest zaskakująco dobrze zachowany. Narożnik o wymiarach pięć na dziesięć centymetrów, brakujący tutaj, w okładce, został pobrany w zeszłym tygodniu jeszcze na terenie wykopaliisk, celem przeprowadzenia analizy wieku papieru. Naturalnie papier jest teraz bardzo kruchy; musimy umieścić go w nawilżaczu, nim będziemy mogli rozdzielić strony. To z pewnością będzie interesujące przeżycie, czytać instrukcję obsługi urządzenia, które pojawi się na rynku dopiero za kilka lat i na razie nie jest w ogóle produkowane.

Przerwał. Instrukcja obsługi leżała na podkładce. Jedna z kamer zniżyła się, by ukazać okładkę w powiększeniu.

SONY MR 01

Digital CamCoder.

User's Manual - US Version.

Lecz profesor Wilford-Smith nie mógł oderwać wzroku od czegoś, co odkrył w otwartym plastikowym worku.

- Pozwolą państwo - mruknął, odsunął kamerę na bok i pochylił się nad badanym obiektem.

Wyprostował się trzymając w dłoni pęsetę, a w niej malutki strzępek szarego papieru. Przyciągnął jedną z lup.

- Shimon, spójrz na to, proszę.

Izraelczyk zerknął na niego pytająco. Potem dokładnie przyjrzał się znalezisku przez lupę.

- W zeszycie nic nie brakuje - powiedział wreszcie. - Poza tym papier jest jaśniejszy.

- Właśnie. - Profesor odłożył szary strzępek do małej ceramicznej miseczki. - Będziemy musieli poddać to dokładniejszej analizie, ale prawdopodobnie to inny gatunek papieru.

Przez mgnienie oka w laboratorium panowała absolutna cisza. Tak, jakby każdy z obecnych wstrzymał oddech. Słychać było jedynie ciche buczenie kamer. Profesor Wilford-Smith podniósł wzrok i jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Johna Kauna, w którym złowieszczą migotały ogniki strasznego przecucia.

- Wygląda na to, że w plastikowym worku był wcześniej jeszcze jeden kawałek papieru - oznajmił archeolog głosem pozbawionym emocji.

Oczy milionera rozszerzyły się. Usta ułożyły się bezgłośnie w kształt imienia, o którym obaj w tej chwili myśleli. Trwało to ułamek sekundy. Potem John Kaun krzyknął, tak głośno, jakby chciał głosem strzaskać obiektywy kamer.

- Ryan!

23

Sender: Jeremy_Lloyd@waterhouse.ny.com
 To: Donald_Frey@aus.new.com
 Message-Id: 77014520.ACF0.53751@mail-delivery-srv.com
 Subject: „Melbourne-Deal?? Co się dzieje??
 Mime-Version: 1.0
 Content-Type: text/plain; charset=us-ascii

Don,

Co się tam u was oa dole dzieje? Tu na Wall Street aż wrze od plotek, że Kaun wycofał się ostatecznie z Australia-Deal. Możesz podać przyczyny? Mamy tu wielkie problemy z utrzymaniem kursu NEW. Jeśli CEO nie włączy się jak najszybciej, wszystko się rozleci.

Pilnie odpowiedz,
 Jeremy

Stephen Foxx nieustannie mieszał kawę, kartkując przy tym swój wyczytany turystyczny przewodnik. Judith zastanawiała się ospale, czy może dojść do tego, że w końcu przetrze łyżeczką na wylot dno filiżanki, a jeśli tak, jak długo jeszcze to potrwa. Prawdopodobnie już nie tak długo.

- Mam - powiedział nagle Stephen i przeczytał: - Bet She'arim. Na południowych zboczach gór w dolnej Galilei - zobacz też: Galilea - miasto położone powyżej zachodniej odnogi równiny Esdraelon. Wokół niego rozległa, otoczona kultem nekropolia - czytał dalej cicho, ominąwszy dłuższy fragment tekstu, raz po raz wrywało mu się jakieś słowo, jednak bez kontekstu trudno było zrozumieć sens. - Pierwszy raz wspomniane przez Józefa pod nazwą Besara... w drugim stuleciu siedziba Sanhedrynu - w nawiasie: żydowski sąd w okresie rzymskiej okupacji... ach, tutaj, jest: W północno-wschodniej części można rozróżnić w zabudowie pięć różnych epok, pierwsza od pierwszego wieku przed Chrystusem do połowy drugiego wieku po Chrystusie. To jest to. W tym czasie musiał się tam pojawić.

- Mhm - mruknęła Judith. Stephen przerwał mieszanie.

- Może powinniśmy się tam rozejrzeć. - Siorbnął kawę, skrzywił się, wsypał jeszcze łyżeczkę cukru i znów zaczął mieszać.

Siedzieli w najodleglejszym kącie namiotu kuchennego, gdzie cień był najgęstszy. Większość stojących tu wielkich lodówek była już wyłączona, rozmrożona i wypróżniona; znaleźli wprawdzie zmieloną kawę i cukier, ale ku rozpaczy Stephena ani jednego kartonika mleka.

- Może - wymamrotała Judith. Ze swego miejsca mogła widzieć kontenery i fragment parkingu. Wszystko było puste, jakby wymarłe. Idąc tutaj widziała pakującą się trójkę Włochów, a Francuzka, Chantal, podobna do niej jak starsza siostra, odbywała właśnie pożegnalny spacer wokół wykopalisk. Namiot nad sektorem czternastym już złożono. Ta cała sfora płacząca się stale wokół Kauna znikła razem z nim w Jerozolimie, nie licząc trzech mężczyzn, którzy rozsiedli się leniwie przed jednym z kontenerów i drzemali w słońcu.

To znaczy, właśnie przestali drzemać. W którymś z kontenerów zadzwonił telefon i jeden z wartowników chcąc nie chcąc musiał wstać, by go odebrać.

Judith wzięła tyka kawy. Na jej gust była w sam raz. Tak, ale ona zawsze piła czarną.

- Myślisz, że ta kamera naprawdę jeszcze istnieje? Po dwóch tysiącach lat?

- Dlaczego nie? W końcu instrukcja obsługi też jeszcze istnieje, a jest zrobiona tylko z papieru.

- Ale kamera jest duża i ciężka. Założmy, że gdzieś ją zakopał. Ktoś mógł ją odgrzebać już przed wiekami. W takim razie na pewno by ją rozebrał, żeby zobaczyć, co to takiego.

- Tak, ale podróżnik w czasie niewątpliwie też o tym pomyślał. Nie zapominaj, że miał prawdopodobnie wiele dziesiątków lat na zastanawianie. Skoro tak rozpoczął swój list, to na pewno znalazł odpowiednie miejsce. Takie, co do którego był pewien, że nikt w nim nie będzie kopał.

Mężczyzna wyszedł, zdjął z krzesła pas z kaburą pistoletu i zaczął go zakładać. Mówił coś do pozostałych.

- I podał je na drugiej stronie swojego listu.

- Właśnie. Niech to... - Stephen powstrzymał się od przekleństwa i jeszcze raz spróbował kawy. Wciąż mu nie smakowała, ale przeknął ją jak gorzkie lekarstwo. - Gdyby można było odtworzyć tok jego myślenia!

- Popatrz tylko - powiedziała Judith wskazując podbródkiem w kierunku sceny rozgrywającej się za plecami Stephena. - Tam chyba coś się dzieje.

Stephen odwrócił się. Trzej mężczyźni przypasali broń i niczym rewolwerowcy z filmu o Dzikim Zachodzie maszerowali teraz w kierunku namiotów.

- Och - chrząknął zaniepokojony Stephen. - Dziwne. - Wlał sobie do gardła resztkę kawy, nie zwracając uwagi na jej smak, i wstał. - Co to by miało znaczyć?

Judith patrzyła na niego pragnąc w duchu, żeby nie czuła się taka wypompowana.

- Nie wiem - rzuciła. - Ma to jakieś znaczenie?

- Jeśli ktoś rusza się w taki upał, to na pewno ma to jakieś znaczenie. - Stephen stanął w miejscu, z którego mógł widzieć wąską szczelinę między dwoma sąsiadującymi z sobą rzędami namiotów, i wyjrzał.

Judith przyglądała mu się, ociążała jak wór kamieni. Stephen wydawał się zaniepokojony. To dało się wyczuć. Nie było to w stanie zmusić jej do ruchu, lecz mogła to wyczuć.

- Co jest? - spytała.

- Przeszukują namioty. - Nabrał powietrza z głośnym świstem. - Nasze namioty. Cholera. Szukają nas. Judith spojrzała na swoją dłoń, leżącą na stole ciężko jakby była sparaliżowana.

- To niedobrze, prawda?

- Musieli coś odkryć w Jerozolimie. Posprzątaaliśmy chyba w laboratorium, co? Teraz rozmawiają z Włochami. Oni widzieli, jak tu szliśmy, do diabła.

Judith obróciła się ociążała na krześle, rozejrzała się. Tu w najciemniejszym kącie namiotu byli praktycznie niewidoczni. Ale nie na długo. Spojrzała na płachty namiotu osłaniające obszar, na którym jeszcze wczoraj stały stoły i ławki, teraz złożone z brzegu na stosy, gotowe do wywózki.

Do parkingu jest za daleko.

Stephen odwrócił się do niej. Zobaczyła jego bladą, pełną napięcia twarz i wiedziała, że już tutaj idą.

- Teraz musimy coś wymyślić - powiedział.

Oczy Ryana zdawały się czasem nieznacznie zmieniać kolor, a może miały wówczas inną temperaturę. Kaun obserwował tego mężczyznę, co do przeszłości którego znał więcej plotek niż faktów, jak rozmawia przez telefon. Jego oczy miały w tej chwili kolor zimny jak lód na biegunie. Teraz, to Kaun już wiedział, ten człowiek jest najbardziej niebezpieczny.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi - powiedział mimo to, gdy Ryan odłożył słuchawkę.

Ryan spojrział na niego wzrokiem bez wyrazu.

- Mam ich dorwać, tak, czy nie? - zapytał tylko.

Kaun odwzajemnił spojrzenie, długo, lecz na twarzy szczupłego Irlandczyka nie drgnął ani jeden mięsień. Ten człowiek wy dostał dla niego filmy z objętych wojną obszarów dżungli, uwolnił reporterów z rąk porywaczy, przemyślał klisze z niebezpiecznymi zdjęciami przez ściśle strzeżone granice i wykraść mafii tajne dokumenty. Powinien poradzić sobie ze złapaniem amerykańskiego studenta.

- Chcę - powiedział w końcu Kaun - żeby mi go pan dostarczył. I chcę wiedzieć, co przed nami ukrył. Daję panu wolną rękę.

Ryan skinął głową, wokół ust błąkał mu się cień uśmiechu.

- Tak właśnie założyłem.

Zbliżając się powoli do namiotu kuchennego, wznoszącego się spiczaste i wysoko nad pustynną glebą niczym osobliwa katedra z jasnoszarej tkaniny, podparta niezliczonymi słupkami i zamocowana jeszcze liczniejszymi linkami, trzej mężczyźni rozdzielili się. Jeden został z tyłu, położył rękę na rękojęści masywnego, kanciastego pistoletu maszynowego i rozglądał się wokół. Nic nie ukryje się przed jego oczyma i nic nie umknie przed kulami jego uzi. Dwóch pozostałych wyjęło z kabur pistolety i okrążyło namiot, jeden z lewej strony, drugi z prawej, ostrożnie stąpając przez linki.

- Panie Foxx? - powiedział jeden - nie hałaśliwym, rozkazującym tonem policyjnego patrolu, lecz bardziej półgłosem, nie głośniejszym niż podczas zwykłej rozmowy, choć niewątpliwie dobrze słyszalnym przez płótno namiotu. Mówił po angielsku z typowym bliskowschodnim akcentem. - Panie Foxx, proszę nie stawiać oporu. Musimy pilnie z panem porozmawiać.

Niemal równocześnie okrążyli boki namiotu i z dwóch stron weszli do wnętrza.

Namiot był pusty.

Spojrzeni po sobie zmieszani. Na jednym ze stołów w najodleglejszym kącie stała jeszcze filiżanka do połowy wypełniona kawą, drugą, pustą, zobaczyli w ostatnim nie-zdemontowanym zlewem, razem z filtrem pełnym zaparzonego fusów. Jeden z mężczyzn dotknął filtra. Był nadal ciepły i oczywiście wilgotny. Pod zlewem także nikt się nie ukrył, ani pod kontuarem, przy którym wydawano posiłki.

Wsunęli pistolety z powrotem do zawieszonych pod pachą kabur i wyszli, kręcąc głowami.

Jeden wskazał na parking. Stały tam jeszcze trzy pojazdy: ciemnozielony pickup, piaskowy Chevrolet i niebieski Fiat. Niebieski Fiat, wiedzieli o tym, należał do człowieka, którego szukali.

Dali znak temu z pistoletem maszynowym, że pójda przeszukać parking. Skinął głową ze zrozumieniem i sam ruszył znów w górę zbocza, w kierunku pozostałych namiotów. Mimo że większość stała już pusta, było ich jeszcze dość, by móc się w nich ukryć.

Wtedy zobaczył dziewczynę.

Daleko na zewnątrz, przy wykopach, po drugiej stronie namiotowego miasteczka. Nie wiedział, jak się

nazywa, ale parę razy widział ją z tym Stephenem Foxxem. Teraz akurat wchodziła do jednego z wyrobisk.

A więc Włosi musieli wprowadzić ich w błąd.

Szarpnęła z kieszeni koszuli gwizdek i dmuchnęła.

- Hej! - kiwał do swoich kumpli. - Mam ich! Tam!

Chantal Guignard długo oszczędzała na podróż. Krótco przed obchodzonymi tej wiosny dwudziestymi ósmymi urodzinami skończyła studia i dalszy plan przewidywał, że po wakacjach wyjdzie za mąż za swego wieloletniego chłopaka, razem z nim opuści Paryż i w Aix-en-Provence przyjmie posadę nauczycielki historii, łaciny i religii. Lato spędzone w Izraelu na pracy na wykopaliskach miało być spełnieniem skrywanego od dawna marzenia i czymś w rodzaju złapania oddechu. Nim jej życie wskoczy na całkiem nowe tory, chciała jeszcze raz spojrzeć na nie z dystansu, daleko od domu, od Pierre'a, od wszystkiego. Cezura. Coś, co będzie mogła długo wspominać, opowiadać o tym i myśleć. Może wkrótce urodzi dzieci i będzie uwiązana na dłużej. Koniecznie chciała najpierw zrobić coś tylko dla siebie.

A teraz skończyło się to tak raptownie.

Zeszła po drewnianej drabinie, przesuwała palcami po antycznych kamieniach, wdychała zapach pyłu i wyschłej ziemi, wsłuchiwała się w ciszę pogrzebanych tutaj tysiącleci. Właśnie tutaj, w tym kawałeczku, na którym pracowała. Stąd wynosiła w wielkich koszach żwir i ziemię, tu znajdowała monety, kości, skorupy ceramicznych naczyń. Tu dotykała historii.

A jutro o tej porze będzie siedziała w samolocie do domu.

Wczasy nad morzem w Tel Awiwie? Nie, to nie tego chciała. Nie mówiąc o tym, że nie mogłaby sobie na nie pozwolić.

Nastawiła uszu, gdy usłyszała zbliżające się szybkie kroki i sapanie kilku głosów. Dotarło do niej, że jest tu przy wykopach całkiem sama, że nikt nawet nie zobaczy ani nie usłyszy, jeśli jej się coś stanie. Nie, pomyślała. To nie może się zdarzyć. To nie może się tak skończyć.

Gdy na krawędzi wykopu pojawiło się trzech mężczyzn z pistoletami i bronią maszynową w dłoniach, zaczęła krzyczeć.

Stephen Foxx pchnął drzwi lodówki, w której się schował, i zachłysnął się powietrzem. Nie wytrzymałby ani chwili dłużej. Na chwiejnych nogach wyszedł, starając się nie robić więcej hałasu niż to konieczne i otworzył kłapę sąsiedniej lodówki, z której spojrzała na niego Judith, z kredowobiałą twarzą.

- Nigdy więcej tego nie zrobię! - przysięgła. - Czuję się jak w trumnie.

- Ale podziała! - stwierdził Stephen pomagając jej wyjść.

- Ledwo w to wierzę. Chodzili między tymi lodówkami i żadnemu nie przyszło do głowy zajrzeć do środka - siła stereotypu. Nie pomyśleli o tym, że lodówki są wyłączone i opróżnione.

- Tak - wysapała Judith drżącym głosem. - To nie byle co, wpaść na taki bezmózgowy pomysł. Powiedz mi, czego ty właściwie szukasz?

Pytanie skierowane było do Stephena, który pośpiesznie wyciągał i zamykał jedną po drugiej szuflady kontuaru. Wreszcie znalazł coś w jednym z kartonów.

- Tego! - oznajmił, podnosząc wielki nóż do mięsa.

- Teraz szybko!

Pobiegli na parking. Z oddali dobiegły ich krzyki, ale nie oglądali się, biegli dalej. Stopy śmigały nad kamieniami, żwirem, wyschlą trawą, wznosiły kłęby kurzu świadczące o tym, o jaką stawkę idzie wyścig. Stephen pierwszy dotarł do samochodów. Judith zobaczyła błysk ostrza, gdy przebijał nim opony pickupa. Dobiegła do Fiata, gdy on pędził do Chevroleta. Drzwi były zamknięte. Czy on w ogóle ma przy sobie kluczyki? Jaki normalny człowiek zabiera kluczyki, gdy idzie zrobić sobie kawę?

Chevrolet również opadł na jedną stronę ze świszczącym sykiem.

Teraz pojawili się tamci. U góry zbocza, mknęli między namiotami. Strzelali. W powietrze, ale strzelali. Zobaczyła pędzącego Stephena. Odrzucił nóż, wyjmował z kieszeni pęk kluczy, naprawdę! Teraz muszą tylko zdążyć, nim będą tu tamci. Stephen głośno dysząc stanął przy niej, trafił kluczykiem do zamka za pierwszym razem, rygielek podskoczył. Szarpnęła drzwi, rzuciła się do środka, odblokowała drzwi kierowcy gdy on okrążał wóz, otworzyła je i popchnęła. Opadł na siedzenie, nie trafił do stacyjki, upuścił kluczyki, mężczyźni byli coraz bliżej.

- Stephen! - wrzasnęła Judith, choć twardo sobie postanowiła tego właśnie nie robić. Ale jeden z tamtych podniósł uzi i wszyscy trzej krzyknęli.

- Tak, tak. - Stephenowi udało się znaleźć kluczyki, trafić do stacyjki. Przekręcił, silnik zaskoczył. Dodał gazu. Mały samochodzik wystrzelił do przodu, na zakurzoną drogę, prowadzącą do bramy obozu. Mężczyźni zmienili kierunek biegu, chcieli odciąć im drogę, ale nie zdążyli.

24

PER FAX

Susan,

załączam pismo, które przed półgodziną przysłał mi George Miller z „Melbourne Chronicle”. Mówiąc krótko, pisze w nim, że negocjacje zostały zerwane i trzy kwartały pracy mogą wsadzić sobie w d... Proszę przekazać to Johnowi.

Pozdrawiam,
Don

- Jak to się mogło stać?

Zdawało się, że każde z wyrzucanych z wściekłością słów na moment zawisa nieruchomo w powietrzu. Kaun stał pochylony do przodu, zaciśnięte w pięści dłonie oparł o blat stołu i patrzył w oczy Ryana takim wzrokiem, jakby chciał przewiercić go na wylot siłą spojrzenia. Ryan, jak zwykle, stał nieporuszony, na twarzy wykuty jak w skale kamienny brak wyrazu. Jeżeli nawet wybuch Kauna poruszył go w jakiś sposób, nie było tego po nim widać ani trochę.

- Stephen Foxx i Judith Menez przejechali przez wioskę - oznajmił rzeczowo. - Wypytałiśmy ludzi. O wiadomym czasie widziano pędzącego główną ulicą niebieskiego Fiata. Moi ludzie potrzebowali około pięciu minut, żeby wymienić przebite opony Chevroleta. To dało tamtym przewagę.

- Pięć minut przewagi? I to wystarczyło?

- Za wioską droga rozwidła się w labirynt ulic i osiedli. Tysiące możliwości ukrycia się.

Kaun patrzył na mężczyznę o jasnych, obciętych na jeża włosach, nie mówiąc ani słowa, każdy mógł jednak dostrzec, że ciśnienie podnosi mu się nieustannie. Jeszcze raz rozejrzał się, nie dostrzegł jednak nic, co mogłoby spełnić rolę wentyla, więc eksplodował.

- Do cholery! Ryan - dlaczego?! Co ten przeklęty chłopaczek z college'u wie? Co przed nami ukrywa? Co?!

Ryan był jak ze stali. Eisenhardt przyglądał się człowiekowi ubranemu w pseudomilitarny strój koloru khaki, przypominał mu postać z serialu *Enterprise*, bezdusznego Wol-kana zwanego mister Spock.

- O to będziemy musieli zapytać jego samego - odparł tylko.

- Okay - parsknął w końcu Kaun. Podparł się pod boki, kręcił w miejscu bez celu. Jego twarz przybrała niezdrowy kolor popiołu. - Czy przeszukaliście już ich rzeczy?

- Właśnie to robią.

- Może ten papier znajdzie się tam, między nimi. Albo jakakolwiek inna wskazówka... Ma pan jakąś teorię, Ryan?

Ryan nie spieszył się z odpowiedzią.

- Sądzę, że Foxx i ta dziewczyna przez przypadek zauważyli, jak zaalarmowaliśmy strażników. Prawdopodobnie przebywali wtedy w namiocie kuchennym, jego tylna część jest przy jasnym świetle słonecznym praktycznie niewidoczna z zewnątrz. Oni natomiast dokładnie widzieli wszystko, co się działo.

- I spodziewali się, że będziemy ich szukać. - Kaun wciąż jeszcze sapał. Cała ta sprawa chyba niezbyt mu posłużyła.

- Oni na to czekali. Zatem mają coś na sumieniu. Jeśli do tej pory nie byliśmy tego pewni, to teraz jesteśmy.

Ryan cierpliwie czekał, aż Kaun ponownie na niego spojrzy, potem dodał półgłosem, niemal łagodnie:

- To, co się stało, świadczy o tym, że czuli się bardzo pewnie. W przeciwnym razie dawno już wyjechaliby z innymi wolontariuszami. A oni zostawili cały bagaż.

- Tak. - Kaun zaczął chodzić tam i z powrotem, uosobienie niepokoju, stanowiące zupełny kontrast do obrazu wzniosłego spokoju, jaki przedstawiał sobą w poprzednich dniach.

- Tak. Ma pan rację, Ryan.

Zaczął okazywać nerwy, powiedział w duchu do siebie Eisenhardt zastanawiając się, co to może oznaczać. *Teraz pokaże nam swoje prawdziwe oblicze.*

- Niech pan ich złapie - mówił dalej milioner, lecz nie zabrzmiało to jak stanowczy rozkaz wszechwładnego uzurpatora. Zabrzmiało to niemal komicznie. Nawet nie jak wołanie o pomoc. Jego słowa były w gruncie rzeczy zupełnie niepotrzebne. O czym w końcu przez cały czas rozmawiali? - Niech pan złapie tego Stephena Foxxa. Muszę mu zadać kilka niewygodnych pytań.

Eisenhardt poczuł się raptem jak widz w teatrze. Widz, którego awangardowy reżyser posadził na scenie między aktorami. Wokół niego intryga rozwija się w najlepsze, tylko że on - przynajmniej w tym momencie - przestał uważać się za jej uczestnika. Wcale go to nie dotyczy. Zamiast tego jakaś dość samowolna instancja, usadowiona gdzieś w potylicy, zaczęła skrzętnie archiwizować przebieg wydarzeń, neutralnie, z dystansem i szacunkiem dla szczegółów.

Dobrze znał tę zmianę nastroju. To jego podświadomość przygotowywała się właśnie do tego, by pewnego dnia przetrwać to wszystko na powieść.

Stoły w restauracji były wysokie, za to miały za małe blaty, poza tym ustawiono je zbyt gęsto. Jakkolwiek się obrócić, zawsze zahaczało się nogami pomarańczowego plastikowego krzeselka o nogi innego pomarańczowego plastikowego krzeselka. Z kolei ceny w jadłospisie były zbyt niskie, by można było liczyć na szczególnie smaczne jedzenie, i w tym zakresie ich oczekiwania spełniły się co do joty. Stephen i Judith byli dość głodni, lecz oboje zostawili na talerzach niedojedzone potrawy.

- Muszę do wieczora zdobyć jakiś grzebień - wymamrotała Judith i kolejny raz przeczesła włosy rozczepionymi palcami - inaczej oszaleję.

- No, na grzebień powinno wystarczyć - odparł Stephen i wyjął portfel, by chyba już po raz dwudziesty przejrzeć jego zawartość. Były tam dwie karty kredytowe, bilet na samolot, czek podróży American Express, jego prawo jazdy i rozmaite kwity, na przykład z wypożyczalni samochodów. I jego paszport. I notatnik z cienkim długopisem. I mały, składany kalendarzyk.

Judith obserwowała go przy tych czynnościach.

- Jesteś niemożliwy, wiesz? - spytała po chwili. - Nosisz przy sobie pół biura. Właściwie całe, jeśli doliczyć telefon.

- Nie - odpowiedział poważnie. - Zapomniałem wizytówek.

- Czego?! - wytrzeszczyła oczy, po chwili dotarło do niej, że dała się nabrać.

Stephen skrzywił się.

- Gdyby wtedy Ryan nie popsuł nam tego wieczoru, kiedy wróciliśmy z Tel Awiwu i już między nami obiecująco iskrzyło, nie miałbym teraz tego wszystkiego przy sobie. Okay, oprócz prawa jazdy i karty kredytowej. Ale od tamtej pory nie wychodziłem z obozu bez portfela. - Zamknął go i wsunął z powrotem do kieszeni. - Dziękuję bardzo, panie Ryan.

- Ale mają twojego laptopa.

- Tak. To boli, naprawdę - w bagażu miał jeszcze parę innych rzeczy, których strata była bolesna, ale komputer z całym wyposażeniem naturalnie przedstawiał największą materialną wartość. A gdyby rzeczywiście miał go już nigdy nie odzyskać, straci kilka ważnych pism, w rodzaju oferty dla *Video World Dispatcher* związanej z nią kalkulacji, oraz mnóstwo e-maili, otrzymanych podczas pobytu w Izraelu. Lecz i bez tych dokumentów mógł się w zasadzie obyć. Ofertę wysłał, a kalkulację bez problemu odtworzył z pamięci. Mimo to szkoda - to był niezawodny, solidny komp, jakich w takiej wersji od dawna już się nie produkuje, co zresztą normalne w przemyśle komputerowym, gdzie nowość goni nowość.

- Ile kosztuje coś takiego? - zacięła się Judith.

- Jeśli będę chciał kupić podobnego - około osiem tysięcy dolarów, na oko.

- Dużo pieniędzy. To znaczy, w porównaniu z moim grzebieniem.

- Owszem. I cztery tygodnie pracy, żeby wszystko na nim zainstalować tak, żebym mógł pracować - myśli Stephena wciąż jeszcze krążyły wokół laptopa, ale nie z tego powodu, że nie był w stanie przeboleć utraty tak drogiego sprzętu. Właściwie przez cały czas, kiedy samochód terkotał na wąskich ścieżkach i zakurzonych drogach, prowadzących przez niesamowite wioski i karkołomne przełaje, póki nie dotarli znów do szerszej, wiodącej do Jerozolimy szosy, próbował przypomnieć sobie szczegółowo zawartość twardego dysku.

Zajmowało go tylko jedno pytanie: Co pozostawione na nim pliki mogły zdradzić ich prześladowcom?

Znajdą jego kompletną książkę adresową i korespondencję z najważniejszymi klientami. To niedobrze, ale nie może zaszkodzić jego zamiarom. Znajdą elektroniczny pamiętnik, którego lekkomyślnie nie zakodował, zabezpieczył tylko zwykłym hasłem dostępu, jego ominięcie nie przysporzy większych problemów żadnemu specjalście od komputerów. To już gorzej. Jednak w najgorszym razie dowiedzą się z niego, jak wielką ochotę miał na Judith Menez. To krępujące, lecz niewiele obciążające. Co teraz wychodziło mu na dobre, to fakt, że od zawsze, gdy w jego życiu działo się coś naprawdę wartego utrwalenia, wtedy zapiski w pamiętniku były nadzwyczaj skromne. To dlatego, że w takich okresach nie miał czasu na pisanie pamiętnika. O ile pamiętał, ostatni wpis pochodził z poprzedniego poniedziałku, a wtedy wspominał znalezienie instrukcji obsługi tylko jednym krótkim zdaniem, by potem rozwodzić się przez całe akapity nad przyjemnością czekania na pierwszą randkę z Judith, pisał o planowanej wspólnie z jej bratem wycieczce do Tel Awiwu.

Przy okazji przypominało mu się... Stephen wyjął z kieszeni komórkę i ponownie wybrał po kolei dwa numery telefonu otrzymane od Yehoshui. Z nawiązką opłaciło się już, że wymienił dwa numery z pełnej po brzegi pamięci szybkiego dostępu w swojej komórce na te dwa nowe.

W domu nikt nie odebrał.

W muzeum też nie.

- Masz może pomysł, gdzie twój brat mógłby się pętać o tej porze?

Judith wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- To mi się wydaje dziwne - zamyślił się Stephen.

- Tak. Dość osobliwe.

Stephen przez chwilę wpatrywał się przed siebie, mając wrażenie, że gwar głosów wokół nich przenika go na wskroś.

- Nie wolno nam tracić więcej czasu. -Tak?

- Mamy nad nimi jeszcze jedną maleńką przewagę. Musimy ją wykorzystać.

- Brzmi dobrze. Gdybym jeszcze tylko wiedziała, o co ci chodzi.

To był jeden z tych momentów, kiedy myśli, od dłuższej chwili snujące się po duszy niczym smugi dymu, zagęszczają się, tworząc wyraźne poglądy.

- Wczoraj wieczorem byłem odurzony odczynnikami, których tak obficie używał twój brat. Brakiem snu, upałem, w ogóle całym tym zmęczeniem - stwierdził Stephen - i dziś rano tak samo, prawie cały dzień. Dlatego tak długo trwało, nim wpadłem na to, co tu śmierdzi.

Judith otwarła szeroko oczy. Wielkie, ciemne oczy. Jak dwie niezgłębione, przepastne studnie.

- Ty do czegoś zmierzasz - powiedziała.

- Yehoshuah *powiedział* nam, że na drugiej kartce nie da się nic odczytać - oznajmił Stephen i krzywiąc się dodał: - Ale jej nam nie *pokazał*.

Yehoshuah obudził się i zobaczył, że leży zwinięty w kłębek na kamiennej podłodze toalety, trzymając wciąż w dłoni klucze do łazienki i z obrzydliwym posmakiem w ustach. Z wykafelkowanych ścian padało na niego światło neonówki, głowa go bolała i było tak cicho, że można by pomyśleć, iż poza nim na ziemi nie został już żaden człowiek.

No i marzył.

Pomijając to, czuł się dobrze. Całe ciało obklejał mu zaschły pot, we wnętrzu czaszki czuł suche, bezlitosne wiercenie i rwanie, a gdy podciągał się w górę na emaliowanej umywalce, osłabł, jakby miał za chwilę skonać. Do tego musiał zmagać się z migotliwymi czarnymi punkcikami przed oczyma, a przecież czuł się uleczony ze wszystkiego.

Później po południu powłókł się jeszcze do muzeum, samochód zostawił w domu, bo samopoczucie miał zbyt kiepskie, by poważnie się na ruch uliczny Jeruzolimy, odbył więc całą drogę rozchybotanym autobusem, starając się nie myśleć o tym, jakich zarzutów będzie musiał wysłuchać, skoro w pierwszy dzień po szabacie przychodzi do pracy dopiero wtedy, gdy inni wychodzą. Ku jego zaskoczeniu, szef konserwatorów, Efraim Latsky, na przywitanie otoczył go ramieniem i powiedział przychylnym tonem:

- Takich pracowników mi trzeba, Menez! Pan przynajmniej myśli. Innych musiałem wysłać do domu - ale pan przychodzi dopiero wieczorem. Wspaniale, Menez.

Yehoshuah wytrzeszczał oczy na grubawego mężczyznę, potem na jego tłustą rękę na swoim ramieniu, gęste kępki włosów na wierzchu dłoni, i nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Mhm - odchrząknął i potem: - No cóż, ja... Mhm...

- Ten Wilford-Smith - grzmiał Latsky dalej - i jego amerykański sponsor zajęli całe piętro konserwatorów. Wprost nie do wiary, prawda? Mieliśmy tu przez cały dzień piekło, naprawdę piekło.

W tej samej chwili, gdy Latsky cofnął rękę i zniknął za narożnikiem korytarza prowadzącego do biura, zaczęła się zapaść. Wstrząsały nim skurcze, udało mu się jeszcze w porę dotrzeć do toalety. I tam zwymiotował, i znów, i znów, to zdawało się nie mieć końca. Przypominał to sobie tylko niewyraźnie, czas niknący w mroku podświadomości, może minuty albo godziny w ciemnym tunelu. Pamiętał jedynie zdziwienie, skąd bierze się to wszystko, co z siebie wyrzuca i wrażenie, że wypluwa już strzępy swych wnętrzności.

Teraz jednak to minęło. Jakoś dźwignął się na nogi, wychodząc z toalety musiał podeprzeć się o ścianę, a wspinając się chwiejnie po schodach nie poradziłby sobie bez poręczy. Spotkał nocnego stróża na pierwszym obchodzie po zamknięciu muzeum i stary, siwowłosy mężczyzna z wielkim pękiem kluczy przez chwilę zatrzymał na nim wzrok, nim wreszcie powiedział to, co mówił zawsze, gdy spotykali się wieczorem:

- Dobry wieczór, doktorze Menez.

Skinął mu głową, brak mu było sił na rozmowę. Dotarł w końcu do pokoju asystentów na pierwszym piętrze, nie włączając światła rzucił się na wyświechtaną kanapę, którą otaczał zaduch dymu papierosowego, wystygłej kawy, gnijących skórek od bananów, kurzu i pleśni, obrócił się na bok i wylądował głową na czymś miękkim, to poduszka, sięgnął jeszcze po drugą i położył ją sobie na brzuchu, po czym zapadł w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Zaparkowali mniej więcej o tej samej porze i niemal w tym samym miejscu, co w poprzednie noce. Parking był pusty i bezludny jak zwykle, ośmiokątny, przypominający wieżę budynek Muzeum Rockefellera odcinał się ciemnym konturem cienia od nocnego nieba nad Świętym Miastem.

- Może teraz sami pakujemy się w nieszczęście - stwierdziła Judith, gdy wysiadali i zamykali drzwi samochodu najciszej, jak to możliwe.

- Może - przyznał Stephen.

Ruszyli drogą przez zarośla, wzdłuż płyt, ku leżącym nieco niżej drzwiom. Stephen wyjął z ukrytej kieszonki w pasku dwa dziwnie powyginane pręciki. Gdy manipulował nimi przy zamku, Judith przyświecała mu małą latarką, kupioną chwilę wcześniej na stacji benzynowej.

- 1 ty naprawdę zarobisz swoje pieniądze uczciwą pracą? - spytała po chwili.

Tylko skinął głową przytakująco. Nie mógł rozpraszać się pogawędką.

Na szczęście nie miał przed sobą nowoczesnego zamka, w przeciwnym razie musieliby odejść, nic nie wskórawszy. Ale i tak było trudniej, niż sądził. W każdym razie trudniej, niż wyglądało to w telewizyjnych kryminałach.

Przez dłuższy czas dało się słyszeć tylko ciche odgłosy skrobania, to Stephen starał się przechytryć kolejne cylindry zamka. Choć był skupiony na tym zajęciu, to jednak czuł, że stojąca obok Judith robi się coraz bardziej nerwowa. W końcu dało się słyszeć wyraźny stuk i zamek był otwarty-

- Jestem pod wrażeniem - półgłosem powiedziała Judith, gdy znaleźli się za drzwiami w małym, zakurzonej magazynku. - Gdzie nauczyłeś się czegoś takiego?

- U nas w USA można kupić książki, w których dokładnie opisane jest, jak to się robi. Nie do wiary, co? - Stephen rozglądał się, jakby czegoś wypatrując, podnosił zakurzone plandeki/i zaglądał pod skrzynie.

- Czego szukasz?

- Na przykład tego - pokazał jej dużą mosiężną śrubę, po czym włożył ją do kieszeni. - Ja w każdym razie nauczyłem się tego od człowieka, który jest członkiem tego samego klubu, co ja. Był kiedyś włamywaczem, teraz mieszka w Nowym Jorku i jest cenionym ekspertem od zabezpieczeń antywłamaniowych, zarabia mniej więcej dziesięć razy tyle, co wcześniej przynosiły mu jego rabunki. Dobry przykład na to, że przestępstwa są o wiele mniej opłacalne, niż się powszechnie sądzi.

- I nauczyłeś się wyłamywania zamków? Tak po prostu?

- Oczywiście, że nie. Dopiero gdy mu powiedziałem, z jakiego powodu chcę się nauczyć. Mianowicie po to, żeby móc uciec, na wypadek, gdyby okazało się to potrzebne w moich różnych podróżach po świecie. Jeśli jest coś, czego nienawidzę, to na pewno myśl, że mógłbym być uwięziony - pod jedną ze skrzyń znalazł metalową listwę długości ramienia, wziął ją także. - Chodź, idziemy dalej.

Wyłączyli światła, które w poprzednie noce beztrzesko zostawiali włączone. Wtedy był z nimi Yehoshuah, któremu przynajmniej wolno było przebywać w tym budynku. Bez niego byli wyłącznie intruzami, idąc przez muzeum starali się robić jak najmniej hałasu.

Mimo to zdawało im się, że nawet ich ciche stąpanie rozchodzi się głośnym echem po sali wystawowej, przez którą musieli przejść. A drzwi prowadzące do korytarza po drugiej stronie wciąż skrzypiały, głośniejsze niż przedtem. Odetchnęli z ulgą, gdy w końcu stanęli przed laboratorium konserwatorów.

Te drzwi oczywiście także były zamknięte.

- Teraz dokonamy uszkodzenia mienia - powiedział Stephen.

Przyłożył czubek mosiężnej śruby do zamka i zaczął ją wkręcać w otwór przeznaczony dla klucza, używając metalowej listwy jako śrubokręta. Gdy śruba siedziała już pewnie, wsunął listwę pod jej tepek, oparł krótszy koniec metalowej dźwigni o skrzydło drzwi, po czym raz, krótko i mocno, szarpnął za dłuższy. Dał się słyszeć cichy, ale wyraźny dźwięk, gdy pękła śruba przytrzymująca w zamku cylinder ryglujący. Stephen wyciągnął go, ręką odsunął rygiel, drzwi były otwarte. Nie trwało to nawet minuty.

- Jutro każdy będzie wiedział, że tu byliśmy - upomniała go Judith z wyraźnym niesmakiem.

- Teraz to bez znaczenia - stwierdził Stephen, przymknął skrzydło uszkodzonych drzwi i zaświecił światło w laboratorium.

Pomieszczenie wyglądało teraz całkiem inaczej. Jeden ze stołów w całości był zajęty szkieletem podróżnika w czasie, na drugim trwały w pełnym toku prace nad rozłożeniem antycznej instrukcji obsługi na oddzielne kartki. W każdym kącie stały czarne, szeroko rozstawione statywy, na których zamocowano masywne kamery albo małe halogenowe reflektory.

- Poszukiwania kamery wideo starannie dokumentują na wideo - wymamrotał Stephen, krążąc po pokoju i przyglądając się bliżej znaleziskom. - To jakieś dziwne.

Judith zafascynowana patrzyła na instrukcję obsługi, o której do tej pory tylko słyszała. A więc istnieje naprawdę, rzeczywista i prawdziwa. Oto znane na całym świecie logo firmy, na papierze niemal tak kruchym, jak zwoje z Qumran.

- Popatrz - powiedziała cicho, nieco drżącym głosem.

Stephen stanął obok niej. W plastikowej kuwecie, starannie przykrytej przezroczystą folią, leżał jeden z arkuszy wyjętych z zeszytu. Prawdopodobnie tylna okładka, gdyż strona była pusta, poza wyraźnie czytelnym napisem *Copyright* w lewym dolnym rogu.

Printed in Japan. A dalej liczba oznaczająca rok, który miał nadejść dopiero za cztery lata.

- Nie do wiary - szepnęła Judith.

Wbrew woli Stephen także musiał przyznać, że i jemu po plecach przebiegł dreszcz.

Odwrócił się do kości umieszczonych na stole w środku pomieszczenia, rozłożonych na długiej, czarnej gumowej macie mniej więcej w kształcie szkieletu.

- Ależ chciałbym wiedzieć, kto to jest - powiedział. Puste oczodoły czaszki zdawały się odwzajemniać jego

spojrzenie. Ale swą tajemnicę zachowały dla siebie.

- On teraz gdzieś żyje, prawda? - stwierdziła Judith. - A równocześnie tutaj leżą jego kości. To niesamowite.

- Tak - odparł Stephen. - A Kaun nas szuka, bo chce zdobyć jego list. A przy tym przez cały dzień był niecałe trzy metry od niego. To jeszcze bardziej niesamowite.

Podszedł do jednej z szafek z szufladami, stojących pod każdym ze stołów, i wyciągnął najniższą szufladę. Stały w niej, ukryte pod wygniecioną gazetą, dwie plastikowe kuwety, zawierające obie kartki listu.

- Absolutnie lekkomyślnie - orzekł Stephen, wyjmując kuwety. - Nawet nie zamknięte. Można by sądzić, że wczoraj wieczorem byliśmy pijani.

Ustawił plastikowe tace pod lampą ultrafioletową i zdjął folię, chroniącą arkusze przed kurzem i wyschnięciem. Potem włączył świetlówkę ultrafioletową.

- Mmh - mruknął zadowolony Stephen. - Tak, jak myślałem.

Yehoshuah kłamał.

W pierwszej misce leżał arkusz, nad którym pracowali wczoraj. Antyczne pismo błyszczało niezwykłym złotem, dokładnie tak, jak Stephen pamiętał.

W drugiej kuwecie leżała druga kartka, o której Yehoshuah twierdził, że nie jest w stanie odczytać na niej pisma.

Yehoshuah twierdził, że eksperymentował z tym arkuszem. To była prawda. Ale to, co mówił, że pismo nie przyjmuje odczytnika, nie było prawdą, gdyż przynajmniej kilka słów i fragmentów zdań rozżarzyło się w świetle ultrafioletu.

- Skąd wiedziałeś?

- Wyczułem, że chce coś przed nami ukryć - wyjaśnił Stephen. - Tylko sobie tego wtedy nie uświadomiłem. Dopiero dziś, gdy znów się nad tym zastanowiłem w spokoju.

Przyciągnął jedno ze szkielec powiększających i próbował odcyfrować widoczne słowa, moja matka zawsze

- Co to ma znaczyć? - mruknął. - Skąd się tu wzięła jego matka?

nie czujesz wiatru historii, gdy ciebie

Czy to w ogóle jest ten list, znaleziony przez niego? Stephen przesunął lupę dalej. Pismo było o wiele mniej czytelne niż na pierwszej kartce, którą rozszyfrowali poprzedniego wieczoru. Musiał wpatrywać się w nie przez dłuższy czas, nim linie ułożyły się w tekst.

ale

niesprawiedliwe

Stephen poczuł, jak wzbiera w nim pełen zwątpienia niepokój. O czym na Boga, mówi ten człowiek?

- I co? - zapytała niecierpliwie Judith. - Co tam jest napisane?

- Coś o jakichś mądrościach przekazanych mu przez matkę - odparł Stephen, nie pojmując. Cóż to za nieudolny wywiadowca przeniósł się w przeszłość? Czy naprawdę nie miał nic lepszego do powiedzenia w swoim prawdopodobnie jedynym liście do przyszłości?

- Jego matkę?

- Coś tam o oddechu historii, którego się nie czuje, gdy kogoś... coś. Owiewa, może. Nie rozumiem.

To nie może być prawda. Oto on, Stephen C. Foxx, znajduje list jedyne go podróżnika w czasie, o jakim kiedykolwiek wiadomo. Tego podróżnika, który udał się w czasy Jezusa uzbrojony w kamerę wideo i twierdził, że nakręcił trzy kasety, każda z dwunastogodzinnym nagraniem, na których widoczny jest niewątpliwie założyciel największej religii świata. A teraz wygląda na to, że nie podał w swoim liście żadnej wskazówki, gdzie ukrył owe kasety?

Przesunął lupę nieco niżej. Było tam jeszcze kilka lekko żarzących się fragmentów, a w najniższej części kartki odkrył nareszcie coś, co zdawało się obiecywać sukces.

sto trzydzieści jardów od południowo-zachodniego narożnika świątyni w kierunku północnym

Stephen poczuł, że raptem serce zabiło mu szybciej.

- Tutaj - szepnęła. - Opisuje jakieś miejsce. Judith przełknęła ślinę.

- Przeczytaj.

- Sto trzydzieści jardów od południowo-zachodniego narożnika świątyni w kierunku północnym... Jaka świątynię mógł mieć na myśli?

kamień barwy niemal pomarańczowej

- No, świątynię - stwierdziła Judith. - Świątynię Jerozolimską. Sto trzydzieści jardów - ile to metrów?

w drugiej warstwie muru nad ziemią

- Około sto osiemnaście - wyliczył podniecony Stephen. To miejsce! To •miejsce, które opisywał, to mogło być tylko to. Przesuwał lupę nad kartką szukając ostatecznego potwierdzenia.

- O, nie - jęknęła obok niego Judith.

To było to.

ukryta kamera

Stephenowi wyrwał się okrzyk radości. O wiele za głośny okrzyk, w obliczu faktu, że dzisiejszego wieczora są tu włamywaczami.

- Licząc od południowo-zachodniego narożnika świątyni sto trzydzieści jardów - albo sto osiemnaście metrów - na północ, aż do prawie pomarańczowego kamienia w drugiej warstwie muru nad ziemią. Tam schował kamerę - tonem pełnym tryumfu powtórzył opis, przywodzący na myśl mapy z zaznaczonym ukrytym skarbem i zakopane kufry pełne złota. - Masz pojęcie, co to mogłoby być za miejsce?

- Nazywamy to miejsce *Kotel Ha-Ma'aravi* - w tym samym momencie odpowiedział głos od drzwi.

Odwrócili się przestraszeni. Stał tam Yehoshuah, dziwnie blady i wyglądający na chorego, musiał przytrzymywać się framugi.

- Bardziej znane - dodał bezbarwnym, słabym głosem - jako Ściana Płaczu.

25

Poniższy rozdział zajmuje się obszernie zabytkami z sektora 14/F.31, a mianowicie szkieletem i jego wyposażeniem grobowym. Na wstępie należy zaznaczyć, że wśród hipotez wysuniętych w celu wytłumaczenia owych znalezisk, wiele aż do granic wytrzymałości nadużywa właściwego naukowcom braku uprzedzeń, w niektórych przypadkach zgola je przekraczając.

Profesor Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Stephen wbijał wzrok w Yehoshuę, nie widząc go. Czuł się tak, jakby ktoś nasadził mu na głowę ogromny dzwon i uderzył weń największym sercem świata, jakby nie istniało nic poza jego dźwięcznym, grzmiącym dzwonieniem. Ściana Płaczu! Wprost genialnie! Wprost nie do wiary! Dlaczego nie wpadli na to sami? Podróżnik w czasie ukrył kamerę w największej świętości Żydów od czasu ich wypędzenia z Ziemi Świętej, tam przetrwała minione dwa tysiące lat. Ściana Płaczu, która nie jest przecież niczym innym jak określonym fragmentem zachodniej ściany ogromnej herodiańskiej świątyni - tej właśnie świątyni, o której jest mowa w Biblii, w Nowym Testamencie - ma dwie zalety, czyniące z niej w tym przypadku wprost idealny schowek. Po pierwsze dzięki temu, że jest odkopana i przebadana oraz udokumentowana dosłownie centymetr kwadratowy po centymetrze, można było dokładnie ustalić, które jej fragmenty będą istniały jeszcze po dwóch tysiącach lat. Po drugie nikt nie waży się jej tknąć bez specjalnego upoważnienia.

I to właśnie było fatalnie jasne. Mieli do czynienia ze schowkiem, który był nie tylko absolutnie pewny, lecz równocześnie absolutnie niedostępny.

Judith tymczasem podeszła do brata, przyłożyła mu dłoń do czoła. Był blady i wydawał się bardzo osłabiony, niemal chory.

- Nie wyglądasz dobrze - orzekła. - Co ci jest? Martwiliśmy się o ciebie, gdy nie odpowiadałeś na telefon. Spróbował zdobyć się na słaby uśmiech i potrząsnął głową.

- Już w porządku... Czuję się... no cóż, powiedzić, że dobrze, byłoby przesadą. Prawdopodobnie wyglądam na dość zmęczonego, co?

- Nie - odpowiedziała mu siostra. - Wyglądasz po prostu makabrycznie. Gdzie byłeś przez ten czas?

- Spałem. U góry, w pokoju asystentów. Na kanapie. Właściwie chciałem pracować, ale... Obudziło mnie przed chwilą jakieś skrzywienie, całkiem ciche i bardzo dalekie. To byliście wy, prawda? Te wielkie drzwi do holu. - Nabrał głęboko powietrza, wciąż jeszcze wyglądał na kogoś walczącego z odurzeniem.

- A właściwie jak weszliście bez kluczy?

- Głupie pytanie - mruknął niechętnie Stephen. Dźwięk dzwonu zrozumienia przebrzmiał, muzyka sfer ucichła, laboratorium na powrót zmieniło się w chłodne piwniczne pomieszczenie z topornymi murami ścian i trzeźwym światłem neonówek na betonowym suficie, jakim było przez cały czas. On zaś deptał po piętach największej tajemnicy ludzkości, bliżej, niż kiedykolwiek przedtem. Wskazał na kuwetę z drugim listem.

- Dlaczego to przed nami ukryłeś?

Yehoshuah zbliżył się powoli. Spojrzał na niego, potem na starożytny papier i żarzące się na nim nierealnie fragmenty pisma, potem znów na Stephena.

- Nie rozumiesz? - zapytał cicho.

- Nie.

- Nie mogłem. Odkąd przeczytałem to wczoraj po południu, nieustannie tkwiło mi to w głowie. Miałem już przed oczyma młoty pneumatyczne rozkuwające ścianę... kamienie, przed którymi jako dziecko modliłem się do Boga! - Drzwi laboratorium zatrzasnęły się z brzękiem. Yehoshuah przerwał, powoli kręcił głową. Wyglądał naprawdę niepokojąco, jak ktoś, kto powinien położyć się do łóżka na co najmniej dwa tygodnie. - Ale... dziś sam już tego nie rozumiem. Nie czuję tego, co czułem wczoraj. Wiem tylko, że nie byłem w stanie tego zrobić - nie tak po prostu. Potrzebowałem czasu, żeby to przemyśleć. Zastanawiałem się nawet, czy nie zniszczyć listu, możesz to sobie wyobrazić? Stephen wykrzywił usta.

- O rany, zawsze podejrzewałem, że siedzi w tobie religijny fanatyk.

- Ja, ja... wydaje mi się, że nawet za bardzo się nie mylisz - odpowiedział Yehoshuah, nie podchwytyjąc swobodnego tonu.

Stephen patrzył na niego zaniepokojony, w końcu jednak nic nie powiedział, tylko wyłączył lampę ultrafioletową nad oboma częściami listu. Tak, jakby mógł w ten sposób uchronić dokumenty przed zagrażającym im niebezpieczeństwem.

Trzy ciężkie samochody z wyłączonymi światłami wtoczyły się na parking przed Muzeum Rockefellera. Przeciągte trzeszczenie ich powoli obracających się opon było głośniejsze niż szum silników. Dwa samochody zatrzymały się po prawej i lewej stronie małego auta, stojącego do tej pory samotnie na rozległym placu, trzeci wyhamował w pewnej odległości.

Ryan, spoglądając na odbiornik sygnałów radiowych spoczywający na jego kolanach, pozwolił sobie na lekki, tryumfujący uśmiech. Jasny punkt świetlny wskazywał niepodważalnie i niedwuznacznie na samochód obok nich.

- To była słuszna decyzja, żeby poczekać, aż przyjadą tutaj - powiedział półgłosem do kierowcy swego samochodu. - Gdybyśmy capnęli ich wcześniej, dowiedzielibyśmy się tylko, w której knajpie jedli i przez jakie palestyńskie wioski przejechali. Za to teraz, kiedy są tutaj, robi się interesująco. Bardzo jestem ciekaw, czego tu szukają.

To właśnie rozkazał swoim ludziom w obozie wczoraj po południu: najpierw sprawdzić, czy nadajnik jeszcze wysyła sygnały. Dopiero gdy to ustalono, polecił im wytropić Stephena Foxxa.

Wyłączył odbiornik i dał znak do wysiadania.

- Dwóch ludzi zostaje przy głównym wejściu - przyciszonym głosem wydawał instrukcje mężczyznom zebranym wokół niego. - Dwóch do tylnego wejścia - chodzi o te drzwi, przez które weszliśmy dziś po południu. Jest jeszcze wejście boczne, gdzieś tam za tymi krzakami. Weźmiecie je wy dwaj. Reszta ze mną.

- To by przecież znaczyło - odezwała się od drzwi Judith

- że w murze musi być pusty kamień czy coś w tym rodzaju. Jak mógłby go tam umieścić?

Wszyscy równocześnie, jakby się umówili, skierowali spłoszony wzrok na szkielet podróżnika w czasie.

- Może pracował przy budowie świątyni? - zaproponował Stephen.

- To nawet możliwe - pokiwał głową Yehoshuah. - Świątynię wybudowano za króla Heroda i jej fundamenty były gotowe już w roku 4 naszej rachuby czasu.

- Mmh. To za wcześnie - pokręcił głową Stephen.

- Dziwne - mówił dalej Yehoshuah jakby sam do siebie

- staram się właśnie sobie przypomnieć, o który z kamieni w Ścianie Płaczu mogłoby chodzić... pomarańczowy kamień? Właściwie wszystkie są raczej żółte.

Nie dane mu było posunąć się dalej w tych rozważaniach. W ułamku sekundy gwałtownie otwały się drzwi laboratorium i raptem patrzyli w lufy pistoletów, do pomieszczenia wpadli potężni mężczyźni w czarnych ubraniach, jeden z nich w mgnieniu oka otoczył ramieniem szyję Judith.

- Okay! Ręce do góry! Nie ruszać się!

Stephen i Yehoshuah odruchowo podnieśli ręce. Bezbronni niczym zahipnotyzowane króliki patrzyli, jak mężczyźni rozsuwają się, robiąc przejście dla swego komendanta: Ryana.

Gdy Stephen zobaczył tego chudego człowieka o szarych oczach, pojął, co zaszło. Miał ochotę sam siebie spoliczko-wać. Nadajnik radiowy! W ogóle o tym nie pomyślał. Tylko dlatego, że wczorajszego wieczoru nie zobaczyli śladu, by ich ktoś śledził, lekkomyślnie porzucił swoje podejrzenia. A przecież bez problemu mógł w wypożyczalni wymienić ten samochód na inny.

Fakt, że został przechytrzony irytował go w tym momencie bardziej, niż napad jako taki. *To niezbyt rozsądne*, pomyślał.

- Dobry wieczór, panie Foxx - szyderczo lodowatym głosem odezwał się Ryan i poszedł wzdłuż stołów do ustawionych w tyle laboratorium statywów z kamerami i reflektorami halogenowymi. - Proszę pozwolić mi najpierw uruchomić kamery wideo, abyśmy mogli utrwalić dla potomnych pańskie niewątpliwie interesujące wyjaśnienia na temat waszej tutaj obecności. Eliaszu, włącz proszę te lampy z przodu.

Jeden z mężczyzn opuścił broń i zaczął niezdarnie grzebać w przewodach zamocowanych do umieszczonych na wysokich statywach reflektorów. Gdy pierwszy zajaśniał niemal dziennym blaskiem, mimowolnie musieli przymknąć oczy, od wielu godzin nawykłe tylko do nocy i słabego światła neonów.

Judith z rosnącą złością czuła, jak ręka mężczyzny, który przez zaskoczenie unieruchomił ją w duszącym chwycie i teraz cuchnącym nikotyną i zepsutymi zębami oddechem dyszał jej prosto w kark, opuszcza swe pierwotne położenie i przesuwa się niżej. Spoczywała już u nasady jej prawej piersi i palce zaczęły szukać sutka.

Gdy jeszcze docisnął miednicę do jej pośladków i poczuła twardniejący członek, wezbrała w niej ślepa wściekłość. Niepowstrzymana ani jedną myślą o gotowej do strzału broni, o beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, ani o niebezpieczeństwie grożącym jej i pozostałym, ślepa furia utorowała sobie drogę i rozwścieczona energia wskoczyła na tory, które podczas służby wojskowej tak długo trenowała na kursach dżiu-dżitsu, aż przekształciły się w podświadome odruchy. Chwyła ramię mężczyzny i wydając wrzaskliwy okrzyk bojowy przerzuciła go szerokim łukiem przez ramię, jakby nie ważył ani grama.

Kompletnie zaskoczony ochroniarz, który niczego nie spodziewał się mniej, niż ataku akurat tej drobnej kobiety, bezradnie poleciał w powietrze, uderzając w kant pierwszego stołu tak mocno, że złamał sobie kilka żeber, co przywiązało go na kilka następnych tygodni do szpitalnego łóżka, i trafiając przy tym swego kolegę, zajętego właśnie włączaniem drugiego reflektora, pełnym impetu ciosem prosto w krzyż. Człowiek, nazwany przez Ryana Eliaszem, raptownie upadł na kolana, szarpnięciem pociągając za

sobą statyw lampy.

Stephen i Yehoshuah odruchowo uskoczyli w bok, a jaskrawo jasna, rozgrzana lampa poleciała między nimi wprost na regał z odczynnikami chemicznymi, tłukąc i strącając duże i małe butelki. Jedna z większych butli z kwasem pękła w locie i jej zawartość szerokim, siejącym zniszczenie strumieniem zaalała dwie kuwety zawierające list podróżnika w czasie, w ułamku sekundy bezpowrotnie zmieniając obie kartki w bezkształtną, szarą masę.

W następnej chwili wszystko ogarnął ogień, wzniecony żarem rozgrzanej halogenowej lampy. Szybciej, niż można było nadażyć wzrokiem, płomienie rozprzestrzeniły się po ścieżkach wyznaczonych przez rozlane i rozprysnięte ciecze, z których najwyraźniej większość była łatwopalna.

- Ręce do góry! - zabrzmiał w tym piekle krzyk Judith. Z szybkością błyskawicy chwyciła pistolet zgubiony przez swego strażnika, w mgnieniu oka odbezpieczyła go i z robiącym wrażenie profesjonalizmem kiwnęła lufą. - I rzucić broń!

Włączył się alarm przeciwpożarowy. Jego ogłuszający dźwięk słychać było chyba w całym budynku.

Ryan odwrócił się do jednej z gaśnic wiszących na ścianach.

- Stać! - ryknęła Judith. - Nikt się nie rusza!

- Oszalałaś? - odrzyknął Ryan, wskazując na szalejące płomienie. - Pali się!

- Ręce do góry i stać, albo strzelam! - wrzasnęła piskliwie Judith i spojrzała na Stephena i swego brata, którzy odsunęli się na bezpieczną odległość od ognia, ale wciąż jeszcze niezbyt rozumieli, co się dzieje.

- Co z wami? Chodźcie już! - krzyknęła do nich.

Ryan tymczasem postanowił nie zwracać uwagi na Judith. Ta szalona dziewczyna może do niego strzelić, jeśli nie będzie stał spokojnie, ale to, co zrobi z nim John Kaun, jeżeli z obawy o własną skórę dopuści do uszkodzenia zmagazynowanych tu zabytków, będzie bez porównania gorsze. Ryan wyrwał z uchwytów najbliższą gaśnicę i zaczął celnymi strzałami proszku tłumić ogień.

Judith, Stephen i Yehoshuah wybiegli z laboratorium, dalej wzdłuż korytarza i w górę po schodach. Na końcu sieni widać było niebieskie migotanie, z pewnością odbłask z placu przed muzeum. Przez niezamordowane brzęczenie alarmu przebijał się dźwięk syren.

- Straż pożarna! - zadyszał Stephen. - Dalej, do głównego wejścia!

- Co? - oburzyła się Judith. - Oszalałaś? - Lecz popędziła za nim, gdy wydłużył krok i wysunął się do przodu.

Naprzeciw nich zbliżało się dwóch mężczyzn w czarnych ubraniach z wyjętymi rewolwerami, jeden przysadzisty, drugi chudy i wysoki, niewątpliwie pochodzili z tej samej stajni co tamci, których właśnie zostawili w piwnicy.

- No, świetnie - warknęła Judith, zwalniając do powolnego truchtu.

Ale Stephen biegł dalej, prosto na tamtych dwóch, zaczął nawet do nich machać ręką.

- Hej, tutaj! - wołał do nich. - Ryan potrzebuje was na dole! Wybuchł pożar, on jest ranny i...

Tamci dwaj spojrzeli na niego zbici z tropu. W ogóle wydawali się bardzo zdezorientowani. Sprawy najwyraźniej przybrały nie taki obrót, jakiego się spodziewali.

- Ryan? - powtórzył jak echo chudy.

- No jasne, że Ryan - gwałtownie przytaknął Stephen. - Na dole, w laboratorium, dalej, na co czekacie? Powiedział, że macie przyjść natychmiast!

Judith nie wierzyła własnym oczom, ale dwaj mężczyźni rzeczywiście wsunęli broń z powrotem do kabur i ruszyli biegiem.

Stephen stał jeszcze chwilę i kiwając głową patrzył za nimi.

- Co za kretyni - stwierdził, gdy Judith i Yehoshuah go dogonili.

Gdy wyszli, na placu przed muzeum stały już dwa wozy strażackie; trzeci nadjeżdżał właśnie ulicą, migocąc niebieskim światłem i wyjąc syreną. Mężczyźni w strażackich mundurach otwierali zatrzaski obrotowych drabin, wyladowywali motowidła do węzów, odbijali pokrywy podchodnikowych hydrantów. Samochody przejeżdżające ulicą przystawały, w oknach okolicznych domów zapalały się światła.

Podszedł do nich gruby, wyglądający na ważnego strażak.

- Gdzie się pali? - spytał po hebrajsku.

- W piwnicy - nie zwlekając odpowiedziała Judith. - Szybko się rozprzestrzenia.

- Są ranni?

Judith pomyślała o mężczyźnie, którego załatwiła. Wyglądał dość nieciekawie.

- Tak. Przynajmniej jeden.

- Dziękuję - skinął głową naczelnik straży, obrócił się do swoich ludzi i zaczął głośno wydawać rozkazy. Rozbito szklane portale głównego wejścia. Strażacy rozwijali w korytarzu zwoje węzów, inni podłączali je do rozdzielaczy. Dwóch biegło z noszami i aparatem tlenowym. Robiło to wrażenie precyzyjnie zorganizowanego chaosu, przemyślanego zamętu, znającego swój cel zamieszania. I nikt, a już najmniej gapie, których niewielka liczba - jak na tę późną nocną porę było ich i tak zaskakująco wielu - zebrała się na krawężniku, nikt nie zwrócił uwagi na trójkę młodych ludzi, przeciskających się powoli

przez ciżbę coraz dalej, by w końcu odejść niezauważenie.

26

Ryc. XI1-15 przedstawia lewy profil czaszki. Wyraźnie widoczne są dwa wypełnienia amalgamatem w tylnych zębach trzonowych. Zęby, o ile je znaleziono, umieszczono obok czaszki. W kle i środkowym siekaczu wyraźnie widoczne są próchnicze ubytki.

Profesor Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Ojciec Łukasz źle spał tej nocy. Poprzedniego wieczora dzwonił do niego biskup i oznajmił mu, że odwiedzi go ktoś ważny z Rzymu. Nie wyraził się tak dosłownie, ale właśnie to miał na myśli. Wymienił nazwisko: Luigi Battista Scarfaro.

- Niech go ojciec traktuje jak kardynała - kilkakrotnie upomniął biskup. - Nie piastuje żadnej zwykłej kościelnej godności, ale za to ma wolny dostęp do Ojca Świętego, kiedy tylko zechce. Niech ojciec udzieli mu wszelkiej pomocy, jakiej sobie zażyczy - wszelkiej, Łukaszu. Wszelkiej.

Podczas tej telefonicznej rozmowy Łukasz widział przed sobą starego biskupa, jego okrągłą, dobrotliwą twarz i niesfornie opadające na czoło siwe kosmyki, wyraźnie wyczuwał jego trwogę. W jakiś sposób ta obawa udzieliła się także jemu i nie odstępowała go nawet we śnie.

Obudził się, gdy wcześnie rano, o pierwszym brzasku świtu ktoś manipulował przy bramie dziedzińca, i w chwilę potem dało się słyszeć skrzywienie opon. Ojciec Łukasz leżał dalej, niezdolny do ruchu, wbił wzrok w sufit obserwując rozgrywający się na nim teatr światel i cieni, którego źródłem były reflektory samochodu, i myślał tylko jedno: Zaczyna się.

Potem reflektory zgasły. Kapłan gwałtownie odrzucił koldrę i pośpiesznie założył habit.

W półmroku rozpoczynającego się dnia nieomylnie rozpoznał przywódcę zbliżającej się grupy. Scarfaro był szczupły, jego twarz o rysach przywodzących na myśl drapieżnego ptaka zdradzała zły humor i miała tak twarde wyraz, jakby dokuczały mu żołądkowe dolegliwości. Otaczali go czterej młodzi, silni mężczyźni w sutannach, osobiście do siebie podobni, robiło to wręcz niesamowite wrażenie. Gdy ojciec Łukasz zapraszał ich do środka, spojrzął w cztery pary pozbawionych wyrazu oczu w czterech gładkich, białych obliczach. Przeniknął go zimny dreszcz, i tym razem przyczyną nie był chłód wczesnego poranka.

- Nasz wóz - powiedział Scarfaro w miejsce jakiegokolwiek powitania - na ostatnich kilometrach przed Jeruzolimą wydawał dziwne dźwięki. Na pewno zna ksiądz jakiś warsztat, w którym mógłby go ksiądz umieścić?

Zakonnik usłużnie przytaknął.

- Tak, oczywiście. Tu w sąsiedztwie. Mehmed Abdullah. Zawsze naprawia naszego wiekowego busa Volkswagena...

- Czy to katolik?

- Słucham? - Ojciec Łukasz osłupiały spojrzął na przybysza z Rzymu.

- Mehmed Abdullah - to brzmi, jakby ten człowiek był muzułmaninem.

- Tak. To znaczy - nie wiem. Jest Arabem, tak. Myślę, że jest muzułmaninem. W tej dzielnicy mieszkają prawie wyłącznie muzułmanie.

- Proszę umieścić samochód w warsztacie prowadzonym przez katolika.

Ojciec Łukasz zamrugał. Czyżby jeszcze się nie obudził?

- Nie musi się ksiądz obawiać. Mehmed Abdullah jest świetnym mechanikiem, zna się na samochodach wszystkich marek świata...

Scarfaro, który już zbierał się do odejścia, przystanął, odwrócił się powoli i wwiercił twarde jak stal wzrokiem w oczy mnicha.

- Czy wyraziłem się jasno i zrozumiale?

- Oczywiście, tylko nie rozumiem, dlaczego tak ważne...

- Czy wyraziłem się *jasno i zrozumiale*, ojciec Łukaszu? - powtórzył bezlitośnie ten mężczyzna.

Łukasz zmieszany przełknął ślinę.

-Tak.

Scarfaro przez chwilę przyglądał mu się pozbawionym wyrazu spojrzeniem, nim w końcu skinął głową.

- To dobrze.

W laboratorium konserwatorów czuć było zapach wilgotnego popiołu i zimnego dymu. Kaun i Ryan byli sami. Kolejny raz oglądali na przyniesionym przez Ryana monitorze sekwencję wydarzeń, zarejestrowaną w nocy przez kamerę wideo.

Zaczynało się prawie natychmiast krzykiem dziewczyny. W zwolnionym tempie przyglądali się, jak chwyciła swego strażnika i przerzuciła go przez ramię. Gdy mężczyzna uderzył o kant pulpitu, zadrżał cały rząd stołów wraz z leżącym na nich szkieletem.

- Nie do wiary - orzekł Kaun.

- Nie był przygotowany na atak ze strony dziewczyny - stwierdził Ryan. - Powiedział, że to nigdy by się nie zdarzyło, gdyby miał do czynienia z mężczyzną.
- Najwyraźniej nie doceniał izraelskich kobiet. I to mimo, że sam jest Izraelczykiem, zadziwiające. Można by się spodziewać, że powinien wiedzieć, czego ich uczył na szkoleniu wojskowym.
- W przyszłości będzie wiedział - skwitował sucho Ryan.
- Teraz przewrócił się drugi mężczyzna, uderzony bez uprzedzenia w plecy, zamontowana wysoko lampa halogenowa poleciała w dół ciągnąc za sobą na nagraniu wideo świetlistą, przypominającą ogon komety smugę. Butelki z odczynnikami spadały z regałów, tłukły się, wybuchały płomienie. I oto znów widać dziewczynę z gotowym do strzału pistoletem, w absolutnie profesjonalnej postawie.
- Nie do wiary - powtórzył Kaun. - Zauważył pan, że uderzyła dokładnie w najodpowiedniejszy momencie? Musiała zupełnie chłodno wyczekać stosownej chwili. Z kompletnie zimną krwią.
- Potem wymiana słów. Płomienie rozprzestrzeniają się. Ryan, w końcu lekceważąc groźby, chwytą gaśnicę. Ucieczka młodych ludzi. Kaun przewinął do przodu kilka minut, na których widać było tylko, jak Ryan celnym strumieniem proszku tłumi ogień. Zatrzymał obraz w momencie, gdy wpadło dwóch strażników z głównego wejścia.
- Tych dwóch zwolnić - powiedział. - Ktoś, kto dał się tak nabrać, jest za głupi do tej roboty.
- Już są zwolnieni - skinął głową Ryan.
- Kaun przewinął z powrotem na początek, ponownie zatrzymał obraz i wpatrywał się w niego.
- Czy zorientował się pan, o czym rozmawiali, nim we-szliście?
- Nie. Czekałem przez chwilę na korytarzu, ale nie można było nic zrozumieć.
- Kaun w zamyśleniu patrzył na drżący zatrzymany obraz.
- Czego tu mogli chcieć? Co mogło sprawić, że ten chłopak włamał się w środku nocy do Muzeum Rockefellera?
- Ryan nic nie powiedział. Znał u Kauna ten nawyk rozmawiania z samym sobą. Przemysłowiec nie życzył sobie, żeby mu przerywano, a już na pewno nie wtrącanymi w dobrej wierze odpowiedziami.
- Kaun postukał palcem wskazującym w monitor, w miejsce, gdzie widać było Foxxa i asystenta konserwatora.
- Dlaczego tu stali? - odwrócił się i poszedł w tamto miejsce między rzędami stołów. - Tutaj. Ci dwaj stali tutaj. Dlaczego?
- Rozejrzał się, uważnie popatrzył na resztki dwóch plastikowych kuwet na blacie stołu, zasypane potłuczonym szkłem i zaschniętą pianą gaśniczą.
- Co to było? Na wideo widać dwie kuwety, lampę ultrafioletową i lupę. Ale to nie były żadne z naszych kuwet, tamte stoją tu po drugiej stronie i są nietknięte. Przy okazji, to niesamowite, Ryan, jak pan ugasił ten ogień! Gratuluję.
- Dziękuję, sir.
- Nie stali obok szkieletu, i nie interesowali się instrukcją obsługi. Stali tu, z dwoma kuwetami nie od nas. Co w nich było?
- Ten drugi papier.
- Właśnie. Papier, który leżał razem z instrukcją obsługi i o którym Foxx nam nie powiedział. Przywieźli go tu i badali. - Kaun chwycił spopieloną masę i roztarł kilka okruchów między palcami. - A teraz jest zniszczony. Pytanie brzmi, czego się dowiedzieli?
- To powiedzą nam, kiedy ich złapiemy.
- Myśli pan, że zdoła ich złapać?
- Oczywiście - stwierdził Ryan z nutą zdziwienia w głosie.
- Moglibyśmy włączyć w to policję. - Tak czy owak odbędzie się śledztwo w sprawie pożaru i ktoś musi zapłacić za akcję straży pożarnej. Jednak izraelscy funkcjonariusze, którzy byli tu dziś rano i sporządzili protokół, wyglądali na zdecydowanie mało zainteresowanych. Szkody wyrządzone przez pożar były minimalne. Muzeum jak zwykle otwarte dziś dla zwiedzających; w korytarzach u góry nie można było nawet wyczuć zapachu pożaru. -Choć zrobiłbym to niechętnie. Moglibyśmy kazać im szukać Foxxa jako podpalacza.
- Nie sądzę, by to było konieczne.
- Miejmy nadzieję. - Spojrzenie Kauna wędrowało po laboratorium. Zadawał sobie pytanie, co powinni teraz zrobić. W pomieszczeniu, które jeszcze w nocy otrzymało nowy zamek, trzeba posprzątać, nim będzie można kontynuować badania. Nie miał przy tym pewności, czy z tych badań dowiedzą się czegoś przydatnego. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że najistotniejsze informacje były na tamtym kawałku papieru, ukradzionym przez młodego Amerykanina.
- Pobieżnie rozważył ewentualność, że to wydarzenie miało na celu tylko odwrócenie ich uwagi. Żeby myśleli, że dokument został zniszczony. Jednak szybko porzucił to podejrzenie. Było nagranie wideo - takiego łańcucha zdarzeń nie dałoby się zaplanować. To z pewnością był wypadek.
- Spojrzenie Kauna zatrzymało się na przypominającej piramidę konstrukcji cienkich aluminiowych

prętów, stojącej przy szczytowej ścianie laboratorium. Na szczycie piramidy zamocowany był aparat fotograficzny. Podeszedł bliżej i odczytał starannie wypełnioną cienkim czarnym pisakiem etykietę filmu, widoczną przez wziernik w tylnej ścianie. Był tam napis wykonany pismem hebrajskim, nie był go w stanie odczytać, poniżej znajdowała się data. Data sprzed dwóch dni.

- Niech mi pan powie, Ryan, kto oprócz nas pracował ostatnio w tym laboratorium?

- Nikt.

- Ach - Kaun rzucił okiem na licznik zdjęć. Zrobiono około dwudziestu ujęć. Odkręcił aparat z uchwytu i podał go Ryanowi. - Myślę, że powinniśmy obejrzeć sobie ten film.

Śniadanie było równie mizerne jak cały hotel. Siedzieli, niewiele rozmawiając i wyglądali dokładnie tak, jak wygląda się zwykle po o wiele za krótkiej nocy, którą próbowało się przespać na zapadniętych materacach. Jednak ten hotel miał dwie zasadnicze zalety: był na tyle tani, że Stephen mógł zapłacić za pokój gotówką, bez potrzeby używania karty kredytowej. No i człowiek w recepcji nie zadawał żadnych dalszych pytań, gdy powiedzieli mu, że cały bagaż ukradziono im razem z paszportami.

- Nie wiem, czy to naprawdę było konieczne? - mruknął w końcu Yehoshuah. - Mogliśmy przecież pójść po prostu do mnie...

- I obudziłbyś się patrząc prosto w lufy pistoletów goryli Ryana - odburknął zniecierpliwionym tonem Stephen.

Judith z niesmakiem wpatrywała się w zawartość swojej filiżanki kawy.

- Czy to naprawdę byłoby gorsze? - mruknęła sama do siebie.

- Nie traktujesz ich trochę za poważnie? - powątpiewał jej brat.

Stephen rzucił mu spojrzenie, w którym mieszały się zawziętość i kpina.

- Witamy w świecie niegrzecznych chłopców, Yehoshuah. A jak sądzisz, jak znalazł nas Ryan? Mój samochód miał jednak ten nadajnik radiowy, choć tak mnie wyśmiewałeś, kiedy mówiłem ci o moich podejrzeniach. Gdybym wczorajszego wieczoru był tak samo ostrożny jak wcześniej, wszystko potoczyłoby się inaczej. Czy może się mylę?

Peter Eisenhardt ocknął się ze snu i wydawało mu się, że słyszy jakieś szmery w przedzie kontenera, w salce konferencyjnej. Było to całkiem prawdopodobne, gdyż wciąż jeszcze leżały tam rzeczy Stephena Foxxa, rozłożone na stole, by można je było przeglądać nie przejmując się tak nieistotnym drobiazgiem jak poszanowanie prywatności. Dziś rano obudził się późno, może powinien postarać się jak najszybciej dołączyć do reszty.

Odsunął zasłonę z okna i wskoczył w szlafrok. Pantofle gdzieś się zawieruszyły, ruszył więc bosy na przód kontenera, przez chwilę rozważał, czy wziąć sobie filiżankę kawy, w końcu jednak zrezygnował i odsunął przesuwne drzwi pokoju konferencyjnego.

Był tam profesor Wilford-Smith, siedział samotnie przy stole przed otwartym laptopem młodego Amerykanina. Na widok Eisenhardta drgnął gwałtownie, jakby pisarz przyłapał go na jakiejś zakazanej czynności.

- Dzień dobry - powiedział Eisenhardt i zaciekawiony stanął za kierownikiem wykopalki. Wilford-Smith studiował zapamiętane strony internetowe, na których znajdował się opis kamery MR-01 i MR-02.

- Dzień dobry, panie Eisenhardt - odparł Brytyjczyk z roztargnionym uśmiechem, równocześnie składając i wsuwając do kieszeni kawałek papieru, na którym dopiero co coś sobie zanotował. - Widzi pan, wciąż mnie to niepokoi. Dlaczego podróżnik w czasie nie wziął z sobą w przeszłość kamery MR-02? Według tego, co tu napisano, ta kamera musi być lepsza.

- Dobre pytanie - skinął głową Eisenhardt. Jeszcze lepsze pytanie brzmiało, dlaczego profesor zachowuje się tak dziwnie.

- Ma bardziej stabilną obudowę. Obiektyw o większej jasności. Większy zoom. I mimo to nie jest istotnie cięższa ani większa.

- Ale kosztuje o tysiąc dolarów więcej. Profesor spojrzął na niego osłupiały.

- No, to chyba raczej nie mógł być decydujący powód. Eisenhardt przyjrzał się ilustracji na monitorze małego

komputera. Tak, można by sądzić, że to naprawdę nie mógł być decydujący powód. Jednak odkąd zobaczył kamerę, jakiej szukają, krystalizowało się w nim przecucie, że ten szczegół jest wskazówką świadczącą o tym, że ich dotychczasowe rozważania idą w całkowicie błędnym kierunku.

Kobieta za okienkiem wypożyczalni samochodów miała bujne kasztanowate włosy i równie bujne kształty. Dobrze mówiła po angielsku i starała się sprawiać jak najbardziej uprzejme wrażenie, nie narażając przy tym swego pracodawcy na koszty, których dałoby się uniknąć. Studiowała kopię umowy wynajmu, przedłożoną jej przez Stephena, i próbowała powiązać ją w całość z tym, co jej opowiadał.

- Właściwie zobowiązał się pan oddać pojazd w Tel Awiwie - stwierdziła.

- Miałbym z tym kłopot, bo silnik nie chce zapalić - odparł Stephen.

- Moglibyśmy odstawić go do warsztatu, zlecić naprawę i poinformować pana, kiedy będzie znów do dyspozycji - zaproponowała. - Oczywiście nie musiałby pan zapłacić za ten czas ani grosza.

W tym momencie wśród zawieszonych w starannych ramkach na okiennych szybach plakatów Stephen zauważył jeden z Bet She'arim. Przypomniała mu się historia podróżnika w czasie i to, że planowali zwiedzić nekropolię. Teraz jednak nie było takiej potrzeby, gdyż wiedzieli już, gdzie jest kamera.

Cóż za szalona przygoda!

- Proszę posłuchać - Stephen spróbował wrócić myślami do teraźniejszości - to, że samochód nie zapala, to tylko dodatkowa komplikacja. Właściwie chodzi mi o to, żeby wymienić go na inny. Ten drugi oddam w Tel Awiwie, jeżeli to konieczne.

- Z jakiego powodu chce pan inny pojazd?

Bo na tym zamontowano gdzieś malutki nadajnik, pomyślał Stephen, ale powiedział:

- Nie spełnił moich oczekiwań. Po prostu chętnie wypróbowałbym inny model.

Westchnęła, ociągała się chwilę, wreszcie wyznała:

- Obawiam się, że jedyny pojazd, jaki mogę panu w tej chwili zaproponować, stoi tam - wskazała długopisem przez frontową szybę na potężnego Jeepa Cherokee z przyciemnianymi szybami. - Ale jest w innej kategorii cenowej.

Stephen był pod wrażeniem imponującego widoku. Cóż, to rzeczywiście monstrum, nie samochód. Chyba tylko Ferrari bardziej rzucałyby się w oczy. Z drugiej strony może to wcale nie takie głupie. Ich prześladowcy nigdy nie będą szukać ich w takim wozie.

- A ile to wyniosłoby konkretnie? - zapytał. Powiedziała mu, szybko przeliczył, ile to będzie w dolarach. Stopniowo cała ta impreza zaczyna kosztować kupę pieniędzy. Jeśli w końcu nic na tym nie zarobi, kontrakt z *Video World* naprawdę będzie mu potrzebny. Co zawsze oznacza słabszą pozycję w negocjacjach.

- W porządku - zgodził się mimo wszystko i położył na biurku kartę kredytową.

Pochyliła się nad klawiaturę komputera z systemem rezerwacji, przycisnęła kilka klawiszy i spytała:

- Gdzie, mówił pan, stoi pański stary samochód? Przy Muzeum Rockefellera?

- Tak. Na parkingu przy wejściu głównym. - Mechanik, który pojedzie po samochód, raczej się zdziwi, gdy silnik zapali bez problemu. Lecz takie rzeczy zdarzają się w tych nowoczesnych wozach z elektronicznym wtryskiem.

Pracownica o bujnych kształtach zerknęła na kopię dotychczasowej umowy wynajmu i zaczęła pisać.

Stephen jeszcze nigdy nie był przy Ścianie Płaczu. Po drodze kupili w supermarkecie ładowarkę do jego komórki, taką podłączaną do zapalniczki samochodowej, potem okrążyli Stare Miasto, odstawili samochód na jeden ze specjalnie do tego przeznaczonych parkingów i resztę drogi przebyli pieszo. Gdy przez tak zwaną *Bramę Gnojną* weszli w Mury Starego Miasta, zobaczyli wznoszący się przed nimi niczym kamienna góra południowo-zachodni narożnik Wzgórza Świątynnego. Rozległy obszar na południowym krańcu wzniesienia był zamknięty, gdyż prowadzono na nim stałe prace archeologiczne, w bok odgałęziała się wąska droga prowadząca łukiem w górę Wzgórza - dla zwiedzających Kopułę Skały - podczas, gdy szeroka droga główna schodziła lekko w dół na plac przed Murem Zachodnim, jak oficjalnie nazywano Ścianę Płaczu.

Na pierwszy rzut oka Stephenowi trudno było pojąć, dlaczego to miejsce uważa się za świętość: Ściana Płaczu okazała się po prostu wysokim murem ułożonym z monumentalnych, zwietrzałych bloków piaskowca. Tarasowy plac przed nią przecinało w poprzek ogrodzenie zatrzymujące nie-Żydów, zaś inne, prostopadłe do tamtego, wydzielало mały obszar dla kobiet i większy dla mężczyzn. Gdyby nie tłoczący się na nim ludzie, plac ten wyglądałby jak wykop budowlany, z którego wybrano ziemię i wylano cementową płytę by urządzić tu podziemny garaż.

Zatrzymali się w pewnym oddaleniu i Stephen wyczuwał pewne napięcie, które na widok Muru opanowało Yehoshuę i Judith. Dziwiło go, jak wielki ruch panuje tu w zwyczajne, poniedziałkowe przedpołudnie. Zatopieni w modlitwie żołnierze stali przy Ścianie, z przewieszoną przez ramię bronią gotową do strzału. Ortodoksyjni Żydzi, ubrani na czarno, w szerokoskrzydłych kapeluszach i z pejsami, przyciskali czoła do kamieni, głaskali go i całowali. Nieopodal ustawiono przed murem kilka rzędów krzeseł, skakały po nich dzieci, żadne nie miało więcej niż dwanaście lat, ubrane w szare koszule w kratkę, krótkie spodnie i jarmułki, miały osobliwie długie włosy. Tylko jedno z dzieci czytało coś w książce, zwrócone twarzą do ściany, pozostałe rozglądały się to tu, to tam, markotnie ślizgały się wokół i wspinały na siedziska krzeseł. Nikt jednak nie zwracał na nie uwagi.

Im dłużej owa sceneria działała na Stephena, tym mniej dziwaczna mu się wydawała. Opisy, które czytał bądź słyszał wcześniej, wszystkie się zgadzały - a przecież miały się z prawdą. Owszem, widział ludzi, podchodzących do Ściany i wciskających w szczeliny małe, ciasno poskładane karteczki, na których zapisali swoje prośby bądź modlitwy. Gdy pierwszy raz dowiedział się o tym zwyczaju, wydał mu się absurdalny. Jednak teraz, będąc przy tym, w najmniejszym stopniu nie miał poczucia absurdu. Było to niemal wzruszające. Owszem, prawda, podczas żydowskiej modlitwy wszyscy mówili głośno jeden przez drugiego - brzmiało to jak chaotyczna kakofonia tym bardziej, że nie znał ani słowa po hebrajsku - stwierdził jednak, że ci, którzy tak właśnie to opisywali, przybierali zdystansowaną, protekcyjną

postawę, nie pragnąc zrozumieć odmienności, a jedynie nią gardząc. Teraz i tutaj, na własne oczy, dostrzegł w natężeniu głosów intensywność modlitwy, a to, co sprawiało wrażenie zamętu, znaczyło tylko, że każdy sam rozmawia ze swym Bogiem.

Jak to jest, czuć się zakorzenionym w tradycji, którą bez trudu można prześledzić pięć tysięcy lat wstecz, a może nawet jeszcze dawniej? Czy to daje poczucie spokoju? Jeśli ktoś czuje się częścią wielkiego, sączącego się przez wieki strumienia życia, wówczas niemożliwe, by równocześnie dręczył go przymus uczynienia czegoś znaczącego, wspaniałego, ze swego własnego istnienia.

Czyżbym zazdrościł? zapytał sam siebie Stephen.

Jego uwagę rozproszył wybuch hałaśliwej wesołości. Obrócił się i zobaczył dużą rodzinę eskortującą trzynastoletką, promieniejącą całym okrągłym niczym księżyc w pełni obliczem. Kobiety ubrane w barwne stroje i rozchukane, mężczyźni starali się pozostać opanowani, lecz także nie kryli przepelniającej ich dumy.

- Bar miewa - wyjaśnił niepytany Yehoshuah. - To znaczy, że chłopak mógł dziś pierwszy raz czytać w synagodze Torę.

Stephen patrzył w ślad za rodziną. Czyżby to właśnie była cena poczucia bezpiecznego zakorzenienia w tradycji? Że trzeba tak wcześnie dać się w nią włączyć?

Przypomniało mu się, po co tu przyszli. Jakby czytając w jego myślach, Judith odezwała się dokładnie w tym momencie:

- Nie widzę żadnego, choćby odrobinę czerwonego kamienia.

To prawda. Bloki skalne, z których niegdyś wzniesiono Zachodni Mur Świątyni, wykuto z jasnoszarego, z daleka sprawiającego lekko żółte wrażenie piaskowca, z którego zbudowana była właściwie cała Jerozolima. Poszczególne bloki odznaczały się wyraźnie, między niektórymi rozrastały się bujnie chwasty, a wiele z nich, szczególnie w górnych warstwach, połyskiwało zielonkawo aż po ciemnoszary odcień zieleni.

Lecz żaden z bloków nie połyskiwał czerwono. Nawet nie czerwono. Nawet, gdyby użyć sporo wyobraźni.

- Czy nas okłamał? - spytał półgłosem Stephen. - A może źle przeczytaliśmy?

Yehoshuah potrząsnął głową.

- Nie. Nie sądzę. Raczej się tego spodziewałem.

- Czego się spodziewałeś?

- Że tego kamienia nie będzie widać.

- Jak to? - Stephen ocenił odległość od południowo-zachodniego narożnika Wzgórza Świątynnego. Schowek kamery musi znajdować się mniej więcej pośrodku Ściany Płaczu.

- Napisał, że ukrył kamerę w jednym z kamieni drugiej warstwy - odparł Yehoshuah. - Prawda, tak właśnie napisał?

- Tak. - Stephen wskazał na ludzi przed murem. Pierwsza warstwa sięgała większości do piersi. - Ktoś go właśnie całuje.

- Nie. To nie jest druga warstwa - markotny ton, jakim to powiedział, nie pozwalał spodziewać się dobrych wieści. - Pierwotny mur świątyni był o wiele wyższy. To, co widzimy tutaj, to tylko górna część. Widać jedenaście warstw kamiennych bloków, pozostałe dziesięć znajduje się pod ziemią.

Daniel Perlmann zmierzył wzrokiem człowieka rozpierającego się na jednym ze skórzanych foteli dla interesantów, potem przez wielkie okno przyjrzał się robiącej wrażenie, czarnej limuzynie, która przywiozła tego mężczyznę, a teraz obok niej czekał na jego powrót również robiący wrażenie ochroniarz, potem wrócił spojrzeniem do swego gościa, ubranego w robiący nie mniejsze wrażenie garnitur.

- Z pewnością pan wie, że nie mogę udzielić tego rodzaju informacji - powiedział wreszcie tak stanowczo, jak tylko potrafił. - Przykro mi.

Mężczyzna zaśmiał się swobodnie.

- To niebieski Fiat.

- Żałuję.

- Panie Perlmann - powiedział gość z niezmiennie uprzejmym uśmiechem - mógłbym teraz wyjść przez te drzwi i za pół godziny wrócić tu z policjantem, który zapyta pana o to samo, co ja. Lecz w ten sposób skierowalibyśmy życie młodego człowieka, o którym właśnie panu opowiadałem, na tory, jakich żaden z nas by sobie nie życzył. Niech pan sam powie

- aresztowanie, więzienie, policyjne przesłuchania, wszystko przez zwykłe nieporozumienie?

- To wszystko możliwe - upierał się Daniel Perlmann.

- Lecz pańskie żądanie jest sprzeczne z moimi zasadami prowadzenia firmy. Poza tym, w ogóle jest niezgodne z prawem.

Nastąpiła przerwa. Powietrze w gabinecie Daniela Perl-manna zdawało się zmieniać w lód, choć nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego.

- Panie Perlmann - powiedział gość, i tym razem jego gestykulacja była wolna od wszelkiej uprzejmości, z twarzy znikł uśmiech a głos stracił przyjazny ton - jestem największym klientem pańskiej wypożyczalni samochodów, tak na całym świecie, jak i tu, w Izraelu. Każdego dnia więcej płacę za samochody, ciężarówki i inne pojazdy wypożyczone przez moich pracowników na całym świecie z pańskiej firmy, niż pan zarabia w ciągu miesiąca. Wszystko, o co proszę, to tylko drobna przysługa. I proszę jeszcze o to, żeby nie marnował pan mojego czasu jakimś błazeńskim krygowaniem się. Czy naprawdę muszę zadzwonić do przewodniczącego zarządu? Dobrze go znam: mieszkam niedaleko Park Ridge, gdzie znajduje się, jak pan może pamiętać, centrala pańskiego przedsiębiorstwa, i co kilka tygodni gramy razem w golfa. Naprawdę chce pan, żebym zatelefonował do pana Olsona?

Daniel Perlmann świadom był faktu, że jego dłonie kurczowo trzymają się krawędzi stołu i że błyszczą na nich cieniutka powłoka potu. Spojrzał na mężczyznę, na limuzynę, ochroniarza obok niej, znów na mężczyznę. Potem w końcu odetchnął.

- No cóż - stwierdził w końcu. - Może nie będzie to konieczne. - Puścił krawędź stołu, spróbował się uśmiechnąć, lecz zupełnie mu nie wyszło. Mężczyzna, który przedstawił się jako John Kaun, nadal przyglądał mu się wyczekująco swymi zimnymi jak szkło, tygrysimi oczyma. - Kto chciałby pchnąć ku zgubie tak młodego człowieka?

Miał przy tym na myśli raczej siebie samego. Odwrócił się do terminala komputerowego na stoliku przy biurku i już po kilku naciśnięciach klawisza miał na ekranie wszystko, co chciał wiedzieć.

- Pan Foxx jeździ teraz samochodem Jeep Cherokee w kolorze czarny metallic - oznajmił, biorąc w dłoń kartkę. - Zapiszę panu numer rejestracyjny.

27

Ryc. XII-16 ukazuje kość lewego podudzia. Na wysokości jednej trzeciej (strzałka) wyraźnie rozpoznać można czysto wygojone złamanie. Takie wygojenia złamań w tym obszarze są niemożliwe bez pomocy medycznych (usztywnienie na szynach, założenie śrub, implanty).

Profesor Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Przez moment zdawało mu się, że w uszach wyrosły mu zastawki, o jakich nauki medyczne dotychczas nie słyszały. I te zastawki zdawały się teraz gwałtownie zamykać, aby ustrzec go od dalszego słuchania. Po chwili to wrażenie minęło i po prostu dalej tam stał. Myśli gnały jak szalone.

- Uważasz, że podróżnik w czasie ukrył kamerę w kamieniu, który teraz zakopany jest głęboko pod ziemią?

-Tak.

- Ale jaki to miałoby sens?

- Nie mam pojęcia.

Stephen nadal wpatrywał się w Ścianę Płaczu, jakby chciał siłą swych skoncentrowanych myśli wzniecić w niej ogień, studiował wzrokiem mur wykonany z niewielkich cegieł, wznoszący się nad najwyższą warstwą kamiennych bloków, spoglądał na kępki na wpół uschłej trawy na szczycie.

- A jednak - powiedział w końcu. - To ma sens. Judith spojrzała na niego marszcząc czoło.

- Podróżnik w czasie to Amerykanin - wyjaśnił Stephen swoje rozumowanie. - Amerykanie nie mają zbyt dużego doświadczenia, jeśli chodzi o stare budowle i ruiny, bo w Ameryce praktycznie nic takiego nie ma. Prawdopodobnie zobaczył Ścianę Płaczu podczas podróży po Izraelu, sądził jednak, że to pozostałość murów Świątyni. Rozumiecie? Sądził, że to, co tu widzimy, to dolne fragmenty muru. Gdy znalazł się w przeszłości, wiedział, że Świątynia zostanie zburzona przez Rzymian - ale nie wiedział, co dokładnie ulegnie zniszczeniu. Na pewno nie przyszło mu do głowy, że to dolna połowa muru będzie zagrzebana w ziemi. Nawet mnie z trudem przychodzi to sobie wyobrazić.

- Myślał, że druga warstwa muru Świątyni to równocześnie druga warstwa Ściany Płaczu - przytaknęła Yehoshuah.

- Właśnie. Odległość od południowo-zachodniego narożnika Świątyni wybrał przecież tak, że jednoznacznie celował w Ścianę Płaczu. Chciał ukryć kamerę w Ścianie Płaczu.

Judith pokręciła głową.

- To szalone. Ale może masz rację. Chybił celu.

- Dwadzieścia metrów za głęboko - uzupełnił Yehoshuah.

- Pytanie brzmi - w zamyśleniu mówił dalej Stephen

- co teraz zrobimy.

- A co chcesz jeszcze zrobić?

- Dwadzieścia metrów w głąb ziemi to przecież w dzisiejszych czasach żaden problem. Dla koparki to jeden, dwa dni i po problemie.

Dało się słyszeć, jak Yehoshuah łączywie wdycha powietrze.

- Człowieku - wybuchnął potem wytrącony z równowagi.

- Człowieku! Ty naprawdę masz fantazję. Jak to sobie wyobrażasz?

- Trzeba usunąć płyty, którymi wyłożony jest plac, zrobić wykop schodzący w dół tuż przy murze, przebadać wykrywaczem metalu wchodzące w grę kamienne bloki...

- Po pierwsze, pod placem nie znajduje się po prostu ziemia, ale dwa tysiące lat historii miasta - skorygował go Yehoshuah. - Po drugie to wszystko jest święte, święte, święte. Zapomnij o tym. Zapomnij o pomysle, że tu kiedykolwiek stanie jakaś koparka.

No cóż. To byłoby za proste. Stephen rozglądał się zniechęcony. Wzbraniał się przed kapitulacją. Gdyby chociaż mieli jeszcze te listy, jako dowód.

Potrząsnął głową.

- Wydobędę tę kamerę - oznajmił, sam sobie wydając się przy tym nieco zszokowany. - Wiem to. Nie wiem tylko, jak.

Judith bez słowa objęła go ramieniem. Stali tak dłuższą chwilę, aż pęd myśli uspokoił się.

Mimo to pewność nie opuściła go. Wydobędzie tę kamerę. Gdy to mówił, nie chodziło mu tylko o dodanie sobie otuchy. Odkąd wiedział, jak wygląda, coraz częściej pojawiała się w palcach charakterystyczne uczucie, jakby trzymał ją w dłoniach. Jakby czas stopniowo stawał się przepuszczalny. Jakby raz po raz pozwalał mu na zerknięcie w przyszłość, na wydarzenia, które na pewno nastąpią, nieuniknione.

Czas...

Jego uwagę przyciągnął dziwny dźwięk, coś w rodzaju donośnego buczenia. Odwrócił głowę. Dobiegało

z okien sąsiedniego budynku i, gdy dokładniej się przysłuchał, okazało się być wielogłosową, wykonywaną pełnym głosem recytacją.

- Szkoła talmudyczna - stwierdziła Judith. Powędrował spojrzeniem dalej, bez celu, poprzez ludzi, przychodzących i odchodzących, aż po teren wykopalisk, na którym także widać było zwiedzających. Widocznie można je było zwiedzać. Tuż przy kolosalnym murze stał niewielki, szary namiot, przypominał namioty, jakich w jego stronach robotnicy używają przy pracy w kanałach. Wszedł z niego jakiś człowiek ciągnąc za sobą długi kabel.

- Popatrz tylko - zdumiał się Stephen. - Znamy go przecież.

- Co? - spytała Judith. - Kogo?

- No, tego - wskazał na człowieka z kablem. Koślawej niczym znak zapytania chudej postaci nie można było z nikim pomylić. To był George Martinez.

Scarfaro przejął kierownictwo i wprowadził rządy twardej ręki.

- Wszystko poszło dobrze? - zapytał, gdy wrócił ojciec Łukasz.

Łukasz tylko skinął głową, starając się nie dać poznać po sobie rosnącego wewnętrznego sprzeciwu wobec władczego sposobu bycia człowieka z Rzymu. Nieźle się natrudził, żeby *znaleźć* tego mechanika samochodowego, prawdopodobnie jedyne mechanika katolickiej wiary w całej Jerozolimie. Oddając wóz utwierdził się w przekonaniu, że przynależność religijna nie jest słusznym kryterium oceny jakości warsztatów samochodowych: on sam w tej brudnej speluncie, do której trafił, za nic nie dałby wyklepać nawet wgniecenia w karoserii, a gdyby musiał, to ani na moment nie spuściłby samochodu z oka.

- Przez ten czas będziemy używać waszego busa - oznajmił następnie Scarfaro.

- Obawiam się, że to niemożliwe - oburzył się Łukasz, z trudem pohamowując stanowczość tonu.

Tamten spojrzał na niego nieruchomymi, zimnymi oczyma.

- Ach, tak? Dlaczego nie?

- My, hm, potrzebujemy go do zbierania żywności. - Dlaczego jest taki nerwowo? Jego odpowiedź zabrzmiała tak, jakby na poczekaniu wymyślał kłamliwe usprawiedliwienie.

- Jakiej żywności?

- Do karmienia biednych.

- Karmienia biednych?

- Tak. Każdego wieczora mamy tu stół otwarty dla biednych i potrzebujących. Żywność na ten cel dostajemy w darze od różnych supermarketów i hoteli. Ale sami musimy ją odebrać. Do tego potrzebny nam bus.

Scarfaro patrzył na niego takim wzrokiem, jakby był oślizgłym insektem.

- Ten cały cyrk zawieszamy do odwołania - zadysponował wreszcie. - Potrzebuję waszej energii do innych zadań.

- Jak to? Nie możemy przecież ...

- Ojcie Łukasz! - wysyczał przez zęby chudzielec.

- Tutejszy biskup obiecał mi pełne wsparcie ze strony ojca, a ksiądz sprzeciwia mi się już po raz drugi.

- Ale ci biedacy są od nas...

- Wasi biedacy nic a nic mnie nie obchodzą. Byłaby pora, żeby ojciec spojrzał szerzej, poza swój ograniczony horyzont talerza zupy. Tu wchodzi w grę interesy Rzymu. Interesy Świętego Kościoła Chrystusowego. A w tym wypadku chodzi o coś więcej, niż o kilka pełnych brzuchów. O dużo, dużo więcej.

Łukasz z trudem wytrzymał wzrok funkcjonariusza Kościoła.

- Jezus powiedział: *Żal mi tego tłumu. Już trzy dni trwają przy mnie, a nie mają co jeść. Nie chcę ich puścić głodniałych, żeby mi kto nie zastąpił po drodze* - zacytował pierwszy fragment Biblii, jaki przyszedł mu do głowy w związku z tym tematem. - Mateusz 15, wers 32.

Na wąskich ustach Scarfaro zamigotał pogardliwy uśmiech.

- *Ludzie małej wiary, czemu zastanawiacie się nad tym, że nie wzięliście chleba? Czy jeszcze nie rozumiecie?* - odparował, nie zwlekając. - Mateusz 16, wers 8. Widzi ksiądz? Nawet Jezus ustalał priorytety.

Idiota, pomyślał ojciec Łukasz. A cóż takiego by się stało, gdyby po prostu wziął samochód z wypożyczalni? Pieniądze na pewno nie stanowiły problemu w tym przypadku.

Musi pomówić z bratem Geoffreyem. Trzeba coś zorganizować. Urządzić otwarty stół gdzieś indziej, żeby Scarfaro się o tym nie dowiedział. Znaleźć inny wóz, zaangażować kilku pomocników z sąsiedztwa...

Scarfaro zniecierpliwiał się dyskusją. Machając lekceważąco dłonią, oznajmił:

- Tak czy inaczej, bierzemy waszego busa. Gdy zakończymy naszą misję, będziecie mogli wznović to wasze... karmienie biednych.

Ojciec Łukasz patrzył za odchodzącym czując w żołądku bezradną wściekłość. Drzwi do biura były na pół otwarte, je także już zajęli.

A myślał, że się marnuje, nie robiąc w życiu nic poza organizowaniem każdego wieczora codziennego ciepłego posiłku dla nikomu nie potrzebnych, niewykształconych, biednych ludzi. Teraz ma za swoje. Gdy dzwonił do Rzymu i zdawał raport, myślał, że oto przeżywa najjaśniejszy moment swego życia - tymczasem była to tylko pycha i ona to właśnie teraz sprowadzała go na ziemię.

Należy mi się, pomyślał i ruszył na poszukiwanie brata Geoffreya.

Szef policji i jego gość spacerowali wolnym krokiem po trawniku. Rozmawiali - jak okiem sięgnąć nie było widać nikogo, kto mógłby ich podsłuchać - wciąż jednak zdarzały się dłuższe przerwy, w których milkli i popadali w zamyślenie.

Milczenie przeważnie przerywał gość, ubrany w drogi garnitur męczyzna po czterdziestce.

- Ten skandal z martwą barmanką w zeszłym roku... Nie mieszałeś pana do tego. Moi ludzie mieli naprawdę świetne zdjęcia - ale powiedziałem sobie, co to da, jeśli je opublikujemy? Jest pan dobrym człowiekiem, nie ulega wątpliwości. Jednak, niestety, opinia publiczna ma skłonność do oceniania ludzi po ich słabościach, zamiast po mocnych stronach - zatroskany pokiwał głową. - Tak, jakbyśmy mogli wszystkie ważne stanowiska obsadzić świętymi!

Szef policji patrzył na niego ponuro spod krzaczastych brwi.

- Nie próbuje mnie pan czasem szantażować? Zobaczył minę będącą uosobieniem niewinności.

- Szantażować pana? Uchowaj Boże! Nie - pragnę jedynie uratować przyszłość młodego chłopca. Znam tego młodzieńca. Wiem, że to było jednorazowe potknięcie. Wszystko, czego chcę, to tylko z nim porozmawiać. Jeżeli odda mi to, co ukradł, zapomnę o całej sprawie. Po co obciążać młodość wyrokiem? Zadaję sobie w istocie to samo pytanie: cóż to komu da, jeśli złożę oficjalną skargę? Proszę mi powiedzieć.

Policjant westchnął.

- Więc dobrze. Zobaczę, co się da zrobić - wyciągnął dłoń i kartka, na której zanotowane były nazwisko i numer rejestracyjny samochodu, zmieniła właściciela.

George wyraźnie ucieszył się na ich widok. Szczególnie na widok Judith, jak wydało się Stephenowi.

- Ach, wspaniale - oznajmił uszczęśliwiony - tak mi się -nudziło. Mój partner pojechał złożyć raport, a ja w zasadzie siedzę tu tylko i czekam na wiadomość, co mamy robić dalej.

- Co, na miłość boską, robicie tutaj? - spytała zaskoczona Judith.

- Ach, tak... - Meksykanin pokiwał głową tak energicznie, aż można było się złąknąć, że złamie sobie chudą szyję.

- Hm, nie wolno mi zdradzić powodu, dla którego tu jesteście. Ale co robimy, mogę wam powiedzieć, jeśli obiecacie mi zachować to dla siebie.

- Jasne.

- Próbujemy wykonać tomograficzny obraz Wzgórza Świątynnego.

- Prześwietlić je falami dźwiękowymi? Tak samo, jak robiliście to na naszych wykopaliskach?

- Właśnie. Ale tam mogliśmy to robić. Tu nam nie wolno. Robimy to po kryjomu.

Stephen w osłupieniu kręcił głową.

- To Kaun wam to zlecił? -Tak.

- Czy to w ogóle technicznie możliwe? - spytała Judith.

- Nie możecie tu przecież tego swojego czegośtam do fal dźwiękowych....

- ... *thumpera*... - odpowiedział George.

- ...ustawić na szczycie góry, prawda?

- Nie. Stoi w namiocie. Razem z komputerem, co oczywiście nie jest zdrowe dla komputera. Prąd podkradamy w tajemnicy z oświetlenia wykopalisk, a czujniki... To największy problem. Nie możemy przecież po prostu porozmieszczać ich dookoła w całym murze.

- Więc jak to robicie?

- Och, to trudne. Naprawdę. Otrzymujemy tylko bardzo kiepskie zdjęcia, z niską rozdzielczością i jeszcze gorszą głębią. Choć niektóre są dość interesujące. Wiedzieliście, że Wzgórze Świątynne jest wszzer i wzdłuż poprzerynane korytarzami i studniami?

- Tak - skinął głową Yehoshuah. - Pewnie.

- Zadziwiające. Ja nie wiedziałem.

- Ja też nie - stwierdził Stephen. - Możemy rzucić okiem na te zdjęcia?

George zdawał się przez moment zmagać ze sobą, wreszcie oznajmił, rzucając kątem oka spojrzenie na Yehoshuę:

- Cóż, on prawdopodobnie i tak już to wszystko zna.

Wśliznęli się pod namiot, w którym panowała niesamowita ciasnota. Pośrodku panoszył się wielki *thumper*, ustawiony na gładkim, troskliwie wymiecionym do czysta skrawku gołej ziemi, przed nim komputer, do którego biegła spleciona wiązka rozmaitych kabli, poza tym stół i dwa składane krzesła, a w kącie leżały dwa dmuchane materace ze śpiworami. Wszystko to robiło maksymalnie niekomfortowe wrażenie.

Wydrukowane zdjęcia jak zwykle miały jakość zniekształconego przez zakłócenia obrazu transmisji telewizyjnej z burzy śnieżnej na Alasce, lecz jakiś geniusz na ich podstawie naszkicował mapę. Pochylił się nad nią z zaciekawieniem.

- To nazywamy „Stajnią Salomona” - wyjaśnił Yehoshuah, wskazując nieregularny, duży wielokąt, obejmujący południowo-wschodni narożnik Wzgórza Świątynnego. - To coś w rodzaju wielkiej hali, podpartej dwunastoma różnej długości rzędami filarów. Robi wrażenie, można ją zwiedzać.

Jego palec powędrował dalej w kierunku niezliczonych nieregularnych tworów, wyglądających raczej na kontury atramentowych kleksów.

- To na pewno cysterny. Tę tutaj, największą, nazywamy *Bahr*, co po angielsku znaczy jezioro”. Te cienkie linie między nimi to przewody wodociągowe lub korytarze. Niemal przez wszystkie da się przejść, a przynajmniej kiedyś się dało.

Stephen zafascynowany wpatrywał się w mapę. Myśl, że Wzgórze Świątynne, z zewnątrz niczym piramida robiące wrażenie masywnego monolitu, w środku jest poprzecinane korytarzami i kanałami a nawet kryje w sobie hale i cysterny, ta myśl absolutnie wymagała, by się z nią oswoić.

Palec Yehoshui wędrował dalej, zaś on, coraz niewyraźniej, mamrotał pod nosem w najlepszym profesorskim stylu hasła takie jak: „cysterna”, „Szyb Warrena”, „Wrota Kiphonos” albo „Brama Potrójna”. Nagle dotarł do kreski, na której jego palec zamarł w bezruchu.

Stephen spojrzął na linię i jego serce omal przestało bić. Korytarz - czy cokolwiek to było - zaczynał się dobry kawałek na południe od murów Świątyni, robił dwa zakręty i prowadził potem w kierunku północnym prościutko do celu, kończąc się tuż za Murem Zachodnim. W miejscu, w którym mniej więcej musiał znajdować się odcinek znany jako Ściana Płaczu, ktoś nabazgrał: *Głębokość - 20 metrów*.

- Tego - stwierdził w zadumie Yehoshuah - nie znam.

Przyczyną spotkania miał być pierwotnie raport Boba Roberta na temat pierwszych rezultatów badania Wzgórza Świątynnego tomografem sonarowym. Teraz wydawało się, że Kaun, który nadjechał z Jerozolimy chwilę wcześniej i od razu się do nich przyłączył, najwyraźniej stracił wszelkie zainteresowanie tym projektem. Dawało się więcej niż wyraźnie odczuć, że zależy mu tylko na tym, by możliwie prędko mieć ten punkt porządku dziennego za sobą.

- W porządku - przerwał Robertsowi, gdy ów na wstępie wdał się w obszernie omawianie problemów, z którymi musieli się uporać i rozwiązać, jakie zastosowali. - Jakie uzyskaliście wyniki?

Jasnowłosy naukowiec, wyraźnie zbity z tropu, odsunął na bok przygotowaną dokumentację i ułożył na projektorze folię, fotokopię ręcznie rysowanej mapy.

- Badania wykazały obecność rozmaitych pustych przestrzeni we wnętrzu Świątynnego Wzgórza, ich rozmieszczenie na podstawie poszczególnych zdjęć naniósł na tę mapę. Jeśli dla porównania wezmę jedno ze zdjęć...

Kaun znów wszedł mu w słowo.

- Czy ta mapa pokazuje coś, o czym historycy do tej pory nie wiedzieli? - dociekał, zwracając się do profesora Wilford-Smith'a i profesora Goutiere'a.

- Nie - oznajmił zamiast nich Shimon Bar-Lev z grymasem niesmaku. - Wszystkie te korytarze, kanały i zbiorniki są archeologom znane od dawna.

- Dziękuję - znów zwrócił się do specjalisty od tomografii, by szybko, w możliwie najmniej bolesny sposób dobić go jednym ciosem. - Doktorze Roberts, chciałbym podziękować panu za wysiłek i pomysłowość. Niestety, zaszły okoliczności wymagające natychmiastowego wstrzymania pańskich prac. Izraelscy urzędnicy siedzą nam już z tego powodu na karku. Ponieważ właśnie usłyszeliśmy, że i tak nie znaleźliście nic takiego, co nie byłoby znane już wcześniej, wolelibyśmy na tym zakończyć.

Eisenhardt, który trzymał się cały czas z dala od głównego nurtu wydarzeń i siedział nieco na uboczu z przygotowanym na kolanach notatnikiem, skrzywił się, niemile dotknięty. Kaun nazbyt wyraźnie okazywał zdenerwowanie, by można było wziąć za dobrą monetę pozy, jakie miał zwyczaj przybierać, sprawując rządy w swym imperium. W maskę dobrotliwego szefa, zmotywowanego, kreatora z wizją, nikt tu w dzisiejsze południe nie wierzył.

Do tego gotów był się założyć, że ta historia z izraelskimi urzędami jest wyssana z palca.

Roberts patrzył na medialnego magnata, jakby właśnie spoliczkował go przy wszystkich obecnych. Nic jednak nie powiedział - widocznie nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa - skinął tylko głową, zdjął z projektora folię, położył ją na wierzchu wysokiego stosu dokumentów i cofnął się nieśmiało o krok, jakby właśnie podrzucił noworodka na próg obcych drzwi.

- Czy dobrze zrozumiałem, że nie ma pan dla nas dalszych zleceń? - upewnił się jeszcze ostrożnie.

- Tak, dokładnie. Są panowie wolni.

- To znaczyliby, że dzisiejszy dzień należy traktować jako ostatni dzień naszego zatrudnienia, zgadza się? Zatem zajmę się zorganizowaniem naszego powrotnego lotu do Stanów...

Kaun niecierpliwie skinął głową i machnął ręką, jakby się opędział.

- Oczywiście. Jeśli potrzebna panu pomoc, proszę zwrócić się do biura w pierwszym kontenerze. Niech

pan im powie, że to ja pana przysłałem. Pomogą we wszystkim, jeśli zajdzie taka potrzeba. Okay? Do widzenia.

Roberts jeszcze raz rozejrzał się po zebranych, wymamrotał coś, co równie dobrze można było wziąć za pożegnanie jak i za przekleństwo, po czym wyszedł.

Wydawało się, że Kaun zapomniał o nim w tym samym ułamku sekundy, w którym zamknął za sobą drzwi. Spod grubego, oprawnego w skórę kalendarza wydobyl duzą kopertę i wyjął z niej powiększenia zdjęć w dużym formacie.

Nim je rozdał, wyłowil z koperty jeszcze malutki kawałeczek kartonu i pokazał go zebrany. Był to kolorowy skrawek opakowania filmu, który ktoś oderwał i opisał po hebrajsku.

-Tę notatkę znaleźliśmy na tylnej ścianie aparatu, którym zrobiono te zdjęcia - objaśnił. - Tekst brzmi następująco:

„Foxy - fragment - arkusz 1”. Data z przedwczoraj. A teraz powiedzcie mi, proszę, jakie wyciągacie z tego wnioski.

Wszyscy w napięciu obserwowali Yehoshuę, który zamarł w bezruchu, nie odrywając oczu od ręcznie rysowanej mapy. Zdawało się, że od intensywności jego myśli w namiocie zrobiło się cieplej. Miał półotwarte usta i można w nich było dostrzec koniuszek języka, jak rytmicznie dotyka nim górnej wargi.

- To niepojęte - wymamrotał w końcu, podniósł wzrok i pochwycił spojrzenie Judith - Wiesz, co to jest? Milcząco pokiwała głową.

- Korytarz ojca.

Stephen zobaczył, że Judith robi się blada jak ściana. Także George Martinez zaniepokojony przyglądał się jej z boku.

- Ach, coś ty - wychrypiła słabym głosem. - Musisz się mylić.

- Nie, jestem pewny. To on. A to znaczy, że ojciec miał rację.

Stephen podniósł rękę.

- Co to za...

- Yehoshuah, to musi być coś innego. Zobaczyłeś ducha.

- Czy mógłbym się...

- Ja zobaczyłem ducha? Widzę korytarz. Korytarz, rozpoczynający się na południe od muru Świątyni i prowadzący wzdłuż niego. I ma dwa zakręty. To dokładnie ten opis, o którym mówił ojciec.

- Czy mogę...

- Ach, bzdura. Ty tylko znowu odstawiasz kochanego syneczka tatusia.

- Ja? To idiotyzm. Taka jesteś opętana tym, żeby podtrzymać negatywny wizerunek ojca, że nawet oczywiste dowody....

- Kośława kreska z dwoma zygzakami! Tego chyba nie chcesz nazwać dowodem.

- Moglibyśmy obejrzeć oryginały zdjęć. W końcu ta kreska nie znalazła się tu przypadkiem.

- Zdjęcia. Jasne. Tak, jakbyś potrafił coś na nich rozpoznać.

- Teraz zmieniasz temat. Dobrze wiesz, że to nie ma nic do rzeczy...

Stephen chwycił oboje za ramiona.

- Hej, hej! - krzyknął i rzeczywiście udało mu się im przerwać. - Spokojnie, ludzie. Opowiedzcie lepiej wolno i wyraźnie, o co tu właściwie chodzi. Nie, Judith, nie ty. Yeho-shuah.

Yehoshuah zmierzwił kręcone włosy, robiąc przy tym niezwykle profesorskie wrażenie.

- Sądzę, że ta kreska to korytarz, o którym czasem wspominał nasz ojciec.

- Czasem, nieżele powiedziane - warknęła Judith. - Był nim opętany.

- Przed około dwudziestu laty podczas studiów nad starymi tekstami trafił na wskazówki, że w średniowieczu członkowie jakiejś sekty pracując przez wiele lat wykopali tunel prowadzący od Miasta Dawida pod Wzgórze Świątynne. Według opisu mógłby to być właśnie ten szyb. *Mógłby*, jak powiedziałem - nigdy nie sprawdzono wskazówek naszego ojca.

- Naprawdę? - zdziwił się Stephen. - A dlaczego?

- Gdybyś znał naszego ojca - odparła Judith - nie pytałbyś.

- On jest, no cóż, niekiedy dość trudny - przyznał Yehoshuah. - Z drugiej strony, w Jerozolimie aż roi się od interesujących znalezisk. Można by kopać niemal w każdej piwnicy i zawsze trafić na coś cennego. Gdyby archeolodzy mogli decydować, trzeba byłoby ogrodzić całe miasto, ludzi co do jednego przesiedlić gdzie indziej i przez następne pięćset lat rozbierać wszystko kamień po kamieniu. Istnieje lista kolejkowa projektów wykopaliskowych na terenie miasta. Jego nie był po prostu dostatecznie ważny.

Stephen spojrział w dół na mapę, rozłożoną przed nimi na małym stoliku. Znow wróciło owo uczucie, jakby czas był przepuszczalny, jakby jego dłonie dotykały już czegoś, co nieuchronnie nastąpi w przyszłości. Kamera. Istnieje korytarz przechodzący za Ścianą Płaczu. Tylko to się liczy. Jeśli w ogóle dane im będzie dotrzeć do kamery, to właśnie tym korytarzem.

Spojrzał na George'a Martinezę, który z szeroko otwartymi oczami przysłuchiwał się ich dyskusji, potem na Yehoshuę, w nadziei, że go poprze.

- George - zaczął po chwili - czy myśli pan, że mógłby nam dać kopię tej mapy? Mam przecucie, że mogłaby przyczynić się do powrotu niejakiej harmonii w tej rodzinie.

Judith chciała zaprotestować, lecz w następnej chwili pojęła, do czego on zmierza i zamilkła.

- Och, nie ma problemu - zapewnił Meksykanin z Bozeman.

- To tylko kopia, potrzebna była do zrobienia folii, którą mój partner przygotował na prezentację dla Kauna. Możecie ją wziąć, jeśli chcecie. I tak mamy to wszystko zapisane w komputerze.

- Dziękuję - powiedział Stephen, wziął mapę i podał ją Yehoshui. - Proszę, dla twego ojca.

Yehoshuah też zrozumiał. Wziął papier z podziwu godną niedbałością, złożył go i stwierdził:

- Będzie zachwycony.

- A przez chwilę myślałem już - zaśmiał się George Martinez - że odkryliśmy jakąś sensację.

- Nie myśl, że to takie łatwe - przestrzegali Yehoshuah, gdy przebijali się z powrotem do hotelu przez zatłoczone ulice, na których każdy trąbił i skręcał, jak mu się podobało.

- Wejście do szybu i prawdopodobnie jedna trzecia jego długości są zalane wodą.

- Ale wiadomo, gdzie jest to wejście? - Tak.

- Gdzie?

- W Mieście Dawida. To dzielnica na południe od Wzgórza Świątynnego, po drugiej stronie Doliny Cedronu. W części miasta budowanej pod okupacją jordańską.

- A tam gdzie?

- W pewnej cysternie, dziś znajdującej się w piwnicy budynku mieszkalnego.

Stephen zmarszczył czoło.

- W piwnicy? Tak po prostu? Yehoshuah westchnął.

- Tak, tak to już jest w Jerozolimie. Ktoś zaczyna budować dom i przy wykopach pod piwnicę trafia na jakieś historyczne pozostałości. Jeżeli ma pecha, musi wstrzymać się z budową, aż uporają się z nimi archeolodzy. Jeśli ma szczęście, to zapłaci kilka podatków, ale może dalej budować. Właściciel tego domu miał szczęście.

- Jak mam to sobie wyobrazić? Można tam zejść do piwnicy, otworzyć drzwi i już stoi się na podłodze sprzed tysiąca lat, a pośrodku jest cysterna?

- Dokładnie tak.

- Śmiesznie - Stephen patrzył na zakurzoną przednią szybę wozu, suche drzewa wzdłuż drogi, nagie, skaliste wzgórza, otaczające Jerozolimę. - A skąd w szybie wzięła się woda? Jak się tu rozglądam, nie podejrzewałbym, że gdzieś marnuje się niewykorzystana woda.

Yehoshuah wygrzebał ze schowka plan Jerozolimy.

- Oficjalna wersja - którą mój ojciec, jak wspominałem, zapalczywie zwalcza - głosi, że ten tunel rozpoczynający się na dnie cysterny jest częścią antycznego systemu wodociągowego Jerozolimy. Tutaj, popatrz tylko. Tu jest...

- Przepraszam. Przy prowadzeniu mam zwyczaj patrzeć na szosę.

- Ach, tak, jasne.

Na następnych czerwonych światłach Yehoshuah pode-tknął mu pod nos rozłożony plan miasta i wskazał palcem miejsce pośród płataniny ulic.

- To jest Źródło Gichon. Stąd pierwotnie prowadził kanał wodociągowy wzdłuż Doliny Cedronu - tutaj - aż do starej Sadržawki Siloe. Jednak ponieważ ten system znajdował się poza murami i w razie oblężenia stanowiłby zagrożenie dla mieszkańców miasta, król Ezechiasz kazał wykuć w skale nowy, podziemny tunel i zasypać górne ujście źródła. Było to około 700 lat przed naszą erą. Ten znany tunel ma około pięciuset metrów długości i uchodzi do nowej Sadržawki Siloe, która znajduje się tutaj.

Stephen patrzył na plan miasta nie będąc w stanie nic rozpoznać, ale myślał, że przed niemal trzema tysiącami lat ludzie wykuli w skale podziemny przewód wodociągowy, dziś wciąż jeszcze działający, niezmiernie go zafascynowała. Dopiero, gdy ktoś za nim zatrąbił, zauważył, że światło zmieniło się na zielone.

- Tunel Ezechiasza można przejść w bród - kontynuował Yehoshuah, gdy ruszyli dalej. - Ma wysokość mniej więcej człowieka i prowadzi zmienną ilość wody, zależnie od tego, jak zmienia się w ciągu roku ilość wody spływającej ze źródła. Mój ojciec twierdzi natomiast, że nie jest możliwe, by inny tunel, należący jakoby do tego samego systemu wodociągowego, był wypełniony wodą po brzegi przez cały czas. To fizycznie niemożliwe.

- Rozumiem. A jak on to tłumaczy?

- Sądzi, że ten szyb został wybity w poprzek poniżej Tunelu Ezechiasza. Przez szczeliny w skalistym podłożu, które albo były tam zawsze, albo powstały w miarę upływu lat, woda z tunelu Ezechiasza przesiąkała do niego i napełniała go, aż z biegiem czasu szyb wypełnił się aż po brzegi. Lecz poza tym, tak uważa ojciec, nie ma połączenia między oboma tunelami.

- Co przecież dość łatwo można by sprawdzić.
 - Tak, ale, jak mówiłem, szybu nigdy nie przebadano. Raz już niemal do tego doszło, ale był akurat rok 1973 i na moment przed rozpoczęciem prac wybuchła wojna Jom Kipur. Dwaj ludzie, którzy mieli nurkować w szybie, obaj zginęli na niej. Potem ojciec wciąż na nowo próbował doprowadzić do przebadania tunelu, lecz nigdy nie osiągnął celu.
 - No, to najwyższy czas. Jedźmy od razu do tego domu. Judith na tylnym siedzeniu wydała zduszony dźwięk. Yehoshuah niespokojnie skubał plan miasta.
 - Wiem, co myślisz - wyrzucił z siebie w końcu. - Myślisz, że musisz tylko założyć kostium nurka, spacerować się przez tunel i wyjąć kamerę ze schowka. Ale to nie takie proste. Nurkowanie w wielkich zbiornikach wodnych to jedno - nurkowanie w szybie całkowicie zalanym wodą to zupełnie co innego. To naprawdę niebezpieczne.
 - Dlaczego? Myślisz, że znów wybuchnie wojna?
 - Bardzo śmieszne.
- Chwilowo Stephenowi zdawało się, że pod względem niebezpieczeństw żadna podwodna ekspedycja nie może równać się jeździe przez to miasto w godzinie szczytu. Zresztą, godzina szczytu trwa tu chyba od szóstej rano do ósmej wieczorem. Czyżby był zbyt rozpieszczony warunkami jazdy na drogach w Ameryce? Wszędzie indziej na świecie kierowcy jeżdżą jak straceńcy.
- Yehoshuah - gdybym zrezygnował z wszystkiego, co powszechnie uważa się za „niebezpieczne” albo „ryzykowne”, albo „niemożliwe”, nie byłoby mnie dziś tutaj. Spędzałbym wakacje na grillowaniu hamburgerów w McDonalds'ie.
 - Ale tu nie mówimy o komputerach. Mówimy o nurkowaniu w tunelu, o którym nie wiesz dokąd prowadzi, ani jak jest wąski i z którego nie będziesz mógł się po prostu wynurzyć, gdyby coś ci się przytrafiło.
 - To dla mnie jasne. I zgoda, nigdy jeszcze nie robiłem nic w tym rodzaju. Ale nie jestem jakimś głupim turystą. Jak może pamiętać, jestem członkiem zwyczajnym *Explorer's Society* - powiedział Stephen Foxx i dodał: - Innymi słowy, *znam* kogoś, kto już to robił.

28

Ryc. XI1-17 przedstawia fotografię tylnej strony okładki Instrukcji Obsługi. Należy zwrócić uwagę przede wszystkim na (strzałka) wyraźnie rozpoznawalną liczbę oznaczającą rok.

Profesor Wilford-Smith
Raport z wykopalisk pod Bet Hamesh

Gdy czytali tekst sfotografowany na wystrzępionej, wyglądającej na bardzo starą kartce, w pokoju konferencyjnym panowała absolutna cisza.

- To wszystko zmienia. - Profesor Goutiere przerwał w końcu milczenie.

Kaun go poparł.

- Też tak sędzę.

- Czy to nie może być manewr mający na celu zmylenie nas? - zapytał Bar-Lev. - Fałszywy trop zostawiony przez tego Stephena Foxxa?

- To możliwe - przyznał Kaun. - Ale nie sędzę, by tak było.

- Czy jest więcej zdjęć? - zainteresował się profesor Wilford-Smith.

- Są jeszcze inne zdjęcia, w sumie dwadzieścia. Ale wszystkie ukazują tę jedną kartkę na różnych etapach odszyfrowywania - wyjaśnił Kaun. - Reszta filmu nie była naświetlona.

- Ale tekst urywa się w środku zdania. Musi istnieć przynajmniej jeszcze jedna kartka tego listu.

- Tak. Sędzimy, że list składał się z dwóch arkuszy, które zostały zniszczone wczorajszej nocy podczas bijatyki w laboratorium.

- Zniszczone! - krzyknął wytrącony z równowagi brytyjski profesor. - Na Boga - to niewybaczalne!

- Proszę powiedzieć to Stephenowi Foxxowi. Profesor Goutiere wyprostował swą pokaźną cielesną obfitość, co w jego przypadku było sygnałem, że zamierza wygłosić obszerny komunikat.

- Jeśli to jest rzeczywiście list podróżnika w czasie, to znaczy, że musimy wszystko przemyśleć na nowo. W najbliższych latach nie pojawi się u mnie młody człowiek dopytujący o miejsce w Palestynie, w którym można by przechować przez dwa tysiące lat nietknięty przedmiot. Sędząc po tym, co o sobie napisał, podróż ta mogła być wszystkim, tylko nie precyzyjnie zaplanowanym przedsięwzięciem. Co oczywiście rodzi pytanie, jak w ogóle mogło dojść do czegoś takiego?

Wszystkie spojrzenia automatycznie skierowały się na pisarza, do tej pory w milczeniu siedzącego przy końcu stołu i przyglądającego się tekstowi listu.

Eisenhardt w zadumie odłożył zdjęcie i rozejrzał się po zebranych.

- Jeśli zdarza się takie zjawisko, to jest ono zapewne równie rzadkie jak piorun kulisty i z całą pewnością równie słabo zbadane. Przychodzi mi jednak do głowy w związku z tym pewien dziwny fakt, na który natknąłem się przed kilku laty, zbierając materiał do powieści. Mianowicie, wciąż co jakiś czas zdarza się, że ludzie giną bez śladu - w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach i w zaskakująco dużej liczbie.

- Cóż, niektórym pewnie zależy na tym, żeby zniknąć bez pozostawiania śladów - podsunął Goutiere rozwiązanie. - Kilka lat temu zniknął mąż mojej koleżanki. Jak w dowcipach - wyszedł po papierosy i nigdy nie wrócił. Ale jestem pewny, że gdzieś żyje, tyle że z inną kobietą.

Eisenhardt przytaknął.

- Tak, oczywiście. Jest też wielu, którzy padli ofiarą przestępstwa. Ale zdarzają się przypadki, jak na przykład taki: Pada deszcz. Mąż otwiera żonie drzwi samochodu, ochraniając ją parasolem pomaga jej wsiąść, zatrzaskuje za nią drzwi i obchodzi samochód dookoła na stronę kierowcy. Gdy wsiada, samochód jest pusty, jego żona zniknęła. Zmyślona historyjka mordercy własnej żony, można by pomyśleć w pierwszej chwili. Lecz to wszystko odbyło się przed domem jej rodziców, cała jej rodzina stała na werandzie, żeby im pomachać na pożegnanie, a brat to wszystko sfotografował. Kaun zmarszczył czoło.

- Czy mogłem o tym gdzieś przeczytać? Czy to nie zdarzyło się przed paru laty w Skandynawii?

- W Szwecji, tak. Pisano o tym w gazetach. Lecz na takie przypadki trafia się w całej historii ludzkości, na setki takich przypadków. Są też ludzie, którzy giną i potem wracają. Niektórzy nie wiedzą, gdzie byli. Mówi się zresztą, że przytrafiło się to kiedyś brytyjskiej pisarce kryminałów, Agacie Christie. Inni opowiadają osobliwe historie, których ich otoczenie nie jest w stanie zrozumieć. Jakkolwiek by było - idea, że czas posiada coś w rodzaju przesuwanych drzwi, przez które można wylecieć, byłaby nie dającym się łatwo odrzucić wytłumaczeniem niektórych z tych zdarzeń.

- Nie wiem - mruknął niechętnie kanadyjski historyk.

- Dla mnie brzmi to za bardzo w stylu „Archiwum X”.

- Robię tylko to, do czego mnie tu zatrudniono - bronił się Eisenhardt. - Używam wyobraźni.

Dom był niepozornym, dwupiętrowym budynkiem przy niepozornej, wąskiej uliczce i wyglądał dokładnie tak samo, jak wszystkie domy w tej dzielnicy. Balkony w kształcie klatek, zasłonięte miskami anten

satelitarnych bądź zawieszono wilgotną bielizną, wystawały nad chodnik, gęsto zastawiony parkującymi pojazdami.

Właścicielem domu był stary Arab, mieszkający wraz ze swą liczącą wiele głów rodziną na parterze. Nazywał się Halil Saad i wydawał się uszczęśliwiony widokiem Yehoshui i jego siostry. Gdy przedstawili mu swego przyjaciela z Ameryki, upierał się przy tym, by rozmowę prowadzić po angielsku, choć trudno byłoby zdecydować, co stanowi większą przeszkodę w porozumieniu się: jego ubogie słownictwo czy na wskroś arabski akcent, wykazujący tendencję do akcentowania spółgłosek kosztem samogłosek.

- Jako dzieci często tu bywaliśmy - szepnęła Judith Stephenowi, gdy po schodach schodzili za Arabem do piwnicy.

- On i ojciec dobrze się znają.

Jak Stephen miał się później dowiedzieć, Halil Saad był jednym z bądź co bądź ponad miliona Arabów, którzy, choć w większości muzułmanie, uważają się za obywateli Izraela. Izraelscy Arabowie nie podlegają obowiązkowi służby wojskowej, ale, jak zdawało się Stephenowi po wysłuchaniu opowieści staruszka, jeden z jego synów zgłosił się na ochotnika.

- Oczywiście - dobrze dla kariery. On chce robić karierę. Ale mamy nadzieję, teraz nie ma wojny. Mój syn nie powinien walczyć przeciw inni Arabowie. Niedobrze. Mam nadzieję, nie ma więcej wojny.

- Tak - zgodził się uprzejmie Stephen. - Wszyscy mamy taką nadzieję.

Saad manipulował wielkim pękiem kluczy przy drzwiach, otworzył je i włączył światło w znajdującym się za nimi pomieszczeniu.

Gdy weszli do środka, Stephen przestał wierzyć własnym oczom. Aż do progu podłoga była czysto wymieciona - tuż za nim wyglądało, jakby w piwnicy ktoś uprawiał archeologię. Wkroczyli na pochyłe, zwietrzałe kamienie, piach i żwir skrzypiały pod podszewami, a pośrodku izby rozwierała się ciemna, nie do końca obudowana dziura w podłodze. Czuć było wilgocią i stęchlizną. Poza małym regałem przy drzwiach pomieszczenie było puste, nic innego jak osłonięte od deszczu wykopalisko.

Staruszek zdjął z półki lampę, wetknął ją do gniazdka przy drzwiach - Stephen skwapliwie zapamiętał jego obecność - po czym podszedł z nią do krawędzi szerokiego otworu w podłodze.

- Ostrożnie - mimowolnie ściszone głosem upomniał ich, gdy podszli spojrzeć w dół.

W świetle lampy połyskiwała powierzchnia wody. Spokojna i całkowicie nieruchoma znajdowała się około dwóch metrów pod nimi. Stephen uniósł dłoń, by osłonić oczy od światła żarówki i próbował dojrzeć, co jest pod powierzchnią. Zdawało mu się, że w bocznej ścianie dostrzega mniej więcej prostokątny fragment, jeszcze bardziej czarny niż jego otoczenie.

Szyb. Tunel, który rozpoczyna się tutaj i podobno prowadzi pięćset metrów przez skałę, by zakończyć się za Ścianą Płaczu.

- Absolutnie fantastyczne - zamyślił się Stephen.

- Woda ma zły smak - oznajmił Halil Saad. - Niedobra na herbatę i kawę. Ale bardzo dobra dla roślin w ogrodzie. Czerpię stąd wodę do ogródka. Mam wąż gumowy i mała pompa, podlewam tym ogród i wszystko rośnie duże i mocne.

Yehoshuah wskazał dokładnie w tym kierunku, gdzie Stephenowi wydawało się, że widzi otwór.

- Szyb zaczyna się około metra poniżej powierzchni wody.

- Tak - skinął głową Stephen i rozejrzał się, starając się zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. To rzeczywiście nie będzie przechadzka. Zbiornik jest tak wąski, że zmieści się w nim najwyżej jeden nurek z aparatem tlenowym. Gdyby chciał iść w dwójkę, pierwszy musiałby wejść do tunelu, żeby zrobić miejsce drugiemu. Będzie potrzebny kołowrotek i trójnóg do spuszczenia nurków. I oczywiście jedna osoba do obsługi kołowrotka.

Wszystko to są szczegóły, o które może go zapytać ten, kogo zamierzał poprosić o radę. Ktoś, kto organizował już takie wyprawy. Stephen starał się patrzeć na scenerię z jego punktu widzenia. Na przykład sufit. Na jakiej może być wysokości? Normalna wysokość pokoju, około dwa i pół metra. Cała piwnica wokół cysterny miała może wymiary cztery na pięć metrów. Trudno ocenić. Najchętniej Stephen sfotografowałby wszystko, żeby móc później sprawdzić w razie szczegółowych pytań.

Poczuł, jak w podbrzuszu wzbiera mu fala gorąca. Sfotografować! O rany - co właściwie stało się z aparatem fotograficznym, którym robili zdjęcia pierwszej kartki listu?

Zupełnie o nim zapomnieli. Musi wciąż jeszcze tam być, przykręcony do statywu.

O ile tymczasem nie znalazł go Kaun. Taki głupi błąd! Spróbował przypomnieć sobie treść listu. Co w nim było napisane? W każdym razie żadnej wzmianki o Ścianie Płaczu, nic takiego. W zasadzie Kaun nie dowie się nic więcej. Nawet w najgorszym wypadku zawsze mają nad nim przewagę.

Zorientował się, że Yehoshuah o coś go pyta.

- Słucham?

- Pytałem, co o tym sądzisz?

Stephen zatarł dłonie i zaniepokojony stwierdził, że są wilgotne.

- Robi wrażenie - odpowiedział mimo to. - Naprawdę mi się podoba.

- Jeśli to wszystko stało się przypadkiem - stwierdził profesor Goutiere - jeśli wszystko stało się tylko na skutek niepojętego kaprysu natury - albo się stanie, jak kto woli
- to tylko pogarsza szanse odnalezienia miejsca ukrycia kamery na drodze logicznego rozumowania i starannego namysłu. Znacznie pogarsza. Powiedziałbym nawet, że je zupełnie uniemożliwia.
- Eisenhardt obserwował Kauna. Ten z kolei patrzył na Goutiere'a, z nadzwyczaj ponurą miną.
- Wyszliśmy z założenia - kontynuował kanadyjski historyk tonem beznamiętnego docenta - że to wszystko jest doskonale przemyślanym, zaplanowanym przedsięwzięciem. Innymi słowy, uznaliśmy, że to przedsięwzięcie wzięło początek z pomysłu - gdzie i jak możliwe byłoby przechowanie aż do naszych czasów nagrania wideo z życia Jezusa. To, czego próbowaliśmy dokonać, to na drodze wnikliwych dociekań ponownie wpaść na ten sam pomysł. To znane zjawisko, że łatwiej jest coś znaleźć mając pewność, że dana rzecz * istnieje. A nam się zdawało, że wiemy, iż ten pomysł istnieje - instrukcja obsługi kamery wideo, znaleziona przy zwłokach, zdawała się to potwierdzać.
- Całe to przedsięwzięcie weźmie teraz w łeb, pomyślał Eisenhardt. Za najdalej dwa dni Kaunowi się nudzi i wszystkich rozpędzi.
- Teraz dowiadujemy się: to było coś w rodzaju wypadku. Podróżnik w czasie nie był odpowiednio wyposażony ani przygotowany, wręcz przeciwnie, nie miał o niczym pojęcia. Za kilka lat w gazecie ukaże się mała notatka, że pewien \ turysta wysiadł z autobusu pod Bet She'arim i *razem* z całą wycieczką brał udział w zwiedzaniu nekropolii, lecz po drodze zaginął między starymi grobami. Wszystko zostanie przeszukane, jeszcze przez kilka lat śledztwo będzie otwarte w policyjnych aktach, aż w końcu je zamkną. Z tego listu
- o ile jest autentyczny - dowiadujemy się, że owo zniknięcie nie będzie skutkiem przestępstwa ani katastrofy, lecz swego rodzaju upadkiem w szczelinę czasu. Nasz nieprzygotowany turysta wylądował w kompletnie obcym mu świecie i musi w nim przetrwać najlepiej, jak potrafi. Jediną rzeczą, jaką ma przy sobie, jest torba na ramię, a w niej jego nowa kamera wideo. To raczej najmniej przydatna rzecz z całego bagażu, biorąc pod uwagę jego położenie. Chętnie wymieniłby ją na rzeczy takie, jak, powiedzmy, nożyczki do paznokci, scyzoryk, para gatek albo paczuszka aspiryny.
- Widok rozżłoszczonego Goutiere'a naprawdę robił wrażenie. Na czole poczęły mu błyszczeć drobne kropelki potu, nieliczne włosy jakby naładowały się elektrycznie podczas przemowy i w następstwie tego zaczęły się powoli prostować, i tak do gestykulacji włączało się stopniowo całe obfite ciało. Prawdopodobnie na jego wykłady słuchacze przychodzili chętnie, a już na pewno się na nich nie nudzili.
- I wtedy - wołał, unosząc palec wskazujący - dowiaduje się, gdzie i kiedy wylądował. Dowiaduje się, że nie dość, iż stał się współczesnym Jezusa z Nazaretu, ale że na dodatek jeszcze ten mieszka i działa w bliskim sąsiedztwie, mianowicie w Kafarnaum nad jeziorem Genezaret, oddalonym zaledwie o kilka dni drogi. W każdym razie nie była to wielka odległość w owych czasach, znających ożywiony handel między Europą, północną Afryką i Indiami. I prawdopodobnie dopiero wówczas przyszedł mu do głowy pomysł, żeby sfilmować Jezusa i przekazać nagranie w nasze czasy. Dopiero tam musiał zacząć się zastanawiać, w jaki sposób mógłby tego dokonać. Co mógł wymyślić?
- W zasadzie - wtrącił zniecierpliwiony Kaun - mamy nadal to samo pytanie.
- W zasadzie - zgodził się Goutiere. - Tylko inne mamy teraz okoliczności od tych, jakie zakładaliśmy dotąd. Nie mamy do czynienia z badaczem, lecz z rozbitkiem na oceanie czasu. Do tego jest to prawdopodobnie amerykański turysta - bez obrazy tu obecnych, muszę jednak postawić zebranyemu pytanie, jaką wiedzę historyczną możemy założyć u przeciętnego Amerykanina, który wybrał się w objazdową wycieczkę po Izraelu?
- Eisenhardt zauważył cień kpiącego uśmiechu na ustach • zastępcy kierownika wykopalisk, Shimona Bar-Lev.
- Nie zapominajmy też, że tymczasem minęło już kilka lat. Nasz człowiek musiał opanować nowy język i nauczyć się nowego zawodu, odnaleźć się w nowej kulturze, ożenił się, możliwe, że urodziły mu się dzieci. Przez cały ten czas starał się odgadnąć, co, na Boga, mu się przytrafiło. I nagle słyszy o czyniącym cuda rabinie, cieśli z Nazaretu, Jezusie
- i wtedy doznaje olśnienia: wpadł w przepaść czasu! Lecz i z tym musi się uporać. Co, pytam panów, ktoś taki może jeszcze pamiętać, czy może wiedzieć coś, co pomogłoby mu w rozwiązaniu problemu, gdzie umieścić kamerę, by przetrwała dwa tysiące lat?
- Przecież właśnie to przez cały czas mówię - ostrożnie stwierdził profesor Wilford-Smith. - Na pewno dobrze zapakował kamerę, włożył na przykład do glinianego dzbana, zaniósł do jakiejś bezimiennej jaskini i po prostu miał nadzieję, że się uda. Ja w każdym razie bym tak zrobił.
- I na końcu listu napisał, gdzie ją znaleźć - dodał Kaun.
- Inaczej mówiąc, jeżeli Foxxowi udało się odczytać cały list, on jeden teraz wie, gdzie jest kamera. Jeżeli nie, nikt się już tego nie dowie.
- Dokładnie - przytaknął ogromny mężczyzna z Toronto.
- A co pan na to? - Kaun zwrócił się do Eisenhardta.

- Co pan zrobiłby na miejscu podróżnika w czasie?

Pisarz uniósł brwi, zatopiony w myślach spojrzał na potężnego szefa koncernu i milczał przez długi, boleśnie długi czas.

- Ja - powiedział w końcu z namysłem - spróbowałbym zostać jednym z dwunastu apostołów.

- Okay - stwierdził Stephen, gdy znów siedzieli w Jeepie. - To wszystko wygląda wspaniale. Teraz powinniśmy zapytać waszego ojca, co...

- Nie - przerwała mu natychmiast Judith. -Co?

- Nie!

Zirytowany spojrzał na nią, potem na Yehoshuę, który zmieszany wzruszył ramionami. Judith wbiła wzrok prosto przed siebie, mięśnie jej szczęki drżały.

Cóż. Stephen wypuścił z płuc całe powietrze i znów głęboko odetchnął. Urocza rodzinka.

- W porządku - powiedział, jakby nic się nie stało. Przekręcił kluczyk i silnik zapalił trzęsąc całym wozem.

- Ten punkt programu pominiemy.

Dyskusja gwałtownie zamarła, gdy rozległo się pukanie do drzwi kontenera. Była to jedna z sekretarek Kauna, o przyciągających oko kształtach, platynowa blondynka, absolutnie stworzona do biurka przed drzwiami szefa zarządu. Jeżeli nawet irytowało ją, że gapi się na nią pięciu oniemiałych mężczyzn, wyglądających, jakby przytapała ich na jakichś bezceństwach, w żadnym razie nie dała tego po sobie poznać. Złościło ją raczej, gdy nikt się na nią nie gapił.

Podążyła swojemu szefowi wizytówkę i szepnęła mu coś do ucha. Kaun przyjrzał się wizytówce i zmarszczył czoło.

- Scarfaro? - odszepnęła. - Nie znam! A czego chce? Znów coś szeptała.

- Okay - skinął głową. - Proszę mu powiedzieć, że zaraz przyjdę.

Odeszła, pozostawiając za sobą smużkę perfum o zapachu przywodzącym na myśl eleganckie jachty i drogie, brylantowe kolie. Eisenhardtowi zdawało się, że widział w sumie trzy sekretarki przywiezione przez Kauna, pełniące na zmianę służbę w jednym z kontenerów przez okrągłą dobę - prawdopodobnie stanowiły bufor biura swego szefa wobec reszty świata. Mieszkały chyba w położonym niezbyt daleko hotelu, w każdym razie co osiem godzin jedna z nich przyjeżdżała małym samochodem, którym po chwili odjeżdżała druga, kończąca dyżur.

- Moi panowie - oznajmił poważnym tonem Kaun, który nagle na powrót zmienił się w niesłychanie ważnego biznesmena, podniósł się, stosownie barczysty, wstając zapinał wprawnie swą drogą dwurzędówkę - proszę, kontynuujcie chwilowo tę dyskusję beze mnie. Włączę się znów, gdy tylko pozwolą mi interesy. - Poruszył krótko szczęką i wysunął ją odrobinę do przodu, co nadało jego twarzy zdecydowanie agresywny wyraz, jeszcze raz skinął głową zebrany i opuścił pokój konferencyjny.

Przez chwilę panowała cisza, słychać było tylko buczenie klimatyzacji i jakieś dochodzące z niej stuki.

- Jeden z apostołów - przerwał w końcu milczenie profesor Wilford-Smith, jakby nic nie zaszło. - Gdyby był jednym z apostołów, to by znaczyło, że w ekstremalnym wypadku mógł zanieść kamerę nawet do Rzymu.

- Zakładając, że nie przyjął roli Judasza - wtrącił Goutiere.

- Czy przyjąłby pan dobrowolnie rolę Judasza?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Eisenhardt usilnie usiłował przypomnieć sobie, co wie o dziejach apostołów. Nie było tego wiele. W ciągu ostatnich dni często zaglądał do Biblii, przeczytał z niej więcej niż w całym dotychczasowym, raczej dalekim od religii życiu. Ale dysponował tu tylko wydaniem angielskojęzycznym i już z samymi czterema Ewangeliąmi dość się natrudził. Do Dziejów Apostolskich jeszcze nie doszedł.

Ta myśl przyszła mu do głowy całkiem spontanicznie. A jednak coś w sobie miała. Jak to było? Po śmierci Jezusa - albo jego Wniebowstąpieniu, jakkolwiek by patrzeć - Duch Święty zstąpił na jego uczniów. Stąd wzięły się Zielone Świątki, o ile dobrze pamiętał. W każdym razie uczniowie, którzy towarzyszyli Jezusowi za jego życia raczej bojaźliwie i wiele nie pojmując, raptem stali się odważni, wygadani i pełni charyzmatycznego daru przekonywania i ruszyli w świat, głosić nową naukę o zbawieniu. Osobliwa zmiana, gdy się nad tym dobrze zastanowić. Gdyby coś podobnego zamieścił w swojej powieści, na pewno redaktor wyrysowałby na marginesach rękopisu czerwone znaki zapytania i napisałby: *Brak psychologicznej motywacji zmiany temperamentu!*

- Kamera nie mogła zawędrować do Rzymu - zastanawiał się profesor Goutiere - gdyż to oznaczałoby, że podróżnik w czasie... nie powinniśmy go już nazywać inaczej? Jak nazywa się kogoś, kto wbrew woli został przeniesiony w inne czasy? Rozbitek w czasie? W każdym razie, to oznaczałoby, że byłby on identyczny z apostołem Pawłem. To Paweł dotarł aż do Rzymu. Ale Paweł nigdy nie spotkał Jezusa.

- Co? - zdziwił się Eisenhardt. - Ale czy to nie jest najważniejszy apostoł? To znaczy, on napisał przecież te wszystkie listy, prawda?

Goutiere spojrzał na niego tak, jakby powiedział właśnie coś niewyobrażalnie głupiego.

- Tak. Dziwne, nie? Ale naprawdę cała Biblia nie zawiera ani jednego świadectwa naocznego świadka.

Paweł nosił pierwotnie imię Szaweł i był fanatycznym prześladowcą chrześcijan, dopóki nie doznał nawrócenia pod Damaszkiem.

Pewien rodzaj cichego tryumfu wypełnił Kauna, gdy ujrzał chudego mężczyznę w księżej sutannie stojącego tam tak po prostu, w kurzu między kontenerami. Wysłannik Watykanu. Mahomet poszedł do góry i najpierw wydawało się, że poniósł klęskę. Teraz góra przysłała do Mahometa.

Przez chwilę podziwiał imponującą pieczęć Watykanu, błyszczącą na wizytówce obok nazwiska- Luigi Battista Scarfaro, członek Kongregacji Nauki Wiary. Naprawdę robi wrażenie. Wiele by dał za to, żeby móc umieścić taki herb na swoich wizytówkach.

- Czemu zawdzięczam zaszczyt, mhm... jak właściwie powinienem się do pana zwracać? - spytał Kaun.
- Jestem księdzem - odparł gość po angielsku, na uwagę zasługiwał absolutny brak akcentu. - Może pan mówić do mnie ojcie. Ojciec Scarfaro.

- Ach tak. Cóż, dobrze. Ojcie - co mogę dla pana zrobić? - Musi jeszcze przez chwilę prowadzić niezobowiązującą pogawędkę, musi zebrać siły. Mimo wszystko spotkanie nastąpiło w niedogodnym momencie, gdyż ostatnie godziny nadwerżyły jego pewność, że kiedykolwiek zdoła odnaleźć kamerę i nagranie wideo.

To już koniec. Nie było się co łudzić. Ten wścibski smarkacz z college'u wszystko zaprzepaścił. Najpierw przywłaszczył sobie najważniejsze znalezisko - co on sobie właściwie wyobrażał, żeby działać na własną rękę? Czy nikt go jeszcze nie nauczył, na czym polega dorosłość? - potem doprowadził do jego zniszczenia. Nic dziwnego, że teraz się ukrywa. Ale nie będzie mógł ciągnąć tego w nieskończoność. Pewnie siedzi teraz w jakimś kącie i trzęsie się ze strachu, bo w końcu dotarło do niego, co narobił: do końca życia nie wyjdzie z sal sądowych tej planety. On, John Kaun, zaprzęgnie do pracy zjednoczone siły zbrojne swoich adwokatów i tak go zasypie pozwami o rekompensatę szkód, że zrobi mu się ciemno przed oczami. Zgraja jego ludzi, wśród których było kilku najlepszych, najkąśliwszych, najbardziej agresywnych prawników świata - mężczyzn, którzy zostali adwokatami, gdyż inaczej byłiby w stanie rozładować swój nadmiar agresji jedynie organizując regularnie makabryczne rzezie niewinnych - będzie prześladować go do końca świata. O, tak, w taki czy inny sposób John Kaun dostanie jeszcze swój zysk. Może tylko niewielki, ale jednak zysk. Kto wie, może da się na podstawie tego wszystkiego skonstruować jakiś mit? Jak by to powiedzieć, Titanic archeologii?

- Do nas - rozpoczął zakonnik o twardym, wychudzonym obliczu i zrobił niezauważalną, krótką pauzę, dostatecznie jednak długą, by pojąć, kogo ma na myśli - dotarła do nas informacja, że odkrył pan niecodzienny obiekt z czasów Jezusa Chrystusa...

Kaun skinął głową.

- To prawda.

- Uznaliśmy za wskazane osobiście zająć się tą sprawą. Czy mogę to zobaczyć?

Ups. Czyżby dało się dosłyszeć pożądlivość?

- Hm. Mówiąc otwarcie, ojcie, nie jestem jeszcze całkowicie pewny, czy jest pan tym, za kogo powinienem pana uważać. Tu napisano, że jest pan członkiem Kongregacji Nauki Wiary. Robi wrażenie. Ale sądzę, mówiąc szczerze, że mógłby pan być dziennikarzem z konkurencyjnej sieci. Sutannę można kupić, a wizytówki każdy może sobie wydrukować. Nawet z pieczęcią Watykanu.

Kapłan powoli przytaknął. Stał nieco skrzywiony i przygarbiony, robił niemal ciastowate wrażenie - lecz Kaun nie mógł pozbyć się uczucia, że tylko udaje i pod maską miękkości i uniżonej łagodności czai się wąż, twardy jak stal.

- Panie Kaun - oznajmił kapłan cichym, miękkim głosem - na swoim stanowisku zdarza się panu częściej i głębiej zaglądać za kulisy wielkiej polityki niż przeciętnemu zjadaczowi chleba. Nie powiem panu nic nowego, jeśli oświadczę, że Stolica Apostolska posiada służby informacyjne, jakich zazdroszczą nam wszystkie państwa świata. Jestem tutaj, gdyż dotarła do nas pewna informacja, zgodnie z którą poszukuje pan nagrania wideo przedstawiającego Jezusa Chrystusa, sfilmowanego przez podróżnika w czasie i ukrytego w nieznanym miejscu.

Kaun tylko z dużym wysiłkiem zdołał zachować pokerowe oblicze. Jak, na miłość boską, mógł dowiedzieć się tego ktokolwiek na świecie? Musiał wygadać się któryś z jego ludzi. Nie będzie mógł tego tak zostawić.

Z drugiej strony - skoro już są przekonani o tym bez jego udziału, w zasadzie jest mu to na rękę.

- Muszę przyznać, że jest pan dobrze poinformowany.

- Ma pan je już?

- Zakładam, że zabezpieczymy je przed końcem tygodnia. - Nieźle zabrzmiało, pomyślał Kaun. Promieniowało opanowaniem i pewnością, a tamten powinien zrozumieć to tak, że już dokładnie wie, gdzie znajduje się ukryta kamera.

- Jakie ma pan zamiary względem nagrania, gdy już je pan będzie miał?

- Zamierzam zrobić z nim to, czego oczekują ode mnie udziałowcy mojej spółki: uzyskać maksymalny zysk.

Po twarzy Scarfaro przemknął cień.

- Czy zdołam pana przekonać, by oddał pan nagranie i kamerę Kościołowi?

- Nie znam pańskiej siły przekonywania.

- Kamera nie należy do pana, panie Kaun - oświadczył kapłan z Rzymu. - Nawet, jeśli pan ją znajdzie, nigdy nie była dla pana przeznaczona. Co zresztą mógłby pan z nią począć, pomijając samo wykorzystanie jej wartości jako sensacyjnego newsa? W najlepszym wypadku stanie się pan właścicielem nagrania, na którym widać mówiącego po aramejsku mężczyznę i nie będzie pan nawet wiedział, czy widzi właśnie Kazanie na Górze, czy może to Bar Kochba wzywa do powstania przeciw rzymskim okupantom. Zakładając, że owo nagranie istnieje i zakładając, że pan je odnajdzie, jego naturalnym dysponentem i tak pozostaje święty Kościół rzymski. Jesteśmy organizacją ustanowioną przez samego Jezusa, by głosić jego słowo. Nikt prócz nas nie posiada stosownych kompetencji do sprawdzenia autentyczności nagrania i do decydowania o jego prawidłowym użyciu.

Kaun ledwie wierzył w to, co się działo. Ten człowiek mu wierzy i chce dostać kamerę. Jeżeli ma jakiegokolwiek wpływu w Kościele, choćby niewielkie, to oznacza to początek negocjacji, z uwagi na rząd wielkości, bardziej podniecających niż same poszukiwania kamery.

Trzeba tylko trzymać nerwy na wodzy. Teraz chodzi o to, żeby trzymać na wodzy nerwy.

Uśmiech, na poły przekorny, na poły niezadowolony.

- Rozprawił się pan z tym nadzwyczaj uroczo, ojcze

- „wyłącznie sensacyjny news”. Naprawdę przeuroczo. Sądzę jednak, że wie pan równie dobrze jak ja, o czym tu naprawdę rozmawiamy. Raczej nie o sensacji. Jako młody chłopak poznałem człowieka, który w połowie lat siedemdziesiątych zaproponował Beatlesom pięćset milionów dolarów za jeden jedyny koncert, który mógłby transmitować na cały świat. Pięćset milionów - a i tak zrobiłby na tym kolosalny interes. Ja natomiast jestem pewny, że czasy, kiedy Beatlesi byli bardziej popularni niż Jezus Chrystus, dawno minęły. - Westchnienie, z samego dna duszy. - Jednak z drugiej strony nie mogę zupełnie nie brać pod uwagę pańskich argumentów. Tak, nagranie powinno trafić w ręce Kościoła. Jednakże muszę obstawiać przy tym bym i ja, biorąc pod uwagę niemałe wysiłki, jakie już poczyniłem, otrzymał przynajmniej niewielkie, niemal symboliczne odszkodowanie.

- Oczywiście pomówimy o tym - zadeklarował Scarfaro.

- Jaką sumę ma pan na myśli?

- Proszę mi pozwolić ująć to tak - odparł Kaun - od nieudanej próby ponownego połączenia Beatlesów wkrótce minie trzydzieści lat. W dzisiejszych czasach za reklamy, za prawa do transmitowania ważnych wydarzeń sportowych i tak dalej płaci się sumy, jakich sobie wtedy nikt nie był w stanie nawet wyobrazić. Jeden film z Hollywood przynosi w pierwszym tygodniu wyświetlania większy dochód niż wszystkie filmy pierwszej połowy stulecia. A teraz zjawia się pan i chce dostać nagranie ukazujące Jezusa Chrystusa...

- zniechęcone machnięcie ręką. - Ale dostanie je pan. Dostanie pan wszystko. Dam panu całkowicie zachowany szkielet podróżnika w czasie, datowany radiologicznie na wiek dwóch tysięcy lat, z nienagannymi nowoczesnymi koronami na zębach i ze złamaniem kości, wyleczonym według stanu medycyny z lat osiemdziesiątych. Szkielet sam w sobie stanowi naukową sensację - ale na dodatek dostanie pan jeszcze instrukcję obsługi kamery SONY, która na rynku pojawi się dopiero za trzy lata. Papier tej instrukcji także przebadano w dwóch niezależnych instytutach i oceniono jego wiek na dwa tysiące lat. A poza tym - podniósł kopertę z resztą zdjęć - pokażę panu list podróżnika w czasie.

W oczach kapłana zamigotały dziwne iskierki.

- List? - powtórzył jak echo.

- List - Kaun lekko skinął głową. - A wszystko, czego za to żądam - dodał łagodnym tonem - to dziesięć miliardów dolarów.

Eisenhardt, przysłuchujący się zza mlecznobiałych szybek swojej toalety rozmowie obu mężczyzn, drgnął, gdy Kaun wymienił kwotę. Taka liczba, i to na serio! Oblał się potem, i to nie tylko dlatego, że toaleta jako jedyne pomieszczenie kontenera nie była podłączona do klimatyzacji i z tego powodu nagrzewała się w ciągu dnia do temperatury godnej wylęgarni kurcząt.

Zakonnik zareagował na żądanie Kauna oburzeniem. Eisenhardt ostrożnie zerknął przez szybki i zobaczył, jak gwałtownie gestykuluje, zarzucając Kaunowi, że bezwzględnie chce zbić maksymalne zyski na odkryciu, które wcale do niego nie należy.

- Taka jest moja oferta, ojcze. Rozmawiając z panem mam na myśli Kościół katolicki. Może pan na nią przystać, wtedy dostanie pan wszystko, co mam w tej chwili i może odkopać wideo albo zostawić je tam, gdzie jest. Jak pan zechce. Albo się pan nie zgodzi - wtedy musicie cierpliwie poczekać, aż ja zabezpieczę wideo, aż przetoczy się cała kampania reklamowa przed jego wejściem na rynek, aż porozumiem się ze wszystkimi zainteresowanymi koncernami telewizyjnymi w sprawie warunków za prawo pierwszego nadania, aż wykupiony będzie cały czas reklamowy i ustalenia zostaną wszyscy sponsorzy. A potem będziecie mieć niespodziankę, zobaczycie, co na nim widać. Jak pan chce. To pańska decyzja.

- Dziesięć miliardów dolarów to kwota niemożliwa do zaakceptowania za nagranie wideo.
- To znaczna suma pieniędzy, niewątpliwie. Lecz nie może pan tracić z oczu faktu, że oferta ma o wiele szerszy zakres, niż samo tylko wideo. Sprzedaję panu sprawowanie kontroli nad jego zawartością. Sprzedaję panu moje milczenie, że to wideo w ogóle istnieje, na wypadek gdyby okazało się, że jego zawartość nie da się pogodzić z kościelnymi dogmatami. Wraz z tym milczeniem sprzedaję, mówiąc bez ogródek, moją dziennikarską integralność. A jej, przykro mi, nie można dostać za parę groszy.
- Wcześniej, podczas dyskusji w pokoju konferencyjnym, Eisenhardt w pewnym momencie wyłączył się z udziału w rozmowie. Tak, jakby w jego wnętrzu ktoś przestawił jakąś dźwignię. Profesor Wilford-Smith otworzył dużą Biblię, by w Ewangeliach przejrzeć wszystkie informacje o uczniach Jezusa i ewentualnie znaleźć wskazówkę, czy jeden z nich rzeczywiście mógłby być podróżnikiem w czasie, a jeśli tak, to który. A on tylko siedział tam z nimi i zadawał sobie pytanie: *Co ja tu, na Boga, właściwie robię?*
- To całe sprytne kombinowanie, to podążanie tropem Sherlocka Holmesa, co to wszystko dało? Zupełnie nic.
- Gdy została odkryta instrukcja obsługi, wtedy Kaun i Wilford-Smith wyciągnęli z tego faktu ostre jak brzytwa, przekonujące wnioski. Teraz list dowodził, że żaden z nich się nie sprawdził. Nie została odkryta możliwość podróżowania w czasie ani nie krył się za tym wszystkim sprytnie obmyślony plan. Kierując się błędnymi założeniami otrzymali kilka dobrych rezultatów, lecz jedynie przypadkiem.
- Zapomina pan, że z tym, co wiem, mogę po prostu pójść na izraelską policję - kapłan zmienił ton, przyszła pora na pogrożki. - Oni powstrzymają pańskie działania i nie będzie to nas kosztowało ani centa. Przecież to, co zamierza pan zrobić, to nic innego, jak nielegalny wywóz zabytków archeologicznych poza granice kraju.
- Na Kaunie nie zrobiło to wielkiego wrażenia.
- Po pierwsze, niczego jeszcze nie wywieźliśmy poza granice kraju. Po drugie, to wideo, aby mogło być nadane, nie musi opuszczać granic kraju, posiadam przewoźne stacje nadawcze, które mogę sprowadzić tu w ciągu kilku godzin - jego głos przycichł, nabrał groźnej barwy. - Po trzecie, różne rzeczy jestem w stanie sobie wyobrazić, ale na pewno nie to, że pan poważnie życzyłby sobie, by kontrolę nad nagraniem z Jezusem przejęło państwo Izrael.
- Musiał zrobić sobie przerwę. Mruknął coś, że musi iść do toalety i wyszedł, starannie zasuważąc za sobą przesuwne drzwi między kuchnią i pokojem konferencyjnym, skierował się na tył kontenera, do sypialni. Tam zauważył, że ktoś stoi obok kontenera, więc w końcu poszedł jednak do toalety, cichcem, aby podsłuchiwać.
- Zatem Kaunowi naprawdę chodzi tylko o pieniądze. A to, co właśnie robi, to czyste oszustwo. Po zajęciach dzisiejszej nocy musiał przecież porzucić nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie kamerę i nagranie wideo. Teraz myśli, że uda mu się sprzedać Kościołowi kilka kości i strzępy papieru, spekulując, że ów będzie wolał zatrzeć wszelkie ślady tego, co się wydarzyło. W ten sposób nikt nigdy nie zauważy, że w rzeczywistości nie istnieje żaden ślad prowadzący do kamery.
- I nie zostanie znaleziona. Zakręciło mu się w głowie. Czyż nie to właśnie przepowiedział kilka dni temu? *Cokolwiek się stanie, nie pokaże pan tego wideo w telewizji, nim podróżnik w czasie nie wyruszy na swą wyprawę*, Eisenhardta opanowało nagle dziwne uczucie, że oto stoi obok siebie samego, szybuje ponad sobą, postrzega sam siebie jak figurkę dużej, złożonej gry, tak, jak zawsze postrzegał postacie na swoich wykresach, gdy planował powieść i konstruował fabułę. Wygląda na to, że również życie jest swego rodzaju powieścią, a on właśnie ma okazję obserwować, jak poszczególne wątki układają się w całość, jak wszystko się wzajemnie uzupełnia.
- Może powinniśmy kontynuować tę rozmowę w innym miejscu, nie tutaj - zaproponował wysłannik Watykanu.
- Z największą przyjemnością. - Eisenhardt usłyszał odpowiedź przewodniczącego zarządu *Kaun Enterprises*. - Przejdźmy do mojego biura. Tam będę mógł też przekazać panu numery kont w szwajcarskim banku.
- Usłyszał oddalające się kroki i nie mógł się ruszyć, zupełnie wytracony z równowagi.
- W Amerykańskiej Bibliotece nie znajdziesz nic o tym tunelu, uwierz mi - powiedział Yehoshuah, z ręką na klamce. - Chodź lepiej z nami.
- Stali przed gmachem biblioteki Uniwersytetu Hebrajskiego, w kłopotliwie wąskim miejscu; co drugi mijający ich samochód trąbił gniewnie.
- Nie żartuj - odpowiedział Stephen. - To dla mnie tylko strata czasu, przecież nie znam nawet hebrajskiego alfabetu. Nie, zrobimy tak, jak się umówiliśmy. Wy pozbieracie tu wszystko, co tylko będziecie mogli znaleźć, a ja rozejrzę się w American Library. Poza tym, mam jeszcze coś do załatwienia. O piątej po was przyjadę - podniósł telefon komórkowy, wiszący na kablu ładowarki i sprawdził stan baterii. - Gdyby działo się coś szczególnego, zadzwońcie do mnie. Zostawię telefon włączony.
- W bibliotece? Nie polubią cię za to - stwierdził Yehoshuah.

- Można go ustawić całkiem cicho. Wtedy tylko cyka, gdy ktoś dzwoni. Biblioteka to jedyne miejsce, gdzie masz szansę w ogóle to usłyszeć. Nie martw się.

Judith otworzyła drzwi i wysiadła.

- Czy to możliwe, że ty się spieszysz? - zapytała. - Robisz wrażenie, jakby cię ktoś gonił.

Stephen spojrzął w jej ciemne, niezglębione oczy.

- To widać? Najchętniej jutro po południu nurkowałbym już w tunelu.

Samochód, - zaparkowany na «kraju jezdni naprzeciw bloku, stał tam już od wczesnego świtu. Od tamtej pory, dwóch siedzących w nim mężczyzn trwało w bezruchu nie spuszczać oka z drzwi, przy których znajdował się długi rząd skrzynek na listy i dzwonek. Była tam jedna skrzynka na listy i jeden dzwonek, pod którymi umieszczono tabliczkę z nazwiskiem *Yehoshuah Menez* i to właśnie stanowiło powód, dla którego ci dwaj mężczyźni siedzieli w samochodzie.

Na ulicy panował duży ruch. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Na obudowie deski rozdzielczej przykleili trzy małe zdjęcia, ukazujące twarze dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Od czasu do czasu jeden z nich zerkał na zegarek, ostatnio coraz częściej.

W końcu tuż za nimi zatrzymał się inny samochód, w nim także siedzieli dwóch mężczyzn. Dwójka z pierwszego wozu odwróciła się. Tych właśnie twarze się spodziewali. Pytające spojrzenia. Pokazali przybyłym prosty znak, podniesioną dłoń z połączonymi kciukiem i palcem wskazującym, które tworzyły literę O albo zero, jak kto woli. Miało to znaczyć, że nic nie zaszło. Nie pojawił się nikt z trójki, w której zdjęcia wpatrywali się już od prawie dziesięciu godzin.

Jeden z dwu mężczyzn w tylnym samochodzie skinął głową i dwaj w przednim wozie siedli znów prosto, zapalili silnik i wykorzystali lukę w nieprzerwanym strumieniu samochodów, by się do niego włączyć i odjechać: Drugi samochód podtoczył się jeszcze kawałek do przodu, dokładnie w to samo miejsce, gdzie wcześniej stał pierwszy.

- Ale teraz nic, tylko do miasta, coś zjeść! - powiedział jeden z mężczyzn do drugiego. - Umieram z głodu.

Eisenhardt zamknął za sobą drzwi toalety i oparł się o nie, czując w całym ciele ociężałość i wpatrując się w przeciwległą ścianę. Trwało dłuższą chwilę, nim pojął, że jest bezradny. Całkowicie bezradny. Co mógłby teraz zrobić? Nie miał najmniejszego pojęcia. Czy w ogóle jest jeszcze coś, co można by zrobić i co przyniosłoby jakikolwiek skutek? Tak, jak sprawy się teraz miały, przyszłość zdawała się ustalona i pewna. Była nieunikniona, zapisana w wielkiej Księdze Bożej. Kismet. Fataliści mają rację.

Bardzo by chciał sam mieć teraz choć odrobinę tej energii i pomysłowości, w które miał zwyczaj wyposażać bohaterów swych powieści. Wtedy może przynajmniej jelito nie zaczynałoby mu się skręcać w supeł.

Wrócił do kuchni. Przez przesuwne drzwi docierała do niego ożywiona dyskusja profesorów, wielokrotnie padało słowo *apostoł*. Eisenhardt zatrzymał się z dłonią na klamce. Nie, nie może teraz wrócić do tego pomieszczenia. Nie zdoła zachowywać się tak, jakby nic nie zaszło. Nie teraz.

Poszedł na tył kontenera do sypialni, padł na łóżko i zasłonił twarz dłońmi. Nic nie słyszeć, nic nie widzieć. Wszystko wymazać. Lecz po chwili odjął dłonie i wbił wzrok w sufit.

Było jeszcze coś. W rozmowie tych dwóch mężczyzn coś go uderzyło. Padło jakieś zdanie, które coś w nim wyzwoliło, pobudziło wspomnienie, przywiodło na myśl rozumowanie, coś, co teraz jak fala rozchodziło się kręgami w jego podświadomości. Oparł się na łokciach i spojrzął na małe biurko, na którym leżały niemal wszystkie książki, jakie znalazł w szafach. Lydia powiedziała, że to dla niego typowe: wszystkie jego sypialnie wykazywały tendencję do szybkiego przekształcania się w biblioteki.

Jak to było? John Kaun czytał na głos wizytówkę wychudłego człowieka z Rzymu. Nazwał go ojcem Scarfaro. Członek jakiejś kongregacji... Hm. Eisenhardt wstał, przełożył kilka książek ze stosu na stos, aż znalazł to, czego szukał. Książka o kościele rzymsko-katolickim i o Watykanie. Przekartkował spis treści, otworzył na właściwej stronie. Jest w sumie dziewięć kongregacji, najwyższych organów zarządzających o kompetencjach ustawodawczych i sędowniczych na obszarze całego kościoła. Eisenhardt zmarszczył czoło. Teoria o rozproszeniu władzy zdawała się omijać kościół szerokim łukiem nawet go nie musnąwszy. Czytał dalej. Kongregację Nauki Wiary wymieniano praktycznie jako pierwszą.

W swoich powieściach Eisenhardt często opisywał, jak ludziom w momencie bezdennej przerażenia zdaje się, że krew tężeje im w żyłach. Teraz po raz pierwszy doświadczył tego na własnej skórze. Gdyby w tym momencie na ramieniu położył mu dłoń kościotrup i uśmiechnął się do niego < rozkładającą się czaszką, nie przeraziłby się chyba bardziej!

Kongregacja Nauki Wiary, można było przeczytać, jest organizacją bardzo starą. Założył ją papież Grzegorz IX w roku 1231, więc przed niemal ośmiuset laty -jednak nie pod tą nazwą, jakiej używa dzisiaj. Do roku 1908 organizacja ta nazywała się inaczej, nosiła imię, które przez stulecia budziło trwogę i zgrozę, oznaczało ogień, tortury, rzeki krwi, było synonimem mroków średniowiecza. Nie miał pojęcia, że ta organizacja nadal istnieje.

Kongregacja Nauki Wiary to współczesna nazwa *Świętej Inkwizycji*.

29

PILNE-TAJNE

John,

Banki naciskające względu na spadek kursu. Sutherland z First National chce zwołać w najbliższą środę nadzwyczajne zebranie Rady Nadzorczej. Wydaje się, że debata będzie dotyczyć Pańskiego stanowiska przewodniczącego zarządu.

S.

To nie może być prawda. Stephen wpatrywał się to w wąski pasek papieru, wypłuty właśnie przez bankomat, to w swoją kartę VISA.

Limit exceed, głosił napis na wydruku.

Bankomat, solidnie i trwale wmurowany w ścianę publicznego budynku, niezwykle długo przeżuwał kartę wsuniętą w szczelinę przez Stephena. Teraz bezlitośnie okrutna pokrywa z matowanej szlachetnej stali nasunęła się z powrotem, oddzielając go od klawiatury, na której przed chwilą wystukał wysokość żądanej sumy gotówki.

A to dopiero nieprzyjemna niespodzianka. Stephen ponownie wsunął kartę w przeznaczoną jej w portfelu przegródkę i ustąpił miejsca następnemu klientowi, grubawej kobiecie z wysoko upiętymi włosami, zerkającej ku niemu nieufnie. Czyżby wyglądał aż tak niebezpiecznie? Niechętnie potrząsnął głową i powoli ruszył dalej, z portfelem w dłoni.

Czy to może być prawda? Czyżby aż tyle wydał, odkąd jest w Izraelu? Powinien był zadbać o to, by w porę podwyższyć limit. Musi jakoś... ale jak? Zadzwonić do swojego banku... Gdyby udało mu się złapać Hugh'a Cunnighama, jego finansowego doradcę, dałoby się może coś zrobić, przynajmniej doraźnie.

Ile pieniędzy mu jeszcze właściwie zostało? Przeliczył banknoty. Ledwie wystarczy jutro na opłacenie hotelu. O wypożyczeniu sprzętu do nurkowania i uregulowaniu rachunku za samochód może zapomnieć. Nie do wiary.

A co z innymi kartami? Posiadał trzy - jedną VISA, jedną MasterCard i jedną American Express. Właściwie było ich pięć, ale dwie pozostałe były akceptowane jedynie w USA, jedna tylko na stacjach benzynowych. MasterCard działała na tym samym koncie co VISA, nią też nic nie uzyska. Ale American Express... Za jej pomocą również można było otrzymać gotówkę, lecz nie z bankomatu. Jeśli dobrze pamiętał, mają swoje biuro tu w Jerozolimie. A może w Tel Awiwie? No, to powinno dać się ustalić.

Bez pieniędzy. Nie do wiary. I jak to natychmiast psuje nastrój! Co z tego, że posiada majątek, skoro nie może z niego korzystać? Szczyt absurdu, naprawdę.

Zamknął portfel, wciąż jeszcze wytrącony z równowagi, wsunął go z powrotem do kieszeni marynarki i zamarł, jakby skamieniał w słup soli na widok dwóch mężczyzn, którzy właśnie pogrążeni w rozmowie nadchodzili chodnikiem wprost na niego. Wstrzymując oddech, ze wszystkich sił starając się nie ściągnąć na siebie ich uwagi, żadnym rzucającym się w oczy, gwałtownym ruchem nie sprawić, że dostrzegą go kątem oka, schronił się za drzwi pierwszego lepszego sklepu.

A teraz i oni stanęli, zamiast iść dalej i zniknąć! Udawał, że ogląda wystawę, w rzeczywistości obserwując tamtych dwóch. Bez wątpienia, to dwaj ludzie Ryana. Wielokrotnie widział ich w obozie, a oni też go znali. Co tu robią? To przypadek musiał sprawić, że akurat teraz i tutaj idą wzdłuż ulicy. Nie wyglądało na to, by kogoś szukali.

Jeszcze jeden głupi przypadek. To nie poprawiło mu nastroju.

Ktoś z boku coś do niego zagadnął, nic nie rozumiał, przestraszony odwrócił się i odruchowo odpowiedział:

- Słucham?

- Pan interesuje się kamerami wideo? - sprzedawca, krępy mężczyzna o przerzedzonych włosach i z wielkim, bulwiastym nosem, przeszedł na angielski.

- Kamery wideo? - Stephen spojrział na niego poirytowany, potem przeniósł wzrok na gablotę, na którą do tej pory patrzył, wcale jej nie dostrzegając.

Rzeczywiście, były tu same kamery wideo, rozmaitej wielkości, wszystkich producentów. Trafił do sklepu ze sprzętem fotograficznym i kamerami. A te dwa psy gończe wciąż stoją na krawężniku i naradzają się bez końca, które mają dalej iść.

- Nasz sklep ma przedstawicielstwo wszystkich ważniejszych marek - zagaił sprzedawca biorąc najbliższą kamerę, by wcisnąć ją do ręki Stephenowi. Była zaskakująco lekka.

- SONY, Canon, Panasonic, JVC, Sharp... Co pan sobie tylko zażyczy. To jest obecnie najmniejsza i najlżejsza cyfrowa kamera wideo, waży zaledwie pięćset gram, za to wyposażona jest w obiektyw z elektronicznym dziesięciokrotnym zoomem. I co, jak leży w dłoni? Fantastycznie, prawda? Żaden problem, by zabrać ją z sobą dosłownie wszędzie i wszystko uwiecznić.

Stephen przyjrzał się urządzeniu. Dyktafon, który miał kiedyś, był większy od tej kamery. Zdziwiająca.

Przytknął okular do oka i wyjrzał na zewnątrz na ulicę. Wyglądało na to, że szukają restauracji i nie mogą się dogadać, którą wybrać.

- Zdziwiał się - odpowiedział sprzedawcy, wpatrującemu się w niego wyczekująco.
 - Czy mogę spytać, czy zdecydował się pan już na określony system? - dopytywał się.
 - System? - Stephen uświadomił sobie raptem, że oto właśnie po raz pierwszy w życiu ma w ręku kamerę wideo. Zaskakujący deficyt u kogoś, kto jest właśnie na tropie najważniejszej kamery w historii ludzkości. - A jakie są systemy?

Oczy mężczyzny rozbłysły.

- Jest Video-8, najstarszy. Bardzo rozpowszechniony i kasety są tanie. Potem mamy Hi-8, w zasadzie to samo, lecz ze znacznie wyższą jakością obrazu, lepszą niż ma pański telewizor. Aktualnie najmodniejszy jest oczywiście zapis cyfrowy. Najlepsze kontrasty, świetne kolory, znakomita ostrość - i żadnych strat przy dalszej obróbce. Wszystkim moim klientom radzę, by przywiązywali dużą wagę do obróbki nagrań wideo, gdyż: załóżmy, że jest pan na urlopie - zresztą podejrzewam, że tak właśnie jest w pana przypadku - wtedy nagrywa pan wszystko, co nawinie się przed obiektyw. Ale potem, w domu, przyjaciółom, rodzinie i tak dalej, chce pan pokazać tylko najlepsze nagrania. Zechce pan może wprowadzić kilka płynnych przejść, skrócić sceny, ustawić je w innej kolejności. Jak Stephen Spielberg, on też byłby nikim bez cięć i obróbki, prawda? Do takich celów wideo cyfrowe jest optymalne. Proszę spojrzeć na przykład na to...

Wyjął kamerę z rąk Stephena i otworzył małą, plastikową kłapkę z boku.

- Tu ma pan wszystkie łącza - LANG, zewnętrzny mikrofon, słuchawki, wyjście cyfrowe, superwideo, audio. Urządzenie zasilane jest oczywiście baterią litowo-jonowa, nie ma więc efektu pamięci, jest...

- Słyszałem, że niedługo będzie nowy system - Stephen przerwał jego potok wymowy. - Ma się nazywać MR, ale nie wiem, co to oznacza.

- Ach, tak - mężczyzna kiwnął głową. - SONY. Zdaje mi się, że MR to skrót od *magnetic resonance*, czy coś w tym stylu. Ale ma trafić na rynek dopiero za trzy lub cztery lata. Na razie jeszcze zupełnie nie można ocenić, co to będzie warte, zresztą prawdopodobnie na początek ten system będzie dostępny tylko na rynku High-End. To znaczy, o wiele za drogi dla normalnego człowieka.

Tamci dwaj mężczyźni dogadali się chyba wreszcie i oddalali się teraz, przechodząc przez ulicę.

- A wie pan, jak ma działać ten system MR? - zainteresował się Stephen.

- Ach, w zasadzie to też system cyfrowy. Jedyna różnica polega na tym, że nagranie nie jest zapisywane na medium magnetyczne, ale zapis odbywa się w specjalnym kryształce krzemowym. W praktyce oznacza to, że raz wykonanego nagrania nie można już skasować, ale za to jest niezwykle trwałe. To istotne przy zastosowaniach do celów dokumentacji, jednak dość kosztowne, gdy dopiero zaczyna się zabawę w filmowanie. W każdym razie na jednej kasecie ma się zmieścić do dwunastu godzin nagrania.

- A jak długo wytrzyma zapis wideo dzisiejszą metodą?

- To zależy. W przypadku Video-8 albo Hi-8, a więc z techniki analogowej, jakość znacznie spada po dziesięciu, dwudziestu latach. Po prostu dlatego, że z biegiem czasu maleje namagnetyzowanie taśmy, rozumie pan? Przy cyfrowym wideo jest podobnie, lecz dzięki temu, że nagranie jest cyfrowe, może je pan wciąż przekopiowywać na nowe taśmy i w zasadzie przechowywać dowolnie długo.

- Jasne. - Ludzie Ryana byli poza zasięgiem wzroku. Stephen wskazał na małą kamerę. - Może mi pan dać jej prospekt?

Lekki tik w kątku oka.

- Chciałby pan kupić tę kamerę? - spytał mężczyzna o przeredzonych włosach.

- Jeszcze nie wiem - skłamał Stephen.

- Niech pan posłucha, mam dla pana propozycję - oznajmił sprzedawca tonem spiskowca, wyjął kolorową składaną kartkę i pstryknął długopisem. - Normalnie ta kamera kosztuje...

- napisał astronomiczną sumę w szklach i obok niej równie astronomiczną w dolarach. - Ale jeśli zdecyduje się pan od razu, miałbym tu dla pana jedną sztukę, całkowicie nową, całkowicie kompletną, z gwarancją i wszystkim, tylko bez oryginalnego opakowania. Pochodzi, niech pan tego nikomu nie mówi, z konfiskaty mienia. Bez oryginalnego opakowania nie mogę jej sprzedać po normalnej cenie, to głupie, ale tak jest. Odstałbym ją panu za... - napisał dwie liczby, około czterdzieści procent niższe od pierwszych. - Jak mówiłem, mam tylko jedną taką. Jednorazowa okazja.

Stephen zaśmiał się w duchu z tej starej sztuczki. W podobny sposób zdarzało mu się już sprzedawać software.

- Dziękuję - odpowiedział i wziął składany prospekt.

- Ale muszę spytać moją dziewczynę. Rozumie pan.

Znów drgnięcie zmarszczek pod prawym okiem, do tego jeszcze w kątku ust. Równie stara sztuczka. *Nie mogę sam zdecydować, muszę najpierw spytać kogoś o zgodę.*

- Proszę po prostu przyprowadzić przyjaciółkę tutaj

- natychmiast zaproponował mężczyzna. - Możemy zrobić kilka próbnych ujęć i obejrzeć je na dużym

ekranie. Będzie zachwycona.

- Tak zrobię - skłamał Stephen, pożegnał się i odszedł. Na zewnątrz, na ulicy, rozejrzył się ostrożnie, lecz po tamtych dwóch nie było już śladu.

Nie rozmawiali wiele. Willard, wielki siłacz o blond włosach, który z trudem wbił się w paramilitarny strój, w jakim chciał go widzieć Ryan, palił papierosa za papierosem, zaś Elias, opalony na brązowo typowy Sabra, Żyd urodzony w Izraelu, bez pośpiechu pogryzał swój falafel, tak powoli, że zdawało się, iż będzie go jadł jeszcze wiele godzin. Obaj nie spuszczaali z oka drzwi domu ani prowadzącej do nich ścieżki.

O mało co, a nie zauważyliby nadchodzącego Ryana. Pojawił się znienacka w jednym z lusterek wstecznych, jakby wynurzył się z nicości, a już w następnej chwili otwierał drzwi samochodu i siadał na tylnym siedzeniu.

- No i? - zapytał tylko.

Ponieważ Elias właśnie zajęty był żuciem, odpowiedział Willard.

- Nic. Nikt się nie pojawił.

Ryan wydał mrukliwy dźwięk. W jego przypadku trudno był o pewność, wydawał się jednak dość rozdrażniony.

- Wchodzimy - zdecydował. Willard wytrzeszczył oczy.

- Do domu?

- Do mieszkania. Elias już przełknął.

- Szeffie - powiedział - w Izraelu to też jest nielegalne.

- Wiem - warknął Ryan. - Dlatego właśnie istnieje jedenaste przykazanie. Tylko, że Mojżesz je opuścił. Amerykańska biblioteka, osobliwa budowla ze stali, szkła i mnóstwa betonu, z trudem dawała się przyporządkować stylistycznie do określonego okresu. Polakierowane na biało stalowe kraty wyglądały raczej oryginalnie, ale niewątpliwie były nadzwyczaj stabilne. Ogradzały teren, zaś wysokie strzeliste cyprysy osłaniały budynek niczym kotara. Mimo to wejście do niego nie było żadnym problemem. W drzwiach wejściowych stał wartownik w błękitnym mundurze, jednak nie żądał od nikogo z wchodzących żadnych legitymacji, ograniczał się jedynie do uważnego obserwowania nowo przybyłych.

Parter zajęty był przez obszerną kawiarenkę, szatnię, kilka budek telefonicznych, długie rzędy szafek i liczne pulpity do czytania, pomijając pomieszczenia, w których mieściła się administracja i do których wstępu zabraniały gościom aż nazbyt dobitnie sformułowane napisy na tabliczkach. Czytelnia znajdowała się na piętrze, jasne, duże pomieszczenie z wysokimi oknami, w połowie wysokości podzielone jeszcze raz biegnącą dookoła szeroką galerią. Jak w każdej bibliotece, panowała tu specyficzna cisza pracowitości sprawiająca, że bez trudu sięgało się takich głębin skupienia, jakie na zewnątrz, pośród pośpiechu powszedniego świata, były w ogóle niedostępne.

Jak w kościele, pomyślał Stephen, wędrując wzdłuż regałów. *Tylko przytulniej.*

Więc, jakim tematem powinien się zająć? Oto jest pytanie. Często zdarzało mu się przechodzić przez biblioteki zdając się na los, to tu, to tam wyciągał jakąś książkę i zaciekawiony sprawdzał, dokąd zawiedzie go przypadek.

Spróbował tego, lecz dziś los nie doprowadził go do niczego. Nie, temat mógł brzmieć tylko i wyłącznie: Wzgórze Świątynne. Stephen poszedł do katalogu, który starym dobrym zwyczajem prowadzono w formie wytartych fiszek upchniętych w długich, drewnianych skrzynkach i poszukał tam tego oraz pokrewnych haseł.

Znalazł opasłą, oprawną w skórę książkę, która obiecywała opowiedzieć historię Świątynnego Wzgórza z dociekliwą drobiazgowością. Jednak na obietnicy się kończyło - rzut oka na spis treści kazał spodziewać się dokładności i wyczerpującego omówienia tematu, lecz sam tekst, choć naszpikowany niezliczonymi rysunkami, zdjęciami i schematycznymi planami, okazał się na tyle chaotyczny, że nie nadawał się do tego, by na jego podstawie wyrobić sobie ogólny pogląd. Mimo to Stephen tu i ówdzie napotkał ciekawą anegdotę. Na przykład w tym stuleciu miały miejsce dwa dramatyczne ataki na muzułmańskie budowle na Wzgórzu Świątynnym. W roku 1969 chory na umyśle australijski chrześcijanin imieniem Denis Rohan podłożył ogień w meczecie Al-Aksa i mocno go uszkodził. Kilka lat później w ostatniej chwili wykryto spisek ekstremalnych żydowskich nacjonalistów, którzy zamierzali wysadzić meczety na Wzgórzu Świątynnym, przede wszystkim Kopułę Skały, chcąc w ten sposób opróżnić teren dawnej żydowskiej świątyni i tym samym przyspieszyć nadejście Mesjasza.

Stephen mimowolnie pokręcił głową. Świat wydawał się być opętany tym do niczego nieprzydatnym kawałkiem skalistego gruntu wielkości pół mili kwadratowej.

Potem trafił na interesujący fakt, napomknięty raczej mimochodem w mniej ważnym rozdziale. Teren wykopalisk rozpoczynający się na południe od Świątynnego Wzgórza po drugiej stronie głównej ulicy nosił nazwę Miasto Dawida. To wiedział. Czego nie wiedział - do tej pory nie interesowało go to też specjalnie - to informacja, skąd wzięła się ta nazwa. Na początku stulecia pewien członek francuskiej gałęzi rodziny Rothschildów kupił ów kawałek gruntu, zamierzając szukać na nim prawdziwego miejsca

pochówku króla Dawida. Jego grobu nigdy jednak nie znaleziono. Za panowania Brytyjczyków cały ten teren miał status odkrywki archeologicznej, dlatego zabroniona była na nim wszelka działalność budowlana. Gdy stał się terytorium jordańskim, nie stosowano się do tego zakazu i, mimo ruin i grobów, szybko go zabudowano. Jedynie obszar należący do Rothschildów przetrwał jako własność wroga i pozostał nietknięty.

Dlatego Halil Saad trafił na cysternę, robiąc wykop pod piwnicę. Jego dom stał na ruinach innego domu, zbudowanego w czasach, gdy dzielnica należała do Jordanii. Halil Saad po prostu kopał głębiej niż poprzedni właściciel. Zaś cały obszar był częścią jednej z najstarszych dzielnic Jerozolimy.

Tylko o tunelu nigdzie nie wspomiano...

Coś zacykało w kieszeni marynarki. Telefon.

- Yehoshuah? - zgłosił się, odstawił książkę na półkę i ruszył po grubym, szarym bieżniku w stronę wyjścia z czytelnii. Bibliotekarka, dyżurująca za ladą, spojrzała na niego pogardliwie, nawet bardzo pogardliwie. - O co chodzi?

Ku jego niemałemu zdziwieniu nie zgłosił się Yehoshuah ani Judith. Odezwał się głos mówiący po angielsku z twardym akcentem, nie od razu go rozpoznał.

- Pan Foxx? Tu mówi Peter Eisenhardt. Chciałbym się z panem spotkać. Być może mam informacje, które mogą pana zainteresować.

Zamek w drzwiach nie opierał się dłużej niż dwadzieścia sekund. Nikt ich nie słyszał, nikt ich nie widział, gdy włamywali się do mieszkania Yehoshui Meneza. Zaraz potem zamknęli za sobą drzwi i wszystko wyglądało jak przedtem.

Był to jednopokojowy apartament z wnęką kuchenną, małą garderobą i balkonem. Całe wnętrze wyglądało tak, jakby przed nimi byli tu już inni włamywacze.

- Co za chlew - mruknął do siebie Ryan, zaglądając do kuchennej wnęki. Młody archeolog zdawał się nie mieć wysokiego mniemania o nowoczesnych środkach czyszczących, lecz przeciwnie, był na najlepszej drodze do tego, by nie przejmując się wielce zmienić sprzęty w swoim mieszkaniu w skamieliny.

Na automatycznej sekretarce migotało zielone światelko. Ryan znał ten model; światelko oznaczało, że nagrały się wiadomości, których jeszcze nikt nie odsłuchał. Przycisnął odpowiedni guzik.

Były dwa nagrania. Za pierwszym razem dały się słyszeć szelesty i zaraz odłożono słuchawkę. Drugie nagranie zawierało wiadomość wygłoszoną krzykliwie po hebrajsku, kobiecym głosem, który wydał się Ryanowi jakby znajomy. Oczywiście, matka Judith Menez, raz z nią rozmawiał. Yehoshuah jest przecież bratem dziewczyny.

Jednak to nie treść wiadomości go interesowała, o wiele bardziej był ciekaw daty i godziny nagrań, wyświetlanych na displayu urządzenia podczas odtwarzania. Sądząc po nich, Yehoshuah Menez nie był w swoim mieszkaniu od niedzielnego popołudnia.

- Skąd ma pan mój numer? - spytał zaskoczony Stephen, gdy drzwi czytelnii zamknęły się za nim bezgłośnie.

- Z pliku danych adresowych na pańskim laptopie.

- A dlaczego chce się pan ze mną spotkać?

- Muszę z panem pomówić. Sądzę, że to ważne.

Stephen wciąż jeszcze nie mógł dobrze zrozumieć, o co chodzi. Czego, na Boga, może chcieć od niego ten pisarz?

- Panie Eisenhardt, pan wie, że Kaun mnie szuka. Muszę brać pod uwagę, że pański telefon może być manewrem mającym na celu schwytanie mnie.

Mówił cicho. Dziewczyna, zajęta pracą przy katalogach tematycznych, ustawionych tu na zewnątrz, spojrzała w jego kierunku poirytowanym wzrokiem. Skoro szuka tu literatury na obojętnie jaki temat, musiał liczyć się z tym, że rozumiała, co powiedział.

- Proszę, niech pan mi zaufa - prosił Eisenhardt. - Kaun nic nie wie o tym telefonie. Działam na własną rękę.

- Kaun zlecił prawdopodobnie odsłuchiwanie każdej rozmowy, jaką pan prowadzi przez telefon, czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Nie dzwonię z obozu. Jestem w Jerozolimie w publicznej budce telefonicznej i zaraz skończą mi się żetony. Proszę, umówmy się gdzieś na spotkanie. Gdzie pan zechce.

Stephen usilnie się zastanawiał. Jeżeli pisarz mówi prawdę, byłaby szansa dowiedzieć się, co zamierza zrobić Kaun. Poza tym, musiał przyznać sam przed sobą, był ciekaw, z jakiego powodu Eisenhardt zaczął snuć intrygi przeciw swemu zleceniodawcy.

- No dobrze - powiedział. - Gdzie pan jest teraz?

- Jestem w Bibliotece Amerykańskiej - nalegał głos Eisenhardta z malutkiego głośniczka słuchawki. - W budce telefonicznej w holu.

Stephen niemal się roześmiał. Robiło się coraz ciekawiej!

- Chwileczkę - poprosił, zablokował mikrofon przyciskiem „Mute” i szybko podszedł kilka kroków ku schodom, z których mógł widzieć hol w dole. Rzeczywiście, w jednej z kabin telefonicznych stał Eisenhardt. Był zajęty karmieniem żarłocznego automatu jednym żetonem po drugim. Dzwonienie na komórkę kosztowało prawie tyle, co rozmowa z Ameryką.

Stephen ukrył się za jedną z betonowych kolumn i ponownie włączył mikrofon.

- Jak pan tu przyjechał?

- Przywiózł mnie Ryan. Powiedziałem, że muszę poszukać informacji w literaturze. Wieczorem mnie odbierze. Nie wiem, czy panu coś mówi to nazwisko - Ryan jest szefem ochrony...

- Tak - przerwał mu Stephen. - To nazwisko coś mi mówi.

- Ach tak, naturalnie - zakłopotał się Eisenhardt. - Dziś w nocy. Proszę, czy możemy się spotkać? Obojętnie gdzie, musimy się teraz szybko umówić.

Kolejna sztuczka, żeby zmusić partnera do szybkiej decyzji.

- Niech pan zostanie tam, gdzie jest - powiedział. - Ja do pana przyjdę.

- Dobrze - w głosie Eisenhardta dała się słyszeć ulga. - Tak oczywiście będzie najprościej. A, hm, kiedy?

- Za pół godziny.

- Dobrze. Dziękuję. Ja... ja po prostu tu zaczekam. Pan wie, gdzie jest biblioteka?

Stephen nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Tak - odpowiedział. - W każdym razie mniej więcej.

- Dobrze. Więc za pół godziny.

- Do zobaczenia - Stephen nacisnął guzik kończący rozmowę, schował telefon i obserwował ze swej kryjówki, co robi pisarz.

Oczywiście, najbardziej interesowało go, czy nie ma do czynienia z zasadzką. Gdyby Eisenhardt odwrócił się teraz od aparatu i skinął do kogoś głową albo w ogóle dał jakiś pozytywny znak - uniesiony do góry kciuk czy coś w tym rodzaju - wówczas wiedziałby na pewno, że na niego czyhają. Jednak Niemiec nie zrobił nic takiego. Odłożył słuchawkę, zgarnął resztę żetonów telefonicznych i wsypał je do kieszeni. Potem stał tylko, rozglądając się niepewnie, robiąc przy tym raczej zagubione wrażenie.

Hm. Naprawdę dziwne. Niemal zbyt dziwne. Czy to rzeczywiście przypadek sprawił, że pisarz zadzwonił do niego akurat stąd? Stephen spojrzał na zegarek. Miał jeszcze pół godziny, żeby się nad tym zastanowić.

Wrócił do czytelnicy, podszedł do jednego z dużych okien i wyjrzał na ulicę. Czy zobaczy gdzieś zaparkowane samochody, a w nich mężczyzn czekających bez wysiadania? Czy nie stoją tam podejrzanymi postaciami ukryte w zakamarkach? Choć Stephen z całych sił wyteżał swą najczarniejszą wyobraźnię, nie mógł wymyślić nic na potwierdzenie nieufnych podejrzeń. Widział ruchliwą ulicę, na której parkowanie i tak było zabronione, ludzi, nadchodzących i oddalających się, zbyt młodych, zbyt starych bądź zbyt niemęskich, by mogli należeć do bandy Ryana; jedynym, który nie zdążył szybkim krokiem w jakimś określonym kierunku był wędrowny handlarz, który oparł swój wózek z owocami o siatkę ogrodzenia i sprzedawał przechodniom pomarańcze.

Stephen wsłuchał się w swój wewnętrzny głos. Czy dobiega stamtąd jakieś ostrzeżenie? Nie. Ucisk w żołądku? Też nie. Nie sądził, by to miała być wyrafinowana zasadzka. Gdyby Ryan wiedział, że on tu jest, nie siliłby się na takie manewry. Poczekaliby po prostu na zewnątrz, przy wyjściu przytknąłby mu między żebra nóż myśliwski i kazał iść z sobą. Tak właśnie by się to odbyło, a on nie miałby najmniejszych szans.

Więc dobrze, podejmie ryzyko. Wyszedł z czytelnicy i ruszył w dół szerokimi, również wyłożonymi puszystym dywanem schodami. Eisenhardt stał przy frontowym oknie przy wejściu, ściskając pod pachą gruby, oprawny w skórę koło-notatnik, ręce wbił głęboko w kieszenie spodni, nie zauważył zbliżającego się Stephena.

- Pan Eisenhardt? - zwrócił w końcu na siebie uwagę Stephen, gdy stanął już tuż za nim.

Pisarz obrócił się gwałtownie, wytrzeszczając oczy, jakby był bliski zawału.

- Panie Foxx! O Boże, ależ mnie pan przestraszył! Skąd pan przyszedł?

- Mówiąc szczerze, byłem tu przez cały czas. Siedziałem u góry w czytelnicy, gdy pan zadzwonił.

- Co?! - pisarz zamrugał zaskoczony. - Naprawdę? Co za przypadek.

-Tak.

Eisenhardt kręcił głową.

- W powieści nie mógłbym napisać nic takiego - oświadczył potem i uśmiechnął się zmieszany. - Ale życie może sobie pozwolić na wszystko...

Prawdopodobnie ktoś, kto wykonuje zawód pisarza, musi postrzegać rzeczywistość w taki sposób.

- Chciał pan ze mną rozmawiać. O co chodzi?

- Tak, więc... Nie wiem za bardzo, od czego powinienem zacząć...

- Siądźmy może w jakimś spokojnym kącie? - zaproponował Stephen i wskazał na jeden z wolnych stołów, stojący nieco na uboczu i obiecujący namiastkę niezakłóconego spokoju. - Chciałby się pan czegoś napić?

Po szklance wody mineralnej pisarz, wciąż jeszcze wyglądający na kłębek nerwów, powiedział:

- Czy mogę spytać pana o coś wprost, panie Foxx?

- Proszę mówić do mnie Stephen. Tak, jasne. O co pan zechce. W najgorszym wypadku nie odpowiem.

- Czy pan wie, gdzie jest kamera? Stephen opadł na oparcie fotela.

- Obawiam się, że właśnie mamy tu najgorszy wypadek.

- Tak, rozumiem. Proszę wybaczyć. - Eisenhardt położył przed sobą na stole swój kołonoatnik i nieustannie przesuwając palcami po jego krawędziach. Z przegródki wystawał przycisk długopisu. - Kaun znalazł w laboratorium aparat fotograficzny, którym robiliście zdjęcia podczas odczytywania pierwszej kartki. Z tekstu wynika, że podróż w czasie nie była zaplanowanym przedsięwzięciem - co stawia pod znakiem zapytania nasze dotychczasowe teorie. Ponieważ wygląda na to, że list został teraz nieodwracalnie zniszczony, Kaun najwyraźniej stracił nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie to wideo.

Stephen mimowolnie odetchnął głębiej.

- A dlaczego mi pan to opowiada? - spytał potem.

- Ponieważ - powiedział Eisenhardt i pochylił się nieco do przodu, by móc mówić ciszej - pojawił się przedstawiciel Watykanu, człowiek nazwiskiem Scarfaro. Przypadkiem usłyszałem ich rozmowę. Kaun o tym nie wie. Próbuje sprzedać kościołowi katolickiemu wszystkie dotychczas znalezione artefakty - za dziesięć miliardów dolarów.

- Ach - wyrwało się Stephenowi. Dziesięć miliardów dolarów? Kaun widocznie przywykł do myślenia w takim rzędzie wielkości. A co się stanie, jeśli to oni wydobędą kamerę i nagle się z nią pojawią? - Fantastyczna liczba. Ale przecież go rozszarpia, jeśli nie znajdzie kamery.

- Nie. Mam wrażenie, że jego spekulacje wychodzą z założenia, że kościół w ogóle nie jest zainteresowany znalezieniem nagrania. Kaun chce, żeby zapłacili mu za to, że będą mogli wszystko zatuszować.

- Naprawdę pan sądzi, że kościół boi się tego wideo?

- Ależ oczywiście! - Pisarz wytrzeszczył oczy. - Czy kiedykolwiek zdarzyło się panu przeczytać książkę albo obejrzeć film o tym wszystkim, nie odczuwając przy tym rozczarowania? Dokładnie taką sytuację mamy tutaj. Po pierwsze, kościół musi obawiać się, że kasetą mogłaby ujawnić coś, co postawi pod znakiem zapytania całą dotychczasową doktrynę wiary a wraz z nią nieomylność papieża. Po drugie, i to prawdopodobnie jest nawet ważniejsze: wideo nigdy nie dorówna obrazom powstałym w wyobraźni wierzących, tym wszystkim świętym malowidłom nad małżeńskimi łóżkami albo kiczowatym ilustracjom w Bibliach dla dzieci. Na wideo wszystko będzie wyglądało raczej ubogo, prymitywnie i brudno, i będzie widać, że Jezus był tylko człowiekiem, jak każdy inny. Może będzie można zobaczyć, jak coś głosi i to byłoby dość interesujące, lecz nie da się tego zrozumieć, bo mało kto rozumie po aramejsku, a jeśli chodzi o dobitność jego opowieści, to jestem pewny, że pierwszy lepszy uliczny kaznodzieja robi sto razy bardziej przekonujące wrażenie. Krótko mówiąc, kościół musi obawiać się, że ludzie, ujrzawszy wreszcie prawdziwego Jezusa, pozbawieni iluzji odwrócą się od niego.

Stephen powoli skinął głową. Jego rozumowanie biegło podobnym torem.

- Co ja, mówiąc szczerze, uważałbym za bardzo zadowalający rozwój wydarzeń - powiedział. - Gdybym choć raz mógł zobaczyć, jak papież jedzie do jakiegoś rozpaczliwie przeludnionego kraju głosić swoje kazania przeciw antykoncepcji, a nikt nie przychodzi go słuchać i gdybym mógł poczytać to sobie za moją osobistą zasługę, to wiedziałbym, po co żyłem.

- Więc pan też tak uważa? - z ulgą stwierdził Eisenhardt. - No, to wspaniale. Właściwie myślałem, że będę teraz musiał bez końca przekonywać...

- Tego pan oczekiwał?

- Cóż, pan tak się zaangażował w poszukiwanie kamery, przywłaszczył sobie list...

- Ja o nim zapomniałem. Naprawdę. W pierwszej chwili oczywiście nie sądziłem, że plastikowy woreczek jest prawdziwym archeologicznym zabytkiem - odparł z westchnieniem Stephen. - To znaczy, nikt by tak nie sądził. Myślałem, że ktoś chce mi zrobić kawał. A potem uznałem, że mam do czynienia z przestępstwem. Dopiero gdy zobaczyłem w gazecie pańskie zdjęcie i uzmysłowiłem sobie, kim pan jest, wszystko ułożyło mi się w całość.

- Widział pan w gazecie moje zdjęcie?

- Tak. Tamtego wieczora, kiedy pan przyjechał. Fotografia była zrobiona chyba w samolocie.

- I wiedział pan, kim jestem?

- Słyszałem już wcześniej pana nazwisko, tak. W każdym razie wiedziałem, że jest pan pisarzem science fiction.

Eisenhardt zdziwiony pokręcił głową.

- Miło mi to słyszeć.

- W każdym razie - wrócił do tematu Stephen - uważam siebie za agnostyka, o ile nie wręcz za ateistę, i wcale nie mam dobrego zdania o kościele. Jeśli chodzi o mnie, z tej planety mogłyby zniknąć wszystkie religie.

- Dokładnie - przytaknął Eisenhardt. - Właśnie tak. To by było prawdziwe błogosławieństwo.

Raptem obok ich stolika przeszedł szczupły mężczyzna w kraciastej marynarce z wciśniętą pod pachę gazetą, niosąc na tacy kawę i usiadł dwa stoliki dalej. Stephen, zaniepokojony, że nie zauważył go wcześniej, potoczył wokół badawczym spojrzeniem.

- Pyta pan, dlaczego tak mi zależy na znalezieniu kamery - oznajmił wreszcie, teraz bardziej przyciszonym głosem. - Powiem panu. Po pierwsze - dokonałem odkrycia, rozumie pan, ale nikt mnie w nic nie wtajemniczył, nie chcieli mnie tam i gdybym to tak zostawił, moje nazwisko po prostu wmięciono by pod szafę. Nie mogłem pozwolić na coś takiego, dla zasady. Po drugie, zwietrzyłem szansę, nawet, jeśli dobrze nie wiedziałem, jaką. Ale jeżeli widzę gdzieś szansę, chwytam ją, taki już jestem. Coś tam już z tego będzie, myślałem sobie, może pieniądze, może sława, a może jedno i drugie. W każdym razie ciekawa przygoda, o której będę mógł opowiadać wnukom, gdy już siwy i stary będę siedział w bujanym fotelu przy kominku.

Oczy Eisenhardta nagle straciły blask.

- Jeżeli Kaunowi uda się przeforsować jego zamiary - odpowiedział - to może nie być za dobrze z tym opowiadaniem. Może wcale nie będzie pan stary ani siwy.

- Co pan ma na myśli?

- Nie rozumie pan? - zapytał pisarz. - To, co Kaun chce sprzedać Watykanowi, to całkowite milczenie o całej tej sprawie. Ludzi uciszano już przemocą za mniejsze pieniądze niż dziesięć miliardów.

Stephen w zamyśleniu patrzył na rozmówcę. Na czole pisarza wytworzyła się cieniutka warstewka kropelek potu. Ten człowiek ma naprawdę bujną fantazję. Niemal chorobliwą.

Pokręcił głową.

- John Kaun jest bezwzględny i twardym biznesmenem. Ale nie jest mordercą.

- John Kaun może nie. -Ale?

- Ten człowiek z Rzymu, Scarfaro - tak. Jeśli dobrze zrozumiałem, jest członkiem Kongregacji Nauki Wiary.

- To mi nic nie mówi. Eisenhardt głęboko odetchnął.

- Jest to, jak powiedziałoby się dzisiaj, następczyni Świętej Rzymskiej Inkwizycji.

Stephen nie mógł powstrzymać tego, że dolna szczęka opadła mu bezwładnie.

- Inkwizycji? - powtórzył zbity z tropu.

- Inkwizycji.

- To ona jeszcze istnieje?

- Organizacja nosi obecną nazwę dopiero od trzydziestu lat, ale jej zadanie jest wciąż takie samo: ochrona prawdziwej wiary - pisarz rozejrzał się niespokojnie. - To zresztą cytāt z książki bardzo przyjaznej kościołowi.

Stephen Foxx kręcił głową dosyć zmieszany. Równie dobrze Eisenhardt mógłby mu powiedzieć, że właśnie przyjechał włączyć się w sprawę niejaki Krzyżowiec.

- I co ten Scarfaro chce z nami zrobić? Spalić nas wszystkich na stosie?

- Nie wiem. Ale, szczerze mówiąc, nie chciałbym tego sprawdzać na własnej osobie - spojrzał na niego poważnie, niemal jakby go zaklinał. - Panie Foxx, jeżeli pan wie, albo przynajmniej podejrzewa, gdzie jest kamera, to proszę - niech pan ją znajdzie i publicznie ujawni. Tak szybko, jak to możliwe.

Stephen opadł na oparcie krzesła. Wciąż jeszcze nie wierzył w realność zagrożenia, jakie dostrzegał pisarz. Mieli w końcu do czynienia z Kościołem rzymsko-katolickim, nie z jakimś opętany, fanatycznym ajatollahem.

- W każdej chwili możemy to ujawnić. Szkielec, instrukcja obsługi - dowody są już więcej niż oczywiste.

- Tak, ale dowody są w posiadaniu Kauna i, jeśli zechce, może w każdej chwili sprawić, by znikły - Eisenhardt pochylił się. - Mnie osobiście zależy jeszcze na tym, żebym mógł opowiadać. Opowiadanie to mój zawód i treść mojego życia. Chcę pewnego dnia móc zapisać to, co się tu dzieje. Jeśli opowie mi pan swoją część historii - to nie musi być teraz, kiedyś, gdy się to wszystko skończy, będzie jeszcze na to czas - jeśli mi pan to obieca, będę pana wspierał przeciw Kaunowi w poszukiwaniach kamery. Chyba że pan też chce ją odsprzedać Watykanowi.

Stephen krzywiąc się, pokręcił głową.

- Nie, nawet za dwadzieścia miliardów srebrników.

- Dobrze. Mogę zaferować, że będę informował pana na bieżąco, co Kaun wie i co zamierza. Chociaż nie bardzo wiem jak, jeśli rzeczywiście podsłuchuje mój telefon.

- Może pan przychodzić tu, do biblioteki?

- Tak mi się zdaje.

- Może na wszelki wypadek powinniśmy uzgodnić jakiś szyfr - Stephen zastanowił się. - Co się może

zdarzyć? Hm. Powiedzmy, że Kaun dowie się, gdzie jestem ja albo kamera. Ale co z tego, że pan wtedy do mnie zadzwoni i powie jakieś hasło, na przykład „Przepraszam, czy to konsulat?” Numer, jaki pan wybierze i tak zostanie zapisany i będzie można poznać, że dzwonił pan do mnie.

Eisenhardt otworzył kolonotatnik, wyjął z niego kartkę¹ zaczął pisać na niej dwa numery telefonów.

- Na wszelki wypadek dam panu bezpośredni numer do mnie; pod tym numerem znajdzie mnie pan w kontenerze, w którym mieszkam. I jeszcze zapiszę panu numer pewnego dziennikarza, którego poznałem lecąc tutaj. Nazywa się Uri Liebermann. To on zrobił zdjęcie, które pan widział. Wie też, że jestem gościem na wykopaliskach i dzwoniłem już raz do niego i prosiłem, żeby sprawdził, co wiadomo o profesorze Wilfordzie. Tak, sporo się dowiedział, muszę przyznać.

- Naprawdę? - Stephen złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni koszuli.

- Wiedział pan, że dopiero po czterdziestce poszedł na studia? W młodości był żołnierzem, stacjonował w Palestynie, krótko nim odeszli stąd Brytyjczycy.

Stephen próbował wyobrazić sobie profesora jako stojącego na baczność żołnierza i uśmiechając się krzywo, potrząsnął głową, tak mało wydało mu się to prawdopodobne.

- I wtedy właśnie zakochał się w tym kraju i w ludziach, jak to się mówi, hm?

- Prawdopodobnie.

- Elias - powiedział Ryan, stojąc na szeroko rozstawionych nogach po kostki zanurzony w chaosie. - Chodź tu na chwilę.

Elias zamknął z powrotem szufladę, którą właśnie wysunął, dźwignął się i zaczął brnąć do swego komendanta. W każdym razie Ryan robił na nim właśnie takie wrażenie włosami obciętymi krótko, po wojskowemu, zawsze jednakowym kombinezonem khaki i władczy sposobem bycia. Elias musiał raz po raz zamrugać oczami i przypomnieć sobie, że jego służba w armii już się skończyła. Jest teraz pracownikiem ochrony, przysługuje mu urlop, miesięczna pensja, premia za nadgodziny i prawo do emerytury. Firma *Kaun Enterprises* zatrudniła go, nie zwerbowała.

Ale w porządku, klient nasz pan. Podszedł do żylastego Amerykanina - Ryan? Czy to nie irlandzkie imię? - i przyjrzał się przedmiotowi wyciągniętemu z jakiegoś zakamarka w regale nad łóżkiem.

Był to gruby brulion, z okładką w małe niebieskie i czerwone słonie. Dość wyświechtany. Ryan otworzył go i kartkował strony, gęsto zapisane pedantycznie drobnym charakterem pisma.

Po hebrajsku.

- To pamiętnik, prawda? - spytał Ryan, wskazując na daty podawane między zapiskami, niekiedy wyróżnione kolorowym pisakiem. Obrócił zeszyt: trzymał go do góry nogami, gdyż nie od razu zorientował się, że w hebrajskich zeszytach pisze się od tyłu ku przodowi.

- Na to wygląda, tak - przytaknął Elias. I co z tego? Pamiętniki to raczej babska sprawa. Więc ten Yehoshuah Menez prowadził pamiętnik, ależ z niego mięczak.

Ryan kartkował, wyraźnie niezadowolony, ku przodowi aż do ostatnich zapisanych stron.

- To data z soboty - stwierdził. - Więc tego dnia musiał tu jeszcze być. I sporo napisał: po piśmie widać, że notował pośpieszne, musiał być niespokojny. Coś wytrąciło go z równowagi - podsunął zeszyt Eliasowi. - Co tu jest napisane?

Elias chwycił pamiętnik z obrzydzeniem, mniej więcej tak, jakby Ryan zażądał od niego, żeby wziął do ręki zużytą kobiecą podpaszkę.

- Jak kura pazurem - poskarżył się, wpatrując w koślawe pismo. - Pisze coś o folii polietylenowej i o przenikaniu węglowodanów do papieru.. Nie rozumiem ani słowa, szczerze...

- Przetłumacz to po prostu na angielski - powiedział Ryan z tak nienaturalnym spokojem, że plecy Eliasza pokryły się gęsią skórą.

Westchnął, skupił się.

- Ulepszony barwnik dokonał na pierwszej kartce listu prawdziwych cudów, ale na drugą prawie w ogóle nie zadziałał. Wtedy przyszło mi do głowy, że z biegiem czasu węglowodany z polietylenowego opakowania mogły odłożyć się w papierze. Dlatego spróbowałem najpierw potraktować go tetralina, a potem ponownie zastosować barwnik. Żałowałem przy tym, że w ogóle się za to zabrałem - wolałbym nigdy nie mieć nic wspólnego z tą całą historią.

Raptem Ryana ogarnęło podniecenie. W porównaniu z normalnym człowiekiem wciąż jeszcze wydawał się bryłą lodu, jednak ktoś, kto miał z nim do czynienia już od jakiegoś czasu, wyraźnie mógł wyczuć pewne napięcie.

- Dalej - ponaglał.

- *Już pierwszy fragment tekstu, wybrany przypadkiem - tłumaczył dalej Elias - wyjawiał mi miejsce ukrycia kamery, której wszyscy tak usilnie szukają...*

30

ŚWIĄTYNIA, HERODIAŃSKA. W piętnastym lub osiemnastym roku swego panowania Herod Wielki rozpoczął budowę nowej Św., w żyd. piśmiennictwie historycznym określanej mianem Drugiej Św. Początek budowy datowany jest około roku 20 p.n.e., prace trwały 46 lat, w roku 70 n.e. krótko po ukończeniu budowy św. została zburzona podczas zdobycia Jerozolimy przez Rzymian (stłumienie pierwszego powstania żyd.)

Avraham Stern,
Leksykon archeologii biblijnej

- Jessica Jones - wyjaśniał Stephen tonem plotkarskiej pogawędki - to dobra dusza, wszystkowiedzące oko, serce i mózg. Jej ojciec był powiernikiem Martina Luthera Kinga, a jej brat jest pierwszym czarnoskórym burmistrzem takiego miasta w południowych stanach, gdzie trzydzieści lat temu czarny nie mógł nawet usiąść obok białego na parkowej ławce. Jessica Jones jest jedynym etatowym pracownikiem *Explorer's Society* - można według niej regulować zegarek.

Przykucnęli w trójkę na podwójnym łóżku w pokoju Yehoshui i Stephena, i obserwowali ścienny zegar, którego wskazówki przesunęły się akurat na za kwadrans piąta.

- W Nowym Jorku jest teraz za piętnaście dziesiąta rano - mówił dalej Stephen. - W tym momencie Jessica Jones wchodzi do wielce dostojnej siedziby *Socięty* na Upper Westside, w pobliżu Siedemdziesiątej Piątej ulicy. Z jej pomieszczeń klubowych, wyłożonych mahoniową boazerią, można rozkoszować się cudownym widokiem na Hudson River. W tej chwili otwarła już monumentalny portal główny i właśnie wyjmuje pocztę ze skrzynki na listy. Potem pójdzie do legendarnej windy, o której plotka głosi, że to pierwsza próba męstwa dla kandydatów ubiegających się o członkostwo. Koniecznie trzeba do niej wsiąść, jeśli chce się wyrobić sobie zdanie na temat tego, w jak oplakanym stanie może w ogóle być winda. Prawdziwe wyzwanie dla prawdziwych łowców przygód. Panna Jones podejmuje to wyzwanie każdego ranka.

Przed Stephenem leżał bloczek papieru i długopis, poza tym stos fotokopii przyniesionych przez Yehoshuę. Była też rozłożona mapa, ukazująca w dość szczegółowej podziałce Wzgórze Świątynne i Stare Miasto: złotym flamastrem wyrysowano na niej przebieg tunelu, jak postulował to przed wielu laty w swym naukowym opracowaniu ojciec Menezów, a czerwonym zaznaczyli przebieg tunelu, wykazany przez tomograf sonarowy. Od pewnego miejsca, mniej więcej pięćdziesiąt metrów na południe od muru świątyni, obie linie pokrywały się.

Wskazówki zegara dotarły do następnej kreski.

- Dziesięć przed dziesiątą - kontynuował Stephen swój opis. - Panna Jones otwiera drzwi do biura, odkłada pocztę do koszyka z korespondencją przychodzącą i włącza komputer. Następnie bierze wielką konewkę z odstaną wodą i idzie z nią przez wszystkie pokoje, podlewa kwiaty, a zwłaszcza wymagające szczególnej pieczy *egzotyczne* rośliny w pomieszczeniach klubowych. Wszystkie te okazy przywieźli członkowie towarzystwa ze swoich wypraw, niektóre są niezwykle cenne. Ale wśród rozlicznych talentów pielęgnacyjnych i opiekuńczych panny Jones jest i ten, że ma „zielony kciuk”. Nie zwiędła jej jeszcze żadna roślina.

Nie powiedział im nic o spotkaniu z Eisenhardtem. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego. Prawdopodobnie dlatego, że sam jeszcze dobrze nie wiedział, co o tym myśleć.

Patrzyli na żółtą i czerwoną linię. Wyrysowany na czerwono rzeczywisty przebieg tunelu skręcał dwa razy dość gwałtownie i potem przebiegał wzdłuż wewnętrznej strony muru w kierunku północnym. Narysowana na *żółto* trasa *nie* była niczym innym, jak przedłużeniem kierunku przyjmowanego przez szyb na początku i prowadziła prosto do cysterny pośrodku południowej połowy Świątynnego Wzgórza. Wskazówki zegara pełzały powoli, jakby grzęzły w gęstym syropie. Judith marszczyła czoło z dezaprobatą, że robi tyle ceregieli z powodu kilku minut, Stephen jednak doskonale wiedział, że jeśli zadzwoni choćby tylko na minutę przed dziesiątą - połączy się jedynie z automatyczną sekretarką.

W końcu była piąta. Z zewnątrz dał się dosłyszeć dźwięk gongu, gdzieś widocznie było włączone radio. Godzina dziesiąta na amerykańskim wschodnim wybrzeżu. Stephen wziął do ręki telefon komórkowy.

- Dziesiąta. Panna Jones siada właśnie przy biurku i wyłącza automatyczną sekretarkę. Zagląda teraz do dużego oprawnego w skórę terminarza i zaraz zabierze się za segregowanie poczty. - Wybrał ze spisu numerów w swoim telefonie numer *Explorer's Society* i przysłuchiwał się odgłosom łączenia.

Panna Jones podniosła słuchawkę po drugim dzwonku i sposób, w jaki się zgłosiła, był perfekcyjny jak zawsze:

- Dzień dobry, tu *Explorer's Society*, New York. Mówi Jessica Jones.

Stephen wymienił swoje nazwisko i natychmiast przypomniała sobie, że przebywa on właśnie w Izraelu. Spytała, co może dla niego zrobić.

- Panno Jones, chciałbym panią prosić, żeby rzuciła pani okiem do kartoteki - wyjaśnił Stephen.

Kartoteka była oczywiście ogromną komputerową bazą danych. - Potrzebny mi ktoś, kto zna się na nurkowaniu w jaskiniach.

Ryan odesłał Eliasza i Willarda. Zakończyli rewizję, nie znajdując jednak już nic interesującego. Teraz siedział samotnie w samochodzie naprzeciw bloku, pamiętnik położył obok siebie, w dłoni trzymał notatki zrobione na podstawie tłumaczenia Eliasza.

Zatem przez cały czas nie mylił się w podejrzeniach. Stephen Foxx i jego dziewczyna już w piątek wieczór zaczęli odszyfrowywać list. Pierwszego wieczoru udało im się akurat zobaczyć pierwszy fragment zdania, gdy lampa ultrafioletowa w laboratorium wyzionęła ducha. Następnego dnia, ^w sobotę przed południem, Yehoshuah kupił w prowadzonym przez chrześcijan - dlatego wolnym od obowiązku zaniknięcia w szabat - sklepie elektrycznym nową świetlówkę ¹ na własną rękę pracował dalej. Dokończył to zdanie i potem zaczął próby z drugą kartką, początkowo jednak nieudane: w przeciwieństwie do pierwszego arkusza, tutaj pismo nie przyjmowało fluorescencyjnego roztworu. Wpadł na pomysł wcześniejszej obróbki papieru chemikaliami rozpuszczającymi polietylen, który ewentualnie mógł dyfundować z plastikowego woreczka i w ten sposób udało mu się uwidocznić tekst, przynajmniej w kilku miejscach. Już pierwszy fragment, który zdołał odczytać, zdradzał miejsce ukrycia kamery.

Ryan patrzył na chłodną, bezosobową czynszówkę naprzeciw. Niskie popołudniowe słońce odbijało się w jej oknach. Czy Eliasz powiedział prawdę? Podczas tłumaczenia Izraelczyk kilkakrotnie zerkał na niego pytająco, jakby oczekiwał, że Ryan mu wyjaśni, o co tu właściwie chodzi i dlaczego ten wpis do pamiętnika jest tak istotny. Ryan oczywiście zignorował te spojrzenia. Niech sobie myśli, co chce.

Jeśli Eliasz prawidłowo przetłumaczył tekst, Yehoshuah nie wymienił w pamiętniku położenia schowka. Opisywał wyczerpująco jaki jest przerażony, jakich rozterek przysporzyła mu decyzja, czy może dopuścić, by dowiedział się o tym Stephen Foxx. Jedyną, jednak więcej niż wyraźną wskazówką był fragment, w którym napisał: *Stephen dostaje zawsze wszystko, co zechce. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby kazał rozkuć Ścianę Płaczu.*

Nazwisko nurka jaskiniowego brzmiało John D. Harding, urodzony na Hawajach Amerykanin po czterdziestce. Był poszukiwanym na całym świecie nurkiem - specjalistą od wraków i jaskiń, nauczycielem i ekspertem z zakresu trudnych podwodnych robót. Stephen przypominał sobie mgliście, że spotkał go kiedyś w Nowym Jorku, lecz było to na jakiejś większej imprezie i zapamiętał tylko niedźwiedzioatego, wielkiego mężczyznę z brodą wikinga w kolorze popielato-blond i z najpotężniejszymi dłońmi, jakie kiedykolwiek widział. Harding był aktualnie w Meksyku i Stephen zastał go przy śniadaniu. W tle słychać było szmer głosów, najwidoczniej siedziała tam razem spora grupa rozbawionych ludzi, przebijał przez nie dźwięk, który mógł być tylko odgłosem fal rozbijających się o nabrzeże. Stephen tak zwięźle, jak potrafił, naszkicował mu swoje plany.

- Zatopiony korytarz, hm? - mruknął nurek. - Jaka szerokość?

- Około jednego metra.

- Nie wiesz, czy nie jest gdzieś zawalony albo czy się nie zwęży?

- Nie, nie wiem.

Harding mlasnął, zabrzmiało to tak, jakby wyssał resztki jedzenia spomiędzy zębów.

- Nurkowałeś już kiedyś? To znaczy, z automatem?

- Tak - odparł Stephen. - Raz, w Great Barrier Reef. Na kursie nurkowania.

- Hm. Więc dobrze, uważaj. Krytycznymi punktami, jeżeli gdzieś wchodzisz, są przewód automatu oddechowego i wężyk manometru. Najlepiej, jeśli to możliwe, gdybyś wziął aparat kompaktowy z odwróconymi butlami i zaworami na dole. Dokładnie zamocuj wszystkie przewody do szelek. Musisz mieć maskę na całą twarz; nie daj sobie zrobić zwykłej. Ja używam zawsze „Divatora”, ale inne też są *okay*.

Stephen pilnie notował. Równocześnie nie mógł pozbyć się poczucia nierzeczywistości. Czy naprawdę zejdzie jutro do tego szybu, żeby przemaszerować pół mili wypełnionym wodą korytarzem pod Starym Miastem?

- Przemienne oddychanie oczywiście również jest niemożliwe, nie przyda ci się też fajka. Ale dostatecznie długa lina - lepiej trochę dłuższa - sześciomilimetrowa z opłotem, w jaskrawym kolorze, jeszcze lepiej pleciona dziesięcimilimetrowa, jakich używają wspinacze.

- Przy pięciuset metrach będę potrzebował porządnego bębna, prawda?

- Tak, jasne. Przede wszystkim potrzebny ci ktoś na zewnątrz, kto będzie trzymał linę cały czas lekko naprężoną, żeby mógł poczuć twoje sygnały. *Okay*, co jeszcze? - Harding zastanowił się. - Detektor. Czy ten obiekt, którego szukasz, jest metalowy?

- Tak - kamera, nawet, jeśli ma plastikową obudowę, na pewno zawiera metalowe elementy.

Przyszło mu do głowy, że będzie potrzebował pojemnika,

by

przenieść bez uszkodzeń kamerę przez zatopioną część korytarza. Zanotował wskazówki Hardinga i

dopisał pod nimi:

worek plastikowy, wodoszczelny.

- Są dwa rodzaje detektorów, albo detektory typu VLF-TR, albo detektory impulsowe. VLF to skrót od *very low frequency*, a TR od *transmitting and receiving*, rzecz zaś polega na tym, że pole o niskiej częstotliwości jest zakłócanie, jeśli *znajdzie* się w nim przedmiot z metalu. Te zakłócenia można *zmierzyć*, ot cały dowcip. Ważne jest tutaj przede wszystkim wzajemne ustawienie cewek. Idealna cewka ma kształt dwóch D umieszczonych przeciwobnie, wiesz, jak symbol Dolby w magnetofonie. Detektory impulsowe działają według innej zasady; wytwarzają i wysyłają krótkie impulsy prądu stałego, które na moment indukują silne pole magnetyczne, przez co w szukanym obiekcie wzbudza się prąd wirowy płynący dłużej niż trwa impuls aparatu i dzięki temu można go zmierzyć. Detektory impulsowe mają niesamowitą głębokość penetracji, do czterech metrów, jeśli obiekt jest dostatecznie duży, lecz w przeciwieństwie do VLF-TR nie są w stanie rozróżnić wykrytych metali.

- Obiekt, którego szukam, jest raczej mały. Może sto gram masy metalu, najwyżej. Co byś mi doradził? Harding znów się zaśmiał.

- Pewnie nie będziesz mógł wybierać, raczej powinieneś się cieszyć, jeśli w ogóle w wypożyczalni uda ci się zdobyć taki sprzęt. We wszystkich państwach wokół Morza Śródziemnego są bardzo przeczuleni na punkcie cudzoziemców, którzy chcą u nich nurkować w poszukiwaniu skarbów. Ale gdybyś miał wybór, *to weź* aparat, który można przełączać z *motion* na *slow motion*.

-Zanotowałem. Jednak kompletnie nie wiem, co to znaczy.

- *Slow motion* oznacza, że aparat może pokazywać metal tylko wówczas, gdy trzymasz go nieruchomo. *Motion* odwrotnie, pokaże metal tylko wówczas, gdy poruszasz detektorem w przód i w tył. *Motion* jest lepsza do przeszukiwania dużych obszarów, później jednak chciałoby się mieć *slow motion*. Często używałem „Silver Turtle”, jest dość rozpowszechniony. Ma tę miłą *zaletę*, że można go używać jako hipmount.

- Co to na Boga jest hipmount?

- To coś, co można sobie przypasać. Taka gruba plastikowa obudowa, którą nosisz przy pasie.

Okay, zrozumiałem. Co jeszcze? Na mojej własnej liście zapisałem: lampy, zapasowe baterie, kompas, skafander z neoprenu, ...

- Tak, najcieplejszy, jaki uda ci się dostać.

- Czy potrzebne mi płetwy?

- Ja bym wziął, ale zamocował do pasa. Ale najpierw wypróbuj, czy radzisz sobie w pasie balastowym i w twardych podwodnych butach.

- Chodzi ci o to, że mam się po prostu przespacerować.

- No cóż... nie lekceważ tego. Nie chciałbym znaleźć twojego nazwiska na czarnej ścianie - na czarnej ścianie wieszano w klubie plakietki z nazwiskami członków, którzy stracili życie podczas ekspedycji.

- A kto idzie z tobą?

- Najbardziej bym chciał, żebyś ty tu szybko przyleciał

- wyznał Stephen.

Harding zaśmiał się cicho.

- Nie, to niemożliwe. Mam zajęte wszystkie terminy aż do przyszłego roku. Nie chciałbym cię teraz wpędzać w panikę -jeśli rzeczywiście chodzi o korytarz wykuty w skale ludzką ręką, ryzyko jest niewielkie. Gdybyś mi powiedział, że chcesz jako początkujący od razu schodzić do wraku, to opowiedziałbym ci kilka takich historii, że aż byś się porzygał.

Stephen spojrzał na Yehoshuę, potem na Judith. Oboje śledzili jego rozmowę z coraz mniejszym zainteresowaniem, gdyż niewiele z niej do nich docierało. Czy ktoś z tej dwójki już kiedyś nurkował?

- Ale zaczekaj - Hardingowi coś się przypomniało. Stephen usłyszał w tle jakieś szuranie i potem odgłos rozmowy. Przez chwilę słychać było tylko morze, potem Harding odezwał się znowu. - Przyniosłem właśnie mój notatnik, chwilkę... Mogę dać ci numery trzech nurków mieszkających w Izraelu, dobrze ich znam. Porządni ludzie. Jeden mieszka w Hajfie, a dwaj pozostali w Ejlat. Masz coś do pisania?

- Tak - Stephen zanotował numery telefonów. Jeden był nauczycielem nurkowania w Ejlat, drugi prowadził nawet wypożyczalnię sprzętu do nurkowania. Ejlat leżało w najdalej na południe wysuniętym punkcie Izraela, jedyne izraelskie miasto nad Morzem Czerwonym, wielu turystów chciało tam nurkować.

- Tak, muszę powoli kończyć - pożegnał się Harding - Mam nadzieję, że trochę ci pomogłem. Jeśli będziesz chciał jeszcze czegoś się dowiedzieć, możesz w każdej chwili *z_a_* dzwonić; rano o tej porze zawsze jestem pod telefonem, potem znów dopiero wieczorem, od około siódmej czasu miejscowego - nie mam pojęcia, która to będzie u ciebie...

- Raczej późno.

- Okay - jak mówiłem - w każdej chwili. 1 powodzenia.

Eisenhardt znów siedział z dwoma kierownikami wykopalisk i kanadyjskim historykiem w pokoju

konferencyjnym. Zauważył, że te niekończące się debaty zaczynają mu działać na nerwy. Nie brał zresztą udziału w dyskusji, nawet dobrze nie wiedział, o co tym razem chodzi, tylko zastanawiał się, co ma sądzić o dzisiejszej rozmowie ze Stephenem Foxxem w Amerykańskiej Bibliotece. Co właściwie ustalili? I czy Foxx rzeczywiście coś wie, czy tylko udaje, że wie?

W pewnej chwili, jak już wiele razy przedtem, drzwi otworzyły się i wszedł John Kaun, jak zwykle ubrany tak, jakby znajdowali się w sali konferencyjnej na Manhattanie, nie zaś w obozie archeologów pośrodku pustkowia i naturalnie holował za sobą nieodłącznego Ryana, który z kolei wyglądał na zmienionego w człowieka rekina. Kaun trzymał w dłoni kilka zabazgranych po brzegi kartek z notatnika, podszedł do nich do stołu i po kolei spojrział każdemu w oczy. Teraz i Eisenhardt zaczął uważać. Powietrze nagle zabulgotało banieczkami jak woda sodowa. Kaun wprost promieniował powściąganą z trudem energią, oczy skrzyły mu się pewnością zwycięstwa. Coś musiało się stać.

Nie mógł dodzwonić się do żadnego z trzech nurków. Stephen patrzył na mały aparat telefoniczny w swojej dłoni, jakby to on był temu winny.

- Chodź - powiedział Yehoshuah. - Chodźmy coś zjeść, a potem spróbujesz jeszcze raz.

Stephen spojrział na niego i poczuł się nagle niewymownie zmęczony. Chciał po prostu dalej siedzieć na łóżku i przez resztę życia w ogóle nie musieć się poruszać.

- Idźcie już - oznajmił niewyraźnie. - Nie jestem głodny, muszę jeszcze wykonać kilka telefonów do mojego banku. To raczej nie będzie tanie, ten spacer przez zalane wodą podziemia stolicy pośrodku pustyni.

Judith nie chciała iść bez niego. Jeśli chodzi o nią, mogą jeszcze chwilę poczekać i pójść potem razem. Jednak Yehoshuah dąsał się, że on naprawdę jest dość głodny.

- Idźcie spokojnie - nalegał Stephen. - Tak myślę, że muszę chwilę pobyć sam i trochę się zastanowić. I tak w końcu dwójka rodzeństwa poszła, Judith niechętnie i z ociąganiem.

- Na wypadek, gdybyś jednak się namyślił - powiedział Yehoshuah - jesteśmy w tym małym lokalu naprzeciwko, okay?

- Smacznego.

Po chwili drzwi pokoju były znów zamknięte, kroki w korytarzu wybrzmiały, a Stephen wciąż siedział na okropnej narzucie w liliowo-zielony rzucik, wpatrywał się w rozłożone wokół papiery i miał uczucie, że staje się coraz cięższy. Poczuł w sobie impuls, by jednym gestem zmieść z łóżka te wszystkie mapy i kopie i notatniki, by nie musieć już na nie patrzeć, lecz i ten impuls zatonął w ogólnym bezwładzie, który opadał na niego niczym zmierzch na miasto.

Bank. Ta myśl spłoszyła go. Musi zdobyć pieniądze, nie tylko na sprzęt do nurkowania, ale choćby dlatego, żeby całkiem banalnie móc opłacić rachunek hotelowy i jedzenie w restauracji. Wziął znów do ręki komórkę i przeglądał zapamiętane numery telefonów, aż trafił na numer Hugh'a Cunnighama.

Hugh był przydzielonym mu przez bank doradcą, krępy ojciec rodziny z uderzająco wieloma czerwonymi żyłkami na twarzy, chętnie chadzał na bowling i miał bzika na punkcie swych dwóch córek. Dawno już upodobał sobie Stephena Foxxa i jego nietypowe u tak młodego człowieka interesy, nieraz wspólnie wymyślali karkołomne konstrukcje operacji finansowych, zlokalizowane o włos od granicy bankowych przepisów, czasem nawet o włos za tą granicą. Do tej pory zawsze wszystko kończyło się dobrze. Hugh wiedział, że może polegać na Stephenie Foxxie i odwrotnie, Stephen mógł polegać na Hughu. Jeśli uda mu się do niego dodzwonić, niewątpliwie mu pomoże, to pewne. Jeżeli jednak ma pecha, to Hugh wyjechał akurat na czterotygodniowy urlop z rodziną.

Sygnal oczekiwania przeciągał się podejrzenie długo. Stephen westchnął. Proszę, tylko nie urlop. Nie możesz mi tego zrobić.

W końcu ktoś odebrał. Głos kobiety, wydawała się onieśmielona, wymienił nazwę banku. Stephen przedstawił się i spytał o Hugh'a Cunnighama. Może po prostu akurat jest w toalecie.

- Och, panie Foxx - poznała go kobieta, teraz i on rozpoznał jej głos: to była Garrity, stara panna, koleżanka Hugh'a, której wierność zasadom zawsze musieli omijać, klucząc niczym statek wśród raf. Po jej głosie można było się zorientować, że nie ma dziś swego najlepszego dnia.

- Obawiam się, że nie będzie pan mógł dziś porozmawiać z Hughiem...

Jeszcze i to.

- Dziś nie? - drażył temat Stephen. - Co to znaczy? Kiedy on wraca?

- Ach - powiedziała, i potem jeszcze raz: - Ach.

- Panno Garrity, to naprawdę niezwykle ważne, bym mógł pomówić z Hughiem. Może mi pani...

- Stephen - westchnęła i to zelektryzowało Stephena, gdyż nigdy jeszcze nie zwróciła się do niego po imieniu - właściwie nie wolno mi tego opowiadać, ale ponieważ pan i Hugh są tak blisko razem., więc, obawiam się, że pan mógłby... Hugh miał dziś rano wypadek.

- Wypadek? - powtórzył osłupiały Stephen.

- Tak - przełknęła. - Właśnie się dowiedzieliśmy. On na miejscu... Te biedne dzieci! Nie mogę przestać myśleć o jego dzieciach.

Stephen wpatrywał się we wzór na tapecie, zielony i fioletowy i żółty i biały, wzór zdawał się zmieniać, jakby ukazywała się na nim twarz, a potem mapa, a potem znów twarz.

- Hugh nie żyje?

- Cysterna z benzyną, niech pan sobie wyobrazi! Jakie to okropne. Wszyscy jesteśmy zupełnie wytrąceni z równowagi. Jedzie do pracy jak każdego ranka i nagle... Nawet nie wiem, czy poinformowano już jego żonę, czy to nie okropne?

Mówiła coś dalej, lecz jej słowa rozplywały się w toni wznoszących się i opadających fal bezsensownej paplaniny. Hugh Cunnigham nie żyje? Dziś rano - to znaczy, przed chwilą, dopiero co? Stephen poczuł, że robi mu się niedobrze. Bez Hugh'a nie doszedłby do skutku jego pierwszy wielki interes. Hugh Cunnigham wspólnie z nim napisał raport bankowy, w którym, nie mówiąc nieprawdy, przedstawił jego niewielkie przedsiębiorstwo w możliwie najkorzystniejszym świetle co zachęciło zleceniodawcę do podjęcia ryzyka.

A teraz przejechany przez cysternę. Tak po prostu. Stephen słyszał swój głos, jak odpowiada głosowi w słuchawce, zdołał jakoś podziękować pannie Garrity i pożegnać się z nią, po czym natychmiast upuścił komórkę na narzutę, jakby w momencie zakończenia rozmowy zaczęła ważyć tonę.

To, co zawsze o sobie myślał, zwyczajnie nie jest prawdą. Że osiągnął tak wiele, bo jest taki niesamowicie *clever* i ambitny, i że zrobił to zupełnie sam. Jasne, miał szczęście, mnóstwo szczęścia, bez szczęścia nikt nie zdoła niczego dokonać, ale również bez pomocy i wsparcia innych ludzi, a żeby spotkać tych właściwych, na to trzeba znowu szczęścia. Hugh Cunnigham był kimś takim, a to, że na niego trafił, zawdzięczał tylko i wyłącznie faktowi, że jego nazwisko zaczyna się na F. Gdyby miał nazwisko rozpoczynające się od innej litery, która stoi w alfabecie po K, wtedy zajmowałaby się nim panna Garrity, a wówczas wszystkimi swoimi niestandardowymi życzeniami trafiałby na twardy granit.

Przed jego oczami przewijała się cała galeria obrazów. Bob Daniels, szef centrum komputerowego w Madison, który pozwolił mu korzystać nocą z systemu, by mógł konsolidować programy z Indii i nagrywać je na taśmy, które potem szybko zanosił klientom, żeby wydawało się, iż stoi za nim duży, profesjonalny zespół programistów. Indyjscy partnerzy, znani mu jedynie ze zdjęć. Po pierwsze Amal Rangarajan, pisał funkcje jądra systemu i niejednokrotnie zwrócił niu uwagę na błąd koncepcyjny, który mógł go kosztować fiasko całego projektu. Jamail Singh, w ekspresowo rekordowym czasie napisał moduł kalkulacyjny, gdy raptem okazał się dodatkowo potrzebny, jeszcze przy tym sobie dowcipkując. Tak wielu ludziom powinien być wdzięczny.

Najstarsza córka Hugh'a, Beth, miała czternaście lat, gdy Stephen został zaproszony do Cunnighamów na kolację. Podano zupeł z nasturcji i pieczeń z marynowanej jagnięciny z kluskami ziemniaczanymi i zapiekаныmi jarzynami, a Beth przez cały czas gapiła się na niego zafascynowana, gdyż on, jak mu później opowiedział Hugh, był dokładnie w tym samym wieku co Grant, chłopak ze starszej klasy, za którym akurat szalała, ale Stephen miał na sobie prawdziwy garnitur i krawat i wyglądał tak dojrzałe i dorosłe. Krótka potem przestała szaleć za Grantem, co Hugh również mu opowiedział z widoczną ulgą - ulgą, która stała się zrozumiała, gdy chłopak kilka lat później został na uczelni zatrzymany z powodu handlu narkotykami.

Coś w nim wzbraniało się uwierzyć w to, że Hugh Cunnigham może być martwy. Kto teraz będzie jego doradcą? Pewnie panna Garrity. Ona oczywiście również podwyższyłaby limit jego karty kredytowej, ale dopiero po tym, jak umieściłby wszystkie wymagane podpisy na wszystkich wymaganych formularzach i oczywiście nie wcześniej, niż od następnego miesiąca. W żadnym wypadku na podstawie rozmowy telefonicznej i od zaraz. Zatem musiałby kazać przysłać sobie pieniądze przekazem, a to trwałoby raczej długo, gdyż banki wciąż jeszcze zachowują się tak, jakby przesłanie pieniędzy w inne miejsce planety było niesamowitym wyczynem. Gdy sprawa dotyczy ich maklerów albo brokerów dewizowych, o, wtedy są w stanie w ułamku sekundy dokonać transferu milionowych kwot, gdy jednak idzie o interesy finansowe klientów, wtedy można odnieść wrażenie, że do przekazania gotówki nadal używa się konnych posłańców. Mógł spróbować dotrzeć do pieniędzy poprzez swoją American Express, lecz to starczyłoby akurat na koszty utrzymania się przy życiu. Sprzęt do nurkowania jest drogi, nie ma się co łudzić.

Tak blisko celu i oto wiatr dmie mu prosto w twarz. Próbował plastycznie zobaczyć w wyobraźni, jak ubiera kombinezon nurka, poczuć, jak neopren miękko i ciasno układa się do ciała, odczuć ciężar pojemników z tlenem, ucisk maski na twarzy, nagłe uderzenie chłodu przy wejściu pod wodę, przywoływał z pamięci metaliczny smak powietrza z automatu oddechowego. To zawsze pomagało, gdy miał trudności z osiągnięciem celu: wyobrazić sobie plastycznie, że już go osiągnął. Zatem wędrował w duchu wąskim szybem, niewiele szerszym niż jego rozłożone ramiona i długim na pół mili, oświetlanym jedynie światłem umieszczonego na piersi reflektora, lecz obraz rozplywał się przed jego wewnętrznym okiem, a wrażenia dotykowe nie chciały nadejść, umykały tym szybciej, im bardziej się wysilał.

Musi zwalczyć tę lekką panikę, która go ogarnia. Tłumaczył sobie, że prawdopodobnie jest po prostu wytrącony z równowagi nagłą śmiercią Hugh'a. Strach się nie liczy. Wszystko, co musi zrobić, to

odprężyć się i pozwolić rzeczom pójść swoim trybem, potem znów będzie dobrze. Znajdzie się jakiś sposób. Zawsze znajdował się jakiś sposób. W każdym razie do tej pory zawsze tak było.

W którymś momencie jego myśli przestały bezustannie wirować, tak po prostu. Zatrzymały się. Siedział już tylko, nic nie widząc, a czas mijał. Słyszał miasto - przejeżdżające niedaleko samochody, ludzi rozmawiających owymi łamiącymi język idiomami tego kraju, gdzieś dalej radio tranzystorowe, z którego dobiegały tęskne arabskie melodie. Woda bulgotała głośno w rurach w ścianie. Łóżka skrzypiały. Cuchnęło spalinami, pieczoną baraniną i śmieciami, gnijącymi w przepelnionych kubłach. A na ścianie tykał zegar.

To dziwne. Było tak, jakby w ciągu ostatnich dni przedzierał się przez burze i cyklony huraganu i nagle dotarł do bezwietrznego oka w samym środku. Wszystko w nim było ciche i spokojne, wszelkie podniecenie ustąpiło. Nie potrafiłby nawet powiedzieć, która godzina albo jak długo siedzi już na łóżku, ani nawet, czy w ogóle czas jeszcze płynie.

W owej ciszy dosłyszał nagle w swoim wnętrzu głos, który, choć cichutki jak myszka, był w nim obecny od zawsze, nie zdołał jednak wcześniej przebić się przez cały ten pośpieszny huk i zgiełk. Głos, który po prostu zadał mu pytanie, które należało zadać już dawno.

Kroki na korytarzu. Otworzyły się drzwi pokoju obok. Potem wszedł Yehoshuah, sam. Czuć było od niego dymem Papierosów i kuchennymi oparami, emanował dobrym nastrojem.

- Człowieku, czego tu siedzisz po ciemku? - zawołał i włączył światło. - No, przegapiłeś niezłą zabawę - opowiadał natarczywie, spuszczać okiennice. - Jedzenie było nie tylko dobre, ale i obfite, poza tym gospodarz postawił wszystkim kolejkę i wtedy dwóch takich zaczęło grać, jeden na pianinie, drugi na kontrabasie, ależ ostry jazz!

Stephen spoglądał na niego jakby z innego świata.

- Yehoshuah - powiedział powoli i z namysłem - co to była za sekta, która wykopała ten szyb? A przede wszystkim, *dłaczego?*

31

Herod kazał powiększyć teren Świątynnego Wzgórza murami wspierającymi, tworząc w ten sposób rozległą terasę. Na nim wybudowano Św., przy czym dziedzińce leżały terasowo jeden nad drugim. Dookoła Wzgórza Świątynnego biegly wspaniałe marmurowe portyki, zaś dwa mosty po stronie zachodniej łączyły św. z miastem. Przed właściwą św. znajdował się wewnętrzny dziedziniec, „Dziedziniec Izraela”, z ołtarzem o wymiarach 32 x 32 łokcie, basenem do rytualnych obmywań i ubojnią zwierząt ofiarnych. Od zachodu przylegał Dziedziniec Kobiet; cztery pomieszczenia naroż. ne służyły odpowiednio Nazirejczykom, chorym na trąd oraz do przechowywania drewna i oliwy.

Avraham Stern,
Leksykon archeologii biblijnej

Stos fotokopii naukowych prac ich ojca leżał między nimi na ceratowym obrusie, mającym chronić chybliwy stolik przed rozlaną kawą. Judith patrzyła na te papiery takim wzrokiem, jakby chodziło o najbardziej obsceniczne fotografie, jakie kiedykolwiek miała przed oczami.

- Jak chcecie, to idźcie - stwierdziła opryskliwie. - Nie zależy mi.

Ostatecznie na tym się skończy, pomyślał Stephen. Przejrzeli jeszcze raz wszystkie materiały - to znaczy, przejrzał je Yehoshuah, gdyż wszystkie bez wyjątku były po hebrajsku - ale nie wynikało z nich, kto wykopał tunel pod Świątynnym Wzgórzem, ani do czego on pierwotnie służył. Yehoshuah, choć natknął się na wiele pojęć, których zupełnie nie rozumiał, sądził jednak, że jego ojciec w swej rozprawie w ogóle nie porusza tego tematu. I mimo że szyb przez długie lata był głównym tematem rozmów w rodzinie Menezów ani Judith, ani jej brat nie przypominali sobie, czy ich ojciec kiedykolwiek wymienił nazwę jego twórców. Inaczej mówiąc: muszą iść i spytać.

- Nie rozumiem, czemu to miałoby być takie ważne

- mówiła dalej, krzywiąc się Judith. - To znaczy, korytarz istnieje; wiemy, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy, przypadkiem kończy się akurat tam, gdzie chce dotrzeć Stephen. To dlaczego po prostu z niego nie skorzystamy, a potem zawsze zdążymy się jeszcze dowiedzieć, komu mamy podziękować?

- To tylko krótki spacer - sprzeciwił się Stephen.

- Dwie godziny i będziemy z powrotem. Problemy z pieniędzmi bardziej nas opóźnią.

- To nie jest odpowiedź.

- Okay. Odpowiedź brzmi: Mam przeczucie, że to jest ważne.

- Masz przeczucie - powtórzyła drwiąco Judith. - No, co jak co, ale przeczucie to naprawdę poważny powód.

Stephen zrobił nieprzeniknioną minę i postanowił, że nie będzie się przejmował jej kpinami. Jeżeli ona go nie lubi, to już jej problem.

- Tak - odpowiedział jakby od niechcenia - tak to już jest. Bardziej czy mniej, we wszystkim co robią ludzie, chodzi o uczucia.

- Z tobą przecież jest tak samo - zarzucił Yehoshuah siostrze. - Tak naprawdę dlatego uważasz, że to niepotrzebne, bo nie możesz zaakceptować stylu życia ojca.

Judith odstawiła filiżankę z kawą tak gwałtownie, że ciemnobrązowa ciecz chlusnęła szerokim strumieniem i rozlała się po brudnej ceracie. Stephen szybko chwycił papiery i przełożył je na czwarte, nieużywane krzesło.

- Tak - oświadczyła gniewnie Judith. - Właśnie tak. Nie akceptuję go, tego jego stylu życia. Nie akceptuję, że mężczyzna po trzydziestu latach małżeństwa po prostu zostawia żonę i jeszcze nazywa to pobożnością. Nigdy tego nie zaakceptuję.

- Może zbytnio to upraszczasz - odparł Yehoshuah.

- Może było coś, co od dawna popsulo się w małżeństwie naszych rodziców, i może ze względu na nas czekał z podjęciem kroku, który należało zrobić o wiele wcześniej. Przypomnij sobie tylko te czasy, gdy miałaś siedem czy osiem lat, jak często oni wtedy...

- To dlaczego nie zgadza się na rozwód? Jeśli już ją porzucił, to mógłby jej przynajmniej dać szansę rozpocząć nowe życie. W końcu sam też to zrobił.

- Tradycja zabrania...

- Ach, tradycja! Naturalnie, znowu ona, tradycja! Święta tradycja. W tym jesteście tacy sami, ty i ojciec. Wy nie modlicie się do Boga, wy ubóstwiacie tradycję. Chcę ci coś powiedzieć: mam jej potąd, tej twojej tradycji, która nie oznacza nic więcej ponad to, że robicie z siebie niewolników, niewolników ludzi martwych od tysięcy lat!

- To właśnie tradycja pomogła przetrwać naszemu narodowi przez tysiące lat.

- Och, czyżby? Padam na kolana. A jaką za to płacimy cenę, ty i ja, i każdy w tym kraju? Cięży na nas niczym kłątwa, ta czcigodna tradycja, zmusza nas do wiecznego wspomnienia, wspomnienia, tyle tego wspomnienia, że zapominamy przy tym o własnym życiu. Czy tak nie jest? Ile czasu minęło od

wypędzenia? Trzy tysiące lat? Całkiem sprytni oni wtedy byli, ci nasi praprzodkowie, którzy przez czterdzieści lat błakali się po pustyni w poszukiwaniu ziemi obiecanej. Radzili sobie, budowali namioty z palmowych liści i jak było trzeba, zjadali niekwaszony chleb, i wtedy to wszystko było prawdopodobnie słusznym rozwiązaniem zaistniałych problemów. Ale od tamtej pory? Od tamtej pory musimy w Sukot budować szałas, a w Pesach jeść niekwaszony chleb, ciągle to samo, po trzech tysiącach lat, rok w rok, i tak wciąż aż po kres naszych dni. Dlaczego musimy stale współczuć ludziom, których kości dawno rozsypały się w proch? Czy nasze dzisiejsze życie jest mniej warte? W moim pierwszym samochodzie miałam zepsuty zamek w klapie bagażnika i mocowałam go przez cały czas gumową tasiemką. Ale to przecież nie znaczy, że od tej chwili aż po wieczność każdy będzie musiał przywiązywać w swoim pierwszym wozie klapę bagażnika gumką! A dokładnie to robi z nami nasza święta tradycja! - U zarania dziejów ktoś coś tam zrobił, mając całkowitą wolność wyboru - ale robiąc to, uczynił niewolników z wszystkich, co przyszli po nim.

Yehoshuah rozglądał się nieswojo, wyraźnie skrępowany. W pokoju śniadaniowym nie było zbyt tłoczno, stoły obok nich nie były zajęte, lecz sama głośność ich rozmowy wzbudzała powszechną uwagę. Nerwowo poruszała na. boki szczęką.

- Dlaczego musisz zawsze tak okropnie przesadzać? Nie masz żadnych granic, żadnego... wewnętrznego poczucia, jak daleko można się posunąć?

Judith opadła na oparcie krzesła z kapitulującym westchnieniem i z opuszczoną głową wbiła wzrok w stół, jakby w wyblakłym wzorze ceraty kryły się odpowiedzi na wszystkie pytania.

- No, idźcie już. I pozwólcie, że ja zostanę tutaj i będę rozpamiętywać moje własne problemy.

- Tak, właśnie tak zrobimy - Yehoshuah był wściekły, gdy wstawał. Stephen też się podniósł, czuł się niezręcznie, że wywołał taką kłótnię.

- Stephen? - spytała Judith i rzuciła na niego z dołu spojrzenie, w którym wyczuwał niemal coś na kształt radości z cudzego nieszczęścia. - Czy nie chciałeś zawsze dowiedzieć się, jak to jest podróżować w czasie? No, to teraz uważaj.

- W nazewnictwie oficjalnym - objaśnił Shimon Bar-Lev - nie używa się już określenia Ściana Płaczu, gdyż czas płaczu minął. To Mur Zachodni.

- Dobrze, może być Mur Zachodni. - John Kaun wzruszył ramionami. - To nie zmienia istoty problemu.

- Czy w ogóle jest jakiś problem? - nie pozwolił sobie przerwać Bar-Lev. - Nieustannie fabrykuje pan tutaj coraz bardziej nedorzeczne hipotezy i za każdym razem na koniec dochodzi pan do wniosku, że musi splugawić jakąś żydowską świętość. Moim zdaniem wnioski, jakie wyciągnął pan z wpisu do pamiętnika są, łagodnie mówiąc, nieuzasadnione.

- Szanowny kolego - dał się słyszeć grzmiący bas profesora Goutiere - pozwoli pan, że się sprzeciwię. Uważam, że użycie Muru Zachodniego jako schowka jest nie tylko możliwe, lecz nawet tak prawdopodobne, iż powinniśmy się wstydzić że nie wpadliśmy już dawno na to sami. Szczególnie teraz, odkąd wiemy, że to nie żadna zaplanowana akcja, lecz cudowne zrządzenie losu przeniosło w przeszłość nieznanego podróżnika w czasie. Proszę, niech pan tylko spróbuje sobie wyobrazić jego sytuację. Ma wciąż swą kamerę wideo i przystępuje do filmowania Jezusa. Oczywiście, zastanawia się, jak mógłby zachować owo nagranie dla potomnych. Wiemy, że odbył wycieczkę objazdową po rozmaitych historycznych miejscach Izraela. Czy nie można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że przed zwiedzaniem takiej raczej drugorzędnej atrakcji turystycznej, jaką jest Bet She'arim, wcześniej był w Jerozolimie? Jeśli tak, to z pewnością tam także filmował - inaczej mówiąc, na monitorze swojej kamery mógł dokładnie obejrzeć, jak po dwóch tysiącach lat będzie wyglądał Mur Zachodni, można powiedzieć, że mógł wyszukać sobie odpowiedni kamień.

- A potem? - oponował Bar-Lev. - Jak ukrył kamerę w kamiennym bloku?

- Wmieszał się między budowniczych.

- Mógł to zrobić najwcześniej po ukrzyżowaniu Jezusa, a więc w roku 30. Wtedy budowa od dawna już była zakończona. Sama Świątynia i jej fundamenty były gotowe już gdy umierał król Herod, czyli w roku 4 przed naszą erą.

- Yosef ben Mattityahu podaje, że prace budowlane trwały aż do okresu tuż przed wybuchem powstania przeciw Rzymianom w roku 66. Musimy zatem przyjąć, że przez cały ten czas dobudowywano coś i dokonywano przeróbek.

- Wtedy jednak ciągle jeszcze stałby przed problemem, jak ma dostać się do masywnego kamiennego bloku, który wówczas przecież znajdował się na wysokości dwudziestu metrów. - Zastępca kierownika wykopalisk potoczył wzrokiem po zebranych, najdłużej zatrzymując spojrzenie na Kaunie. - Prawda? Dostępny dziś fragment Muru Zachodniego to jego górna część, około dwudziestu metrów jest jeszcze zagrzebanych w ziemi.

- To przemawiałoby za tym, że ukrył kamerę w jednym z najwyższych bloków - chłodno wywnioskował Kaun. - Do nich był dostęp od góry.

Bar-Lev uniósł głowę.

- I co? Co zamierza pan zrobić? Mur Zachodni to świętość, do tego pilnie strzeżona. Nawet, gdyby pan dokładnie wiedział, w którym kamieniu jest kamera, nie może jej pan stamtąd zabrać.

- O co jej chodziło? - spytał Stephen, prowadząc samochód według wskazówek Yehoshui.

- Mój ojciec mieszka w Mea Shearim - wyjaśnił Yehoshuah nieswoim głosem. - To dzielnica ultraortodoksyjnych Żydów.

Jechali jedną z wylotowych arterii w kierunku północno-zachodnim, wreszcie Yehoshuah kazał mu rozejrzeć się za miejscem do parkowania. Potem poszli kawałek wzdłuż głównej ulicy i w końcu skręcili w wąską boczną uliczkę.

Stephen nie wierzył własnym oczom. Gdyby nie wiedział, że są w Jerozolimie, w samym środku żydowskiego miasta, sądziłby, że trafili do getta, w którym totalitarne państwo w nieludzkich warunkach więzi znienawidzoną mniejszość. Szli po klaustrofobicznie wąskich, bałamutnie splecionych zaułkach, pełnych ciężkiego odoru duszonej kapusty, w których tłoczyli się ludzie, ubrani na czarno mężczyźni z falującymi brodami i kobiety, mimo zapowiadającego się upalnego dnia tak szczerze okutane wyswiechtanymi okryciami, jakby miała się właśnie zacząć mroźna polska zima. Tak w dziewiętnastym wieku musiały wyglądać wsie w Europie Wschodniej, to jednak nie było muzeum ani panorama ilustrująca ucisk narodu w dawnych czasach, to wszystko działo się tu i teraz, zatrwając realnie.

Co chwila napotykali wielkie, zardzewiałe szyldy, na których wypisano po angielsku i hebrajsku ostrzeżenia w rodzaju: *Żydowskie córki! Tora nakazuje wam odziewać się przyzwoicie albo Nie tolerujemy niemoralnie ubranych przechodniów*. Napotykało się ich nieufne, odpychające spojrzenia.

Yehoshuah prowadził go przez przytłaczający labirynt zaułków, do których nie docierało słoneczne światło i przez ciasne tylne podwórka. Niektóre uliczki były zadaszone falistą blachą, tak przeżartą przez rdzę, aż budziła obawę, że lada chwila spadnie i kogoś zabije. Z żelaznych okiennic na licznych oknach i drzwiach odpadały zeschnięte płatki starej farby.

Stephen widział niezliczone ilości dzieci. Na widok przechodzących obcych ciche i nieśmiałe, całymi gronami czepiały się spódnic swych matek i patrzyły za nimi przepastnie melancholijnymi oczami. Ich matki, często brzemiennie już kolejnym przychówkiem, mozolnie dźwigały zakupy albo pranie, które rozwieszały na linach widocznych tu wszędzie, przecinających ulicę wzdłuż i wszerz. Więksi chłopcy byli ubrani jeszcze w krótkie czarne spodnie i długie pończochy, jednak ich blade policzki i to, że wystawiali tylko bezczynnie pod ścianami, nadawało im wygląd zmęczonych, starych mężczyzn. Tu i ówdzie dziecięce głosy dobiegały z mrocznych okien, za którymi, jak półgłosem objaśnił mu Yehoshuah, mieściły się szkoły Tory i rzeczywiście nie był to rozbawiony gwar, lecz dziecięce chóry melodyjnie recytujące święte pisma.

Szurając stopami przechodzili przygarbieni starzy mężczyźni, niektórzy mieli w siatce dwie pomarańcze albo bochenek chleba, wszystkich zdobiły malowniczo rozczochrane brody i grube, czarne płaszcze, roztaczali nieopisany odór: Prawo o skromnym przyodziewku nie nakazywało widocznie regularnego prania owej przyzwoitej odzieży. Naprawdę przerażający jednak wydał się Stephenowi widok młodych mężczyzn, od których, gdy ich mijali, promieniowała przejmująca niepokojem bezlitosność. Najpierw przypisywał to ich dziwnym strojom, sięgającym kolan czarnym kaftanom i szerokoskrzydłym kapeluszom, spod których zwisały długie pejsy. Jednak wielu ubranych było w zwykłe czarne garnitury, pod nimi sweter i kapelusz na głowie, twarz zarośnięta zmierzwią brodą - a jednak zza grubych szkielec okularów oczy skrzyły się równie nieubłaganie. Ci, którzy nie skryli się jeszcze za biblijną brodą, ukazywali skwaśniały, cierpiętniczy wyraz twarzy, a krew pod ich woskowo bladą skórą płynęła jakby wolniej i była chłodniejsza, niż to zaplanowała natura. Na tych ulicach wszyscy chyba postanowili odgrywać karykatury samych siebie, do tego usilnie zajęci byli takim kształtowaniem otoczenia, by nikt nigdy nie mógł im zarzucić, że cieszyli się życiem.

- Jesteś pewien, że twój ojciec jest w domu? - spytał Stephen, mimowolnie zniżając głos.

Yehoshuah skinął głową.

- Nigdy nigdzie nie wychodzi.

Dotarli do względnie pustego placu, pierwotnie wybrukowanego białymi kamieniami, później jednak wielokrotnie łatanego ordynarnym betonem. Rozpięto nad nim niezliczone sznury na bieliznę i widok rzędu majteczek w kwiatki niewątpliwie damskich, wydał się Stephenowi wręcz frywolny w tej atmosferze purytańskiej moralności, jaką promieniowało Mea Shearim.

Przed niektórymi domami stały chyba tymczasowe, lecz też już wyglądające na stare, przybudówki z mniej lub bardziej nieporadnie zbitych desek, potęgujące „slumsowaty” charakter całości. Tu także panował obojętniejący smród kapusty i octu, przypalonego mleka i setek innych rzeczy, których Stephen nie potrafił nawet zidentyfikować. Szedł za Yehoshuah, kierującym się pewnie ku schodom prowadzącym między dwiema budowlami z desek na biegnącą przez całą szerokość podwórka galerię, która łączyła rząd wąskich, walących się domów, dając dostęp do ich górnych pięter. Cokolwiek trafiło tu ze zdobyczy ostatniego wieku, wszystko dodano później: przewody wodociągowe, kable elektryczne i rury kanalizacyjne poprowadzono po wierzchu ścian zewnętrznych, fantazyjnymi zawijasami omijając

łuki okien i wykroje drzwi.

Weszli w ciemny korytarz. Yehoshuah zapukał do wąskich, ledwie widocznych drzwi. Wewnątrz odezwał się jakiś głos. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi, otwierające się opornie i z koszmarnym skrzypieniem.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie również było pogrążone w ciemności, pomijając jedną jedyną wąż żarówkę w abażurze stojącej na stole lampy, snopem bladego światła oświetlającej książkę i dzierzającą ją dłoń. Poza tym widać było jedynie zarysy - łóżko, szafa, nic ponadto. Jedyne okno znajdowało się niedostępnie wysoko, niewiele większe od chusteczki do nosa i okratowane.

Yehoshuah powiedział coś po hebrajsku.

Szorstki, gderliwy głos odpowiedział mu po angielsku:

- Ile razy mam ci jeszcze powtarzać, że tych słów używam tylko podczas modlitwy? Mów do mnie po angielsku albo naucz się jidysz!

Eisenhardt obserwował Kauna. Ten siedział ze skrzyżowanymi niedbale ramionami, na pozór uosobienie spokoju i udawał, że przysłuchuje się dyskusji, prowadzonej przez profesora Goutiere'a i Shimona Bar-Lev. Jednak palce medialnego cara niespokojnie bębniły o łokieć drugiej ręki, a wzrok w zamyśleniu tonął gdzieś w oddali.

- Gdzie właściwie - spytał nagle Kaun - została dokumentacja Roberts'a i Martineza?

Wszyscy spojrzeli po sobie. Nikt nie zrozumiał pytania.

- Zdjęcia tomografu sonarowego - podpowiedział milioner. - Badanie Świątynnego Wzgórza.

Profesor Wilford-Smith odchrząknął.

- Jeśli dobrze pamiętam, teczka leży z innymi dokumentami w kuchni.

Kaun krótkim gestem dał znak Ryanowi. Ten posłusznie ruszył ciężkim krokiem do małej kuchenki połączonej z pokojem konferencyjnym i po chwili wrócił z grubą teczką, którą położył przed Kaunem.

Nikt nie podjął dalszej dyskusji. Wszyscy patrzyli w napięciu, jak Kaun kartkuje papiery w teczce. W końcu, patrząc pod światło na trzymaną w rękę folię, krzyknął:

- Ha!

Włączył projektor i położył na nim szkic.

- Może jednak powinniśmy byli pozwolić wypowiedzieć się doktorowi Robertsowi - odezwał się wreszcie, jakby wspólnie uznali wtedy za stosowne przerwać wykład naukowca. - Tutaj - co to jest? To przecież korytarz, biegnący bezpośrednio za Ścianą Płaczu, prawda?

- Za Murem Zachodnim - automatycznie poprawił Bar-Lev.

- Wszystko jedno. Ale to korytarz.

- Hm - izraelski archeolog pochylił się nad rysunkiem leżącym na podświetlanej powierzchni projektora.

- Ale to się nie zgadza. Jest wprawdzie korytarz za zachodnią ścianą Świątyni, ale prowadzi od łuku Wilsona na północ - nie przechodzi za świętym odcinkiem.

- Ten szkic wykonano w oparciu o pomiary tomografem sonarowym - odpowiedział Kaun. - To znaczy, że ten korytarz bez wątplenia istnieje. Według tego, co pan mówi, musimy przyjąć, że po prostu do tej pory nie został jeszcze odkryty.

Bar-Lev potarł czoło. Profesor Wilford-Smith stanął obok niego i także studiował rysunek na folii, jakby nie starczał mu obraz wyświetlany na ścianie. Wspólnie identyfikowali linie i zaciemnione powierzchnie, mamrocząc do siebie nazwy takie jak „Bat es-Silsileh” albo „Stajnie Salomona” czy „Cysterna 36”.

- Możliwe - stwierdził w końcu profesor Wilford-Smith. - Mogłoby tu rzeczywiście chodzić o nieodkryty do tej pory korytarz bądź szyb.

- Acha - krzyknął Kaun z niekrytym tryumfem. - Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę - ale czy ten korytarz nie daje odpowiedzi od razu na dwa pytania? Po pierwsze, jak podróżnik w czasie ukrył kamerę - rozejrzał się, jakby czekał na oklaski. - A po drugie, gdzie dziś leży kamera.

Z braku innej możliwości siedli na łóżku. Krzesło, które zajmował ojciec Yehoshui, stanowiło jedyny tego rodzaju sprzęt w pokoju. Zresztą niewykluczone, że było wygodniejsze niż twarde łóżko i krzywy, guzowaty materac.

Ich oczy stopniowo przyzwyczajały się do mrocznego światła. Stephen próbował dojrzeć, jak wygląda ten mężczyzna, siedzący za zastawionym lampą i książką stołem, który nie ruszył się jeszcze nawet o krok. Widział masywną, przygarbioną postać z patriarchalną brodą, jakiej nie powstydziliby się biblijny prorok, postać owa wciąż jeszcze podtrzymywała otwartą książkę, bez słowa komentarza przysłuchując się wywodom Yehoshui. Na ukos za starcem odkrył niski regał, na nim miskę do mycia i dzban z wodą. Na nocnym stoliku, przy którym siedział Stephen, leżał pokruszony kawałek chleba. Poza tym małe pokój był urządzone tak surowo i chłodno, jak w dzisiejszych czasach nie wyglądają nawet więzienne cele - brak było dywanu, żadnego obrazka na ścianie, żadnej osobistej rzeczy.

- Zatem korytarz - mruknął w końcu głos, gdy Yehoshuah skończył. - Dlaczego interesuje was ten korytarz?

- Chcemy przez niego zanurkować - powiedział Stephen. Najwyższy czas, by i on włączył się do

rozmowy.

- Nurkować? Dajcie spokój. Już raz tego próbowano, to trudne.

- Minęło dwadzieścia pięć lat - odparł Stephen - są teraz bardziej rozwinięte techniki. Z dzisiejszym sprzętem to o wiele łatwiejsze niż wtedy.

Przerwa. Potem obojętne:

- Więc dobrze. Zróbcie to.

Stephen pochylił się i mimowolnie splótł dłonie.

- Właściwie przyszedliśmy tu z innego powodu. Czytaliśmy pańską pracę z roku 1967 - to znaczy, Yehoshuah ją czytał, ja nie znam hebrajskiego - w której opisuje pan historię i prawdopodobny przebieg tunelu. Ale nie mówi pan nic o tym, kto wykopał tunel i po co.

- Sam chciałbym to wiedzieć.

- Ojczy, ty to wiesz - upomniał go Yehoshuah. - Pamiętam, że mówiłeś mi o tym kiedyś, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Nie pamiętam już tylko, co mówiłeś.

Ręka widoczna w kręgu młdego światła stołowej lampy nareszcie puściła książkę, starannie ją zamknęła i odłożyła na bok.

- To wszystko stare historie. Ten korytarz zatruł mi całe życie, strawiłem wszystkie siły na ustawiczną walkę z naukowym *establishmentem*... Dziś to mnie już nie interesuje. Niech to będzie sobie boczny kanał tunelu Ezechiasza, wszystko mi jedno.

- Ojczy - mówiłeś, że to jakaś sekta wykopała tunel. Co to za sekta?

- Kiedyś to wiedziałem, ale teraz to bez znaczenia. Znalazłem to w jakiejś książce, ale wszystkie oddałem.

- Kogo mamy zapytać, jeśli nie ciebie? Jesteś jedyną osobą, która to wie.

- Już zapomniałem. Czytam teraz tylko Biblię i myślę już tylko o śmierci, a ty przychodzisz i żądasz, żebym sobie coś przypomniał. Ledwie jeszcze pamiętam, że jesteś moim synem, a co tu mówić o korytarzu.

Zapanowała pełna napięcia cisza, jakby żaden z nich nie oddychał. Stephen niemal się przestraszył, gdy Yehoshuah obok niego nagle nabrał głęboko powietrza i wyszeptał przez zęby:

- Ojczy - *proszę!*

Nic się nie stało. Siedzieli tam, z zewnątrz dobiegały głosy, oddalone i niezrozumiałe, i choć na zewnątrz panował gorący, jasny dzień, siedzieli w ciemności i czekali, lecz zupełnie nic się nie działo. Stephen zaczął zadawać sobie pytanie, czy czasem ojciec Yehoshui nie umarł właśnie na krześle a oni to przeoczyli.

Wtedy jednak starszy poruszył się. Krzesło zaszurało pod nim, gdy podnosił się z trudem.

- Korytarz - wyrzucił z siebie, gdy już stał, dysząc z wysiłku. - Wciąż tylko ten korytarz, nie daje mi spokoju...

- Pochylony, powłócząc nogami ruszył drobnym krokiem przez pokój ku szafie na ubrania. - Wieczna klątwa ciąży na mnie...

- to było mówienie do siebie starego, zdziwaczałego człowieka. Otworzył drzwi szafy i zaczął w niej grzebać hałaśliwie, aż w końcu wydobyl cienką teczkę, z którą wrócił do stołu i na krzesło.

- Ta cała historia ma początek podczas czwartej wyprawy krzyżowej - zaczął opowieść, starając się zeszywniać, niezgrabnymi palcami rozsypać tasiemkę, którą związana była teczka. - W roku 1219, o ile dobrze pamiętam, krzyżowcy oblegali egipskie miasto Damietta. Podczas tego oblężenia z Włoch przyjechał mnich, Franciszek z Asyżu, założyciel zakonu franciszkanów. Ten mnich przeszedł po prostu przez sam środek wrogich linii krzyżowców i Saracenów, wprost do obozu sułtana, stanął przed nim i zaczął głosić Słowo Boże.

Historia powiada, że sułtan był pod wielkim wrażeniem i na prośbę Franciszka pozwolił mu odbyć pielgrzymkę do świętych miejsc w Palestynie. - Nareszcie udało mu się rozwiązać supeł i otworzyć teczkę. - Zawsze zadawałem sobie pytanie, co było powodem tak szalonego przedsięwzięcia.

Przez chwilę kartkował papiery, przesuwał z miejsca na miejsce, jakby czegoś szukał.

- Mniej więcej od tamtego czasu na tych ziemiach istnieją klasztory franciszkańskie. Istnieją do dziś. W Jerozolimie, w Betlejem, w Akce, Tyberiadzie, Kafarnaum, Jerychu i tak dalej. Kilkakrotnie wyrzucano stąd franciszkanów, ale uparcie zawsze wracali tu już po kilku latach. W końcu znalazł to, czego szukał.

- Tutaj - powiedział i podniósł do góry kawałek papieru, na którym można było dostrzec niewyraźnie nabazgrane znaki oisma, najwyraźniej fotokopie innego, starszego dokumentu - Z tego świadectwa wynika, że w roku 1350 franciszkanie objęli w posiadanie budynek na południe od Wzgórza Świętynnego. Po trzydziestu latach opuścili to miejsce. A ta mapa - podniósł inny arkusz, znów tak szybko, że Yehoshuah i Stephen zdążyli tylko rzucić przelotne spojrzenie na kilka czarnych kresek - pokazuje, że ten budynek stał dokładnie w miejscu, w którym Halil Saad swego czasu odkopał pełną wody cysternę, chcąc tam zbudować swój dom.

- Pan sądzi, że to franciszkanie wykopali ten szyb? - upewnił się ostrożnie Stephen.

- Tak. Myślę nawet, że w gruncie rzeczy po to właśnie przybyli do Palestyny.

Stephen zaskoczony zamrugał.

- Żeby wykopać korytarz?

- Jest taka antyczna legenda - wyjaśnił ojciec Yehoshui. Jeszcze jedna kartka, tym razem mała i szara.

- Brzmi jak bajka i nie wiadomo dokładnie, kiedy powstała. To tłumaczenie pewnego łacińskiego tekstu, który znalazłem, choć też dobrze nie pamiętam, gdzie to dokładnie było. - Wyciągnął kartkę w stronę Stephena, który zdziwiony wstał i uważnie przeczytał.

Tekst był po angielsku, napisany na maszynie do pisania. Światło ledwie starczało, aby rozróżnić słowa.

- *Zdarzyło się w czasie, gdy Jezus nauczał w Kafarnaum, że pewien człowiek z Besary przyniósł lustro w miejsce, gdzie przemawiał Jezus. Owo lustro, gdy przejrzało się w nim oblicze Jezusa, tak je sobie upodobało, że nie chciało potem pokazywać żadnego innego widoku, jak tylko obraz Pana. Jego właściciel włożył je więc do skrzyni i schował w ukrytym miejscu, aby jego potomkowie, którym chciał zdradzić ukrycie, mogli ujrzeć swego Pana. Powiadano również, że zakopał owo lustro pod Świątynią Jerozolimską, gdyż żadne inne miejsce nie wydawało mu się dość pewne - Stephen oszołomiony podniósł wzrok, J^ogo spojrzenie szukało wzroku Yehoshui. - To nie do wiary.*

Dolna szczeka Yehoshui opadła, co nadało jego twarzy wyraz wprost debilny.

Stephen jeszcze raz odczytał tekst, by upewnić się, że nie wmawia sobie tylko tego wszystkiego. Odkąd wszedł do dzielnicy ortodoksyjnych Żydów, nie mógł pozbyć się poczucia przebywania w świecie nierealnym.

- Besara - powtórzył. - Człowiek z Besary.

- Besara - objaśnił Yehoshuah osobliwie bezdźwięcznym głosem - to dawna nazwa miasta Bet She'arim.

Gdy ojciec Łukasz oderwał wzrok od brewiarza, jego spojrzenie padło przez okno na dziedziniec. Przed portalem kościoła stał Scarfaro z człowiekiem, którego nie widział nigdy wcześniej. Wysłannik z Rzymu mówił coś do niego, a ów człowiek o przysadzistej sylwetce i w kombinezonie przypominającym mundur przytakiwał tak żarliwie, że robiło to wręcz służalcze wrażenie. Ojciec Łukasz przez chwilę przyglądał się tej parze. Nie miał pojęcia, co Scarfaro i jego ludzie robią po całych dniach. Przychodzili i wychodzili, zamykali się w pokoju na naradach, po czym znów gnali gdzieś ze skrzywionymi minami. W pewnym momencie porzucił wysiłki, by cokolwiek zrozumieć i wycofał się do swych codziennych obowiązków, które znacznie skurczyły się teraz, gdy zabrakło krzątania przy przygotowaniu wieczerzy dla ubogich. Pozostawało mu więc tak wiele czasu na medytację i modlitwę, jak nie zaznał tego już od dawna. Lecz gdy musiał odsyłać z niczym ludzi przychodzących wieczorami, jego serce krwawiło. Wciąż jeszcze nie udało im się urządzić potajemnie czegoś w zamian.

Nie wierzył własnym oczom widząc, jak Scarfaro dobywa z sutanny niewielki, ciemny przedmiot i daje go temu mężczyźnie. To przecież telefon komórkowy! Co się tu, na Boga, dzieje?

Nagle nie mógł już usiedzieć na krześle. Zerwał się jak oparzony, przebiegł tak szybko, jak tylko potrafił, przez sieni, spadł do kuchni, w której brat Geoffrey był już zajęty przygotowaniami do obiadu i zdziwiony spojrzał na niego, pomykającego prosto do komórki z miotłami. W tylnej ścianie schowka znajdowały się rzadko używane drzwi prowadzące do pomieszczenia za zakrystią, wyposażonego tylko w jedno wąskie, prawie zawsze uchylone okienko.

Ojciec Łukasz sam uważał za niewymownie głupie to, co oblił jednak przycisnął się ciasno do ściany i ostrożnie wyjrzał Scarfaro stał zwrócony plecami do niego i zasłaniał mężczyznę, z którym rozmawiał.

- W jakim kierunku to się rozwinie - usłyszał, jak Scarfaro wbija do głowy tamtemu - i jeśli cokolwiek zrobi. Wszystko, czego zdoła się pan dowiedzieć.

Mężczyzna kiwnął głową i ruszył się troszeczkę w bok. Teraz ojciec Łukasz mógł odczytać napis na jego kombinezonie: *Kaun Enterprises*.

- Myśli pan, że franciszkanie szukali tego lustra?

- Bez wątplenia - starszek zakasłał szczekliwie, wkładając dokument z powrotem do teczki. - Ale Jerozolima była w rękach sultana, Wzgórze Świątynne zaś niedostępne. Jedyne sposoby, na jaki wpadli, to wykopać tunel, przez skałę, setki metrów. Potrzebowali na to prawie trzydziestu lat.

- I? - spytał Stephen przez wyschniętą krtań. - Znaleźli lustro?

Ojciec Yehoshui złożył na powrót teczkę i zaczął znów mozolnie owijać ją sznurkiem, który najwyraźniej zamykał ją przez dziesiątki lat.

- To jest legenda, młody człowieku. W chrześcijaństwie jest mnóstwo podobnych legend. Na przykład historia Świętego Graala, kielicha, z którego podobno pił Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy. Legendy to historie przekazywane z ust do ust. W pewnym sensie usamodzielniają się. Badacz literatury próbuje odpowiedzieć na pytanie, co takiego ludzie widzą w tych legendach, że przekazują je dalej.

Myśli Stephena gnały jak oszalałe. Spojrzał na Yehoshuę, którego oczy dziwnie iskrzyły.

- Zatem nie wiadomo, co stało się z tymi mnichami?

- Niezupełnie. Są pewne wskazówki. Jedno źródło podaje, że większość mieszkających w tym domu

mnichów po Jego likwidacji wywędrowała na pustynię, gdzie utworzyli klasztor i później oddzielili się od zakonu.

- A gdzie był ten klasztor?

Staruszek podniósł się znowu, postękując i sapiąc.

- Och, on jeszcze istnieje. To też stanowi mały cud. Mieszka tam dziesięciu, może dwudziestu staruszków. - Wziął teczkę i poczłapał artretycznym drobnym kroczeniem z powrotem do szafy. - W tamtej okolicy Negew do dziś pozostała pustynia. Nie wyobrażam sobie, jak oni są w stanie tam żyć.

Zdaniem Stephena warunki, w jakich ojciec Yehoshui mieszkał w tej dziurze nie zasługującej na miano pokoju, były nie mniej zadziwiające.

- A gdzie dokładnie na Negew?

- Nigdy tam nie byłem - odpowiedział i rozsunął drzwi szafy. - Nigdy nie znośm podróży, żeby się czegoś dowiedzieć. Najchętniej prowadziłem badania w bibliotekach i archiwach. - Pochylił się z trudem, by wsunąć teczkę w ciemny kąt szafy. - Tak. Prawdopodobnie pozostanie tam teraz aż do mojej śmierci. Wtedy ktoś ją wyrzuci. Co za błazenada.

Stephen poczuł, jak jego kolana poczynają nerwowo drżeć. Czy ten stary jest tak uparty, czy tylko udaje?

- Ale pan wie, gdzie szukać tego klasztoru?

- Zapomnij o klasztorze, mój synu. To starcy, którzy nie wiedzą nawet, który mamy rok. Większość z nich mieszkała tam już, gdy państwo Izrael było jeszcze tylko mglistą mrzonką.

Stephen rzucił na Yehoshuę spojrzenie wzywające pomocy. Ten cicho westchnął.

- Ojciec - powiedział - po prostu nam powiedz, gdzie jest klasztor.

Staruszek zachowywał się tak, jakby go nie słyszał, chwiejnym krokiem wrócił na krzesło, oparł o nie i intensywnie zajął czochraniem dłonią swej ogromnej, siwej brody. Stephen uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech i nabrał głęboko powietrza.

- Beer Szeba - powiedział w końcu sędziwy talmudysta. - Byłem kiedyś w Beer Szebie. Pamiętasz, Yehoshuah? Pewnie nie. Byłeś jeszcze małym dzieckiem. Z Beer Szeby trzeba jechać na południe, daleko na południe. Z daleka wygląda jak ruina na niedostępnym szczycie góry. Nie pamiętam, jak się ta góra nazywa i czy w ogóle ma jakąś nazwę, ale wznosi się na zachodnim krańcu doliny Wadi Mershamon. Trzeba mieć dobrą mapę. Na większości Wadi Mershamon nie jest nawet zaznaczona. - Sięgnął znów po księgę i umieścił ją na nowrót w stożku światła rzucanego przez słabą lampę. _ A teraz wystarczy. Idźcie już.

32

NEGEW (hebr. „Suchy kraj”). Teren na płd. od granicy Judei, od wschodu jego granice wyznacza dolina Wadi Araba, od północnego zachodu i od zachodu ograniczony przez równinę przybrzeżną i pustynie Paran, Sin i Szur. W I w. n.e. Nabatejczycy zaczęli na N. i w Hauranie uprawiać rolnictwo. W tym celu gromadzili w cysternach deszczówkę, aby nawadniać nią ułożone terasowo pola.

Avraham Stern,
Leksykon archeologii biblijnej

- To jest to! - powiedział Stephen, prawie wrzasnął z radości, gdy opuścili Mea Shearim. Pojechali z powrotem do śródmieścia, odszukali biuro American Express, gdzie Stephen dostał gotówkę, wprawdzie niezbyt dużo, lecz dość, by zapłacić za hotel i jakoś przetrwać najbliższe dni.
- Sami mogliśmy na to wpaść - tłumaczył, Yehoshuah patrzył ku niemu raczej sceptycznie. - Podróżnik w czasie nie mógł zrobić wszystkiego sam, do tego niezauważenie. Ktoś na pewno widział, jak filmował, nawet jeśli nie rozumiał, co on takiego robi. Ktoś musiał mu pomóc ukryć kamerę w Świątynnym Wzgórzu. Może nawet próbował wyjaśnić komuś, co robi, kto wie? W każdym razie byli ludzie, którzy coś tam zauważyli, trochę pomędrkowali, opowiedzieli to dalej... I gotowa legenda. Potem poszli do największej księgarni, jaką mogli znaleźć i tak długo grzebali w dziale przewodników turystycznych i atlasów, aż trafili na mapę, na której zaznaczone było Wadi Mershamon. Na jego zachodnim krańcu rzeczywiście umieszczono symbol oznaczający ruiny.
- Ale dlaczego w legendzie mowa jest o lustrze? - powątpiewał Yehoshuah. - Nawet przy dużej dawce wyobraźni, kamera nie wygląda jak lustro. Stephen zrobił ręką gest, jakby chciał odepchnąć zarzut.
- A co mogli innego powiedzieć?
- Odebrali Judith, uiszcili rachunek hotelowy i ruszyli w kierunku najbliższego dużego supermarketu, by zaopatrzyć się w prowiant i inne wyposażenie, jak butelki z wodą i tabletki solne.
- To obraz - objaśniał Stephen. - Może podróżnik pokazał komuś nagranie - przynajmniej swojej żonie, tak mi się zdaje. W tamtych czasach taki realistyczny obraz mogło przedstawiać tylko lustro, prawda? No więc jak ktoś, kto spojrział w okular kamery i zobaczył nagraną scenę, opisałby to komuś innemu? Powiedziałby, że to tak, jakby patrzeć w małe lustro. A ten drugi zrozumiał tylko „lustro” i wyobraził sobie coś zupełnie innego.
- Wyjeżdżali z miasta w kierunku Hebronu. Posuwali się ospale w nieprzerwanym strumieniu samochodów. Tym razem obok Stephena siedziała Judith.
- No, sama nie wiem... Przez cały ranek nastawiałam się na to, że będę siedziała w piwnicy Saada, liczyła pęcherzyki powietrza i czekała, aż się wynurzysz. A teraz jedziemy na pustynię!
- Cóż - odparł Stephen. - Musisz być elastyczna.
- Zatem myślisz, że mnisi franciszkańscy poszli tropem legendy. Co by znaczyło, że nie tylko wiedzieli o istnieniu „lustra”, ale również o tym, gdzie je znaleźć.
- Tak. Takiego tunelu nie kopie się na chybił trafił. Na pewno nie poznaliśmy całej legendy. Spojrzała na niego.
- Skąd jesteś taki pewny, że znaleźli tę kamerę? Taki pewny, że nie chcesz nawet sprawdzić?
- Bo szyb jest precyzyjnie wycelowany w jedno miejsce. Bo nie bawili się w szukanie tu i tam, tylko dokładnie wiedzieli, dokąd zmiierzają. Bo nie wierzę, że ten klasztor istniałby do dziś, gdyby nie relikwia, którą tam przechowują. -Przejechali pod rzędem wielkich tablic, informujących, że droga na wprost prowadzi do Hebronu i że to teren Autonomii Palestyńskiej, a jeśli chce się ją ominąć, należy kierować się według stosownych drogowskazów. Jerozolima była już za nimi, po prawej i lewej stronie ciągnęły się biurowce i tereny przemysłowe. - I jeszcze - dodał Stephen, lecz niemal śpiewnym, natchnionym głosem, jakby mówił sam do siebie -ja to wiem. Czuję zapach, Smak. Bo każda komórka mojego ciała wie, że kamera tam jest. Skrytka za Ścianą Płaczu jest pusta od pięciuset lat.
- Na tylnej stronie wielkich, zawieszonych nad drogą drogowskazów zamontowano kamery wideo, jedną dla każdego pasma, rejestrujące ruch pojazdów. Nagrywany przez nie obraz przekazywany był wprost do wydajnego komputera, na którym zainstalowano specjalne, supernowoczesne oprogramowanie będące w stanie w czasie rzeczywistym wśród masy pikseli rozróżniać tablice rejestracyjne wszystkich przejeżdżających pojazdów i przekształcać je w czytelne znaki i liczby. Zidentyfikowane numery, nieprzerwany strumień danych, wędrowały przez oplatającą całe miasto sieć, łączyły się z danymi z licznych podobnych systemów, aż trafiły do centralnego komputera policji, który zapamiętywał je wraz z miejscem oraz dokładną godziną zapisu. Poza tym komputer ten porównywał każdą rejestrację z tabelą zgłoszonych numerów, w której obok szeregu innych danych zaznaczono także procedurę postępowania w momencie stwierdzenia obecności danego pojazdu.
- Numer rejestracyjny Jeepa Cherokee prowadzonego przez Stephena od wczoraj znajdował się w tabeli.

Jako wskazówkę operacyjną podano przy nim: *cichy alarm*. Nie minęło sześćdziesiąt sekund od wychwycenia obrazu pojazdu przez kamerę wideo, gdy na monitorze wartownika zaczął migotać meldunek.

Tym razem, gdy siedzieli i rozmyślali nad wielkim planem Świątynnego Wzgórza, telefon przyniosła Kaunowi inna sekretarka. Car medialny słuchał chwilę z poważną miną.

- Dziękuję - powiedział potem. - Bardzo dziękuję, Jehuda. Szalom.

W jego oczach pojawiły się głodne błyski, gdy rozłączał rozmowę.

- Proszę skrzyknąć swoich ludzi, Ryan - powiedział.

- Foxx jedzie w kierunku Hebronu. - Wyjął z kieszeni karteczkę. - Jedzie granatowym Jeepem Cherokee, numer rejestracyjny... Ach, do diabła, nie mogę odczytać. Tutaj. - Podał mu kartkę.

Ryan spojrział na pomięty papier z widocznym zmieszaniami.

- Skąd pan wie?

Jego pytanie sprawiło Kaunowi wyraźną przyjemność.

- Dość łatwo. Poprzez numer samochodu, który Foxx zostawił pod muzeum, ustaliłem wypożyczalnię. Tam mi powiedzieli, jaki wóz ma teraz. I właśnie nim pół godziny temu minął automatyczne urządzenie kontrolne policji.

- Też próbowałem tego wszystkiego, ale nikt nie chciał udzielić mi informacji...

- Układy. Szef policji był tak miły, że zlecił dyskretne śledztwo, które teraz zostanie wykasowane jako pomyłka. Do samego Hebronu i tak nie może go śledzić, bo tam Foxx podpada pod policję palestyńską.

- Podał Ryanowi telefon.

- Będzie pan go teraz potrzebował, zdaje się.

Ryan przytaknął.

- I mapę Izraela.

Shimon Bar-Lev patrzył za chudym ochroniarzem szeroko otwartymi oczami, nie zamykając ust, aż tamten nie zamknął za sobą drzwi. Potem zaskoczył.

- To przecież znaczy - skonstatował z ulgą - że temat Muru Zachodniego jest nieaktualny.

Okrążyli Hebron zaplanowaną z rozmachem, wyglądającą na nową, mimo to wąską drogą objazdową i jechali dalej, wciąż dalej. Z wolna coraz mniej było zieleni po prawej i lewej stronie szosy, spojrzenie sięgało dalej w szarą, pokrytą kurzem dal. I było gorąco, gorąco jak w wylęgarni. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Na horyzoncie droga zdawała się tonąć w migoczącej błękitem wodzie, co oczywiście było tylko efektem optycznego złudzenia, młodszego brata prawdziwej fatamorgany.

Na krótko przed Beer Szewą zobaczyli w pewnej odległości od drogi osobliwą stalową konstrukcję.

- Zatrzymaj się na chwilę - zaproponował Yehoshuah.

Rzeczywiście, gdy stanęli na poboczu i wysiedli, usłyszeli jak owa budowla śpiewa. Był to, jak ochoczo wyjaśnił Yehoshuah, pomnik bohaterów, przekuty z pozostałości wrogich czołgów i skonstruowany na podobieństwo wielkiej piszczałki organów, by wydawał płaczące, niemal ludzko brzmiące dźwięki, gdy gorący podmuch pustynnego wiatru docierał do wzgórze, na którym go ustawiono.

Przez chwilę jak okiem sięgnąć nie było widać żadnego innego samochodu ani nawet żadnej z niezliczonych cystern, nieustannie dudniących po drogach. Stephen mrużąc oczy spojrział na osobliwe dzieło sztuki i na jedno uderzenie serca ogarnęło go makabryczne uczucie, że słyszy głosy martwych, jak rozmawiają, krzyczą, daremnie próbują ostrzec potomnych... Odwrócił się w drugą stronę, by otrząsnąć się z wrażenia.

- Dalej - powiedział.

Eisenhardt czuł narastającą nerwowość, uczucie przypominające tremę, jaką zawsze miał przed publicznymi wystąpieniami, jak spotkania autorskie czy wywiady. Jeśli kiedykolwiek należało ostrzec Foxxa, to właśnie teraz. Najwyraźniej wyruszył śladem informacji, tropu, który znał on, a o którym nie wiedział Kaun i z pewnością nie miał pojęcia, że milioner zna kierunek, w jakim się udał.

Opuścił kontener, miejsce ciągnącej się bez końca narady niezmordowanych naukowców. Kaun dawno już wyszedł bez słowa wyjaśnienia, ostatnio ich debaty krążyły tylko wokół tematu niby po wysypisku słownych śmieci, niczym powierzchowne pogawędki, paplanina przy knajpianym stole, klub niepalących antyalkoholików.

Szukał Ryana.

Znalazł go stojącego za samochodem, z obutą w wysokie oficerki stopą wspartą godnym naczelnego wodza gestem o otwarte drzwi wozu, z telefonem przy uchu. Na dachu rozłożył mapę Izraela. Rozmowa brzmiała bardzo dramatycznie, co najmniej jakby miała wybuchnąć nowa wojna sześciodniowa.

Eisenhardt zatrzymał się w pewnej odległości i czekał. Co za dziwna sytuacja! Wokół nich pusty i opuszczony obóz, jak scena po zakończonym przedstawieniu - namioty *złożone*, sprzęt w większości zapakowany do skrzyń - a pośrodku stoi ten człowiek ze swym małym czerwonym samochodem i komenderuje niewidzialną armią.

Gdy na moment zapanowała cisza, podszedł bliżej i zwrócił na siebie uwagę Ryana. Spytał jak

najostrożniej, czy istniałaby jeszcze jakaś możliwość, żeby on, Eisenhardt, mógł wybrać się do Biblioteki Amerykańskiej, ponieważ przyszło mu właśnie do głowy coś, co ewentualnie warto byłoby sprawdzić...

- Ach, pan Eisenhardt - powiedział Ryan, zdjął nogę z samochodowego progu i odwrócił się ku niemu, jakby właśnie na niego czekał. - Mam przekazać panu pozdrowienia od pana Kauna. Pański kontrakt jest od dziś zakończony. Proszę się spakować, ktoś zawiezie pana na lotnisko w Tel Awiwie.

Pisarz patrzył na człowieka o stalowych oczach tak oszołomiony, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro lodowatej wody.

- Ale... - Odprawiony. Milioner nie uznał nawet za stosowne powiedzieć mu tego osobiście. Nie mówiąc już o słowach pożegnania czy podziękowania. - Ale jak to...

Ryan spojrzał na niego bezlitośnie.

- Pan Kaun odniósł wrażenie, że ostatnio niewiele był pan w stanie przyczynić się do rozwiązania problemu. I, prawdę mówiąc, nie mogłem się z nim nie zgodzić.

Eisenhardt otworzył usta, lecz myśli śmigły mu beładnie we wszystkie strony i nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Równocześnie w piersiach narastało uczucie niesmaku, ciężkie jak ołów. Poniósł klęskę. W osobiście pokrętny sposób czuł się winny, że nie sprostął oczekiwaniom, jakie z nim tutaj wiązano. Tak, to prawda. W ostatnich dniach nie wymyślił nic interesującego. Kaun sprowadził go tu, żeby znalazł dla niego starożytną kamerę, a on nie tylko jej nie znalazł, ale do tego spiskował z tym, który pokrzyżował plany Kauna.

Telefon Ryana zabrzączał, ochroniarz przyjął na powrót pozę naczelnego wodza. Cóż, prawda, wszystko zostało powiedziane.

Podjechali tuż za tropiony wóz, dostatecznie blisko, by na podstawie numeru rejestracyjnego upewnić się, że ścigają właściwy samochód, potem znów zostali daleko w tyle. Ten chłopaczek z college'u w Maine, to prawdziwy amator, wybrał sobie bardzo rzucający się w oczy samochód. Można go rozróżnić bez problemu aż po horyzont.

- Minęliśmy właśnie Beer Szewę - zameldował człowiek na siedzeniu pasażera. - Jedzie w kierunku Ejlatu.

- Okay. Jedźcie za nim dalej, trzymajcie jak największy odstęp.

- Roger - zwrócił się do kolegi przy kierownicy rozłączając rozmowę. - Wiesz co? Na koniec okaże się, że tych troje zrobiło sobie po prostu wycieczkę nad Morze Czerwone.

Zatem nie spełnił oczekiwań. I co z tego? Eisenhardt wcisnął piżamę do torby. To przecież nie jego problem. Ten medialny magnat sądził, że będą mieli do czynienia z czysto logicznym problemem. Problemem, który da się rozwiązać w zaciszu konferencyjnego pokoju, jeśli tylko dostatecznie długo i mocno będą się nad nim zastanawiać. Ha! To nonsens. Nie, nie ma sobie nic do zarzucenia. Zrobił, co mógł.

Pisarz rozejrzał się. Jeśli rzeczywiście tak to wygląda - to dlaczego jest taki wściekły? Dobrze zarobił. Przeżył interesującą przygodę. Zebrał mnóstwo materiału, z którego być może powstanie kiedyś powieść. A mimo to czuł wściekłość.

Tak, to dlatego, że czuje się wykorzystany. Człowiek pokroju Kauna wyobraża sobie, że może pozwolić sobie na wszystko tylko dlatego, że jest potężny i bogaty.

- I wiesz co? - mamrotał do siebie Eisenhardt. - On ma rację. On naprawdę może pozwolić sobie na wszystko, bo jest bogaty i ma władzę. - Właśnie to sprawiało, że aż wrzał z wściekłości.

Budzik podróżny. Wciąż stał na nocnym stoliku. Eisenhardt wziął go i wcisnął głęboko pod koszulę i kalesony, potem przerwał pakowanie i spojrzał na telefon, obok którego stał budzik.

Czy rzeczywiście wszystkie rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane? To bardzo możliwe. Przynajmniej na pewno za pamiętywane są wszystkie wybierane numery, wraz z godziną i czasem trwania rozmowy, choćby po to, by móc sprawdzić rachunek telefoniczny. W USA była to praktyka powszechnie przyjęta w każdym domowym gospodarstwie.

Panowała taka cisza. Najgłośniejszym odgłosem był jego własny oddech.

A jeśli nawet? Co może mu grozić? Będzie już siedział w samolocie nim ktokolwiek zauważy, że ostrzegł Foxxa.

Położył dłoń na słuchawce. Chłodny, gładki plastik. Życie i śmierć. Czy o to tu idzie? Nie. Idzie o to, czy ktoś taki jak Kaun może robić wszystko, cokolwiek zechce. Nawet interes na najbardziej niepojętym znalezisku historii.

Stephen Foxx podróżuje teraz gdzieś daleko, by sprzeciwić się medialnemu carowi. Może kieruje się niewłaściwymi pobudkami i może używa nieskutecznych metod, ale stara się. I nie ma pojęcia, że ludzie Kauna są już na jego tropie.

Ten telefon może okazać się decydujący. Nigdy nie będzie mógł sobie wybaczyć, jeśli nie zadzwoni.

Eisenhardt jeszcze raz nabrał głęboko powietrza. Wciąż było tak cicho, jakby na zewnątrz wszystko umarło. Potem wyjął z kieszeni kartkę z numerem telefonu i podniósł słuchawkę.

Przewód był martwy. Jego telefon już odłączono.

Na zewnątrz ktoś załomotał pięścią w okno.

Negew była inna, niż Stephen sobie to wcześniej wyobrażał. Oczywiście wyobraźni widział morze wznoszących się majestatycznie fal jaskrawożółtych piaskowych wydmy, wypełniających -przestrzeń od horyzontu po horyzont niczym zamarty w ruchu ocean piasku, wśród nich orszaki karawan ciągnących od oazy do oazy. Zamiast tego jechali przez wypaloną, szaro-czarną kamienną pustynię, wyglądem bardziej przypominającą księżycowy krajobraz niż jakiegokolwiek inne miejsce na Ziemi, niby olbrzymia kopalnia odkrywkowa, tak nieubłagane palona promieniami bezlitosnego słońca, aż w uszach było słyszeć ich szum. Czarne, suche cieniste zarośla, widoczne raz po raz przy drodze, dowodziły uporczywej wytrwałości życia, wyglądały jednak tak żałośnie, że człowiek był skłonny raczej przypisać zwycięstwo pustyni.

Im dłużej jechali przez to przytłaczające pustkowie, tym bardziej niewiarygodne wydawało się Stephenowi, że klasztor o którym opowiadał ojciec Yehoshui, naprawdę istnieje.

- Jak tu mogą przeżyć jacyś ludzie? - spytał, nieoczekiwanie przerywając ciszę, panującą w samochodzie od kiedy minęli Beer Szewę.

- Czasem pada - wyjaśnił Yehoshuah. - Rzadko i niewiele, ale czasem pada. Jeśli nałapać deszczówki do zbiorników... - nie dokończył zdania. Nie pachniało to luksusem. Stosowne otoczenie dla mnichów, którzy ślubowali wieść życie pełne wyrzeczeń.

- Deszcz? Jesteś pewny?

- Około sto milimetrów rocznie. Oczywiście nie teraz, latem. Ale są tu też wadi, wiesz o tym? Wadi to wyschłe koryta rzek. Co pięćdziesiąt do stu lat pada tak mocno, że przez wadi znów płynie woda, niektóre nawet zmieniają się w rwące rzeki - na kilka godzin.

Stephen rozejrzał się. Kamienie, skały, skwar.

- Z wszystkich niewiarygodnych rzeczy, jakie ostatnio słyszałem, ta wydaje mi się najbardziej niemożliwa.

Wąska, czarna, asfaltowa szosa przecinała ze stanowczym zdecydowaniem skalisty krajobraz, biegła między zboczami skał i przekraczała niewielkie wąwozy bądź zagłębienia między naniesionymi muldami żwiru. Czasem wzdłuż szosy biegły przewody wysokiego napięcia, a tam, gdzie jednak było trochę piasku, nawianego z Synaju, w poprzek jezdni stały się delikatne żółte welony.

Miejsce, w którym musieli zjechać z szosy, niełatwo było znaleźć. Za pierwszym razem skręcili za wcześnie, zauważyli to dopiero po kilku kilometrach wyboistego traktu, gdy dotarli do skrzyżowania, którego według mapy w ogóle tam nie miało być i przy którym stał zardzewiały drogowskaz z dwoma zupełnie niewłaściwymi nazwami miejscowości. Właściwe rozwidlenie kilka kilometrów dalej z trudem można było rozpoznać, a drogę, na którą mieli zjechać, jeszcze trudniej: tworzyły ją ledwie dwie koleiny, pełne dziur, sprawiały wrażenie, jakby po prostu przed dwudziestu laty przejechała tamtędy sobie rażno na przelaj ciężka, budowlana maszyna. Na odcinkach, gdzie nie można było odróżnić jezdni od otaczającej pustyni, pomocne dłonie ułożyły wielkie kamienie po lewej i prawej stronie drogi i od czasu do czasu na którymś z tych kamieni pojawiał się kleks białej farby. Jednak ktokolwiek to robił, najwyraźniej zabrał się do pracy bez ochoty i niekonsekwentnie.

Średnia prędkość, z jaką posuwali się naprzód, drastycznie spadała. Jechali wzdłuż spadzistego, szaropopielatego zbocza majestatycznej wielkości, w oddali widać było kilka wielbłądów, prawdopodobnie przeszukujących kamienisty grunt pustyni w nadziei, że trafią na coś jadalnego. Stephen nie odrywał wzroku od drogi i jej monumentalnych wybojów. Los jednak był dla niego łaskawy, zsyłając mu w porę ten terenowy wóz! Z tamtym małym Fiatem tutaj przepadłby z kretesem.

Od czasu do czasu zatrzymywali się, by coś wypić. Daleko od drogi i wszelkich innych śladów cywilizacji pustynia zaczynała dyktować im swoje warunki, a jednym z nich było, jak oznajmiła im Judith, regularne picie wody i to nim poczuło się pragnienie.

- Jedno jest pewne - orzekł Stephen, gdy stali przy samochodzie, tonąc w morzu wrzącego skwaru, podawali sobie butelkę z wodą i starali się rozruszać nogi - jeśli ten klasztor i ci mnisi naprawdę istnieją, to nie chodzą za często do kina.

Nikt się nie roześmiał. Z jego strony też była to tylko próba obrony przed przemożnym, przytłaczającym naporem otaczającego ich krajobrazu, zapierającego oddech i sprawiającego, że człowiek czuł się całkiem mały i zagubiony, zdany jedynie na łaskę i niełaskę wyższych mocy.

Jeszcze kilkakrotnie mylili drogę nie dostrzegając ledwie rozpoznawalnych rozwidleń, trafiali do wąwozów zamkniętych na drugim końcu, wciąż na nowo nawracali i próbowali ponownie, aż wreszcie ujrzeli klasztor.

Spoczywał w niewielkim parowie, poniżej pełnych szczelin, splekanych skał, sterczących ku niebu niczym kamienne palce i rzeczywiście jego mury z ciemnoszarego kamienia wyglądały na ruinę. Kiedyś najwyraźniej stała przy nim wieża, jednak zaważyła się i nigdy nie została odbudowana. Monotonne, przypominające otwory strzelnicze okienka martwo spoglądały ku nim w dół. Zagubiony wśród bezdroży ponury gmach zawisał na skalnym siodle, wystawał z niego niby bezpowrotnie zużyte zęby.

- Może oni wszyscy już dawno umarli - powiedział Yehoshuah. - To znaczy, i tak by nikt nie zauważył. Stephen przytaknął.

- Zdaje się, że gdzieś tu powinna być tablica: *Uwaga! Koniec świata za pięćset metrowi*

Wspinali się Jeepem w górę zbocza, aż wpadł w poślizg na sypkim żwirze i nie dało się jechać dalej. Wtedy zostawili go, naciskani przez Judith wzięli jeszcze po głębokim tyku wody i ruszyli w drogę, by pokonać resztę wzniesienia pieszo. Owa reszta okazała się odleglejsza i wyższa, niż zdawało im się na początku, a przede wszystkim kosztowała ich o wiele więcej wysiłku, niż się spodziewali. Już po chwili ich ubrania wisiały na nich mokre od potu, płuca wydymały się niczym kowalskie miechy, a serca waliły jakby chciały tętnem rozsadzić im czaszki. Ciemna, ponura kamienista gleba pod ich stopami zakumulowała skwar całego dnia i wprost przepalała podeszwy butów.

Właściwie, dlaczego to robię? przyszło w pewnym momencie do głowy Stephenowi i od tej chwili to pytanie nie chciało już go opuścić podczas dalszej wspinaczki, wracało i wracało samo z siebie, by wkrótce stać się czymś w rodzaju mantry, nadawało rytm ruchom jego nóg a uszom zdawało się, że słyszą je, dobiegające z odgłosów szurania stóp po żwirze.

Judith, o wiele bardziej sprawna i wytrzymała niż oni dwaj, niezmordowanie szła przodem. Stephen daremnie próbował dotrzymać jej kroku, a Yehoshuah zostawał coraz bardziej w tyle; narzekając i mamrocząc pod nosem, coraz częściej musiał robić sobie przerwy.

Aż wreszcie byli u góry. Ciężko dysząc stali pochyleni w przód, oparłszy dłonie o kolana, po prostu nie mogli w to uwierzyć. Przez chwilę wyglądało na to, jakby budowla nie miała żadnego połączenia ze światem zewnętrznym, jakby mnisi zamurowali się w niej, lecz w końcu zauważyli wąski, ledwie szerokości człowieka otwór, zamknięty drzwiami zbitymi z bali prastarego drewna.

- Spójrzcie tylko - powiedziała Judith, gdy jako pierwsza znów była w stanie stać prosto i mówić. - Co za widok.

Stephen nie był zdolny do jakiegokolwiek odpowiedzi, tylko z trudem uniósł głowę. Tak, wspaniały widok. Czarne skały, brunatne skały, szare skały, jak okiem sięgnąć kamienie i skały. Żadnej ludzkiej osady, nikogo, jak okiem sięgnąć. Jedno wielkie, imponujące marnotrawstwo terenu.

- Co teraz? - spytał Yehoshuah, gdy znów oddychali normalnie.

- Teraz - powiedział Stephen - grzecznie zapukamy.

I właśnie to zrobił. Nie było tam oczywiście dzwonka ani kołatki, ani żadnego z modnych nowoczesnych gadżetów, więc po prostu uniósł zaciśniętą pięść i uderzył w masywny portal. Potem cofnął się o krok i czekał.

Nic się nie działo.

- Nikogo nie ma w domu - skomentował Yehoshuah. Stephen zastukał ponownie, tym razem jeszcze mocniej i zawołał najgłośniejszym głosem, jak potrafił:

- Halo? Jest tam kto? Nic się nie poruszyło.

- Jeśli naprawdę tam w środku już nikt nie żyje - zastanowiła się Judith - to będziemy musieli przejść przez mur.

- Tak - skinął głową Stephen. Budowlę zbudowano w kształcie mniej więcej prostokąta, a otaczające ją mury miały jakieś trzy metry wysokości. Najwyżej cztery. Od biedy da się jakoś na nie wspiąć.

Lina. Powinni byli pomyśleć o zabraniu liny.

- Może po prostu przyszliśmy poza godzinami otwarcia - orzekł Yehoshuah. - To znaczy, może akurat się modlą albo...

- To mogliby przynajmniej wywiesić jakąś tablicę - warknął Stephen, chwycił kamień i znów podszedł do czarnych drzwi, by po raz trzeci dać o sobie znać.

Lecz właśnie, gdy miał unieść ramię, ktoś od wewnątrz odryglował przesłonę judasza. Klapka podniosła się i wyjrzało dwoje starych, zmęczonych oczu, przyglądając im się nieufnie, potem człowiek, do którego należały te oczy, powiedział:

- Idźcie!

Tylko to jedno słowo, potem klapka zamknęła się z powrotem, a odgłos przesuwania świadczył o tym, że rygiel wrócił na swoje miejsce.

- Coś takiego - wymamrotał oszołomiony Stephen.

- Hej! - krzyknął potem przez mur. - Przyjechaliśmy, żeby zobaczyć lustro, które przechowało obraz Jezusa!

Ponury mur wznosił się przed nimi niczym obronny wał średniowiecznej twierdzy, pozostawał niemy i niezgłębiony.

- Pewnie nie zrozumiał - powiedział Yehoshuah.

- Jak to? - spytał Stephen. - Przecież dopiero co mówił po angielsku.

- No tak - zgodziła się Judith. - Powiedział *Leave!* To nie za wiele angielskiego.

- Więc dobrze. To powtórz to po hebrajsku.

W tym momencie za drzwiami dało się znów słyszeć poruszenie, inne, poważniejsze. Przesuwano

większą zasuwę, coś stuknęło, być może metalowy pierścień, potem ktoś zaczął szarpać od wewnątrz. Drzwi nie poddawały się, ciężkie bale, z których wyciosano je przed wiekami, stękały, wreszcie otworzyły się z rozpaczliwym skrzypieniem.

Stało za nimi dwóch starych mężczyzn, wychudłych, dawno nie mytych eremitów, boso, chude ciała osłonili prześwitującymi, wytartymi habitami, które kilka dziesięcioleci wcześniej zapewne były czarne. Na pierwszy rzut oka przypominali więźniów gułagu, nędzarzy ocalonych z obozu koncentracyjnego. A przecież ich oczy świeciły przyjaznym, żywym blaskiem, jakiego Stephen nie widział nigdy wcześniej, a postawa promieniowała niesamowitą siłą, stojącą w zaskakującej sprzeczności z nędznym wyglądem. Wydawało się, że nie przywykli wiele mówić.

Jeden z nich otworzył już usta, przełknął jednak, jakby wpięty musiał przypomnieć sobie słowa, których nie używał od zamierzonych czasów.

- Od trzydziestu lat - powiedział w końcu - nie otwierano tych drzwi. Wtedy ja byłem tym, który stał przed nimi. Wejdźcie.

Główny orszak pościgu był jakąś godzinę za pierwszym samochodem. Po tym, jak Stephen Foxx i jego towarzysze minęli Beer Szewc, w drogę ruszył też Ryan, by przyłączyć się do swych ludzi.

Potem nadszedł meldunek, że Jeep opuścił drogę do Ej-lat. Za pierwszym razem skręcił najwyraźniej w niewłaściwym miejscu i ścigający niemal zdradzili swą obecność, gdy właśnie już mieli pojechać śladem Jeepa, szczęśliwie przez lornetkę zauważyli, że wraca tą samą drogą. Gdyby nie zachowywali tak dużego odstępu, byłiby w tym momencie na szutrowej drodze, a tak mogli jednak przejechać dalej i po kilku kilometrach ukryć się w zatoczce parkingowej, gdzie przeczekali, aż wóz z trójką młodych ludzi ponownie ich wyprzedzi.

Dwanaście kilometrów dalej Jeep ostatecznie skręcił na pustynię. Na szczęście zostawiał na pokrytej kurzem trasie ślad, widoczny, jakby przeszło tamtędy stado słoń, gdyż jadący normalnym samochodem osobowym pościg został daleko w tyle.

- Musiał planować to od samego początku - Ryan meldował przez telefon Kaunowi, mijając z zawrotną prędkością Hebron. - Dlatego wynajął Jeepa.

Potem, głęboko we wnętrzu pustyni, odkryli wóz, stał porzucony na zasypanym żwirem zboczku, a nad nim ujrzeli ponurą, mroczną budowlę, tkwiącą między zwietrzałymi skałami niczym orle gniazdo. Ukryli swój zakurzony, okrutnie zmaltretowany pojazd za wielkim skalnym blokiem i obserwowali mozolną wspinaczkę trójki młodych ludzi.

- Nic nie róbcie - rozkazał telefonicznie Ryan. - Zbierzemy się pod górą i pójdziemy razem.

Ruch na drodze do Tel Awiwu posuwał się bardzo powoli. Peter Eisenhardt siedział na tylnym siedzeniu, obok postawił swoją podróżną torbę i patrzył przez okno na krajobraz, osobiście obcy i znajomy zarazem. Słońce świeciło tu jaskrawiej i bardziej biało niż w domu, uboga zieleń była bledsza, bardziej spragniona. Przypomniały mu się filmy według Karola Maya i pewien monumentalny film biblijny, który oglądał jako czternastolatek na Wielkanoc, leżąc z gorączką na kanapie w salonie. Widok grubych stolarskich gwoździ wbijanych w nadgarstki Jezusa przesładował go w gorączkowym półśnie.

Czy jeszcze kiedyś stanie na tej ziemi? Raczej się na to nie zanosi, jest zbyt mało skory do podróży.

- Czy będziemy na czas? - zapytał dwóch milczących goryli na przednich siedzeniach.

- Niech pan się nie martwi - powiedział ten na siedzeniu pasażera, rozciągając słowa jak gumę do żucia.

- Wszystko jest wkalkulowane.

- Czy pan wie, o której wyląduję we Frankfurcie?

W tył wyciągnęła się ręka, podająca mu kopertę z biletem na samolot.

- To pańskie papiery.

Eisenhardt studiował bilet. Choć tłumaczył sobie, że to nie jego problem, mimowolnie oblał się potem. Przydrożne tablice podawały, że do Tel Awiwu zostały jeszcze trzydzieści dwa kilometry, a w tej chwili otwierano już pewnie okienka *check in* na jego lot. Do tego co za lot - poleci do Aten, stamtąd do Mediolanu, tam kilka godzin przerwy i dopiero około jedenastej wieczorem będzie we Frankfurcie.

- Przepraszam - coś mu przyszło do głowy. - Na pewno macie panowie ze sobą telefon? Muszę koniecznie zadzwonić do żony. Ona jeszcze nie wie, że dziś wracam, a musi odebrać mnie z lotniska.

Dwóch ochroniarzy wymieniło pytające spojrzenia. Kierowca, najwidoczniej mający w tej dwójce decydujący głos, westchnął przeciągle i skinął przyzwalająco głową. Na ten znak jego sąsiad wyjął z kieszeni marynarki telefon i podał go pisarzowi na tylne siedzenie.

W pierwszej chwili, gdy weszli przez wąską szczelinę drzwi, zdawało im się, że trafili do oazy. Zewnętrzny mur klasztoru otaczał mniej więcej prostokątny obszar i pełnił rolę jakby więziennego ogrodzenia, zamykającego wewnątrz całą zieleń tej okolicy. Przez jedną szaloną chwilę Stephenowi przemknęła przez głowę myśl, że może to dlatego na zewnątrz ziemia jest tak naga i pozbawiona życia. Rozchodził się zapach ziół, świeżej ziemi, nawozu. W każdym narożniku klasztorowego ogrodu przykucała pod murem zwietrzała, niska chatka, każda pięćdziesiątka ziemi między nimi podzielona była na grządki, na których mnisi uprawiali wszystko, co potrzebne im do przeżycia. Stephen widział zboże,

cebule, fasolę i buraki, między nimi rozmaity zieloninę, której nie potrafił zidentyfikować. Wszystko to wyglądało bardziej niż skromnie, mimo to była tam też grządka, i to nie ta najmniejsza, na której rosły kwiaty!

W sumie mieszkało tu chyba siedmiu mnichów, sami staruszkowie, wychudli i krusi jak suszone kwiaty. Przygarbieni stali między grządkami i ciekawie gapili się na nich, kołysząc na piersiach proste, stare drewniane krzyże, zawieszane na włóknistych sznurkach. I we wszystkich oczach żarzył się ten sam ogień, jaki Stephen odkrył w spojrzeniach tamtych dwóch, którzy przywitani ich w drzwiach: żar, który wydawał się o wiele za gorący dla tych zużytych ciał, iskra, każąca wierzyć, że zmieni się w nigdy nie gasnący ogień, gdy tylko opuści swą powłokę.

Jednak w chwili, gdy przez drzwi weszła Judith, spojrzenia zmieniły się, nabrały pożądlivego, głodnego, niemal wilczego wyrazu - by po kolejnym uderzeniu serca zabarwić się ołowianą wrogością, za którą namiętności, o których od dawna sądzili, że udało im się je pokonać, znów trzeba było zepchnąć w ciemne, niezbadane obszary duszy.

Stephen spojrział na Judith. Pomijając fakt, że miała kobiece kształty i długie włosy, nie wyglądała w najmniejszym stopniu uwodzicielsko. Pewnie przeszłaby całe Mea Shearim, nie ściągając na siebie ani jednego krzywego spojrzenia.

Niech piekło pochłonie te wszystkie religie, pomyślał z pogardą Stephen. *Wszystkim im wydaje się, że mogą pouczać innych, jak właściwie żyć - ale sami nie są w stanie poradzić sobie nawet z najprostszą zasadą życia i jego podstawą, z seksem.*

Światło nie zgasło tylko w oczach jednego z mnichów, na którego mimowolnie skierował wzrok Stephen. Stał tam, drobny staruszek, spokojnie opierając się na szpadlu, którym wcześniej pracował i spoglądał na nich przyjaznym, otwartym spojrzeniem, promieniującym ciepłem i przychylnością.

- Wołaliście coś - powiedział mnich, który im otworzył - o tym, jaka przyczyna was tu przywiodła...

Stephen odwrócił się do niego. Po wymowie można było poznać, że ten człowiek jest Anglikiem. Mimo że musiał przekroczyć już sześćdziesiątkę, miał gładką, okrągłą jak księżyc w pełni twarz, gęsty krąg ciemnych włosów i niemal żadnej brody, a w jego sposobie bycia i ruchach było coś, co pozwalało mniemać, że mają do czynienia z szefem.

- Tak, po pierwsze dziękujemy bardzo, że byliście tak mili i przyjęliście nas - rozpoczął i zauważył, że mimowolnie wpadł w ton, jakiego zwykł używać w rozmowach biznesowych. - Nazywam się Stephen Foxx, pochodzę ze Stanów Zjednoczonych. Moi towarzysze to Judith i Yehoshuah Menez, dwoje archeologów z Izraela. My...

- Och, przepraszam. - Mnich wyciągnął dłoń. - Jak nieuprzejmie z mojej strony. Tak rzadko nas ktoś odwiedza. Czy mogę przedstawić moich współpracowników?

Przechodzili od jednego do drugiego i wymieniali imiona mnichów, wszystkie łacińskie i trudne do zapamiętania. Stephen zanotował w myślach tylko imię przeora, Gregor, i imię mnicha ze szpadlem i nieskazitelnym spojrzeniem, Felix. Poza bratem Gregorem wydawał się być tu jedynym zakonnikiem mówiącym po angielsku.

Wprawdzie z bliska robił wrażenie, łagodnie mówiąc, dość zużyte. Gdy Stephen podczas prezentacji uprzejmie skinął głową, Felix oznajmił z przyjazną stanowczością:

- Słowa starzeją się, lecz prawda jest zawsze świeża jak nowo narodzone dziecko.

- Słucham? - wyrwało się zmieszanemu Stephenowi. Ale Felix tylko się uśmiechnął, mrugnął do niego porozumiewawczo i zajął się swoim szpadlem. Pracował nim niezwykle zręcznie, prawie jakby tańczył. Osobliwe ptactwo, pomyślał Stephen. Osobliwe ptaki w osobliwym orlim gnieździe.

Gregor poprowadził ich przez klasztor po wąskich ścieżkach wydeptanych między grządkami

- To nasza kaplica - powiedział, wskazując na walać się chatę w kącie przeciwległym do wejścia, obrócił się potem w bok i wyciągnął ramię w stronę równie podupadłej chatynki ze skośnym dachem: - Tam są nasze cele, obok refektarz i kuchnia. Nie używamy ognia.

- A to? - spytał Stephen, patrząc na niską murowaną budowlę, którą Gregor najwyraźniej chciał pominąć. Mnich ociągał się chwilę, potem poprowadził ich do niej i otworzył niskie drzwi.

- To kostnica - oznajmił.

Ujrzeni makabryczny widok. Pomieszczenie, do którego wetknęli głowy, przypominało spiżarnię albo szopkę na narzędzia, tylko że na długich regałach pod ścianami zamiast narzędzi albo stoików z zaprawami leżały ludzkie kości, starannie posortowane według rodzaju i wielkości, na jednej półce piszczele, na drugiej kości miednicy, na tej tylko żebra, na tamtej same czaszki, małe kostki dłoni i stóp w skrzynce, w drugiej kręgi kręgosłupa.

- Gdy któryś z naszych braci umrze, grzebiemy go i ciało pozostaje w ziemi aż do całkowitego rozkładu - wyjaśnił Gregor niemal radosnym głosem. - Potem kości są wykopywane, czyszczone i składane tutaj. Znajdują się tu śmiertelne szczątki wszystkich mnichów mieszkających w klasztorze, odkąd istnieje.

- Aha - mruknął Stephen i skrzywił się. Imponująca liczba. Gdyby tylko nie wyglądało tu jak w cholernym magazynie części zamiennych!

Zamknęli z powrotem drzwi, odetchnęli i mrużąc oczy spojrzeli w migocące słońce. Wtedy brat Gregor powrócił do swego pierwszego pytania: co ich sprowadza?

- Chcemy zobaczyć lustro, które przechowało wizerunek Jezusa - Stephen powtórzył to samo, co wcześniej krzyczał przez mur.

Brat Gregor skinął z poważną miną.

- Słyszałem o tej legendzie. Lecz niestety, jest to właśnie i tylko - legenda.

- Mówi się, że lustro od czasu wypraw krzyżowych znajduje się w tym klasztorze.

- Przykro mi. U nas nie ma, dokładniej mówiąc, żadnego lustra.

Stephen przyglądał się brodatemu obliczu pobożnego staruszka, raptem zdającemu się zmieniać w nieprzeniknioną maskę. Czy to możliwe? Czy ten mnich mógłby *mówić fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu swemu*?

- Dysponujemy - zagrał pokerowo - dość pewnymi wskazówkami, że owa legenda opisuje całkiem konkretny, rzeczywisty przedmiot i że ten przedmiot ukryty jest tutaj. Sądzymy nawet, że ten klasztor został swego czasu zbudowany tylko po to, by ukryć tę rzecz.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić. Ten klasztor wybudowali wiele wieków temu mężczyźni, którzy pragnęli wycofać się ze świata i poświęcić wyłącznie kontemplacji Boga - sprzeciwił się brat Gregor. - W sensie duchowym, rozumie się.

W tej samej chwili w kieszeni spodni Stephena coś zadzwoniło.

- Co to znaczy? - zdziwił się mnich.

- To znaczy, że nie jesteście tu tak odlegli od świata, jak się wam zdaje - odparł Stephen i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Naprawdę zadziwiające, że w głębi pustyni miał zasięg. Z drugiej strony, co jak co, ale pustynia na pewno jest miejscem, gdzie z najwyższym prawdopodobieństwem można znaleźć się w sytuacji, w której przydatny okaże się telefon alarmowy. - To telefon.

Mnich wytrzeszczył oczy.

- Telefon? - Wydawało się, że z trudem przypomina sobie, co to w ogóle jest. - W kieszeni?

- Tak. Bardzo praktyczna rzecz. - Stephen nacisnął na właściwy przycisk i podniósł urządzenie do ucha:

- Halo?

Głos po drugiej stronie był cichy, zniekształcony szumami i niewyraźny, lecz go rozpoznał. Minął właśnie jeden dzień od chwili, gdy ten sam głos już raz zadzwonił do niego niespodziewanie.

Był to głos Petera Eisenhardta.

- Przepraszam, czy to centrala międzynarodowa?

33

KLASZTORY. Chrześcijańskie formacje zakonne powstały w III w.n.e. w Egipcie. W miarę, jak rozprzestrzeniały się na teren Palestyny, zróżnicowały się dwa typy zakonników: anachoreci i ce-nobici. Anachoreci żyli w tzw. eremach, tzn. każdy mnich mieszkał we własnej pustelni, np. leżącej na uboczu chacie albo jaskini. Ce-nobici natomiast wiodli życie klasztornej wspólnoty. Pierwszy klasztor powstał około 33 r.n.e. w okolicy Gazy.

Avraham Stern,
Leksykon archeologii biblijnej

- Mówi Stephen Foxx - odpowiedział zbity z tropu Stephen. - Czy to pan, Eisenhardt?
 - Tak - odpowiedział głos Eisenhardta. - Chciałbym zadzwonić do mojej żony.
- Stephen zrozumiał. Rozmowa w bibliotece. To zdanie. Sam je zaproponował jako sygnał alarmowy.
- Panie Eisenhardt, czy może pan swobodnie rozmawiać?
 - Nie - odpowiedział pisarz.
 - Ale dzwoni pan, bo Kaun jest na naszym tropie? -Tak.
- Judith i Yehoshuah patrzyli na niego zdziwieni. Mnisi spoglądali jak na szaleńca - człowiek mówiący sam do siebie z dłonią przy uchu! Stephen ogarnął wzrokiem wysoki klasztorny mur, stary już wówczas, gdy Kolumb ruszał w swą podróż na ocean, nad nim bezchmurne, jaskrawoniebieskie niebo zdające się sięgać wieczności oraz rozproszonych wśród wątych roślin mnichów: tak, w tym naprawdę tkwiło jakieś szaleństwo.
- Czy Kaun szuka nas jeszcze w Jerozolimie? - dopytywał się Stephen.
 - Nie! - dobitnie krzyknął Eisenhardt i dodał, niby ponaglającym tonem: - Proszę posłuchać, dzwonię z samochodu, jestem w drodze do Tel Awiwu. Mój samolot niedługo odlatuje, a moja żona jeszcze nie wie, że dziś wracam. To ogromnie ważne, bym dodzwonił się do niej jeszcze przed startem...
 - Kaun odesłał pana do domu? -Tak.
- To mogło znaczyć tylko, że milioner uznał, iż nie jest już zdany na przemyślenia pisarza. Podejrzenia, że oni dwaj są w kontakcie, Kaun raczej nie powziął, w przeciwnym razie Eisenhardt z pewnością nie miałby możliwości zatelefonować.
- Panie Eisenhardt, muszę wiedzieć, co Kaun wie. Proszę spróbować jakoś dać mi do zrozumienia - nalegał Stephen.
- Wyglądało na to, że pisarz ułożył to sobie wcześniej.
- Powiem pani teraz numer samochodu - powiedział i poprawił się: - Przepraszam, powiedziałem numer samochodu? Oczywiście, że chodzi mi o numer telefonu.
- Stephen myślał gorączkowo. Co Niemiec chce przez to powiedzieć?
- Czy to znaczy, że Kaun zna nasz numer rejestracyjny?
 - Tak, dokładnie.
 - Jesteśmy już śledzeni?
 - Tak, oczywiście. - Ktoś w tle odezwał się i Eisenhardt coś na to odpowiedział, lecz jego słowa utonęły w szumach.
- Co to znaczy? Niech to diabli, co to znaczy? Kaun wie, jaką rejestrację ma ich samochód, okay. Takiego czegoś można się dowiedzieć, jeśli ktoś nazywa się John Kaun. Lecz jak wpadł na ich ślad? To musiał być głupi przypadek.
- Eisenhardt powoli mówił numer telefonu w Niemczech, może chcąc mu dać czas do namysłu. Stephen pobiegł sprintem do drzwi klasztornych, wciąż jeszcze nieodkniętych i krzywo wiszących na starych zawiasach, wyszedł i na zewnątrz przyciskając się ciasno do muru wbił wzrok w wąwóz, z którego przyszli. W słuchawce coś ryzykownie stuknęło i trzaskało.
- Rzeczywiście. Tam, w dole. Ruch za jedną ze skał, delikatne migotanie. Ktoś już jest na ich tropie, cholera. Zbyt pewnie się czuli.
- Miał nadzieję, że jeszcze go nie zauważyli. Wsunął się z powrotem do środka klasztoru.
- Eisenhardt - odezwał się głosem, który zabrzmiał obco nawet w jego własnych uszach- oni już tu są. Już nas mają. Niech pan posłucha - nie wiem, co z nami robią. Na wszelki wypadek powiem panu, co wiem, żeby przynajmniej jedna osoba mogła świadczyć, co się z nami stało.
- Usłyszał, jak tamten przełyka.
- Tak, dobrze.
- Stephen tak krótko i zwięźle jak potrafił opisał mu, gdzie są i co ich tu przywiodło - skrytka za Ścianą Płaczu, tunel franciszkanów i legenda o lustrze.
- To lustro to kamera - zakończył. - Jeszcze jej nie znaleźliśmy, ale jestem pewien, że jest tutaj.
 - Rozumiem - usłyszał, jak Eisenhardt mówi powoli, wyraźnie pod wrażeniem. - W takim razie będę musiał później jeszcze raz spróbować. Bardzo dziękuję. - Połączenie zostało przerwane.

Stephen spojrział na telefon w swojej dłoni. Wskaźnik stanu baterii ukazywał żałośnie niski poziom energii. Wyłączył ją i wpuścił do kieszeni spodni, potem podniósł wzrok.

Widok mnicha czerpiącego w tyle ogrodu z niewielkiej studni wodę sprawił, że niemal zakręciło mu się w głowie. Skąd, na Boga, ci mnisi mają tu na szczycie góry wodę? Wszystko było takie dziwne. Stephen zamrugał i poszukał wzrokiem Judith i Yehoshui, znajomych twarzy, oni także patrzyli na niego zatroskani.

- Kaun wie, gdzie jesteśmy - powtórzył Stephen jak oglupiały kwintesencję całej rozmowy. - A na dole ktoś już jest. Śledzili nas.

Judith potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

- Powiedz... Przez cały czas wszystko jest tajne, tajne, supertajne - i nagle opowiadasz całą historię temu Eisenhardtowi?

- Tak - to przecież była sztuczka - dodał Yehoshuah. - Kaun wysłał Eisenhardta, żeby poszelecił nieco krzakami, trochę cię postraszył - a ty wszystko wygadujesz?!

Stephen wyrzucił oczami.

- Nie słyszysz? Śledzili nas, przez cały czas. Na dole już ktoś jest i czeka, aż wrócimy do wąwozu. To też sztuczka? Dość wyrafinowana, muszę przyznać. - Rozejrzył się. W murze nie było żadnych szczelin, którymi można byłoby wyrzeć, w ogóle nic, co mogłoby być pomocne w ocenie sytuacji. Ich jedynym sensem i celem było odgrozdzenie klasztoru od świata zewnętrznego.

Tylko że świat nie pozwolił się odgrozdzić.

- Eisenhardt użył hasła, które ja mu zaproponowałem

- mówił dalej Stephen. Przedstawił krótko okoliczności ich spotkania w Amerykańskiej Bibliotece. - Dla mnie to oznacza, że Eisenhardt zadzwonił do mnie z własnej inicjatywy. Gdyby Kaun go zmusił do rozmowy ze mną, nie musiałyby używać hasła.

- A co, jeśli spiskuje z Kaunem? - dalej drażył Yehoshuah. - Z własnej inicjatywy? Dla pieniędzy, na przykład? Takie rzeczy już się zdarzały.

- Wtedy przestanę wierzyć, że znam się na ludziach - mruknął Stephen. - Wycofam się z interesów i zmienię zawód na taki, w którym nie ma to znaczenia. Będę może pakowaczem w fabryce konserw albo śmieciarzem. - Przesunął obiema dłońmi po głowie. - A teraz skończcie już z tym *jeśli* i *ale*, bo mi to działa na nerwy.

Drogowskazy wciąż jeszcze wskazywały dwadzieścia kilometrów do Tel Awiwu, ale limuzyna zboczyła i skręciła na biegnącą poprzecznie drogę szybkiego ruchu i nagle, jak wyczarowane, pojawiło się przed nimi lotnisko Ben-Guriona. Eisenhardt zapamiętał je zupełnie inaczej. Czy rzeczywiście minął zaledwie tydzień?

Jego dwóch towarzyszy nie odstępowało go ani na krok, gdy już wysiadł z samochodu. Pozwolili mu samemu nieść torbę, ale eskortowali go aż do okienka *check-in* i stamtąd do kontroli bezpieczeństwa. Posiadali jakieś ważne dokumenty, zamachali nimi przed nosem patrzących nieufnie urzędników, co sprawiło, że pozwolono im przejść mimo nie dających się przeoczyć wypukłości pod marynarkami. Przynajmniej znali drogę do właściwego stanowiska.

Tam trzeba było czekać.

Jeden z nich, kierowca, ciemny blondyn z małym wąsikiem na górnej wardze, który przypominał trochę wielokrotnego mistrza świata w pływaniu na ostatnich igrzyskach olimpijskich, kupił sobie gazetę sportową i zagłębił się w lekturze.

- Muszę iść do toalety - powiedział Eisenhardt. Odpowiedzią było mruknięcie. Gazeta była ciekawsza. Drugi, który zajmował siedzenie pasażera, stał przed automatem do lodów i wnikliwie studiował rysunki różnych wafli. W wielkim szklanym gmachu, akumulującym słoneczne światło niczym cieplarniany tunel, panował przeraźliwy upał.

Eisenhardt podniósł się, człapiąc powoli powłókł się na poszukiwanie stosownych drzwi. Gdy skręcił za róg, zobaczył wiszący na ścianie automat telefoniczny.

Mimowolnie sięgnął ręką do kieszeni, wyczuł tam żetony telefoniczne, które zostały mu po rozmowie ze Stephenem Foxxem. W Niemczech do niczego się nie przydadzą. Lepiej wydzwonić je teraz.

W domu nikt nie odbierał. Wszyscy wyfrunęli i znów zapomnieli włączyć automatyczną sekretarkę! Eisenhardt spojrział na zegarek, doliczył godzinę, żeby otrzymać czas środkowoeuropejski i zastanowił się, gdzie też mogą być. Ach, tak, w szkole muzycznej. To znaczy, że wrócą dopiero, gdy jego stalowy ptak już uniesie się w powietrze.

Gdy wydłubywał z automatu niewykorzystane żetony, przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Myśl, która gwałtownie podniosła poziom adrenaliny w jego żyłach.

Był jeszcze ktoś, do kogo mógł zadzwonić.

Lecz w takim razie musi się pośpieszyć. I powinien poszukać raczej telefonu trochę bardziej oddalonego od jego dwóch aniołów stróżów.

Niewielka chmura pyłu pelząła po jałowej pustyni niczym tłusta brązowa gąsienica. Raz po raz można

już było dostrzec wzbijające kurz pojazdy.

- Jesteśmy tylko turystami - oznajmił Stephen Foxx.

- Usłyszeliśmy o tym klasztorze i chcemy go zwiedzić. Miałem ochotę zobaczyć w Izraelu jakieś miejsce, które nie jest znaną na całym świecie turystyczną atrakcją.

- Przenigdy ci w to nie uwierzą - ponuro prorokował Yehoshuah.

Stali jedno obok drugiego na skośnie przylegającym do muru, kruchym dachu chaty, w której mieściło się to, co mnisi nazywali refektarzem. Gonty trzeszczały pod ich stopami, ale wytrzymały. Przetwały stulecia. Najwyższa krawędź dachu znajdowała się tak wysoko, że komuś, kto stał na górze, klasztorny mur sięgał akurat do ramion.

- A jeśli nawet - stwierdził Stephen. - Słyszałeś przecież. Brat Gregor wstąpił do klasztoru trzydzieści lat temu. Przed trzydziestu laty kamery wideo zdarzały się najwyżej w powieściach science fiction. A od tamtej pory nie mieli żadnego kontaktu z resztą świata. Jak myślisz, co powiedzą mnisi, gdy Kaun ich zapyta o kamerę wideo?

- Kaun zapyta *ciebie*.

- Ja nic nie wiem o żadnej kamerze wideo.

- Ale sprzeniewierzyłeś list podróżnika w czasie. Stephen zrobił przesadnie niewinną minę, jakby właśnie ćwiczył.

- List? Podróżnik w czasie? O czym pan mówi, mój panie? Ja o niczym nie wiem.

- Nie ma dowodów - przytaknęła Judith. - List jest zniszczony i nikt nie może dowieść, że Stephen miał go kiedykolwiek.

- Są fotografie.

- Czy można udowodnić, że te zdjęcia pokazują list mający dwa tysiące lat, do tego jeszcze wydobyty z określonego grobu?

- Ale włamałeś się do Muzeum Rockefellera - upierał się Yehoshuah.

- Zgoda, panie sędzio - skinął głową Stephen. - To można mi naprawdę zarzucić i w tym przypadku przyznaję się do winy. Chciałem potajemnie obejrzeć jeszcze raz znaleźiska z sektora czternastego, do których broniono mi dostępu, choć jestem ich odkrywcą.

Milczeli. Przez chwilę słychać było tylko monotony pomruk chóru mnichów zgromadzonych w małej kaplicy na nabożeństwie. Brama klasztoru była znów zaryglowana, jakby uzgodniono już, że Stephen Judith i Yehoshuah chcą tu zostać na zawsze.

- No cóż - stwierdził w końcu Yehoshuah. - Więc moglibyśmy sobie po prostu pójść, prawda?

Było gorąco. Koszmarnie gorąco, bez żadnego podmuchu wiatru.

- Nie jestem jeszcze przekonany, że kamery naprawdę tu nie ma - odpowiedział Stephen. - Jedno jest pewne

- Kaun wywróci ten klasztor do góry nogami, zupełnie inaczej, niż zrobilibyśmy to my.

Chmura piachu zbliżała się, stawała się coraz bardziej przejrzysta. Było pięć pojazdów, pięć małych ciemnych punktów, przesuwających się powoli przez pustynię.

- A pomyślałeś już o tym - spytał w końcu Yehoshuah

- że ci mnisi mogą sami nie wiedzieć, że kamera tu jest?

Stephen skinął głową, nie odrywając wzroku od pościgu.

- Przez cały czas.

Nim bracia skończyli nabożeństwo i w milczeniu, gęsiego, przez niskie drzwi opuścili kaplicę, prześladowcy dotarli już do stóp góry. Naradzali się chwilę, z bagażników wyjmowali coś, co cholernie przypominało dużą ręczną broń palną i zaczęli wspinaczkę.

- Czcigodny ojciec - Stephen jeszcze raz spróbował szczęścia z bratem Gregorem - prześladowcy, o których mówiłem wcześniej, znaleźli nas. Są coraz bliżej. Szukają tego samego, co my, ale oni nie chcą tylko na to popatrzeć. Oni chcą to zabrać.

- Ponieważ tego, czego szukają, tutaj nie ma, nic nie dostaną - odparł brat Gregor.

- Proszę mi wierzyć - ci ludzie uwierzą w to dopiero, gdy poruszą każdy kamień w tym klasztorze i nic nie znajdą.

Mnich obrzucił młodego Amerykanina niechętnym spojrzeniem. Na twarzy zaczął mu drżeć niewielki mięsień.

- Najwidoczniej wasza obecność w klasztorze stanowi poważne zagrożenie pokoju naszej pustelni tu na górze

- skonstratował. - Przykro mi, że muszę was o to prosić, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli zaraz odejdziecie.

- Pragnęlibyśmy z całego serca, ale obawiam się, że to nie powstrzyma nieszczęścia.

- Co to znaczy?

Stephen zagryzł dolną wargę.

- Oni tu przyjdą. Obojętne, dokąd my pójdziemy i obojętne, co zrobimy. Przykro mi.

Z oddali, prawie jak dalekie wołanie orła, dobiegł zza muru krzyk. To była upiorna chwila, wszyscy troje widzieli, jak w oczach mnicha zamigotała panika. Tu nie było orłów. To był krzyk człowieka, wprawdzie niezrozumiały, lecz jego ton nie budził wątpliwości, rozkazujący, komenderował całą zgrają. Nadchodzili.

- Ale - stwierdził Gregor - to przecież nonsens. Po co ktoś miałby wyprawiać coś takiego w poszukiwaniu przedmiotu należącego do świata legend?

Stephen głęboko odetchnął. To właśnie był moment, w którym wszystko miało się ostatecznie rozstrzygnąć. Moment, w którym musiał kogoś przekonać. Teraz... albo nigdy.

- Ma brat rację - powiedział, składając ręce w błagalnym geście. - To byłby nonsens. Ale proszę, niech mnie brat dokładnie posłucha. My wiemy - podkreślam, wiemy - że pewien człowiek przemieścił się w czasie, mianowicie mniej więcej w czasie, w których zaczął nauczać Jezus. Ten człowiek miał z sobą kamerę wideo - to coś podobnego do kamery filmowej, tylko obrazy są zapisywane na taśmie magnetycznej, jak w magnetofonie - i nagrał film z Jezusem Chrystusem. Powtórzę jeszcze raz: to nie jest żadna teoria, to jest fakt. Czego dokładnie nie wiemy, to gdzie znajduje się kamera wraz z nagraniem.

- Przemieścił się w czasie? - mnich z niedowierzaniem kiwał głową. - Ale to przecież niemożliwe.

- To się zdarzyło. Chciałbym móc opowiedzieć teraz bratu całą historię, ale nie ma na to czasu. Jesteśmy tu, ponieważ podczas naszych badań natknęliśmy się na legendę o lustrze, które przechowało wizerunek Jezusa. Sądzimy, że chodzi tu w rzeczywistości o kamerę i wydaje nam się, że jest ukryta w tym klasztorze.

Twierdzenie, że brat Gregor stoi jak rażony piorunem, byłoby o wiele za ostrożne. Jego twarz zbladła jak popiół, nabrała niezdrowego koloru, policzki, przedtem tak zdrowe i jędrne, teraz obwisły zwiotczałe, nawet włosy jakby posiwiwały w jednej sekundzie.

- Ale - wyjąkał z wysiłkiem - ten klasztor wybudowano dopiero sześćset lat temu. To niemożliwe.

- Wcześniej kamera była ukryta w innym miejscu, akurat wtedy trafiła w ręce franciszkanów - pewnym głosem oświadczył Stephen, choć sam nie wiedział tego na pewno, jedynie podejrzewał. Zakreślił dłońmi w powietrzu przybliżone rozmiary urządzenia. - To musiały być prostokątny przedmiot, mniej więcej tej wielkości. Może jest w coś zawinięty albo zamknięty w większej skrzynce.

W spojrzeniu zakonnika pojawiły się niespokojne błyski.

- Gdzie mielibyśmy to schować? Łatwo przecież spostrzec, że tu nigdzie nie ma nic w tym rodzaju.

Stephen wymienił spojrzenia z Yehoshuą.

- Myśleliśmy pierwotnie, że kamera - a więc lustro - jest w klasztorze czczona jako relikwia. Lecz możliwe też, że została już dawno temu ukryta i ojciec nic o niej nie wie.

- Tutaj nic nie ma - powtórzył mnich i wskazał ku kaplicy. - Proszę, możecie obejrzeć ołtarz. - Sprawiał wrażenie, jakby miał lada chwila zasłabnąć.

Powoli Stephen sam zaczynał wątpić, czy kamera jest w klasztorze. Może w ogóle już od dawna nie istnieje? To przecież najbardziej prawdopodobne. Albo nadal spoczywa w Ścianie Płaczu. Może zbyt ochoczo pozwolił, by gadanina ojca Yehoshui odwróciła jego uwagę? Czy nie trafiła akurat w jego nastrój? Siedział sam, głodny, w hotelowym pokoju, dowiedział się właśnie, że ktoś, kogo dobrze znał, nagle i niespodziewanie zmarł... Oczywiście, była jeszcze obawa przed nurkowaniem w szybie. Przez trzydzieści lat nie znalazł się ani jeden śmiałek, który by się na to odważył - początkujący adept nurkowania miał się nad czym zastanawiać, zamierzając spróbować tego w pojedynkę. Czyż nie było najprostszym wyjściem powziąć nagle przekpnięcie, że kamery w ogóle nie ma na końcu owego niebezpiecznego tunelu, lecz leży sobie bezpiecznie w zalanym słońcem klasztorze na szczycie góry?

~ Tak - uprzejmie skinął głową Stephen. - Dziękuję. Chętnie rzucimy okiem na ołtarz.

Mnich obrzucił go spojrzeniem, w którym igrały błędne ogniki, potem skinął głową i zostawił ich samych. Odszedł do swoich współbraci, zbitych w gromadkę przed kostnicą niby strwożone stadko.

- Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać - orzekł przygnębiony Stephen. - Sama nasza obecność sprowadza na nich nieszczęście. Kaun rzuci się na nich jak sęp na padlinę. - Zajrzał w mały, murowany otwór studni, na głębokości około dwóch metrów zobaczył migotanie powierzchni wody. Prawdopodobnie zbiornik. To zadziwiająca zagadka tego miejsca: skąd mnisi mają wodę?

Spojrzenie Yehoshui prześliznęło się po trzech nagrobnych krzyżach obok kaplicy.

- Nawet John Kaun nie może zrobić wszystkiego, co zechce.

- Nie byłabym tego taka pewna - napomniała go siostra. Wskazała podbródkiem kostnicę. - Myślisz, że ci tam mają świadectwa zgonu? Nikt na całym świecie nie zauważy, jeśli ludzie Kauna dołożą jeszcze kilka zwłok.

- Przerażasz mnie - mruknął Yehoshuah.

- To dobrze - skrzywiła się Judith. - Dobrze. Wejście do kaplicy znajdowało się nieco poniżej reszty terenu, prowadziło do niej kilka grubo ciosanych stopni. Pomieszczenie, w którym odbywały się nabożeństwa, było zapewne kiedyś bielone wapnem, lecz z biegiem lat lekko sklepiony sufit pokryła czarna warstwa sadzy. Nie było do końca prawdą, że mnisi nie używają ognia. Na ołtarzu palił się mały

płomyczek, niezdarnie wytoczona z gliny oliwna lampka. Pośrodku wisiał krzyż, po prawej i lewej stronie stały kwiaty, jedyna ozdoba.

Sprawdzili ołtarz, lecz tworzył go jedynie ociosany prostopadle skalny głaz, przykryty cienką chustą. Kamera mogłaby być w nim ukryta, owszem, lecz równie dobrze mogłaby być ukryta w każdym dowolnym kamieniu całego klasztornego muru. Nie mieli żadnej możliwości, by to sprawdzić.

- Okay - powiedział Stephen. - Niniejszym ślubuję, że już nigdy nie będę snuł bezpodstawnych teorii. Powinniśmy...

Trzask przypominający uderzenie pejczem sprawił, że drgnęli. Cisza, jaka nastąpiła potem, brzmiała jak krzyk. Trzy pary przerażonych oczu spojrzały po sobie.

- Oh, *shit*...!

Wypadli z kaplicy na zewnątrz. Mnisi cofali się powoli, iak zahipnotyzowani, od bramy klasztoru, nie spuszczać ;ej z oczu. Kolejny trzask rozplątał klasztorną ciszę jak nienawistny cios siekiery, drewniane drzazgi poleciały z masywnych drzwi.

Stephen poczuł, jak wzbiera w nim gorąca fala strachu i wściekłości. Rzeczywistość przerastała najgorsze obawy.

- Wygląda na to, że przejście chcą sobie utorować strzelaniem - wyrwało mu się. - W ogóle nie mają zamiaru rozmawiać!

Rozpoczął się ciągły ostrzał, chóralny śpiew najrozmaitszych broni palnych, unisono biorące na cel klasztorne wrota. Stare, wyschłe w wiecznym pustynnym skwarze drewno kruszyło się, sypał się z niego kurz i drzazgi, stawało zadziwiający opór, lecz moment, w którym drzwi rozpadną się na kawałki i przewrócą do wewnątrz, wydawał się bliski.

- Brat Gregor zniknął - zauważyła Judith,

Stephen obejrzał się. Rzeczywiście, mnicha nie było wśród strwożonych braci przykucniętych za ścianą dormitorium. Przez jedną przerażającą chwilę sądził, że zobaczy go trafionego rykoszetem leżącego na jednej z grządek, lecz nie, była tam tylko narzucona szara ziemia. Wyglądało na to, że mnich się gdzieś ukrył.

To nie potrwa już długo. Silny strzał zgruchotał mocowanie żelaznego pierścienia, umieszczonego pośrodku drzwi i cisnął okucie przez ogród. Poprzez kakofonię szczekliwych strzałów dały się słyszeć pojedyncze krzyki. Pewnie rozkazy. Szykowano się do szturmu.

Potem raptownie strzelanina ustała.

Stephen wstrzymał oddech, czekał na piekło, które niewątpliwie miało nastąpić. Pewnie wysadzą drzwi. Zamiast tego, w niespodziewanej, po całym tym hałasie niemal przytłaczającej ciszy, wyraźnie dał się słyszeć dźwięk, który, jak sobie teraz uświadomili, już wcześniej przez cały czas z wolna narastał, niski, groźny warkot, huk wytwarzany przez maszyny o dużej mocy, coraz głośniejszy i coraz bliższy.

- Znam to - mruknęła Judith, pełna złych przeczuc. - Znam ten dźwięk.

I nagle w jednej chwili już tu były, ogłuszająco głośne, trzy wielkie, mroczne cienie. Dudniły, jakby miały rozsadzić niebo nad ich głowami, aż mimowolnie się pochyliły. Wokół nich wzbijał się w powietrze pył, wirowały liście i gałęzie.

W szyku bojowym nadlatywały trzy wojskowe helikoptery.

34

KLASZTORY. K. na górze Nebo zostały odkopane przez S.J. Sallera na zlecenie Studium Biblicum Franciscanum. Pierwsi mnisi zamieszkali w IV w. n.e. w dolinach wokół góry, zaś wielki kompleks klasztorny pochodzi z wieków 5-9. Należy tu wymienić zwłaszcza kościół z wieloma, położonymi jedna nad drugą, mozaikowymi posadzkami oraz spichlerz.

Avraham Stern,
Leksykon archeologii biblijnej

Stephen poczuł, jak jego dolna szczęka opada w dół w niemym zdziwieniu, lecz nie był w stanie nic na to poradzić. Oczy jak zahipnotyzowane śledziły trzy grzmiące śmigłowce w ciemnoniebieskim kolorze, wznoszące się znów jak wielkie, czarne ptaki, ciągnąc za sobą szarą, cuchnącą chmurę spalonej ropy. Wzbiły się szerokim łukiem, bez wątpienia kierując się ku klasztorowi.

Nagle poczuł się bardzo mały i bezsilny, jak mysz, która podniosła wzrok i zobaczyła toczący się wprost na nią parowy walec. Do czego doprowadził? Helikoptery rozdzieliły się; można było już dostrzec odsuwające się boczne drzwi i za nimi umundurowanych mężczyzn, czekających w pogotowiu, by wyskoczyć.

Oderwał wzrok, spróbował przez chwilę jasno pomyśleć. Czy to ludzie Kauna? Czyżby ściągnął im na kark izraelską armię? Pewno gdzieś już czeka uśmiechnięty szyderczo prawnik z długą, przygotowaną przez adwokatów Kauna listą zarzutów.

Również mnisi, skuleni w ukryciu, wzniesli twarze ku rozgrywającemu się na niebie spektaklowi, niczym kwiaty, zwracające płatki ku słońcu.

- To armia. Już po wszystkim - powiedziała Judith, lecz on bardziej przeczuwał jej słowa niż je słyszał, gdyż mówiła półgłosem, zaś śmigłowce zaczęły obniżać lot, siadając na placu przed klasztorem. Za chwilę przestanie słyszeć nawet to, co mówi sam do siebie.

Tak, niewątpliwie było po wszystkim. Stephen potoczył wokół wzrokiem. Czy jeszcze kiedyś zobaczy to miejsce? Najprawdopodobniej następne tygodnie, może nawet miesiące spędzi w więziennej celi. Oczywiście, jego ojciec nie odmówi sobie przyjemności bronienia go, lecz będzie musiał tu przyjechać, będzie musiał nawiązać współpracę z izraelskim adwokatem, wszystko to pochłonie ogromne sumy pieniędzy, pewnie cały majątek Stephena, o ile w ogóle wystarczy. Ale już po wszystkim. Mężczyźni, czekający w helikopterach -jeszcze całkiem małych i wysoko w powietrzu, lecz ich twarze było już widać jako jasne plamy - ci mężczyźni służą w armii, która wielokrotnie zadała niszczący cios przeważającym siłom arabskich agresorów. Nie mają przeciw nim nawet cienia szansy.

Pierwszy mnich stale zerkał ku kostnicy. Nie, na jego twarzy nie malowała się trwoga. Ten człowiek się nie bał. Raczej zastanawiał się, czy ma szukać schronienia w kostnicy, czy nie.

Stephen wstrzymał oddech, gdy zrodziło się w nim upiorne podejrzenie.

- Judith! - zawołał, przekrzykując świszczący hałas zwalnających płatów rotora. - Yehoshuah!

To ich jedyna szansa. I właściwie nie podejmą żadnego ryzyka, gdyż gra i tak już jest zakończona.

- Co jest? - odrzyknęła Judith.

- Chyba wiem, gdzie zniknął Gregor! - wrzasnął jej Stephen prosto w ucho.

- Co? - Potrząsała głową, wskazując na uszy. Było za głośno. - Nie rozumiem ani słowa.

Chwyił ją za rękę, pociągnął.

- Chodźcie! - krzyknął, wspierając zachętę stosowną gestykulacją.

Pobiegli za nim, a on pędem gnał do kostnicy, Judith ociągała się nieco, Yehoshuah wydawał się oszołomiony. Ale biegli za nim. Gdy otwierał zasuwę na drzwiach, czuł, jak drży mu w dłoni od hałasu. Judith pojęła jego zamiary i cofnęła się.

- Chodź! - krzyknął jeszcze raz, chwycił mocno za rękę i pociągnął za sobą. Potem wepchnął do wnętrza kostnicy Yehoshuah i zamknął drzwi. Z miejsca zrobiło się ciemno, lecz dobiegający z zewnątrz zgiełk wciąż był ogłuszający.

Wyciągnął podłużną kieszonkową latarkę i włączył ją, przesunął plamkę światła po regałach z makabryczną zawartością. Teraz chodziło o to, żeby szybko znaleźć to, czego szukał, cholernie szybko ...

- Co chcesz zrobić? - wrzasnął mu prosto w ucho Yehoshuah. Sądząc po jego wzroku, niezupełnie udawało mu się patrzeć na otaczające ich kości jak na czysto archeologiczne obiekty.

Stephen potrząsnął głową. Teraz zbyt trudno byłoby to wytłumaczyć. Sięgał ręką w regały, macał pod drewnianymi przegrodami, ostrożnie sprawdzał pęknięcia i sęki. Jak by to skonstruował, gdyby wówczas, w czternastym wieku, planował i budował takie urządzenie?

W czternastym wieku.

Dawno temu.

Ślady zużycia! Upadł na kolana, szukał z nosem tuż nad podłogą z desek, jak opętany centymetr po

centymetrze oświetlał ją latarką, ukośnie z boku, żeby wszystkie zadrapania i ślady szlifowania rzuciły długie cienie. A na zewnątrz helikoptery grzmiały, jakby właśnie miała nastąpić zagłada świata.

- Tutaj! - krzyknął, lecz nie usłyszał sam siebie. Wcisnął lampkę w rękę Yehoshui, który przytrzymał ją, wciąż nic nie rozumiejąc. Regał na frontowej ścianie pomieszczenia wytarł w drewnie podłogi koliste szczyrby. Gdzieś tu musi być zasuwa, zwykły rygiel, który byłoby w stanie poruszyć nawet artretyczne dłonie starego mnicha...

Nie wolno mu tylko się bać, musi bez trwogi włożyć rękę w sam środek stosu zimnych, koszmarnie gładkich kosteczek palców. Stephen macał tam w środku, aż znalazł dźwignię, pociągnął ją i wtedy regał otworzył się jak drzwi szafy.

W tej samej chwili przenikające do szpiku kości dudnienie helikopterów jakby przycichło. Cała trójka zaalarmowana spojrzała na siebie.

- Wylądowali przed klasztorem - krzyknęła Judith. - Teraz dławią prędkość obrotową rotorów na gotowość startową.

- Znow można było ją usłyszeć. Wciąż jeszcze było głośno jak na rockowym koncercie, lecz w porównaniu z tym, co działo się wcześniej, wydawało się wręcz cicho.

Za regałem zaczynały się schody z litej skały, schodzące w ciemną, nieprzenikloną głębię. Stephen znow wziął latarkę od Yehoshui i ruszył przodem. Cokolwiek miało się jeszcze wydarzyć na zewnątrz, w żadnym wypadku nie mieli czasu do stracenia.

- Gdy zobaczyłem, jak tamten mnich spogląda w kierunku kostnicy, znow mi się to przypomniało - wyjaśnił Stephen. Judith szła za nim, a Yehoshuah na górze zasuwiał regał z powrotem na miejsce. Usłyszeli, jak mechanizm zaskakuje i zrobiło się niemal cicho. Słychać było jedynie nieokreślony huk i szmery, choć nawet one stawały się z każdym krokiem coraz cichsze. - Ten klasztor zbudowali ludzie, którzy przez trzydzieści lat wykuwali w skale długi na pół mili szyb. Tu po prostu musiały być podziemne korytarze

- tajne podziemne przejścia. A gdzie mogliby lepiej ukryć wejście, niż w budynku pełnym kości?

- Myślisz, że możemy skryć się tutaj, aż powietrze u góry się oczyści? - spytał Yehoshuah.

Stephen pokręcił głową.

- Nie. Myślę, że gdzieś tu na dole musi być brat Gregor i chciałbym dowiedzieć się, co on robi.

Schody wkrótce skończyły się w przypominającym katakumby korytarzu, który rozchodził się w dwóch kierunkach. Stephen zatrzymał się, poczekał, aż Judith i Yehoshuah znajdą się przy nim, dał im potem znak, by byli cicho i wyłączył na chwilę latarkę.

Z prawej strony dobiegał niesamowity, rozbrzmiewający echem dźwięk, jakby woda kapiała do rozwierającej się szeroko jaskini stalaktytów. Stephen poczuł silniejsze bicie serca.

- W prawo - szepnął.

Nad ich głowami zadudniły kroki, podłoga lekko zadrżała. Co, na miłość boską, dzieje się tam na górze? Stephen odepchnął od siebie tę myśl, oświetlił drogę.

Korytarz rozszerzył się w owalną sień. Czuło było wilgocia i stęchlizną, i panował niezwykle chłód. Świetlny palec przesunął się po starych drewnianych drągach i kołach, po łańcuchach i hakach, pośrodku podłogi napotkał urwistą krawędź otworu, w głębi którego zniknął łańcuch, zaś jego wnętrze zdawała się wypełniać niezgłębiona, mglista czerń.

- Ostrożnie - ostrzegła Judith, gdy Stephen podszedł bliżej do dziury, starając się przeniknąć czerń promieniem światła latarki.

- To musi być studnia - zdziwił się Stephen. Oświetlił potężne koło zawieszone na konstrukcji powyżej i próbował oszacować, jak długi jest nawinięty na nie łańcuch. - Niesamowicie głęboka studnia, prowadząca do samego serca góry.

Po przeciwległej stronie, w podłodze wykuty był przypominający lejek otwór, prowadzący do szczeliny w skale, za którą słychać było chlupot. Najwidoczniej tędy nabierano wody i przelewano ją do zbiornika, z którego potem z góry czerpano ją do ogrodu i przygotowywania jedzenia.

Lecz skąd brała się ta woda? W samym środku pustyni.

- Pod pustynią Negew - powiedział Yehoshuah, jakby czytał w jego myślach - znajdują się duże zasoby wody z epoki lodowcowej. W tej górze musi być coś w rodzaju naturalnej szczeliny schodzącej aż do tego zbiornika, to jedyne wytłumaczenie.

- Tak - zgodził się Stephen. - Z całym szacunkiem, nie sądzę, żeby mnisi wykuli także tę studnię. Nawet dla nich musiało być jasne, że szczyt góry nie jest odpowiednim miejscem na budowanie ujęcia wody.

- Poświęć tutaj. - Yehoshuah przyklęknął tuż przy rozdziawionej paszczy połyskującej, czarnej dziury, tak blisko, że mogło się zakręcić w głowie na ten widok, i badał palcami podłoże. - Tutaj. Pęknięcie. Prawdopodobnie przecina całą górę. Możliwe, że wytworzyły się pionowe naczynia, które wessały wodę z podziemnego zbiornika na dostępną wysokość. - Robił wrażenie, jakby zupełnie zapomniał, że ktoś chce ich pojąć, a oni uciekają. - Fascynujące. Trzeba by sprawdzić, czy...

- Tak, tak. - Przerwał mu niecierpliwie Stephen. Poświęcił dookoła. Było tylko to jedno pomieszczenie z

imponującą studnią, zaś korytarz, którym przyszli, stanowił jedyne dojście. Znaczyło to, że jeśli brat Gregor rzeczywiście ukrył się gdzieś na dole, musi być w korytarzu skręcającym od schodów na lewo. Wracając tą samą drogą słyszeli odgłosy dobiegające z góry. Szybkie kroki, łoskot - jakby ktoś walczył. Lecz czy starzy mnisi, zakładając, że chcieliby podjąć walkę, byłiby w stanie z kimkolwiek się mierzyć? Minęli schody, weszli do drugiego korytarza. Ten zataczał szeroki luk opadając lekko w dół. Odgłosy znów zamilkły, otoczyła ich przytłaczająca cisza. Zdawało się, jakby zstępowali do łona ziemi, do zimnego, cichego, utworzonego ludzką ręką Hadesu.

Raptownie Stephen stanął.

- Pst! - Syknął, gdy Judith wpadła na niego od tyłu i już zbierała się do ofuknięcia go, równocześnie wyłączył lampkę. Gdy wokół nich zapanowała doskonała ciemność, wstrzymali oddech.

Yehoshuah ze świstem nabrał powietrza, tak był przerażony. Panująca tu ciemność nie była doskonała. Z przodu, w nieokreślonej odległości, bardziej go przeczuwając niż doświadczając, można było dostrzec ledwie zauważalny poblask światła.

Wśród połyskującego perłowo mroku Stephen uświadomił sobie nagle, jakie uczucie opanowywało go, odkąd zaczęli schodzić po schodach. Uczucie, zdające się wpełzać między żebra a płuca niczym łagodny, rwący ból, wzmagające się w miarę, jak posuwali się do przodu: prosty, zwykły strach. Strach, który chciał zmusić go, by zatrzymał się i zawrócił. Strach, szepczący niesłyszalnym głosem, że to zupełnie niepotrzebne, co tu wyprawiają, że równie dobrze mogliby po prostu wrócić na górę i dać się pojmać, że powinien już poniechać wysiłku, w końcu zrobił, co było w jego mocy, nie było nic, co mógłby sobie zarzucić. Nie było najmniejszej potrzeby, żeby iść choćby jeszcze o krok dalej.

Stephen powoli i starannie nabrał powietrza, równie starannie je wypuścił. Bezgłośnie. To dziwne - coś się przesunęło w napędzającej go wiecznie nierozwikłanej płataninie obaw, życzeń, pragnień i tęsknot. Jeszcze niedawno, gdy dotarli do stóp klasztornej góry, był ogarnięty wielkim strachem i to on pchał go do przodu. Co, jeśli coś przeoczył? Jeśli zrobił błąd? John Kaun go wyprzedził? Jeśli może nigdy nie dane mu będzie zobaczyć kamery?

Teraz trwoga nagle zmieniła oblicze. Teraz oznaczała: co będzie, jeśli naprawdę znalazł to, czego szukał?

Rozległo się pstryknięcie, gdy ponownie zaświecił latarkę.

Nie musieli mówić do siebie ani słowa, starali się stapać możliwie najciszej. Dalej, stopa za stopą, wciąż dalej w głąb krainy strachu, wciąż dalej naprzeciw trwodze. Ze stęchłym odorem studni stopniowo coraz bardziej mieszał się ciężki, obcy zapach, coś jakby kadzidło i mirra, coś, co przywodziło na myśl katedry i wielotysięczne chóry śpiewające chorały we wznoszących się wprost ku niebu kościelnych nawach.

Ktoś nucił.

Ten dźwięk przeniknął całe ciało Stephena niczym prąd elektryczny. Ktoś nucił, brzmiało to jak osobliwie niemelodyjna pieśń, niski, mrukliwy męski bas, zatopiony w wewnętrznym skupieniu. To nucenie wypełniało powietrze swą cichą, lecz intensywną obecnością, rodziła się obawa, że ktoś, od kogo pochodzi, mógłby umrzeć z przerażenia, gdyby zaskoczył go w tej chwili.

Nucenie przycichło na moment, gdy dotarli do grotty.

Pomieszczenie nie było duże, niewiele większe od izby wokół studni, wykute w litej skale. W pierwszej chwili Stephenowi przypomniaty się niezliczone historie z arabskich bajek, w których aż kłębi się od tajemnych, przepelnionych bogactwem skarbców. Trzy olejne lampki płonęły na ołtarzu, całkowicie zastawionym złotymi kielichami, obok nich połyskujące złotem świeczniki, rozłożyste krzyże, wielkie ikony o wspaniałych kolorach i złotych wykończeniach oraz ogromne, ręcznie pisane biblie, wszystko to ułożone w stosy na niezliczonych, mniejszych i większych, tkanych lub wiązanych kobiercach pokrywających podłogę.

Przed ołtarzem, klęcząc na jednym z dywanów, modlił się jeden jedyne człowiek: brat Gregor.

Stali w milczeniu, porażeni niespodziewanym widokiem imponującego przepychu, nie wiedzieli co mają zrobić lub powiedzieć.

Brat Gregor ponownie spuścił głowę, przeżegnał się trzykrotnie, podniósł z kolan niezgrabnymi, mozolnymi ruchami i zwrócił ku nim, jakby ich oczekiwał. Może to z powodu oświetlenia, a może mroczne światło wydobyło po prostu na jaw prawdę niewidoczną w świetle dnia, lecz teraz jego twarz poorana była głębokimi zmarszczkami zatroskania, które sprawiały, że wyglądał niezwykle staro.

- Znaleźliście je - powiedział zmęczonym głosem. Stephen musiał odchrząknąć, nim był w stanie coś odpowiedzieć. Język zrobił się gruby i kluchowaty.

- Znaleźliśmy? Co znaleźliśmy?

- Lustro, które przechowało wizerunek naszego Pana

- wyjaśnił stary mnich i wskazał dłonią na małą, zupełnie pokrytą złotem i inkrustacjami skrzynkę pośrodku ołtarza.

- Oto ono.

Uri Liebermann po zakończeniu rozmowy jeszcze przez pięć minut trzymał w dłoni słuchawkę telefonu,

wpatrywał się w niebieską tapetę przed oczyma i zastanawiał, co ma zrobić. Czy w ogóle ma coś zrobić. Gdyż historia, którą Peter Eisenhardt opowiedział mu pośpiesznymi, urywanymi zdaniami, była po prostu zbyt fantastyczna.

Przypomniał sobie, jak przypadkiem poznał niemieckiego pisarza podczas lotu z Frankfurtu do Tel Awiwu. Niepozorny, niezdrowo bladej i z wyraźną skłonnością do otyłości, Eisenhardt nawet w połowie nie robił takiego wrażenia jak wymuskana fotografia, której jego wydawnictwo użyło na obwolucie książki i w reklamach. Rozmawiali chwilę uprzejmie, potem odstawił swoją sztukę z aparatem cyfrowym i minikomputerem, którą często popisывał się przed ludźmi

- do tej pory każdy z poznanych w samolotach prominentów przypominał go sobie z jej powodu, gdy trzeba było ponownie nawiązać kontakt - i na tym cała sprawa była dla niego tymczasem skończona.

Jednak pisarz zgłosił się już następnego dnia z prośbą o przysługę, o sprawdzenie danych dotyczących pewnego brytyjskiego badacza przeszłości, od dziesięcioleci grasującego po Izraelu. Nie szkodzi, to tylko drobna robótka. Właściwą pracę wykonał oczywiście komputer. Poza tym, dlaczego nie, ostatecznie niewielka notatka ze zdjęciem powiększyła jego kasę o więcej, niż zaledwie kilka szekli.

A teraz to. Dzwonię z lotniska, wysyczał Niemiec, pośpiesznie dodając, że jest pilnowany, ale udało mu się na chwilę zmylić strażników.

- Okay- lakonicznie odpowiedział Liebermann i przełączył automatyczną sekretarkę swojego telefonu na nagrywanie - niech pan mówi.

Gdy słuchał, szczęka opadała mu coraz niżej, pod koniec musiał wyglądać jak debil. „Cóż za szalona historia! Podróżnik w czasie... kamera wideo... amerykański multimilioner, polujący na antyczny film z Chrystusem... i młody student, zawsze o głowę przed nim...

Absolutnie *meshugel*

Wprawdzie ten człowiek właśnie tym zasłynął, pisaniem powieści science fiction. Może był pijany. Albo gorzej. W każdym razie wskazana jest ostrożność.

Z drugiej strony... Czy Izrael nie jest krainą cudów? A gdzie dym, tam może być i ogień. Nawet jeśli pominąć cały absurd, zostawało jeszcze sporo, czemu warto byłoby się przyjrzeć bliżej. Liebermann odłożył słuchawkę na widełki tak starannie, jakby zmieniła się w miśnieńską porcelanę, cofnął taśmę i jeszcze raz wszystko odsłuchał.

- Co za fantazja - wymamrotał, skrobiąc kilka słów na kartce z bloczka obok automatycznej sekretarki. Wygląda na to, że w istocie chodzi o archeologiczny artefakt, poszukiwany przez rozmaitych cudzoziemców, do tego bardziej niż wątpliwymi środkami i metodami, nie mówiąc o zamiarach.

W Izraelu archeologia jest czymś więcej, niż tylko nauką o przeszłości. Znaleziony na wykopaliskach obiekt może potwierdzić przekonania religijne czy też polityczne - bądź nimi wstrząsnąć. W tym regionie, gdzie partie walczące o władzę i wpływy opierają swe żądania na wydarzeniach czasem nawet sprzed tysięcy lat, archeologia jest również polityką.

Dlatego Uri Liebermann otworzył swój mały czarny notes i przystąpił do wybierania kilku zapisanych w nim numerów. Dzwonił do ministrów, polityków i redaktorów. Niektóre z jego rozmów wyzwoliły kaskadę dalszych telefonów. Około dwudziestu minut później zadzwonił ponownie telefon Liebermanna i zgłosił się pogodny kobiecy głos:

- Sekretariat generała Yaakova Nahona, łączę. Generał kazał sobie jeszcze raz opowiedzieć całą historię.

- Dziwna sprawa - wychrypiał. - Jakkolwiek by było, dałem rozkaz startu trzem helikopterom z eskadry *Synaj*. Jak brzmi ta nazwa, którą wymienił pan ostatnio?

- Wadi Mershamon - powiedział dziennikarz. - Na jego zachodnim końcu ma być klasztor ...

- Zgadza się, przypominam sobie. Wiekowy klasztor, pochodzi jeszcze ze średniowiecza. Mieszka tam tylko kilku mnichów... Cokolwiek by się tam działo, moje helikoptery zrobią porządek ze wszystkim, co będzie do posprzątania.

Uri Liebermann skorzystał z okazji, by zgłosić swe zainteresowanie otrzymaniem wyłączności na sprawozdanie z całego zajścia. Jako że w końcu zawdzięczają jego inicjatywie... można by przecież poczynić stosowne uzgodnienia...

- Cała ta sprawa - krótko uciął generał - jest teraz w kompetencji armii, tym samym podlega ogólnowojskowym przepisom o utajnieniu. Jeśli chce pan o niej pisać, proszę się zwrócić do odpowiedniego cenzora wojskowego. Życzę miłego dnia.

Uri Liebermann ze swoimi życzeniami poczekał, aż połączenie będzie przerwane.

- Prosiłem o objawienie - oznajmił stary mnich - o boską wskazówkę. To, że znaleźliście drogę aż tutaj, jest jak znak.

Spojrzeni po sobie. Stephen musiał odkaszlnąć. Intensywny zapach olejnych lampek gęsto wypełniał pomieszczenie, aż kręciło się w głowie. Co takiego mówi ten staruszek? O jakimś znaku? Lustrze? Jest tu przecież tylko pokryta złotem skrzynka, coś ma wspólnego z lustrem... Choć jeśli szukają kamery wideo, to ta skrzynka ma właśnie odpowiednie wymiary. Stephen nagle poczuł na karku łaskotanie.

- Ojciec - spróbował przemówić do człowieka, który zdawał się być zatopiony w rozmowie z samym sobą
 - tam u góry wylądowały helikoptery, a przed bramami klasztoru stoją ludzie którzy szukają lustra. Tu nie jest bezpieczne... - Gdyby tylko sam wiedział, co mogą zrobić! Lecz są uwięzieni na dole i prędkiej czy później ktoś ich znajdzie. Mianowicie wówczas, gdy któryś z pozostałych mnichów zdradzi tajną skrytkę-
 - Od stuleci to lustro jest w naszym posiadaniu - niewyraźnie mamrotał brat Gregor. - Lustro, które należało niegdyś do człowieka z Besary, jak mówią! I ono przechowało wizerunek Jezusa, naszego pana - lecz już dawno temu obraz zaczął blaknąć. To nasza tragedia, to wielka boleść wypełniająca naszych braci.

- Blaknie? - spytał zaalarmowany Stephen. - Obraz blaknie?

Mnich jakby go nie słyszał.

- Tak napisano i taki jest zwyczaj, odkąd odłączyliśmy się od Rzymu: tylko raz na sto lat lustro wyjmuje się z tabernakulum i tylko jeden z braci strażników wybierany jest, by jego oko spoczęło na lustrze i to spojrzenie trwa zaledwie mgnienie oka. Na tę chwilę dostępuje on łaski patrzenia na naszego Pana i resztę życia spędza na głoszeniu świadectwa o tym, na co patrzył.

Stephen spoglądał na złotą szkatułę i w duchu przeklinał ludzi, którzy ich gonili. Teraz byłby odpowiedni moment, żeby gwałtownym ruchem chwycić świętość mnichów i bez niepotrzebnej gadaniny ją porwać: cóż poradziliby wszyscy ci starcy przeciw im trojgu?

- Co sto lat? - To brzmiało jak bajka. - I kiedy to znów nastąpi?

- Och, dopiero za około sześćdziesiąt pięć lat - uśmiechnął się wyrozumiale brat Gregor. Zdawało się, że powoli coraz bardziej uświadamia sobie ich obecność i jakby przypadkiem wsuwał się coraz głębiej między nich a ołtarz, niczym obrońca. - Żaden z nas już tego nie doświadczy i żaden z nas nigdy w nie nie spojrzę.

- Jak wybiera się tego, kto ma spojrzeć w lustro?

- Bracia wybierają jednego spośród siebie. Przeważnie wybiera się najmłodszego - tego, kto ma przed sobą najdłuższe życie i może przez długie lata oświecać innych. Poznaliście brata Felbca. On był ostatnim, który patrzył na Pana.

Stephen czuł się coraz bardziej oszołomiony. Gapił się na relikwię, potem na mnicha, stojącego ze złożonymi dłońmi na swym kobiercu, też jakby nie z tego świata.

- Brat Felix? - powtórzył. - Ale on jest trochę dziwny, prawda?

- Lustro go przemieniło.

- Przemieniło? Lustro?

Mnich splótł dłonie i spojrział na nich wzrokiem, w którym falowało coś ciemnego, czarnego, jakby skrzepła krew.

- Oznacza to - wyjaśnił - że ktoś, kto w nie spojrzę, nie jest potem już taki sam. Cokolwiek można w nim zobaczyć, to zmienia to człowieka na zawsze.

Stephen pomyślał o wartym, ciepłym spojrzeniu starego mnicha. To były przyjazne oczy, które poznały prastarą tajemnicę.

Dym, unoszący się lekką mgiełką z trzech oliwnych lampek, zdawał się kłębić w takt słów starca. Stephen poczuł przemożny impuls, by uciec, zagrzebać się w jakimś kącie i nie musieć nic widzieć ani słyszeć, póki się to wszystko nie skończy.

Lecz był tylko jeden kierunek, w którym można by pobiec, mianowicie prowadzące w górę schody... Przypomniało mu się, kto ich oczekuje tam na górze i to wspomnienie przywróciło go do kontaktu z rzeczywistością, z prawdziwym światem, w którym legendy i mity są jedynie opowieściami i w którym wszystko można objaśnić opisanymi przez nauki przyrodnicze zjawiskami. Przypomniał mu się list podróżnika w czasie, pewien szczegół, którego znaczenie teraz nagle pojał.

- Efekt odpoczynku! - odwrócił się do Yehoshui i Judith.

- W liście była mowa o tym, że baterie po pewnym okresie jakby odpoczywały i znów przez jakiś czas dawały prąd. Dokładnie to tu mamy. Teraz są już ogromnie stare, ale podczas stuletniego spoczynku gromadzi się jeszcze akurat tyle energii, żeby na kilka sekund uruchomić mechanizm odtwarzania. To właśnie jest spojrzenie w lustro.

Yehoshuah zmieszany skinął głową. Judith zmarszczyła czoło.

- Ale nagranie trzeba kiedyś było przewinąć z powrotem - za pomocą jakiej energii?

- MR jest całkowicie cyfrowym systemem ze swobodnym dostępem - oznajmił Stephen. - Tam się nic nie przewija dane są po prostu odczytywane z pamięci. Jak w komputerze. - Odwrócił się do mnicha.

- Ojciec, jeszcze nigdy nie widziałem waszego lustra, ale wiem, jak wygląda. Jest w kształcie skrzynki, mniej więcej takie duże - obrysował dłońmi w powietrzu przybliżone wymiary - i ma okrągły wziernik, przez który można zajrzeć do środka. Czy to się zgadza?

Brat Gregor zaskoczony przytaknął: -Tak.

- To nie jest lustro - to kamera wideo, jak już ojcu mówiłem. Zawiera zdjęcia Jezusa i jedyny powód, dla którego możecie do niego -zajrzeć tylko raz na sto lat jest taki, że baterie są już całkowicie wyczerpane.

Jeśli uda nam się przenieść stąd kamerę - a więc lustro - do względnie dobrze wyposażonego laboratorium, możemy sprawić, by wszyscy zobaczyli te zdjęcia. To zupełnie niepotrzebne, czekać za każdym razem sto lat. Gdybyśmy tylko mieli nowy komplet baterii, moglibyśmy w każdej chwili obejrzeć sobie nagranie, tak długo, jak byśmy chcieli. Cały świat mógłby zobaczyć to, co w tym stuleciu widział tylko brat Feta.

Mnich spojrział na niego. Na jego twarzy znać było, że wiara i wiedza toczą swój odwieczny bój.

- Cały świat? - spytał, znów popadając w autystyczne nucenie do siebie samego.

- To kamera wideo - zaklinał go Stephen, sam nie wiedząc, co właściwie chce osiągnąć. - Żaden cud. - Pomyślał o dniach, które mieli za sobą, o zbiegach okoliczności, o wszystkim, czego się dowiedzieli, o podróży w czasie, do której doszło w jakiś niewyobrażalny sposób i z niechęcią poprawił się: - Cóż, właściwie to jednak cud.

- Cały świat...? - Błyszczące oczy skierowały się na tabernakulum, zdawały się odbijać blask złota. - To znaczy... *M też..!*

Stephen przytaknął, czując, jak gardło zatyka mu wielka klucha. Powoli zaczynał się martwić, że stary mnich może jeszcze teraz zblizkować.

- Cały świat! Cały świat byłby przemieniony?! - brat Gregor odwrócił się do nich, lecz choć stał teraz tyłem do ołtarza, złote migotanie w jego oczach nie ustało. - Myślę, że pojmuję. Myślę, że nastąpiła godzina próby, którą przepowiedziało proroctwo. Nasz zakon przechował świętą relikwię przez mroczne wieki, gdyż powiedziane było, że nadejdzie czas, w którym moce jasności walczyć będą z mocami ciemności o jej posiadanie i jeśli w tej walce zwycięstwo odniosą moce światła, przyniesie to pokój i dobro całemu światu.

Judith stanęła obok Stephena i szepnęła mu do ucha:

- Co to wszystko ma znaczyć? I tak nie możemy nigdzie uciec.

- Mamy tylko jedną szansę, by lepiej ukryć kamerę i wrócić, gdy cały ten bałagan na górze się skończy - syknął w odpowiedzi Stephen. - Ale zdołamy to zrobić tylko pod warunkiem, że on nam pomoże.

- Ty! - raptownie krzyknął brat Gregor, wskazując przy tym wyprostowanym palcem Stephena, aż wszyscy troje zadrżeli. - Ty zanieśiesz świętość w bezpieczne miejsce!

- Słucham? - spytał zbity z tropu Stephen. Lecz mnich już przystąpił do działania. Otworzył inkrustowaną złotem szkatułę i wyjął z niej przedmiot wielkości mniej więcej cegły, zawinięty w bogato zdobione chusty i szale, omotany przeplatany złotem sznurami, które przed laty opatrzone woskowymi plombami. Dobył skądś skórzany worek, jaki zwykli byli nosić pustynni wędrowcy, obszyty długimi taśmami i sznurami, by można było przywiązać go ciasno do ciała. Ostrożnie włożył do niego relikwię i dał Stephenowi znak, żeby się zbliżył, by zamocować mu skarb na tułowiu.

- Ale my nie możemy nigdzie uciec! - zaprotestował Stephen, pozwalając jednak mnichowi na dokończenie dzieła. - Klasztor jest już dawno zajęty.

- Uciekniecie przez studnię - uciał krótko opat. Zręcznie supłał skórzane rzemienie, aż worek ze świętością siedział pewnie na piersi Stephena. - Chodźcie.

Poszli za nim, a on przodem pośpieszył z grotu wzdłuż korytarza, minął schody, aż dotarł do izby z wielką studnią pośrodku. Kręcąc kołem, prędko tłumaczył:

- Założyciele naszego zakonu zbudowali klasztor w tym miejscu, gdyż jest tu podziemne źródło, zasilające ciemne jezioro głęboko pod nami. Powiadają, że przy tym jeziorze zaczyna się prowadząca aż do stóp góry skalna szczelina, którą poszerzyli, robiąc z niej tajną drogę ucieczki. W ciemnym otworze pojawiło się wielkie drewniane wiadro, wilgotne, lecz nie było w nim wody. - Przez tę szczelinę musicie uciec i zanieść lustro w miejsce, gdzie będzie mógł zajrzeć w nie cały świat.

Mówiąc to przełożył blokadę. Stephen z rosnącym niepokojem patrzył na drewnianą nieckę wielkości cebrzyka, zawieszoną na łańcuchu, którego ilość nawinięta na koło naprawdę budziła respekt. Pojął, że brat Gregor oczekuje od niego, że pozwoli spuścić się w tym czerpaku w nieznane głębiny.

- Jak długi jest tunel? - zapytał.

- Nie wiem - przyznał mnich. - Nigdy go nie widziałem. Przez jedno mgnienie oka stali w milczeniu. Nad nimi dudniły kroki i dały się słyszeć donośne, choć niezrozumiałe, głosy. Uderzenie drewna o drewno zagrzmięło nagle echem w katakumbach i sprawiło, że zadrżeli. Musiało dobiegać z kostnicy. Prześladowcy byli już na ich tropie, szukali jeszcze tylko zejścia.

Stephen położył dłoń na worku, w którym było to, czego szukał. Dziwne, niczego teraz nie czuł. Wydał się sobie trochę śmieszny z tym skórzanym workiem na piersi, jak kangur, niosący w torbie swe młode. Lecz nie było w tym tryumfu, żadnego poczucia spełnienia. Może wszystko działa się zbyt szybko.

- Okay- powiedział. - Idę.

- Stephen! - ostrzegła Judith. - Oszalałeś? Poważnie chcesz pozwolić się spuścić do tej studni?

Spojrzał na nią, potem na niezgłębianą czarną dziurę w podłodze. Zdawało mu się, jakby od początku wiedział, że los poprowadzi go tą drogą. Poglaskał skórzany worek.

- To my ją znaleźliśmy - powiedział cicho. - My!

- A potem? Nawet, jeśli jest tam jakiś korytarz - co potem?

- Może uda mi się dostać do naszego samochodu.

- Nonsens! - jej szept zabrzmiał jak krzyk.

Mnich rozglądał się niespokojnie. Kolejne uderzenie rozeszło się echem po korytarzach.

- Musisz się pośpieszyć - ponagłał. - Bo będzie za późno.

Stephen wszedł do kołyszącego się cebrzyka, przytrzymał się łańcucha. Spojrzał w dół, w pozbawiony światła krąg, ciemną paszczę gotową go połknąć i opanowało go poczucie duszności. Musiał przymusić się, by dalej oddychać. *A jeśli tam w dole nie ma w ogóle żadnego korytarza? Będę siedział na dnie studni, kto wie jak głębokiej, i będę zgubiony!* Bzdura, mówił sobie, Yehoshuah i Judith zostają tutaj, zatroszczą się o to, żeby w najgorszym razie cię wydobyć. *Ale jeśli coś się nie powiedzie, cokolwiek...?* Oddychać. Nie przestawać oddychać.

- Okay - sapnął, czując, że wytrzeszcza szeroko oczy i że zdradzają one panikę, lecz nie mógł nic na to poradzić. - Spuszczajcie.

Judith, która przez cały czas patrzyła na niego ssąc dolną wargę, nagle poruszyła się gwałtownie, postąpiła krok w przód i weszła do cebrzyka.

- Idę z tobą - oznajmiła. - Chwycała ten sam łańcuch co Stephen, patrzący na nią z niedowierzaniem. Ich powieki drżały, mięśnie szczęk wystąpiły na wierzch od napięcia. - Teraz szybko, Yehoshuah, bo jeszcze tu będą, nim spuścicie nas na dół!

Szybko, bo jeszcze się rozmyślę!

Yehoshuah skinął głową, przełknął, stanął obok sędziwego mnicha przy kole.

- Ken, beseder.

- I nie upuście nas, słyszysz?

Zamiast odpowiedzi stuknęła blokada i gwałtownie polecili kawałeczek w dół, zanurzając się po kolana w czerni. Lecz Yehoshuah i brat Gregor już opanowali koło, stopniowo popuszczali łańcucha, równomiernymi ruchami. Opuszczali się w dół, nieprzerwanie. W ostatniej sekundzie Stephena opanował gwałtowny impuls, by przerwać, wyskoczyć, byle tylko nie zatonać w tej bezdennej gardzieli! Lecz było już za późno. Krawędź studni sięgała im ramion, potem, kolejne szarpnięcie, zniknęli w niej. Ostatnim spojrzeniem popatrzyli sobie w oczy i każde z nich zobaczyło strach w oczach drugiego.

Jakaż ona jest piękna! przemknęło przez myśl Stephenowi. Obraz twarzy Judith blakł powoli, gdy opadali coraz niżej i niżej w czerni. W następnym momencie poczuł, jak ona obejmuje go ramieniem, szuka jego ust swoimi i całuje, jakby było postanowione, że na dnie szybu mają umrzeć.

35

W napaści na klasztor brali udział zarówno członkowie stałego sztabu ochrony Johna Kauna, jak również pracownicy izraelskiej firmy ochroniarskiej, zatrudnieni pierwotnie do dozoru terenu wykopalisk. Gdy otworzono ogień do bramy klasztornej, Izraelczycy najpierw wzbraniali się, lecz w końcu większość z nich przyłączyła się do atakujących. Gorączkowa atmosfera polowania, jaka zapanowała w grupie, sprawiła, że przekroczyli granice legalności.

„High Noon in Negev”
Uri Liebermann

Opadali w dół, stale, bez końca w dół. Otwór studni dawno już zmienił się w niepozorną plamkę, ledwie widoczną wysoko nad nimi pośród czarnej jak noc ciemności, otulającej ich niczym całun. Obejmowali się i kurczowo trzymali łańcucha, trzeszczącego podejrzanie przy każdym szarpnięciu opuszczającym ich niżej. Słyszeli swoje oddechy. Hop. Hop. Hop. Od pewnego czasu czuli w dłoniach, że odcinek łańcucha nad nimi zaczyna się kołysać, coraz mocniej z każdym kolejnym metrem ich drogi w dół. Im głębiej zapadali się we wnętrze góry, tym intensywniej czuć było wilgotną, wodną i robiło się coraz zimniej. Stephen łaskotała w twarz grzywka Judith, wąchał jej zapach, mieszaninę upału i piasku z nutą perfum i jeszcze czegoś, czego nie potrafił rozpoznać. Wciąż nie pojmował, dlaczego z nim poszła. Nie rozumiał nawet, dlaczego sam zdecydował się na takie szaleństwo.

Wstrzymując oddech wyprostował ramię. Judith zadrżała, gdy ją puścił i spytała drżącym głosem:

- Co robisz? - Poczł wilgotną, grubo ciosaną skałę wokół nich, oddaloną od ich ramion najwyżej o dwie dłonie.

Niesamowite, że opadali, w nic nie uderzając. To urządzenie było zadziwiająco precyzyjne.

Łańcuch wibrował coraz mocniej, teraz wysoko z góry dobiegało skrzypienie, które z pewnością słyszeli także ci na powierzchni. Jak głęboko już dotarli? Stephenowi zdawało się, że musi to być co najmniej pół mili, lecz z pewnością się mylił. Jak wysoka jest ta góra? Próbował sobie przypomnieć, lecz miał wrażenie, jakby to jeszcze w poprzednim życiu wspinali się po zasypianym żwirem zboczku.

To piszczenie...! Jeszcze zaalarmuje prześladowców. Z pewnością w każdej chwili uda im się zbiec po schodach, a potem? Przez mózg przemykały w szalonym pędzie obrazy, oto przerywają pracę Yehoshui i mnicha, odpędzają ich od mechanizmu i cebrzyk razem z nimi w środku bezwładnie spada na samo dno. Albo przestawiają blokadę, a oni będą tu wisieć przez wiele godzin, może dni, może na zawsze.

Wciągną ich z powrotem do góry. Z pewnością to zrobią, gdy Yehoshuah im powie, że mają ze sobą kamerę.

Wciąż to sobie powtarzał, lecz komórki jego ciała nie chciały w to wierzyć.

I stale opadali w dół.

Później, gdy panika dawno minęła i zaczęło być niemal nudno, gdy zdawało im się już, że przez resztę życia będą tak spadać coraz głębiej i głębiej, nagle przestrzeń wokół nich się zmieniła. Mimo iż ciągle jeszcze było ciemno choć oko wykol, to uczucie opadania wnętrzem wąskiej rury ustąpiło miejsca wrażeniu, że wokół nich otwiera się szeroka hala. Jakby przez otwór w dachu wpadli do obszernej katedralnej nawy.

- Zaświecę światło - szepnął Stephen i pusto brzmiące echo jego słów odbiło się od odległych ścian. Wyłowił latarkę, włączył ją i poświecił wokół. Ginaące na czarnych ścianach otwierającej się wokół skalnej jaskini światło było raczej żałosne.

- Och, cholera! - wyrwało się Stephenowi.

- Co jest? - dopytywała się Judith.

- Tam! - promień światła, którym prędko przesunął wokół, wydobył z ciemności uskok skalny, z pewnością wykonany ludzką ręką, wznoszący się co najmniej pięć metrów nad połyskującą czarno przepastną powierzchnią wód podziemnego jeziora. Od środka tarasu wzdłuż lejkowato zwężającej się ku górze skalnej ściany wbito rząd metalowych pierścieni z których dwa najwyższe już minęli. Następny był oddalony od nich o co najmniej dwa metry, a jeśli nie uda im się go chwycić, opadną na środek jeziora, zaś kamienny parapet, z którego, o ile w ogóle, mogła prowadzić droga na zewnątrz, znajdzie się dwadzieścia metrów od nich, do tego pięć metrów powyżej, więc nieosiągalny. - Dalej, musimy to rozhuścić!

- Wiedziałałam, że będę żałować - rzuciła Judith, lecz natychmiast przyłączyła się do niego i również zaczęła wykonywać kołyszące ruchy.

Wielkie drewniane wiadro z ociąganiem zaczęło wychylać się tam i z powrotem niczym ogromna, dziwaczna, dziecinna huśtawka - lecz jej ruchy były wolne, o wiele za wolne, wciąż nieubłaganie opadali w dół.

- Stop! - krzyknął Stephen. - Przestańcie!

Nie słyszeli go. Pewnie mdleją im już ramiona: posuwali się teraz w dół chyba nawet szybciej, niż przedtem.

- Cholera, cholera... - Stephen wsunął latarkę do kieszeni koszuli i wyciągnął się, próbując palcami dosięgnąć tego przeklętego metalowego pierścienia, nieporuszenie wiszącego na skale, brakowało już tylko dziesięciu centymetrów, gdy wahadło znów poleciało w drugą stronę. I znów opadli w dół.

- Mocniej! - Musieli chwycić jeden z tych pierścieni i potem razem z cebrzykiem przyciągnąć się do ściany, by w końcu osiąść na skalnym podeście. Czyżby już o tym nie pamiętano, czy brat Gregor nie zdążył ich uprzedzić? - Jeszcze mocniej!

Huścili się wkładając w to całą energię. Trzeci uchwyt też już był zbyt wysoko, by jeszcze mogli go dosięgnąć, czwarty pozostał ich ostatnią deską ratunku. Tylko że był on jeszcze dalej od nich, zdawał się nieosiągalny. I wciąż opadali w dół. Muszą chwycić go w ciągu dwóch następnych wychyleń wahadła, inaczej i ta szansa zostanie zaprzepaszczone.

Pierwsze wahnięcie, daleko w bok. Stephen wyciągnął rękę, jakby chciał sobie wyrwać ramię ze stawu, przez moment poczuł na czubkach palców chłód metalu.

- Prawie! Zaraz go będę miał!

Judith wychyliła się, jakby brała na jarmarku udział w biciu rekordu szybkości huśtawki. Lecz czas wychylenia wahadła zależy tylko i wyłącznie od jego długości, a łańcuch, na którym się kołysali, był już niezmiernie długi. Zdawało im się, że minęły minuty, nim dotarli do punktu nawrotu po drugiej stronie, a potem znów nieskończenie długo trwało, nim dolecieli z powrotem.

Stephen ponownie wyciągnął dłoń. W jakiś sposób każda komórka jego ciała zdawała się wiedzieć, że teraz wszystko zależy od tego. Skalna ściana nadlatywała ku niemu niemal z gracją. Metalowy pierścień połyskiwał matowo na czarnym kamieniu. Palce wyciągały się, jakby w razie potrzeby mogły wydłużyć się o niezbędne centymetry.

- Tak! - Miał go, zaczeplił palec wskazujący i środkowy i krzyczał, gdyż opadające z powrotem wahadło wyrzywało mu ramię. Przed oczami tańczyły mu gwiazdy i coś rzeczywiście rwało się w jego ręce, w jego dłoni, jednak z nieludzkim, jęczącym wrzaskiem zdołał sięgnąć grubego, żelaznego pierścienia resztą palców i kciukiem i chwycił go pewnie i mocno.

- Masz go! - krzyczała Judith. Wisieli skośnie na skalnej ścianie, a znaczna część ciężaru ich dwojga i drewnianej kadzi wyrzywała ze stawów ramię Stephena, Judith przewinęła się dookoła łańcucha, próbowała mu ulżyć, również sięgając do pierścienia.

Szarpnięcie. Cebrzyk opadł niżej. Stephen trzymał żelazny pierścień mocno, jakby jego dłoń była do niego przyspawana.

- Złap następny! - stęknął.

- Okay. - Sięgnęła ręką w dół.

W tym momencie coś zatrzeszczało. Był to cichy, lecz groźnie brzmiący dźwięk. I wyraźnie słyszalny.

- To nie może być... - wymamrotał Stephen. Żelazny pierścień. Żelazny pierścień w jego dłoni był źródłem trzeszczących odgłosów. Czyżby się poruszył? Nie. Na pewno nie. - Chwyć następny pierścień!

- wrzasnął. - Szybko!

- Jeszcze nie mogę dosięgnąć!

Znów trzeszczenie, tym razem głośniejsze, bardziej okropne. I żelazny pierścień poruszył się.

- Cholera!

Zakotwiczenie żelaznego pierścienia, przez setki lat narażone na działanie wilgotnego powietrza, skorodowało na wylot i teraz poddawało się - kolejny, jeszcze bardziej przerażający odgłos - wyslizgiwało się z trzaskiem ze skalnego podłoża, w którym je zamocowano, kruszyło w rdzawy pył. Z trudem uniknęli wypadnięcia, gdy wahadło wraz z nimi poleciało z powrotem. Równocześnie nastąpiło szarpnięcie w dół, które jeszcze trzy sekundy wcześniej tak by się im przydało, a potem następne ostatecznie sprawiło, że uchwyty znalazły się poza ich zasięgiem.

Trzymali się mocno łańcucha, kołysząc się w opadającej drewnianej niecce coraz niżej, ku czarnej, nieruchomej wodzie. Stephen uniósł żelazny pierścień ku strumieniowi światła, jaki przez materiał koszuli rzucała umieszczona w kieszeni latarka i przyjrzał mu się.

- Pewnie wszystkie są takie - zastanowił się. - Kompletnie zardzewiałe. Właściwie mogliśmy to przewidzieć.

- I co teraz zrobimy? - spytała Judith patrząc trwożliwie w dół.

- Nie mam pojęcia. - Również spojrział w dół. Powierzchnia podziemnego jeziora wyglądała jak czarne, bezdenne błoto, nie jak woda. I była coraz bliżej. To na pewno jest woda, ale tak zimna, że zamarzną po kilku minutach, jeżeli do niej wpadną. Nie mówiąc o tym, że nie ma tu żadnego miejsca, do którego mogliby popłynąć, by się uratować. Znów wyjął latarkę i oświetlił odległy brzeg jeziora. Naprawdę, wokół tylko gładka skała.

- Muszą zatrzymać łańcuch - orzekł. - Spróbujmy. Jeśli oboje będziemy krzyczeć najgłośniejszym głosem, jak się da, może nas usłyszą.

- Okay.

- Na trzy. Raz - dwa...

Wrzasnęli równocześnie z wszystkich sił, aż zagrzmiało w skalnej grocie. Stephen oczekiwał już, że zerwie się lawina kamyków i polecą do jeziora, lecz nic takiego się nie zdarzyło. Jedyłą odpowiedzią było to, że znów spuszczone ich o kilka obrotów korbą niżej. Byli już niżej od skalnego tarasu, do którego mieli dotrzeć. Sytuacja stała się naprawdę krytyczna.

Chwileczkę. Skalny taras...

- Musimy rozkołysać się prosto na ten występ! - krzyknęła Judith, wpadając w tym samym momencie na ten sam pomysł. - To jedyna możliwość.

Znów zaczęli bujać drewnianym cebrzykiem, wspólnym, mocnym kiwaniem nadali mu ruch wahadłowy. Nareszcie zaczęło wyglądać to lepiej. Dadzą radę, bez wątpienia.

- Musimy skoczyć! - zawołał Stephen. Na gładko wykutym skalnym tarasie nie widać było nic, czego można by się przytrzymać. - Ty pierwsza!

- Nie, ty! - zaprotestowała Judith. - Ty masz kamerę.

- Pieprzę kamerę! Skaczesz pierwsza! Uwaga... Niecka osiągnęła maksymalne wychylenie, nisko nad tarasem.

- Teraz!

Judith skoczyła, wylądowała, jak się wydawało, nie robiąc sobie krzywdy, na cztery łapy i była bezpieczna.

Wahadło ociężałe rozpoczęło ruch powrotny. Stephen pod pachą przesunął worek z kamerą z piersi na plecy. Na wszelki wypadek. Spoglądał przy tym niespokojnie na łańcuch, którego trzymał się drugą ręką. Gdy Judith skoczyła, wyczuł w łańcuchu ostre szarpnięcie - inne niż dotychczasowy ruch w dół. Niepokojąco inne.

Zamaszysty lot poprzez ciemną katedrę o posadzce z wody zdawał się nie mieć końca. Stephen wstrzymał oddech. Teraz łańcuch w jego dłoni zaczął drżeć zupełnie niezdrowo. Niedobrze. Był pewien, że to absolutnie niedobrze.

Ruch powrotny. Łańcuch skrzypiał, występ skalny był coraz bliżej. Judith już podniosła się, stała, czekała na niego. Przygotował się.

Łańcuch zerwał się o ułamek sekundy wcześniej, nim skoczył, akurat w porę, by spod stóp umknął mu twardy punkt odbicia. Stephen krzyknął, sięgnął ręką w pustkę i w następnym momencie z ogromnym impetem uderzył klatką piersiową o coś twardego, twardego jak kafar, co wypchnęło mu z płuc całe powietrze. Nie widział, co to, gdyż latarka przepadła gdzieś i wokół panowała mroczna noc, lecz bolało go i ześlizgiwał się, czuł to przerażony, a palce, nerwowo macające wokół nie znajdowały nic, czego mógłby się chwycić. Wisiał nad przepaścią i ześlizgiwał się.

Wtedy chwyciła go dłoń, stalowa dłoń, złapała za przegub i zdawała się być zdecydowana nigdy więcej go nie wypuścić. Judith. Nie do wiary, jak jest silna. Powietrze wciąż jeszcze nie odnalazło drogi powrotnej do jego płuc, dlatego nie mógł nic mówić, nic zawołać, nawet nie mógł jęknąć.

Za nim drewniana kadź z hukiem wpadła do jeziora. Przysłowiowe najsłabsze ogniwo, które pękło w łańcuchu, musiało być dość daleko w górze, gdyż ogłuszający brzęk spadającego łańcucha wydawał się trwać bez końca. Stephen wisiał na krawędzi skały, walczył o powietrze, a za jego plecami brzęczało i łoskotało,* jakby waliło się niebo. Druga dłoń wczepiła się w jego koszulę, chwyciła za ramię. Stephen próbował zarzucić nogę na skalny gzyms, którego krawędź musiała kryć się w ciemności gdzieś obok niego. Na filmach wydawało się to zawsze takie łatwe, on jednak potrzebował pięciu prób. Wtedy, nareszcie, udało mu się z pomocą Judith przetoczyć w bezpieczne miejsce, dokładnie w chwili, gdy koniec łańcucha spadł i z ostatnim pluskiem zatonał w wodzie, po czym zapanowała cisza.

Sprawdził ręką skórzany worek na plecach. Zawartość chyba nie jest uszkodzona. Potem usiadł prosto, macając, gdzie kończy się skalny występ. Jego latarka wpadła do wody i żarzyła się teraz jak małe, żółte oko upiora w głębinach jeziora.

- Miejmy nadzieję, że ten tajny korytarz naprawdę istnieje - powiedział Stephen, gdy mógł znów normalnie oddychać. Jego piersi to z pewnością jedna wielka niebieska plama, czuł się, jakby go pobiła banda opryszków.

- Istnieje - odparła Judith. Nadal trzymała go mocno, jakby się bała, że może znów polecieć w przepaść.

- Siedzimy dokładnie przed nim.

- Dobrze. - Zastanowił się chwilę, czy zostało tu jeszcze coś do zrobienia. Raczej nie. Ich cały bagaż składał się z jednej komórki, która, gdy sięgnął do kieszeni, w dotyku wydała mu się popękana, i z ubrań, które mieli na sobie. A na zewnątrz czekała pustynia - naprawdę super. - W takim razie miejmy nadzieję, że naprawdę prowadzi na zewnątrz.

Korytarz naprawdę prowadził na zewnątrz. Ciągnął się bez końca, nie mogli pozbyć się wrażenia, że w końcu wyjdą w Jordani, lecz pewnie brało się to stąd, iż drogę naprzód musieli wymacywać stopami w całkowitych ciemnościach. Krok za krokiem. To było koszmarnie. Raz po raz zatrzymywali się

przestraszeni, a tuż obok nich coś szeleściło, syczało, wydawało groźnie brzmiące dźwięki. Czasem zdarzało im się nastąpić na coś miękkiego, wilgotnego albo pełzającego, wtedy z krzykiem cofali się raptownie. Niejeden raz zahaczali głowami o wystające kamienie, potykali o niespodziewane dziury w ziemi lub walili goleniem w twardą przeszkodę. Lecz korytarz prowadził wciąż naprzód, czasem dziwnie zakręcał, aż wreszcie powietrze zaczęło być cieplejsze i miało inny zapach.

Powoli, bez dostrzegalnego przejścia, między ich doznania wróciło także światło. Najpierw zaledwie lekkie świtanie, w którym nie da się osądzić, skąd dobywa się światło ani czym jest właściwie to, co się widzi. Lecz można było cokolwiek rozróżnić. Później cienie wyłuskały się z rozproszonej nicości, znów mogli dostrzec własne dłonie, jak suną po pełnej szczelin ścianie i wreszcie, za ostatnim zakrętem, zobaczyli na końcu tunelu jaskrawo jasny otwór: wyjście.

Tuż za niepokojąco małym otworem leżał zwinięty w kłębek długi, cienki wąż. Stephen starał się nie myśleć o tym, ile podobnych, niebezpiecznych stworzeń minęli dziś człapiąc wzdłuż korytarza, nie podejrzewając nawet ich obecności. Tupnął kilka razy mocno w ziemię, wąż zwrócił na niego uwagę, uniósł łeb i sycząc spojrzął na nich podejrzliwie. Stephen wymachiwał rękami, cisnął w jego kierunku kilka kamieni i trochę piasku, aż w końcu gad uznał, że lepiej będzie odpełznąć.

Wyjście było ciasne jak otwór lisiej nory; worek z kamerą Stephen musiał wysunąć przodem, żeby w ogóle zdołać się przecisnąć. Na zewnątrz jak cios młota uderzył go bezlitosny upał, musiał na chwilę usiąść przy otworze, gdyż zrobiło mu się po prostu niedobrze. Pomógł Judith wydostać się na wolność i potem siedzieli oboje dysząc, nic nie mówili, rozglądali się tylko.

Cicha pustka, rozciągająca się przed nimi, przeraziła go. Potrzebował chwili, by zrozumieć, dlaczego: aż do samego klasztoru poruszali się po szosach, drogach, choćby koleinach. Teraz jednak były tylko kamienie, żwir, jak okiem sięgnąć ciągnęła się szaroczarna, piaszczysta jednostajność, od której nie odcinało się nic charakterystycznego.

Czuli to oboje. Wyczuł to po sposobie, w jaki Judith spytała:

- I co teraz? Dokąd idziemy? Właśnie. To było to pytanie.

Obłąkanie jasna kula słonecznego żaru wisiała nisko nad horyzontem. Tam więc był zachód. W tym kierunku leżało Morze Śródziemne, Egipt i Synaj. Słońce wkrótce zajdzie, jego światło już teraz rzuca długie, dziwne cienie. Wiał ustawiczny, równomierny wiatr, bezustannie ciskający o skórę ziarenkami piasku.

- Chciałbym mieć mapę - powiedział Stephen, przywiązując znów sobie skórzany worek, rym razem nie aż tak *mocno*.

Judith zastanowiła się chwilę.

- Przyjrzałam się jej dość dokładnie. Ale wszystkiego nie zapamiętałam. - Jej spojrzenie powędrowało w kierunku słońca. - Jest taka droga, wzdłuż granicy z Synajem. Taka dość prosta kreska od Morza Śródziemnego do północnego wybrzeża Morza Czerwonego. Jeśli dotrzemy do niej...

- Jak to daleko?

- Dwadzieścia, trzydzieści kilometrów? Coś koło tego, tak mi się zdaje.

- Hm. - Stephen wczuł się w uczucie zmęczenia, wywołane samym tylko siedzeniem tutaj. Droga, to znaczy, że kiedyś przejedzie nią samochód. - To brzmi, jakbyśmy musieli dać radę. - Absolutny obłąd, tak to brzmi. Pod tą kulą ognia, wiszącą nisko na niebie niby rozżarzony kawałek żelaza, można było spodziewać się majaczących niewyraźnie masywów górskich i wąwozów. Dwadzieścia kilometrów w linii prostej, ^w rzeczywistości najprawdopodobniej oznaczało wielokrotne dłuższy, wielodniowy forsowny marsz. A nie mieli z sobą nawet wody.

Wstał, rozejrzał się po najbliższym otoczeniu, ogarnął wzrokiem te wszystkie głązy, szczeliny i smugi piasku, wszystko tak przytulne, jak nie przymierzając księżycowy krajobraz. Czy jednak nie powinni raczej spróbować dostać się do samochodu...?

W tym momencie w ich uszy wdarł się dźwięk. Zdawał się dobiegać zewsząd i znikąd i przez zatrważającą sekundę nie wiedział, co oznacza.

Startujące helikoptery!

Judith również zerwała się na nogi. Jeśli helikoptery startują, to w najgorszym wypadku może to oznaczać, że ich prześladowcy wiedzą i ruszają, by ich odszukać. Cholera, jakby sama ucieczka przez pustynię nie była wystarczająco rozpaczliwa!

- Musimy się schować - powiedział Stephen, rozglądając się. Było sporo cienia, z uwagi na późny wieczór. Szczelina skalna albo jaskinia byłaby jeszcze lepsza, na wypadek, gdyby załoga śmigłowca miała na pokładzie noktowizor, choć o tego rodzaju sprzęcie Stephen wiedział tylko tyle, ile można się dowiedzieć z filmów akcji. Może działały tylko w nocy.

- Moglibyśmy wrócić do jaskini - stwierdziła drętwą Judith. Najwyraźniej nie miała na to wielkiej ochoty.

- Jeśli w klasztorze był gdzieś plan podziemnego korytarza, to znajdziemy się tam w pułapce.

Hałas był coraz większy i już jeden z helikopterów wychylał się zza zbocza góry, wielki, czarny i groźny. Wyglądało to rzeczywiście na akcję poszukiwawczą.

Stephen wskazał mroczne, pogrążone w cieniu zagłębienie terenu, leżące w pewnej odległości od nich.
-Tam!

- Nie po piasku! - gwałtownie zatrzymała go Judith, nim zdążył wystartować do sprintu. - Ślady na piasku znakomicie widać z powietrza. Tamtędy, po skale.

Skoczyła pierwsza, a Stephen ruszył za nią, starając się stąpać dokładnie po tych samych miejscach, gdzie stawiła stopy ona. W ułamku sekundy załał się potem, pociekł mu szerokimi strumieniami po plecach i piersiach. Nie miał najlepszej kondycji.

Rzucił okiem w tył. Zadrżał od nagłego przerażenia, gdy przez moment zdawało mu się, że helikopter odkrył ich i leci wprost na nich. Lecz był to tylko przypadek; natychmiast potem wielki ciemny ptak poszybował w innym kierunku. Stephen dotarł do zapadliny leżącej w cieniu wielkiego głazu, gdzie Judith już na niego czekała. Zadyszani, ostrożnie zerkali w górę w kierunku klasztoru.

W akcji poszukiwawczej brały udział dwa śmigłowce. Przelatywały w kółko nad bezpośrednim otoczeniem klasztoru, niczym gniewne czarne przeszenie, ich manewry zdawały się osobliwie chaotyczne, co trudno było pojąć. Jakby tak naprawdę nie wierzyli, że mogą kogoś znaleźć. Jakby jedynie czuli się zobowiązani tego poprobować, by nie można im było później nic zarzucić.

Stephen potrząsnął głową. Wszystko wyglądało tak nierealnie, gdy obserwował to ze swej kryjówki. Właściwie czuł się bardziej tak, jakby oglądał film z Jamesem Bondem, wyświetlany na niezwykle dużym ekranie.

W niezwykle dobrze ogrzewanym kinie.

- W którą stronę mogą spodziewać się, że będziemy uciekać? - zastanawiał się głośno.

Judith myślała chwilę. Najwyraźniej jeszcze nie przemyślała problemu z takiego punktu widzenia.

- Prawdopodobnie, że będziemy próbowali opuścić pustynię najkrótszą drogą.

- Czyli?

- Powrót tą samą drogą, którą przyjechaliśmy tu samochodem.

Stephen uniósł brwi. Tej samej drogi użyli również ludzie Kauna i wcześniej czy później pojedą nią znów w odwrotnym kierunku. Mówiąc po prostu: nie wchodziła ona w rachubę.

- Albo, że spróbujemy najkrótszą drogą dotrzeć do szosy na Synaj - kontynuowała Judith. - Na zachód.

- Tak - westchnął Stephen. Wynikały z tego wnioski, które mu się wcale, ale to wcale nie podobały. - Tego by oczekiwano.

Przyglądali się zachodowi słońca. Trwał zaledwie kilka minut, od momentu, gdy słońce dotknęło grzebienia górskiego do chwili, gdy za nim znikło. Czegoś takiego jak zmierzch na Pustyni chyba nie znano: raptem zrobiło się całkiem ciemno. I chłodniej, gdyż bezpośrednie promienie słońca już nie paliły. Stephen dotknął dłonią twarzy. Szczypała go trochę. W domu, będąc na basenie, szedł potem zwykle na chwilę do solarium i gdy po upływie nastawionego czasu lampy ultrafioletowe wyłączały się, twarz kłuła go podobnie jak teraz.

Wiatr ustał niemal równocześnie z zachodem słońca. Powietrze było jeszcze ciepłe, czuło się skwar, zakumulowany w ciągu dnia w kamieniach i teraz przez nie oddawany, lecz było to niemal przyjemne. Widać było gwiazdy. Ze zbyt gęstym przepychem wypełniały niebo coraz gęściej, jak nie widuje się na terenach zamieszkałych. Sierp rosnącego księżyca pośrodku gwiazdnej ciżby rzucał łagodne, magiczne światło.

Noc. Muszą wykorzystać noc na marsz!

Helikoptery zaniechały poszukiwań. Włączyły reflektory, widać było, że wracają do klasztoru.

- Chodźmy na południe - powiedział Stephen.

- Nie wiesz, co mówisz. Tam jest Negew. Prawdziwa pustynia!

- Widzisz tę śliczną gwiazdkę? W jej kierunku pójdziemy.

Ciepła zakumulowanego w kamieniach i glebie nie wystarczyło na całą noc. W pewnej chwili skończył się upał, a nieco później zrobiło się zimno. Prócz tego bolały ich stopy, mięśnie, każda pojedyncza komórka ciała. Ich ciała wołały o odpoczynek, o sen.

I o wodę. Pragnienie dokuczało im coraz natarczywiej.

Znaleźli szczelinę między dwiema skałami, promieniującymi jeszcze resztką przyjemnego ciepła, przez nieustannie wiejący tu wiatr wyszlifowanymi tak gładko jak dwa ogromne krzemienie. Dobrze było siedzieć, choćby tylko na kamieniu. Księżyc zatapiał ich swym chłodnym, bladym światłem, a pełen gwiazd firmament promieniał, jakby był kolekcją diamentów największego jubilera wszechświata.

Judith odchyliła głowę w tył, na skałę, o którą oparła plecy i patrzyła w górę.

- Każdy świetlny punkcik to słońce, takie jak nasze - wyszeptła cicho po chwili - też może pali skwarem jakąś pustynię. Kto wie, czy ktoś akurat teraz po niej nie wędruje.

Stephen otworzył skórzany worek i wyjął miękko otulone zawiniątko. Zamyślony ważył je w dłoni. Niesamowicie lekkie. Na pewno mniej niż tysiąc gram. Czyżby stało się lżejsze w miarę upływu lat?

- Myślę, że teraz powinienem zobaczyć, co jest w środku - stwierdził.

- Co? - głowa Judith podskoczyła.

- Jeszcze się w końcu okaże, że taszczy tu z sobą tylko kilka kości - powiedział Stephen i zaczął ostrożnie rozwiązywać rzemień.

Gdy już rozsypał przetykane złotem sznury, wziął się za odwijanie zdobionych zwojów brokatu. W niektórych miejscach kolejne warstwy zszyto kilkoma wkluciami igły: te nici po prostu zrywał. Miał w ręku przedziwną belę miękkiej tkaniny, dającą się zwyczajnie rozwijać.

Stephen próbował wyobrazić sobie, jak musiały przebiegać ceremonie, gdy mnisi, raz na sto lat, wyjmowali swą świętość i uwalniali z ochronnej otuliny, by jeden spośród nich, wybraniec, mógł rzucić krótkie spojrzenie w okular. Na pewno pościli wiele dni, modlili się wiele nocy, na pewno stworzyli wspaniały rytuał, zawierający szczegółowe wskazówki co do każdego pojedynczego ruchu dłoni. Być może również sposób, w jaki nałożono zwoje materiału, ornament splotów i szwów same w sobie także miały wysoce symboliczne znaczenie. A teraz on po prostu siedział i ściągał otulinę, warstwa po warstwie.

Pod brokatem dał się dostrzec skrawek czegoś, co wyglądało na workowe płótno i było całkowicie zaklejone żywiczną masą o nieprzyjemnym zapachu. Nie można tego było po prostu zdjąć. Stephen pomacał wkłoł siebie i znalazł kamień o ostrych krawędziach, zabrał się za zdzieranie nim kleistej skorupy.

- Dość pracochłonne, co? - spytała Judith.

- O tak. Może dlatego otwierali to tylko co sto lat. Przyjrzała się zawiniątku, które w dłoniach Stephena robiło się coraz mniejsze.

- I w tym ma być jeszcze kamera wideo?

- Trudno uwierzyć, co? - odparł Stephen. To pytanie zadawał sobie już od kilku minut. Właściwie urządzenie mogłoby już dawno się pokazać, a przynajmniej powinny zaznaczyć się zupełnie inne kontury, jeśli kierować się wizerunkiem MR-01, który widział w internecie.

Palce kleiły mu się coraz bardziej. Z wysiłkiem opanowywał się, by nie zacząć się śpieszyć i czegoś przy tym nie uszkodzić. Palce jednej dłoni wytarł do czysta o powierzchnię skały, trzymając osobiwą relikwię w drugiej. Całkiem spokojnie. Mieli teraz czas, wszelki istniejący na świecie czas.

Czas. Wszystko obracało się wokół tego magicznego pojęcia. Kamera przetrwała dwa tysiące lat w ukryciu, lecz właściwie w ogóle jej jeszcze nie wyprodukowano. Co nastąpi, jeśli powiedzą ludziom o tej kamerze, urządzeniu, wypełnionym po same brzegi technologią, nad którą właśnie dopiero pracuje się w pewnym japońskim laboratorium?

Czas. Wszystko się zawikłało.

A co będzie, jeśli to wcale nie jest kamera? Starał się nie dopuszczać do siebie tej myśli.

W końcu udało mu się wywiercić w grubej tkaninie otwór. Teraz go powiększał. Darł płótno, wrywał skrawki, postępował absolutnie niearcheologicznie. W końcu rozerwana do połowy otulina dała się zdjąć. Stephen postanowił nie żałować czasu, starannie zebrał wszystkie klejące strzępki materiału i włożył je do środka pustej skorupy.

W dłoni trzymał teraz worek, w dotyku miękki jak poduszka, w świetle księżyca wydawał się jasnoszary. Na jednym boku związane go taśmą. Stephen zastanowił się, czy sposób, w jaki kamera - o ile to była ona - została zapakowana i owinięta, wymyślili założyciele zakonu mnichów, czy może pochodzi od samego podróżnika w czasie. Też przecież musiał jakoś pierwotnie opakować kamerę, nim powierzył ją skrytce, w której miała przetrwać tysiąclecia.

Rozwiązał supeł. We wnętrzu worka ukazała się najpierw dziwnie pachnąca, waciana substancja, coś jakby bawełna, tylko że to musiało być coś innego. Ten miękki materiał upchnięto wokół twardego przedmiotu, tkwiącego w samym środku worka. Stephen wsunął palce pod watę i poczuł - plastik.

- Bingo - mruknął.

Z jakiegoś powodu wyglądała inaczej niż na zdjęciach, które widział. Lecz to była kamera. Pomijając kilka zarysowań plastikowa obudowa lśniła jak nowa, a na boku czarnymi literami wydrukowano nazwę firmy: SONY. A poniżej mniejszą, rozstrzeloną czcionką: MR-01.

Ma ją. Trzyma ją w dłoniach, jest dokładnie tak, jak wyobrażał to sobie przez cały czas, jak przez cały czas przeczuwał.

Czas. Znów czas.

Wypełniło go uczucie dziokiego tryumfu.

Spojrzał w górę, w oczy Judith. Dojrzał w nich tajemne migotanie, czy tylko tak mu się wydaje?

- To ona - powiedział, prawie zaklinał ją szeptem. - Kamera podróżnika w czasie. Nagrany na wideo Jezus Chrystus.

Ostrożnie dotknęła urządzenia czubkami palców.

- Wciąż nie mogę uwierzyć...

Bo to było nie do wiary! Czuli się tak, jakby trzymali w dłoniach Świętego Graala.

Wszystkie widoczne metalowe części kamery okazały się dotkliwie skorodowane, gdy przyjrzeni im się dokładniej. Obiektywu nie dało się przekręcić, z przycisków pod dotykiem opuszków palców odpadała

płatami farba nadruków. Obrócił obudowę. Klapki, za którą musiała tkwić kasetka z nagraniem, również nie można było otworzyć. Nie dał się nawet poruszyć stosowny przycisk. Wsunął paznokieć między pokrywę a obudowę i podważył plastik na kilka milimetrów. Tak, w środku coś jest. Kasetka, przy odrobinie wyobraźni. Przy dziennym świetle jeszcze raz rzuci okiem, może uda mu się zobaczyć więcej. Do wypróbowania pozostała już tylko jedna rzecz. Stephen nabrał głęboko powietrza i spojrzał na Judith.

- On mówił, że za sześćdziesiąt pięć lat znów nadejdzie ta chwila. Inaczej mówiąc, baterie odpoczywały przez trzydzieści pięć lat.

Wytrzeszczyła oczy.

- Myślisz, że to wystarczy?

- Nie mam pojęcia. Zaraz się przekonamy.

Przyłożył okular do oka, spokojnie odetchnął, położył palec na przycisku odtwarzania. Pewnie nic się nie wydarzy, mówił sobie, ale jego puls chyba w to nie wierzył. Odetchnął jeszcze raz i przycisnął guzik.

Przycisk stuknął, *klik*.

Nic nie nastąpiło.

36

W przypadku utraty wody w ilości większej niż 4,5 litra, a przez to utraty około 5% wagi ciała, obok silnego pragnienia dochodzi do pierwszych dolegliwości fizycznych: Ustaje wypływ śliny, przelitykanie jest coraz trudniejsze, wreszcie niemożliwe, głos szorstki i ochryply, usta i błona śluzowa w gardle oraz oczy zaczerwieniają się, tętno jest przyspieszone, występuje odurzenie i apatia. Może wystąpić panika. Śmierć z pragnienia następuje przy utracie ponad 12% wagi ciała.

Jerome K. Wilson,
Przetrzeć na pustyni

Gdy się obudził, jego pierwszą myślą było: *Potrzebne mi baterie!*

Dopiero po tym, jak owa myśl przeniknęła jego umysł na wskroś niczym przeraźliwy dźwięk trąbki sygnałowej, wyrwający w obozie harcerskim ze snu wszystkich, co do jednego, do jego świadomości dotarły także inne rzeczy: gdzie jest, dlaczego tu jest i co się wydarzyło. Oraz to, że trzyma w ramionach Judith, że obejmował ją tak przez całą noc. Wciąż jeszcze leżeli między dwoma wielkimi, chłodnymi głazami na piaszczystym podłożu, w nocy panował przenikliwy chłód.

Oczywiście, zawsze o tym słyszał, każdy to opowiadał: nie zapomnij, że na pustyni w nocy może być bardzo zimno. Wiedział to, lecz nigdy naprawdę w to nie wierzył. W rzeczywistości nie był w stanie pojąć, że pustynia, przez cały dzień zdręczająca wędrowca spiekotą i jaskrawym światłem, po której maszeruje się jak po gigantycznej patelni, że ów rozżarzony piekarnik może schłodzić się do temperatur godnych lodówki. W lecie! Nic dziwnego, że kruszą się tu kamienie ¹ Pękają skały. Przytulili się do siebie, jakby groziło im zamrożenie, objęli ramionami, zbliżyli zimne nosy, jakże romantycznie mogłoby być, gdyby nie ten chłód!

Teraz znów zaczynało robić się nieco cieplej. Stephen uniósł głowę, zerknął w stronę żarzącej się niemrawo kuli, na horyzoncie z nową energią wspinającej się ku zenitowi. Powrócił również wiatr, punktualnie, wraz z początkiem dnia.

Rzeczywiście, musieli w końcu zasnąć. Judith wciąż spała, z zapiaszczoną twarzą, zmęczona. Ostrożnie wysunął ramię, którym ją podtrzymywał i wyprostował się. Usta miał suche jak pieprz, przy przelitykaniu czuł prawdziwy ból. Tak chyba musiały się czuć suszone owoce.

Teraz sięgnął po worek. Włożył do niego z powrotem kamerę i razem z nią części swojej komórki, którą rozmontował poprzedniej nocy, próbując za pomocą baterii z telefonu uruchomić kamerę. To była dość ryzykowna grzebanina w ciemności, operowanie kablami i wsuwkami do włosów, lecz kamera ani drgnęła. Teraz, w pierwszym brzasku dnia, ponownie przyjrzał się dokładnie poszczególnym częściom. Było tak, jak się obawiał. Baterie z telefonu, używane od lat i dość już zużyte, nie tylko były i tak już prawie rozładowane, do tego jeszcze miały o wiele za niskie napięcie. Nie nadawały się w żaden sposób. Z podziwem ważył w dłoni niewielkie baterijki wyjęte z kamery wideo: łado-walne, głosił napis, i jeśli pomyśleć, że po jednym jedynym ładowaniu - podróżnik w czasie na pewno nie wzięły ze sobą w przeszłość ładowarki, a jeśli nawet, na nic by mu się tam nie przydały - funkcjonowały dwa tysiące lat, naprawdę nie można było narzekać. *To dopiero byłaby niezła reklama*, pomyślał.

Złożył z powrotem telefon komórkowy, na ile był w stanie. Judith martwiła się, gdy zabrał się za rozmontowywanie komórki. Gdyby pomylili drogę, twierdziła, telefon zawsze stanowiłby ostatnią możliwość przywołania pomocy. Lecz nie pozostała im już nawet ta możliwość; gdy włączył aparat, zgłosił się wprawdzie jeszcze jednym piśnięciem, lecz zaraz potem cyfrowy wskaźnik zgasł i nie dawał więcej już żadnych znaków życia.

- Może, jeśli poczekamy pięćdziesiąt lat...? - wymamrotał i wsunął bezużyteczne urządzenie do kieszeni koszuli Judith ocknęła się, zbudzona dźwiękiem sygnału. Gdy siadła, nie wydała się ani odrobinę mniej wygnieciona i dezorientowana. Przez chwilę rozglądała się zaspana, potem rzuciła jakieś słowo, które mogło być tylko hebrajskim soczystym przekleństwem.

_ Myślałam, że to mi się tylko śniło - stwierdziła potem, nieszczęśliwa.

Stephen spojrzął na nią. Nawet w beznadziejnie zmierzwiionych włosach wciąż mu się podobała.

- Nie żartuj - odpowiedział. - A ja byłem pewny, że to wszystko naprawdę jest złym snem.

- Stephen... - Rzuciła mu zamglone spojrzenie, którego nie potrafił tak do końca sobie wytłumaczyć i bez pośpiechu pokiwała głową. - Zawsze cool. Obojętne, co się dzieje. - Westchnęła i dzwignęła się. - Chce mi się pić.

Stephen wzruszył ramionami. To przecież nie może być takie trudne, wydostać się z pustyni. Jasne, to Negew, prawdziwa pustynia, lecz przecież mała i łatwa do ogarnięcia, taka kieszonkowa. O ile dobrze przypominał sobie mapę, przecinały ją liczne drogi, wprawdzie tylko pustynne trakty, lecz zawsze jasno oznakowane drogowskazami. Właściwie nie było tu dość miejsca, żeby zmylić drogę.

- Wykorzystajmy poranek, żeby przejść kawałek - zaproponował.

- A dokąd mamy iść?

- Dokądkolwiek - stwierdził Stephen - gdzie są baterie.

Poszli na zachód. Powoli, jedno za drugim. Na chwilę opanowała ich nieopanowana potrzeba rozmawiania, która sprawiła, że opowiedzieli sobie wzajemnie, co wiedzą o sposobach przeżycia na pustyni. Judith podczas służby wojskowej odbyła na pustyni trening przetrwania, wprawdzie zaledwie trzydniowy, do tego nie przyłożyła się wtedy zbyt wiele zapamiętała. Naturalnie, wykańczające, całodienne marsze w skwarnej słońcu z pełnym ekwipunkiem były także częścią wyszkolenia wojskowego. Jej wzmianki na ten temat wywoływały u niego lekki dreszcz i ilekroć zerkał na nią ukradkiem, nie mógł dopasować tych opowieści do szczupłej, niemal delikatnej kobiety, którą widział. On ze swojej strony, pomijając fakt, że uważnie przysłuchiwał się opowiadaniom weteranów *Explorer's Society* także raz brał udział w szkole przetrwania: dziesięć dni w niezmiernych lasach Kanady. Gaszenie pragnienia było wówczas również jednym z punktów programu, lecz nigdy nie okazało się faktycznym problemem.

Naturalnie, oboje znali popularne sztuczki na pozyskanie wody na pustyni. Najbardziej znana, na jaką trafia się w praktycznie każdej książce, każdym filmie i każdym komiksie, polega na wygrzebaniu w podłożu lejkowatej dziury, umieszczeniu w jej najgłębszym punkcie metalowej puszkii i potem rozciągnięciu nad nią plastikowej folii, obciążonej na krawędziach kamieniami lub piaskiem i uszczelnionej, pośrodku należało obciążyć folię kamieniem, by obwisała w kształcie lejka naprężając się przy tym. Gdy na tę konstrukcję poświeci słońce, w jej wnętrzu powstaje ogromny upał jak w cieplarni, sprawiający, że wilgotność podłoża, obecna śladowo nawet w pozornie suchym jak pieprz piasku, paruje i unosi się ku górze, na folii kondensuje i kropla po kropli ścieka na dół, gromadząc się w puszcze. Wspaniała teoria. Tylko że nie mieli przy sobie ani plastikowej folii ani blaszanej puszkii, ani czasu i energii na kopanie takich dziur i wyczekiwanie potem przy nich przez wiele godzin.

Co do jednego byli zgodni, przede wszystkim muszą starać się nie pocić więcej, niż to nieuniknione. A to oznaczało: poruszać się powoli, nie zdejmować ubrania, szukać cienia. Gdy słońce wzniesie się wyżej i zacznie znów być naprawdę gorąco, poszukają schronienia, w którym będą mogli spędzić resztę dnia, by potem, wieczorem i nocą maszerować dalej. To wszystko nie problem. Poza tym za kilka kilometrów i tak trafią na szosę do Synaju.

Potrzeba rozmowy malała w miarę, jak za ich plecami centralna gwiazda naszego układu planetarnego wznosiła się coraz wyżej. Słowa zdawały się dosłownie parować. Akurat teraz stąpali ciężko przez okolicę całkowicie gładką, pozbawioną najmniejszej cienistej szczeliny, bez większych skał, bez jakiegokolwiek formacji, która choćby trochę nadawała się na schronienie przed południowym skwarem.

- Tyle na temat różnicy między teorią a praktyką - mruknął Stephen spierzchłymi ustami, rozglądając się z rosnącym zaniepokojeniem. Okolica wyglądała jak wyklęty przez Boga ogromny parking. Tylko że teraz nikt tu nie parkował i wokół leżało za wiele żwiru.

A słońce piekło jak oszalałe.

Krok za krokiem. Stopa za stopą. Nie spuszczać z oczu punktu na horyzoncie. I pragnienie. W końcu poszedł za przykładem Judith i wziął do ust mały okruch krzemienia, by go ssać. Można było wmówić sobie, że to zmniejsza uczucie pragnienia, a przynajmniej łagodzi dręczącą potrzebę ssania.

Nikogo nie było widać. To najbardziej dziwiło Stephen: że ich nie śledzono. To byłoby takie łatwe, tutaj, gdzie szli podani jak na tacy. Starczyłby zwykły helikopter... Żadnej kryjówki, żadnego schronienia. Tylko płaska ziemia i piekący, prażący skwar, ledwie dający się znieść.

Przed nimi, niewyobrażalnie daleko, w drżącym, słonecznym blasku migotały kontury stromych, spalonych na czarno stoków gór. Właściwie każdy krok powinien przybliżać ich do tych wzgórz, z pewnością pełnych cienistych uskoków i szczelin, może nawet były tam wilgotne zakątki. Ktoś jednak przyprawił tym wzniesieniom koła i ciągnął je równie szybko, jak oni się zbliżali, wciąż dalej i dalej.

Nie wolno się zatrzymywać. Jeśli się zatrzyma, dobrze to wiedział, nie zdoła zmusić się do ponownego ruchu, to zaś oznaczałoby koniec.

Raz po raz dotykał worka, kryjącego dobrze zapakowaną kamerę. Włożył go pod koszulę na piersiach, miękkie, uciążliwie ciepłe zawiniątko, z wolna nasiąkające jego potem. To urządzenie przetrwało wieki w chłodnych, wilgotnych skrytkach, ponad tysiąc lat w kamiennej wnęce świątynnego muru, resztę w relikwiarzu pustynnego klasztoru. ^A teraz włókł je poprzez palącą spiekotę Negewu. Czy to może mu zaszkodzić? Czy możliwe, że we wnętrzu kamery powstaną jakieś uszkodzenia na skutek ekstremalnej zmiany temperatury?

Judith, która właśnie wysunęła się do przodu, zatrzyma się, obróciła do niego i bezsilnym gestem wskazała kierunek, niemal prostopadły to trasy, jaką maszerowali, mniej więcej na południu. Stephen spojrział w tamtą stronę i drgnął, widząc, jak wysoko na niebo wspięło się już słońce, jak jaskrawo świeci, jakby w niepojętej wściekłości zamierzało zniszczyć ich oboje.

- Co? - wychrypiał, gdyż nie zrozumiał jej intencji. Spojrzała na niego z pełną cierpienia, zapadłą twarzą.

- Tam coś jest - wykrztusiła. - Samochód czy coś.

Teraz i on zobaczył - ciemny, prostokątny, chyba metalowy obiekt. Z miejsca, gdzie stała Judith, widać

było odbicie światła, jakby od lustra ustawionego na słońcu. Samochód! Samochód będzie miał wodę w chłodnicy. Samochód ma akumulator. Akumulator! Napięcie dwanaście Volt, to by mu wystarczyło. Mógłby zobaczyć, co jest na wideo.

- Dalej! - rzucił, lecz chyba z jego ust wydobył się tylko pozbawiony sensu bełkot. Ruszył przodem. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu kołatał się przekorny chichot, czyż nie uznał wcześniej, że ta część pustyni wygląda jak ogromny parking, od horyzontu po horyzont? Parking - i oto stoi na nim jeden jedyny samochód! Przepona lekko mu podskoczyła, jakby miał się roześmiać, lecz reszta ciała była zbyt wycieńczona na wysiłek tej miary.

Rzeczywiście, to był samochód, mały europejski wóz, który kiedyś, nim słońce zaczęło na nim swoje zabiegi, musiał być biały: teraz na wszystkich elementach wystawionych na działanie słońca lakier przybrał niezdefiniowaną brudnobrunatną barwę. Volkswagen, o ile był w stanie zgadnąć Stephen. W samochodzie brakowało wszystkiego, cokolwiek zrobiono z chromu, nawet znaków na tylnej klapie. Świetlny refleks pochodził z wytłuczonego w połowie bocznego okna, pozostałe szyby także znikły, również opony, siedzenia, kierownica i wszelkie gałki, drążek zmiany biegów, w ogóle wszystko, co w samochodowym wraku dało się odkręcić, wyjąć i jeszcze w jakikolwiek sposób wykorzystać.

Stephen, pełen złych przeczuć podniósł niedomkniętą maskę. Tu również ktoś sobie bezceremonialnie poczynał. Chłodnica jednak jeszcze była, również blok silnika i akumulator wydały się chyba szabrownikom za ciężkie.

Powód, dla którego nie wzięli chłodnicy, niestety widoczny był jak na dłoni: pękła na wylot. Judith wydała cichy, bolesny dźwięk, gdy odkręciła korek i stwierdziła, że wewnątrz jest suche i puste.

Stephen przelknął z trudem, poruszył wyschlými, spękanyimi ustami.

- Może dlatego tu został - orzekł. - Uszkodzona chłodnica.

A akumulator? Stephenowi drżały palce, gdy sięgał do zakrętek, gdy odkręcał jedną z nich, pokonując trzeszczący opór. Pusta. Kreska, wskazująca właściwą wysokość stanu płynu w akumulatorze[^] przebarwiła się już na brązowo. Absolutnie pusty i suchy. Odkręcił pozostałe komory. Wszędzie to samo.

To nie miało sensu i Stephen wiedział, że to nie ma sensu, ale po prostu musiał wyjąć kamerę, poświęcić ciągnące się bez końca kwadransy na odarcie z izolacji jakichś znalezionych kabli, podłączenie ich do biegunów akumulatora i do odpowiednich gniazd kamery. Musiał spojrzeć w okular, odetchnąć głęboko pełen szaleńczej nadziei, że wbrew oczywistym faktom, wszelkiej technicznej wiedzy i wszelkim fizycznym prawom, ów wyschnięty akumulator zdobędzie się jeszcze ostatni raz na impuls prądu, silny choć na tyle, by rozświetlić na moment małą ekranik w okularze kamery wideo i pozwolić mu zobaczyć to, co widział brat Felix przed trzydziestu pięciu laty. Czy to zbyt wysokie wymagania tu, na tej ziemi cudów? Czy za wiele oczekiwał na pustyni, na której kiedyś Pan sprawił, że z nieba spadł deszcz manny dla jego ludzi? Byli zaledwie o pięćdziesiąt mil od tego samego Czerwonego Morza, które niegdyś rozstąpiło się przed Mojżeszem. A on wcale nie żądał tak wiele. Wszystko, czego pragnął, to jedna sekunda prądu.

Nacisnął przycisk odtwarzania. Cud się nie zdarzył.

Rozczarowany opadł na ziemię obok Judith, siedzącej w czarnym cieniu wraku. Rozgrzana blacha parzyła w plecy. To nie to samo, co cień skały, lecz dobrze było choć przez moment nie być wystawionym na gorące, bezlitosne promienie. Judith spojrzała na niego. Potrząsnął głową. Nic.

Jakże pragnąłby małej przerwy. Po prostu na kilka godzin zniknąć z palącego słońca, wypocząć, nabrać sił, wszystko Przemysleć. Przede wszystkim było mu coraz trudniej logicznie rozumować. Myśli zaczynały plątać się bezładnie, jak w malignie. Nie potrafiłby już dokładnie powiedzieć, co ważniejsze - znaleźć baterie czy wodę. Zamglone, chaotyczne obrazy nakładały się jedno na drugie, widział sam siebie, jak umiera z pragnienia na pustyni. Zdawało mu się, że to wszystko nie dzieje się tak do końca na jawie, jakby spał z otwartymi oczami. Te obrazy sprawiały, że podrywał się strwożony, trzeźwił na moment i czuł straszliwy, bezsilny strach, przerażenie, iż mógłby umrzeć, nie zobaczywszy nagrania wideo tkwiącego w kamerze. To nie może się zdarzyć. Kosmos nie może być tak niesprawiedliwy. Był już tak blisko, to po prostu niemożliwe, by poniósł klęskę tak bliski osiągnięcia celu.

- Powiedz - wyszeptał wreszcie - nie grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo, co? Cały czas idziemy na zachód; musimy niedługo dojść do drogi na Synaj, prawda?

W pierwszej chwili nie zareagowała, patrzyła tylko obojętnie przed siebie.

- Nie wiem już, gdzie jesteśmy - odpowiedziała w końcu.

- Ale przecież gdybyśmy już przeszli przez tę drogę, chybabyśmy to zauważyli, co? - Jak długo lud Izraela błąkał się po pustyni Synaj? Czterdzieści lat, o ile dobrze pamiętał.

Lecz przecież niczego jeszcze nie mijali. Nie przeszli przez żadną drogę. Przez nic, co choć trochę przypominałoby drogę. Niemożliwe.

Judith spojrzała na niego. Wyglądała na zmęczoną, śmiertelnie zmęczoną.

- Twój telefon naprawdę nie działa? Potrząsnął głową.

Westchnęła i znów patrzyła przed siebie.

- Teraz naprawdę by się przydał ...

Siedzieli. Słońce wstępowało coraz wyżej, cień kurczył się. Wydawało im się niemożliwe, że kiedykolwiek zdołają się jeszcze podnieść. Będą tak siedzieć, aż słońce ominie dach samochodu i ich upiecze. Stephen wziął worek, wyjął kamerę, tak osobiście małą, ledwie większą od notatnika i równie lekką, zważył ją w dłoni.

- Wierzysz, że to wszystko jest rzeczywiście prawdą? - spytała obserwująca go Judith.

- Co masz na myśli?

- Wygląda na nową.

Stephen obracał ją w dłoniach.

- Bo przecież jest nowa. Właściwie jeszcze nawet nie istnieje.

- A jeśli uda nam się stąd wydostać i zawieziemy ją do Japonii, co wtedy?

- Nie mam pojęcia. - Rozmyślanie o tym chyba rozsądziłoby mu czaszkę. — Rozebraliby ją na części, sprawdzili, jak działa i zbudowałiby taką samą. Japończycy przecież zawsze tak robią.

- W takim razie kto ją wynalazł?

Stephen chciał odpowiedzieć, lecz jego ociężałe, spragnione myśli zasupły się i znieruchomiały. Nie ma odpowiedzi. Nie ma na to odpowiedzi. Zbyt wiele *jeśli* i *ale*. Równanie z nadmiarem niewiadomych. Lecz gdyby pominąć *owe jeśli* i *ale* ...

- Dobrze pytanie - wydusił z siebie. Widział kamerę w swojej dłoni. Jeśli to wszystko prawda, jeśli to urządzenie rzeczywiście przywędrowało przez czas i naprawdę pochodzi z przyszłości oddalanej jeszcze o trzy lub cztery lata i jeżeli wszystko, co się wydarzyło, uznać za ostateczne i nieodwracalne... ...to znaczyłyby, że wiedzą coś o przyszłości. Coś, co budzi trwogę. Coś, co wydarzy się nieodwołalnie. Judith to powiedziała.

- Jedyna odpowiedź jest taka, że to się *nie zdarzy* - zastanawiała się, myślała krok po kroku, posuwając się naprzód jak ktoś, kto spaceruje ścieżką, zawsze ciekaw, co jest za zakrętem, lecz nigdy nie może sięgnąć wzrokiem dostatecznie daleko, by pojąć, ku czemu zmierza jego szlak. - W ogóle nie ma takiej możliwości. Wszystko jedno, czy nam się wydaje, że to mogłoby się zdarzyć. Kamera *nie dotrze* do Japonii. To znaczy ... - Teraz rozumiała. Jej oczy stały się nienaturalnie wielkie.

- Tak - powiedział tylko Stephen.

A więc to nazywa się losem. Trzymał go w dłoni. Zmęczonymi ruchami wepchnął mały aparat w plastikowej, wyglądającej na tak nową, obudowie z powrotem do worka, między miękką wyściółkę.

- Chodźmy dalej.

Pragnienie było zabójcze. Nieustanna myśl o wodzie o jakiegokolwiek cieczy paliła każdą komórkę ciała. Albo, żeby znaleźć baterie. Nie wiedział dlaczego, lecz to także ugasiłoby pragnienie.

Nogi poruszały się same. Płuca pracowały niczym kowalski miech. Cały świat dawno już zniknął, pozostała tylko płaska, kamienista przestrzeń na wprost przed nim.

Nie da rady już długo iść. Są oznaczeni. Zapomniał dlaczego, lecz ich los został im nieodwracalnie przeznaczony. Pałące palce śmierci już po nich sięgały, wysączały z nich ostatnią kroplę życia. Od dawna już się nie pocili.

Skądś pojawiła się pewna myśl, dziwnie natrętna i właściwie bez związku.

- Powinniśmy byli się z sobą przespać - powiedział.

- Co? - zdziwiła się, trochę przestraszona Judith.

- Jeśli umrzemy, będzie mi szkoda, że się z tobą nie przespałem. - To musiało zostać powiedziane.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym migotały iskierki urazy.

- Czy to wszystko, czego oczekujesz od kobiety? Teraz ma problem, nad którym może zastanawiać się przez następne sto, a może tysiąc kilometrów.

I oto nagle pojawiła się przed nimi wysoka postać. Człowiek na wielbłądzie. Beduin, obrzucający ich zagadkowym spojrzeniem. Stephen wpatrywał się w niego, gdy Judith mówiła. Zrozumiał tylko słowo „Synaj”.

Syn pustyni skinął niedbale głową i wskazał dłonią zupełnie inny kierunek niż ten, w którym szli.

Judith spytała jeszcze o coś, pewnie o wodę. Lecz mężczyzna tylko z ubolewaniem pokręcił głową. Nie miał wody albo po prostu nie chciał im jej oddać. Miał swego wielbłąda, mającego go donieść do celu, nim pragnienie stanie się problemem także dla niego.

- *Salem alejcum* - pożegnał się w końcu, jakby stale zdarzało mu się spotykać na pustyni zbłąkanych wędrowców i, nim chwycił wodze wielbłąda, założył na uszy cienki metalowy łuk słuchawek, które na czas rozmowy zawiesił luźno na szyi.

- To! - wyrwało się Stephenowi. Wskazywał na słuchawki. - Co to jest?

Beduin spojrzał na niego poirytowany, znów zdjął słuchawki. Judith rzuciła mu pytające spojrzenie. Powiedziała coś, na co wyjął spod burnusa połyskujący srebrno magnetofon i pokazał go Stephenowi.

- SONY Walkman - dodał z nosowym arabskim akcentem.

- Walkman! - wychrypiał Stephen. - Oryginalny Walkman SONY! - Wybuchnął gdaczącym śmiechem szaleńca, który zatrzęsł nim całym, jakby miał rozerwać na strzępy jego wyczerpane ciało.

- Stephen! - upomniała go Judith. - Co ci jest?

Dumny syn pustyni, wyraźnie oburzony skurczami śmiechu miotającymi Stephenem, z kamienną twarzą wsunął urządzenie z powrotem pod jasną, obszerną pelerynę.

- Nie, stop! - krzyknął Stephen wyciągając dłoń. - Przepraszam. Przykro mi. Judith, proszę, powiedz mu, że mi przykro. Spytaj go, czy mógłby mi dać baterie. Proszę!

- Na co ci te baterie?

Sam tego dobrze nie wiedział. Baterie były z. jakiegoś powodu ważne. Walkman SONY, to brzmiało jak dowcip! Będąc dzieckiem zawsze o takim marzył, lecz nigdy go nie dostał. Wreszcie za pierwsze zarobione pieniądze kupił sobie dokładnie taki sam jak ten.

Lecz gdzie i kiedy to było? Nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że potrzebne mu te baterie.

- Spytaj go!

Powiedziała coś po arabsku. Nie wiedział, że zna arabski. Tak wiele o niej nie wiedział, a teraz było już za późno.

Beduin zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i pokręcił krótko głową. Ze swym haczykowatym nosem wyglądał jak postać z mitologii, oczy wyrażały chłodną odmowę.

Stephen sięgnął do kieszeni spodni, znalazł zgnieciony banknot, nawet pięćdziesięciodolarówkę, pośpiesznie ją rozprostował i wyciągnął w stronę Beduina.

- Baterie, proszę! Płacę pięćdziesiąt dolarów!

- Stephen, coś ty? Przecież nic nie zdołaasz z tymi kilkoma bateriami. Tylko się ośmieszasz...

- Pięćdziesiąt dolarów! - powtórzył Stephen uparcie - Tylko baterie!

Arab splótł dłonie na przednim łęku siodła, trzymając wodze w gotowości i powiedział coś do Judith. Wielbłąd obserwował dwójkę wędrowców z tępą obojętnością.

- Co on mówi?

- Mówi, że jeśli te baterie są dla ciebie warte pięćdziesiąt dolarów, to na pewno są też warte sto dolarów.

- No jasne! - krzyknął Stephen i zaczął szukać po kieszeniach. - Sto dolarów, tak.

Jak oszalały wywracał kieszenie, lecz nic już nie znalazł. Nic, nawet żadnej monety, nie mówiąc o banknotach. Spojrzał w górę na Beduina, który czekał w bezruchu.

- Przykro mi, nie mam więcej. Tylko pięćdziesiąt dolarów.

Syn pustyni najwidoczniej rozumiał więcej angielskiego, niż wcześniej dał po sobie poznać. Pochylił głowę, skrzywił usta w wyniosłym uśmiechu i powiedział z cichą surowością:

- *Then have a nice day!*

Po tych słowach chwycił wodze i oddalił się pędem jak piaskowa burza.

Stephen patrzył za nim osłupiały. Pięćdziesiąt dolarów za kilka baterijek to przecież niezła cena, prawda?

Gdzie podziały się te cholerne helikoptery? To nie do pojęcia. Przed kilkoma dniami, gdy jeszcze nic nie wiedzieli ani niczego nie mieli, śledzono każdy ich krok. A teraz, gdy wiedzieli już wszystko i wszystko mieli, nikt ich nawet nie szukał!

Nic. Choć obracał się wiele razy, niebo pozostawało czyste i puste aż po horyzont. A ziemia wokół migotała, jakby otaczała ich woda.

Judith syczącym, dyszącym głosem mówiła o nim rzeczy nie brzmiące zbyt sympatycznie. Nie rozumiał, dlaczego to robi. A ona dosłownie wyrzucała z siebie słowa, wymiotowała nimi, zrzucała niczym trujący balast, jakby musiała się °°-nich oczyścić i uwolnić.

Lecz przeszła przecież razem z nim całą tę drogę. Dlaczego? Nie rozumiał, czego ona chce, wtrącał tylko monosylaby, przestał się bronić, milczał.

Potem Judith skończyła, zamilkła wydając ostatni, piskliwy dźwięk.

Był zadowolony, że to minęło. Chciał tylko jeszcze powiedzieć jedno zdanie, coś, by zakończyć całą tę sprawę, zamknąć ją, postawić pod nią kreskę, uznać za załatwioną. Nie można przecież było tego tak zostawić.

Jednak po tym jednym zdaniu musiał powiedzieć jeszcze drugie, a potem jeszcze jedno i jeszcze i nagle było tak, jakby pękła w nim tama, wielka jak zaporą Hoovera, a za nią zebrala się wszelka złość, wszelka nienawiść, całe zważenie, jakie kiedykolwiek odczuwał. Słyszał, jak krzyczy ochryple, widział, jak miota się niczym oszalały szkielet, czuł, jak wypływa z niego wszystko obrzydliwe, zepsute i wylewa się na Judith, patrzącą na niego bezradnie, jednak nie był w stanie przestać.

Potem to minęło. Był pusty. Usta sprawiały mu ból, krwawiły w kilku pękniętych miejscach. Judith przestała na niego patrzeć, po prostu szła dalej, tak samo jak on.

Nagle zobaczył, jak załamuje się pod nią noga, jak się potyka. Zanim zdążył zareagować, upadła.

- Judith... - szkliste powietrze było jak z galarety, pozwalało tylko na ruchy w zwolnionym tempie, zużywające niesamowicie dużo sił. Klęknął na ziemi przy niej, podniósł ją, ułożył jej głowę na swoim

łonie. Krwawiła z rany na rozciętym czole, nic wielkiego. Miała zamknięte oczy. - Judith!
Podniosła powieki z takim trudem, jakby ważyły kilka ton, spojrzała na niego smutno. Miała zaczerwienione oczy. Widział, że krew w żyłach na jej szyi pulsuje jak oszałała.

Otwierała i zamykała usta, chciała coś powiedzieć, lecz ył^o jej trudno. Musiał pochylić się nad nią nisko, by usłyszeć.

- Myślałam cały czas...

Urwała, pokręciła głową, słabo. Znow zamknęła oczy.

- Co? - wyszeptał.

- Myślałam... że ty...

- Ja?

- Nic.

Dobrze było poczuć padający na nich wielki, szeroki cień. Kroki, za nimi, po prawej i lewej, wokół nich. Czuć było benzyną, spalinami, spieczoną gumą i rozgrzanymi hamulcami wodą po goleniu.

Mężczyzna w gołębioszarym, dwurzędowym garniturze stanął przed nimi. Jego buty były wypolerowane do połysku. Przy krawacie miał złotą spinkę. Ten mężczyzna jakby wcale się nie pocił, wyciągał do nich dłoń. Tak samo wyciągnął dłoń jego ojciec, gdy pewnego razu odbierał go z przedszkola i też zawsze nosił takie garnitury.

- Proszę mi dać kamerę, Stephen - powiedział ów człowiek. - Potem zatroszczymy się o pana.

To nie mógł być jego ojciec. On nigdy się o niego nie troszczył. Zawsze wymagał, by jego dzieci były silne i samodzielne. Dobrze było wiedzieć, że ktoś chce się o niego troszczyć. Tak niezwykle dobrze. Czując ból w kącikach oczu, gdyż łzy nie chciały popłynąć, wydobyl z koszuli zawiniątko.

37

W nocy z wtorku na środę pełniący służbę nocny stróż Samuel Rosenfeld podczas ostatniego obchodu o 7:15 stwierdził, że kłódka, od dwóch dni prowizorycznie zamykająca drzwi do laboratorium konserwatorskiego, znikła. Poza tym w protokole strażnika nie podano żadnych innych niepokojących szczegółów.

Z raportu policyjnego

Gdy się obudził, było chłodno. Chyba się zdrzemnął, tak, dobrze mu to zrobiło. Panujący wokół chłód zdawał się wysysać skwar, którym jego ciało wciąż jeszcze było przesiąknięte i którym promieniowało z każdego najmniejszego skrawka. I było ciemno. Nie, właściwie nie ciemno. Nie wiedział, gdzie jest. Widział nagie, błyszczące matowo metalowe ściany. Rzędy migocących nitów, sufit z metalu. Przez wąskie otwory tuż pod stropem wpadało nieco światła, dostatecznie wiele.

Pochyliła się nad nim jakaś kobieta. Ubrana w obszerny biały fartuch, przyglądała mu się uważnie. Był pewien, że nigdy jeszcze jej nie widział. Zawiesiła na metalowym haku ponad nim pękaty, przezroczysty worek, zamocowała do niego plastikowy wężyk, którego drugi koniec zniknął pod opatrunkiem na wierzchu jego prawej dłoni.

- Co...? - zaczął skrzekliwie. - Co pani robi?

Kobieta spojrzała na niego i tylko uśmiechnęła się przyjaźnie.

Z wysiłkiem podniósł ramię, przyjrzał się złącze na grzbiecie dłoni. Co to może być?

Kobieta znikła. Teraz pojawiła się nad nim inna twarz, "arz starego, siwowłosego mężczyzny.

Znał tę twarz. Profesor Wilford-Smith. Teraz wszystko my się przypomniało. Pustynia. Skwar. Upadek Judith. Judith!

Przekręcił głowę w bok, sprawiło mu to koszmarny ból rozejrzał się za nią. Tak, leżała tam niedaleko, też na rozkładanym łóżku, podłączona do kroplówki, i spała. Ktoś umył jej twarz.

Przypomniał sobie. Dano im pić, słony płyn, o lekkim smaku pomarańczy. Mnóstwo tego, wypił na pewno całe wiadro. Zemdliło go, lecz nie mógł zwymiotować i wypił jeszcze więcej. Nie pamiętał, co było potem.

- Gdzie jesteście? Profesor podniósł głowę i rozejrzał się, jakby sam przez cały czas zadawał sobie to pytanie.

- To wóz transmisyjny - powiedział.

- I co z nami robią? - wskazał oczyma worek z płynem. Stary naukowiec uśmiechnął się smutno.

- To tylko roztwór soli kuchennej. Taki płyn. Oboje byliście silnie odwodnieni, gdy was znaleźliśmy.

- Odwodnieni?

- Niewiele brakowało. Stephen Foxx zamknął oczy. Tak, teraz, gdy powracały wspomnienia, ku własnemu zdziwieniu czuł coś na kształt wstydu. To była zuchwałość, ruszyć pieszo przez pustynię bez jakiegokolwiek wyposażenia. Lekkomyślnie narazić życie, dla wyścigu, by coś udowodnić, by wygrać. Błędem było wciągnięcie do tego Judith.

- Jak nas w ogóle znaleźliście?

- Nie było łatwo. Nie było was tam, gdzie was szukano. Kaun w końcu nie namyślając się wiele wykupił czas obserwacyjny na rosyjskim satelicie szpiegowskim i oni was znaleźli.

- Co? Rosjanie? -Tak. Stephen próbował wyobrazić sobie, jak się to odbyło.

- Szliśmy najpierw na południe, potem stale na zachód. Chcieliśmy dotrzeć do drogi wzdłuż granicy z Synajem.

Archeolog uniósł brwi.

- Na ile znam Kauna, nie odbierze sobie przyjemności pokazania panu tych zdjęć. Można was na nich rozpoznać, nawet z kosmosu. Zdziwi się pan, gdzie byliście.

- Ach. - Jeszcze i to. Pomylili drogę. Ale jak? Przecież stale maszerowali w kierunku gór...?

- Co z kamerą?

Profesor Wilford-Smith spojrzał na coś za głową Stephena. Była tam ścianka działowa z wąskimi, zamykanymi „a klucz drzwiami i z wielkim szklanym oknem, za którym szczelnie zaciągnięto czarną zasłonę.

- Kaun tam jest. Już dość długo. Kazał dać sobie kilka opakowań baterii i zamknął się z nią.

Stephen opadł na poduszkę wydając mimowolny, żalony jęk. Przegrał! Przegrał wyścig, niech to cholera. Poczul takie rozczarowanie, że aż oczy wypełniły mu się łzami. To było takie niesprawiedliwe, tak cholernie niesprawiedliwe. Włożył tyle wysiłku, walczył, rzucił na szalę całą swą odwagę i determinację - a Kaun jedynie kupił za swoje miliony inteligencję i *know-how* Rosjan, potrzebujących teraz każdego centa, zjawił się na właściwym miejscu we właściwym momencie i zebrał plon tego, czego sam nie posiadał. To była walka Dawida z Goliatem, tylko że tym razem wygrał Goliat. Goliat zawsze wygrywa, tak to już jest. Stare, pobożne historie, które twierdzą co innego, są niczym innym jak

tylko właśnie starymi pobożnymi historiami.

Zamknął oczy i w następnym momencie pojawiła się twarz brata Gregora. Jak wspaniale to brzmiało - godzina próby. Stare proroctwo o mocach światła i mocach ciemności, walczących o posiadanie relikwii. Nawet, jeśli wewnątrznie śmieszyły go słowa mnicha - to przecież w głębi serca coś w nim nie wierzyło, sprawiało, że czuł się napełniony siłą, roił, że u jego boku stoi Bóg.

A teraz? Zawiódł? Zależy, co Kaun zamierza zrobić z kamerą. Na pewno w takiej czy innej formie pokaże nagranie w swoich telewizyjnych kanałach i z pewnością w taki sposób, by przyniosło mu ono maksymalny zysk. Zobaczy je cały świat. A przecież niczego więcej starcowi nie obiecał.

W końcu zobaczy je i on sam. Będzie miało wtedy dla ⁿⁱego mdły smak i pewno będzie musiał jeszcze sporo poczęte, a potem długo siedzieć w domu na kanapie, wspólnie ^z milionami innych ciekawskich, wysłuchać przedłużających się zapowiedzi, ale je w końcu zobaczy. Tak niewiele brakowało, by odbyło się to o wiele prościej, lecz w końcu kiedyś się doczeka.

Być może nie ma prawa liczyć na więcej.

W tym momencie ktoś na zewnątrz poruszył zamkiem tylnych drzwi, jedno ze skrzydeł otworło się, wpuszczając pasmo oślepiającego światła. Po siatkowych schodach wspięło się trzech mężczyzn, zamknęli za sobą drzwi i na nowo je zaryglowali.

Stephen patrzył na nich, nie mogąc pojąć, co widzi. Poczł, że postać profesora, siedzącego na krześle, zeszywniała; tak jakby znał tych ludzi i jakby nie była to znajomość, którą by chciał kontynuować.

To byli księża. Dwóch młodszych i jeden starszy, pośrodku. W każdym razie mieli na sobie długie sutanny i charakterystyczne kołnierzyki.

Kościół. Przypomniał mu się Eisenhardt, ich spotkanie w bibliotece. Kaun planował sprzedać kościołowi wszystkie znaleziska za dziesięć miliardów dolarów. Och, ten pies! Nie dość, że jego bogactwo pomogło odnieść zwycięstwo, nie, teraz jeszcze to zwycięstwo pomnoży jego majątek niewyobrażalnie. Dziesięć miliardów dolarów. To nie może być prawda.

- Dzień dobry - powiedział stojący pośrodku mężczyzna głosem, którego łagodny ton zabrzmiał sztucznie. - Nazywam się ojciec Scarfaro. Chciałbym rozmawiać z panem Kaunem, jeśli to możliwe.

Profesor Wilford-Smith zmarszczył nos.

- Obawiam się, że jest właśnie bardzo zajęty.

Mina człowieka, który przedstawił się jako ojciec Scarfaro, spochmurniała w sposób dający jasno do zrozumienia, że jego prośba była raczej retoryczna.

- Jest tam w środku? - spytał, wskazując na drzwi prowadzące do przedniej części wozu.

Profesor tylko skinął głową.

Scarfaro podszedł do drzwi i zapukał niezwykle donośnie. Ze środka dobiegła niewyraźna odpowiedź.

Kapłan wrócił między swoich dwóch towarzyszy i oznajmił, zwracając się do starego naukowca:

- Oczekuje nas.

Stephen czuł bezgraniczne rozczarowanie. A więc sprawa jest już umówiona. Kościół dostanie wideo. Rozpowszechni je lub sprawi, by znikło w papieskich archiwach, zależnie od tego, jak będzie odpowiadała mu treść, jaką na nim zobaczą.

Super.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wpadł z nich Kaun, z podwiniętymi rękawami u koszuli, ze zmierzwionymi włosami, zmieniony w niespotykany u niego sposób, bardziej ludzki, niż zapamiętał go Stephen. W dłoni trzymał kamerę.

- Musi to pan zobaczyć, profesorze! - zawołał. - Cały świat musi to zobaczyć, cały...

Dopiero teraz jego spojrzenie padło na Scarfaro i jego towarzyszy, zatrzymał się raptownie.

- Skąd pan się tu wziął? - spytał skonsternowany. Scarfaro pochylił głowę.

- Staram się dotrzymać panu kroku.

Stephen uniósł wzrok, obserwował medialnego magnata. Obecność księży raczej nie była mu na rękę. A już na pewno wcale jej nie oczekiwał. Co się tu dzieje?

Może jest jeszcze jakaś nadzieja.

- Nikt nie wie, że tu jestem - powiedział nieufnie Kaun.

- Nikt poza moimi ludźmi. Jak pan mnie znalazł?

- Nie było łatwo - odparł Scarfaro, wymownie zbywając milczeniem właściwe pytanie. - Przyjechałem, żeby pana poinformować, że pieniądze są przygotowane. Starczy jedno moje słowo i popłyną na pana konta. - Scarfaro znów pochylił głowę. - Nie będzie z tym żadnego problemu, gdy tylko zobaczę towar i orzeknę, że to właśnie to, co pan zapowiadał.

Kaun nie wyglądał na zadowolonego.

- Musimy o tym jeszcze pomówić - oznajmił w końcu.

- Sytuacja uległa zmianie. Oferta dotyczyła tamtej chwili i przekazania ówczesnego etapu wykopalisk. Scarfaro wyciągnął rękę.

- Jak pan sobie życzy. Pozwoli mi pan mimo to rzucić okiem?

Kaun ociągał się. Spoglądał to na porysowaną kamerę wideo w swojej dłoni, to na wysłanników Watykanu. Stephen Wstrzymał oddech. W tej scenie był jakiś dysonans.

- Proszę - powtórzył Scarfaro dziwnie miękkim, niemal hipnotyzującym głosem.

Kaun podał mu kamerę. Widać było, że nie ma na to ochoty, lecz ją podał. Ten widok emanował takim fałszem, że we wnętrzu Stephena aż coś krzyknęło.

Scarfaro wziął mały aparat, niewiele większy od paczki papierosów i ważył go w dłoni z namysłem.

- Kościół - powiedział - jest, by wyrazić to w pańskim języku, panie Kaun, multinarodowym koncernem, produkującym sens życia dla miliarda ludzi. To ważny produkt, może nawet najważniejszy. I pożądany, gdyż inaczej dawno byśmy już nie istnieli. Pan rozumie - dodał, uśmiechając się martwo - że nie możemy tolerować nic, co zagraża naszemu produktowi?

To, co nastąpiło w następnym momencie, w pamięci Stephena Foxxa na resztę życia utkwilo tak, jakby cała scena rozegrała się w zwolnionym tempie. W niezliczonych snach ciągle na nowo przeżywał tę sekundę, wciąż widział, jak człowiek z Rzymu unosi rękę z kamerą, potem odwodzi ją w bok, bierze zamach, wychylając staw barkowy kolistym ruchem przenosi kamerę w tył i do góry, by w końcu z potężną siłą rzucić nią o podłogę, gdzie roztrzaskała się na setki części.

Ktoś krzyknął. Kaun. W następnym ułamku sekundy dwaj księży po prawej i lewej stronie Scarfaro trzymali w dłoniach pistolety i wcale już nie wyglądali jak duchowni, lecz jak gotowi na wszystko gangsterzy przebrani w sutanny. We wnętrzu ciężarówki zagrzmiął strzał, głośno, aż boleśnie, i Kaun poleciał w tył trzymając się za ramię, a spomiędzy palców ciekła mu krew.

- Co pan wyprawia?! - wrzeszczał. - Scarfaro, co pan robi?!

Ksiądz z haczykowatym nosem nie wydawał się jeszcze usatysfakcjonowany widokiem rozbitej kamery, podniósł nogę i miażdżył butem szczątki. Trzeszczały jak łamiące się kości, rozpadały w drzazgi, skrzypiały, metal z jękiem tał o metal, odłamki strzelały na boki i uderzały o ściany. Potem pochylił się i podniósł to, co było zapewne sercem kasety wideo, okrągłą ciekłą płytkę z przejrzystego, połyskującego materiału - czy to krzem? - dźwignął ją wysoko i przełamał, z bezlitosnym wyrazem twarzy, przełamał na pół.

_ Pismo święte jest doskonałe - powiedział. - Od stuleci jego słowami nauczamy ludzi, tak długo, aż uwierzyli, dla swego własnego dobra i pokoju duszy. Czy mogliśmy dopuścić, by teraz coś do niego dodawano? Nie mogliśmy. Czy wolno nam pozwolić na sprawdzenie, że Jezus może powiedział coś innego, niż zapisano? Nie wolno. Gdybyśmy to zrobili, wszystko pomieszałoby się, otwartyby się wrota wątpliwości, wiara uległaby zniszczeniu. A bez wiary nie ma spokoju duszy. To nasz obowiązek, umożliwić ludziom zachowanie ich wiary - nawet za cenę utraty jej przez nas samych.

Kaun powoli, ze skrzywioną od bólu twarzą, osuwał się po ścianie działowej. Rękaw koszuli zabarwił się na czerwono. W niczym już nie przypominał postaci potężnego, bogatego władcy, panującego nad imperium ogromnej firmy.

- Pan nie wie, co zrobił - jęczał. - Zniszczył pan dokument, który mógł skierować historię ludzkości na nowe tory. Pan uśmiercił prawdę. Pański kościół zawsze to robił, prawda? Polowanie na prawdę i zabijanie jej.

Scarfaro dalej kruszył odłamki, aż w końcu wysypał z dłoni na podłogę same drobne, skrzzące się okruchy.

- Prawda? - powiedział, patrząc wyzywająco na krwawiącego multimilionera. - Prawdą jest to, że prawda jest nieistotna. Chrześcijaństwo funkcjonuje już dwa tysiące lat, a co funkcjonuje tak długo, będzie funkcjonować wiecznie. Prawda jest taka, że historyczna osoba założyciela nie ma znaczenia. Przeciwnie, to dobrze, że ten, od którego to wszystko pochodzi, jest tak nieznan, tak nienamacalny, jakże inaczej mógłby stać się owym nadludzkim idolem? Nawet gdybyście pokazali wideo z prawdziwym, rzeczywistym, historycznym Jezusem z Nazaretu: jakaż ludzka istota mogłaby równać się z postacią, którą stworzyliśmy? Nie potrzebujemy tego dokumentu. Mógłby tylko zaszkodzić.

Kaun osunął się na bok. Podbiegła do niego pielęgniarka, nikt do niej nie strzelił, lecz Stephen zauważył, jak palec Jednego z mężczyzn drgnął na spuście.

Scarfaro odebrał mu rewolwer. Sposób, w jaki chwycił rękę, zdradzał, że nie pierwszy raz trzyma ją w dłoni. Dał swemu towarzyszkowi znak oczyma. Kapłan przyklęknął i wyjął małą szufelkę, na którą pośpiesznie zgarnął resztki kamery i wysypał wszystko do plastikowego worka, wyjętego spomiędzy fałd ciemnej szaty.

- Pan się go boi! - wysapał oszołomiony Kaun. - Czuje pan strach przed tym, którego jakoby czcił!

Scarfaro spojrział ku niemu iskrzącymi się oczyma.

- Nie ludźmy się - odezwał się w końcu. - Prawdziwy Jezus byłby dziś także wicherzycielem, zagrożeniem porządku publicznego, wrogiem państwowym numer jeden. - Zmrużył oczy w wąskie szparki. - Tylko że dziś to my byłibyśmy tymi, którzy wytoczyli mu proces.

38

Przedstawione hipotezy i wnioski mogą wydać się niewiarygodne; lecz stanowią wszystko, co możemy zaoferować. Nie ważymy się oceniać, czy dostarczony materiał ma wartość naukową. Być może końcowy osąd nie byłby tak rozczarowujący, gdyby najważniejsze znaleziska - szkielet i instrukcja - nie zostały skradzione z laboratorium konserwatorskiego w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach. Tak więc wydrukowane poniżej ilustracje i załączony zapis wideo pierwszego badania są wszystkim, co pozostało po tym odkryciu stulecia.

Profesor Wilford-Smith
Raport z wykopaliisk pod Bet Hamesh

Nigdy nie zapomni tego poranka, tej kartki, tego niepozornego kawałka papieru, który złożony i zapieczętowany wziął z rąk naczelnika papieskiej centrali informacyjnej, by pobiec z nim szybko i gorliwie przez wysokie hole, długie korytarze i szerokie schody, nie trwoniąc ani minuty, dokładnie tak, jak mu polecono, by przekazać wiadomość Ojcu Świętemu. Nigdy nie zapomni czci, jaka go przepeliła, gdy on, prosty, młody mnich, przekroczył próg prywatnych komnat papieża. Ojciec Święty siedział w fotelu, blisko okna i modlił się. Albo spał, tak dokładnie nie można powiedzieć. Przystanął w należytej odległości nie wiedząc, jak powinien się zachować. Nie trać ani minuty, tak mu powiedziano, niemal nie mógł złapać oddechu. Lecz przecież nie może przeszkadzać papieżowi w medytacji!

Odetchnął, gdy Ojciec Święty wyzwolił go z zakłopotania otwierając oczy i zauważając jego obecność. Ciepłym uśmiechem dał mu znak, by się zbliżył.

- Co mi przynosisz, synu? - wyszeptał.

- Pilna wiadomość z Izraela, Wasza Świątobliwość.

Podał mu kartkę z informacją. Potem dalej stał wyczekując, a papież zeszywniałymi palcami mozolnie rozpieczętowywał list i rozwijał papier. Patrzył na niego, jak czyta zapisaną w liście wiadomość.

Miał wrażenie, że obserwuje zapaść człowieka będącego głową kościoła. Cokolwiek stanowiło zawartość listu, zdawało się wysysać wszystkie życiowe siły z ciała papieża. Twarz Ojca Świętego poszarzała i obwisła, jakby w tej właśnie chwili przyszła po niego śmierć. Dłoń zacisnęła się na papierze, zgniotła go, opadła zwiotczała na łono, spojrzenie skierowane ku oknu błędziło po niebie.

- Nie tego chciałem - młody, przerażony mnich usłyszał szept starego, przerażonego papieża. - Nie o to mi chodziło, Battisto, nie o to...

Przez całe życie młody mnich będzie zadawał sobie pytanie, co miały znaczyć te słowa.

Ojciec Łukasz stał w swoim biurze, które w końcu znów było jego i przez otwarte okno obserwował odjazd Scarfaro i jego gładkoliczych towarzyszy. Za nic w świecie nie zdobyłby się na to, by zejść na dziedziniec i jeszcze się z nimi pożegnać. Gdy wrócili wczoraj późnym wieczorem, wszyscy wydawali się niespokojni, wzburzeni, otaczała ich aura zła, chłodu, mroku. Tak, jakby przed chwilą dokonali potwornej zbrodni.

W każdym razie, cokolwiek zrobili, dopełnili swej misji. I nagle zaczęło im się spieszyć. Scarfaro oznajmił mu, że zamierzają wyruszyć następnego ranka, gdzie właściwie jest ich samochód? Wygłosił to wszystko szorstkim, pogardliwym tonem, jakby rozmawiał z nierozgarniętym parobkiem. A ojciec Łukasz przeknął to, co właściwie miał ochotę powiedzieć, jak przelykał wszystko, odkąd spadło na nich nieszczęście w postaci tego człowieka z Rzymu i odparł tylko, że warsztat poinformował ich, że wóz jest naprawiony i stoi gotowy do odbioru.

- I? - szczechnął gniewnie Scarfaro.

- Proszę wybaczyć, nie rozumiem...

- Jeśli wóz jest gotowy - skarcił go Scarfaro - to proszę go odebrać!

Wstał więc dziś wcześnie rano, pojechał przez całe miasto pierwszym autobusem aż do warsztatu, by stanąć przed jego bramą, gdy tylko go otworzą. Zapłacił rachunek i to datków zbieranych od małych sklepikarzy i staruszek! I doprowadził potem samochód przez budzący się ruch aż pod bramę klasztoru. A teraz przyglądał się, jak mężczyźni z Rzymu pakują do bagażnika swój niewielki bagaż, dzielą się miejscami i losują kierowcę, mając nadzieję, że żadnego z nich nie zobaczy już nigdy w życiu.

Podobnie jak miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał się dowiedzieć, co było w torbie, którą ze sobą przynieśli. Co mieli do roboty w kuchni późną nocą? Dziwne, złowieszcze odgłosy rozbrzmiewały echem w całym domu. Brat Geoffrey zaniepokojony przyszedł do niego, nie mając odwagi sprawdzić. Więc poszedł sam. Gdy wetknął głowę przez drzwi kuchenne, zobaczył, jak mężczyźni wyjmują z torby fragmenty, wyglądające jak odłamki rozbitego radia i zabierają się do nich nożami do siekania i tłuczkami do mięsa, szczypcami do sałaty trzymając je nad płonącym gazowym palnikiem pieca, gdzie topiły się ze smrodem i doszczętnie spalały. Wyglądało to tak, jakby byli zajęci systematycznym usuwaniem śladów przestępstwa. W następnej chwili jeden z nich wstał, stanął przed nim na szeroko rozstawionych nogach i dał mu wyraźnie do zrozumienia; że nie ma tu czego szukać.

Telefon zadzwonił. Chciał pozwolić mu dzwonić i dalej podążać tropem swoich myśli, lecz aparat nie milkł. Wreszcie podniósł słuchawkę.

- Halo!

Rozpoznał głos. To właściciel warsztatu. Zasapany, niewyraźny głos.

- Tak? - spytał tak krótko i opryskliwie jak potrafił. Dziś rano musiał już widzieć się z tym typem. To, uważał, aż nadto wystarczy na jeden dzień.

- Samochód, który odebrał pan dziś rano - wysapał głos. - Ma usterkę.

To spasiony głupek, pomyślał ojciec Łukasz. Ale jest katolikiem, tak? To przecież najważniejsze.

- Myślałem, że pan go naprawił? - zapytał i zauważył z zadowoleniem, że jego głos zabarwił się ostrym tonem. Takich jak ten dureń powinno się ekskomunikować. - Za co właściwie zapłaciłem panu dziś rano rachunek?

- Nie... Tak... Jest naprawiony, ale ktoś zapomniał założyć z powrotem opaski zaciskowe na przewody hamulcowe! Zszedłem przed chwilą na dół do warsztatu, patrzę, a one tam leżą...

- Opaski zaciskowe.

- Tak. Opaski zaciskowe.

- A co to znaczy?

Głos nabrał lamentującego tonu.

- Jak by to powiedzieć... Opaski zaciskowe są potrzebne, by zapobiegać obluzowywaniu się przewodów na złączach, rozumie pan? W razie wystąpienia wibracji, powiedzmy, że samochód jedzie po wybojach... Nawet za każdym razem, gdy kierowca hamuje, wężyki rozciągają się nieco, obluzowują stopniowo na złączach. Ten samochód nie może jechać dalej ani jednego metra, nim go nie naprawimy, słyszy pan? Wyślę kogoś, natychmiast wyślę panu kogoś z opaskami.

Ojciec Łukasz wyrzwał przez okno biura. Jeden z młodych mężczyzn o martwych oczach akurat otwierał bramę podwórza. Pozostali siedzieli w wozie. Silnik pracował.

- Chwileczkę - powiedział powoli ojciec Łukasz. Przykrył dłońią muszlę mikrofonu i czekał z zimnym sercem. Samochód Scarfaro ruszył, za bramą powoli skręcił na ulicę i znikł z pola widzenia.

- Halo? Słyszysz mnie pan? - powiedział potem do mężczyzny na drugim końcu kabla. - Przykro mi, ale ten samochód już odjechał.

- O Boże! Wie pan, dokąd jedzie?

- Do Hajfy.

- Do Hajfy! I nie ma pan możliwości zawiadomienia kierowcy?

- Nie.

Gdy odłożył słuchawkę, na dłuższą chwilę zamarł z dłońią na telefonie i ze wzrokiem wbitym przed siebie. Przypominał sobie drogę do Hajfy, wijącą się między wzgórzami Galilei-Drogę pełną zakrętów i stromych zboczy. Taka jest wola Boga, z całą pewnością tak właśnie jest. *Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę - mówi Pan.*

Jednak hamulce samochodu nie zawiodły. Jeszcze nim opuścili Jerozolimę, Luigi Battista Scarfaro i jego ludzie zostali potrąceni przez ścinającą zakręt ciężarówkę; wypadek, w którym co prawda nikt nie został ranny, lecz samochód nadawał się tylko do kasacji. Wylądował w prasie na złomowisku, nim ktokolwiek miał okazję zauważyć brak zacisków na przewodach hamulcowych, zaś wierni słudzy jedyne prawdziwego kościoła odjechali na koszt ubezpieczalni innym wynajętym wozem, bezpiecznie docierając do Hajfy, skąd ruszyli w drogę powrotną do Rzymu - statkiem, gdyż pewne rzeczy, które mieli w bagażu, łatwiej było niepostrzeżenie wnieść na statek, niż na samolot.

Tego ojciec Łukasz nigdy się nie dowiedział. W tydzień po odjeździe Scarfaro poszedł do lekarza spytać go o swoje coraz większe trudności przy przelknięciu, ten zaś zdiagnozował nowotwór przełyku w zaawansowanym stadium. Pozostałe mu pół roku życia ojciec Łukasz spędził w szpitalu prowadzonym przez katolickie zakonnice, gdzie poddawano go rozmaitym operacjom i zabiegom, choć w zasadzie od początku było wiadomo, że nie ma dla niego ratunku. Siostra, czuwająca przy jego łożu śmierci, wstrząśnięta patrzyła, jak kapłan niemal do swego ostatniego tchnienia płacze niczym zagubione dziecko.

Również George Martinez nigdy się o tym wszystkim nic nie dowiedział. Po powrocie do Bozeman w Montanie, sprawił matce tak wiele radości barwnymi opowieściami o przeżyciach w Jerozolimie, że pobłogosławiła go starym meksykańskim magicznym zaklęciem. Przy okazji następnego zadania, które zawiodło go na wykopaliska w Ameryce Środkowej, poznał niejaką Beatriz Aznar, dobrze zapowiadającą się historyczkę a przy tym urodziwą córkę wenezuelskiego milionera naftowego, która zakochała się w nim równie gwałtownie, jak on w niej. Pobrali się krótko potem i zamieszkali^w imponującej posiadłości w pobliżu Caracas, której powierzchnia była pięciokrotnie większa od terenu Uniwersytetu Bozeman, następnie powołali na świat liczną gromadkę ślicznych dzieci, prócz tego poświęcając się studiom historii Inków, Majów i Azteków.

Jego dawny szef, doktor Bob Richards, podczas pierwszego zadania, które musiał realizować bez

George'a uległ ciężkiej i przewlekłej kontuzji stawu biodrowego, w następstwie czego otrzymał na Uniwersytecie Bozeman we wdzięcznym uznaniu swych zasług stałą, dożywotnią posadę. Nastąpiło to w bardzo dogodnym momencie, gdyż już rok później pewna malezyjska firma weszła na rynek z tomografem sonarowym, który był nie tylko o wiele dokładniejszy i łatwiejszy w użyciu niż ten skonstruowany na Uniwersytecie, ale przy tym miał na tyle niską cenę, że jego zakup stał się możliwy nawet dla dysponujących skąpym budżetem instytucji historycznych, co sprawiło, że skończył się popyt na badania sonarotomograficzne.

Przypadkiem zaginięcia w tajemniczych okolicznościach znalezisk archeologicznych z Muzeum Rockefellera, jak również zajściami w okolicy Wadi Mershamon, zajęło się sądownictwo państwa Izrael. Śledztwo prokuratury nie przyniosło ostatecznego wyjaśnienia faktycznego przebiegu wydarzeń, gdyż podejrzani, oskarżeni i świadkowie dostarczyli dość rozbieżnych zeznań. Przedstawiana przez jednych historia, jakoby byli na tropie spuścizny podróżnika w czasie, została już na wstępie odrzucona jako wymyślony w celu zmylenia sądu nonsens i zagrożono im, że jeśli spróbują powtórzyć ją na procesie, zostaną dodatkowo oskarżeni o obrazę sądu. Na rozkaz wysoko postawionych osób - jeden z najbardziej aktywnych obserwatorów śledztwa i procesu, izraelski dziennikarz Uri Liebermann, napomknął o rozległych wpływach amerykańskiego milionera i magnata medialnego Johna Kauna oraz o jego wielostronnych powiązaniach - przyspieszono całe postępowanie. W końcu pozostał tylko główny zarzut - spowodowanego niedbalstwem bądź też złą wolą zniszczenia obiektów archeologicznych o prawdopodobnie dużej historycznej wartości oraz szereg pomniejszych, od popełnienia gorszących czynów po nielegalne posiadanie broni.

Rodzeństwo Judith i Yehoshuah Menez zostało uwolnione od zarzutu współwiny. Sędzia ograniczył się do udzielenia surowego upomnienia, by w przyszłości zachowywali większą ostrożność przy postępowaniu z historycznymi znaleziskami i by w razie wątpliwości informowali państwowe instytucje, kompetentne w tego rodzaju sprawach.

Yehoshuah Menez pozostał w dalszym ciągu cenionym pracownikiem Muzeum Rockefellera, poświęcił się głównie konserwacji papirusów oraz papieru i z biegiem czasu stał się uznanym autorytetem w tej dziedzinie. Między innymi opracował metodę, która miała rozpowszechnić się pod nazwą „menezacja”. Judith Menez zdecydowała się studiować religioznawstwo porównawcze i niedługo potem przeszła na buddyzm.

Amerykańskiego studenta Stephena Corneliusa Foxxa sąd uznał winnym gorszących czynów i utrudniania pracy organom państwowym. Zarzutu dokonania włamania do Muzeum Rockefellera nie dało się udowodnić. Foxx został usunięty z kraju i otrzymał zakaz wjazdu przez pięć lat. Wrócił na uniwersytet i kontynuował studia. Po burzliwych debatach *Explorer's Society* postanowiło odebrać mu członkostwo.

Obywatel USA Keith Hegarty Ryan, który ratując się ucieczką uniknął ujęcia pod Wadi Mershamon i, jak się wydaje, opuścił kraj w nieznanym kierunku, pozostał nadal na liście poszukiwanych. Pozew przeciwko niemu, obejmujący między innymi zarzut nielegalnego posiadania broni, nielegalnego podsłuchu, pozbawienia wolności, czynnego grożenia i podżegania do czynów karalnych, został podtrzymany.

Amerykanin John Kaun zdołał przekonać sąd, że nic nie wiedział o kryminalnych poczynaniach swego szefa ochrony i że ufał mu w dobrej wierze, uznano go jednak winnym zniszczenia obiektów archeologicznych oraz podżegania do mniej szkodliwych czynów karalnych i skazano na pięć lat więzienia. W postępowaniu odwoławczym, co do którego wspomniany już dziennikarz Uri Liebermann w szeroko później dyskutowanym gazetowym komentarzu insynuował protekcję wpływowych popleczników, odroczone karę. Pozwolono mu opuścić Izrael. Wrócił do Nowego Jorku i niedługo potem rozwiódł się z żoną, co odbiło się echem niemal na całym świecie na stosownych stronach Yellow Press. Następnie z zjadłą determinacją zdemontował swój koncern, sprzedając na koniec nawet jego serce, kanał N.E.W., jednemu ze swych największych konkurentów. Potem John Kaun zniknął ze sceny publicznej.

Anglik, profesor Charles Wilford-Smith został uwolniony od wszelkich punktów oskarżenia dotyczących czynów karalnych. Zasugerowano mu jednak opuszczenie Izraela i dano do zrozumienia, że nigdy już nie otrzyma zezwolenia na prowadzenie w nim wykopalisk. W oświadczeniu dla prasy oznajmił, że żałuje wszystkiego, co zaszło, lecz i tak zamierzał, z uwagi na swój zaawansowany wiek, wycofać się z aktywnych badań naukowych. Powrócił do Anglii.

Jego wieloletni asystent, izraelski historyk Shimon Bar-Lev, został w następnym roku zastępcą dyrektora Muzeum Rockefellera.

Klasztor Mershamon znów zamknął swe bramy i ponownie popadł w zapomnienie.

Dziennikarz Uri Liebermann, który podczas procesów był kimś w rodzaju głównego sprawozdawcy, napisał książkę o wykopaliskach pod Bet Hamesh oraz o wydarzeniach, będących przedmiotem procesu. Jednak gdy książka była gotowa, cała sprawa dawno już znikła ze świadomości społecznej i

nie znalazł wydawcy dla swego dzieła.

Pisarz Peter Eisenhardt, który już przed apogeum wydarzeń wyjechał z Izraela, został wezwany jako świadek, uznał jednak, że woli nie przyjeżdżać. Od razu po powrocie spakował zapiski o swych przeżyciach do pudła, wepchnął je na sam tył wysokiej szafy w sypialni i poświęcił się pisaniu nowej powieści, starannie dbając o to, by z tym wszystkim miała jak najmniej, a najlepiej zupełnie nic wspólnego. Znacznie później pewien krytyk literacki miał zauważyć, że Eisenhardt odtąd nigdy więcej nie napisał historii o podróżach w czasie.

Kanadyjski historyk profesor Goutiere nie został ujęty ani oskarżony, podobnie jak zatrudnieni przez Kauna pracownicy, bez przeszkód wrócił do swej ojczyzny. Kilka lat później doznał ataku apopleksji, po którym miał już nigdy nie wyzdrowieć.

Kościół Siewcy zlikwidowano i zsekularyzowano. Zawieszony po przybyciu Luigi Battisty Scarfaro karmienie biednych nigdy więcej nie zostało wznowione.

39

TRZY LATA PÓŹNIEJ

Na zewnątrz, z ciężkiego, szarego, listopadowego nieba mżył zimny, nieprzyjemny deszcz, wewnątrz ogrzewanie wciąż jeszcze nie chciało porządnie zadziałać, dlatego Stephen Foxx próbował zwalczyć chłód za pomocą licznych filiżanek gorącej herbaty i grubego swetra. Siedział akurat przed jednym ze swych segregatorów, obejmując obiema dłońmi parującą filiżankę i próbował odgadnąć treść i sens swych starych notatek z wykładów, gdy zadzwonił telefon.

Znow odezwała się firma *Video World Dispatcher*. A mówiąc dokładniej, panna Barnett, odpowiedzialna za dział marketingu. Panna Barnett charakteryzowała się dwoma cechami: po pierwsze, upodobaniem do tak jaskrawego makijażu, jakby chciała konkurować ze świetlną reklamą na dachu siedziby firmy, po drugie, głęboko zakorzenioną niechęcią do tego, by choćby tknąć komputer.

W ciągu minionych trzech lat *Video World Dispatcher* stała się jego głównym klientem. Wtedy, po powrocie z Izraela, dostał to zlecenie, mimo że na docieklive pytania Geo-rge'a C. Addamsa, przewodniczącego zarządu i głównego udziałowca odpowiedział zgodnie z prawdą, iż z prawnego punktu widzenia firma składa się tylko z niego osobiście i że wraz z partnerami w Bangalore w Indiach prowadzi coś, co ostatnio weszło w modę i nazywa się *virtual company*.

Addams nawet nie mrugnął powieką przy haśle „Indie”. Jeśli chodzi o zakres, projekt ten był porównywalny z pierwszym projektem Stephena, lecz tym razem pracy było więcej, a pieniędzy mniej. Czasy się zmieniły, co ostatecznie zrozumiał wówczas, gdy Amal Rangarajan oznajmił mu, że ze względu na kosztą część zlecenia przekazał podwykonawcy w Uzbekistanie, gdyż indyjscy programiści stali się zbyt drodzy.

- Panie Foxx, musi pan koniecznie przyjść! - zabrzmiało to tak, jakby co najmniej palił się magazyn.

Stephen odetchnął, potem jeszcze raz, przesunął spojrzeniem po segregatorach, planach powtórek, tablicach wzorów i notatkach z całych studiów, pomyślał o czekającym go egzaminie.

- Co się zepsuło? - spytał. Pewnie znowu nic. Jak zwykle okaże się, że to zwykły błąd obsługi, bo nikomu nie chciało się przeczytać instrukcji.

- Za cztery tygodnie - wyjaśniła podnieconym głosem Miss Barnett - zaczyna się światowa kampania promocyjna nowego systemu MR SONY.

- Ach - wyrwało się Stephenowi.

System MR. Jakże długo już o nim nie myślał. Momentalnie uświadomił sobie, że z jego pięcioletniego zakazu wjazdu do Izraela, którym go ukarano, minęła już ponad połowa. Wspomnienia obudziły się, uniosły na powierzchnię świadomości jak pęcherzyki gazu w mętnym błocie. Emocje ucieczki przed pościgiem, kluczenie po pustyni, godziny, gdy rzeczywiście trzymał ją w dłoni, ową kamerę, która odbyła najbardziej fantastyczną z wszystkich podróży, kamerę wideo z przeszłości. Ból, skwar. Pocałunki. Judith.

- Mamy problem - mówiła dalej panna Barnett - gdy chodziło o sprzęt komputerowy, nigdy nie miała po prostu zadań do wykonania, zawsze musiały to być problemy. - Musimy napisać do wszystkich klientów, którzy wcześniej zamówili ten sprzęt przez internet. Adresy są zapewne gdzieś zapisane, czy...?

- Tak - przytaknął Stephen. - Oczywiście.

- Czy można na podstawie tych adresów... jakoś... wydrukować listy, w których adres dopisałby się automatycznie?

- Na pewno - cierpliwie wyjaśniał Stephen. - To nazywa się listem seryjnym.

- Mógłby pan to dla nas zrobić?

- Sama może to pani zrobić. System posiada własną funkcję, która...

- Ale naprawdę wołałabym, żeby zrobił to pan.

Stephen niezdecydowanie zagryzł wargę. Nie mógł oczywiście usprawiedliwiać się tym, że tkwi w samym środku przygotowań do egzaminu. Poza tym zanosilo się na łatwą, dobrze opłaconą robotę, a ku jego ubolewaniu składało się akurat tak, że pieniądze bardzo by mu się przydały. Przygoda w Izraelu - szczególnie jej etap sądowiczy - wraz z kilkoma nieudanymi inwestycjami, wybitnie nadszarpnęły jego niegdyś tak obiecującą sytuację finansową.

Tamte wspomnienia wciąż jeszcze wywoływały ból. Ból nieodwracalnych strat. Ból, że zawiódł. Gdy myślał o Izraelu, zawsze miał uczucie, że wyjechał stamtąd poorany niewidocznymi bliznami i, gdy potem patrzył w lustro, własna gładka, młodzieńcza twarz wydawała mu się obca, gdyż był przekonany, że powinien zobaczyć na niej raczej głębokie zmarszczki.

- Oczywiście - powiedział zatem - jak sobie pani życzy. Proszę pozwolić mi zerknąć do kalendarza... - To mógł sobie podarować. Przez następne dwa tygodnie nie miał absolutnie żadnych spotkań, na wszystkich stronach nabazgrał ukośnie czerwonym atramentem: *Uczyć się!*- Mógłbym być u pani jutro

rano około dziesiątej.

- Cudownie, panie Foxx. Wie pan, podczas tej akcji nie może być żadnej wpadki.

- Bez obaw. Poradzimy z tym sobie - rozłaczał aurę pewności siebie.

Gdy odłożył słuchawkę, poczuł się nędznie. Deszcz wciąż jeszcze przyskałał o szyby, niby cieniutkie ukłucia igły. Minęły już trzy lata od tamtych wydarzeń. Miał jeszcze jeden, może dwa emaille od Yehoshui, blahe bla-bla. Judith natomiast nie odpowiedziała na żaden z jego listów. Nie znał numeru telefonu. Jej brat twierdził, że naprawdę nie ma telefonu.

Było tuż przed dziesiątą i już nie padało, gdy skręcił swym czerwonym Porsche na parking przed *Video World Dispatcher* - Samochód wciąż jeszcze robił niezłe wrażenie, co było głównym powodem, dla którego nadal nim jeździł, lecz w zasadzie byłby już najwyższy czas na kupienie nowego, gdy pod maską działy się coraz częściej okropne, kosztowne rzeczy i wciąż obawiał się, że pewnego dnia zostanie na poboczu.

Jednak tym razem znów się udało. Ben, stary portier z uśmiechem przytrzymał otwartą siatkową bramę i przywitał go jak starego znajomego. Stephen Foxx z biegiem czasu rzeczywiście zadomowił się na terenie firmy. Jeszcze raz po-prawił kołnierzyk koszuli, po tygodniach spędzonych w swetrze wydawał mu się niezwykle ciasny, i wszedł bocznym wejściem bezpośrednio do wielkiego magazynu.

Drzwi uchyliły się ciężko i nagle trafił w samo serce gorączkowej krzątaniny, wypełniającej przestrzeń między wysokimi metalowymi regałami. Uskoczył przed wózkiem widłowym, niegdyś jaskrawożółtym, teraz odrapanym po latach sumiennej służby i wspiał się po siatkowych schodach do działu komputerów. Przez okrągłą dobę buczało tam czternaście komputerów najrozmaitszej konstrukcji, połączonych w sieć i spełniających najrozmaitsze zadania.

Panna Barnett czekała już na niego, trzymając w dłoni wydruk wzoru listu, jaki chciała rozesłać. Stephen siadł przed komputerem, na którym znajdowała się baza danych klientów i kilkoma kliknięciami myszki przywołał na ekran tabelaryczne zestawienie. Zawierało wszystkie zamówienia, kiedykolwiek złożone firmie *Video World Dispatcher* poprzez jej stronę internetową. Lista podawała nazwiska i adresy zamawiających, numery kart kredytowych, datę i godzinę zamówienia oraz numer katalogowy zamawianego urządzenia bądź innego artykułu. Wszystko, co miał do zrobienia, to wyszukać w owej tabeli adresy tych, którzy w okresie subskrypcji zamówili sprzęt z serii MR.

- Wszyscy, którzy zamówili przed terminem, otrzymują piętnaście procent rabatu - wyjaśniła Miss Barnett. - Gdybyśmy o kimś zapomnieli, będą skargi, a tego chcemy uniknąć.

- Nie ma problemu - odparł Stephen i wprowadził odpowiednie polecenie wyszukiwujące.

Komputer pracował. W tym czasie na monitorze zamiast zwykłego symbolu klepsydry widać było obracającą się kulą ziemską z logo firmy *Video World Dispatcher*. Stephen zatopiony w myślach drapał się po wierzchu dłoni. Rozmyślenia dotyczyły charakterystycznych cech ekonomii po Keynesie, które kartkował dziś rano jedząc w pośpiechu śniadanie.

Gotowe. Usłyszał chrobot twardego dysku, symbol oczekiwania zmienił się na normalny wskaźnik myszki i na ekranie zaczęła stopniowo pojawiać się tabela wyników. Stephen sięgnął po myszkę. Super. Najdalej za godzinę będzie już na zewnątrz, pojedzie do domu, napisze soczysty rachunek i z nowym zapalem rzuci się w wir przygotowań do egzaminów.

Przeczytał pierwsze nazwisko i zeszywniał.

To nazwisko. Skąd wzięło się na tej liście to nazwisko...?

- To nie może być prawda - mamrotał. - To nieprawda...

Panna Barnett pytała o coś, lecz on słyszał tylko niezrozumiałą szmer. Jego myśli rotowały nagle jak wirnik helikoptera, jedna goniła drugą, okruchy zrozumienia kłębiły się chaotycznie jak rozsypane puzzle. Musiał wyłapywać cząstki, zbierać je i składać do kupy. To od niego zależało, czy zbierze je w całość. Jak to nazwisko trafiło na tę listę?

Przesunął widok tabeli, odczytał datę i godzinę złożenia zamówienia. Czytał, co zamówiono. W jego wnętrzu dudniło niczym dzwon. Nie do wiary. Przeliczył. Tak, rok się zgadza. I miesiąc. I dzień, to było... Nie do wiary.

- Panie Foxx! - potrzęsała jego ramieniem. - Co się stało? Czy dane się nie zgadzają?

Stephen ocknął się.

- Dane? - powtórzył ogłupiały. - Dane są w porządku.

- Bogu dzięki - odetchnęła panna Barnett. Stephen wciąż na nowo czytał to nazwisko. Przeszłość właśnie go dogoniła.

40

Potężny, szary dach, jedyny w okolicy, na którym nie zamontowano anteny satelitarnej, zdawał się niemal doszczętnie miażdżyć mały, przycupnięty nisko wiejski domek, stojący na skraju południowoangielskiej miejscowości Barnford. Po drugiej stronie wąskiej drogi ciągnęły się już tylko pola, zaorane zawczasu na wypadek zimowych przymrozków. Nad nimi rozpięto się bezkształtne, blade niebo. W ziemiste opary unoszące się nad rolą w mieszała się chłodna woń, zapowiadająca rychłe opady śniegu.

Samochód, który skręcił owego przedpołudnia w uliczkę i zatrzymał się przed domem, miał londyńską rejestrację. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn, rozglądając się uważnie, jak wysiada się w miejscu widzianym po raz pierwszy w życiu. Jeden z nich był młody i szczupły, niemal szczapowaty, miał na nosie okulary w cienkich oprawkach i mimo jesiennego chłodu ubrany był tylko w marynarkę. W jego ruchach czuło się z trudem kielznaną energię, zaś twarz miała wyraz twardego zdecydowania. Drugi, nieco starszy i o znacznie pełniejszych kształtach, przy wysiadaniu drżąc z zimna otulił się szarozieloną kurtką, szczelniej owijając wokół szyi niedopasowany kolorystycznie szal w szkocką kratę. W oczach miał jakby niepewność. Zdumiony, rozglądał się jak dziecko, jeszcze niezdecydowane, czy powinno spodziewać się czegoś przyjemnego, czy przeciwnie.

Ta dwójka przeszła przez ulicę, zatrzymała się krótką chwilę przed wąską, polakierowaną na jasnozielono furtką, by przestudiować napis na skrzynce na listy, zamocowanej na szorstko tynkowanym murze ogrodzenia. Kiwnęli głowami: Tak, dobrze trafili. Młodszy swobodnym ruchem otworzył kutą w żelazie ogrodową furtkę.

Znajdującemu się za nią ogrodowi zdawały się być obce wszelkie metody upraw. Opadłe liście butwiały na trawniku wokół zachwaszczonego stawu, pozostawione tam, gdzie spadły z jesiennych, nagich drzew i zarośli. O zardzewiałą, przykrytą beczkę z wodą ktoś oparł rower. Wzdłuż murów panoszyły się krzewy zimozielonego żywopłotu, rozrastającego się wedle własnego widzimisię.

Dwaj mężczyźni podeszli do drzwi domu i zadzwonili.

Przez chwilę nic się nie działo, potem dało się słyszeć kroki i ktoś gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

Mężczyzna, który stał za nimi, był daleko starszy niż dwaj przybysze. Białe jak śnieg włosy, niesfornie sterczące we wszystkie strony, jakby zaniechał ich czesania, otaczały spaloną na słońcu twarz, z której trzeźwo spoglądały na przybyszy świetliste szare, żywotne oczy. Miał na sobie zieloną, robioną na drutach kamizelkę z wywiniętym kołnierzem, z którego sterczała pomarszczona, żylasta szyja, mimowolnie przywodząca na myśl wiekowego, olbrzymiego żółwia.

- Cóż za niespodzianka! - krzyknął staruszek, gdy pokonał nie dłuższą niż sekunda chwilę przerażenia.

- Pan Foxx! Pan Eisenhardt! Co panów tu sprowadza? Proszę wejść, proszę... - zamachał ramionami w zapraszającym geście. - Cóż za szczęśliwy traf, że akurat jestem w domu! Tak często wyjeżdżam, że praktycznie nikt nie odwiedza mnie, nie umawiając się najpierw telefonicznie.

- Traf nie grał tu tak wielkiej roli, jak się panu wydaje - powiedział Stephen Foxx, uśmiechając się skąpo, gdy wchodzili. - Dzień dobry, profesorze.

Pół godziny później siedzieli w obszernym, dobrze ogrzonym salonie, z którego przez szerokie, staroświeckie tarasowe drzwi roztaczał się romantyczny widok na ogród i na spodkach z cieniutkiej porcelany balansowali filiżankami, z których unosił się aromat złotożółtej herbaty. Profesor zasiadał jak na tronie w masywnym, skórzanym fotelu. Każdy metr ściany zajmowały ciasno zapchane książkami półki bądź stare, olejne obrazy w ciężkich ramach.

- To już dawno - stwierdził zamyślony. - Ponad trzy lata. Sporo czasu.

Dwaj goście, usadzeni obok siebie na sofie w stylu kolonialnym, potwierdzili skinieniem głowy.

- Jeszcze nie zdradziliście mi panowie, co was tu sprowadza?

- Chcieliśmy pana odwiedzić.

- Tak po prostu?

- Nie - odpowiedział Stephen i ostrożnie odstawił filiżankę na stolik przy kanapie - nie tak po prostu.

Nagle w pokoju zrobiło się cicho. W ogrodzie na gałęziach nagich drzew przysiadły kruki, jakby chciały zobaczyć, co teraz stanie się w salonie.

- Jako dziecko lubiłem układać puzzle - zaczął Stephen Foxx. - Na każde Boże Narodzenie rodzice kupowali mi nową układankę i potem cała rodzina siedziała przez święta wokół szerokiego, niskiego stolika i próbowała ułożyć obrazek. Im starsi byliśmy ja i moje rodzeństwo, tym więcej części miały puzzle, aż kiedyś rodzice zaczęli kupować układanki bez podanego oryginalnego obrazka. Mieliliśmy zatem tylko tysiące małych fragmencików i najmniejszego pojęcia, co mamy otrzymać. Często siedzieliśmy tak godzinami i tylko próbowaliśmy cokolwiek dopasować, nie robiąc żadnych postępów. W końcu jednak znajduje się jakaś jedna część pasująca do innej i razem dają malutki wycinek obrazka,

który raptem pozwala przeczuwać wygląd całości. Dalej układanie posuwa się już z wprost wyścigową prędkością. Elementy jakby łączyły się same, znajdowały właściwe miejsce, nagle do siebie pasowały - a wszystko tylko dzięki temu, że udało się znaleźć ten jeden, istotny fragment układanki. - Stephen zrobił przerwę. - Kilka tygodni temu - powiedział potem patrząc na profesora, którego krzaczaste białe brwi unosiły się coraz wyżej - trafiłem na właśnie taki fragment układanki.

Profesor Wilford-Smith sięgnął po filiżankę herbaty, stojącą na małym stolczku przy jego fotelu.

- To brzmi interesująco - orzekł. - Choć również ogromnie zagadkowo, jeśli pozwoli mi pan na taką uwagę.

- Proszę się nie niepokoić. Jestem tutaj, żeby rozwiąże tę zagadkę.

- To uspokajające.

Stephen pochylił się, opierając przedramiona na udach.

- Gdy skończyła się nasza przygoda w Izraelu, zdawało się, że wszystkie pytania zyskały jasne odpowiedzi. Lecz to nieprawda. Do obrazka nie pasowało kilka dziwnych szczegółów. Wszyscy byliśmy zbyt zmęczeni i zbyt rozczarowani by je sobie uświadomić, lecz owe drobniutkie, pozornie pozabawione znaczenia detale bywają niezwykle istotne. Wpadłem na to w ostatnich tygodniach, gdy znów rozsypałem fragmenty i zacząłem układać je kawałek po kawałku wokół tego jednego, o którym przed chwilą opowiadałem. No i proszę powstał zupełnie inny obrazek.

- Fascynujące - stwierdził profesor.

- Pozwoli mi pan na jedno pytanie?

- Ależ proszę.

- Co właściwie skłoniło pana do studiowania archeologii?

Profesor Wilford-Smith zirygowany zamrugał oczami.

- Och... To było już tak dawno temu... A jakie to ma znaczenie?

- Był pan po czterdziestce, zrobił karierę w intratnym zawodzie i, gdyby pan przy tym został, byłby dziś może współwłaścicielem jednego z największych zakładów włókienniczych w Wielkiej Brytanii. Lecz pan to wszystko odrzucił - dlaczego?

Przez twarz uczonego przemknął cień znudzenia, pozwalający sądzić, że niejednokrotnie już musiał odpowiadać na to pytanie.

- Cóż, w życiu liczą się nie tylko pieniądze.

- I mógłby pan teraz powiedzieć, że było warto?

- Oczywiście. To była fascynująca przygoda. W przeciwnym razie pewnie bym się jej nie trzymał.

Stephen spojrział na niego.

- W ostatnich tygodniach sprawdziłem kilka rzeczy. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, pańskimi dawnymi współpracownikami, innymi archeologami. Niektórzy z nich powiedzieli mi o panu dość negatywne rzeczy.

- Wiem. Może pan po tym poznać, jak bardzo naukę przeżera zazdrość. To w większości ludzie urodzeni i wychowani w wieży z kości słoniowej, a powód, dla którego mi zazdroszczą, jest taki, że przyszedłem z przemysłu i potrafiłem rozmawiać z inwestorami i sponsorami, a oni tego nie potrafili. Wszedłem im w paradę i radziłem sobie z pieniędzmi. Trud-powiedzieć, co jeszcze mogliby mi zarzucić.

- Zawsze organizował pan duże wykopaliska, z setkami współpracowników. Tak jak ostatnie, na których byłem

- Tak - przytaknął Wilford-Smith. - To były nawet jedne z mniejszych.

- Wówczas zupełnie pana nie znałem, nigdy o panu nie słyszałem. To Yehoshuah Menez załatwił mi miejsce na wykopaliskach. Zdaje mi się, że pierwszy raz zamieniliśmy ze sobą więcej niż dwa słowa, gdy dokonałem odkrycia w sektorze czternastym. - Stephen Foxx oparł się i zarzucił nogę na nogę. - Wie pan, co najbardziej dziwiło mnie od tamtej pory?

Białowłosego profesora tylko uniósł pytająco brwi.

- Praktycznie natychmiast wiedział pan, o co chodzi

- mówił dalej Stephen. - Zszedł pan do mnie na dół, zobaczył plastikowy worek i instrukcję obsługi i od razu był pan pewien, że mamy do czynienia z sensacją. Chodzi mi o to, że ja potrzebowałem kilku dni, by to zrozumieć. Nawet on - wskazał na siedzącego przy nim w milczeniu Eisenhardta - nie przeniknął tej sprawy tak błyskawicznie. Wprawdzie dość szybko wpadł na pomysł, że to musi być szkielet podróznika w czasie, lecz co to znaczy - mianowicie, że stosowna kamera powinna gdzieś jeszcze istnieć - na to wpadł dopiero, gdy tę ideę podsunął mu Kaun. A on na pewno nie wymyślił tego sam.

Wilford-Smith uniósł dłoń w geście mającym wyrażać *Wybaczczie, proszę, że jestem taki sprytny.*

- Może powinienem na stare lata zacząć pisać science fiction.

- A wie pan, co jeszcze dziwnego opowiedział mi pan Eisenhardt? - kontynuował Stephen. - Powiedział, że podczas ciągnących się bez końca narad, od początku wydawał się pan osobliwie nie brać w nich udziału. Im dłużej to wszystko trwało, tym mniej zdawało się pana poruszać. Dziwne, prawda?

Stary człowiek opadł na oparcie wielkiego fotela. I Pan przecież do czegoś zmierza, Stephen -

oświadczył spokojnie. - Czy może się myłę?

- Słusznie - przytaknął uśmiechając się krzywo Stephen

- Jestem właśnie w trakcie rozplątywania wszystkich tych luźnych wątków, jakie pozostały w tej historii. Jest jeszcze jeden szczegół, o którym opowiedział mi pan Eisenhardt. Pozornie nieistotny detal, gdy patrzeć na niego z osobna. Tego poranka po mojej ucieczce z obozu, poszedł pan bardzo wcześnie do pokoju konferencyjnego, w którym zgromadzono wszystkie przedmioty z mojego namiotu i na laptopie oglądał pan zapamiętane strony internetowe, zawierające opis kamer z serii MR. Pan Eisenhardt przyłączył się do pana i rozmawialiście o tym, jakie to dziwne, że podróżnik w czasie wziął w przeszłość MR-01, a nie znacznie wydajniejszą i odporniejszą MR-02. Przypomina pan sobie?

- Mgliście - przyznał Wilford-Smith.

- Jestem pewien, że pamięta pan to bardzo dokładnie. Jestem pewien, że tego ranka zapisał pan sobie adres i numer telefonu firmy *Video World Dispatcher*, od której pochodziły te strony. - Głos Stephena przybrał twardszy ton.

- Gdyż zarządzaniem przypadku właśnie ta firma, której siedziba znajduje się niedaleko mojej uczelni, została jednym z moich klientów. Jestem tam stałym gościem i robię z ich komputerami, co zechcę. A przed pięcioma tygodniami w pliku zamówień subskrypcji MR trafiłem na pana nazwisko, profesorze Wilford-Smith.

Profesor nic nie odpowiedział. Siedział tylko, patrzył na Stephena, a w jego oczach pojawiło się osobliwe migotanie.

- W tym pliku - bezlitośnie ciągnął dalej Stephen - zaznaczono też datę i godzinę złożenia zamówienia. Przeliczyłem to kilka razy i przekonałem się, profesorze, że jest pan człowiekiem szybkich decyzji. Uwzględniając różnicę czasu między amerykańskim wschodnim wybrzeżem a Izraelem, po zamknięciu mojego laptopa nie zwlekał pan nawet pół godziny z telefonem do *Video World Dispatcher*. Czy pan wie, że był jednym z pierwszych? I czy wie pan, że spośród tysięcy zamawiających z całego świata jest pan *jedynym*, który zamówił sam odtwarzacz, bez kamery?

Głos dawnego kierownika wykopalisk zabrzmiał niespodziewanie ochryple.

- Co pan z tego wnioskuje?

- Tak, właśnie o to spytałem sam siebie. Całymi tygodniami zadawałem sobie pytanie: *Stephen, jaki z tego wniosek? Co to oznacza?* I dalej prowadziłem śledztwo. W końcu w firmie SONY znalazłem pomocną duszę, która była w stanie mi powiedzieć, że niejaki pan Wilford-Smith od roku 1969 znajduje się stale na liście wysyłkowej materiałów reklamowych i zapowiedzi nowych rozwiązań z zakresu techniki wideo. Dopiero dwa i pół roku temu nadeszła wiadomość, że można go skreślić z tej listy. Czego zresztą nie zrobiono, nawiasem mówiąc.

Sędziwy archeolog tylko przytaknął.

- Oczywiście, i ten szczegół można wytłumaczyć - przyznał Stephen. - Pewnie. Cóż w tym dziwnego, że jakiś naukowiec interesuje się techniką wideo? Przeciwnie, to całkiem prawdopodobne. Pomijając może fakt, że nigdy na wykopaliskach nie robił pan nagrań wideo ani nie zlecał filmowania innym.

- Technika nie była jeszcze do tego celu wystarczająco niezawodna - sztywno oznajmił profesor.

- To może było prawdą w 1969. Ale w ostatnich dziesięciu latach już nie.

Wilford-Smith westchnął, opuścił pomarszczone dłonie na łono i zamyślony spojrzał na Stephena.

- Jak pan sądzi? - zapytał. - Ma pan przecież jakąś teorię, inaczej nie byłoby pana tutaj. Słucham.

- Nie nazwałbym tego teorią. Mam opowieść. Inną opowieść - podkreślił Stephen i raptem znów poczuł, jak jego ciało przenika strumień pewności, której tak długo był pozbawiony. Przyjechał tu z obawą, że stary naukowiec mógłby powiedzieć coś obracającego wniwecz jego historię, podać jakiś argument, którego nie wziął pod uwagę, a który obaliłby całą, mozolnie utkaną konstrukcję logiczną. Lecz to się nie zdarzy. Już nie. - Moja historia opowiada o młodym brytyjskim żołnierzu, stacjonującym w latach 1947 i 1948 w Palestynie, przez cały ten czas, gdy w Narodach Zjednoczonych dyskutowany był plan zezwolenia Żydom na utworzenie na tych terenach własnego państwa. To były niespokojne czasy, lecz ów żołnierz znalazł czas¹ sposobność, by rozejrzeć się nieco po kraju, zgromadzić wrażenia i pamiętki. Tym żołnierzem był pan, profesorze.

- Tak - skinął głową. - Stacjonowałem wówczas w Palestynie.

- Gdy 15 maja 1948 opuścił pan z brytyjskimi oddziałami nowo utworzony Izrael i wrócił do Anglii, wystąpił pan z wojska i podjął zupełnie normalną pracę w przemyśle tekstylnym. Ożenił się pan, miał dzieci, robił godną uwagi karierę. Przez dwadzieścia lat prowadził pan nierzucające się w oczy życie. Lecz potem musiało się coś wydarzyć. Pytanie brzmi: co?

- Przestało mi wystarczać prowadzenie zwyczajnego życia - podsunął wyjaśnienie Wilford-Smith. - W dzisiejszych czasach nazwano by to kryzysem wieku średniego.

Stephen przecząco pokręcił głową.

- Nie. Moja historia rozwija się inaczej. W mojej historii wśród przywiezionych z Ziemi Świętej pamiątek, przechowywanych przez te wszystkie lata w jakimś pudle albo skrzyni, jest jakiś przedmiot, co do

kórego nie wiedział pan, co to może być. Dwadzieścia lat później, w latach sześćdziesiątych, zdarzyło się, że pojawiły się magnetofony kasetowe, sprzedawano je w ogromnych ilościach. Gdy zobaczył pan pierwszą kasetę z nagraniem muzyką, musiała przypomnieć się panu stara, zagadkowa pamiątka z Palestyny. Któregoś dnia wygrzebał ją pan i stwierdził, że istnieje pewne podobieństwo. Także cztery wytłoczone na niej litery nabrały już sensu: SONY - to była japońska firma, przebojem wchodząca właśnie na rynki całego świata. Cóż za zagadka! Musiał pan rozmyślać nad nią miesiącami, może przez całe lata, co też mogłoby się za tym kryć? Ktoś inny poszedłby z tą czarną, kanciastą rzeczą do naukowców i powiedział: *zbadajcie to*, lecz panu to jakoś nie przyszło do głowy. Wolał pan załatwić sprawę sam. Tak opisywał pana niemal każdy, na kogo trafiłem z ludzi znających pana w przeszłości: ktoś, kto wszystko załatwia sam. Rozważał pan wciąż rozmaite możliwości, nawet te najbardziej dziwaczne, wzorem Sherlocka Holmesa wykluczał pan niemożliwe i w ciągu kolejnych lat, gdy pojawiły się pierwsze, toporne magnetowidy, opracował pan własną teorię. Wyobrażam sobie, że decydującym czynnikiem był materiał. Pańską pamiątkę wykonano z tworzywa sztucznego, uzmysłowił to pan sobie, gdy wziął ją ponownie do ręki - ale nie zapomniał pan, że wówczas, w 1948, nie wiedział pan z jakiego materiału jest wykonana. Tego rodzaju tworzyw sztucznych jeszcze wtedy nie znano i zapewne właśnie ta okoliczność w którymś momencie przywiodła pana na myśl, że może chodzić o podróż w czasie. Stąd już blisko było do domysłów, że znalezisko może być czymś w rodzaju nagrania wideo, a ponieważ podróżnik w czasie nie zabrał go z powrotem w przyszłość, należało sądzić, że podróż w czasie działają tylko jak jednokierunkowa ulica prowadząca ku przeszłości. Jedynym sposobem na przekazanie nagrań w przyszłość mogło być zdeponowanie ich w nieodkrytych do naszych czasów miejscach, gdzie jego dawni współcześni będą mogli je wykopać. Cóż jednak mogłoby być warte aż takiego poświęcenia? Wystarczy pomyśleć pięć minut nad tym pytaniem, by przyszedł do głowy biblijny Jezus. Znaleziony przez pana artefakt musiał zawierać nagranie wideo z Jezusem. Głupie było tylko to, że wciąż jeszcze nie istniał sprzęt, umożliwiający obejrzenie owego zapisanego filmu i, jak wynikało z prospektów regularnie przysyłanych panu przez firmę SONY, takiego sprzętu jeszcze przez długi czas miało nie być na rynku. Aż wreszcie zaczął pan podejrzewać, że jeśli pańska teoria jest prawdziwa, musi przecież istnieć przynajmniej jedno takie urządzenie i to od niemal dwóch tysięcy lat: mianowicie kamera podróżnika w czasie. Wiedział pan już, że w każdej kamerze ze względów technicznych znajduje się także mechanizm do odtwarzania, za pomocą którego można obejrzeć zarejestrowany materiał. Innymi słowy, gdyby znalazł pan kamerę podróżnika w czasie, mógłby pan obejrzeć nagranie, co do którego był pan przekonany, że ukazuje Jezusa. I to właśnie jest prawdziwy powód, dlaczego w wieku czterdziestu dwóch lat zaczął pan studiować archeologię i w końcu powrócił do Palestyny. Nie zrobił pan tego dlatego, że archeologia stała się pańską pasją. Powód był tylko jeden: chciał pan znaleźć kamerę. Profesor Wilford-Smith nic nie mówił. Głowę trzymał wysoko na wyprostowanej szyi, siedział bez ruchu, a wokół J^ogo ust igrał ledwie zauważalny uśmiezek.

- Dlatego zawsze organizował pan tak wielkie wykopaliska - mówił dalej Stephen. - Dlatego zawsze bardziej zależało panu na ilości niż na jakości i dlatego tak niewiele pan publikował. W rzeczywistości, archeologia zajmowała pana tylko mimochodem. Tym, co pana interesowało, była kamera. I tylko z tego powodu był pan w stanie działać tak szybko, gdy znalazłem instrukcję. Nie musiał pan zastanawiać się, co to może oznaczać, gdyż na przemyślenie tego miał pan wcześniej całe dziesiątki lat. Wiedział pan, że po prostu trafiłem na to, czego pan szukał.

Gdzieś trzasnęła gałązka. Kruki na gałęziach drzewa zakrakały i odleciały spłoszone.

- To był prawdziwy powód. John Kaun szukał kasety, pan natomiast przez cały czas szukał tylko kamery. Nawet w chwili, gdy odbywały się wykopaliska pod Bet Hamesh, informacje dla klientów SONY nie zawierały jeszcze żadnej wzmianki o nowym systemie MR. Były tylko pogłoski w kręgach wtajemniczonych. Gdy dowiedział się pan, że już za trzy lata pojawi się na rynku odpowiedni sprzęt, pańskie zainteresowanie poszukiwaniami zmalało, a gdy zamówił pan odtwarzacz, w ogóle zgasło. Podczas, gdy my wszyscy jak w amoku kręciliśmy się w kółko, pan musiał tylko poczekać, gdyż już posiadał jedno z trzech nagrań z Jezusem. Przez trzydzieści lat zaglądał pan pod każdy kamień w Izraelu w poszukiwaniu kamery; bez problemu mógł pan czekać jeszcze trzy lata. - Stephen pochylił się w przód. - Wiem, że pański odtwarzacz dostarczono w poprzednim tygodniu. Przyjechałem, bo chcę zobaczyć wideo.

Stephen spodziewał się kontrargumentów, choćby przynajmniej współczującego kiwania głową i wypowiedzi, że na przykład ma zbyt wybujałą wyobraźnię albo że naczytał się niewłaściwych powieści. Jeśli miał być szczerzy, w chwili, gdy wygłosił swą teorię i w pokoju panowało tylko pełne napięcia, niemal osłupiałe milczenie, nawet jemu samemu cała historia wydała się mocno naciągnięta. Coś w stylu: archeologiczne *pendant* do UFO-paranoi.

Lecz profesor Wilford-Smith nie śmiał się ani nie próbował go wykpić. Siedział tylko przez dłuższą chwilę z tym samym delikatnym, niemal zadowolonym uśmiechem, z którym słuchał go przez cały czas. Potem wstał z pewnym, właściwym dla jego wieku trudem i powiedział po prostu:

- Dobrze. Proszę za mną.

Eisenhardt, którego angielski, zgodnie z jego własnymi słowami, w ciągu ostatnich lat jeszcze bardziej „zardzewiał”, nie odzywał się przez cały czas i prawdopodobnie z trudem był w stanie nadać za rozmową, podskoczył jak dźgnięty nożem.

- Chwileczkę! - zawołał. - Czy to znaczy, że Stephen nie myli się w swojej teorii?

Siwowłosy archeolog spokojnie skinął głową.

- Tak. Dokładnie tak było.

Poszli za nim do gabinetu jak owce za pasterzem. Stał tam telewizor, wielki, drogi model, na nim zwykły aparat wideo, a na nim cienka, czarna skrzynka o eleganckim wyglądzie: odtwarzacz MR. Wokół pełno było regałów, zastawionych książkami, rękopisami, wśród nich archeologiczne okazy, małe gliniane wazy lub figurki. Dwoje wąskich, przeszklonych drzwi prowadziło na taras. Na ścianie między nimi wisiała - dość stara, biorąc pod uwagę wydrukowane na niej granice państw - mapa Izraela, na której kolorowe naklejki oznaczały miejsca, w których profesor Wilford-Smith prowadził wykopaliska.

- W roku 1947, jak panowie zapewne wiedzą, znaleziono zwoje z Qumran - zaczął opowiadać, ustawiając przed telewizorem krzesła. - Usłyszałem o tym. Historia fascynowała mnie - widzi pan, pewna skłonność do archeologii musiała już wtedy nie być mi obca - i udało mi się zorganizować wyjazd do Jerycha, gdzie kazałem pewnemu beduińskiemu przewodnikowi pokazać sobie jaskinię, w której odkryto te zwoje. Na moje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć - uśmiechnął się - że miałem wtedy zaledwie dwadzieścia lat i byłem stosownie do tego wieku naiwny. W tych górach są setki jaskiń i przewodnicy sprawiedliwie rozdzielili je między sobą. W zależności od tego, na którego przewodnika się trafiło, oglądało się tę czy inną jaskinię, oczywiście za każdym razem była to ta jedyna, oryginalna.

Ruchem dłoni zaprosił ich, by usiedli.

- Mój ówczesny przewodnik był chciwy, lecz wielkoduszny, uznał widocznie, że dobrze go opłaciłem. Gdy wetknąłem mu dodatkowy banknot, pozwolił mi pomyszkować po jaskini samemu. Podczas, gdy on siedział przy wejściu i palił smrodliwego papierosa, ja w przyległej grocie za uskokiem skalnym znalazłem potłuczoną, lecz jeszcze kompletną amforę. Gdy zbierałem skorupy, zobaczyłem wśród nich małą, prostokątną paczuszkę, tłuste, brudne zawiniątko ponawijanych, jedna na drugą warstw materiału, który w swej naiwności wziąłem za papirus. W istocie było to naprawdę niezbyt spektakularne - grzebałem jeszcze przez chwilę wokół, lecz nie znalazłem nic więcej, zawinałem swoje znalezisko w dużą chustkę do nosa i włożyłem do kieszeni, po czym poszliśmy dalej.

Wilford-Smith podszedł do szuflady, wyjął z niej małe blaszane pudełko, puszkę po ciastkach.

- Gdy wróciłem i przyjrzałem się mojemu znalezisku w świetle dziennym, stało się jasne, że jest to tylko zwykły len nasączony żywiczną substancją. Cały dzień zajęło mi odwijanie warstwa po warstwie, aż w końcu znalazłem w środku to. - Uniósł pokrywę puszkę i wyjął płaską, czarną kasetę MR. Jakby nie była niczym szczególnym, podał ją Stephenowi. - Ma pan rację, długo nie wiedziałem, co to jest. Uznałem ten materiał za nieznaną mi kamień półszlachetny, a ponieważ wygrawerowano na nim łacińskie litery, myślałem, że może to jakaś rzymska ozdoba.

Przed trzema tygodniami, w magazynie *Video World Di-spatcher*, Stephen pierwszy raz miał w ręce kasetę MR. Ta tutaj wyglądała dokładnie tak samo: płaski, kwadratowy przedmiot z czarnego tworzywa, ciężący w dłoni, w środku nic nie stukowało jak w zwykłej kasecie wideo. Po jednej stronie były tajemnicze dziurki i prostokątne szpary, lecz na całej powierzchni nie było na niej widocznego otworu. Właściwe medium zapisu, specjalnie przetworzona krzemowa płytka, była niedostępna z zewnątrz.

Kaseta było mocno odrapana, a z boku, tam, gdzie wytłoczono napis „SONY”, kawałek odłamał się i ktoś pieczołowicie przykleił go na właściwym miejscu taśmą klejącą. Nie wyglądała naturalnie na fabrycznie nową, lecz równie trudno było uwierzyć, że ma dwa tysiące lat.

Obracał ją niezdecydowanie w palcach. Tak, teraz, gdy wszystko wskazywało na to, że poszukiwania dobiegły końca, poczuł w sobie osobiłą pustkę. A więc to było to, czego tak gorliwie szukali. Lub w każdym razie coś podobnego. Teraz, kiedy trzymał to w dłoniach, stało się dziwnie bezwartościowe. Jakby chodziło tylko o to, by szukać, nie o to, by znaleźć.

- Muszę się panom jeszcze do czegoś przyznać - profesor przerwał jego zamyślenie. - To dotyczy mojej umiejętności zdobywania sponsorów wykopalisk, wzbudzającej nadzwyczaj głośne plotki, a jeszcze większą zawiść.

Stephen podniósł wzrok. Pozwolił, by Eisenhardt wyjął mu z dłoni kasetę.

- Moje doświadczenia z przemysłu były wprawdzie często bardzo przydatne, a kto kiedyś musiał nadzorować dwieście tkaczek i przadek, dla tego organizacja wykopalisk to naprawdę pestka - mówił dalej Wilford-Smith. - Lecz to wszystko nie miało decydującego znaczenia, a przynajmniej nie zawsze. Rzeczą, do jakiej odwoływałem się w krytycznych sytuacjach, był fragment odłamany z przodu kasety.

- Słucham? - spytał zaskoczony Eisenhardt.

- Wcale nie miałem tak wielu sponsorów, jak się zwykle mniema. Miałem bardzo wytrwałych, szczodrych sponsorów - przede wszystkim Uniwersytet Barnford, później, po szeregu krótszych epizodów, Johna

Kauna. Pokazałem mu ten odłamek i zapewniłem go solennie, że znalazłem go w 1947 w Palestynie i że zbudowałem na nim potem tę teorię, którą dziś wszyscy dobrze znamy.

- Zatem on wiedział, że pan szuka w Izraelu kamery wideo - powiedział Stephen. - Nie wiedział tylko, że kasetę już pan ma.

- Właśnie. Było dla mnie jasne, że ktoś taki jak Kaun natychmiast odda kasetę do zbadania naukowcom. A tego nie chciałem.

- Ponieważ bał się pan wywołać w ten sposób - Eisenhardt szukał właściwego słowa - paradoks czasu? Archeolog spojrział na niego z zaskoczonym wyrazem twarzy, który wyraźniej niż wszelkie słowa zdradzał, że taka myśl nigdy nie przeszła mu przez głowę.

- Nie - potrząsnął głową - bałem się, że mogliby zniszczyć nagranie.

- Och! - mruknął pisarz.

Stephen znów wziął do ręki kasetę i przyglądał się odłamkowi, odprysniętemu akurat tak, że był na nim fragment napisu. Z lekkim przerażeniem zauważył, że poniżej firmowego logo wytłoczono jeszcze mniejszymi literami napis: MR-VI-DEO SYSTEM. Na kasetach, które widział, nie zauważył nic takiego. I zdawało mu się także, że te kasety nie miały wąskich rowków na boku.

- Kasetą była nieuszkodzona, gdy ją znalazłem. Sam odłamałem ten kawałek, po pierwsze dlatego, że chciałem zobaczyć, co jest w środku - niewiele tam widać gołym okiem

- z drugiej strony, aby znaleźć sponsora moich projektów.

- Zauważył spojrzenie Stephena. - Tak, napisy są inne. Myślę, że kaset o takiej konstrukcji jeszcze nie ma na rynku.

- Więc to także dowód, że ta pochodzi rzeczywiście i naprawdę z przyszłości. Wciąż jeszcze z przyszłości.

-Tak.

- Można ją w ogóle odtworzyć? - spytał trwożliwie Stephen.

Profesor wyjął mu ją z ręki i podszedł z nią do sprzętu wideo.

- Na szczęście tak. -I?

- Proszę dać się zaskoczyć - oznajmił tajemniczo archeolog, włączając telewizor i sadowiąc się z pilotem na krześle. - Proszę po prostu dać się zaskoczyć.

41

Peter Eisenhardt, czterdzieści dwa lata, żonaty, dwójka dzieci, z zawodu pisarz, przeżył tego popołudnia największe rozczarowanie swego życia. Był zaskoczony, gdy po tak długim czasie zadzwonił do niego Stephen Foxx - jak w gruncie rzeczy zaskoczony był zawsze, gdy ktoś tak po prostu do niego dzwonił. Najpierw młody Amerykanin miał kilka pytań dotyczących odległej już w czasie przygody w Izraelu, on zaś odpowiedział na nie tak dobrze, na ile pozwalała mu pamięć oraz znajomość angielskiego. W dniach i tygodniach, które nastąpiły potem, Foxx dzwonił raz po raz, uprzejmy, nigdy natrętny, i opowiadał mu o swoich przemyśleniach. Z rosnącą fascynacją śledził, jak Stephen składa w całość małe, pozornie drugorzędne fakty i wyciąga z nich precyzyjne wnioski. Gdy okazało się, że profesor Wilford-Smith prawdopodobnie od dziesięcioleci jest w posiadaniu - nieczytelnej do tej pory - kasety wideo należącej do podróżnika w czasie, ogarnęło go coś, co odczuwał jak gorączkę i co raptem uświadomiło mu, jak musieli czuć się ludzie zwabieni niegdyś obietnicami gorączki złota. Tak, on również, choć sobie tego nie uświadamiał, cierpiał z powodu rozczarowującego zakończenia gonitwy za kamerą. To, co się stało, *nie miało prawa się zdarzyć*. Teraz, gdy na skutek przenikliwego rozumowania pojawiła się owa ewentualność, że absolutnie nie wszystko jest jeszcze stracone, wydała mu się być jakby obietnicą, że koniec końców zwycięży sprawiedliwość.

Chciał przy tym być. Na przekór swemu terminarzowi i stanowi bankowego konta porzucił biurko i zarezerwował lot do Londynu, gdzie miał się spotkać ze Stephenem Foxxem, przybyłym z USA. Z tajemniczych źródeł Foxx wiedział, że profesor Wilford-Smith, który odkąd wycofał się z aktywnych prac badawczych, podróżuje więcej niż kiedykolwiek przedtem, będzie tego ranka w domu. Wynajęli samochód, kupili mapę i wyruszyli do Barnford. Eisenhardt zajął posterunek pilota i zostawił kierownicę Foxxowi, który zadziwiająco dobrze radził sobie z ruchem lewostronnym.

A teraz - to...!

Najpierw po ekranie tańczyły tylko barwne refleksy, przypominające grę kolorów, jaką można obserwować na powierzchni płyty CD, gdy trzymać ją w świetle i lekko nią poruszać.

- Zachowało się tylko dwadzieścia pięć minut - wyjaśnił profesor Wilford-Smith. - Może te nagrania nie są jednak tak trwałe, jak się sądzi.

Stopniowo z chaosu wyłaniał się obraz, rozchwiany, amatorski obraz. Krajobraz, jaki można byłoby znaleźć w Palestynie albo w Grecji, bez charakterystycznych cech. Ludzie, ubrani w szorstkie, pozbawione ozdób ubrania. W końcu kamera skierowała się na człowieka o długich, falistych włosach, pociągłej twarzy i ostrym nosie, zaskakująco podobnego do wizerunku Jezusa spotykanego w kościołach i na świętych obrazach. Siedział przy stole z kilkoma mężczyznami, jedli coś, a wokół nich zebrała się barwna gromada ludzi.

Eisenhardt niechętnie zmarszczył czoło. Cóż to ma być? Spodziewał się, że zobaczy Kazanie na Górze albo nakarmienie pięciu tysięcy, albo Jezusa idącego po wodzie. Albo - przy tej myśli przebiegał mu po plecach dreszcz - może nawet samo Ukrzyżowanie. Na lot do Londynu zabrał swoją starą biblię, która dostał na bierzmowanie, jeszcze raz prze-kartkował Ewangelie zastanawiając się, co też z tych wszystkich legendarnych wydarzeń mógł sfilmować podróżnik w czasie. Bądź co bądź był jedynym, który dokładnie wiedział, co się wydarzy i można by się spodziewać, że dobrze podzielił czas nagrań, jakimi dysponował.

A tu okazuje się, że ów człowiek nie znalazł nic lepszego do roboty, jak filmować Jezusa - podobno Jezusa - jak je i pije, i rozmawia z ludźmi, siedzącymi wraz z nim przy stole.

Pisarz oparł się i skrzyżował ramiona na piersi. Przecież to śmieszne! 1 po to wszystkie te starania? Poczul, jak ogarnia go pełne niesmaku, ciężkie niczym ołów rozczarowanie, jak opada na jego ramiona, piersi, całe ciało; czuł się prawie tak jak wtedy, gdy swojej pierwszej poważniejszej dziewczynie zaproponował małżeństwo, a ona go odrzuciła. *To wszystko nieprawda*, myślał. *Profesor znów nas oszukuje*.

Co się tyczy Stephena Corneliusa Foxxa, dwadzieścia cztery lata, nieżonaty, urodzony w Maine, USA, student ekonomii i okazyjnie właściciel firmy software'owej, ów ranek w Barnford w południowej Anglii zmienił całe jego życie.

Gdy odtwarzacz wideo rozpędział się cicho bucząc, wpatrywał się w ekran telewizora i zastanawiał się, dlaczego nic nie czuje, żadnego tryumfu, żadnej pełnej napięcia radości oczekiwania, nic. Siedział i patrzył, jakby w ogóle nie był tu właściwą osobą. Wszystkie oczekiwania i wizje, które w ostatnich tygodniach doprowadzały jego krew do wrzenia, znikły nagle bezpowrotnie, opadły z niego jak płatki przekwitłego kwiatu. Jeżeli w ogóle coś odczuwał, to smutek, że całe te poszukiwania mają się teraz skończyć. Cóż, zatem trzeba będzie znaleźć sobie nowy cel, za którym można by podążać, a potem znów inny i znów, i tak już zawsze. To był dziwny, głęboki smutek, sprawiający, że stał się zupełnie pasywny i ociężały. W gruncie rzeczy wcale nie miał ochoty oglądać tego wideo.

Przypomniły mu się słowa opata, które tamten powiedział w podziemiach klasztoru na Negew o relikwii, którą nazywali „lustrem”. Mówił mianowicie, że każdy, kto w nią spojrzy, nie jest potem już taki sam. *Cokolwiek można w nim zobaczyć, zmienia to człowieka na zawsze.* Wezbrała w nim dzika panika, gdy o tym myślał, i o ucieczce, pustyni, pełnej zwątpienia walce... Bał się, ot, wszystko. Raptem poczuł niewiarygodny strach przez zobaczeniem nagrania.

Lecz siedział dalej.

Gdy kolorowe cienie pojaśniały i obraz się wyostrzył, ukazał się jasny krajobraz, jaki pamiętał z Izraela, tylko zieleńszy, soczystszy. Kamera, trzymana mniej więcej na wysokości brzucha, chybotła się na wszystkie strony, pokazywała mężczyzn i kobiety w przeważnie szaroburych, antycznych szatach. Czy jeden z tych mężczyzn to Jezus? Jeśli tak, który?

Kamerę postawiono na stole, rozkołysany obraz uspokoił się. Potem o wiele za szybki obrót, gdy ktoś przekręcił ją w innym kierunku. Dzbany i kubki usunięto z pola widzenia aby nic nie zasłaniało widoku na mężczyznę, siedzącego i jedzącego u końca stołu. Dokładnie w tym momencie podniósł on wzrok, najpierw na punkt nad kamerą, zapewne na tego, kto ją niósł i ustawiał, potem wprost w obiektyw kamery, jakby dobrze wiedział, co się dzieje.

Te oczy... Stephen przerażony wstrzymał oddech. To były wielkie, czarne oczy, nieskończenie głębokie studnie, jak przepaście. Spojrzenie w nie przyprawiało o zawrót głowy, W niepojęty sposób człowiek ten był doskonale obecny, całkowicie obecny we wszystkim, co właśnie robił, a równocześnie nie z tego świata. Łamał chleb, zanurzał go w misie i jadł, a każdy z tych gestów pełen był imponującego majestatu.

Nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego. Z tego człowieka coś promieniowało, nawet z jego obrazu w telewizorze, nawet przez odmęty tysiącleci.

Cokolwiek można w nim zobaczyć...

A potem przemówił. Rozmawiał z ludźmi, którzy siedzieli z nim przy stole i nieśmiało ku niemu zerkali, z pewnością doznawali tego samego, co czuł w tym momencie Stephen, a coś w nim wzbraniało się nazwać to boską mocą, choć to określenie byłoby najbliższe prawdy. Jego głos był ciepły i głęboki, mówiąc, pięknie modulował głos, jakby wielką radość sprawiało mu kształtowanie i wypowiedzanie słów, jakby smakował każde pojedyncze słowo płynące z jego ust. Brzmiało to tak, jakby przemawiała sama ziemia, a może nieskończony wszechświat, a może ocean, a może płonący ciernisty krzew. Zaś gdy słuchał, wówczas jego niezgłębione oczy spoczywały na tym, kto mówił, słuchały każdego słowa z intensywnością, która zdawała się być w stanie utrwalac wypowiedzane słowa, rzeźbiąc je w strumieniu czasu.

Cokolwiek można w nim zobaczyć, zmienia człowieka na zawsze.

Czuł to. Wzbierało to w nim jak fala gorąca, wspinając się po kręgosłupie, przenikało wszystkie członki, każdą komórkę ciała, by ją w jakiś sposób przenicować, przemienić, a źródłem tej przemiany był ów człowiek, którego widział, jego myśli wirowały jak dzikie odmęty, niczego nie pojmowały, niemal wariowały, szalały niczym przerażone zwierzęta w klatce wśród pandemonium pożaru, bezradne. To jak promieniowanie radioaktywne, myślał. Jak promieniowanie, tylko silniejsze, mocniejsze. Nie było przed nim ochrony, nie przed tym - cokolwiek to było. To w nim płonęło, gasiło jedne rzeczy, rozpałało inne, nie dające się ugasić. I na pewno sobie tego nie wmawiał; gdyby ktoś w tamtych minutach włożył mu pod język termometr, stwierdziłby wysoką gorączkę, bez wątplenia.

Nagle zrozumiał, dlaczego musieli ukrzyżować tego człowieka. Przyprawiał ich o potworny strach. W obliczu jego żywotności sami sobie z pewnością wydawali się martwi i znenawidzili go za to. W obliczu jego naturalnego autorytetu musieli wydawać się sobie śmieszni, z wszystkimi swoimi urzędami i godnościami, i dystynkcjami, a to dogłębnie urażało ich próżność.

A przecież kościół, odwołujący się do niego - Stephen czuł, że brak mu powietrza, tak głębokie i potężne otwierały się przed nim otchłanie zrozumienia, bezlitośnie, jedna za drugą - kościół wyrządził mu o wiele większą krzywdę, niż owi żydowscy kapłani. Nowina, którą głosił, aurą, jaką roztaczał, cała jego osoba były żywotnością, afirmacją, pełnią - tymczasem kapłani na jego ikonę wybrali akurat martwego Jezusa, ukrzyżowanego, symbol odrzucenia przez ludzkość przeogromnego daru. I od tamtej pory głosili negację życia, odrzucali pełnię, nauczali wyrzeczeń i ascezy, obracali wszystko razem i każdą rzecz z osobna w dokładne przeciwieństwo.

A on rozumiał, tak. Rozumiał, o ile łatwiej jest uwielbiać kogoś, kto już jest martwy. Rozumiał, że *muszą* uwielbiać go ci, którzy przeoczyli go za jego życia, a teraz *czują*, że go przeoczyli. Rozumiał, że musieli uczynić z niego boga, by Przestał stanowić zagrożenie, by odebrać siłę promieniującemu z niego wyzwaniu - wyzwaniu dla każdego człowieka: *bądź!* By ludzie mogli zapomnieć o tym, że kiedykolwiek było jakieś wyzwanie. Dlatego przesunięto punkt ciężkości z jego życia na jego śmierć. Wszystko obracało się wokół jego śmierci. Przekazach, jego życie opisywano tylko jako przygotowanie do śmierci, cuda, które mu przypisywano - gdyż cudów, jakich rzeczywiście dokonywał na każdym kroku, swymi słowami i gestami, nie można było znieść - owe cuda były tylko niezbędnymi dowodami jego boskości,

tego, że był odmienny od każdego innego człowieka. Trzeba było to udowodnić, gdyż inaczej musieliby się zmienić, a nie unikać odpowiedzialności, chroniąc się w modlitwy i ceremoniał. W przekazach, w sposobie, w jaki przedstawiono jego życie w Ewangeljach, wszystko zmierzało ku śmierci, stanowiącej katastrofalną klęskę ludzkości, akt tchórzostwa i by umknąć również i przed tą prawdą, trzeba było osnuć ją mitologią, upoetycznić mord czyniąc z niego ofiarę.

Tak odwrócono i zniekształcono wszystko. Stephen poczuł, jak po policzkach płyną mu gorące, słone łzy i czuł niewymowną ulgę, jednym szarpnięciem uwolniony z duchowej ciasnej klatki, w której tkwił uwięziony przez całe życie, nie mając o tym pojęcia.

Gdyż, co pojął pełen smutku, prawda była jedna: Ten człowiek powinien był żyć długo, bardzo długo.

A przecież samo patrzeć na jego wizerunek było niczym błogosławieństwo. Widzieć, że to jest możliwe, taka siła i urok, taka żywotność i przelewająca się obfitość miłości... tak, właśnie o to chodziło: Ten człowiek był tak pełen miłości, że przelewała się i dotykała wszystkiego i wszystkich w jego otoczeniu, przemieniała ich. Oczarowywała, miłość nie potrzebująca obiektu, miłość do życia, obejmująca tak niebo jak ziemię, bezwarunkowa, wielkoduszna, buchająca niczym ogień. Każda sekunda, gdy na niego patrzył, syciła głód w jego duszy, głód, który cierpiał przez całe życie, nie uświadamiając go sobie, gdyż nie wiedział, że może być inaczej. Ów głód - kolejne zrozumienie, nowa, ziejąca otchłań - on właśnie był źródłem owej desperackiej siły, kryjącej się za wszystkim, cokolwiek robił.

Powiadają, że kto w nie spojrzy, nie jest potem już taki sam. Cokolwiek można w nim zobaczyć, zmienia to człowieka na zawsze.

Tak, pomyślał, tak. Proszę, zmień mnie. Pozwól mi czuć ten pokój, mieć udział w tej prawdzie, otwórz mnie na miłość. Przez jego umysł przemykały obrazy, wspomnienie pogoni za kamerą i wstydził się tego, jak traktował tę gonitwę, tę łupieżczą wyprawę, w której chciał wygrać, pierwszy i najlepszy, najmądrzejszy i najsilniejszy, w której chodziło mu tylko o to, by zmierzyć się w wyścigu na łeb na szyję z gigantem miary Johna Kauna.

Walka, zawsze tylko walka. Przeżyć życie tak, jakby prowadziło się z nim wojnę. A wszystko to... nie było w ogóle potrzebne!

Pozwolił im płynąć, swoim łzom. Łzom ulgi. Łzom całego życia.

Nie działo się nic wielkiego. Mężczyzna jadł, rozmawiał z otaczającymi go ludźmi. Przyniesiono do niego chorą dziewczynkę, wtedy odsunął na bok miskę (tak cudownym, pełnym gracji ruchem, że Stephen oddałby wszystkie balety świata za ten jeden gest) i obrócił się do dziecka, łagodnie położył mu dłoń na głowie i potem cicho, ledwie dosłyszalnie, mówił do niego. W tym, jak oboje na siebie patrzyli, była jakaś serdeczność, bliskość. Potem, gdy mężczyzna zapytał o coś dziecko, zaczęło odpowiadać, uśmiechając się nieśmiało, a jedna z przyglądających się kobiet, pewnie matka, oszołomiona przycisnęła do ust zaciśnięte pięści, jakby chciała stłumić krzyk. Może dziewczynka była do tej pory niema i właśnie odzyskała mowę? Wśród wielkiego podniecenia zabrano to małe dziecko, wychwalano mężczyznę, który i w tej chwili także promieniował godnością, miłością i pokorą, przyjmował wdzięczność nie wydając się być z siebie dumny; podniósł nieco głos i tłumaczył coś swoim dźwięcznym, równocześnie ciepłym i mocnym głosem, wskazując przy tym na niebo i w końcu wznosząc ku niemu wzrok, a jego twarz tak pełna była wdzięczności, że otaczający go ludzie zamilkli.

Później podniósł się, serdecznie podziękował gospodarzom i odszedł w kręgu swych towarzyszy w kierunku niewielkiego wzgórza, nie sprawiając przy tym wrażenia, by był Powolny lub się ociągał, a przecież stawał stopy tak staranie, że można by pomyśleć, iż pięści nimi ziemię. Każdy jego ruch był tak doskonały jak ruchy gwiazdozbiorów na niebie. Każde słowo wypowiedane przez niego brzmiało jak śpiew, dźwięk o cudownej harmonii.

Jednak żaden gest, nic w jego postawie nie mówiło nawet przez ułamek sekundy: *Jestem Bogiem, a wy jesteście tylko ludźmi.* Każdym ruchem, całą swą postacią głosił nieustannie tylko to jedno: *Spójrzcie na mnie! Patrzcie, co jest możliwe! Nic we mnie nie jest inne niż w was, wy także możecie mieć to cudowne życie w całej pełni! Nie ma nic możliwego dla mnie, co nie byłoby tak samo możliwe dla każdego z was!* Na uboczu, za ludźmi, którzy gromadzili się wzdłuż drogi, stał stary, chory żebrak, najwidoczniej pragnący tylko dojrzeć, o kim tak wszyscy opowiadają, trzymał się jednak z tyłu nie chcąc rzucać się w oczy, cóż, znał swoje miejsce wśród ludzi. Lecz ten, na którego chciał popatrzeć z daleka, odkrył go, utorował sobie do niego drogę przez ciżbę, wśród pełnych zgrozy spojrzeń tych, co odkryli, ku komu zmierza. Wszystko zamilkło, gdy rozmawiali ze sobą, błogosławiony i żebrak. Starzec zaczął płakać, a na twarzach wokół dały się zauważyć dziwne grymasy. Lecz im dłużej mężczyzna mówił do nędzarza, tym bardziej prostowała się przygarbiona, wycieńczona postać, tym jaśniej świeciła twarz, powracało na nią życie, oczy promieniowały, aż w końcu nie wyglądał już zupełnie jak żebrak, lecz jak ktoś, kto się tylko za niego przebrał.

Wtedy, nagle, ekran przecięły kolorowe zygzaki i obraz zniknął.

Podnieśli wzrok.

Peter Eisenhardt: znudzony, niemal z wstrętem.

Stephen Foxx: przemieniony.

Szkło rozprysło się na drobne kawałki. Hałaśliwie, gwałtownie, na znak przemocy.

42

- Czy mógłbym spytać, panowie - odezwał się profesor Wilford-Smith mocnym głosem, w którym pobrzmiwała stosowna dawka oburzenia - kim jesteście, czego tu chcecie i skąd przyszło wam do głowy tłuc moje okna?

Można byłoby postawić jeszcze inne pytania. Na przykład, skąd przyszło im do głowy kierować na nich broń palną. Stephen naliczył w tym krótkim momencie siedmiu napastników. Wszyscy w czarnych golfach i czarnych spodniach. Tak, jakby oni tu byli trójką ciężko uzbrojonych terrorystów, których trzeba wziąć przez zaskoczenie, czarne postacie wdarły się równocześnie przez oba tarasowe okna, najwidoczniej znali się na takich akcjach, gdyż już w następnej chwili w otwartych drzwiach pokoju stało trzech następnych, którzy musieli dostać się do domu wcześniej w o wiele mniej rzucający się w oczy sposób. Zatem byli otoczeni.

Jeden z nich, masywniejszy od pozostałych, najwyraźniej ktoś w rodzaju przywódcy, postąpił krok do przodu. Pod podeszwami wysokich, czarnych butów zatrzeszczało szkło. Miał siwe, krótko ogolone włosy i zimne, tak samo siwe oczy.

- Jeśli będziecie się zachowywać spokojnie, nic wam się nie stanie - oznajmił.

- Do diabła z tym wszystkim - gniewnie odpowiedział Wilford-Smith. - Żądam wyjaśnień!

- Niech pan nie gada głupstw - zagroził mu szorstko mężczyzna. - Nie jesteśmy w kinie. Proszę mi dać kasetę "wideo, którą właśnie oglądaliście. - Wyciągnął rękę.

Profesor patrzył na niego jak na ducha. Nie poruszył się.

- Czy pan źle słyszy? - wrzasnął na niego napastnik. - Wideo!

- Przyszliście na zlecenie Watykanu. - Zdawało się, że stary archeolog nie będzie w stanie nic zrobić, nim nie zrozumie, co zaszło. Mówił bezdźwięcznym głosem, pełen złych przeczuć. - Czy nie tak? Przysłał was monsignore Scarfaro. Jak mnie tu znaleźliście? I to akurat dzisiaj. Śledziliście tych dwóch? Pilnowaliście ich przez te wszystkie lata? Podsluchaliście naszą rozmowę? Tak. Sądzę, że tak właśnie było.

- Nas - oznajmił mężczyzna, odpychając profesora na bok - w ogóle nie ma. - Wyjął kasetę wideo z odtwarzacza i przyjrzał się jej. - I tej kasety - mówił dalej - też nie ma. - Włożył ją do kieszeni.

Stephen śledził przebieg wydarzeń jak sparaliżowany. Tak, jakby znów leżał z wbity w ramię igłą kroplówki na pryczy w ciężarówce, uniknąwszy o włos śmierci. To działo się znowu i to będzie, jak rozumiał z krystaliczną jasnością, działo się wciąż na nowo. Tutaj, w tym pokoju i w tym momencie Jezus został ponownie ukrzyżowany. Zawsze, gdy ludzie nie podołają wyzwaniu życia nie pozostaje im nic innego, jak tylko ukrzyżować Jezusa. To również nie jest w stanie uwolnić ich od bólu, lecz to jedyna ulga, jaka im została.

Ci tutaj są jedynie najemnikami. Stephen rozejrzał się ukradkiem. Na każdego z nich kierowało lufy dwóch mężczyzn, omówili to starannie wcześniej, profesjonalnie wy-trenowali. Lecz są tylko najemnikami, nierozumnymi wykonawcami. Rzymscy legionieści czy ubrani na czarno rewolwerowcy, wszystko jedno. I mają przewagę, niemożliwą do pokonania. To również zdaje się być nieuniknione i niezmiennie: Zło i Ciemność zawsze mają przewagę.

Przypomniał mu się klasztor na Negew, moment, gdy opat powierzył mu największą świętość swego zakonu. Zawiódł jego zaufanie już następnego dnia, a dziś zawodzi je powtórnie. Stare proroctwo, którym kierował się mnich, myliło się.

A może jest jeszcze jakaś możliwość ratunku? Spojrzył na Eisenhardta. Pisarz śledził rozwój wydarzeń z miną, w której mieszały się strach, odraza i zdziwienie. Siedmiu mężczyzn, z tego sześciu kierowało na nich lufy swych czarnych, masywnych pistoletów. Przemocą nic się tu nie da zrobić, ale może głową, może jakaś sprytna sztuczka... coś musi wymyślić i to szybko! Zawsze przecież wpadał na jakiś pomysł-Przez całe życie udawało mu się wymyślić jakąś sztuczkę, zawsze miał na podorędziu jakiś trik, jeszcze jedną strzałę w kołczanie, znał drogę o jeden zakręt dalej niż inni i w ten sposób zdobywał to, co chciał zdobyć.

A teraz nic nie przychodziło mu do głowy. Nerwy były głuche i martwe, mózg jakby wysechł. To, co zobaczył, jeszcze się w nim kłębiło, płonęło ogniem, wrzało. Bulgotało. To wideo powinien zobaczyć cały świat, obiecał to staremu kapłanowi, lecz nie zdoła dotrzymać obietnicy.

- Nie wolno wam tego robić! - usłyszał nagle własny głos. Mężczyzna zwrócił ku niemu wzrok, gdy powtarzał: -Nie wolno panu tego robić.

- Słucham? - zapytał.

- Pan nie wie, jakie znaczenie ma to wideo - zaklinał go Stephen. Serce waliło jak oszalałe. Tak czy inaczej udało mu się sprawić, że napastnik zatrzymał się, cofnął, słuchał. Może jest jeszcze jakaś szansa. Może właśnie ten moment podarował mu los, by ostatecznie wszystko jeszcze naprawić. - Proszę, obejrzyjcie najpierw film. Jest przeznaczony dla wszystkich ludzi. Nie może im pan tego

odebrać albo będzie pan niewyobrażalnie... winny!

Człowiek o szarych, martwych oczach, przypominających szklane kulki, spojrzał na niego. Udało mu się do niego trafić? Pewnym rzeczom po prostu nie wolno się zdarzyć i to była jedna z nich. Raz już zawiódł, gdy stracił kamerę. Nie wolno mu zawieść jeszcze raz. Jeśli uda mu się uratować choć to nagranie, wtedy klęska nie będzie tak dotkliwa.

- Wiem, co oznacza to wideo - powiedział w końcu mężczyzna. - Proszę mi wierzyć, wiem lepiej niż wy wszyscy.

Po czym dał znak swoim ludziom i w następnym momencie wszyscy znikli jak zjawy. Po suchych liściach zaszeleściły kroki, w oddali zapalono silnik, potem wróciły kruki, wylądowały na trawniku przed potłuczonymi oknami, obserwując wszystko ciemnymi oczami.

Szok jakby zatrzymał czas. Przez chwilę było tak cicho jak po eksplozji i nikt nie ważył się oddychać.

W końcu profesor wstał ociężale, poczłapał do okien i zaczął przyglądać się szkodom.

- Oba okna - mruknął i niezdecydowanie próbował przesunąć butem niektóre kawałki szkła. - Jakby jedno nie wystarczyło. Taka przesada. - Wyszedł krok na zewnątrz do ogrodu, ostrożnie, by nie skaleczyć się o sterczące odłamki i sceptycznie spojrzał na niebo. - Do tego dziś na pewno będzie padać. Skandal, ot co.

Wrócił do środka, kręcąc głową przyjrzał się bałaganowi połamanego drewna i rozbitego szkła.

- Dziś już nie załatwię żadnego rzemieślnika. Muszę inaczej zasłonić okna. Może folią plastikową. Tak, to powinno się udać.

Eisenhardt przycupnął na swym krześle, wciskając kark między ramiona i nieufnym wzrokiem obserwował archeologa.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć - odezwał się wreszcie

- co to wszystko właściwie ma znaczyć?

- Mają wideo - Stephen usłyszał swój bezdźwięczny głos. Brzmiał bardziej jak osłupiały szept.

Wilford-Smith spojrzał na niego spod krzaczastych, białych brwi.

- Pamięta pan człowieka o nazwisku Scarfaro, panie Eisenhardt? Pan pamięta, Stephen. Scarfaro przyjechał kiedyś do naszego obozu na wykopaliskach Bet Hamesh, żeby porozmawiać z Kaunem.

- Tak - zgodził się pisarz. - Pamiętam. Przyjechał z Rzymu. Inkwizytor, czy coś w tym rodzaju.

- Scarfaro jest jakby agentem Watykanu od mokrej roboty. To on zniszczył kamerę i zabrał resztki. On także przysłał tych ludzi.

- Ale czemu akurat teraz? - wyrwało się Stephenowi.

- Dlaczego akurat dzisiaj i tutaj?

Profesor obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- Obawiam się, że to pan skierował ich uwagę na mnie. -Ja?

- To pan znalazł kamerę. Scarfaro to wiedział, pamięta pan? Z pewnością kazał pana obserwować. Pan Eisenhardt widocznie nie wydawał im się ważny, ja do dzisiejszego dnia z pewnością też nie, inaczej dawno by już tu byli. Musieli śledzić pana, Stephen, podsłuchiwać i potem natychmiast wkroczyli.

Stephen słuchał ze skamieniałą twarzą. Intensywnie szukał w pamięci, lecz nic nie znajdował. Nikt go nigdy nie śledził, żadnych podejrzanych telefonów, żadnych włamań do mieszkania, żadnych stuków w przewodzie telefonicznym. O ile rzeczywiście był obserwowany, to nic nie zauważył.

Lecz powinien był się z tym liczyć. Niewybaczalne, że nawet o tym nie pomyślał.

- Ależ, profesorze! - Eisenhardt kręcił głową. - Co to ma znaczyć? Czy poważnie chce pan nam wmówić, że ktoś szukał tego wideo?

- Słucham? - Wilford-Smith pytająco uniół brwi.

- Kto miałby chcieć tej szmiry? Watykan? Pękne ze śmiechu. Tym całym przedstawieniem chce pan z nas zrobić głupków. Tak, jak zrobił pan już w Izraelu, a przedtem pewnie oszukał pan Johna Kauna.

Stephen patrzył na pisarza osłupiały.

- Peter? Co pan mówi? Przecież widział pan to wideo!

- No właśnie! W życiu nie widziałem jeszcze takiego dyletanckiego, anemicznego przedstawienia.

Profesor próbuje wmówić nam, że to wideo z przeszłości? Kpina, mówię wam. Po prostu kpina.

- Jak może pan mówić coś takiego? - zdziwił się Stephen. - Widział pan tego mężczyznę, jak chodził, jak mówił... Któż by to miał być, jak nie prawdziwy, historyczny Jezus?

- To miałby być Jezus? Nigdy w życiu. To już prędzej jestem tureckim świętym.

Stephen chciał jeszcze coś odpowiedzieć, lecz zamilkł skonsternowany. Nie rozumiał, co się tu działo. Poszukał wzrokiem profesora.

- Profesorze, co to może znaczyć? Tak, jakbyśmy widzieli dwa różne filmy.

Kątem oka dostrzegł, że niemiecki pisarz niechętnie kręci głową.

Profesor skrzyżował ręce za plecami i powoli przytaknął.

- Tak, pewnie tak właśnie było. Spotkałem się już z czymś takim niejednym raz. Są ludzie, którzy tym, co widać na wideo, są tak głęboko poruszeni, jak sobie nigdy wcześniej nawet nie mogli wyobrazić - i inni,

na których nie robi ono absolutnie żadnego wrażenia. Ja sam na szczęście zaliczam się do tej pierwszej kategorii i pan, Stephen, również, jak mi się zdaje. Jednakże obawiam się, że pan Eisenhardt nie.

- Czy to znaczy, że oprócz pana i nas jeszcze inni widzieli to wideo?

- Tak. Wielu.

- A teraz to się skończy?

Eisenhardt podniósł się, pochylił w przód.

- Stephen, czy pan nie widzi, co tu jest grane? To wszystko to potężny szwindel. Tu ma powstać legenda, a pan posłuży jako narzędzie. Profesor Wilford-Smith należy do pewnej sekty, która w Barnford ma swoją główną siedzibę. Nie wiem dokładnie, jaki przyświeca mu cel, ale wydaje mi się, że mamy tu właśnie drugie wydanie tego, co wymyślili mormoni. Zna pan ich mitologię? Ich założyciel nazywał się Joseph Smith i powiada się o nim, że objawił mu się anioł, który dał mu księgę spisana na złotych tablicach i przykazał przetłumaczyć tekst na angielski, gdyż tę złotą księgę musiał znów zabrać z powrotem. Powstała z tego Księga Mormona, podstawa ich religii. Ale dziś czegoś takiego nie da się już ludziom wmówić. Dziś to musi być wideo, podróżnik w czasie, wszystkie te ikony, które dzisiaj są w modzie.

Stephen słuchał argumentów pisarza, tak przecież logicznych i brzmiących tak prawdopodobnie, jednak w jego świadomości trafiały one na barierę, wznoszącą się w jego wnętrzu, odkąd zobaczył film, i odbijały się od tej bariery. W jego sercu żarzyło się coś, co było silniejsze od wszelkich argumentów.

- Peter, ja widziałem tego człowieka. Obojętne, co pan mówi i obojętne, kim on jest, on mnie przemienił. Dokładnie tak, jak powiedział ten stary mnich z Negew.

- Ale to żaden dowód! Jeśli jeden i ten sam film jednego przekonuje, a drugiego nie, to działanie to nie może mieć źródła w filmie, lecz tylko i jedynie w tym, kto patrzy. Nie rozumie pan tego?

- Oczywiście. Eisenhardt pokręcił głową.

- Że też wcześniej na to nie wpadliśmy. Mogliśmy przewidzieć, co się wydarzy. Oczywiście, że ten niby-oryginał musiał zniknąć, bo inaczej ktoś mógłby stwierdzić, że wcale nie ma dwóch tysięcy lat, ale tylko, czy ja wiem, popracoowano nad nim piaskarką albo wyprano go w pralce. A kto bardziej nadaje się, żeby przypisać mu rolę złego niż naturalny wróg wszystkich chrześcijańskich sekt i odłamów, kościół rzymsko-katolicki? Takie coś spaja członków sekty. Na takich legendach można wznosić imperia.

Zapadło milczenie. Stephen patrzył to na jednego, to na drugiego. Eisenhardt siedział na krześle, z kamienną twarzą. Miał swoją prawdę. Profesor stał spokojnie między przewróconymi regałami i okruciami szkła, jakby zupełnie nie rozumiał, o co pomawia go pisarz. To, co wyglądało na początek zagorzałej kłótni, rozeszło się po kościach. Każdy miał swoją własną prawdę. W takich warunkach kłótnia była niemożliwa.

- Dobrze - orzekł w końcu Eisenhardt i wstał. - Jakkolwiek by było, to mnie już nie interesuje. Stephen, chciałbym jak najszybciej polecieć do domu. Czekam na mnie praca.

Stephen również się podniósł.

- Tak, oczywiście.

- Zaczekam w samochodzie. Profesorze? Żegnam. - Krótco skinął głową starszemu i wyszedł. Słychać było, jak bierze z wieszaka kurtkę, potem trzasnęły drzwi wejściowe. W tym dźwięku zabrzmiały gniew i rozczarowanie. Rozbrzmiewały nawet w krokach.

Stephen i Wilford-Smith spojrzeli po sobie. Znienacka pojawiła się między nimi nieoczekiwana bliskość, do jakiej nie nawykli.

- Cóż - stwierdził Stephen i wyciągnął rękę do siwowłosego, starego mężczyzny. - Nie chcę kazać mu na siebie czekać.

- Tak. Na pewno obiecywał sobie coś innego po tej podróży.

- Przykro mi za to, co się stało. Gdybym nie przyjechał, wideo pewnie by jeszcze istniało.

- Ono przecież wciąż istnieje.

- Tak, jasne, tylko że teraz ma je Watykan - zgodził się Stephen. - Jeśli go nie zniszczą, to z pewnością zamkną na zawsze.

Profesor poszedł za biurko, ostrożnie, gdyż tu i ówdzie trzeszczało jeszcze pod podszewkami szkła.

- Kasetę jest stracona, tak - powiedział. - Szkoda. Ale nagranie nie przepadło. - Otworzył szufladę i wyjął z niej dwie zwykłe kasety VHS. - Naturalnie zrobiliśmy kopie. Kopie we wszystkich dostępnych formatach wideo - VHS, Super-VHS, BetaCam, Hi-8 Digital, MR i tak dalej. Proszę nie zapominać, że nagranie z Jezusem wykonano w zapisie cyfrowym. To znaczy, że kopia jest równie dobra jak oryginał i można je kopiować dowolną liczbę razy, nie tracąc nic na jakości.

Podał Stephenowi jedną z kaset.

- My? - spytał zbity z tropu Stephen. - Kto to jest - my?

- Przyjaciele - odpowiedział krótko profesor. - Tylko na wypadek, że również w tym pokoju ukryty jest podsłuch i ktoś nas słucha, mówię panu to, czego zapewne pan sam się domyśla: Kopie są rozproszone po całym świecie, są ich tysiące. To efekt śnieżkowej kuli - jeden przekazuje garść kaset przyjacielom, oni

znów kopiują i podają następnym i tak dalej. Lawina. Scarfaro nie zdoła wytrzebić jej ze świata. To niemożliwe. Obojętne, ile by kopii znalazł i zniszczył, nigdy nie będzie mógł być pewny, że odszukał już wszystkie.

Stephen wpatrywał się w kasetę w swej dłoni. Była to całkiem normalna kasetą wideo, taka jak te, które kupował za kilka dolarów w sklepie, żeby nagrać z telewizji film. Miała małą naklejkę, na której napisano po prostu *Wideo z Jezusem*.

Zdawało mu się, że śni. Pójdzie do domu, włoży tę kasetę do swego magnetowidu, do tego samego urządzenia, którego używał, gdy chciał obejrzeć odcinek *Star Trek* albo kreskówkę z *królikiem Bugsem*, i zobaczy na ekranie swojego telewizora Jezusa.

- Proszę wziąć drugą dla Eisenhardta - powiedział Wil-ford-Smith i podał mu jeszcze jedną kasetę. - Na pamiątkę.

43

KOLEJNE DWA I PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ

Na początku bezmiar przestrzeni i samotność krajobrazu przyprawiły go o dreszcz niepokoju. Potem, bardzo powoli, pierwotna panika przekształciła się w coś, co mogło być tylko ekstazą: jazda samochodem poprzez nieoswojone, pustynne równiny, które zdawały się nigdy nie znać cywilizacji miast i fabryk, sam na sam z sobą samym i niebem, z biegiem słońca i ziemi.

Lecz to oczywiście było pozorne. W kojąco regularnych odstępach pojawiała się, zwiastowana staccatem wielkich, paskudnie kolorowych tablic reklamowych na poboczu, jakaś zakurzona miejscowość albo stacja benzynowa lub motel i Peter Eisenhardt musiał przyznać, że jest rad, iż nie musi wieczorem wyruszać na polowanie ani rozbijać namiotu. Czerpał przyjemność z tego, że wystarczy tylko wyjąć kartę kredytową by dostać ciepły posiłek bądź czyste łóżko, pozostając przy tym w swoich oczach globtroterem, wolnym i swobodnym. Mrzonki, ot co.

Kartkę z opisem drogi przymocował taśmą klejącą do deski rozdzielczej, już dawno temu, jeszcze nim wjechał na Interstate 40, której trzymał się już od tysięcy mil i która bezbłędnie przeprowadziła go przez pięć amerykańskich stanów. Pomijając jeden czy dwa małe objazdy, opuścił ją dopiero dziś rano.

Czasem przez wiele godzin nie było potrzeby poruszać kierownicą, samochód zaś mijał rdzawo-czerwone skały, rzadką, szaroburą trawę albo po prostu bezkształtną, rozległą przestrzeń. Czasem czuł się jak przeniesiony do filmu, cały ten krajobraz wydawał mu się jakby z innej planety, znał takie tylko z kinowego ekranu albo z telewizora, aż sam postawił na nim stopę i dopiero wtedy doświadczył innej siły ciężenia, nabrał do płuc powietrza o innym zapachu, poczuł inny puls ziemi. Potem owo poczucie obcości znów mijało, tak po prostu, jakby ktoś odciągnął na bok kotarę i zdawało mu się, że już zawsze czuł się tu jak w domu.

Aż wreszcie zobaczył: *Great Spirit Motel*.

Nazwa obiecywała więcej, niż ujrzał: wyblakły kompleks płaskich budynków wzniesionych przy drodze minimalnym, wysiłkiem, bez żadnej charakterystycznej cechy, którą można by przypomnieć sobie później, gdy się już go minie i jedzie dalej. Eisenhardt skręcił na podjazd, zaznaczony dwiema polakierowanymi na biało blaszanymi beczkami pełnymi kaktusów i zatrzymał samochód na parkingu wyznaczonym na ubitej kołami, białej jak mąka ziemi. A więc to tu.

Pomijając obowiązkowy szyld Coca-Coli i świetlną reklamę piwa Budweiser w oknach, przemysł reklamowy najwyraźniej nie uznał tego motelu za obiekt, w którym opłacało się umieszczanie reklam. Blaszana tablica ze stylizowanym dzikim psem informowała, że zatrzymują się tu autobusy linii Greyhound, inna anonsowała stację benzynową. Za głównym budynkiem znajdowały się dwie podłużne budowle, w każdej osiem apartamentów, sądząc jednak po liczbie samochodów stojących beładnie na parkingu, większość z nich była pusta.

Więc to tu. Trudno uwierzyć.

Eisenhardt otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Pustynny skwar owionął go niczym gorący oddech cerbera i w jednej chwili był zlany potem na karku, pod pachami, na plecach, pot ściekał mu nawet po piersiach. Nauczył się doceniać zamontowaną w samochodzie klimatyzację i czasem zapominał, przed czym go chroni.

Buty miał już pokryte kurzem, gdy wchodził do tego, co chętnie zwano restauracją: obszerne, niskie, chłodzone buczącą klimatyzacją i przytłaczająco bez gustu urządzone pomieszczenie, w którym siedziała garstka ludzi. Przez wielkie okna od ulicy wpadała powódź oślepiającego światła, by zaraz potem wsiąknąć w ciemne drewno stołów i ław, tak więc tylna część sali pozostawała pogrążona w mrocznym półcieniu. Duża, masywna lada zajmowała prawie całą lewą ścianę, zaczynając się w jasnym obszarze ginęła w ciemności. Poustawiano na niej automaty z orzeszkami ziemnymi, tekturowe stojaki z prospektami firm oferujących karty kredytowe, druciane kosze pełne małych paczuszek orzeszków ziemnych, minikrakersów albo gumy do żucia, piętrzące się w stosach popielniczki. Eisenhardt usunął się spod zaciekawionych spojrzeń gości, wyszukał wolny stółek przy barze - wszystkie były wolne - i usiadł, spojrzał na obsługującego młodego człowieka, po czym powiedział:

- Cześć, Stephen.

Stephen Foxx, zajęty akurat płukaniem szklanek, zaskoczony podniósł wzrok.

- Pan Eisenhardt! - zawołał. - Coś takiego! Nie spodziewaliśmy się pana tak wcześnie rano...

- Mam wrócić później? Zaśmiał się.

- Nie to miałem na myśli. Pewnie nocował pan we Flagstaff, prawda? Widział pan Wielki Kanion?

- Wczoraj. Nie mogłem przepuścić okazji. Kierowca autobusu to chyba prawdziwy Indianin, czy to możliwe? W każdym razie wyglądał jak Indianin. - Eisenhardt poczuł, że trochę się denerwuje. Ostatnio zawsze wdawał się w paplaninę, gdy czuł się niepewnie.

- Prawdopodobnie jeden z Navajo. Park Narodowy graniczy z rezerwatem. Chciałby pan kawy?
- Czy tam z tyłu to automat do cappuccino? -Tak.
- Czy mógłbym zamiast kawy dostać cappuccino? - Działanie klimatyzacji powoli odnosiło skutek, pot na jego skórze wysychał.
- Tak, jasne. - Foxx zajął się obsługą maszyny, wyglądało na to, że ze sporą wprawą. Rozszedł się przyjemny zapach, w miarę jak w filiżance przybывало cappuccino.
- Dziękuję - powiedział Eisenhardt, gdy postawiono przed nim filiżankę.
- Jak się panu podobał? Wielki Kanion, oczywiście. Eisenhardt chwilę się ociągał.
- Cóż, jak by to powiedzieć... Na zdjęciach wygląda imponująco. Ale gdy się przed nim stoi, imponuje naprawdę. Człowiek ma uczucie, że w ogóle nie jest w stanie dość szeroko otworzyć oczu, żeby go naprawdę zobaczyć. Zupełnie nie do wiary.
- Foxx przytaknął z błakającym się wokół ust uśmiechem zrozumienia.
- Byłem zaskoczony, gdy otrzymałem od pana wiadomość. Co sprowadza pana w tę zapomnianą okolicę?
- Tak, to świetna sprawa te e-maile - przyznał pisarz, sącząc kawę. - Można się do nich szybko przyzwyczaić. Pod pana starym numerem telefonu pewnie bym pana nie zastał, prawda?
- Nie, zgadza się.
- Byłem w Nowym Jorku, z moim agentem. Prowadziłem kilka rozmów z ludźmi z branży wydawniczej - opowiadał Eisenhardt. - Niesamowite miasto. Pod koniec miałem w głowie tylko zamęt.
- Tak, Nowy Jork trzeba potrenować. Proszę momencieczka poczekać, zaraz wracam... - przy jednym z podokiennych stołów gość uniósł dłoń, chcąc zapłacić rachunek.
- Nie, ma sprawy.
- Rozglądał się, gdy Stephen obsługiwał tamtego mężczyznę. Niewiele się tu działo i jakoś miało się uczucie, że na tym odludziu praktycznie nigdy nie dzieje się wiele.
- To był ostatni z tych, którzy jadą do Tucson - oznajmił Stephen, wróciwszy. - Teraz pewnie będę miał chwilę odpoczynku, aż do przyjsia autobusu. Za około... - zerknął na zegarek - dziesięć minut.
- Przychodzą tu przeważnie ludzie podróżujący autobusem?
- O tej porze tak. W południe zjawiają się goście motelowi, a wieczorem nawet ludzie z okolicy.
- Ach - mruknął Eisenhardt. Musi to być dość ponura okolica, jeśli ten bar służy za atrakcję.
- A teraz - powiedział Stephen uśmiechając się tajemniczo - muszę pana komuś przedstawić. - Odwrócił się, podniósł klapę okienka podawczego do kuchni i zawołał w głąb pomieszczenia: - On już jest!
- Odpowiedzią był okrzyk, który rozszedł się echem po kuchni, na zewnątrz jednak niezrozumiały. Zaraz potem z drzwi wyszła szczupła, ciemnowłosa piękność, młoda kobieta, ze śmiechem wycierając jeszcze ręce o fartuch, nim je mu podała.
- Tym razem była kolej Eisenhardta, żeby ostupieć.
- Znam panią! - wyrwało mu się. - Pani... pani była tam, na wykopaliskach...
- Judith Menez - przytaknęła. - Ja też pana pamiętam. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, tak mi się wydaje.
- Tak. To obłąd, prawda? - Wędrował spojrzeniem od Fo-xxa do Judith i z powrotem. - Ale to musicie mi teraz wyjaśnić.
- Nie ma tak wiele do wyjaśniania - powiedziała, zerkając na Stephena wiele mówiącym spojrzeniem. - Pewnego dnia po zakończeniu jego zakazu wjazdu do Izraela stanął przed moimi drzwiami z bukietem kwiatów - i, no cóż...
- Stephen objął ją ramieniem i przytulił.
- Ona chce przez to powiedzieć, że przedtem opamiętałem się nieco w kwestii nastawienia do życia i do miłości.
- Był jak przemieniony - podkreśliła.
- Ach tak - mimowolnie uśmiechnął się Eisenhardt. Po siedemnastu latach małżeństwa i z dwójką dzieci tęsknił nieraz za gorącymi, pierwszymi dniami zakochania.
- A potem - kontynuowała Judith - wyjął z torby kasetę i przemienił także mnie. - Pocałowała go w policzek. - Muszę jeszcze szybko przygotować wszystko do obiadu. Przyjdę do was później, okay?
- Uśmiech zamarł na twarzy Eisenhardta. Kasetą wideo! Więc jednak jest tak, jak się obawiał. W ostatnich latach wokół tego rzekomego wideo z Jezusem utworzył się regularny podziemny ruch i wedle wszelkich pozorów Stephen Foxx również do niego należał.
- Pan przecież zostanie do jutra? Więc dziś wieczorem będziemy mogli usiąść na chwilę i porozmawiać o dawnych czasach - zaproponował Stephen i dodał: - Naturalnie jest Pan naszym gościem.
- Tak. Chętnie. Chociaż... - Może najlepiej będzie poćwiczyć się w tolerancji. W końcu każdy ma prawo być szczęśliwy na swój własny sposób. Eisenhardt podrapał się w głowę, na której włosy przerzedziły się wyraźnie od ich ostatniego spotkania. - Mam uczucie, że od dziś jeszcze wcale nie posunąłem się naprzód. A przy tym od Flagstaff ujechałem już... Nie mam pojęcia. Ten kraj w ogóle nie ma końca.

Przez kilka ostatnich dni mniej lub bardziej przez cały czas siedziałem za kierownicą, jechałem, jechałem, a gdy wieczorem sprawdzałem na mapie, to było zaledwie kilka centymetrów. Niesamowite. Niemcy można całe przejechać w ciągu jednego dnia, jest pan w stanie to sobie wyobrazić?

- Ale mam nadzieję, że nie jechał pan w poprzek całego kraju tylko po to, żeby zwiedzić ten cud architektury, jakim jest nasz motel? - stwierdził Foxx.

- Nie, właściwie chcę dotrzeć do zachodniego wybrzeża. Były już dni, że nachodziły mnie wątpliwości, czy ono jest w ogóle osiągalne samochodem. Mam przyjaciela, który tam mieszka i zaprosił mnie, bym zatrzymał się u niego kilka dni. Wyjechał, zaraz, piętnaście lat temu i ostatni raz widzieliśmy się przed dziesięciu laty. Ach, przy okazji - przypomniało mu się. - Spotkałem Johna Kauna.

- Co? - zdziwił się Stephen. - Coś takiego. I? Już dawno nie słyhać o nim nic, a wcześniej nic dobrego. Jak mu się powodzi?

- Wyglądało na to, że ucieszył się z mojego telefonu i zaprosił mnie, gdy powiedziałem, że zamierzam przejechać Stany w poprzek samochodem. Jest teraz szefem fabryki chipsów ziemniaczanych w Oklahomie, to chyba ostatnia pozostałość z jego koncernu, znów się ożenił, ma malutkie dziecko i wygląda na szczęśliwego i zadowolonego. Ubiera się już wyłącznie w dżinsy i podkoszulki, może pan to sobie wyobrazić?

- John Kaun? Nie wierzę panu w ani jedno słowo.

- Ja też go prawie nie poznałem.

- Skąd miał pan jego numer? To znaczy, akurat w Oklahomie chyba bym go nie szukał...

- Jedno z wydawnictw, w których byliśmy, należało dawniej do *Kaun Enterprises*, jakoś zeszedliśmy w rozmowie na ten temat. Powiedziałem, że znam Johna Kauna i gdy spytałem, czy ktoś wie, co się z nim dzieje, dali mi jego numer telefonu. Ale chyba jest też zwyczajnie w książce telefonicznej. - Eisenhardt wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że powodzi mu się naprawdę dobrze. Choć jest teraz zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

. - Być może trzeba nim się stać, żeby w ogóle mogło się dobrze powodzić - orzekł w zadumie Stephen.

- Gdy o tym myślę. - Kiedyś chciałem być taki jak on. Taki, jaki on był wtedy, potężny, bogaty i ważny. Jeden z tych naprawdę wielkich. Na początku, nim znalazłem kamerę, przede wszystkim chciałem mu udowodnić, że jestem sprytniejszy i szybszy od niego, na przekór całej jego władzy. Szalone, co?

- No cóż, nie wiem - orzekł Eisenhardt i rozejrzał się.

- W życiu trzeba mieć trochę ambicji, nie uważa pan?

- Pan dziwi się, co ja tutaj robię.

- Prawdę mówiąc, tak. Gdy spotkałem pana pierwszy raz, był pan kimś w rodzaju cudownego dziecka, obiecujący młody przedsiębiorca, na koncie więcej pieniędzy, niż ja będę miał kiedykolwiek. A teraz prowadzi pan motel na tej ziemi niczyjej. Nie jest to dokładnie to, co zwykle określa się mianem kariery zawodowej.

Stephen Foxx uśmiechnął się, wyjął z szuflady ręcznik i zaczął osuszać szklanki.

- Och, moja firma istnieje jak przedtem. Tak samo wirtualna jak dawniej. W przyszłym tygodniu lecę znów na wschodnie wybrzeże i odwiedzę tam kilku klientów, ale poza tym działam przez Internet, więc kompletnie jest obojętne, gdzie mieszkam. To tutaj robię tylko przejściowo - kilka miesięcy. Motel należy do naszego dobrego przyjaciela, przeszedł ciężką operację i potrzebuje czasu, by znów stanąć na nogach.

- Wzruszył ramionami. - Tak wyszło. Coraz bardziej skłaniam się ku temu, żeby po prostu przyjmować to, co przynosi życie. W taki sposób można przeżyć fantastyczne rzeczy.

- No cóż, to możliwe. - Eisenhardt położył na ladzie płaską dłoń. - Prawdę mówiąc, myślałem przedtem, że macie tu coś w rodzaju kwatery głównej sekty wideo.

Stephen uśmiechnął się lekko.

- Nie ma żadnej kwatery głównej. To byłoby zbyt niebezpieczne - czy pan uwierzy, czy nie, kościół wciąż jeszcze poluje na to wideo.

Nagle na sali zapanowało zamieszanie. Krzesła szurały po podłodze, ludzie wstawali, zbierali bagaż i tłoczyli się w drzwiach. Przyjechał autobus linii Greyhound. Na zewnątrz widać było pasażerów wysiadających i czekających na bagaż, wyjmowany przez kierowcę z szeroko otwartych luków bagażowych.

Stephen skorzystał z okazji, by szybko zebrać ze stołów wszystkie brudne naczynia i szklanki, sprawnie przetrzeć blaty, powkladać jadłospisy z powrotem w podstawki i porozkładać nowe papierowe serwetki. Wszystkie te prace wykonywał, jak zauważył zdziwiony Eisenhardt, z podziwu godnym zaangażowaniem. Gdy autobus odjechał i zaraz potem do restauracji weszli nowi goście, zwolnione przed chwilą miejsca wyglądały zachęcająco świeżo i czysto, a Stephen stał już gotowy do przyjmowania zamówień.

Judith znów wyszła z kuchni, by rzucić okiem na bloczek zamówień.

- Tylko napoje - powiedział Stephen. - Chodź, siadź chwilę przy nas. - Większość przesiada się na

autobus do Los Angeles, który przyjedzie za dwadzieścia minut.

- A ten tam co wyrabia? - spytała Judith, zdejmując fartuch. Miała na myśli szczupłego chłopca o jasnych blond włosach, stojącego na rozżarzonej skwarze z pękatą torbą na ramieniu i ogromnym plecakiem wciąż jeszcze w miejscu, w którym zatrzymał się autobus. - Boi się wejść?

- Co sądzi pan o tym artykule? - Eisenhardt skierował do Stephena Foxxa pytanie, które zajmowało go od dawna.

- Jakim artykule? - zapytał, obsługując kurek do napojów.

- Artykuł Uri Liebermanna o wideo z Jezusem. Czyżby go pan nie znał?

- Muszę przyznać, że nie. Liebermann, to ten izraelski dziennikarz, z którym się pan kontaktował? Który przysłał nam na kark helikoptery, wtedy w klasztorze?

- Tak. W ostatnich latach wykreował się na kogoś w rodzaju eksperta w kwestii wideo z Jezusem. Przez jakiś czas był stałym gościem rozmaitych talk-show. Pół roku temu opublikował duży artykuł o kulisach tego nagrania, ukazał się praktycznie wszędzie w Europie. U nas w? Niemczech w *Sternie*, wydrukował go też *Reader's Digest*.

- Muszę przyznać, że jakoś mi to umknęło. Cóż takiego pisze ten ekspert?

Eisenhardt nabrał głęboko powietrza. Nie jest przyjemnie odbierać komuś iluzję, na której zbudował swoje życie.

- Odnalazł grupę aktorów-amatorów, którzy około roku przedtem, nim profesor Wilford-Smith rozpoczął wykopaliska pod Bet Hamesh, na zlecenie nieznanego zleceniodawcy wyprodukowali w Izraelu wideo - oznajmił z okrucieństwem. - Wszyscy biorący w tym udział musieli poprzysiąc milczenie, a najważniejszy warunek był taki, że wszyscy aktorzy muszą nauczyć się po aramejsku.

- Aramejsku? - zdziwił się Stephen i powiedział do Judith: - Kurek z colą znów nie działa.

- Technik przyjedzie jutro. Przynajmniej tak powiedział.

- Po aramejsku - podkreślił Eisenhardt. Czy oni w ogóle go słuchają? Czy może już zaczął się proces spychania w podświadomość niemiłej prawdy? - To język, jakim najprawdopodobniej mówił Jezus.

- Tak, to jasne. I co to za wideo?

- Wasze.

Teraz zatrzymał się.

- Słucham?

- To jest to wideo, które rozpowszechniacie po całym świecie. To wideo, które oglądaliśmy u profesora Wilforda-Smitha. - Pisarz pochylił się ku nim, by nie musieć mówić tak głośno, gdyż niektórzy goście już ku nim zerkali. - Nie rozumie pan? Wszystko było zainscenizowane, od samego początku. Jeden wielki teatr. Te wszystkie pełne przygód poszukiwania, owi tak zwani eksperci, których sprowadzono, wszystko to miało tylko uwiarygodnić tę historię. Proszę was, to przecież żaden problem przed wykopaliskami ukryć we właściwym miejscu ludzki szkielet, o fakturze wykazującej leczenie nowoczesnymi środkami. Albo wymyślić instrukcję obsługi kamery, która dopiero później ma trafić na rynek i wydrukować ją w jednym egzemplarzu, żeby włożyć obok szkieletu. Można też kazać sfałszować analizę radiowęglową - trzeba tylko przekupić tego, kto ją przeprowadza. Wprawdzie swoimi nieprzewidywanymi działaniami pomieszał pan wtedy trochę szyki, lecz teraz współdziała pan wyśmienicie. Mimo to, wszystko to tylko kłamstwo i oszustwo - Liebermann wykazuje to bardzo przekonująco. Stephen spojrział na niego namyślając się.

- Myślę, że już wiem, o czym pan mówi. Chwileczkę. - Wziął tacę i rozniósł napoje na stoły. Gdy wrócił, przystąpił do nalewania następnego ładunku i stwierdził: - To, o czym pan opowiada, to nagranie, które nazywamy antywi-deo. To wideo pokazuje sceny całkiem podobne do prawdziwego, lecz zagrane tak po partacku, że każdy musi zauważyć, że to oszustwo i złe aktorstwo. Nie wiemy, skąd wzięło się to wideo, podejrzewamy tylko, że kryje się za nim kościół katolicki. W każdym razie jest w obiegu w niesamowitych ilościach.

- Musi pan naprawdę przeczytać ten artykuł - orzekł Eisenhardt.

- Nie sądzę, żebym musiał. To przecież tak samo, jak z setkami teorii spiskowych, które wszyscy znają. Że Titanic w ogóle nie utonął. Że Kennedy'ego zamordowano na zlecenie armii. Że EMs żyje. Wszystko logiczne aż do ostatniego szczegółu i wszystko fałszywe. - Z kurka Coli zaczęła nagle lecieć sama piana. Stephen z westchnieniem wyjął z lodówki butelkę i z niej napełnił szklanki. - Pytanie jest przecież takie: Kto miałby inscenizować coś takiego - i przede wszystkim, po co?

- Liebermann podejrzewa Wilforda-Smitha, ale jego nie możemy już spytać. - Profesor zmarł w poprzednim roku; na zakręcie jakiś kierowca nie zauważył uczonego na rowerze i potracił go.

- A po co miałby to robić?

- Powiedziałem to panu przecież już wtedy. Wilford-Smith był członkiem *True Church of Barn ford*. To ekskluzywna sekta chrześcijańska w południowej Anglii, istniejąca tam mniej więcej od lat czterdziestych. To wideo miało przekazywać naukę tego kościoła i potwierdzić jego racje.

Stephen potrząsnął głową z grymasem lekkiego zdenerwowania.

- Pomijając to, że ta teoria ma tak wielkie dziury, że można by przejechać przez nie autobusem Greyhounda nie zarysowując lakieru - stwierdził - pomijając to, istota rzeczy jest taka, że nie ma tu żadnej nauki.
- Więc co robicie? - odpowiedział pytaniem Eisenhardt.
- Spotykamy się raz w miesiącu - Stephen wykonał nieokreślony ruch ręką, mający oznaczać, że w tyle budynku znajdują się osobne pomieszczenia na takie imprezy. - I oglądamy wideo.
- I?
- I pozwalamy mu na nas działać. Nie potrafię tego inaczej opisać. Siedzimy najpierw w ciszy około godziny, żeby otworzyć się i przygotować do odbioru, potem oglądamy. To wszystko. Eisenhardt przyjrzał mu się sceptycznym spojrzeniem.
- To wszystko? To samo wideo oglądać wciąż na nowo? Foxx lekko się uśmiechnął, niemal rozmarzonym uśmiechem.
- Działa to na mnie trochę tak, jak na pana Wielki Kanion - mam uczucie, że nie jestem w stanie otworzyć oczu dostatecznie szeroko, żeby zobaczyć wszystko, co jest tam do zobaczenia.
- A co jest w nim do zobaczenia?
- Ja widzę, jak być może. Widzę człowieka, który jest obecny całkowicie, który każdym włóknom swej istoty istnieje właśnie tu i teraz, który opróżnia kubek życia aż po samo dno. Gdy go widzę, dodaje mi to odwagi, żebym i ja ze swego kubka nie sączył tylko małymi łydkami.
- Ale przecież go ukrzyżowano - przypomniał mu Eisenhardt. — Jeśli to ten, za kogo go pan uważa. Stephen przytaknął z powagą.
- Tak. Gdyż nie mogli tego znieść. Tyle żywotności - wielu musiało być o nią zazdrosnych nie do wytrzymania.
- Lecz czy to nie jest nielogiczne? Mówi pan, że oglądanie wideo przemienia pana. Zatem tych, którzy widzieli go wtedy żywym, musiało to przemienić tysiąckroć?
- A kto mówi, że tak nie było? Jednych to poruszy, a innych nie. To wie pan przecież najlepiej, prawda? Drzwi wejściowe uchyliły się. Wydały cichy, skrzypiący dźwięk. Eisenhardt spojrzał przelotnie w tamtą stronę. Był to ten chłopiec, który do tej pory czekał przy tablicy z symbolem autobusu, a teraz zakurzony i spocony kierował się do lady. Wydawał się niespokojny, jak ktoś, kto pierwszy raz wyjechał sam w podróż.
- Nie ma nawet cienia dowodu, że człowiek na wideo to naprawdę Jezus - powiedział Eisenhardt półgłosem do Stephena, żeby na razie skończyć temat, póki nie będą znów sami. Stephen tylko kiwnął głową, jakby go to w ogóle nie obchodziło i zwrócił się do młodego, zerkającego nieśmiało mężczyzny.
- Czego pan sobie życzy?
- Uhm - odchrząknął. Błądził oczami wokół, szukał nad barem albo na ścianie cennika, lecz ich nie znajdował. - Poproszę o kawę.
- Kawa. Już się robi.
- Eisenhardt przyglądał się, jak Stephen układa piramidkę z filiżanki, spodka i serwetki, podsuwa ją pod maszynę do kawy i przyciska zielono świecący guzik. Podczas, gdy maszyna parzyła kawę, dołożył jeszcze łyżeczkę, paczuszkę śmietanki i owiniętą w papier kostkę cukru. Nie wydawało się, by prowadzona przez nich dyskusja w najmniejszym stopniu go irytowała.
- Kawa, proszę bardzo. Dolar dwadzieścia.
- Dziękuję. - Chłopak odgarnął z czoła przepocone włosy i odliczył wyjęte z kieszeni dzinsów pieniądze. Stephen przysunął je do siebie z gestem podziękowania i wyspał do kasy.
- To bez znaczenia, rozumie pan? - odwrócił się potem do Eisenhardta. Słuchacz nie zdawał się mu zbyt przeszkadzać. - Czy to jest Jezus czy Budda, czy ktoś, o kim nigdy nie słyszeliśmy - ja w nim widzę, jakie może być życie. Że nie chodzi w nim o to, by o coś walczyć. Że nie dlatego jesteśmy na tym świecie, żeby innych prześcignąć albo wygryźć i żeby wygrywać we wszystkich wyścigach. Nie ma różnicy, czy się wygrywa czy przegrywa, tak naprawdę, moim zdaniem. Dawniej myślałem, że życie polega na tym, żeby zdobyć pierwszą nagrodę. Mówiąc symbolicznie. Nie byłem tego świadom, ale teraz, patrząc wstecz wiem, że tak myślałem. To była taka postawa, mówienie sobie: „kiedy już...”. Kiedy już będę miał pierwszy milion, to potem... Kiedy już będę sławny, to potem... Zawsze potem, potem, potem. Sądziłem, że kiedy już wygram ten właściwy wyścig, wtedy moje życie zmieni się w coś innego niż to, czym jest - w prawdziwe życie. Wtedy rozpocznie się prawdziwe życie. Ale choć wygrywałem wiele wyścigów, nigdy nie dostawałem nagrody. Owo „potem” nigdy nie następowało. I dlatego biegłem coraz dalej, coraz wyżej ustawiałem sobie poprzeczkę. Gdy zacząłem ścigać się z Johnem Kaunem, w rzeczywistości byłem zrozpaczony, gdyż już tak wiele osiągnąłem, a ta wielka przemiana wciąż nie przychodziła. - Spojrzał na niego. - Też pan to zna? Tak mi się wydaje, że to mogłoby być to, co napędza pisarza - wiara, że gdy napisze już arcydzieło, wszystko się zmieni.
- Nie - mruknął Eisenhardt. - Piszę, bo sprawia mi to przyjemność.

Jakby tego nie usłyszał.

- Gdy zobaczyłem wideo, pojąłem, że to prawdziwe życie już się toczy, tu i teraz. Że zawsze tak było. To tylko ja nie potrafiłem tego zauważyć, cieszyć się tym, co już osiągnąłem. Życie, rzeczywiste, prawdziwe życie trwało cały czas, a ja go nie widziałem, bo byłem zbyt zajęty. Ale żeby to zrozumieć, musiałem najpierw zobaczyć, jak ktoś naprawdę potrafi rozkoszować się chwilą, wszystkimi zmysłami i z całego serca.

- No cóż - odparł z rezerwą Eisenhardt. - To stara prawda, o ile się nie mylę.

Stephen wziął ściereczkę do naczyń i z westchnieniem przerzucił ją sobie przez ramię.

- Nie umiem ująć tego w słowa. Pan pewnie by potrafił, jako pisarz.

- Ale ja nie widzę tego, co pan.

- Szkoda. - On i Judith skinęli do siebie głowami, dwoje wtajemniczonych, współczujących ignorantów. Takiej pobłażliwej arogancji dewotów Eisenhardt nigdy nie mógł ścierpieć. Gdyby ten człowiek przy barze nie przysłuchiwał się im, on by już im... Wyprostował się, naciągnął przygarbione plecy i zastanawiał się, czy rzeczywiście powinien zostać na noc. Niewątpliwie oznaczałoby to, że przez cały wieczór byłby zmuszony znosić wyężoną pracę misjonarską na własnej osobie.

- Czy z kawą coś nie w porządku? - spytał Stephen młodego blondyna, który siedział ze zwieszoną głową nad swą filiżanką i nieustannie w niej mieszał.

- Słucham? - ocknął się. - Nie, wszystko *okay*. Nie ma problemu.

- Tak pomyślałem, bo pan przez cały czas miesza i nic nie pije.

- Nie, ja tylko... To nie przez kawę. Dziękuję. - Przez jego twarz przemknął bolesny wyraz. Jakby chcąc udowodnić, że z kawą wszystko w porządku, wziął głęboki łyk.

Stephen stał dalej, po prostu patrzył na niego i nic nie mówił.

- Moja mama i tata zginęli - powiedział w końcu chłopak, patrząc w pustkę niewidzącymi oczyma. - W wypadku samochodowym. W zeszłym roku. A cztery tygodnie temu rzuciła mnie dziewczyna. To, hm... nie jest łatwe.

- Przykro mi.

- Słyszałem trochę, co mówiliście tutaj o sensie życia. - Przeczesał dłonią włosy odsuwając w tył niesforne kosmyki, stale opadające mu na twarz. - I wszystko mi się przypomniało.

- Mmh. - Stephen zdjął z ramienia ściereczkę i zaczął wycierać całkiem czystą ladę.

- Przykro mi, że podsłuchiwałem. Nie chciałem.

- Nie szkodzi.

- Kawa jest naprawdę świetna.

- Dziękuję - Stephen ociągał się trochę, zerknął na Eisenhardta i dalej polerował powierzchnię lady. - Mógłbym panu coś pokazać. Wideo, które może by panu pomogło.

A więc tak to się odbywa. Eisenhardtowi zdawało się, że zauważył w oczach mężczyzny iskierkę nieufności. Zdrowej nieufności, jego zdaniem.

Chłopak zdobył się na dzielny uśmiech i pokręcił głową.

- Dziękuję. Ale muszę jechać najbliższym Greyhoundem do L.A.

- Dziś wieczorem będzie jeszcze jeden.

- Wtedy spóźniłbym się na samolot.

- Ach tak. - Stephen podniósł ściereczkę, rozprostował ją i złożył inaczej, wycierał dalej. - A dokąd się pan wybiera?

- Do Izraela.

To słowo jakby poraziło ich prądem. Stephen przestał polerować, a Eisenhardtowi zdawało się, że włosy na karku stanęły mu dęba. Co za zbieg okoliczności, niech to cholera!

- Do Izraela. - Stephen znów wycierał. - Brzmi wspaniale. A dokąd w Izraelu?

- Wszędzie. Wycieczka objazdowa, czternaście dni przez cały kraj, wszystko co możliwe ze świętych i historycznych miejsc. - Próbował się zaśmiać, lecz zabrzmiało to żałośnie i jasne włosy znów opadły mu na twarz. - Nie wiem, jak na to wpadłem - to znaczy, nigdy nie byłem szczególnie religijny czy coś... nawet wtedy, gdy mama i tata... Był taki prospekt u nas w supermarkecie. Nie mam pojęcia, czemu tak na mnie podziałał, ale pomyślałem sobie, czemu nie? - Wyglądało prawie tak, jakby się wstydził.

Stephen znów zanurzył ściereczkę w wodzie, wykręcił ją niemal z namaszczeniem.

- Mamy tu czasem turystów z Izraela, którzy chcą zwiedzić Arizone, Wielki Kanion i tak dalej. - Przewiesił szmatkę przez chromowaną poprzeczkę. - Pan pierwszy jedzie w drugą stronę.

- Myśli pan, że po prostu uciekam.

- Nie, myślę, że dobrze panu zrobi zmiana otoczenia. To jakby sprawiło mu ulgę.

- Tak, naprawdę się cieszę. To znaczy, to szaleństwo, jeszcze nigdy nigdzie nie byłem, pomijając wakacje w Disneylandzie z mamą i tatą. I raz byłem na nartach, ale tylko złamałem sobie nogę. A teraz od razu lecę do Izraela. Ale wie pan co? Naprawdę się cieszę.

- Wierzę.

- Przede wszystkim chcę się dowiedzieć, jak to jest w takich antycznych historycznych miejscach - mówił dalej chłopak, z coraz większym entuzjazmem. - Wie pan, moja mama miała takie powiedzenie. Mówiła zawsze: Historia jest zapisana w książkach. W rzeczywistości nie czujesz wichru dziejów, gdy ciebie owiewa. Chcę sprawdzić, czy to prawda.

Raptem powietrze wokół nich zaczęło przyskać bąbelkami niczym szampan. Eisenhardt zobaczywszy, że oczy Stephena robią się nienaturalnie wielkie wiedział już, że dobrze zapamiętał jego opowieść o treści drugiej kartki listu.

Filiżanka w dłoni pisarza nagle stała się jakby nierealna, jakby miała się rozpląnąć.

- Zrobiłem jeszcze coś szalonego. - Jasnowłosa mężczyzna dźwignął swoją torbę na ladę baru, mówił coraz szybciej. - Kupiłem sobie kamerę wideo, specjalnie na tę podróż, nowiutką. To znaczy, jeszcze nigdy w życiu nie kupiłem sobie nic nowego, w każdym razie nic takiego - zawsze tylko używane samochody, sprzęt stereo z drugiej ręki, telewizor na pchlim targu... A teraz daję cztery tysiące dolców za taką obłądną rzecz, MR-01 SONY. Słyszał już pan o tym?

- Tak - odpowiedział Stephen głosem, w którym zabrzmiał jakby żal. - Słyszałem.

- Najnowsza z nowych, powiedział sprzedawca. Super-jakość. Dziecinnie łatwa obsługa. Jestem ciekaw. Och, zdaje się, że jedzie autobus.

Na zewnątrz zatrzymał się w tym momencie wielki i srebrny autobus linii Greyhound, piszcząc i sapiąc jak lądujący smok. Ludzie wysiadali, a w całej restauracji wstawali inni ludzie, pakowali swoje walizki, plecaki, torby i pośpiesznie szli do wyjścia. Chłopak zarzucił na ramię swoją torbę i chwycił worek, jeszcze raz kiwnął im głową na pożegnanie i też poszedł. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nim z cichym skrzypieniem, potem jeszcze przez chwilę huśtały się na zawiasach.

Eisenhardt odstawił filiżankę. Rozległ się głośny stuk. Znow była zupełnie normalną filiżanką. Tak, jak ta chwila była zupełnie normalną chwilą, jakich wiele składa się na ludzkie życie.

- Hej - powiedziała cicho Judith.

Spojrzeni po sobie, wielkimi oczyma. Potem, jakby się umówili, obrócili się do okna. Blondyn trzymał już w dłoni bilet. Stał na końcu kolejki.

Nie trzeba było słów. Wstali, poszli za nim, na zewnątrz, przez wahadłowe drzwi, które teraz znow cicho zaskrzypiały. Jedno obok drugiego szli po piachu, chrzęszczącym pod podszewkami, jak zwykle chrzęści pod butami piach. Szli szybciej, w końcu biegli, żeby zdążyć jeszcze spotkać chłopca, nim wsiądzie do autobusu.

- Hm! - chrząknął Stephen i wyciągnął dłoń. - Szczęśliwej podróży!

Chłopak z torbą na ramieniu odwrócił się, zdziwiony.

- Dziękuję.

- Chciałem tylko powiedzieć... Nazywam się Stephen Foxx. Życzę panu wszystkiego dobrego.

- Ja nazywam się John - odpowiedział chłopak i po raz setny odgarnął z oczu kosmyki. - Dziękuję.

- John - a jak dalej?

W oczach chłopca przez moment zamigotała nieufność.

- To przecież nieważne - powiedział. - Po prostu John, okay? - Jeszcze raz uniósł dłoń w pozdrowieniu i wsiadł.

Widzieli go przez przyciemniane szyby autobusu, jak idzie na tył, podczas, gdy przednie drzwi zamykały się z głośnym sykiem i ogromny, cuchnący spalinami autobus powoli ruszał, warcząc silnikiem diesla. Patrzyli za nim, aż znikł za horyzontem.

- Nie wiem, co myśleć - powiedział Eisenhardt. Stephen Foxx spojrzał na niego z boku spłoszonym wzrokiem.

- To był on, prawda?

Horyzont migotał, jakby krzywił się w grymasie drwiącego uśmiechu. Nic nie było już rzeczywiste. Gdyby oderwał wzrok od małego, srebrnego punktu w oddali, świat przestałby istnieć i nastąpiłby koniec czasu. Tak pewnie czują się obłąkani. Gdy ziemia usuwa im się spod stóp.

Lub gdy poczuje się ją po raz pierwszy naprawdę.

- Tak - pokiwał głową. - Historia się rozpoczyna.

KONIEC